



STEPHEN  
KING

HISTORIA LISEY

Prószyński i S-ka

**GTW**

Dla Tabby

*Dokąd idziesz, gdy zostaniesz sam?*

*Dokąd idziesz, kiedy jest ci źle?*

*Dokąd idziesz, gdy zostaniesz sam?*

*Pójdę tam*

*gdy zblękną gwiazdy się.*

Ryan Adams

*Skarbie*

*Skarbiemój*

## Od autora i podziękowania

Naprawdę istnieje staw, do którego schodzimy - a w tym wypadku mówiąc „my”, mam na myśli rozległą społeczność czytelników i pisarzy - by pić i zarzucać sieci. Całkiem możliwe, że w nieświadomej aluzji do tego ogólnodostępnego źródła, mój wydawca (Bill Thompson z Doubleday) powiedział niegdyś: „Pożyczać to rzecz ludzka, przyznawać się - boska”. W związku z tym pozwolę sobie wymienić parę rybek, które zauważyłem w cudzych sieciach.

„Płonę, Lisey, daj mi lód.” Zdanie „Płonę, daj mi lód” znalazłem w „Muzyce z kufra” Michaela Connelly’ego, błyskotliwego autora powieści policyjnych. Choć kontekst i okoliczności są inne, w obu wypadkach chodzi o ciężko ranną ofiarę (w powieści Connelly’ego to kobieta). Dla mnie liczyło się tylko to zdanie. Brzmi jak zaklęcie i posłużyło do otwarcia całej książki. „Historia Lisey” dosłownie wyrosła z tego jednego zdania.

„...Przypiekarnik popołudnia w Tennessee”. Cudownie sugestywne słowo „przypiekarnik” ukuł, o ile wiem, pisarz i poeta Stephen Dobyns, który wykorzystał je w „Cold Dog Soup”.

Słodki maryju. To świetne przekleństwo znalazłem w „The Stones of Summer” Dowa Mossmana.

„Pafko pod ścianą” jest z powieści Dona DeLillo „Underworld”.

I, oczywiście, wszystko z piosenek starego Hanka. Jeśli te strony nawiedził jakiś duch, to raczej jego niż Scotta Landona.

Chcę podziękować też mojej żonie. Nie jest Lisey Landon, podobnie jak jej siostry nie są siostrami Lisey, ale zawsze bawiła mnie obserwacją, jak Tabitha, Margaret, Anne, Catherine, Stephanie i Marcella „siostrują sobie” od trzydziestu lat. Siostrowanie nigdy nie jest codziennie takie samo, ale zawsze fascynuje. Za to, co mi się udało wyrazić, podziękujcie im. Za to, co mi się nie udało, nie czepiajcie się mnie, dobrze? Mam świetnego starszego brata, ale jestem bezsiostrówcem.

Redaktorką tej książki jest Nan Graham. Często recenzenci - zwłaszcza tacy, którzy sprzedają książki w ilościach hurtowych - mawiają: „To i to zyskałoby na lepszej redakcji”. Jeśli będą tak chcieli powiedzieć o „Historii Lisey”, chętnie udostępnię im pierwotną wersję powieści

z uwagami Nan. Moje wypracowania z pierwszego roku francuskiego wracały mniej pokreślone. Nancy odwaliła kawał dobrej roboty i dziękuję jej, że posłała mnie do ludzi w zapiętej koszuli i z uczesnymi włosami. Co do przypadków, kiedy autor próbował się stawiać... mogę tylko powiedzieć: rzeczywistość skrzeczy.

I wreszcie wielkie podziękowania dla Burtona Hatlena z Uniwersytetu Maine, najwspanialszego nauczyciela angielskiego, jakiego miałem w życiu. To on pchnął mnie na drogę do stawu, który nazywał „stawem językowym, mitycznym stawem, do którego wszyscy schodzimy, żeby pić”. Było to w roku 1968. Od tego czasu dobrze wydeptałem tę ścieżkę i nie znam lepszego miejsca, gdzie można by spędzać swe dni: woda jest tam nadal słodka i ciągle pływają w niej ryby.

S.K.

**Część pierwsza**

**SZUKANIE BAFA**



## I

### Lisey i Amanda (wszystko to samo)

#### 1

Żony znanych pisarzy dla oczu opinii publicznej są prawie niewidzialne i nikt nie wiedział o tyra lepiej od Lisey Landon. Jej mąż dostał Nagrodę Pulitzera i National Book Award, ale Lisey udzieliła tylko jednego wywiadu w życiu. Chodziło o znane pismo dla pań, mające stałą rubrykę „Tak, jestem JEGO żoną!” Mniej więcej połowę tych pięciuset słów poświęciła na klarowanie, że zdrobnienie jej imienia rymuje się z CeeCee. Prawie całą drugą połowę wyczerpał przepis na pieczeń wołową na wolnym ogniu. Siostra Lisey, Amanda, powiedziała, że na zamieszczonym zdjęciu Lisey wygląda grubo.

Żadna z sióstr Lisey nie była odporna na rozkosze wpuszczenia kota między gołębie (zabełtania smrodu, jak mawiał ich ojciec) ani smakowitej pogawędki o cudzych brudach, ale tylko Amandy Lisey nie lubiła w tej roli. Amanda - najstarsza (i najdziwniejsza) z dawnych sióstr Debusher z Lisbon Falls - mieszkała obecnie samotnie w domu załatwionym przez Lisey, małym, okutym izolacją domku niedaleko Castle View, gdzie Lisey, Daria i Cantata mogły mieć na nią oko. Lisey kupiła dom siedem lat temu, na pięć zanim Scott odszedł. Odszedł Zbyt Młodo. Odszedł Przed Czasem, jak mówią. Lisey nadal nie mogła uwierzyć, że nie ma go już od dwóch lat. Jednocześnie zdawało się, że dłużej i że ledwie od wczoraj.

Kiedy Lisey w końcu zebrała się do sprzątnięcia jego pracowni, długiej i pięknie oświetlonej amfilady pokoi, które niegdyś były zwykłą górką w prostej wiejskiej stodole, Amanda objawiła się trzeciego dnia. Lisey zakończyła już inwentaryzację wszystkich zagranicznych wydań (były ich setki) i przystąpiła do spisywania mebli, stawiając gwiazdki przy tych sztukach, które miała zatrzymać. Czekając, kiedy Amanda spyta, dlaczego się tak guzdrze, na litość boską, ale Amanda nie pytała. Lisey przeszła od kwestii mebli do milczących (i całodniowych) dumań nad pudłami listów w głównej szafie, a Amanda nadal skupiała się na imponujących stertach i piramidach pamiątek, które ciągnęły się pod całą południową ścianą pracowni. Chodziła tam i z powrotem wzdłuż tej węzowatej narośli, nie odzywając się wcale lub prawie wcale, za to często

coś gryzmoliła w małym notesiku.

Lisey natomiast nie spytała: „Czego szukasz?” ani „Co tam piszesz?”. Jak nieraz wytykał jej Scott, posiadała z całą pewnością najrzadziej spotykany z człowieczych talentów: niewytokliwość nosa w nie swoje sprawy. Oczywiście o ile ktoś nie pracował nad konstruowaniem bomby, a w przypadku Amandy bomby nigdy nie należało całkiem wykluczyć. Amanda była osobą bezradną wobec swojego wścibstwa, osobą, która wcześniej lub później musi rozpuścić język.

Jej mąż w 1985 wyjechał na południe z Rumford, gdzie mieszkali („jak dwa rosomaki, co utknęły w rynnie”, powiedział Scott po popołudniowej wizycie, której zaprzysiął nie powtórzyć.) Jedyne dziecko o imieniu Intermezzo, w skrócie Metzie, wyjechała na północ do Kanady (z kierowcą TIR-a w roli kochasia) w 1989 roku. „Jedna na północ poleciała, druga na południe poleciała, trzecia jadaczki zamknąć nie umiała”. Taki wierszyk mówił im w dzieciństwie ojciec, a tą córką Dandy’ego Dave’a Debushera, która jadaczki zamknąć nie umiała, była z całą pewnością Manda, porzucona najpierw przez męża, potem przez własną córkę.

Amandy, która była, jaka była, Lisey nie darzyła sympatią, ale nie chciała, żeby siostra siedziała w Rumford sama. Mówiąc szczerze, nie ufała jej i choć te słowa nigdy nie padły, Lisey wiedziała, że Daria i Cantata mają takie samo zdanie. Więc rozmówiła się ze Scottem i znaleźli małe Cape Cod, do nabycia za czterdzieści siedem tysięcy dolarów, gotówką, od ręki. Wkrótce potem Amanda zamieszkała w bliskim sąsiedztwie.

A teraz Scott nie żyje, a Lisey w końcu zabrała się do porządkowania jego pracowni. W połowie czwartego dnia zagraniczne wydania były już spakowane, korespondencja oznaczona i mniej więcej posegregowana, a Lisey nabrała rozeznania, których mebli się pozbędzie, a które zatrzyma. Więc dlaczego ciągle jej się wydawało, że tak mało działała? Od samego początku wiedziała, że to robota nieznosząca pośpiechu. Co tam wszystkie pilne listy i telefony, które odbierała po śmierci Scotta (jak również niemało wizyt). Doszła do wniosku, że w końcu ci, których interesuje niewydana proza Scotta, dostaną czego chcą, ale dopiero wtedy, kiedy ona, Lisey, do tego dojrzeje. Początkowo lekceważyli jej słowa, nie odpuszczali. Teraz można by powiedzieć, że prawie wszyscy się z tym pogodzili.

Spuściznę po Scotcie, nazywano wieloma słowami. Jedyne, które rozumiała w pełni, to „memorabilia”, ale było też inne, śmieszne, brzmiało jak „impotentabilia”. Tego właśnie chcieli ci niecierpliwi, namolni i wściekli - „impotentabiliów” Scotta. Lisey zaczęła ich nazywać w

myślach Impotebilami.

## 2

Na ogół, zwłaszcza od przyjazdu Amandy, była speszona, jakby nie doceniła samego zadania, albo przeceniła (obłądnie) swoją zdolność do zobaczenia całego procesu aż po nieunikniony finał: oszczędzone meble w stodole na parterze, dywany zwinięte i związane, żółta furgonetka ryder na podjeździe, gdzie jej cień legnie na płocie pomiędzy podwórkiem Lisey i Gallowayów z sąsiedztwa.

No, i nie zapominajmy o smutnym sercu tego miejsca, o trzech komputerach stacjonarnych - był czwarty, ale jeden, z kątką pamiętek, zniknął za sprawą samej Lisey - każdy kolejny nowszy i lżejszy od poprzedniego, lecz nawet ten najnowszy był wielki i mocarny, a wszystkie nadal na chodzie. Strzeżone hasłami, a ona ich nie знаła. Nigdy nie spytała i nie miała pojęcia, jakie elektropadki drzemią na twardych dyskach. Listy zakupów? Wiersze? Opowiadania erotyczne? Miał połączenie z internetem, ale nie wiedziała, jakie strony odwiedzał. Amazon? Stronę Drudge'a? Złote Deszcze i Bolesne Dreszcze Madame Cruelli? Usiłowała nie wyobrazać sobie czegoś takiego, jak to ostatnie, nie wyobrazać sobie, że zobaczy jakieś rachunki (albo przynajmniej manko w domowych księgach rachunkowych), ale oczywiście to była kompletna głupota. Gdyby Scott chciał przed nią ukryć, że skręca tysiąc miesięcznie, to by ukrył. A hasła? Dowcip polegał na tym, że mógł je wyjawić. Tylko że o takich rzeczach ona zapomniała, i już. Dziwne, że nie zapomniała własnego imienia. Może kiedy Amanda zabierze się do domu... Ale nic nie wskazywało, by miała taki zamiar.

Usiadła wygodnie. Zdmuchnęła włosy z czoła. W tym tempie nie uporam się z przygotowaniem rękopisów aż do lipca, pomyślała. Impotebile dostaną szalu, gdy się zorientują, że się guzdrzę. Zwłaszcza ten ostatni.

Ostatni - sprzed pięciu miesięcy - zdołał nie eksplodować, zdołał się wyrażać bardzo grzecznie, że aż pomyślała: ten będzie inny. Powiedziała mu, że pracownia Scotta jest pusta od półtora roku, ale ona dopiero teraz czuje się na siłach, żeby uporządkować pokoje i zająć się prawami autorskimi.

Jej gość nazywał się Joseph Woodbody, profesor z wydziału literatury angielskiej na uniwersytecie w Pittsburghu. To była alma mater Scotta, a wykłady Woodbody'ego „Twórczość Scotta Landona a mitologia amerykańska” cieszyły się wyjątkowym zainteresowaniem. W tym roku trzech jego studentów pisało pracę dyplomową ze Scotta Landona, więc ten oto impotentny wojownik pewnie w niemal nieunikniony sposób musiał się wybić na prowadzenie, kiedy Lisey rzucała mu takie ogólniki, jak „raczej wcześniej niż później” i „niemal z całkowitą pewnością gdzieś na przestrzeni tego lata”. Ale poddał się naprawdę dopiero wówczas, gdy obiecała, że zadzwoni, „kiedy opadnie kurz”.

Właściwie prawie jej powiedział, że fakt, iż dzieliła łóżko z wielkim amerykańskim pisarzem, nie uprawnia jej do rozporządzania jego spuścizną literacką. To zadanie dla eksperta, oznajmił, a jak się wydaje, pani Landon w ogóle nie ukończyła studiów. Uświadomił jej, że od śmierci Scotta Landona minęły lata i krążą coraz liczniejsze plotki. Rzekomo Landon zostawił sterty nieopublikowanej prozy - opowiadań, nawet powieści. Czy nie zechciałaby go wpuścić na chwileczkę do pracowni? Czy nie pozwoliłaby mu poszperać w katalogach i szufladach, jedynie po to, by mógł ukreślić łeb najbardziej skandalicznym plotkom? Oczywiście przez cały czas byłaby obecna - to się rozumie samo przez się.

- Nie - oznajmiła, odprowadzając go do drzwi. - Na razie nie jestem gotowa.

Pominęła milczeniem jego ciosy poniżej pasa - przynajmniej się starała - bo okazał się tak samo szalony jak cała reszta. Po prostu lepiej i dłużej to ukrywał.

- A kiedy będę gotowa, chcę przejrzeć wszystko, nie tylko rękopisy.

- Ale...

Skinęła mu poważnie głowę.

- Wszystko to samo.

- Nie rozumiem, co pani chce powiedzieć.

No bo jakże. Mieli swój prywatny małżeński język. Ile razy Scott wpadał do domu, wołając: „Cześć Lisey, wróciłem, wszystko to samo?”. Co znaczyło: wszystko dobrze, wszystko w porządku. Oczywiście jak większość zdań znaczących (Scott jej dokładnie wyjaśnił, ale ona i tak wiedziała) to również miało wewnętrzne znaczenie. Człowiek w rodzaju Woodbody'ego nigdy by nie pojął wewnętrznego znaczenia „wszystko to samo”. Lisey mogłaby mu tłumaczyć przez cały

dzień, a on dalej by nie załapał. Dlaczego? Bo był Impotebilem, a Impotebile interesowały się tylko jedną kwestią, jeśli chodzi o Scotta Landona.

- Nieważne - powiedziała profesorowi Woodbody'emu owego dnia, pięć miesięcy temu. - Scott by zrozumiał.

### 3

Gdyby Amanda spytała Lisey, gdzie przechowuje rzeczy Scotta z kątką pamiątek - nagrody, puchary, takie tam różne - Lisey by ją okłamała (co wychodziło jej dość przekonująco jak na kogoś niezbyt wprawionego) i powiedziałyby: „w magazynie w Mechanic Falls.” Ale Amanda nie spytała. Jeszcze bardziej ostentacyjnie wertowała notesik, z pewnością usiłując sprowokować młodszą siostrę do zadania właściwego pytania, ale Lisey go nie zadała. Myślała o tym, jaki pusty stał się ten kąt, jak pusty i nieinteresujący, kiedy znikło z niego tyle pamiątek Scotta. Były albo zniszczone (monitor komputera), albo za bardzo porysowane i potłuczone, żeby je pokazywać; taka prezentacja sprowokowałaby niepotrzebne pytania.

W końcu Amanda poddała się i otworzyła notes.

- Popatrz - powiedziała. - No tylko popatrz.

Pokazała jej pierwszą stronę. Na niebieskich liniach, wciśnięte w małe pętle biegnące od lewej do prawego marginesu - jak zaszyfrowana wiadomość od tych ulicznych świrów, na których zawsze można się natknąć w Nowym Jorku, bo publiczne szpitale dla wariatów już nie mają pieniędzy, pomyślała ze zmęczeniem Lisey - widniały cyferki. Większość była obwiedziona kółkiem. Bardzo nieliczne zamykały się w kwadratach. Manda odwróciła stronę - i proszę, dwie kolejne, takie same. Na następnej cyferki kończyły się w połowie kartki. Ostatnimi były 846.

Amanda rzuciła jej ukradkowe i z jakiegoś powodu strasznie śmieszne wyniosłe spojrzenie oznaczające - kiedy ona miała dwanaście lat, a lalunia Lisey tylko dwa - że Manda Wzięła i Coś Wymyśliła; i ktoś tego gorzko pożałuje. Przeważnie sama Amanda. Lisey przyłapała się na tym, że z pewnym zainteresowaniem (i rosnącym niepokojem) usiłuje zrozumieć, co tym razem może oznaczać ta mina. Od chwili przybycia Amanda lekko świrowała. Może przez tę trudną do zniesienia, męczącą pogodę. A może raczej, co bardziej prawdopodobne, w związku z nagłym

zniknięciem jej stałego chłopaka. Jeśli Manda zmierza ku kolejnej emocjonalnej zawierusze dlatego, że Charlie Corriveau ją rzucił, to Lisey powinna zapiąć pasy. Nigdy nie lubiła i nie ufała temu Corriveau, choć był z banku. Jak można zaufać komuś, kiedy się przypadkiem usłyszało na wiosennym jarmarku, że faceci z „Luźnego Tygrysa” nazywają go Kat na Kaskę? Co to w ogóle za ksywka dla bankiera? I w ogóle co to znaczy? I na pewno musiał wiedzieć, że Manda miała kiedyś problemy z głową...

- Lisey? - odezwała się Amanda, mocno marszcząc brwi.

- Przepraszam - odparła Lisey. - Tak się... na chwilę wyłączyłam.

- Często ci się zdarza. Chyba masz to po Scotcie. Uważaj, Lisey. Oznaczyłam liczbą każdą jego gazetę, dziennik i te naukowe sprawy. Te pod ścianą.

Lisey pokiwała głową, jakby rozumiała, dokąd zierają.

- Robiłam liczby ołówkiem, delikatnie - ciągnęła Amanda. - Zawsze, kiedy patrzyłaś w inną stronę czy coś, bo jakbyś zobaczyła, to byś mi pewnie zabroniła.

- Nieprawda. - Ujęła notesik, wiotki od potu właścicielki. - Osiemset czterdzieści sześć! Aż tyle!

A wiedziała, że sama nigdy by nie wzięła do ręki pism spod ściany, to nie żadne pisma dla kobiet, tylko raczej „Przegląd Little Swanee”, „Otwarte miasto” i nawet takie z niezrozumiałymi tytułami, jak „Piskya”.

- I to nie wszystko - dodała Amanda. Kciukiem wskazała sterty książek i gazet. Kiedy Lisey dobrze się im przyjrzała, przyznała rację siostrze. Było ich o wiele więcej niż osiemset czterdzieści coś. Na pewno. - Prawie trzy tysiące, i nie wyobrażam sobie, gdzie je upchniesz, ani kto by je zechciał. Nie, osiemset czterdzieści sześć to tylko te, w których są te zdjęcia, że ty na nich jesteś.

Zdanie było tak pokraczne, że Lisey początkowo nie zrozumiała. A kiedy pojęła, zachwyciła się. W ogóle nie przyszło jej do głowy, że może gdzieś znaleźć takie niespodziewane źródło zdjęć - takie ukryte upamiętnienie ich wspólnie spędzonego czasu. Ale kiedy się zastanowiła, wszystko stało się jasne. Scott umarł po dwudziestu pięciu latach małżeństwa, a był niespożytym, niezmordowanym podróżnikiem - pomiędzy pisaniem książek czytał, dawał wykłady, krążył po kraju niemal bez przerwy, odwiedzał rocznie z dziewięćdziesiąt uniwersytetów, a ten jego

najwyraźniej niekończący się strumień opowiadań nie ustawał ani na chwilę. I w większości wędrówek ona mu towarzyszyła. W ilu motelach prasowała mu garnitury tym małym parowym żelazeczkiem, kiedy po jej stronie pokoju telewizor mruczał litanie talk-show, a po jego łomotała przenośna maszyna do pisania (w początkowych latach małżeństwa) lub cicho klekotał laptop (później), a Scott siedział skupiony, z przecinkiem włosów na czole!

Manda przyglądała się jej spod oka, najwyraźniej niezadowolona z jej reakcji.

- Te w kółku - więcej niż sześćset - mają podpisy, gdzie nie potraktowano cię dobrze.

- Naprawdę? - zdziwiła się Lisey.

- Pokażę ci. - Amanda zajrzała do notesu, podeszła do przyczajonej sterty, znowu zasięgnęła porady notesu i wybrała dwa egzemplarze. Pierwszy był wychodzącą co pół roku, kosztowną broszurą w twardych okładkach z Uniwersytetu Kentucky w Bowling Green. Drugi, wielkości zeszytu, wyglądał jak gazetka studencka i miał tytuł „Push-Pelt”, jeden z tych obmyślonych przez absolwentów anglistyki i nieznaczący absolutnie nic.

- Otwórz, zobacz - zakomenderowała Amanda, a kiedy wcisnęła jej w rękę, Lisey poczuła dziki i gryzący bukiet potu siostry. - Zaznaczyłam papiórkami, widzisz?

Papiórki. Tak matka mówiła na kawałki papieru. Lisey otworzyła najpierw okazalsze pismo, znalazła zaznaczoną stronę. Zdjęcie jej i Scotta, bardzo dobre, bardzo wyraźne. Scott szedł na podium, ona stała w tle, klaszcząc. Publiczność poniżej także klaskała. Fotografia w „Push-Pelt” nie była taka wyraźna; użyto grubego rastra, ziarna wydawały się wielkie jak kropki napaćkane tępym ołówkiem, kiepski papier zawierał kawałki drzazg, ale spojrzała na zdjęcie i zachciało się jej płakać. Scott wchodził do jakiejś mrocznej spelunki. Uśmiechał się tym swoim kochanym uśmiechem, mówiącym „o tak, o ten lokal chodziło”. Ona szła o krok za nim, potężny flesz wyłaniał z mroku jej uśmiech. Widziała nawet tę bluzkę, którą wtedy włożyła, tę niebieską, od Ann Klein, ze śmiesznym pojedynczym czerwonym paskiem po lewej stronie. Wszystko, co miała na sobie na dole, znikło w mroku i nie potrafiła sobie przypomnieć tamtego wieczoru, ale wiedziała, że to musiały być dzinsy. Kiedy wychodziła późnym wieczorem, zawsze wkładała spłowiałe dzinsy. Zdjęcie podpisano: „Żywa legenda Scott Landon (w towarzystwie) zjawił się w zeszłym miesiącu w Klubie Stalag 17 na Uniwersytecie Vermont. Landon został do zamknięcia lokalu, czytał, tańczył, imprezowa!. Gość zna te klimaty”.

Tak. Gość znał niejedyn klimat. Mogła zaświadczyć.

Spojrzała na inne pisma, nagle oszołomiona tymi skarbami, które mogła w nich znaleźć i zdała sobie sprawę, że Amanda jednak ugodziła ją boleśnie, zostawiła ranę, która będzie długo krwawić. Czy tylko on znał się na mrocznych dołach? Brudnych czarnych dołach, gdzie człowiek jest tak samotny i straszliwie oniemiały? Może nie wiedziała tego wszystkiego, co on, ale i tak wiedziała dużo. Na pewno wiedziała, że cierpiał i że po zachodzie słońca nigdy by nie spojrzął w lustro - w żadną lustrzaną powierzchnię, o ile mógł temu zaradzić. A ona go kochała mimo wszystko. Bo gość znał różne klimaty.

Ale koniec. Koniec z gościem. Gość kopnął w kalendarz, jak to mówią, jej życie przeszło na nowy etap, etap solowy, i było już za późno na odwrót.

To zdanie obudziło w niej dreszcz i myśl o rzeczach

*(fioletowe, stworzenie ze srokatym bokiem)*

o których lepiej nie myśleć, więc odwróciła od nich myśli.

- Dobrze, że znalazłaś te zdjęcia - powiedziała ciepło do Amandy. - Dobra z ciebie starsza siostrzyczka, wiesz?

I, na co miała nadzieję (lecz nie ośmieliła się liczyć), wypłoszyła Mandę z tej wyniosłej pozy. Siostra spojrzała na nią niepewnie, usiłując się doszukać nieszczerości i jej nie znajdując. Stopniowo uspokoiła się i wróciła do zgodnej, łatwiejszej we współżyciu Amandy. Wzięła notes, spojrzała na niego, marszcząc brwi, jakby nie wiedziała, skąd się tutaj wziął. Lisey pomyślała, że biorąc pod uwagę obsesyjny charakter cyferek, to może być wielki krok we właściwym kierunku.

Potem Manda skinęła głową jak człowiek, który przypomniał sobie coś, o czym w ogóle nie powinien był zapominać.

- W tych bez kółek zostałaś przynajmniej wymieniona z nazwiska - Lisa Landon, po prostu normalnie. I wreszcie, o la la - biorąc pod uwagę, jak cię zawsze nazywałyśmy, to prawie żart, co? - parę jest w kwadracikach. To zdjęcia, na których jesteś sama! - Rzuciła Lisey baczne, prawie groźne spojrzenie. - Musisz je obejrzeć.

- Oczywiście. - Wykrzesła z siebie taki ton, jakby z wrażenia omal nie wyskoczyła z majtek, choć nie miała najbledszego pojęcia, dlaczego powinna być choć przelotnie zainteresowana



swoimi zdjęciami po tych zbyt krótkich latach z mężczyzną - dobrym mężczyzną, nie Impotebilem - umiejącym zapiąć pasy, z którym dzieliła noce i dni. Przeniosła spojrzenie na rozchełstane sterty i kopki periodyków, w każdym dowolnym rozmiarze i kształcie, wyobrażając sobie, jak by to było przejrzyć je, stos po stosie, egzemplarz po egzemplarzu, siedząc po turecku na podłodze w kątku pamiętek (no bo gdzież by), wyłuskując zdjęcia swoje i męża. I na tych, które tak gniewały Amandę, zawsze znajdowałyby siebie tuż za Scottem, zawsze wpatrzoną w niego. Jeśli inni bili brawo, ona też. Twarz miała gładką, zamkniętą, okazującą wyłącznie uprzejme zainteresowanie. Jej twarz mówiła: on mnie nie nudzi. Jej twarz mówiła: on mnie nie zachwyca. Jej twarz mówiła: nie płonę dla niego, ani on dla mnie

*(kłamstwo, kłamstwo, kłamstwo)*

Jej twarz mówiła: wszystko po staremu.

Amanda nie znosiła tych zdjęć. Patrzyła na nie i widziała siostrę odgrywającą rolę soli przy polędwicy, rolę oprawy dla klejnotu. Widziała siostrę nazywaną czasami „panią Landon”, czasami „małżonką pana Scotta Landona”, a czasami - o, to było przykre - wcale niewymienioną z nazwiska. Zredukowaną do roli „towarzystwa”. Dla Amandy to musiało być coś w rodzaju morderstwa.

- Manduś?

Amanda spojrzała na nią. Światło było okrutne; Lisey przypomniała sobie, z autentycznym i totalnym wstrząsem, że jesienią Manda skończy sześćdziesiąt lat. Sześćdziesiąt! Teraz przyłapała się na myśli o tym, co dręczyło jej męża przez tyle bezsennych nocy - o tym, o czym Woodbody tego świata nigdy się nie dowiedzą, po jej trupie. O tym czymś z nieskończonym srokatym bokiem, o czymś najwyraźniej widywanym przez chorych na raka, kiedy spoglądają w szklanki, z których znikły wszystkie środki przeciwbólowe i do rana nie pojawią się nowe.

*Już bardzo blisko, kochanie. Nie widzę go, ale słyszę, jak się pożywia.*

*Zamknij się, Scott, nie mam pojęcia, o czym mówisz.*

- Lisey? - spytała Amanda. - Powiedziałaś coś?

- Tak sobie... pomamrotałam. - Spróbowała się uśmiechnąć.

- Rozmawiałaś ze Scottem?

Lisey dała sobie spokój z uśmiechem.

- Tak, chyba tak. Czasami ciągle to robię. Wariatka ze mnie, prawda?

- Nie sądzę. Skoro działa. Wariactwem jest to, co nie działa. Już ja wiem najlepiej. Mam doświadczenie. Nie?

- Manda...

Ale Amanda odwróciła się do stert dzienników, roczników i studenckich pisemek. Kiedy znowu spojrzała na Lisey, uśmiechała się niepewnie.

- Nie zrobiłam nic złego, prawda? Chciałam tylko pomóc...

Lisey wzięła ją za rękę i lekko uściśniła.

- I pomogłaś. Zwijamy się stąd, co? Za prysznic mogę ci się sprzedać.

#### 4

*Zgubiłem się w mroku, a ty mnie znalazłaś. Płonąłem - tak bardzo - a ty dałaś mi lód.*

Głos Scotta.

Lisey otworzyła oczy, sądząc, że się zamyśliła podczas jakiegoś codziennego zajęcia i miała przelotny, ale zadziwiająco szczegółowy sen, w którym Scott nie żył, a ona podjęła się herkulesowej pracy czyszczenia jego pisarskiej stajni. Już z otwartymi oczami natychmiast pojęła, że Scott naprawdę nie żyje, a ona zasnęła we własnym łóżku, odwiózłszy Mandę do domu, i tamto drugie to właśnie był sen.

Wydawało się jej, że dryfuje w księżycowym świetle. Czowała zapach egzotycznych kwiatów. Drobnaziarnisty letni wietrzyk odgarnął jej włosy ze skroni, taki wietrzyk, który zrywa się po północy w jakimś tajemniczym miejscu daleko od domu. A jednak to był dom, musiał być, bo przed sobą miała stodołę z pracownią męża, obiektem tak wielkiego zainteresowania Impotebili. A teraz, dzięki Amandzie, wiedziała już, że są tam także zdjęcia, jej i Scotta. Ten zakopany skarb, ten emocjonalny łup.

Może lepiej byłoby nie oglądać ich, zaszeptał wiatr.

O, co do tego nie miała wątpliwości. Ale je obejrzy. Była bezradna wobec takiej pokusy, skoro już o niej wiedziała.

Z zachwytem ujrzała, że unosi się na ogromnej, złoconej księżycem płachcie z napisem NAJLEPSZA MAKA PILLSBURY'EGO i tajemniczymi XXX, powtarzającymi się raz po raz. Płachta miała węzélki na rogach, jak chusteczka. Zdumiała ją wiotkość materii, jakby unosiła się na chmurce.

Scott. Usiłowała powiedzieć imię głośno i nie dała rady. Ten sen jej nie pozwolił. Droga wiodąca do stodoły znikła. Tak samo podwórko między nią a domem. Zostało tylko ogromne pole fioletowych kwiatów, drzemiących w blasku księżyca. Scott, ja cię kochałam, ja cię uratowałam, ja

## 5

Obudziła się i usłyszała własny głos, powtarzający w kółko, jak mantrę: Ja cię kochałam, ja cię uratowałam, ja ci przyniosłam lód. Ja cię kochałam, ja cię uratowałam, ja ci przyniosłam lód. Ja cię kochałam, ja cię uratowałam, ja ci przyniosłam lód.

Leżała bardzo długo, wspominając pewien upalny sierpniowy dzień w Nashville i myśląc - nie po raz pierwszy - że życie w pojedynkę po tak długim życiu w podwójkę to jedno gumno. Można by pomyśleć, że po dwóch latach człowiek już się przestaje temu tak dziwować, ale nie, czas najwyraźniej nie działał nic, tylko stępił najbardziej tnące ostrze rozpaczy, która teraz raczej szarpała. Bo nic nie było po staremu. Ani na zewnątrz, ani wewnątrz, nie dla niej. Leżąc w łóżku, które kiedyś mieściło dwa ciała, Lisey myślała, że samotność nigdy nie jest bardziej samotna niż wtedy, kiedy człowiek się budzi i uświadamia sobie, że ma cały dom dla siebie. Że jedyne żywe stworzenia to ty i myszy w ścianach.

## II

### Lisey i szalaniec (mrok go kocha)

#### 1

Następnego ranka Lisey usiadła po turecku na podłodze w kątku pamiętek Scotta i spojrzała na sterty, kopki i piramidy magazynów, raportów, biuletynów wydziałowych i gazetek uniwersyteckich pod południową ścianą pracowni. Przyszło jej do głowy, że może samo spojrzenie wystarczy, by usunąć ten podstępny magnetyczny wpływ, jakie wszystkie dotychczas nieobejrzane zdjęcia miały na jej wyobraźnię. Ale kiedy już się tu znalazła, okazało się, iż żywiła złudną nadzieję. Nie potrzebowała także zwiędłego notesika z cyferkami Mandy. Leżał na podłodze nieopodal; Lisey wsunęła zeszytek do tylnej kieszeni dżinsów. Nie lubiła na niego patrzeć, skarb nie całkiem zdrowego umysłu.

Znowu zmierzyła spojrzeniem ten długi szereg książek i magazynów pod południową ścianą, zakurzony księgał, sięgający na półtora metra wwyż i mierzący, lekko licząc, z dziesięć metrów. Gdyby nie Amanda, pewnie spakowałyby wszystkie egzemplarze, co do jednego, do pudeł z monopolowego, nawet się nie zastanawiając, dlaczego Scott je przechował.

Mój umysł po prostu tak nie działa, powiedziała sobie. Nie jestem specjalnie myśląca.

*Może nie, ale zawsze byłaś rekordowo pamiętająca.*

To Scott w najbardziej żartobliwym, uroczym i uwodzicielskim nastroju, ale faktycznie lepsze wyniki miała w zapominaniu. Podobnie jak on, i oboje mieli powody. A jednak, jakby na dowód, dobiegł ją upiorny urywek rozmowy. Jeden głos - Scotta - był znajomy. W drugim pobrzmiwał gładki południowy akcent. A może raczej gęgający południowy akcent.

- Tony będzie wszystko notować dla (czegoś czegoś, bum - cykegoś). Zechce pan dostać egzemplarz?

- Hmmmm? No jasne.

Wszędzie mamrotanie. Scott ledwie słucha tego, że Tony będzie notować, prawie dorównuje

politykom w drygu do zwracania się ku tym, którzy przyszli zobaczyć jego wystąpienie, nasłuchuje głosów rosnącego tłumu i już rozmyśla nad znalezieniem właściwego kontaktu, tego przyjemnego momentu, kiedy prąd przepłynie od niego do nich i z powrotem, podwojony, może nawet potrojony, uwielbiał tę elektryczność, ale Lisey była pewna, że chwilę podłączania do kontaktu uwielbiał jeszcze bardziej. Mimo to nie spieszył się z reakcją.

- Może pan wysłać fotografie, gazetki studenckie, wywiady, ulotki, wszystko. Będę wdzięczny. Lubię to wszystko mieć. Pracownia, RFD 2, Sugar Top Hill Road, Castle Rock, Maine. Lisey zna kod, ja zawsze zapominam.

Nic więcej na jej temat, tylko „Lisey zna kod”. Ależ Manda by się zapieniła! Ale Lisey chciała być w cieniu podczas tych wypraw, jednocześnie być i nie być obecna. Lubiła obserwować.

Jak pornosą?, spytał kiedyś Scott, a ona bladym księżycowym uśmiechem sygnalizowała mu, że zbliża się do granicy. Skoro tak mówisz, kochanie, powiedziała.

Zawsze ją przedstawiał, przy przyjeździe i innych takich, tu i tam, kiedy to było konieczne, ale rzadko było. Naukowcy nie są ciekawi spraw spoza ich dziedzin. Na ogół pozostawali pod wrażeniem spotkania z autorem „Córki wodniaka” (National Book Award) i „Relikwi” (Pulitzer). Ponadto był to mniej więcej dziesięcioletni okres, kiedy Scott jakoś zогromniał - w oczach innych, a czasami własnych. (Ale nie Lisey, to ona zawsze musiała mu przynosić nową rolkę papieru toaletowego, jeśli stara się skończyła akurat, kiedy siedział na kiblu.) Nikt nie napierał na scenę, na której Scott stał z mikrofonem w rękę, ale nawet Lisey czuła więź zadzierzgniętą między nim a słuchaczami. Te wolty. Aż iskrzyło i nie miało to wiele wspólnego z jego pisarstwem. Może w ogóle nic. Natomiast wiele wspólnego miało z jego scottnością. Brzmi po wariacku, ale to prawda. I nigdy go to wiele nie zmieniało ani nie raniło, przynajmniej do...

Jej oczy znieruchomiały, przykute do twardego grzbietu i złotych literek **KRONIKA U-TENN NASHVILLE 1988 r.**

1988, rok powieści country. Tej, której nie napisał.

1988, rok wariata.

...Tony będzie wszystko notować.

- Nie - powiedziała głośno. - Błąd. Nie powiedział Tony, tylko...

...Tęne.

Właśnie, powiedział Tęne, powiedział:

...Tęne będzie wszystką notować.

- ...notować do Kroniki '88 U-Tenn - powiedziała Lisey. - I powiedział:

...Prześlę go pęczką kurierską.

I niech ją szlag, jeśli ten mały nedorobiony Tennessee Williamsomalże nie powiedział „pęczką kuryjerską”. To ten głos, zgadza się, to ten obciachowiec południowiec. Dashmore? Dashman? Taki rozbiegany, jak mu było...

- Dashmiel! - mruknęła Lisey w pustych pokojach i zacisnęła pięści. Wbiła wzrok w książkę o złotym grzbiecie, jakby mogła zniknąć w chwili, gdy spuściłaby ją z oczu. - Dashmiel mu było, tej południowej trzęsidupie, a ZAPYLAŁ JAK TRZMIEL TEN DASHMIEL!

Scott odrzuciłby ofertę poczty kurierskiej, uważał, że takie rzeczy to niepotrzebne wydatki. Nigdy nie miał parcia na korespondencję - kiedy butelka nadpływała, wyławiał ją z rzeki i już. W sprawach recenzji swoich powieści już nie był taki „jeszcze poczekajmy, jeszcze się nie spieszymy”, a raczej bardziej „do przodu, Scotty”, ale jeśli chodzi o relacje z publicznych występów zwykła poczta całkowicie mu wystarczała. Ponieważ pracownia miała własny adres, Lisa uświadomiła sobie, że najprawdopodobniej w ogóle nie widziała, kiedy dostarczano te pisma. A kiedy już dotarły... no cóż, te przestronne, dobrze oświetlone pomieszczenia były twórczym placem zabaw Scotta, nie jej, to był najpocziwszy jednoosobowy klub męski, gdzie pisał swoje opowieści i słuchał muzyki podkreślonej na maksa w wygłuszonym pomieszczeniu, które nazywał Cichą Celą. Na drzwiach nie było tabliczki NIE WCHODZIĆ, Lisey bywała tam mnóstwo razy za jego życia i zawsze witał ją z radością, ale trzeba było dopiero Amandy, żeby zajrzeć do brzucha temu wężowi, śpiącemu pod południową ścianą. Obrażalska Amanda, podejrzliwa Amanda, jednostka bojowa Amanda, która jakoś nabiła sobie do głowy, że dom sfajczy się jej na popiół, jeśli nie będzie wkładać do kuchenki po trzy klonowe polana, nie mniej i nie więcej. Amanda o nieusuwalnym nawyku obracania się trzy razy na ganku, jeśli musiała wrócić po coś do domu. Widząc coś takiego - albo słuchając, jak liczy ruchy szczoteczki, myjąc zęby - można by ją spokojnie spisać na straty, jak jakąś walniętą starą pannę, niech ktoś zapisze tej babinie zoloft albo prozac. Ale czy bez Mandy lalunia Lisey w ogóle by się kapnęła, że ma

setki zdjęć swego zmarłego męża, które tylko czekają, żeby je obejrzała? Setki wspomnień, które tylko czekają na przywołanie? A większość z pewnością przyjemniejsza niż wspomnienie Dashmiela, snobistycznego bzykającego trzmiela, parszywego tchórza...

- Przestań - mruknęła. - Ale to już. Liso Debusher Landon, otwórz rękę i daj temu odejść.

Ale najwyraźniej nie była gotowa, bo wstała, ruszyła przez pokój i uklękła przed książkami. Prawa ręka uniosła się przed jej nosem, jakby za sprawą czarodziejskiej sztuczki, i chwyciła tom zatytułowany **KRONIKA U-TENN NASHVILLE 1988 r.** Serce łomotało, nie z podniecenia, a strachu. Głowa mogła powiedzieć sercu, że bądź co bądź wszystko wydarzyło się osiemnaście lat temu, ale w kwestiach uczuć serce ma własny genialny słownik. Niezwykle jasne włosy wariata wydawały się prawie białe. To był wykształcony wariat, i z jego ust padały niezupełne brednie. Następnego dnia po zamachu - kiedy stan Scotta zmienił się z krytycznego na rokujący nadzieje - spytała czy ten dyplomowany wariat zapiął pasy, a Scott wyszeptał, że nie wie, czy wariat może cokolwiek zapiąć. Zapięcie pasów to akt heroiczny, akt woli, a wariaci nie mają wiele siły woli... a może Lisey uważa, że jest inaczej?

*...nie wiem, Scott. Zastanowię się.*

Nie mówiła serio. Nigdy więcej nie chciała się nad tym zastanawiać, o ile to będzie możliwe. Jeśli o nią chodzi, ten smerdolony świrek z małym pistolecikiem mógł dołączyć do innych spraw, o których zdołała z powodzeniem zapomnieć od czasu, gdy poznała Scotta.

*...Gorąco było, co?*

Leżał w łóżku. Nadal blady, zbyt blady, ale już zaczynał odzyskiwać normalny koloryt. Spojrzenie od niechcenia, bez znaczenia, dla samego spojrzenia. A Lisey Teraz, Lisey Samotna, wdowa Landonowa, zadrzała.

- Nie pamiętał - wymamrotała.

Była absolutnie pewna. Ani chwili z tego, kiedy leżał na chodniku i oboje wiedzieli, że nigdy nie zdoła się podnieść. Że umiera i cokolwiek wydarzy się między nimi, będzie ostatnim co ich spotka, ich, mających sobie tak wiele do powiedzenia. Neurolog, z którym zebrała się na odwagę porozmawiać, powiedział, że zapominanie traumy to normalna kolej rzeczy, że ludzie, którzy wychodzą z takich wypadków, często odkrywają, że na kliszy ich wspomnień znajduje się wypalona czarna dziura. Ta dziura może zakrywać pięć minut, pięć godzin albo pięć dni.

Czasami w miarę upływu lat albo dziesięcioleci mogą się wyłaniać chaotyczne odpryski i wizje. Neurolog nazwał to mechanizmem obronnym.

Lisey dostrzegła w tym jakiś sens.

Ze szpitala wróciła do motelu, w którym zamieszkała. Pokój nie był bardzo dobry - na tyłach, z widokiem na drewniany płot i koncertem na sto szczekających psów - ale nie zwracała uwagi na takie rzeczy. Z pewnością nie chciała mieć nic wspólnego z uniwersytetem, na którego terenie postrzelono jej męża. I kiedy zrzuciła buty i padła na twarde podwójne łóżko, pomyślała: mrok go kocha.

Czy to prawda?

Jak mogła powiedzieć, skoro nawet nie wiedziała, co to znaczy?

*Wiesz. Nagrodą tatusia był pocałunek.*

Odwróciła głowę tak gwałtownie, jakby niewidzialna ręka wymierzyła jej policzek. O tym ani słowa!

Milczenie... milczenie... a potem chytre: *Mrok go kocha. Tańczy z nim jak z kochanką, a księżyc wschodzi nadfioletowym wzgórzem, i to co było słodkie, pachnie kwaśno. Pachnie trucizną.*

Odwróciła głowę w drugą stronę. Psy przed motelowym pokojem - chyba wszystkie smerdalone psy w Nashville - czekały do słońca zachodzącego w pomarańczowej sierpniowej mgielce, robiącego miejsce nocy. Kiedy była mała, matka mówiła jej, że nie ma co się bać ciemności, nawet kiedy rozjaśniają ją błyskawice i wałą pioruny. Gdy starsza o wiele lat siostra Manda kuliła się pod kołdrą, lalunia Lisey siedziała na łóżku, ssała kciuk i domagała się, żeby ktoś wziął latarkę i poczytał jej opowiadanie. Kiedyś wspomniała o tym Scottowi, a on wziął ją za rękę i powiedział:

- Więc ty bądź moim światłem, Lisey. Bądź moim światłem. - I starała się, ale...

- Byłem w mrocznym miejscu - wymamrotała Lisey, siedząc w opuszczonej pracowni z **KRONIKĄ U-TENN NASHVILLE**. - Tak powiedziałaś, Scott? Prawda?

*...Byłem w mrocznym miejscu, a ty mnie znalazłaś. Ocaliłaś mnie.*

Może w Nashville. Ale nie na końcu.



*...zawsze mnie ratowałaś, Lisey. Pamiętasz tę pierwszą noc, kiedy zostałem u ciebie?*

Lisey, siedząca z kroniką na kolanach, uśmiechnęła się. Oczywiście pamiętała. Najbardziej pamiętała przesadną ilość miętowych sznapsów, dostała od nich zgagi. A jemu opornie szło najpierw uzyskanie, potem utrzymanie erekcji, choć w rezultacie wszystko przebiegło jak należy. Wtedy myślała, że to przez alkohol. Dopiero potem wyznał, że aż do niej z nikim mu się nie udawało: była jego pierwszą, była jego jedyną, i historie, które opowiedział jej i innym o swoich szalonych erotycznych przygodach, zarówno homo jak i hetero, były wyssane z palca. A Lisey? Lisey uznała go za sprawę do załatwienia, obowiązek do wykonania przed snem. Przepędzić zmywarę przez hałaśliwą część cyklu, namoczyć formę do zapiekanki, podjarać młodego zdolnego pisarza, aż mu porządnie stanie.

*...Kiedy było po wszystkim i poszłaś spać, leżałem bezsennie i słuchałem zegarka na twojej szafce, i wiatru za oknem, i zrozumiałem, że jestem w prawdziwym domu, że jestem w domu, leżąc z tobą w łóżku, i to coś, co się zbliżało w ciemnościach, nagle znikło. Nie mogło być inaczej. Zostało wygnane. Umiało wrócić, tego byłem pewien, ale nie mogło zostać i autentycznie zasnąłem. Serce mi pękło z wdzięczności. Chyba po raz pierwszy poczułem prawdziwą wdzięczność. Leżałem obok ciebie i lzy toczyły mi się po skroniach w poduszkę. Kochałem cię wtedy i kocham cię teraz, i kochałem cię w każdej sekundzie od wtedy do teraz. Nieważne, czy mnie rozumiesz. Zrozumienie jest zdecydowanie przereklamowane, ale nikt nie narzeka na nadmiar bezpieczeństwa. Nigdy nie zapomniałem, jak bezpiecznie się poczułem, kiedy to coś znikło z mroku.*

- Nagrodą tatusia był pocałunek.

Teraz wymówiła zdanie głośno, i choć w pustej pracowni było ciepło, zadrzała. Nadal nie wiedziała, co to znaczy, ale z całą pewnością pamiętała, kiedy Scott powiedział o tym pocałunku tatusia - jednocześnie z tym, że była jego pierwszą i nikt nie narzeka na nadmiar bezpieczeństwa. Dała mu całe bezpieczeństwo, jakie umiała dać, ale zawsze mu było mało. W końcu to stworzenie po niego wróciło - to stworzenie, które czasami widywał przelotnie w lustrach i zwierciadłach wody, to stworzenie z ogromnym srokatym bokiem. Długaśnika.

Rozejrzała się trwożnie i zastanowiła, czy to stworzenie teraz na nią patrzy.

Otworzyła **KRONIKĘ U-TENN NASHVILLE 1988 r.** Trzask grzbietu był jak strzał. Aż krzyknęła z zaskoczenia i upuściła tom. Potem się roześmiała (trochę nerwowo, trzeba przyznać).

- Lisey, ty debilko.

Tym razem z tomu wypadł złożony kawałek gazety, pożółklej i zetłalej. Rozłożyła ziarnistą fotografię, razem z podpisem. Na pierwszym planie znajdował się osobnik mniej więcej dwudziestotrzyletni, wyglądający jeszcze młodziej przez tę oszołomioną, wstrząśniętą minę. W prawej ręce dzierżył łopatkę o krótkim trzonku i srebrnym ostrzu. Na blasze widniał wygrawerowany napis, na fotografii nieczytelny, ale Lisey go pamiętała:

### **INAUGURACJA BIBLIOTEKI SHIPMANA.**

Młodzieniec tak jakoś... jakby... zezował na tę łopatkę, a Lisey poznawała, nie tylko po twarzy, ale całej niezdarnej pokraczno-sękatej postawie chudego ciała, że nie miał bladego pojęcia, co trzyma. Mógł to być pocisk artyleryjski, drzewko bonzai, wykrywacz promieniowania albo porcelanowa świnka-skarbonka z otworkiem na grzbiecie na drobniaki, mogło być dowolnym dzinksem, wieczną pamiątką wiosny pory miłosny, albo melonikiem ze skóry kojota. Mogło być penisem poety Pindara. Ten młodziak za bardzo zgłupiał, żeby to wiedzieć. Podobnie jak - chętnie by się założyła - nie miał pojęcia, że za lewą rękę ściska go - także zamarznęty na wieki w zamieci czarnych fotokropek - mężczyzna wyglądający jak przebrany za policjanta z drogówki: bez broni, ale z pasem biegnącym przez pierś i czymś, co Scott, ze śmiechem, robiąc wielkie oczy, mógłby nazwać „bombastrasznie ogeroomnym egzemplarzem dziury”. Na twarzy miał także bombastrasznie ogeroomny uśmiech, uśmiech ulgi typu „O dzięki Ci, Boże”, mówiący: synu, nigdy nie wypijesz na własny koszt w barze, w którym przypadkiem mnie spotkasz, dopóki będę mieć ostatni grosz przy duszy. W tle widniał Dashmiel, ten mały zarozumialec z Południa, który tylko śmignął. Roger C. Dashmiel, wróciło do niej, a to C w środku to skrót od cymbał.

Czy widziała - lalunia Lisey Landon - jak ten uszczęśliwiony kampusowy policjant ściska rękę oszołomionemu młodzieńcowi? Nie, ale... zaraz...

Zaaaaraz, ludziska... patrzajta... chcecie zobaczyć uwiecznioną postać jak z bajki, tak samo

dobłą jak Alicja wpadająca do króliczej nory albo Ropuch w cylindrze, prujący w samochodzie? To se popatrzcie, na prawą stronę zdjęcia. Lisey pochylała się, niemal dotykając nosem poślizkłej fotografii z „Americana” z Nashville. W szerokiej środkowej szufladzie najważniejszego biurka Scotta było szkło powiększające. Widywała je przy wielu okazjach, miało swoje miejsce pomiędzy najstarszą na świecie nieotwartą paczką papierosów herbert tareyton i najstarszą na świecie książeczką niewymienionych na towary Zielonych Znaczków S&H. Mogła je wziąć, ale nie fatygowała się. Nie potrzebowała lupy, żeby potwierdzić to, co widzi: połowę brązowego mokasy. A konkretnie mokasy z kozłczej skórki, na małym obcasiku. Bardzo dobrze pamiętała te mokasy. Wygodne były. A tamtego dnia zdrowo się w nich nabiegała. Nie widziała uszczęśliwionego gliniarza ani oszołomionego młodzieńca (to był Tony, na pewno, albo „Tępe będzie wszystką notawać”), nie dostrzegła także Dashmiela, południowej trzęsidupy. Od chwili, gdy wpadła bryndza w wentylator, wszyscy oni przestali dla niej istnieć, cała ta smerdolona banda. Wówczas miała w głowie tylko jedno, czyli Scotta. Był nie dalej niż trzy metry od niej, ale zrozumiała, że jeśli natychmiast do niego nie dobiegnie, tłum jej nie dopuści, a jeśli jej przy nim nie będzie, to tłum go zabije. Zabije swoją niebezpieczną miłością i żarłoczną troską. A zresztą ja smerdolę panią Violę, może Scott już umiera. Jeśli tak, to zamierzała być przy nim, jak się stąd zacznie zwijać. Kiedy Odejdzie, jak powiedzieliby ludzie z pokolenia jej rodziców.

- Byłam pewna, że umrze - powiedziała Lisey do milczącego, skąpanego w słońcu pokoju, do zakurzonych zawitych zwojów księgi.

Więc podbiegła do leżącego na ziemi męża, a reporterowi - który przywłókł się tylko po to, żeby trzasnąć obowiązkowe zdjęcie uczelnianych dygnitarzy i sławnego wizytującego autora, który zebrali się, żeby wbić w ziemię srebrne ostrze w rytuale Pierwszej Łopaty Ziemi na miejscu, w którym miała stanąć nowa biblioteka - przypadkiem trafiła się o wiele bardziej dynamiczna fotka, no nie? Fotka na pierwszą stronę, może nawet do gabloty najlepszych okładek, z tych, co człowiek na ich widok zamiera z łyżką płatków w drodze z miski do ust, jak fotografia Oswalda przyciskającego brzuch rękami i z ustami otwartymi w tym ostatecznym agonialnym kwiku, wizja, której się nigdy nie zapomni. Tylko Lisey mogłaby stwierdzić, że na fotografii jest także żona pisarza. A dokładnie jeden jej niewielki obcasik.

Podpis pod fotografią głosił:

Kapitan S. Heffernan z agencji ochrony kampusu U-Tenn gratuluje Tony'emu Eddingtonowi, który uratował życie słynnemu autorowi Scottowi Landonowi na chwilę przed zrobieniem tego zdjęcia. „To autentyczny bohater”, mówi kapitan Heffernan. „W pobliżu nie było nikogo innego”. (Patrz także artykuły na str. 4, 9)

Po lewej stronie znajdowała się dość długa notatka odręczna, charakterem pisma, którego nie rozpoznała. Po prawej stronie biegły dwie linijki rozwlekłym charakterem Scotta, pierwsza trochę większa od drugiej... i mała strzałka, na Boga, wskazująca na but. Zrozumiała, co musi znaczyć ta strzałka, Scott pewnie rozpoznał, co to. Jeśli dodać do tego opowieść żony - nazwijmy ją „Lisey i szalenciec”, porywająca historia o prawdziwej przygodzie - wszystko stało się jasne. Czy się wściekł? Nie. Bo wiedział, że jego żona by się nie wściekła. Wiedział, że by ją to rozbawiło, i było to zabawne, zabawne do zasmerdolenia, więc dlaczego była na granicy łez? Jeszcze nigdy w życiu własne uczucia nie zaskakiwały jej, nie zwodziły i pokonywały tak, jak przez te ostatnie dni.

Upuściła wycinek na księgę, przestraszona, że papier rozpuści się w nagłym potopie łez, tak jak wata cukrowa rozpuszcza się w ślinie. Zakryła oczy dłońmi i zastygła. Kiedy była już pewna, że łzy się nie poleją, wzięła wycinek i odczytała to, co napisał Scott:

*Pokazać koniecznie Lisey! Ale się UŚMIEJE!*

*Ale czy zrozumie?(Nasze źródła potwierdzają)!*

Pod wykrzyknikiem narysował uśmiechniętą buźkę w stylu lat siedemdziesiątych, jakby jej życzył dobrego dnia. I Lisey naprawdę zrozumiała. Osiemnaście lat później, ale co z tego? Pamięć jest względna.

Bardzo to zen, rybeńko, powiedziałby Scott.

- Zen, śmen. Ciekawa jestem, co teraz porabia Tony, o. Wybawca sławnego Scotta Landona.

Roześmiała się i łzy, które wciąż stały jej w oczach, potoczyły się po policzkach.

Teraz odwróciła fotografię i odczytała drugą, dłuższą notatkę.

8-18-88

*Drogi Scotcie (jeśli wolno): pomyślałem, że ucieszy cię ta fotografia C. Anthony'ego („Tony'ego”) Eddingtona III, młodego absolwenta, który uratował ci życie. U-Tenn oczywiście go nagrodzi; uznaliśmy, że może chciałbyś o tym wiedzieć. Mieszka na Colview Avenue 748, Nashville North, Nashville, Tennessee 37235. Pan Eddington, „biedny acz dumny”, pochodzi z doskonałej rodziny z południowego Tennessee i jest wybitnym młodym poetą. Oczywiście będziesz chciał mu podziękować (i może wręczyć nagrodę) na swój sposób. Pozostaję z szacunkiem, Roger C. Dashmiel, asystent wydziału literatury angielskiej Uniwersytetu Tennessee, Nashville.*

Lisey odczytała to raz, drugi (po trzykroć daaaa-ma, zaśpiewałby w tym miejscu Scott), wciąż z uśmiechem, ale także z kwaśnym połączeniem zdumienia i ostatecznego zrozumienia. Roger Dashmiel prawdopodobnie tak samo nie miał pojęcia, co się naprawdę wydarzyło, jak ten uczelniany ochroniarz. Co znaczyło, że tylko dwie osoby na całutkim świecie znają prawdę o tym popołudniu: Lisey Landon i Tony Eddington, ten chłopak, który miał wszystko nątować. Możliwe, że nawet i „Tęże” nie zdawał sobie sprawy, co się wydarzyło po uroczystym wbiciu łopatką w ziemię. Może doznał chwilowej amnezji na skutek przerażenia. Kombinuj, dziewczyno: mógłby nawet całkiem serio uważać, że uratował Scottowi Landonowi życie.

Nie. Nie mogła w to uwierzyć. Natomiast bez trudu uwierzyła, że ten wycinek i naścibolony drobnym pismem fałszywie słodki liścik to małostkowa zemsta Dashmiela za... za co?

Za uprzejmość?

Za patrzanie na Monsieur de Littérature Dashmiela jak na powietrze?

Za to, że Scott jest bogatym, twórczym gnojkiem, który miał skasować tysiąc pięćset dolarów dziówki za wypowiedzenie paru wzniosłych słów i wbicie łopatką w ziemię? Uprzednio spulchnioną?

Za to wszystko razem. I jeszcze więcej. Lisey pomyślała, że Dashmiel jakoś nabił sobie do głowy, że w prawdziwszym, uczciwszym świecie ich pozycje by się odwróciły: że on, Roger

Dashmiel, stałby się obiektem intelektualnego zainteresowania i uwielbienia studentów, zaś Scott Landon - nie wspominając już o tej jego myszowatej żonce, co nie pierdnie, nawet gdyby jej życie od tego zależało - powinni tyrać na uniwersyteckim ugorze, ciągle się przed kimś płaszczyć, badając, z której strony zawieje polityczny wiatr i jakoś biedując od wypłaty do wypłaty.

- Nieważne, o co mu chodziło, nie lubił Scotta i to była jego zemsta - zdziwiła się w pustych, słonecznych pokojach nad długą stodołą. - Ta... trująca wiadomość.

Zastanawiała się nad tym przez chwilę, a potem wybuchnęła kaskadami wesołego śmiechu, przyłożywszy ręce do płaskiej części klatki piersiowej nad biustem.

Kiedy trochę się uspokoiła, zaczęła kartkować kronikę, aż znalazła szukany artykuł: NAJSŁAWNIEJSZY POWIEŚCIOPISARZ AMERYKAŃSKI INAUGURUJE BUDOWĘ WYMARZONEJ BIBLIOTEKI. Autorem był Anthony Eddington, znany niektórym jako Tąne. A kiedy przebiegła tekst wzrokiem, okazało się, że jednak jest zdolna do gniewu. Nawet wściekłości. Bo nie było tam wzmianki o tym, jak zakończyły się uroczystości, ani nawet o rzekomym bohaterstwie autora, skoro o tym mowa. Jedynym świadectwem, że coś tam się obłądnie porąbało, były ostatnie wersy: „Przemowę pana Landona, mającą miejsce po ceremonii i odczycie w świetlicy studenckiej, przerwały nieoczekiwane wydarzenia, lecz mamy nadzieję wkrótce znowu ujrzyć w naszym uniwersytecie tego giganta literatury amerykańskiej. Być może w 1991 roku, podczas uroczystego przecinania wstęgi, gdy Shipman wreszcie otworzy swe podwoje!”.

Świadomość, że to przecież szkolna kronika, na miłość boską, lśniąca, kosztowne wydawnictwo w twardej oprawie, pewnie wysyłane kasownym absolwentom, trochę ułagodziła jej gniew; chyba się nie spodziewała, że szkolna kronika pozwoli wynajętemu literacinie zaserwować krwawy ślapstickowy bigos tego dnia? Ilu absolwentów by wtedy sypnęło groszem? Przypominanie sobie, że Scott także pewnie by się tym ubawił, też jej pomogło... ale nie aż tak. Bo Scotta nie było, nie obejmie jej, nie pocałuje w policzek, nie odwróci jej uwagi, łaskocząc w pierś i mówiąc, że wszystko ma swoją porę - jest czas siewu, czas żniw, czas zapięcia pasów i analogiczny czas rozpięcia, zaprawdę powiadam wam.

Scott odszedł, żeby go cholera. I...

- I rozlał krew za was, ludzie - wymamrotała nienawistnie, głosem upiornie podobnym do

głosu Mandy. - Prawie umarł za was, ludzie. To jakiś cud błękitnooki, że nie umarł.

A Scott znowu do niej przemówił, tak jak zwykle. Wiedziała, że to tylko brzuchomówca, który w niej siedzi, to on naśladuje jego głos - kto kochał go bardziej i zapamiętał lepiej - ale nie miała takiego wrażenia. Miała wrażenie, że to on.

*Byłaś moim cudem. To ty byłaś moim cudem błękitnookim. Nie tylko tego dnia, ale zawsze. To ty odpędzałaś mrok, Lisey. To ty lśniłaś.*

- Może czasem tak ci się wydawało - powiedziała z roztargnieniem.

*Gorąco było, co?*

Tak, było gorąco. Ale nie tak zwyczajnie gorąco. Było...

- Parno. Lepko. I od samego początku miałam złe przeczucie. Od rana, ledwie moja stopa dotknęła...

Ale nie. Nie. Nie wtedy. Minutę lub dwie później. W łazience. Siedząc przed księgiem, z leżącą na jej kolanach otwartą kroniką, Lisey miała przelotną lecz wyrazistą wizję Babuni D, wówczas karmiącej kury w domciu. - To w łazience zaczęłam się źle czuć. Bo rozbiłam

### 3

Ciągle myśli o tej szklance, o tej smerdolonej sztucznej szklance. Oczywiście w przerwach rozmyślań, jak by chciała uciec z tego gorąca.

Lisey stoi za Scottem, trochę po prawej, z rękami godnie złożonymi z przodu, i patrzy na niego, sterczącego na jednej nodze, z drugą na tej głupiej łopacie, do połowy zanurzonej w spulchnionej ziemi, którą ewidentnie przyniesiono specjalnie na tę okazję. Jest szalony upał, szalona duchota, a ten spory tłum jeszcze to pogarsza. W przeciwieństwie do dygnitarzy, te gapulce nie ubrały się w nic przyzwoitego, a choć w dżinsach, szortach i rybaczkach może nie jest im najwygodniej w tym powietrzu jak mokra szmata, to Lisey i tak im zazdrości, wystawiona tłumowi na pokaz, smażąc się w skwarze popołudnia Tennessee. Już samo stanie w tych ciuchach, najlepszych na upał, jest stresem; zastanawia się, czy na jasnobrązowym lnianym topie, który osłania koszulkę z niebieskiego stylonu, nie pojawiły się ciemne plamy potu. Włożyła

świetny stanik na upał, a jednak wgrzyza się jej w cycki po bokach jak jasna cholera. Piękne dni, skarbiemój.

Tymczasem Scott wciąż balansuje na jednej nodze, a jego włosy, z tyłu za długie - trzeba je natychmiast obciąć, Lisey wie, że Scott patrzy w lustro i widzi gwiazdę rocka, ale ona widzi tylko smerdolonego łązęgę z piosenki Woody'ego Guthriego - powiewają na nieczęstych dmuchnięciach rozpalonego wiatru. Scott robi za dobrego kumpla, a fotograf lata dokoła niego. Cholernie dobry kumpel. Z lewej strony stoi gość nazwiskiem Tony Eddington, który napisze o tej imprezce do jakiegoś studenckiego pisemka, a po prawej pełniący obowiązki gospodarza, filar wydziału literatury angielskiej, nazwiskiem Roger Dashmiel. Dashmiel należy do tych mężczyzn, którzy wydają się starsi niż są, nie tylko dlatego, że tak wyłysieli i urosło im takie brzuszysko, ale ponieważ uparli się obnosić z taką prawie duszącą godnością. Nawet ich żarty wydają się Lisey jak czytane na głos paragrafy polisy ubezpieczeniowej. A jeszcze gorsze jest, że Dashmiel nie lubi jej męża. Lisey wyczuła to z mety (to łatwe, bo mężczyźni na ogół go lubią) i dzięki temu zyskała coś, na czym mogła zogniskować swój niepokój. Bo jest niespokojna, bardzo. Usiłowała sobie wmówić, że to przez duchotę i zbierające się na zachodzie chmury, które zapowiadają gwałtowną popołudniową burzę z piorunami, a może nawet tornado, że to kwestia spadającego barometru. Ale barometr nie spadł dziś rano za kwadrans siódma w Maine, kiedy wstała, był to piękny letni ranek, słońce jeszcze nisko nad horyzontem iskrzyło się w trylionach kropelek rosy na trawie między domem i pracownią Scotta. Na niebie ani chmurki, co stary Dandy Debusher nazwałby „dzionkiem jak jajeczko na szyneczce”. A jednak w chwili, kiedy jej stopa dotknęła dębowych desek podłogi w sypialni, a jej myśli ruszyły w podróż do Nashville - wyjazd na lotnisko w Portland o ósmej, start delta za dwadzieścia dziesiąta - serce zapadło się jej ze strachu, a pusty po śnie żołądek, zwykle spokojny, zapienił się nieuzasadnionym strachem. Przyjęła te objawy z zaskoczoną trwogą, bo zwykle lubiła podróżować, zwłaszcza ze Scottem: oboje siedzieli sobie przyjaźnie ramię w ramię, on ze swoją książką, ona ze swoją. Czasami on coś jej czytał, czasami ona mu coś vicewersnęła. Czasami go wyczuwała, podnosiła oczy i napotykała jego wzrok. Jego poważne spojrzenie. Jakby do tej pory pozostała dla niego zagadką. Tak, a czasami zdarzała się turbulencja i to też lubiła. Czuła się jak na karuzeli w wesołym miasteczku w Topsham, kiedy ona i jej siostry były małe, jak te wirujące filiżanki i wagoniki zjeżdżające po rusztowaniach. Scottowi też nie przeszkadzały te turbulencyjne interludia. Pamiętała jeden wyjątkowo wariacki lot do Denver - silne wichry, pioruny, mały zabawkowy samolocik z linii



lotniczych Trupia Główna, miotany po całym smerdolonym niebie - i jak Scotty wręcz skakał w fotelu, jak chłopczyk, który musi do łazienki, z tym wariackim uśmiechem. Nie, Scott bał się tylko tych podróży, które sprawnie zwijały go w dół, czasami w środku nocy. Czasami opowiadał - nawet z szerokim uśmiechem - o tym, co można zobaczyć na ekranie zgaszonego telewizora. Albo w kieliszku, jeśli się go przechylał w odpowiedni sposób. Bardzo się bała takiego gadania. Bo to było szaleństwo i ponieważ mniej więcej wiedziała, o co mu chodzi, choć nie chciała. Więc to nie spadający barometr ją niepokoił i na pewno nie perspektywa znalezienia się w kolejnym samolocie. Ale w łazience, kiedy wyciągnęła rękę do włącznika nad umywalką, co przez calutkie osiem lat, które minęło im w Sugar Top Hill, wykonywała bez żadnego incydentu - wierzchem dłoni trąciła szklankę z ich szczoteczками i zrzuciła ją na kafelki, gdzie roztrzaskała się na, z grubsza licząc, trzy tysiące głupich kawałków.

- By cię trzasło, jasna ciasna! - wrzasnęła, przerażona i wściekła na siebie za to, że... bo nie wierzyła w wieszczce znaki, ani Lisey Landon, żona tego pisarza, ani lalunia Lisey Debusher z Sabbathus Road w Lisbon Falls. Wieszczce znaki są dla irlandzkich bidoków.

Scott, który właśnie wrócił do sypialni z dwiema filiżankami kawy i talerzem tostów z masłem, zatrzymał się jak wryty.

- Co stłukłaś, skarbiemój?

- Psińco - warknęła dziko Lisey i wówczas trochę się zdumiała. To było powiedzonko babuni Debusher, a Babunia D z całą pewnością wierzyła w wieszczce znaki, tyle że starowina kopnęła w kalendarz, kiedy Lisey miała ledwie cztery lata. Czy możliwe, że mogła ją pamiętać? Jeśli tak, to kiedy stała wpatrzona w okruchy szklanki, zaświtała jej właściwa wymowa tego znaku, przyszyła do niej wraz ze zdartym tytoniowym głosem Babuni D... tak jak wraca teraz, gdy patrzy na swojego męża, dobrego kumpla w najłżejszej z lekkich letnich kurtek (którą i tak zaraz przepoci pod pachami).

- Szkło zbite ranem, wieczór serce złamane.

To było powiedzenie Babuni D, a jakże, zapamiętane przez przynajmniej jedną małą dziewczynkę, zmagazynowane jeszcze zanim Babunia D padła trupem na podwórku, z charkotem w gardle, ziarnem w fartuchu i węzełkiem z pośladem na ramieniu.

No.

To nie upał, podróż ani ten cały Dashmiel, który wystąpił jako pełniący obowiązki, bo dziekan wydziału literatury wylądował poprzedniego dnia na sali operacyjnej z woreczkiem żółciowym do usunięcia w trybie pilnym. To ta rozbita... smerdolona... szklanka w połączeniu z powiedzonkiem od dawna nieżyjącej irlandzkiej staruszki. A dowcip polegał na tym (jak później zauważył Scott), że tak niewiele wystarczyło, żeby ją doprowadzić do ostateczności. Żeby postawić ją w stan zapięcia pasów, albo przynajmniej półzapięcia.

Czasami, powie jej niedługo potem, leżąc w szpitalu (ach, tak łatwo sam mógł kopnąć w kalendarz i te bezsenne nocne rozmyślenia by się skończyły), powie jej tym nowym, szmerzącym, wysiłonym głosem: czasami dość to dość. Jak mówi przysłowie.

A ona dokładnie zrozumie, o co mu chodzi.

#### 4

Roger Dashmiel ma dziś własne kłopoty, o czym Lisey wie, choć przez to nie lubi go bardziej. Jeśli istniał konkretny scenariusz ceremonii, profesor Hegstrom (ten od ataku woreczka żółciowego) był zbyt otępiały po operacji, żeby powiedzieć Dashmielowi czy komukolwiek, gdzie go szukać. Dlatego Dashmiel miał do dyspozycji niecały dzień i garstkę gości, żeby przygotować powitanie pisarza od pierwszego wejrzenia budzącego w nim antypatię. Kiedy mała grupka dygnitarzy wyruszyła z Inman Hall w krótki, lecz przeraźliwie upalny marsz na miejsce budowy Biblioteki Shipmana, Dashmiel wyjawiał Scottowi, że w dużej mierze muszą improwizować. Ten z dobrodusznym uśmiechem wzruszył ramionami. Nie miał z tym najmniejszego problemu. Dla Scotta Landona improwizacja była sposobem na życie.

- Przedstawię pana - powiedział mężczyzna, którego Lisey z czasem zaczęła nazywać południową trzęsidupą. Działo się to w drodze przez spieczonony, rozmigotany splachetek ziemi, na którym miała stanąć nowa biblioteka (w dashmielańskim słowo to brzmi „bibliątka”). Fotograf wysłany z misją unieśmiertelnienia tej chwili pisał niezmiernie wokół nich, trząskając fotkę za fotką, zajęty jak komar. Lisey widziała przed sobą prostokąt świeżej brązowej ziemi, jakieś trzy metry na półtora, obliczyła, przywiezionej jeszcze tego ranka, i już blednącej na słońcu. Nikomu nie przyszło na myśl, żeby ją osłonić baldachimem i ten soczysty brąz już zaczął

nabierać spopielalego odcienia.

- Ktoś musi - odparł Scott.

Nie miał na myśli nic złego, ale Dashmiel nadał się, jakby spotkała go jakaś niezасłużona krzywda. Potem, ze świszczącym westchnieniem, podjął:

- Po prezentacji nastąpią ąklaski...

- Jak dzień po nocy - wymamrotał Scott.

- ...a pan pąwie słową, mążę dwa - dokończył Dashmiel. Poza spieczonym, stęsknionym biblioteki pustkowieм w słonecznym żarze migotał świeżо wyasfaltowany parking, czarna gładź i bijące po oczach żółte linie. Lisey widziała fantastyczne zmarszczki na nieistniejącej wodzie po jego drugiej stronie.

- Z największą przyjemnością - potwierdził Scott.

Jego niezmaćona dobroduszość jakby martwiła Dashmiela.

- Mam nadzieję, że nie będzie pan chciał dużą mówić pądczas cęremonii - powiadomił Scotta, zbliżając się do ogrodzonego terenu. Nie wpuszczano na niego ludzi, ale tłum był tak wielki, że sięgał niemal parkingu. Jeszcze większy podążał za Dashmielem i Landonami z Inman Hall. Wkrótce się spotkają, a Lisey - która na ogół nie bała się tłumów bardziej niż turbulencji w powietrzu - to także się nie spodobało. Przyszło jej do głowy, że taka masa ludzi na tym upale wyssie z powietrza całe powietrze. Głupi pomysł, ale...

- ągromnie gorącą, nawet jak na Nashville w sierpniu, nie pąwiesz, Tąne?

Tony Eddington skinął posłusznie głową, ale zachował milczenie. Na razie odezwał się tylko raz, przedstawiając niespożytego rozpląsanego fotografa jako Stefana Queenslanda z „American” w Nashville - a także absolwenta uniwersytetu, rocznik ‘85.

- Zapewne pomoże mu pan, na ile się da - powiedział Tony Eddington do Scotta, kiedy ruszyli.

- Zakończy pan swąję przemówienie - mówił Dashmiel - i znowu będą ąklaski. Pątem pan...

- Scott.

Dashmiel rzucił mu trupi uśmiech, dostrzegalny tylko przez chwilę.

- Pątem wikąpięsz tę pierywszę, bardzo istotną szunflę ziemi.

Wikąpięsz? Pierywszę? Szunflę?, zastanawiała się Lisey, po czym przyszło jej do głowy, że Dashmiel z dużym prawdopodobieństwem może mówić: „tę pierwszą, bardzo istotną szunflę ziemi.”

- Jak dla mnie, pomysł rewelka - odpowiedział Scott i tylko na tyle mu starczyło czasu, bo dotarli na miejsce.

## 5

Być może taki osad pozostawiła zbita szklanka - to omenowate przecucie - ale poletko spulchnionej ziemi wygląda w oczach Lisey jak grób - rozmiaru XL, dla olbrzyma. Dwa tłumy zlewają się w jeden, otaczają ich i robi się gorąco jak w przypiekarniku. Strażnik uniwersytecki stoi na każdym rogu ogrodzenia z ozdobnego aksamitnego sznura, pod którym Dashmiel, Scott i „Tąne” Eddington przeszli, nisko przykucając. Queensland, fotograf, płąsa niezmordowanie z wielkim nikonem przed twarzą. Drugi Weegee, myśli Lisey i uświadamia sobie, że mu zazdrości. Jest tak swobodny, śmiga w tym skwarze jak komar; ma dwadzieścia pięć lat i jeszcze mu nie wisi. Jednak Dashmiel popatruje na niego z rosnącym zniecierpliwieniem, a Queensland udaje, że go nie widzi, dopóki nie zrobi dokładnie tego zdjęcia, po które specjalnie przyszedł. Lisey przypuszcza, że chodzi o samego Scotta, z nogą na tej głupiej srebrnej łopacie, z włosami rozwianymi na wietrze. W każdym razie Drugi Weegee w końcu opuszcza wielki aparat i cofa się na skraj tłumy. I właśnie wtedy, odprowadzając Queenslanda trochę tęsknym spojrzeniem, Lisey po raz pierwszy spostrzega szaleńca. Ma to spojrzenie, jak je później nazwie miejscowy reporter, „Johna Lennona w ostatnich dniach romansu z heroiną - puste, czujne oczy dziwnie i niepokojąco kontrastujące z dziecinnie tęskną twarzą”.

W tamtej chwili Lisey zauważa niewiele więcej niż zmierzwiłone jasne włosy. Niespecjalnie ją dziś wciąga obserwowanie ludzi. Chce, żeby się to wszystko już skończyło, żeby mogła znaleźć łazienkę na wydziale literatury po drugiej stronie parkingu i wyciągnąć zbuntowaną bieliznę z rowka w tyłku. I musi siusnąć, ale teraz to mało istotne.

- Panie i panowie! - odzywa się Dashmiel nośnym głosem. - Z ągramną przyjemnością

przedstawiam pana Scotta Landona, laureata Nagrody Pulitzera za „Relikwie” i nagrody National Book Award za „Córkę wojaka”. Przybył dą nas aż z Maine ze swą piękną żoną Lisą, by zainauguować budowę - tak, wreszcie się stała - naszej własnej biblioteki Shipmana. Aż Scott Landon, powitajmy go jak należy!

Tłum natychmiast zaczyna bić brawo, con brio. Piękna żona dołącza się, klepie w ręce, patrzy na Dashmiela i myśli: dostał National Book Award za „Córkę wodniaka”. Wodniaka, nie wojaka. I chyba o tym wiesz. Chyba umyślnie to posmerdoliłeś. Dlaczego go nie lubisz, ty mały człowieczku?

Potem przypadkiem spogląda w inną stronę i tym razem naprawdę dostrzega Gerda Allena Cole'a stojącego tuż dalej, z tymi bajecznymi jasnymi włosami burzącymi się nad czołem, z rękawami za dużej na niego białej koszuli, podwiniętymi aż do mikrych bicepsów. Koszula jest wypuszczona na spodnie, jej poły zwisają niemal do wytartych kolan dżinsów. Jest obuty w robociarskie bucioro ze sprzączkami z boku. Od samego patrzenia robi się gorąco. Zamiast bić brawo, Blondas stoi z rękami złożonymi w dość pretensjonalny sposób i uśmiecha się z upiorną słodyczą, a wargi poruszają mu się lekko, jak w bezgłośnej modlitwie. Wpił się spojrzeniem w Scotta. Lisey natychmiast go rozpoznaje. Istnieje taki gatunek facetów - niemal zawsze to faceci - których nazywa Kosmicznymi Kowbojami Scotta. Tacy zawsze chcą ucapić go za ramię i powiadomić, że pojęli zaszyfrowane wiadomości zawarte w powieści; rozumieją, że jego książki to naprawdę przewodniki w drodze do Boga, Szatana czy Słowa Gnostycznego. Kosmiczni Kowboje mogą mieć świra na temat scjentologii, numerologii czy (w jednym wypadku) kosmicznych kłamstw Brithama Younga. Czasami chcą pogadać o innych światach. Dwa lata temu Kosmiczny Kowboj przyjechał stopem z Teksasu do Maine, żeby pogawędzić ze Scottem o tym, co nazywał pozostałościami. Najczęściej spotyka się je, oznajmił, na niezamieszkałych wyspach na południowej półkuli. Wiedział, że to o nich Scott pisał w „Relikwiach”. Pokazał mu podkreślone słowa, które o tym świadczyły. Lisey zdenerwowała się przez niego - w oczach miał taką kamienną nieobecność - ale Scott pogadał z nim, dał mu piwa, podyskutował trochę o monolitach z Wyspy Wielkanocnej, wziął od niego parę ulotek, podpisał mu nowy egzemplarz „Relikwi” i odesłał do domu, całego szczęśliwego. Szczęśliwego? Tańczącego w powietrzu. Kiedy Scott mocno zapiął pasy, był zadziwiający. Żadne inne słowo nie jest tu odpowiednie.

Myśl o prawdziwej przemocy - o tym, że Blondas zamierza odstawić numer a la Mark David

Chapman - w ogóle nie zaświtała w głowie Lisey. Mój umysł po prostu tak nie działa, mogłaby powiedzieć. Po prostu nie spodobało mi się, że tak rusza ustami.

Scott dziękuje za oklaski - i parę wrzasków - tym scottolandonowym uśmiechem, który pojawia się na milionach okładek, ciągle nie zdejmując stopy z tej głupiej łopatki, z wolna wbijającej się w sprowadzoną ziemię. Pozwala wybrzmieć oklaskom przez dziesięć czy piętnaście sekund, na nosa, a nos go rzadko zawodzi, po czym daje znak ręką. I cisza. Pyk. Nieźle, choć trochę strasznie.

Kiedy zaczyna mówić, jego głos nie ma takiej siły, jak Dashmiela, ale Lisey wie, że nawet bez mikrofonu czy megafonu na baterie (brak go tu dzisiaj, pewnie przez czyjeś niedopatrzenie), jego głos dotrze do ostatnich rzędów tłumu. A tłum wyęży słuch, żeby nie uronić ani słowa. Sławny Mąż jest wśród nich. Myśliciel i Pisarz. A teraz rzuca przed nich perły swej mądrości.

Perły przed wieprze, myśli Lisey. W dodatku spocone wieprze. Ale czy ojciec nie powiedział jej kiedyś, że świnię się nie pocażą?

Naprzeciwko niej Blondas starannie odgarnia wzburzone włosy z pięknego białego czoła. Dłonie ma równie białe jak to czoło i Lisey myśli: oto świnka, która dużo siedzi w domu. Świnka-domatorka, no bo czemu nie? Ma tyle dziwnych pomysłów do przemyślenia.

Przestępuje z nogi na nogę i jedwabna bielizna prawie że skrzypi w rowku jej tyłka. Zwariować można! Znowu zapomina o Blondasie, usiłując oszacować, czy nie mogłaby... kiedy Scott przemawia... oczywiście bardzo dyskretnie...

Dobra Mama odzywa się do niej. Kwaśno. Trzy słowa. Tonem nieznoszącym dyskusji. *Nie, Lisey. Czekaj.*

- Żeby miał wygłosić kazanie, to nie - mówi Scott, a ona rozpoznaje sposób mówienia Gully'ego Fyle'a, głównego bohatera książki „Gwiazdy, moje przeznaczenie”. Jego ulubionej powieści. - Za gorąco na kazania.

- Scotty, teleportuj nas - wrzeszczy radośnie ktoś z piątego czy szóstego rzędu na parking. Tłum śmieje się i wiwatuje.

- Nie mogę, bracie - odpowiada Scott. - Transportery się zepsuły i skończyły się kryształki litu.

Tłum, zaskoczony ripostą tak samo jak dowcipem (Lisey słyszała go w przybliżeniu z pięćdziesiąt razy), wydaje ryk aprobaty i klaszcze. Blondas naprzeciwko uśmiecha się kurczowo, bez słodyczy, i ściska długimi palcami prawej ręki delikatny lewy nadgarstek. Scott zdejmuje nogę z łopatki, nie jakby się zniecierpliwiał, ale jakby - przynajmniej w tej chwili - znalazł dla niej inne zastosowanie. I wygląda na to, że faktycznie. Lisey przygląda się, nie bez fascynacji, bo to jest Scott w najlepszym wydaniu, najwyższych lotów.

- Jest rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty ósmy i świat się zmierzcha - mówi. Bez trudu wsuwa krótkie stylisko ceremonialnej łopatki w luźno zwiniętą dłoń. Ostrze raz poraża oczy Lisey, potem na ogół kryje się za rękawem letniej kurtki Scotta. Smukły drewniany trzonek służy jako wskazówka, odhaczająca kolejne kłopoty i tragedie w powietrzu przed nim. - W styczniu eksplozja Challengeera, cała siódemka na pokładzie nie żyje. Kiepskie wiadomości w zimny poranek, dzieci. Powinni odwołać ten lot.

W styczniu co najmniej trzydzieści osób umiera w dniu wyborów na Filipinach. Ferd i Meldy Marcosowie, ta para jajcarzy, przyskają do Guam, a potem na Hawaje. Nikt nie wie, ile par butów zabrała ze sobą Imelda.

Z tłumu unosi się fala śmiechu. Roger Dashmiel jest zgrzany i rozdrażniony tym niespodziewanym serwisem aktualności, ale Tony Eddington w końcu zaczyna notować.

- W wyniku awarii reaktora atomowego w Czernobylu giną tysiące osób, a chorują dziesiątki tysięcy.

Epidemia AIDS: tysiące ofiar śmiertelnych, a chorych... nie wiadomo, prawda? Setki tysięcy? Miliony?

Świat się zmierzcha. Zbliża się krwawy przypływ pana Yeatsa.

Spogląda w dół, gdzie nie ma nic prócz szarzejącej ziemi, a Lisey nagle się boi, że to zobaczył, to coś z nieskończonym, plamistym, srokatym bokiem, że zaraz odejdzie, może już się zbliża do krawędzi, której się boi (a ona boi się jej tak samo, jak on). Zanim jej serce nabierze przyspieszenia, Scott podnosi głowę, szczyrzy się jak chłopak na jarmarku i wysuwa trzonek łopatki przez pięść aż do połowy długości. To efektowny ruch króla bilardu i ludzie z pierwszych rzędów rozlega się gremialne: ooooo. Ale Scott nie skończył. Trzymając łopatkę przed sobą zwinnie obraca trzonek między palcami, kręci z niewiarygodną prędkością. To oszałamiające jak

manewry tamburmajora z buławą - bo srebrne ostrze migocze w słońcu - i uroczko zaskakujące. Lisey jest jego żoną od 1979 roku, a nie miała pojęcia, że ma w repertuarze taki wyjątkowy superruch. (Ile lat trzeba się tego uczyć, zastanawiała się dwa dni później, leżąc w nocy samotnie w pokoju motelowym poniżej krytyki i słuchając psów szczekających pod rozpalonym pomarańczowym księżycem, zanim sam głupi ciężar czasu wreszcie wyssie przysięgę z małżeństwa? Ile trzeba mieć szczęścia, żeby miłość trwała dłużej niż twoje dni?) Srebrna blacha wirującej łopatki śle sygnały świetlne: pobudka! pobudka! w otępiała, lepką od potu taflę tłumu. Mąż Lisey staje się nagle Scottem Cwaniaczkiem, a ona nigdy z większą ulgą nie powitała tego kompletnie szemranego uśmiešku typu „skarbie, jestem debeściak”. Już ich podbił, teraz będzie im wciskać w gardła pełen haust wątpliwego lekarstwa na wszystkie bóle, z którym zamierza wyprawić ich do domu. I pewnie to kupią, mimo tego upalnego sierpniowego popołudnia i w ogóle. Kiedy Scott jest taki, mógłby sprzedać lodówkę Inuitom, jak mówi przysłowie... i niech Bóg błogosławi ten językowy staw, do którego się wszyscy schodzimy, by się napić, jak niewątpliwie dodałby Scott (i dodał).

- Ale jeśli każda książka jest małym światełkiem w tych ciemnościach - a tak sądzę, muszę tak sądzić, nawet jeśli to wieśniactwo, bo przecież sam piszę, no nie? - to każda biblioteka jest fantastycznym, odlotowym, wiecznie płonącym ogniskiem, wokół którego dziesięć tysięcy ludzi może stanąć i ogrzać się o każdej porze dnia i nocy. Nie ma tu Fahrenheita czterysta pięćdziesiąt jeden. Może prędzej Fahrenheit cztery tysiące, bo nie mówimy o kuchenkach gazowych, mówimy o wielkich starych piecach mózgu, rozpalonych do czerwoności hutniczych piecach rozumu. Dziś celebруем budowę takiego wspaniałego ogniska, a ja mam zaszczyt brać udział w tej uroczystości. Tutaj spluwamy niepamięci w pysk i kopiemy ignorancję w starą pomarszczoną dupę. Hej, panie fotograf!

Stefan Queensland podrywa się z uśmiechem.

Scott, także z uśmiechem, mówi:

- Zrób jedno takie. Ci na górze mogą go nie wykorzystać, ale założę się, że w twoim portfolio będzie ładnie wyglądać.

Scott unosi ozdobne narzędzie, jakby znowu chciał nim zakręcić. Tłum już z nadzieją otwiera gęby, ale tym razem Scott tylko się droczy. Lewą rękę przesuwając nisko nad ostrze, wbija łopatkę w ziemię, głęboko, zanurza jego palące lśnienie. Odrzuca na bok piach i woła:



- Ogłaszam, że biblioteka Shipmana rozpoczęła godziny pracy!

Przy oklaskach, które buchają teraz, tamte poprzednie brzmiały jak grzecznościowe klepu-klepu, które się słyszy na szkolnych meczach tenisowych. Lisey nie wie, czy młody pan Queensland uchwycił pierwsze ceremonialne wbicie łopatkę w ziemię, ale kiedy Scott wznosi tę głupią srebrną łopatkę ku niebu, jak jakiś olimpijski bohater, Queensland z całą pewnością to dokumentuje, śmiejąc się zza aparatu. Scott wytrzymuje chwilę w tej pozycji (Lisey przypadkiem zerka na Dashmiela i przyłapuje owego dżentelmena w trakcie przewracania oczami do pana Eddingtona - Tąnego). Potem opuszcza łopatkę w pozycji „prezentuj broń” i tak nieruchomieje, uśmiechnięty. Na czole i policzkach wystąpiły mu drobne paciorki potu. Oklaski zaczynają cichnąć. Tłum uważa, że to już koniec. Lisey uważa, że Scott dopiero wrzuca drugi bieg.

Kiedy już wie, że znowu go słuchają, zabiera się do kopania aż furczy.

- To za Dzikiego Billa Yeatsa! - krzyczy. - Za walniętego świra! A to za Poego, znanego także jako Eddie z Baltimore! To za Alfie Bestera, a jeśli go nie czytaliście, to się wstyďte! - Jest zdyszany, a Lisey zaczyna się trochę denerwować. Tak gorąco. Usiłuje sobie przypomnieć, co jadł na obiad - coś ciężkiego czy lekkiego?

- A to... - Wbija łopatkę w dość okazałą dziurę i wygarnia ostatnią porcję ziemi. Przód jego koszuli pociemniał od potu. - Coś wam powiem, może za tego, kto napisał waszą pierwszą dobrą książkę? Mówię o tej książce, która wśliznęła się pod was jak latający dywan i uniosła z ziemi. Wiecie, o czym mówię?

Wiedzą. Świadczy o tym każda twarz, zwrócona do niego twarzą w twarz.

- Tę książkę - gdyby świat był idealny - wypożyczilibyście w pierwszej kolejności, kiedy biblioteka Shipmana w końcu otworzy swe podwoje. To za jej autora. - Po raz ostatni potrząsa zwycięsko łopatką i odwraca się do Dashmiela, który powinien być zadowolony z tego występu - poproszony o improwizację Scott zagrał jak wirtuoz - a jest tylko spocony i wkurzony.

- Chyba już skończyliśmy - oświadcza Scott i chce oddać łopatkę Dashmielowi.

- Nię, to dla pana - gęga Dashmiel. - Jako pamiątka, jako wyraz naszej wdzięczności. Wraz z czekiem, naturalnie. - Kurczowy uśmiech pojawia się i znika w konwulsyjnym grymasie. - Mążę już pójdziemy i zaczerpnijemy łyk klimatyzacji?

- Ależ oczywiście - mówi Scott ze zdziwieniem, a potem przekazuje łopatkę Lisey, tak jak

przekazywał jej tyle niechcianych pamiątek przez te dwanaście lat swojego gwiazdorstwa: od ceremonialnych wioseł i zamkniętych w plastikowych kostkach kapeluszy bostońskich Red Soksów po maski komedii i tragedii... ale głównie komplety ołówków i długopisów. Masę ołówków i długopisów. Waterman, Scripto, Scheffer, Mont Blanc, do wyboru, do koloru. Lisey spogląda na lśniącą srebrną płaszczyznę, równie zdziwiona jak jej ukochany (wciąż jest jej ukochanym). Parę ziaren piasku osiadło na wygrawerowanych literach, układających się w napis: **INAUGURACJA BIBLIOTEKI SHIPMANA**, i Lisey je zdmuchuje. Gdzie wyląduje ten nieprawdopodobny przedmiot? Tego lata 1988 roku pracownia Scotta jest nadal w budowie, choć adres jest już aktualny, a Scott zaczął gromadzić rzeczy w zagrodach i pomieszczeniach na parterze stodoły. Na wielu tekturowych pudełkach nabazgrał **SCOTT! PIERWSZE LATA!** wielkimi ruchami czarnego flamastra. Najprawdopodobniej łopata wyląduje właśnie tam, i ten blask zmarnuje się w ciemności. Może ona sama ją tam umieści i napisze **SCOTT! ŚRODKOWE LATA!** w ramach żartu... albo nagrody. Te głupie niespodziewane prezenty Scott nazywa...

Ale Dashmiel już odchodzi. Bez słowa - jakby czuł obrzydzenie i postanowił mieć z tym jak najmniej wspólnego - tratuje prostokąt świeżej ziemi, ominąwszy dołek, który Scott ostatnią napelnioną łopatą zdołał awansować do rangi dziury. Obcasami lśniących czarnych butów typu „jestem wielkim asystentem i się pnę po szczeblach” głęboko grzęzną w ziemi z każdym ciężkim krokiem. Dashmiel musi walczyć o równowagę, a Lisey podejrzewa, że to go raczej nie usposabia przyjaźnie. Tony Eddington leci za nim, cały zamyślony. Scott zatrzymuje się na chwilę, jakby nie wiedział, co jest grane, ale też rusza, wślizguje się między swego gospodarza i chwilowego biografa. Lisey idzie za nimi, czego pragnęła z całego serca. Na moment zachwyił ją tak, że zapomniała o tym ornenowatym przeczuciu

*(szkło zbite ranem)*

Ale teraz wróciło

*(wieczór serce złamane)*

z całą mocą. Może dlatego wszystkie te szczegóły wydają się jej takie wyraźne. Jest pewna, że kiedy dotrze do klimatyzacji. I kiedy pozbędzie się z tylnego rowka tej uwierającej szmaty, świat odzyska normalną perspektywę.

Już prawie po wszystkim, tłumaczy sobie i - zabawne bywa to życie - dokładnie w tym

momencie dzień zaczyna się wykolejać.

Uniwersytecki policjant, który jest starszy od wszystkich tu obecnych (osiemnaście lat później dzięki fotografii Queenslanda zidentyfikuje go jako kapitana S. Heffernana), unosi aksamitny sznur po drugiej stronie ceremonialnego prostokąta ziemi. Lisey zauważa tylko, że ma na koszuli khaki coś, co jej mąż nazwałby „bombastrasznie ogeroomnym egzemplarzem dziury”. Jej mąż i obaj jego przybocznicy pochylają się pod sznurem ruchem tak zsynchronizowanym, jakby go ćwiczyli.

Tłum sunie przez parking tuż za egzekutywą... z jednym wyjątkiem. Blondas nie sunie przez parking. Blondas stoi na parkingu, przy spłachetku ziemi. Parę osób wpada na niego i jest zmuszony jednak się cofnąć, na tę spieczoną suchą ziemię, gdzie około 1991 roku stanie biblioteka Shipmana (o ile można wierzyć przysięgom głównego budowlanca). Potem zaczyna brnąć pod prąd, jego dłonie się rozplatają, dzięki czemu może odepchnąć z drogi dziewczynę po lewej, a potem chłopaka z prawej. Nadal porusza ustami. Lisey początkowo myśli, że odmawia modlitwę, a potem dociera do niej urywany bełkot - jak kiepskie naśladownictwo Jamesa Joyce'a - i po raz pierwszy ogarnia ją prawdziwy strach. Nie wie, dlaczego, dziwne niebieskie oczy Blondasa są wbite w jej męża, w niego i nikogo innego, ale Lisey wie, że nie chodzi mu o dyskusję o pozostałościach ani zaszyfrowanych religijnych podtekstach powieści Scotta. To nie jest zwyczajny Kosmiczny Kowboj.

- Dzwony kościelne spadają na ulicę Aniołów - mówi Blondas, mówi Gerd Allen Cole, który jak się okaże, przez prawie cały siedemnasty rok życia bawił w kosztownym szpitalu psychiatrycznym w Wirginii, skąd go zwolniono jako wyleczonego i zdolnego do życia w społeczeństwie. Lisey słyszy każde słowo. Tną rosnący zgielek tłumu, te szумы rozmów, jak nóż jakieś lekkie, słodkie ciasto. - Ten bebechowy dźwięk, jak deszcz na blaszanym dachu! Brudne kwiaty, brudne i słodkie, tak brzmią dzwony kościelne w mojej piwnicy, jakbyś nie wiedział!

Ręka, złożona jakby z samych długich białych palców, sięga pod połę długiej białej koszuli i Lisey dokładnie wie, co się tu dzieje. Informacja przybywa do niej w skondensowanej postaci obrazów telewizyjnych

(*George Wallace Arthur Bremner*) dzieciństwa. Spogląda na Scotta, ale mąż rozmawia z Dashmielem. Ten spogląda na Stefana Queenslanda, zirytowany grymas na jego twarzy świadczy, że ma już Dość! Fotografów! Jak! Na! Jeden dzień! Piękne dzięki! Queensland patrzy w wizjer,

robi jakieś poprawki, a Anthony „Tępe” Eddington pisze w notesie. Lisey wypatruje ochroniarza, tego w uniformie khaki i bombastrasnie ogeroomnym egzemplarzu dziury; ten popatruje na tłum, ale nie na tę smerdoloną część, co trzeba. Niemożliwe, żeby widziała jednocześnie ich wszystkich i jeszcze Blondasa, ale tak jest, naprawdę, widzi nawet, jak usta Scotta formują słowa „uwagam, że poszło całkiem nieźle”, co stanowi pytanie kontrolne, jakie często rzuca po takich uroczystościach i o Boże, o Jezusie Maryjo i Józiu Cieślo, Lisey usiłuje krzyknąć imię Scotta, żeby go ostrzec, ale jej gardło się zaciska, staje się wysuszoną na pył skarpetą, nie może z niego nic wycisnąć, a Blondas podnosi połą tej swojej wielkiej białej koszuli, a pod spodem są puste szlufki i płaski nieowłosiony brzuch, brzuch pstrąga, a na białej skórze spoczywa rękojeść broni, którą on chwytą i słyszy, jak mówi, docierając do Scotta od prawej strony: „Jeśli to zamknie usta dzwonom, zadanie wykonane. Przepraszam, tato”.

*Przepraszam, tato.*

Lisey rzuca się do przodu, albo przynajmniej próbuje, ale przydarza się jej bombastrasnie ogeroomny problem z ołowianymi nogami i czyimiś ramionami przed nią - studentki o budowie zapaśniczki, z włosami związanymi szeroką białą jedwabną wstążką z napisem NASHVILLE, niebieskie litery z czerwoną obwódką (jak to możliwe, że wszystko dostrzega), a Lisey odpycha ją ręką trzymającą srebrną łopatkę, a studentka skrzeczy „Ej!”, ale brzmi to wolniej i rozwlekłej, jakby to słowo nagrano na 45 obrotach, a puszczone na 33 1/3 albo nawet 16. Cały świat zmienia się w płynną smołę, a studentka-zapaśniczka z NASHVILLE we włosach przez całą wieczność zasłania jej Scotta; Lisey widzi tylko ramię Dashmiela. I Tony’ego Eddingtona, wertującego ten swój cholerny notes.

Potem studentka wreszcie odsłania widok, i kiedy Dashmiel i jej mąż znowu stają się widoczni, Lisey spostrzega, że nauczyciel angielskiego podrywa głowę, a jego ciało przechodzi w tryb alarmowy. Wszystko dzieje się w ułamku chwili. Lisey widzi to, co Dashmiel. Widzi Blondasa z bronią (później okaże się, że to ladysmith kaliber 22, made in Korea, zakupiony podczas garażowej wyprzedaży w South Nashville za trzydzieści siedem dolarów) wycelowaną w jej męża, który wreszcie dostrzegł niebezpieczeństwo i zatrzymał się. W liseyowym czasie wszystko to dzieje się bardzo, bardzo powoli. Nie widzi kuli wylatującej z lufy dwudziestkidwójki - nie dokładnie - ale słyszy, jak Scott mówi, bardzo łagodnie, jakby rozciągnął te słowa na dziesięć czy nawet piętnaście sekund:

- Porozmawiajmy o tym, synu, dobrze?

A potem widzi kwiat ognia w lufie niklowanej broni, nierówne żółtobiałe płatki. Słyszy trzask - głupi, nieistotny, jakby ktoś strzelił z nadętej papierowej torby śniadaniowej. Widzi Dashmiela, tę południową trzęsidupę, który śmiga jak trzmiel na lewo. Widzi Scotta, chylącego się w tył. A jednocześnie jego broda unosi się do przodu. Połączenie obu ruchów jest dziwne i wdzięczne, jak baletowa pozycja. Z prawej strony letniej kurtki otwiera się czarna dziura.

- Synu, przecież tego szczerze nie chcesz robić - mówi Scott rozwlekłym głosem z liseyowego czasu i nawet w liseyowym czasie słyhać, że jego głos staje się z każdym słowem cieńszy, aż brzmi jak głos pilota testowego w komorze ciśnieniowej. A jednak Lisey uważa, że on nie wie, iż dostał. Jest niemal pewna. Jego kurtka rozchyła się jak brama, kiedy wyciąga rękę we władczym geście typu „natychmiast przestań”, a Lisey uświadamia sobie dwie rzeczy na raz. Po pierwsze, że koszula pod kurtką zrobiła się czerwona. Po drugie, że w końcu zdołała rzucić się do czegoś w rodzaju biegu.

- Muszę skończyć to ding-dong - mówi Gerd Allen Cole z całkowicie trwożną klarownością.

- Muszę skończyć z tym ding-dong dla frezji.

A Lisey nagle nabiera pewności, że kiedy Scott umrze, kiedy szkoda się stanie, Blondas albo się zabije, albo będzie udawać, że próbuje. Jednak na razie musi załatwić tę kwestię do końca. Kwestię literacką. Blondas lekko obraca nadgarstek, tak że dymiąca lufa ladysmitha kaliber 22 celuje w lewą stronę piersi Scotta; w liseyowym czasie ten ruch jest powłóczysty i powolny. Załatwił już płuco, teraz ustrzeli serce. Lisey nie może do tego dopuścić. Jeśli jej mąż ma mieć jakąkolwiek szansę, ten świrnięty morderca nie może wladować w niego więcej kul.

Gerd Allen Cole mówi, jakby z niej drwił:

- To się nie skończy, dopóki nie odejdiesz. To przez ciebie te wszystkie powtórki, staruszk. Jesteś piekłem, jesteś małpą, a teraz jesteś moją małpą!

To już najbliższe sensu ze wszystkiego, co powiedział, a zrozumienie jego słów daje Lisey dość czasu, by się zamachnąć srebrną łopatką - ciało wie, co ma robić, ręce już znalazły dobre miejsce na niespełna metrowym stylisku - i zadać cios. Ale wszystko dzieje się w ułamku chwili. Gdyby to były wyścigi końskie, na tablicy pewnie by się wyświetliło OGŁOSZENIE WYNIKÓW PO WYŚWIETLENIU NAGRANIA. Lecz kiedy w wyścigu mierzą się mężczyzna

z bronią i kobieta z łopatką, nie trzeba żadnego nagrania. W zwolnionym czasie Lisey widzi, jak srebrne ostrze uderza w broń i unosi ją w momencie, gdy ognisty kwiat rozkwita znowu (w tym czasie widać go tylko częściowo, a sama lufa jest ukryta za ostrzem łopaty). Widzi, jak metal ceremonialnej łopaty sunie do góry, a drugi pocisk bezboleśnie przesywa rozpalone sierpniowe niebo. Widzi, jak broń wylatuje w niebo. Jeszcze ma czas, żeby pomyśleć: „Ja smerdołę! A to mi się udało!”, po czym łopata wbija się w twarz Blondasa. Jego ręce nadal tam są (trzy długie szczupłe palce będą złamane), ale srebrne ostrze łopaty uderza z taką siłą, że łamie nos Cole’a, roztrzaskuje mu prawą kość policzkową i kość wokół wytrzeszczonego prawego oka, i dziewięć zębów na dodatek. Mafijny goryl z kastetem nie sprawiłby się lepiej.

A teraz - ciągle powoli, ciągle w liseyowym czasie - elementy nagrodzonej fotografii Stefana Queenslanda zaczynają się ustawiać na właściwych miejscach.

Kapitan S. Heffernan dostrzegł, co się dzieje za ledwie parę sekund po Lisey, ale także musiał rozwiązać problem zawalidrogi - w jego wypadku tłustego pryszczatego gościa w workowatych bermudach i podkoszulku z uśmiechniętą twarzą Scotta Landona. Kapitan Heffernan odpycha młodziaka jednym muskularnym ramieniem.

Do tego czasu Blondas już zdążył upaść na ziemię (i na pierwszy plan przyszłej fotografii) z wyrazem oszołomienia w spojrzeniu jednego oka i bryzgającą krwią w drugim. Krew bryzga także z dziury, która w dalekiej przyszłości może znowu stać się ustami. Samego zajścia Heffernan w ogóle nie widzi.

Roger Dashmiel, być może przypomniawszy sobie, że ma pełnić funkcję mistrza ceremonii, a nie starego śmigającego trzmiela olbrzyma, odwraca się do Eddingtona, swego protegowanego, i Landona, kłopotliwego gościa honorowego, w samą porę, by zająć pozycję jako wytrzeszczona, trochę nieostra twarz w tle przyszłego zdjęcia.

Tymczasem Scott Landon, w szoku, wychodzi z kadru nagrodzonej fotografii. Idzie, jakby nie czuł skwaru, wielkimi krokami zmierza ku parkingowi, bowiem tuż za nim stoi budynek Nelson Hall, gdzie mieści się wydział literatury angielskiej oraz jest miłosierna klimatyzacja. Idzie z zadziwiającą rzeźkością, przynajmniej na początku, a spora część tłumu rusza za nim, w większość nieświadoma, że cokolwiek zaszło. Lisey jest jednocześnie wściekła i niezaskoczona. W końcu ilu z nich zauważyło Blondasa z tym cipowatym pistolecikiem? Ilu rozpoznało w trzasku pękającej torby wystrzał? Dziura w kurtce Scotta mogłaby być smugą ziemi po

zaszczytnym obowiązku, a krew na koszuli jest na razie niewidoczna dla świata zewnętrznego. Przy wdechu Scott wydaje dziwny świst, ale ilu z nich to słyszy? Nie, teraz na nią się gapią - przynajmniej niektórzy - na walniętą babkę, która nagle nie wieździeć czemu dziabnęła jakiegoś gościa w twarz ceremonialną srebrną łąpatką. Niektórzy nawet się szczerzą, jakby to był według nich kolejny występ specjalnie na ich cześć, jak support Scotta Landona. Pierdolić ich, i pierdolić Dashmiela, i pierdolić tego mistrza szachowego refleksu, bystrego jak woda w kubie gliniarza z bombastrasznie ogeroomnym egzemplarzem dziury. Teraz obchodzi ją tylko Scott. Rzuca łąpatkę nie całkiem na oślep w prawo, a Eddington, ich Boswell na godziny, przejmuje ją. Gdyby jej nie przejął, oberwałby nią w nos. Potem, nadal w tym potwornym zwolnionym tempie, Lisey rzuca się za swoim mężem, którego rzeškość ulatnia się na gorącym jak przypiekarnik rozżarzoneym parkingu. Za jej plecami Tony Eddington całkiem ogłupiały wpatruje się bezmyślnie w srebrną łąpatkę jakby trzymał niewypał, licznik promieniowania albo pozostałość po jakiejś rasie, która opuściła Ziemię, a kapitan S. Heffernan podchodzi do niego w mylnym przekonaniu, kim musi być bohater tego dnia. Lisey tego nie widzi, nie dowie się o tym, dopóki osiemnaście lat później nie zobaczy zdjęcia Queenslanda, nie obesłoby jej to nawet, gdyby wiedziała, cała jej uwaga jest skupiona na mężu, który pada na parkingu na czworaki. Lisey usiłuje przewalczyć liseyowy czas, biec szybciej. I właśnie wtedy Queensland robi to swoje zdjęcie, uwieczniając połowę jednego buta na prawej krawędzi kadru, czego sobie nie uświadamia i nigdy nie uświadomi.

## 6

Laureat Nagrody Pulitzera, *enfant terrible*, który pierwszą swoją powieść wydał w młodym wieku dwudziestu dwóch lat, pada na ziemię. Scott Landon ląduje na deskach, jak to mówią.

Lisey robi gigantyczny wysiłek, żeby się wyrwać z tej wkurzającej czasomazi, w której ugrzęzła. Musi się uwolnić, bo jeśli nie dobiegnie do Scotta, zanim tłum go otoczy i oddzieli od niej, to ludzie pewnie zabiją go samą swoją troską. Samą duszącą miłością.

- Oooooon jest raaaaanny - drze się ktoś.

Lisey wrzeszczy na samą siebie w myślach

(zapnij pasy ZAPNIJ PASY ALE JUŻ)

i wreszcie to odnosi skutek. Maż znika. Nagle Lisey śmiga przed siebie jak strzała; świat składa się z hałasu, skwaru, potu i kłębiących się cielsk. Błogosławi tę błyskawiczną realność, a lewą ręką chwyta prawy pośladek i ciągnie, wrywa przeklętą bieliznę z rowka przeklętej dupy, no, przynajmniej jedno w tym niedobrym, zepsutym dniu się naprawiło.

Studentka w bluzce na ramiączkach, związanych w wielkie kłapciate kokardy, próbuje zablokować dostęp do Scotta, ale Lisey nurkuje pod jej łokciem i pada na asfalt. Nie czuje, że zdarła i poparzyła sobie skórę na kolanach, dopiero życzliwy sanitariusz w szpitalu zauważył to i da jej balsam, coś tak chłodzącego i kojącego, że aż popłyną łzy ulgi. Ale to później. Teraz równie dobrze mogłaby być ze Scottem sama na skraju rozprężonego parkingu, tej strasznej czarno-żółtej sali balowej, na której jest pewnie co najmniej pięćdziesiąt, a może i sześćdziesiąt stopni. Mózg usiłuje podsunąć jej wizję jajka smażącego się na starej żelaznej patelni Dobrej Mamy, ale Lisey broni się przed tym.

Scott patrzy na nią.

Spogląda w górę, twarz jest już biała jak kreda, tylko smoliste sińce pod orzechowymi oczami, i gruba nić krwi, wysnuwająca się z prawego kącika ust, po szczęce.

- Lisey! - Cienki, piskliwy głos z kabiny ciśnieniowej. - Ten gość naprawdę do mnie strzelił?

- Nie mów. - Kładzie mu rękę na piersi. Ta koszula, o Boże kochany, jest przemoczona krwią, a pod nią czuć serce, łomoczące tak szybko i lekko; to nie serce człowieka, tylko ptaka. Tętno gołębia, myśli Lisey, a wtedy ta dziewczyna z kłapciatymi kokardami na ramionach wali się na nią. Wylądowałyby na Scotcie, ale Lisey instynktownie go osłania, bierze na siebie ciężar ciała dziewczyny („Hej! Cholera! KURWA!”, wrzeszczy zaskoczona dziewczyna); ten ciężar przygniata ją tylko przez sekundę, a potem znika. Lisey widzi, jak dziewczyna wyrzuca przed siebie ręce, żeby zamortyzować upadek - o, boski refleksie młodości, myśli Lisey, jakby była zgrzybiałą staruszką, nie trzydziestojednoletnią kobietą - i dziewczyna odnosi sukces, ale zaraz potem skomli - au, au, AU! - bo asfalt parzy.

- Lisey - szepcze Scott, i o Chryste, oddech świszcze mu w gardle jak wiatr w kominie.

- Kto mnie popchnął? - Dziewczyna z kokardami szuka winnego. Jest zgarbiona, do oczu wpadają jej włosy z rozsypanego końskiego ogona, krzyczy z szoku, bólu i wstydu.



Lisey pochyla się nad Scottem. Bije od niego żar, który ją przeraża i napełnia litością tak ogromną, że nie spodziewała się, iż można coś takiego czuć. On dosłownie dygocze w tym upale. Lisey niezdarnie, jedną ręką, zdejmuje marynarkę.

- Tak, postrzelił cię. Więc siedź cicho i nie...

- Płonę - mówi on i zaczyna mocniej dygotać. Co będzie później, konwulsje? Jego orzechowe oczy wpatrują się w jej niebieskie. Krew wypływa mu z kącika ust. Lisey czuje ten charakterystyczny zapach. Nawet kołnierzyk koszuli jest przemoczony czerwienią. Na nic tu jakiś herbalek, myśli Lisey, nie wiedząc, o czym właściwie myśli. Tym razem za dużo krwi. - Płonę, Lisey, daj mi lód.

- Dobrze - odpowiada i podkłada mu pod głowę swoją marynarkę. - Dam.

Dzięki Bogu, ma na sobie kurtkę, myśli i nagle przychodzi jej do głowy pomysł. Chwyta za ramiona skuloną, płaczącą dziewczynę.

- Jak się nazywasz?

Ta gapi się na nią jak na wariatkę, ale odpowiada.

- Lisa Lemke.

Też Lisa, mały ten świat, konstataje Lisey w duchu. Mówi dziewczynie:

- Mój mąż został postrzelony. Czy możesz iść do... - nie pamięta nazwy budynku, tylko jego funkcję - ...na wydział literatury i wezwać karetkę? Numer 911...

- Proszę pani... pani Landon. - Policjant, ten z bombastrasznie ogeroomnym egzemplarzem, toruje sobie drogę w tłumie z wielką pomocą mięsistych łokci. Kuca przy niej, a kolana mu strzelają. Głośniej niż pistolecik Blondasa, myśli Lisey. Ma w ręce krótkofalówkę. Mówi powoli i wyraźnie, jak do przestraszonego dziecka:

- Zadzwoń na pogotowie uniwersyteckie. Już wysłali karetkę, która zawiezie pani męża do szpitala Nashville Memorial. Czy pani mnie rozumie?

Lisey rozumie, a jej wdzięczność (policjant zrekompensował swój dług i to z nawiązką, według niej) jest niemal równie głęboka jak współczucie dla męża, leżącego na skwierczącym asfalcie i dygoczącego jak zбитy pies. Kiwa głową, wypłakuje pierwsze z wielu łez, które wyleje, zanim przywiezie Scotta do Maine - nie deltą, lecz prywatnym samolotem, z prywatną

pielęgniarką na pokładzie, a z lotniska cywilnych linii lotniczych w Portland kolejną karetką z kolejną prywatną pielęgniarką. Teraz odwraca się do tej Lemke i mówi:

- On jest rozpalony - kochanie, czy jest tu lód? Jak go zdobyć, masz jakiś pomysł?

Mówi to bez wielkiej nadziei, dlatego tak ją zadziwia, że Lisa Lemke natychmiast kiwa głową.

- Tam jest automat z colą i przekąskami. - Macha ręką w stronę Nelson Hall, którego Lisey nie widzi. Dostrzega tylko gęsty las gołych nóg, czasem włochatych, czasem gładkich, czasem opalonych, czasem spalonych. Zdaje sobie sprawę, że ją kompletnie otoczyli, że pochyla się nad mężem na przestrzeni wielkości dużej witaminy albo pastylki i ogarnia ją pierwsza fala panicznego strachu przed tłumem. Czy to się nazywa agorafobia? Scott by wiedział.

- Jeśli możesz mu przynieść lód, to bardzo cię proszę - mówi Lisey. - Ale szybko.

Odwraca się do policjanta, który mierzy Scottowi tętno - kompletnie bezsensownie, według Lisey. Teraz gra się toczy o życie albo śmierć.

- Może ich pan odsunąć? - pyta. Prawie błaga. - Jest tak gorąco, a...

Jeszcze nie skończyła, a on podrywa się jak na sprężynie, wrzeszczy:

- Odsunąć się! Przepuścić tę dziewczynę! Odsunąć się i przepuścić dziewczynę! Dajcie mi oddychać, ludzie, no co!

Tłum się odsuwa... według Lisey bardzo niechętnie. Wydaje się jej, że nie chcą tracić widoku krwi.

Asfalt bucha żarem. Lisey trochę się spodziewała, że się do tego przyzwyczai, tak jak można się przyzwyczaić do gorącego prysznica, ale nic z tego. Nasłuchuje wycia karetki, ale nic nie słyszy. A potem słyszy. Słyszy Scotta, który mówi jej imię. Skrzypi jej imię. I jednocześnie gmera palcami w jej przepoconym topie z boku (stanik odcina się wyraźnie jak spuchnięty tatuaż). Lisey spogląda w dół i widzi coś, co wcale jej się nie podoba. Scott się uśmiecha. Krew lśni na ustach, landrynkowa czerwień, od ucha do ucha, a jego uśmiech bardziej kojarzy się z klaunem. Nikt nie kocha klauna o północy, myśli Lisey i sama nie wie, skąd jej to przyszło. Dopiero tej długiej i prawie bezsennej nocy, którą ma przed sobą, nasłuchując chyba wszystkich psów z Nashville, wyjących do rozżarzonego sierpniowego księżyca, przypomni sobie, że to

zdanie z trzeciej powieści Scotta, jedynej, która nie spodobała się ani jej, ani krytyce, tej na której się wzbogacili.

„Puste diabły”.

Scott dalej gmera w jej bluzce z niebieskiego jedwabiu, oczy nadal ma strasznie lśniące i rozgorączkowane w czerniejących oczodołach. Ma coś do powiedzenia, a ona - niechętnie - pochyła się, żeby go wysłuchać. Zaczerpuje tchu po trochu, półhaustami. Hałaśliwy, przerażający proces. Zapach krwi jest z bliska jeszcze mocniejszy. Paskudny. Mineralny zapach.

*To śmierć. To śmierć tak pachnie.*

Jakby na potwierdzenie, Scott mówi:

- Jest bardzo blisko, kochanie. Nie widzę go, ale... - Kolejny długi, rżący oddech. - Słyszę, jak się pożywia. I chrząka.

Mówiąc to, uśmiecha się krwawym uśmiechem klauna.

- Scott, nie wiem, o czym mówisz.

W ręce, która ciągnie ją za bluzkę, zostało jeszcze trochę sił. Szczypie ją w bok, okrutnie - kiedy dużo później Lisey zdejmie bluzkę, zobaczy siniak, prawdziwy miłosny znak.

- Właśnie... - krzyczący wdech - że wiesz... - Kolejny krzyczący wdech, głębszy. I ciągle ten uśmiech, jakby dzielili jakiś straszliwy sekret. Fioletowy sekret, w kolorze siniaków. W kolorze pewnych kwiatów, które porastają pewne

*(cicho, Lisey, cicho siedź)*

tak, pewne wzgórze.

- Właśnie... że wiesz... nie... obrażaj mojej... inteligencji. - Kolejny świszczący, krzyczący oddech. - I własnej.

Pewnie trochę wie. „Długaśnik”, tak go nazywa. Albo „to coś z nieskończone srokatym bokiem”. Raz chciała znaleźć w słowniku słowo „srokaty”, ale zapomniała - zapominanie to umiejętność, którą rozsądnie opanowała przez te lata znajomości ze Scottem. Ale wie, o czym mówił, no tak.

Puszcza ją, a może nie ma już siły, żeby dalej trzymać. Lisey cofa się trochę - niedaleko.

Jego oczy wpijają się w nią z tych głębokich, czerniejących oczodołów. Są równie świetliste jak zawsze, ale ona widzi w nich także zgrozę i (to przeraża ją najbardziej) jakieś bolesne, niewytłumaczalne rozbawienie. Nadal cicho - może dlatego, żeby tylko ona słyszała, może z braku sił - dodaje:

- Słuchaj, lalunia. Pokażę ci, jaki głos wydaje, kiedy się ogląda.

- Scott, nie... musisz przestać.

Nie zwraca uwagi. Bierze kolejny krzyczący wdech, składa czerwone mokre usta w ciasne O i wydaje niski, niewiarygodnie ohydny syczący odgłos. Wrywa mu z zaciśniętego gardła fontannę drobnych kropelek krwi, która tryska w parne powietrze. Jakaś dziewczyna dostrzega to i krzyczy. Tym razem policjant nie musi namawiać ludzi, żeby się odsunęli; robią to z własnej woli, dają Lisey, Scottowi i kapitanowi Heffernanowi co najmniej półtora metra wolnej przestrzeni.

Ten dźwięk - dobry Boże, to naprawdę jakiś rodzaj chrząknięcia - trwa miłosiernie krótko. Scott kaszle, jego pierś faluje, rana bluzga krwią w rytmicznych odstępach czasu, a potem Scott znowu kiwa na Lisey palcem. Ona podchodzi, opiera się na płonących dłoniach. Zapadnięte oczy rzucają jej wyzwanie, podobnie jak ten agonalny uśmiech.

Scott odwraca głowę na bok, wypluwa na rozpalony asfalt półpłynny skrzep krwi i znowu odwraca się do niej.

- Mógłbym... go tak przywołać - szepcze. - Wtedy by przyszedł. Pozbyłabyś się... mojego... wiecznego... trzeszczenia za uszami.

Lisey pojmuję, że naprawdę mógłby to zrobić i przez chwilę (w jego oczach jest prawdziwa moc) w to wierzy. On znowu wyda ten odgłos, tylko głośniejszy, a na jakimś innym świecie długiąśnik, ten pan bezsennych nocy, odwróci swój niewysłowiony głodny łeb. A chwilę później, w tym świecie, Scott Landon tak zupełnie zwyczajnie zadygocze na asfalcie i umrze. Na akcie zgonu znajdzie się coś normalnego, ale ona będzie wiedziała: mroczne stworzenie wreszcie go dostrzegło, przyszło po niego i zjadło żywcem.

Więc teraz pora na to, o czym później nigdy nie będą mówić, ani innym, ani sobie samym. Zbyt straszne. Każde małżeństwo ma dwa serca, jedno jasne, jedno mroczne. I to jest to mroczne, ten jeden obłąkany i prawdziwy sekret. Lisey pochyła się nad nim na prażącym asfalcie, pewna,

że Scott umiera, ale zdecydowana zatrzymać go, jeżeli zdoła. Jeśli to oznacza, że będzie musiała walczyć o niego z dłużeńikiem - pazurami, jeśli będzie trzeba - na pewno się nie zawaha.

- No... Lisey? - Ten odrażający, mądry, straszny uśmiech. - Co... powiesz?

Pochylić się jeszcze bliżej. W ten jego rozdygotany smród krwi i potu. Pochylić się, żeby poczuć najbledszy, najulotniejszy cień szamponu i pianki do golenia. Pochylić się, aż jej usta dotkną jego ucha.

- Cicho bądź, Scott. Raz w życiu zamknij jadaczkę.

Kiedy znowu na niego spogląda, jego oczy są już inne. Ta furia znikła. Traci przytomność, ale może dobrze, bo znowu wygląda normalnie.

- Lisey...?

Nadal szeptem. Patrząc mu prosto w oczy.

- Jeśli zostawisz to smerdolone stworzenie, on odejdzie.

Przez chwilę ma ochotę dodać: „Resztą tego bałaganu zajmiesz się potem”, ale to bez sensu - przez jakiś czas Scott może zrobić samodzielnie tylko jedno: nie umrzeć. Więc mówi: - Nigdy więcej nie wydawaj tego głosu.

Scott oblizuje wargi. Lisey widzi krew na języku, mdli ją, ale się nie cofa. Będzie musiała tu siedzieć, dopóki nie zabierze go karetka, albo dopóki Scott nie przestanie oddychać na tym gorącym chodniku, sto metrów od ostatniego sukcesu; jeśli uda się jej to przetrwać, to pewnie przetrwa już wszystko.

- Tak mi gorąco - mówi on. - Gdybym mógł possać kawałek lodu...

- Już niedługo - zapewnia Lisey, nie wiedząc czy nie składa obietnic bez pokrycia, zresztą nieważne. - Znajdę ci lód.

I wreszcie słyszy wycie karetki. To już coś.

A potem coś w rodzaju cudu. Dziewczyna z kokardami na ramionach i świeżymi zadraśnięciami na dłoniach przepycha się przez tłum. Zziajana, jakby właśnie zakończyła wyścig, po policzkach i karku spływa jej pot, ale trzyma dwa wielkie woskowane papierowe kubki.

- Kurwa, rozlałam po drodze połowę coli - dyszy, rzucając przez ramię przelotne, złe

spojrzenie na tłum - ale lód jest. Lód jest mi... - I nagle oczy jej się wywracają białkami do góry, a ona zatacza się w tył, nagle bezwładna. Gliniarz - niech będzie błogosławiony po tysiąc razy, razem z tym ogeroomnym egzemplarzem i w ogóle - chwytą ją, pomaga ustać na nogach, zabiera jeden kubek. Podaje go Lisey, a tę drugą Lisę zmusza do wypicia drugiego. Lisey Landon nie zwraca na nic uwagi. Potem, oglądając to w pamięci, trochę się zadziwi własnej koncentracji. Teraz myśli tylko: „Tylko złap ją pan, panie Przyjazna Policjo, jak sobie zechce znowu zemdleć i mnie przygnieść”, i odwraca się do Scotta.

On dygocze gwałtowniej niż poprzednio, a oczy mu się mgłą, już jej nie widzą. A jednak nie przestaje:

- Lisey... gorąco... lodu...

- Mam. Czy teraz wreszcie zamkniesz jadaczkę?

- Jedna na północ poleciała - skrzypi i wreszcie, cud błękitnooki, robi, o co go poprosiła. Może już się wygadał, co w życiu Scotta Landona stanowiłoby debiut.

Lisey wbija dłoń w kubek, aż cola bryzga na wszystkie strony. Zimno jest szokujące i w najwyższym stopniu cudowne. Zaciska palce na garści lodowych odłamków, i myśli, co to za ironia: kiedy tylko zjeżdżają z autostrady na pobocze, a ona trafia na maszynę wydającą kubki z napojami zamiast puszek, zawsze ze świętym oburzeniem grzmoci w przycisk BEZ LODU - inni może by pozwolili, żeby nikczemni producenci napojów ich ocyganili, wtryniając im pół kubka napoju, a pół lodu, ale nie córeczka Dave'a Debushera. Jak to mawiał stary Dandy? Nie spadłem wczoraj z kopki siana! A teraz proszę, tak by chciała, żeby było tu więcej lodu, a mniej coli... choć niewiele sobie po tym obiecuje. Ale tutaj czeka ją niespodzianka.

- Scott, masz. Lód.

Scott ma teraz półprzymknięte oczy, ale otwiera usta, i kiedy Lisey po raz pierwszy przesuwa mu po wargach tą garścią lodu, a potem wsuwa jeden rozpływający się odłamek na jego zakrwawiony język, dygot ustaje jak ręką odjął. Boże, to czary. Ośmielona, przesuwa zmarzniętą, ociekającą ręką po jego prawym policzku, lewym policzku, po czole, skąd krople wody koloru coli ściekają mu na brwi i biegną po obu stronach nosa.

- Och, Lisey... raj - mówi on i choć ten głos nadal krzyczy, jej wydaje się bardziej konkretny, bardziej... z tego świata. Karetka zatrzymuje się z lewej strony tłumy, z gasnącym porykiem

syreny, a parę sekund później Lisey słyszy niecierpliwy męski głos:

- Pogotowie! Przepuście nas! Ludzie, to pogotowie, dajcie nam przejść, dajcie nam pracować, co wy na to?

Dashmiel, żalosna południowa trzęsidupa, wybiera sobie akurat ten moment, żeby przemówić do ucha Lisey. W jego głosie brzmi ogrom życzliwości, od czego - zważywszy tempo, w jakim prysnął - zęby same się jej zaciskają.

- Co z nim, kochanie?

Nie odwracając się, odpowiada:

- Usiłuje przeżyć.

## 7

- Usiłuje przeżyć - mruknęła, przesuwając dłonią po lśniącej stronicy **KRONIKI U-TENN NASHVILLE**. Po zdjęciu Scotta ze stopą na tej głupiej srebrnej łopacie. Zamknęła księgę z trzaskiem i rzuciła na zakurzony grzbiet księgade. Jej apetyt na zdjęcia - wspomnienia - został zaspokojony jak na jeden dzień. Za prawym okiem poczuła narastający paskudny pulsujący ból. Chciała na niego coś wziąć, nie ten łajzowaty tylenol, ale coś, co mąż nazywał czachotłukiem. Parę pigulek jego excedryny pewnie by załatwiło sprawę, gdyby nie były tak drastycznie przedatowane. A potem małe polegiwanko w ich sypialni, dopóki ta kielkująca migrena nie szczyźnie. Mogłaby nawet trochę pospać.

Nadal myślę: nasza sypialnia, zauważyła schodząc po schodach stodoły, która teraz nie była prawdziwą stodołą, tylko jakimś magazynem... choć nadal pachnącym sianem, benzyną i smarem, tymi słodkimi i uporczywymi zapachami gospodarstwa. Ciągle, nawet po dwóch latach.

I co z tego? Co z tego?

Wzruszyła ramionami.

- Pewnie nic.

Trochę ją zaskoczył mamrotliwy, półpijany dźwięk własnego głosu. Może to intensywne

wspominanie było powodem aż takiego zmęczenia. To od nowa przeżywane napięcie. Za jedno mogła być wdzięczna: żadne inne zdjęcie Scotta, kryjące się w brzuchu księgąda, nie przywoła tak okrutnych wspomnień, strzelano do niego tylko raz, a żaden z tych kolegów nie wysłałby mu zdjęć jego oj... *(cisza na ten temat cisza ma być)*

- Jasne - zgodziła się już na dole, i nie mając tak naprawdę pojęcia, o czym o mało co

*(Scoot, staruszkę ty mój)*

nie pomyślała. Głowa jej ciążyła, była cała lepka, jakby właśnie ominął ją wypadek.

- Zamykalska - nie gadalska, jak dość, to dość.

I, jakby aktywowany jej głosem, za zamkniętymi drewnianymi drzwiami po prawej stronie rozdzwonił się telefon. Kiedyś za tymi drzwiami znajdowała się stajnia, mogąca pomieścić trzy konie. Teraz tabliczka na nich głosiła WYSOKIE NAPIĘCIE! Według Lisey to był żart. Zamierzała tam urządzić mały gabinet, gdzie mogłaby przechowywać dokumenty i płacić rachunki (mieli - nadal miała - zarządcę finansowego na pełen etat, ale był w Nowym Jorku i raczej nie należało się po nim spodziewać, że zajmie się takimi duperszwancami, jak comiesięczny rachunek ze spożywczaka). Udało się jej wstawić biurko, telefon, faks i nowe szafki... a potem Scott umarł. Czy potem tu zaglądała? Przypomniała sobie: raz. Wczesną wiosną. Pod koniec marca, na ziemi leżało jeszcze parę brudnych łańcuchów śniegu, a jej celem było wykasowanie automatycznej sekretarki. W okienku gadżetu widniała cyferka 21. Wiadomości od pierwszej do siedemnastej i od dziewiętnastej do dwudziestej pierwszej pochodziły od tych teleankieterów, których Scott nazywał „telewszami”. Osiemnasta wiadomość (co wcale nie zdziwiło Lisey) była od Amandy. „Chciałam się tylko przekonać, czy w ogóle sprawdzasz tę maszynę”, powiedziała. „Przed śmiercią Scotta dałaś numer mnie, Darli i Cauty. Pauza. Chyba. Pauza. To znaczy chyba sprawdzasz. Pauza. A potem pospiesznie: Ale jest bardzo długi odstęp między wiadomością i pipkiem, kurczę, musisz mieć tam masę wiadomości, lalunia, musisz sprawdzić to dziadostwo, bo może ktoś chce ci podarować komplet do kawy czy coś. Pauza. No... to cześć”.

Teraz, stojąc pod zamkniętymi drzwiami gabinetu, czując synchroniczne pulsowanie za prawym okiem, wytrzymała do trzeciego, potem czwartego dzwonka. W połowie piątego rozległo się kliknięcie, a potem jej głos powiedział temu komuś, że dodzwonił się pod numer 727-5932. Żadnych fałszywych obietnic oddzwonienia, nawet zaproszenia, żeby zostawić



wiadomość po dźwięku, który Amanda nazwała pipkiem. No bo po co? Kto miałby dzwonić do niej? Po śmierci Scotta to miejsce straciło silnik. Została tylko lalunia Lisey Debusher z Lisbon Falls, obecnie wdowa Landonowa. Lalunia Lisey mieszka samotnie w domu o wiele za dużym dla niej i pisze listy zakupów, nie powieści.

Pauza między wiadomością i pipkiem była tak długa, że Lisey pomyślała, iż kasetę się wypełniła. A jeśli nie, to dzwoniący się zmęczył i rozłączył, a ona usłyszy przez te zamknięte drzwi tylko najbardziej irytujący z nagranych głosów, tę kobietę, która mówi (pomstuje) „Jeśli chcesz zadzwonić... proszę się rozłączyć i połączyć z centralą!” Nie dodaje „głębokie” ani „debilu”, lecz Lisey zawsze wyczuwa tu to, co Scott nazwałby „podtekstem”.

Ale słyszy męski głos, który wypowiada trzy słowa. Nie ma powodu, żeby miały ją przejąć dreszczem, ale przejmują.

- Spróbuję jeszcze raz - mówi głos.

I kliknięcie.

I cisza.

## 8

Ta terażniejszość jest o wiele ładniejsza, myśli Lisey, ale wie, że to ani przeszłość, ani terażniejszość, tylko sen. Leży na wielkim podwójnym łożu w

*(naszej naszej naszej naszej)*

sypialni, pod z wolna obracającym się wentylatorem; wbrew stu trzydziestu miligramom kofeiny z dwóch excedryn (spożyć przed: paźdz 07), które wzięła z kurczącego się zapasiku lekarstw Scotta z łazienki - zasnęła. Gdyby miała jeszcze jakieś wątpliwości, wystarczy jej spojrzeć, gdzie się znalazła - na drugim piętze skrzydła OIOM-u w szpitalu Nashville Memorial - na swoim wyjątkowym środku lokomocji: raz jeszcze przemieściła się na wielkim kawale materiału ze słowami NAJLEPSZA MAKA PILLSBURY'EGO i XXX. Raz jeszcze z zachwytem ujrzała, że rogi tego swojsko czarodziejskiego dywanu, na którym siedzi z ramionami dostojnie założonymi pod piersiami, są zawiązane na supły, jak rogi chusteczki. Unosi się tak blisko sufitu,

że kiedy NAJLEPSZA MAKA PILLSBURY'EGO muska jeden z wolna obracających się wentylatorów (we śnie są dokładnie takie, jak w sypialni), ona musi się płasko położyć, żeby nie zraniła ją jego skrzydła. Te lakierowane drewniane wiosła szemrzają „szup, szup, szup”, raz po raz, w powolnym i jakby statecznym obrocie. Poniżej kręcą się pielęgniarki w skrzypiących butach. Niektóre noszą kolorowe fartuszki, jakie później będą dominować w tym zawodzie, ale większość jeszcze ma sukienki, białe pończochy i czepki, zawsze kojarzące się Lisey z wypchanymi gołębiami. Dwaj lekarze - podejrzewa, że to lekarze, choć jeden jest taki młody, że się jeszcze nie musi golić - rozmawiają przy kranie z wodą. Kafelki na ścianach mają chłodny odcień zieleni. Skwar tego dnia tutaj nie ma dostępu. Pewnie oprócz wentylatorów jest także klimatyzacja, ale jej nie słychać.

Nie w moim śnie, no przecież, mówi sobie Lisey i to się jej wydaje rozsądne. Przed nią znajduje się sala 319, gdzie Scott dochodzi do siebie po tym, jak już wydlubali z niego kulę. Lisey bez trudu dociera do drzwi, ale okazuje się, że jest zbyt wysoko, żeby przez nie przepłynąć. A chce się tam dostać. Nigdy nie zdołała mu powiedzieć „Resztą tego bałaganu zajmiesz się potem”, ale czy to było konieczne? Przecież Scott Landon nie spadł wczoraj z kopki siana. Prawdziwe pytanie brzmi następująco: jakim magicznym zaklęciem sprowadza się na ziemię latający dywan NAJLEPSZA MAKA?

Znajduje je. Nie jest to słowo, które chciałaby usłyszeć z własnych ust (to blondasowe słowo), ale jak diabeł za kierownicą, nie ma to tamto - jak również mawiał Dandy, więc...

- Frezje - mówi Lisey i spłowiła szmata z zasupłanymi rogami posłusznie spływa, obniża się o półtora metra spod szpitalnego sufitu. Lisey zagląda w otwarte drzwi i widzi Scotta, może pięć godzin po operacji, na wąskim lecz zaskakująco ładnym łóżku z wdzięcznie łukowatym wezgłowiem i stopami. Monitory, które wydają odgłosy jak automatyczne sekretarki, ćwierkają i pipczą. Dwa worki z czymś przezroczystym zwisają ze stojaka między nim a ścianą. Scott jakby spał. Przy jego łóżku siedzi Lisey rocznik 1988, na twardym krześle, trzymając rękę męża. W drugiej ręce Lisey'88 tkwi broszurowe wydanie powieści, którą ze sobą przywiozła do Tennessee - nie spodziewała się, że dużo uczyta. Scott czytuje takich, jak Borges, Pynchon, Tyler i Atwood. Lisey - Maeve Binchy, Colleen McCullough, Jean Auel (choć trochę ją już niecierpliwą ci jurni jaskiniowcy pani Auel), Joyce Carol Oates i, całkiem od niedawna, Shirley Conran. W sali 319 ma „Dzikich”, jej najnowszą powieść. Nie jest to może klasyczny romans, ale bardzo się podoba

Lisey. Dotarła do części, w której kobiety osaczone w dżungli uczą się używać staników jako proc. Z powodu lycry. Lisey nie wie, czy amerykańskie czytelniczki romansów są gotowe na najnowsze dzieło pani Conran, ale ona uważa, że jest odważne i nawet fascynujące, na swój sposób. Czy odwaga nie jest zawsze rodzajem piękna?

Ostatnie blaski dnia wpadają do pokoju powodzą czerwieni i złota. Złowrogo i pięknie. Lisey'88 jest bardzo zmęczona: emocjami, wysiłkiem i tym całym Południem. Jeśli jeszcze jedna osoba odezwie się do niej z tym akcentem, to chyba zacznie krzyczeć. A dobre strony? Jej zdaniem nie pobędzie tu tak długo, jak myślą tamci, bo... hm... ma powody przypuszczać, że Scott szybko wyzdrowieje, i zostawmy tę sprawę na razie.

Wkrótce pójdzie do motelu i będzie się starać wynająć ten sam pokój, który mieli wcześniej tego dnia (Scott zawsze wynajmuje im jakieś schronienie, nawet jeśli ma to być zwykły „wjazd - wyjazd”, jak to nazywa). Przychodzi jej do głowy, że nie da rady - zupełnie inaczej cię traktują, kiedy jesteś z mężczyzną, sławnym czy nie - ale z motelu jest blisko do szpitala i na uniwersytet, więc jeśli tam znajdzie cokolwiek, to resztę smerdoli. Doktor Satherwaite, który opiekuje się Scottem, powiedział jej, że uniknie reporterów, wychodząc dziś i przez parę następnych dni tylnymi drzwiami. Powiedział, że pani McKinney z recepcji postawi taksówkę tuż przy rampie wyładunkowej kawiarni, „jak tylko dostanie od pani znak”. Już by pojechała, ale przez ostatnią godzinę Scott był niespokojny. Satherwaite mówił, że będzie nieprzytomny co najmniej do północy, ale doktor nie zna Scotta tak, jak ona i Lisey nie jest bardzo zdziwiona, kiedy jej mąż zaczyna się na chwilę wynurzać z niepamięci w miarę zbliżania się zachodu słońca. Dwa razy ją rozpoznał, dwa razy spytał, co się stało i dwa razy wyjaśniła, że strzelił do niego obłąkany. Za drugim razem powiedział: „Heja, smerdolony kowboju”, zanim znowu zamknął oczy, i naprawdę ją rozśmieszył. Teraz chciałaby, żeby znowu oprzytomniał, żeby mogła mu powiedzieć, że nie wraca do Maine, tylko do motelu i że rano się z nim spotka.

Lisey rocznik 2006 wszystko to wie. Przeczuwa. Nieważne. Rozmyśla na latającym dywanie NAJLEPSZA MAKA: Otwiera oczy. Patrzy na mnie. Mówi „Zgubiłem się w mroku, a ty mnie znalazłaś. Płonałem - tak bardzo płonałem - a ty dałaś mi lód.”

Ale czy naprawdę tak powiedział? Czy to się naprawdę wydarzyło? A jeśli ona coś ukrywa - przed samą sobą - to dlaczego?

Na tym łóżku, w tym czerwonym świetle, Scott otwiera oczy. Spogląda na żonę, która czyta

książkę. Jego oddech już nie rzeździ, ale nadal słyhać świst, kiedy robi najgłębszy wdech, jaki może zrobić i pół szepcze, pół chrypi jej imię. Lisey'88 odkłada książkę i spogląda na niego.

- Cześć, znowu się obudziłeś. Więc audiotele: pamiętasz, co się stało?

- Strzał - szepcze. - Chłopak. Tunel. Plecy. Boli.

- Zaraz dadzą ci coś na ból - mówi ona. - Na razie może byś...

On ściska jej dłoń, daje jej znak, że może zamilknąć. Teraz powie mi, że zgubił się w mroku, a ja dałam mu lód, myśli Lisey 2006.

Ale on mówi żonie - która ocaliła mu życie, szatkując szaleńca srebrną łopatką - tylko tyle:

- Gorąco, co?

Niedbale. Bez żadnego znaczącego spojrzenia, ot takie pogaduszki. Żeby zabić czas, a czerwone światło się pogłębia, maszyny ćwierkają i piskają, a Lisey rocznik 2006, zawieszona w drzwiach, widzi jak po jej młodszej wersji przebiega dreszcz, subtelny ale jednak; widzi, że palec wskazujący jej młodszej wersji wysuwa się spomiędzy założonych kartek broszurowego wydania „Dzikusów”.

Myślę teraz: Albo nie pamięta, albo udaje, że nie pamięta, co powiedział, kiedy był nieprzytomny - że mógłby go przyzwać, gdyby chciał, że mógłby zawołać długąśnika, gdybym chciała z nim skończyć - i co powiedziałam, żeby zamknął jadaczkę i zostawił tamto coś... że jeśli się zamknie, stworzenie odejdzie. Ciekawe, czy to prawdziwy przypadek zapomnienia, co bardziej przypomina wsadzenie gówna do pudełka i szczelne zamknięcie. Nie wiem, czy to ma w ogóle jakieś znaczenie, jeśli tylko pamięta, jak wyzdrowieć.

Leżąca na łóżku Lisey (która płynie na latającym dywanie w wiecznej terażniejszości swego snu) poruszyła się i usiłowała krzyknąć na swoją młodszą wersję, usiłowała wrzasnąć, że to ma znaczenie, ma! Nie pozwalaj mu się z tego wykręcić - chce wrzasnąć. Nie możesz zawsze zapominać! Ale potem przyszło jej do głowy inne powiedzonko z przeszłości, z ich niekończących się partyjek wista i kierków nad Sabbath Day Lake w lecie, zawsze się krzycało, kiedy któryś z graczy chciał zajrzeć do odrzuconych kart głębiej niż na jedną lewą: zostaw! Nie rozkopuj grobu!

Nie rozkopuj grobu.

A jednak próbuje jeszcze raz. Z całą swoją nie najmniejszą mocą umysłu i woli Lisey z roku 2006 pochyla się na magicznym dywanie i wysyła wiadomość do swojej młodszej wersji: On oszukuje! WSZYSTKO PAMIĘTA!

Przez jeden szalony moment wydaje się mieć pewność, że wiadomość przeszła... wie, że przeszła. Lisey'88 porusza się nerwowo, książka wysuwa się jej z ręki i spada na podłogę z suchym klapnięciem. Ale zanim ta jej wersja ma czas się odwrócić, Scott Landon spogląda wprost na kobietę unoszącą się w drzwiach, na wersję swojej żony, która dożyje czasów wdowieństwa. Znowu wydyma usta, ale zamiast wydać ten paskudny świszczący dźwięk, gwizdże. Słabiutko to wychodzi, no bo jak inaczej, zważywszy, przez co przeszedł. Ale wystarczy, żeby magiczny dywan NAJLEPSZA MAKA odskoczył w tył, zanurkował jak puszek dmuchawca na wietrze. Lisey trzyma się go ile sił, ściany szpitala migają po obu stronach, ale to draństwo się przechyla i zrzuca ją i

## 9

Lisey obudziła się, siedząc sztywno wyprostowana na łóżku, złana potem. Było dość chłodno, dzięki temu wentylatorowi u góry, ale jej jest gorąco jak...

No, jak w przypiekarniku.

- Cokolwiek to jest - mówi i śmieje się drżąc.

Sen już się rozszarpał na szmaty i strzępy - jedyne, co przypomina sobie wyraźnie, to niesamowity czerwony blask jakiegoś zachodzącego słońca - ale obudziła się z szaloną pewnością, wbitą w sam środek jej umysłu, szalonym przymusem: musi znaleźć tę smerdoloną szufłę. Tę srebrną łopatkę.

- Dlaczego? - spytała pustego pokoju. Podniosła budzik z szafki i spojrzała na niego z bliska, pewna, że minęła godzina, może dwie. Z zadziwieniem odkryła, że przespała dokładnie dwanaście minut. Odłożyła budzik na miejsce, wytarta dłonie o bluzkę z przodu, jakby dotknęła czegoś brudnego i rojącego się od zarazków. - Dlaczego akurat to?

*Nieważne.* To głos Scotta, nie jej. Rzadko go ostatnio słyszała z taką wyrazistością, ale

kurczę, teraz go słyszała jak raz. Głośno i wyraźnie. *Nie twój interes. Idź i połóż ją tam, gdzie... no wiesz.*

*Oczywiście wiedziała.*

- Gdzie mogę zapiąć pasy - mruknęła, potarła twarz rękami i roześmiała się cicho.

Zgadza się, skarbiemój, zgodził się jej zmarły mąż. Ilekroć nadejdzie odpowiedni moment.

### III

#### Lisey i srebrna łopatką (czekaj, aż wiatr się zmieni)

##### 1

Ten wyrazisty sen w żaden sposób nie uwolnił ją od wspomnień Nashville, a zwłaszcza jednego: Gerda Allena Cole'a, przesuwającego broń z pozycji „strzał w płuca”, który Scott mógłby przeżyć, do pozycji „strzał w serce”, którego z największą pewnością by nie przeżył. Wówczas cały świat zwolnił, a ona wracała nieustannie - tak jak język wraca do wyszczerbionego zęba - do tej niewysłowionej gładkości ruchu, jakby broń była zamontowana na jakimś dzinkisie.

Odkurzyła salon, który nie wymagał odkurzania, włączyła pralkę wypełnioną nawet nie w połowie - dwa lata i ciągle się nie może przyzwyczać - w końcu wciągnęła stary kostium kąpielowy i pływała w basenie na tyle domu: pięć basenów, dziesięć, piętnaście, siedemnaście, zadyszka. Przywarła do brzegu basenu w płytkim miejscu, z nogami majtającymi z tyłu, zdyszana, z ciemnymi włosami przylepionymi do policzków, czoła i karku jak lśniący kask, a jednak dalej widziała tę obracającą się bladą, długopalczystą dłoń, widziała obracającego się ladysmitha (nie można było o nim myśleć „broń”, kiedy już się znało jego śmiercionośną, cipowatą nazwę), widziała małą czarną dziurkę z upchniętą w niej śmiercią Scotta, jak porusza się w lewo, a srebrna łopatką była tak strasznie ciężka! Myślała, że nie może zdążyć, że nie zdoła być szybsza od jego szaleństwa.

Powoli poruszyła stopami, zachlupotała. Scott uwielbiał ten basen, ale pływał w nim przy wyjątkowych okazjach; był raczej miłośnikiem książki, piwa i wanny. Oczywiście kiedy nie podróżował. Ani nie siedział w pracowni, pisząc przy łomoczącej muzyce. Ani nie siedział w fotelu na biegunach w gościnnym pokoju, w samym lodowatym środku zimowej nocy, opatulony po brodę afganem Dobrej Mamy Debusher, o drugiej w nocy, z wielkimi - wielkimi - wielkimi oczami, gdy na zewnątrz był straszny wicher, aż z Yellowknife - to był ten inny Scott - jeden na północ, jeden na południe, i o rety, kochała ich tak samo, wszystko to samo.

- Przestań - powiedziała z trwogą. - Zdążyłam, naprawdę, więc daj już spokój. Idiota dostał

tylko w płuca.

A jednak oczami duszy (gdzie przeszłość jest zawsze teraźniejszością) widziała znowu obracającego się ladysmitha, specjalnie wydzwignęła się z basenu, żeby fizycznym wysiłkiem wyprzeć ten obraz. Podziałało, ale Blondas znowu wrócił, kiedy stanęła w przebieralni, wycierając się po szybkim prysznicu, Gerd Allen Cole znowu tu był, znowu tu jest, i mówi „muszę skończyć z tym ding-dong dla frezji”, a Lisey’88 robi zamach srebrną łopatką, ale tym razem to smerdolone powietrze w smerdolonym liseyowym czasie jest zbyt gęste, spóźni się o ułamek chwili, zobaczy cały rozkwitający kwiat zamiast tylko jego części, i czarna dziurka pojawi się także w lewej klapie sportowej kurtki Scotta, która stanie się jego całunem...

- Przestań! - warknęła i rzuciła ręcznik do koszyka. - Zostaw to w spokoju!

Wróciła do domu goła, z ubraniem pod pachą - dlatego właśnie zadbali o ten wysoki płot z desek wokół całego podwórka.

## 2

Po pływaniu zgłodniała - jak wilk - i choć nie było jeszcze piątej, postanowiła zrobić sobie wielki posiłek. Daria, druga córka Debusherów, nazwałaby to pocieszankowym jedzeniem, a Scott - z wielką rozkoszą - niegrzecznym jedzeniem. W lodówce znalazła funt mielonej wołowiny, a kiedy przeszukała półki w spiżarni, odkryła cudownie niegreczny delikates: gotowe danie z serem. Wrzuciła je na patelnię razem z mielonym mięsem. Kiedy zaczęło perkotać, zrobiła sobie dzbanek limonkowej lemoniady z podwójnym cukrem. Dwadzieścia po piątej aromaty z patelni wypełniły całą kuchnię, a wszystkie myśli o Gerdzie Allenie Cole’u gdzieś się ulotniły, przynajmniej na jakiś czas. Nie mogła myśleć o niczym z wyjątkiem jedzenia. Zjadła dwie wielkie porcje potrawy i popiła dwiema wielkimi szklanicami lemoniady. Po drugiej porcji i drugiej szklance (w której zostały tylko białe smużki cukru na dnie) beknęła rozgłośnie i powiedziała:

- Szkoda, że nie mam cholernego smerdolonego papierosa.

Prawda; rzadko chciało się jej tak bardzo zapalić. Salema lighta. Scott palił, kiedy poznali się na uniwersytecie Maine, gdzie był jednocześnie absolwentem i, jak to nazywa, najmłodszym



pisarzem-rezydentem na świecie. Ona była studentką na część etatu (niedługo to trwało) i kelnerką na cały etat w kawiarni Pata w mieście, gdzie roznosiła pizze i burgery. Nauczyła się palić od Scotta, który był wierny herbertom tarytonom. Razem rzucili, nawzajem się pilnując. To było w 1987, na rok przed tym, jak Gerd Allen Cole dobitnie zademonstrował, że nie tylko papierosy szkodzą na płuca. Później Lisey mogła nie myśleć o papierosach całymi dniami, po czym nagle wpadała w straszliwe przeпаácie łaknienia. A jednak na swój sposób myśli o papierosach były krokiem naprzód. Dzięki temu nie myślała o

*(muszę skończyć z tym ding-dong dla frezji, mówi Gerd Allen Cole z całkowicie trwożną klarownością i lekko obraca nadgarstek)*

Blondasie

*(tak, że dymiąca lufa ladysmitha kaliber 22 celuje w lewą stronę piersi Scotta)*

i ja smerdołę, znowu to zrobiła, znowu zaczęła.

Na deser miała kupne ciasto i bitą śmietanę w aerozolu - być może szczyt niegrzecznego jedzenia - do nałożenia na ciasto, ale Lisey była zbyt najedzona, żeby się nad tym zastanawiać. I z niepokojem przekonała się, że te cholerne stare wspomnienia wracają nawet po napchaniu się gorącym, wysokokalorycznym żarciem. Teraz chyba mniej więcej się orientowała, z czym muszą żyć weterani wojenni. To była tylko jedna bitwa, ale

*(nie, Lisey)*

- Przestań - szepnęła i odsunęła talerz

*(nie, skarbiemój)*

gwałtownie od siebie. Chryste, ależ jej się chciało

*(przecież wiesz)*

zapalić. A bardziej niż dymka chciała, żeby wszystkie te stare wspomnienia ode...

*Lisey!*

To był głos Scotta, dla odmiany w samym środku jej głowy i tak wyraźny, że odpowiedziała głośno do kuchennego stołu, wcale się nie wstydząc:

- Co, kochanie?

*Znajdź srebrną łopatkę, a to gównu odfrunie... jak zapach młyna, kiedy wiatr się zmienia i wieje z południa. Pamiętasz?*

Oczywiście, że pamiętała. Mieszkała w małym miasteczku Cleaves Mills, jedno miasto na wschód od Orono. Cleaves nie miało prawdziwych młynów, ale zostało ich mnóstwo w Starym Mieście, a kiedy wiatr wiał z południa - zwłaszcza, w dni pochmurne i wilgotne - smród stawał się nie do zniesienia. Potem, jeśli wiatr się zmienił... Boże! Czuło się zapach oceanu i to było jak odrodzenie. Przez jakiś czas „czekaj, aż wiatr się zmieni” stanowiło ich prywatne małżeńskie powiedzonko, jak „zapnij pasy”, ZPINOM i smerdolę zamiast pierdolę. Potem jakoś wypadło z łask i nie myślała o tym od lat; czekaj, aż wiatr się zmieni oznaczało: wytrzymaj, kochanie. Jeszcze się nie poddawaj. Może był w nim jakiś słodki optymizm, na który jest miejsce tylko w młodym małżeństwie. Nie wiedziała. Scot mógłby wyrazić na ten temat obszerną opinię; już wtedy prowadził kronikę, wtedy, w tych

**(PIERWSZYCH LATACH!)**

dniach walki, pisał ją przez piętnaście minut co wieczór, kiedy ona oglądała seriale lub robiła domowe rachunki. A czasami, zamiast oglądać telewizję albo wypisywać czeki, patrzyła na niego. Podobało się jej, jak światło lampy lśniło na włosach Scotta i żłobiło głębokie trójkątne cienie w policzkach, kiedy siedział pochylony nad notesem z luźnymi kartkami. Włosy miał w tamtych czasach dłuższe i ciemniejsze, nietknięte siwizną, która zaczęła się pojawiać u niego pod koniec życia. Lisey lubiła jego opowieści, ale tak samo lubiła jego włosy, kiedy tak lśniło w nich światło. Uważała, że w świetle lampy także snują swoją opowieść, a on o tym nie wiedział. I lubiła dotyk jego skóry. Na plecach czy napletku, wszędzie bardzo doskonały. Nie zamieniłaby jednego na drugie. Działał na nią pełny komplet.

*Lisey! Znajdź łopatkę!*

Sprzątnęła za stołu, resztę gotowego posiłku schowała do pojemnika tupperware. Wiedziała, że go już nie tknie, skoro szaleństwo ją opuściło, ale było tego za dużo, żeby nakarmić nim zlewoświniaka; jakże by się piekliła na takie marnotrawstwo Dobra Mama Debusher, która nadal rządziła się w jej głowie! O wiele lepiej było ukryć jedzenie w lodówce, za szparagami i jogurtem, gdzie spokojnie dojrzeje. A wykonując te proste czynności, zastanawiała się, jak w imię Boże odnalezienie tej głupiej ozdobnej łopatki może jakkolwiek ukoić jej umysł. Czy chodziłoby o magiczne właściwości srebra? Przypomniała sobie, jak oglądała jakiś film w

nocnym kinie wraz z Darią i Cantatą, coś w zamierzeniu straszego, o wilkołaku... ale nie bardzo się bała, jeśli w ogóle. Ten wilkołak wydawał się bardziej smutny niż straszny, a poza tym - można było poznać, jak filmowcy zmieniali jego twarz, co rusz zatrzymywali kamerę, nakładali więcej charakterystyki i znowu kręcili. Trzeba przyznać, że się napracowali, ale efekt końcowy mizerny, w ogóle nieprzekonujący, przynajmniej jej skromnym zdaniem. Choć historia była nawet ciekawa. Pierwsza część rozgrywała się w angielskim pubie i jeden z tych starych grzybów, którzy tam piją, powiedział, że wilkołaka można zabić tylko srebrną kulą. A czy Gerd Allen Cole nie był z gatunku wilkołaków?

- Daj spokój, lalunia - powiedziała, opłukując talerz i wkładając go do niemal pustej zmywarki - może Scott mógłby popłynąć z tym prądem w swojej książce, ale takie bajdy to nie twoja działka. No nie? - Zamknęła z trzaskiem zmywarkę. W tym tempie napelni ją koło czwartego lipca. - Jeśli chcesz poszukać łopatk, no to już! Słyszysz?

Zanim zdążyła odpowiedzieć na to kompletnie retoryczne pytanie, znowu rozległ się głos Scotta - całkiem głośno, w samym środku jej głowy.

*Zostawiłem ci wiadomość, skarbiemój.*

Lisey zamarła w trakcie sięgania po ścierkę do wytarcia rąk. Znała ten głos, no jakże. Słyszała go trzy do czterech razy w tygodniu, jej własny głos, naśladowający go, ciut nieszkodliwego towarzystwa w tym wielkim pustym domu. Ale że tak szybko się pojawił po tych bzdetach o łopacie...

Jaką wiadomość?

Jaką wiadomość?

Wytarta ręce i powiesiła ścierkę do wyschnięcia. Potem odwróciła się tyłem do zlewu, przodem do kuchni. Rozświetlało ją cudne letnie słońce (oraz woń gotowego dania, teraz już o wiele mniej smakowita, odkąd zaspokoila apetyt na żarcie). Zamknęła oczy, policzyła do dziesięciu, otworzyła. Późne letnie światło rozkwitło wokół niej. W niej.

- Scott? - odezwała się, czując się absurdalnie podobna do starszej siostry Amandy. Innymi słowy, półświrnięta. - Chyba mi się tu nie wygłupiasz ze straszaniem?

Nie spodziewała się odpowiedzi - nie lalunia Lisey Debusher, która wiwatowała podczas burz z piorunami i szydziła z filmowego wilkołaka, widząc w nim tylko trikowe zdjęcia. Ale ten

nagły powiew wiatru, który wpadł przez otwarte okno nad zlewem - wydymając zasłony, unosząc jej nadal mokre włosy, roztaczając rozzdzierający serce zapach kwiatów - można było uznać niemal za odpowiedź. Znowu zamknęła oczy i chyba usłyszała daleką muzykę, nie sferyczną, tylko starą piosenkę country Hanka Williamsa: „Żegnaj mi Joe, pora mi iść, laj-laj-laj...”

Na ramionach miała gęsią skórkę.

Kiedy wiaterek ustał, a ona znowu stała się zwykłą Lisey. Nie Mandy, nie Canty, nie Daria, z pewnością nie

*(jedna na południe)*

zbiegła do Miami Jodi. Była Na Wskroś Współczesną Lisey, Lisey z roku 2006, wdową Landon. Duchów nie ma. Ona jest Lisey Samą w Domu.

Ale chciała znaleźć tę srebrną łopatkę, tę, która ocaliła jej męża na szesnaście lat i siedem powieści. Nie wspominając już o okładce „Newsweeka” z ‘92, na której przedstawiono psychodelicznego Scotta z tytułem MAGICZNY REALIZM I KULT LANDONA czcionką a la Peter Max. Ciekawe, jakby Rogerowi „Trzmielowi” Dashmielowi się to spodobało.

Lisey postanowiła, że zabierze się do szukania łopatki natychmiast, dopóki jeszcze trwa jasny i długi letni wieczór. Duchy czy nie duchy, nie chciała być w stodole - ani pracowni na piętrze - po zmroku.

### 3

Zagródki naprzeciwko jej nigdy nieumeblowanego do końca gabinetu były mroczne i zatęchłe; kiedyś przechowywano w nich narzędzia, sprzęt i zapasowe części do gospodarskich pojazdów i maszynierii, gdy dom Landonów nazywano farmą Sugar Top. W największej zagrodce trzymano kury, i choć została wyczyszczona przez profesjonalną ekipę sprzątaczy, a potem pobielił ją Scott, który uczynił to w ramach licznych aluzji do Tomka Sawyera, nadal utrzymywał się w niej słaby, amoniakowy smrodek od dawna nieistniejącego drobiu. Lisey pamiętała ten zapach z najwcześniejszych dzieciennych lat i nienawidziła go... pewnie dlatego, że Babunia D przewróciła się i umarła, karmiąc kury. Kiedy się ma taką świadomość, nic nie zdoła uatrakcyjnić

tego odoru, choćby najslabszego.

Dwie zagrodki były zastawione wysoko pudłami - przeważnie kartonami z monopolowego - ale nie było w nich żadnych narzędzi do kopania, srebrnych czy innych. W dawnym kurniku stało osłonięte podwójne łóżko, jedyna pamiątka ich krótkiego, dziewięciomiesięcznego niemieckiego eksperymentu. Kupili to łóżko w Bremen i kazali je sprowadzić za porażającą opłatą - Scott się uparł. Aż do tej chwili nie pamiętała o Bremen.

Sranie w banię, pomyślała Lisey z rodzajem żalostnej zaciekłości, a potem dodała głośno:

- Jeśli ci się zdaje, że będę spała na łóżku, które od dwudziestu iluś lat stało w cholernym kurniku...

...to sam jesteś wariat!, chciała dokończyć i nie mogła. Zamiast tego zaczęła się śmiać. O Chryste, przekleństwo pieniędzy! Smerdalone przekleństwo! Ile kosztowało to łóżko? Z tysiąc amerykańskich dolców? Powiedzmy, że tysiąc. A ile sprowadzenie go do kraju? Drugi tysiąc? Może. I proszę, stoi tutaj, hip hip sto lat, jakby powiedział Scott, w mroku i kurzych gównach. I hip hip sto lat będzie tu stało, dopóki nie zginie w płomieniach lub pod lodem, jeśli o nią chodzi. W ogóle pobyt w Niemczech to była jedna klęska, nici z książki Scotta, kłótnia z gospodarzem, która mało wiele, a by się przerodziła w bójkę, nawet prelekcje Scotta poszły kiepsko, publiczność albo nie miała poczucia humoru, albo nie wyczuwała jego żartów i...

I za drzwiami, tymi z napisem WYSOKIE NAPIĘCIE, ponownie rozjazgotał się telefon. Lisey zamarła, znowu pojawiła się gęsia skórka. A jednak miała także poczucie czegoś nieuniknionego, jakby właśnie dlatego tu przyszła, nie po srebrną łopatkę, ale żeby odebrać telefon.

Odwróciła się po drugim dzwonku, przeszła mrocznym korytarzem między zagrodkami. Przy trzecim dotarła do drzwi. Kciukiem uniosła staromodny skobelek i drzwi się otworzyły bez trudu, lekko skrzypiąc zastałymi zawiasami, witaj w krypcie, laluniu, konaliśmy z tęsknoty, he, he, he. Owiał ją przeciąg, aż bluzka się wydeła na plecach. Namacała przełącznik i przekręciła go, niepewna czego się ma spodziewać, ale górne światło się włączyło. Oczywiście. Dla elektrowni wszystko to było „pracownią, RFD 2, Sugar Top Hill Road”. Na piętrze czy na parterze, dla elektrowni był to podręcznikowy przykład „wszystko to samo”.

Telefon na biurku zadzwonił po raz czwarty. Zanim dzwonek numer pięć zdążył obudzić

sekretarkę, Lisey porwała słuchawkę.

- Halo?

Nastąpiła chwila ciszy. Już miała znowu powtórzyć „halo”, kiedy głos po drugiej stronie linii ją wyręczył. W tonie wyczuła zaskoczenie, ale i tak poznała, kto to. Jedno słowo wystarczyło. Swój pozna swego.

- Daria?

- Lisey - to ty!

- No pewnie, że ja.

- Gdzie jesteś?

- W dawnej pracowni Scotta.

- Wcale nie. Już tam dzwoniłam.

Lisey musiała się zastanawiać bardzo krótko. Scott lubił głośną muzykę - prawdę mówiąc słuchał ją podkręconą do poziomu, który normalnym ludziom wydałby się idiotyczny - a telefon na górze stał w części wyłożonej izolacją, którą on nazywał z rozbawieniem Cichą Celą. Nic dziwnego, że nie słyszała telefonu na parterze. Nie chciało się jej tego wyjaśniać siostrze.

- Daria, skąd masz ten numer i dlaczego dzwonicz?

Kolejna pauza. Potem Daria powiedziała:

- Jestem u Amandy. Wzięłam numer z jej notesu. Ma cztery twoje numery. Obdzwoniłam wszystkie. To był ostatni.

Lisey poczuła ucisk w piersi i brzuchu. W dzieciństwie Amanda i Daria skakały sobie do oczu niezliczoną ilość razy, rywalizowały ze sobą na śmierć i życie, walczyły o lalki, książki z biblioteki, ubrania. Ostatnia i najwzraskliwsza konfrontacja dotyczyła chłopca nazwiskiem Richie Stanchfield i była na tyle poważna, że dla Darli zakończyła się szpitalem, gdzie założono jej sześć szwów, by zamknąć głęboką ranę nad lewym okiem. Nadal nosiła tę bliznę, cienką białą kreskę. W wieku dorosłym dogadywały się o tyle lepiej, że podczas licznych kłótni nie dochodziło do rozlewu krwi. Schodziły sobie z drogi, na ile to było możliwe. Odbywające się raz lub dwa razy w miesiącu niedzielne kolacje (z małżonkami) albo siostrzane obiady w „Ogrodzie

Oliwnym” albo „Prowincji” bywały trudne, nawet gdy Manda i Daria siedziały osobno, a Lisey i Canty stanowiły bufor. Jeśli Daria dzwoni z domu Amandy, nie wróży to nic dobrego.

- Darl, coś z nią nie tak? - Głupie pytanie. Jedyne właściwe powinno brzmieć: jak bardzo nie tak.

- Pani Jones usłyszała ją, jak krzyczy i się piekli, i rozbija rzeczy. Odstawiła Wielką S.

Kolejną Wielką Scenę. Odfajkowane.

- Najpierw zadzwoniła do Canty, ale Canty i Rich są w Bostonie. Zostawiła im wiadomość na sekretarce i zadzwoniła do mnie.

No tak, to miało sens. Canty i Rich mieszkali jakieś dwa kilometry na północ od Amandy przy autostradzie 19; dom Darli znajdował się z grubsza pięć kilometrów na południe. Na swój sposób było jak w starej rymowance ojca: jedna na północ poleciała, jedna na południe poleciała, jedna jadaczki zamknąć nie umiała. Lisey osiedliła się jakieś dziesięć kilometrów dalej. Pani Jones, która mieszkała naprzeciwko małego opatulonego w izolację Cape Cod Mandy, miała dość rozeznania w terenie, żeby najpierw zadzwonić do Canty, i nie tylko dlatego, że Canty miała bliżej pod względem odległości.

Krzyczy i się piekli, i rozbija rzeczy.

- Bardzo źle jest tym razem? - usłyszała Lisey własny suchy, dziwnie rzeczowy ton. - Mam przyjechać? - Co oczywiście znaczyło: jak szybko mam przyjechać?

- Chyba... na razie jest z nią w porządku - powiedziała Daria. - Ale znowu to robi. Na rękach, i parę razy wysoko na udach. No... wiesz.

Lisey wiedziała, a jakże. Amanda już trzy razy zapadła w stan, który jej psychiatra Jane Whitlow nazwała „pasywną semi-katatonią”. Objawy były inne w porównaniu z tym, co się przydarzyło

*(milcz na ten temat)*

*(a guzik)*

co się przydarzyło Scottowi w 1996, ale i tak niewiarygodnie straszne. I za każdym razem ten stan zwiastowały ataki podekscytowania - dokładnie takiego, jak wówczas w pracowni Scotta, uświadomiła sobie Lisey - po czym następowała histeria, Manda wpadała w spazmy i

dokonywała samookaleczenia. Kiedyś podczas ataku najwyraźniej usiłowała wyciąć sobie pępek. Został jej upiorny zbożowy krąg blizny dookoła. Lisey wspomniała raz o ewentualnej operacji plastycznej, nie mając pojęcia, czy można ją przeprowadzić, ale chcąc żeby Manda wiedziała, iż ona, Lisey, chętnie za nią zapłaci, jeśli Amanda się zgodzi przynajmniej zbadać tę możliwość. Siostra odmówiła z chrapliwym rozbawionym rechotem.

- Lubię ten pierścień - powiedziała. - Jeśli kiedyś mnie zaczniesz kusić, żeby się znowu pociąć, może spojrzę na niego i się rozmyślę.

„Może” było tu chyba najważniejszym słowem.

- Jak bardzo kiepsko, Darl? Ale naprawdę?

- Lisey... kotku...

Lisey zrozumiała z niepokojem (i ciągłym ściskaniem w ważnych organach wewnętrznych), że jej starsza siostra walczy z łzami.

- Daria! Zrób głęboki wdech i mi powiedz!

- Nic mi nie jest. Tylko... to był długi dzień.

- Kiedy Matt wraca z Montrealu?

- Za dwa tygodnie. Nawet nie myśl, że go poproszę o powrót - płaci za naszą podróż do St. Bart w zimie i nie wolno mu przeszkadzać. Same sobie poradzimy.

- Tak?

- Zdecydowanie.

- To powiedz, z czym sobie mamy poradzić.

- Dobrze. Jasne. - Daria zaczerpnęła tchu. - Rany na ramionach były płytkie. Wystarczy bandaż. Te na udach są głębsze i zostaną blizny, ale już się zamknęły, dzięki Bogu. Żadnych wygłupów z tętnicami. I... Lisey...

- Co? No zapnij... no już to wykrztuś.

Omów nie powiedziała Darli, żeby zapięła pasy, a przecież starsza siostra nie znała ich małżeńskiego szyfru. To coś, co Daria teraz wyjawia, będzie paskudne. Zorientowała się po tonie jej głosu, który słyszała od kołyski. Usiłowała się przygotować. Zasiadła wygodnie przy biurku,



powiodła spojrzeniem dokoła... i o Matko Boska, oto ona, w kącie, oparta nonszalancko o stertę pudeł z monopolowego (które rzeczywiście miały napis SCOTT! PIERWSZE LATA!). W kącie, gdzie ściana północna spotykała się ze wschodnią, stała srebrna łopata z Nashville, wielka jak sto szatanów. Po prostu cud błękitnooki, że kiedy ostatni raz tu była, nie zauważyła jej, choć pewnie by zauważyła, gdyby nie leciała takim galopem, żeby odebrać, zanim włączy się sekretarka. Widziała stąd napis na srebrnej blasze, i o rany, te wspomnienia, które do niej wróciły: INAUGURACJA BIBLIOTEKI SHIPMANA. Prawie usłyszała tę południową trzęsitudę, jak mówi do jej męża, że Tąne będzie wszystką notować do tegorocznej kroniki i czy Scott chciałby ęgzęplarz. A Scott odpowiedział...

- Lisey... - Po raz pierwszy w głosie Darli zabrzmiała prawdziwa rozpacz i Lisey pospiesznie wróciła do terażniejszości. To jasne, że Daria jest w rozpacz. Cauty jest w Bostonie od tygodnia, może dłużej, lata po sklepach, a jej mąż zajmuje się swoim samochodowym biznesem - kupuje używane samochody od przedsiębiorstw, na aukcjach, z wypożyczalni w takich miastach jak Malden i Lynn - Lynn, Miasto Grzechów i Win. Tymczasem Matt Darli jest w Kanadzie, gdzie zarabia na następne wakacje wykładami na temat schematów migracji rozmaitych plemion Indian Ameryki Północnej. Jest to, jak powiedziała kiedyś Daria, zaskakująco zyskowny interes. Choć teraz żadne pieniądze im nie pomogą. Teraz wszystko zależy od nich dwóch. Od siły sióstr.

- Lisey, słyszysz mnie? Jesteś ta...

- Jestem - powiedziała Lisey. - Tylko na chwilę coś przerwało, przepraszam. Może to wina aparatu, nikt go od dawna nie używał. Stoi na parterze w stodole. Tam, gdzie miał być mój gabinet, zanim Scott umarł.

- A, tak. Jasne. - Daria miała kompletnie zdumiony głos. Nie ma smerdolonego pojęcia, o czym ja gładzę, pomyślała Lisey. - A teraz mnie słyszysz?

- Wyraźnie jak weselne dzwony. - Mówiąc, patrzyła na tę srebrną łopatkę. Myślała o Gerdzie Allenie Cole'u. Myślała: muszę skończyć z tym ding-dong dla frezji.

Daria wzięła głęboki oddech. Lisey to słyszała, jakby wiatr dmuchnął po telefonicznych przewodach.

- Ona tego nie przyznała wyraźnie, ale chyba... no... chyba tym razem napiła się własnej krwi, Lise... jak tam przyjechałam, usta i brodę miała zakrwawione, ale w ustach żadnej rany.

Wyglądała tak, jak my wszystkie, kiedy Dobra Mama dawała nam szminkę do zabawy.

Ale Lisey widziała nie te dawne dni przebieranek i malowanek, to stukanie wysokimi obcasami Mamy po domu, lecz gorące popołudnie w Nashville, Scotta dygoczącego na asfalcie, z ustami usmarowanymi krwią koloru landrynki. Nikt nie kocha klauna o północy.

Słuchaj, lalunia. Pokażę ci, jaki głos wydaje, kiedy się ogląda.

Ale w kącie załśniła srebrna łopatką... i czyżby była wgnieciona? Chyba tak. Jeśli by wątpiła, czy zdążyła na czas... jeśli kiedykolwiek się obudzi w ciemnościach, spocona, pewna, że się spóźniła o tę jedną sekundę i wszystkie pozostałe dni jej małżeństwa przepadły na zawsze...

- Lisey, przyjedziesz? Kiedy się budzi, pyta o ciebie.

W głowie Lisey znowu włączyły się syreny alarmowe.

- Jak to kiedy się budzi? Myślałam, że z nią dobrze.

- Bo dobrze... chyba. - Pauza. - Pytała o ciebie i o herbatę. Zrobiłam jej i wypiła. To dobrze, prawda?

- Tak. Darl, wiesz, co mogło być powodem?

- A no pewnie. Chyba całe miasto o tym mówi, choć ja o niczym nie wiedziałam, dopóki pani Jones nie powiedziała mi przez telefon.

- Co? - Ale Lisey coś podejrzewała. O, tak.

- Charlie Corriveau wrócił do miasta - oznajmiła Daria. I, zniżając głos: - Stary dobry Kat na Kaskę. Ukochany bankier całego świata. Przywiózł dziewczynę. Małą francuską pocztóweczkę z St. John Valley. - Wymówiła to tak, jak to się robi w Maine, więc wyszło mgliście i lirycznie, prawie „Sendzian”.

Lisey wpatrywała się w srebrną łopatkę, czekając na drugi gwóźdź do trumny. Bo że był drugi, w to nie wątpiła.

- Ożenił się z nią - oznajmiła Daria i w słuchawce rozległa się seria zdławionych gulgotów, które Lisey z początku wzięła za tłumione łkanie. Po chwili zrozumiała, że siostra śmieje się tak, żeby nie usłyszała Amanda leżąca Bóg wie gdzie w jej domu.

- Przyjadę jak najszybciej - obiecała. - I, Darl...

Żadnej odpowiedzi, tylko te zduszone gulgoty: chchig, chchig, chchig, tak to brzmiało przez telefon.

- Jeśli usłyszysz, że się śmiejesz, to następny nóż w brzuchu zaliczysz ty.

Tu chichoty ustały. Daria zaczerpnęła głęboki, uspokajający wdech.

- Wiesz, jej lekarki i tak nie ma - powiedziała w końcu Daria. - Tej Whitlow. Tej zawsze w koralach. Przeprowadziła się, chyba na Alaskę.

Lisey uważała, że do Montany, ale nieważne.

- No więc sprawdźmy, jak bardzo z nią źle. Jest takie coś, Scott to znalazł, nazywa się Greenlawn, aż w Bliźniaczych Miastach...

- Och, Lisey! - Usłyszała głos Dobrej Mamy, dokładniejsieńki.

- Co Lisey? - rzuciła ostro. - Co Lisey? Chcesz się do niej wprowadzić i pilnować, żeby sobie nie wycięła na cychach inicjałów Charliego Corriveau, jak następnym razem przyleci po nią świrolot? A może zaprzęgniesz do roboty. Cauty?

- Lisey, ja nie...

- A może Billy przyjedzie i się nią zajmie. W końcu jeden student więcej, jeden mniej...

- Lisey...

- No to co proponujesz? - Słyszała w swoim głosie jędzowaty ton i nie lubiła się za niego. Oto kolejna rzecz, którą pieniądze robią ci po dziesięciu czy dwudziestu latach - dają poczucie, że masz prawo rozstawiać wszystkich po takich kątach, jak ci się tylko spodoba. Pamiętała, co mawiał Scott, że ludzie powinni mieć zakaz kupowania domów, w których można srać do więcej niż dwóch kibli, bo to im daje złudzenie możnowładztwa. Znowu zerknęła na łopatkę. Migotała do niej. Uspokajała ją. Uratowałaś go, mówiła. Nie na swojej warcie. Czy to prawda? Nie pamiętała. Czy to kolejna rzecz, o której umyślnie zapomniała? Też nie pamiętała. Ale ubaw. Ubaw do gorzkich łez.

- Lisey, przepraszam... Ja tylko...

- Wiem. - Była zmęczona, pogubiona i zawstydzona tym wybuchem. - Poradzimy sobie. Zaraz przyjadę. Dobrze?

- Tak. - Ulga w głosie Darli. - Dobrze.

- Ten Francuz - powiedziała Lisey. - Co za gówniarz. Dobrze, że się pozbyliśmy takiego śmiecia.

- Przyjeżdżaj jak najszybciej.

- Dobrze. Cześć.

Odłożyła słuchawkę. Podeszła do północno-wschodniego kąta pokoju i chwyciła srebrną łopatkę. Czuła się, jakby robiła to po raz pierwszy i co w tym dziwnego? Kiedy przejęła ją od Scotta, zwróciła uwagę tylko na srebrną blachę z wygrawerowanym napisem, a kiedy przyszła pora zamachnąć się tym draństwem, ręce zadziały jakby same z siebie... albo takie miała złudzenie; podejrzewała, że jakaś prymitywna, nastawiona na walkę o życie część jej mózgu zawładnęła jej rękami, wyręczając to co z niej zostało, tę Całkowicie Współczesną Lisey.

Jedną dłoń przesunęła po gładkim drewnie, rozkoszując się tą gładzią, a kiedy się pochyliła, po raz kolejny spojrzała na trzy spiętrzone pudła z buńczuczным napisem, machniętym na ukos czarnym flamastrem: **SCOTT! PIERWSZE LATA!** Pudełko na wierzchu niegdyś zawierało Gin Gilby'ego, a klapy były założone, nie zaklejone. Lisey zgarnęła kurz, dziwiąc się, że kozuch jest taki gruby, dziwiąc się, że ostatnie ręce, które dotykały tych pudeł - które je wypełniały, składały i ustawiały na sobie - teraz same leżą złożone, pod ziemią.

Pudło było pełne papierzysk. Pewnie rękopisy. Na lekko poźółkłej stronie na wierzchu widniał tytuł, drukowanymi literami, podkreślony i wyśrodkowany. Pod nim znajdowało się zgrabnie wydrukowane nazwisko i imię Scotta, także wyśrodkowane. Wszystko to rozpoznała tak, jak rozpoznałaby jego uśmiech - taki miał styl prezentacji, kiedy poznała go jako młodego mężczyznę, i nigdy go nie zmienił. Ale nie znała tego tytułu:

## IKE WRACA DO DOMU

*Scott London*

Czy to powieść? Opowiadanie? Zagląając do pudełka, trudno było ocenić. Ale musiało być w nim z tysiąc albo i więcej stron, przeważnie na jednej stercie, choć zauważyła też inne,

wciśnięte po obu bokach, jakby dla izolacji. Jeśli napisał powieść, a w pudełku znajdowała się całość tekstu, to pewnie była dłuższa niż „Przeminęło z wiatrem”. Czy to możliwe? Tak podejrzewała. Scott zawsze pokazywał jej gotowy tekst, i chętnie także podczas pisania, jeśli poprosiła (przywilej, którego nie przyznał nikomu więcej, nawet długoletniemu wydawcy Carsonowi Forayowi), ale jeśli nie prosiła, na ogół zachowywał go dla siebie. I był twórczy do ostatniego swego dnia. Czy w podróży, czy w domu, Scott Landon pisał.

Ale tysiąc stron? Raczej coś by wspomniał. Może to tylko opowiadanie, które mu się w dodatku nie spodobało. A reszta kartek w pudle, te pod spodem i upchnięte po bokach? Może kopie pierwszych powieści. Albo szczotki. Nazywał je pierwszą korektą.

Ale czy nie odesłał wszystkich pierwszych korekt do Pittsburgha, kiedy z nimi skończył, do Kolekcji Scotta Landona w tamtejszej bibliotece? Innymi słowy, dla Impotebili, żeby mieli się nad czym ślinić. A jeśli to są kopie jego pierwszych rękopisów, w takim razie skąd są te inne kopie (głównie odbitki przez kalkę z maszyny do pisania z czasów starożytnych) w szafkach na piętrze, oznaczonych jako MATERIAŁY? A skoro już o tym pomyślała, ciekawe co jest w zagródkach po obu stronach dawnego kurnika? Co jest tam przechowywane?

Spojrzała w górę, niemal jakby była Superdziewczyną i mogła przebić sufit rentgenowskim spojrzeniem, i właśnie wtedy telefon na biurku znowu się rozdzwoił.

#### 4

Chwyliła słuchawkę z mieszaniną lęku i irytacji... ale z przewagą irytacji. Możliwe - powiedzmy - że Amanda postanowiła sobie ciachnąć ucho a la van Gogh, albo poderżnąć gardło, zamiast się rozdrabniać na uda czy ramiona, ale Lisey w to wątpiła. Przez całe życie Daria była siostrą najbardziej skłoną do dzwonienia po raz drugi trzy minuty później, zaczynając od słów: właśnie sobie przypomniałam albo zapomniałam ci powiedzieć.

- Co jest, Darl?

Nastąpiła chwila ciszy, a potem męski głos - chyba go znała, spytał:

- Pani Landon?

Teraz to Lisey musiała zamilknąć na chwilę, przeglądając w głowie listę męskich imion. Bardzo to krótka lista w tych czasach; zadziwiająco, jak śmierć męża potrafi ograniczyć spis znajomych. Był Jacob Montano, ich prawnik z Portland, Arthur Williams, księgowy z Nowego Jorku, który dusił każdego dolara tak, że orzełek na nim krzyczał o litość (albo oddawał ducha z braku tlenu); Deke Williams, kuzyn Arthura, przedsiębiorca budowlany z Bridgton, który piętro stodoły, wykorzystując puste pomieszczenia na siano, uczynił pracownią Scotta i który także przerobił drugie piętro ich domu, zmieniając uprzednio ponure klitki w symfonię światła; Smiley Flanders, hydraulik z Motton, z niewyczerpanym zapasem dowcipów, zarówno przyzwoitych, jak i nie bardzo; Charlie Haddonfield, agent Scotta, który od czasu do czasu nadal dzwonił w interesach (przeważnie prawa do tłumaczeń i do antologii opowiadań); plus garstka przyjaciół Scotta, którzy nadal pozostawali w kontakcie. Ale nikt by nie zadzwonił na ten numer, nawet gdyby był w książce telefonicznej. A był? Nie potrafiła sobie przypomnieć. W każdym razie żadne z tych nazwisk nie pasowało do znanego jej (chyba) głosu. Ale niech to...

- Pani Landon?

- Kto mówi? - spytała.

- Moje nazwisko nie ma znaczenia - powiedział głos i Lisey nagle ujrzała wyraziście Gerda Allena Cole'a, z ustami poruszającymi się być może w modlitwie. Gdyby nie ta broń w smukłej długopalcej dłoni poety. Dobry Boże, niech to nie będzie następny, pomyślała. Niech to nie będzie kolejny Blondas. Ale jeszcze raz miała w dłoni srebrną łopatkę - odbierając telefon, nieświadomie zacisnęła palce na drewnianej rękojeści - i to było jakby potwierdzenie, że tak, że tak.

- Dla mnie ma - odparła i zdziwiła się własnym rzeczowym tonem. Jak takie energiczne, konkretne zdanie mogło paść z nagle wyschniętych ust? I raptem, łup, tak po prostu, przypomniała sobie, kiedy ostatnio słyszała ten głos: tego samego popołudnia, na tejże sekretarce przy tymże telefonie. I naprawdę nic dziwnego, że nie potrafiła natychmiast go rozpoznać, bo głos powiedział wówczas tylko trzy słowa: spróbuję jeszcze raz. - Proszę się przedstawić albo odłóż słuchawkę.

Po drugiej stronie rozległo się westchnienie, jednocześnie zmęczone i dobrotliwe.

- Pani mi nie utrudnia, ja chcę pomóc. Naprawdę.

Lisey pomyślała o tych suchych głosach z ulubionego filmu Scotta, „Ostatni seans filmowy”, znowu przypomniała sobie Hanka Williamsa, śpiewającego „Jambalya”. „Tak odstawiona, całkiem szalouna, laj, laj, laj”. Powiedziała:

- Odkładam słuchawkę, do widzenia, miłego życia.

Choć nawet nie oderwała słuchawki od ucha. Jeszcze nie.

- Pani mówi do mnie Zack. Imię dobre jak każde. Pasuje?

- Zack i jak dalej?

- Zack McCool.

- Aha, a ja jestem Liz Taylor.

- Miało być nazwisko, jest nazwisko.

Tu ją zagiął.

- A skąd masz ten numer, Zack?

- Z książki telefonicznej. - Więc jednak nie był zastrzeżony - to wiele tłumaczy. Być może. - Teraz posłucha pani chwilę?

- Słucham. - Słuchała... ściskając srebrną łyżeczkę... i czekając, aż wiatr się zmieni. Może na to przede wszystkim. Bo nadchodziła zmiana. Wszystkie nerwy w jej ciele tak twierdziły.

- Jeden gość przyszedł się z panią spotkać, żeby przejrzeć papiery pani zmarłego małżonka, i niech mi będzie wolno wyrazić kondolencje.

Lisey zignorowała go.

- Mnóstwo osób chciało przejrzeć papiery po śmierci męża. - Miała nadzieję, że tamten nie zdoła odgadnąć ani przeczuć, jak mocno bije jej serce. - Wszystkim mówiłam to samo: za jakiś czas dojrzeję do tego, żeby się nimi podzielić z...

- Ten gość jest z dawnego uniwerku pani zmarłego małżonka. Mówi, że to logiczny wybór, skoro papiery i tak tam trafią.

Przez chwilę Lisey nic nie mówiła. Zastanawiała się, jak ten ktoś wymawiał „małżonek” - prawie „małżanek”, jakby Scott był jakimś egzotycznym daniem z małży, już skonsumowanym. Jak w ogóle mówił. To nie człowiek z Maine, nie Jankes, i pewnie nie jest wykształcony,

przynajmniej tak, jak rozumiał to Scott; podejrzewała, że „Zack McCool” nigdy nie był w żadnej uczelni wyższej. Zrozumiała także, że wiatr naprawdę się zmienił. Nie była już przestraszona. Była natomiast - przynajmniej na razie - zła. Bardziej niż zła. Wkurzona jak niedźwiedź.

Niskim, zdławionym głosem, którego prawie nie poznawała, odezwała się:

- Woodbody. To o nim mówisz, tak? Joseph Woodbody. Ten drański Impotebil.

Po drugiej stronie zapanowała cisza. Potem jej nowy przyjaciel oznajmił:

- Nie nadążam.

Lisey poczuła wzbierającą wściekłość i powitała ją z otwartymi ramionami.

- A mnie się wydaje, że nadążasz. Profesor Joseph Woodbody, król Impotebili, zapłacił ci za to, że do mnie zadzwonisz i spróbujesz nastraszyć tak, żebym... co? Oddała mu klucze do pracowni mojego męża, żeby mógł pogmerać w rękopisach Scotta i zabrać, co mu się spodoba? Jeśli o to chodzi... jeśli naprawdę myśli... - Powstrzymała się. Z trudem. Gniew był gorzki, ale i słodki, a ona chciała się nim upoić. - Powiedz, Zack. Tak albo nie. Pracujesz dla profesora Josepha Woodbody'ego?

- Nie pani sprawa.

Na to nie znalazła odpowiedzi. Oniemiała, przynajmniej na jakiś czas, wobec tak jawnej obrazy. Wobec, jak by to nazwał Scott, bombastrasznie ogeroomnej

*(nie pani sprawa)*

bezczelności.

- I nikt mi nie zapłacił, żebym tam nie wiadomo czego nie robił. - Pauza. - To znaczy robił. A teraz... pani lepiej się przymknie i słucha. Pani będzie słucha?

Stała ze słuchawką telefoniczną przy uchu, rozważając to „pani będzie słucha” i nic nie mówiła.

- Słyszę, że pani oddycha, no to pani tam jest. Dobrze. Jak mi ktoś zapłaci, to ten dany sukinsyn nie próbuje, tylko robi. Wiem, że pani mnie nie zna, ale to już pani problem, nie mój. Ja się tam wiela... wiele nie chwalę. Nie próbuję, tylko robię. Pani da temu gościu, co on chce, jasne? On do mnie zadzwoni telefonem albo zamejluje w taki specjalny sposób i powie



„wszystko w porządku, mam co chcę”. A jak nie... kobito, jak się tak nie stanie w takim czasokresie, jak trzeba, to ja tam do pani przyjdę i zrobię pani krzywdę. Zrobię pani krzywdę tam, gdzie się, kobito, nie dawałaś dotykać chłopakom na potańcówce w szkole.

W jakimś momencie tej przemowy, która pobrzmiewała wyuczoną na pamięć rolą, Lisey zamknęła oczy. Nie zdawała sobie sprawy, ale je zamknęła. Czuła na policzkach gorące łzy i nie wiedziała, czy popłynęły łzy wściekłości czy...

Wstydu? Czy to mogły być łzy wstydu? Upokarzające, haniebne, że obcy tak do niej mówi. Jakby była nowa w szkole i pierwszego dnia dostała burę od nauczyciela.

Smerdol to, skarbiemój, odezwał się Scott. Wiesz, co robić.

No pewnie, że wiedziała. W takiej sytuacji albo się zapina pasy, albo nie. Co prawda nigdy nie doświadczyła czegoś podobnego, ale to dość oczywiste.

- Halo? Skojarzyła pani, o co chodzi?

Chciała mu powiedzieć... Ale tego by nie zrozumiał. Więc postanowiła się ograniczyć do bardziej popularnego towaru.

- Zack? - Powiedziała bardzo cicho.

- Tak. - Natychmiast podchwycił ten sam cichy ton. Który może wziął za łączące ich porozumienie.

- Słyszysz mnie?

- Trochu pani przycichła, ale tak.

Zrobiła głęboki wdech. Przez chwilę trzymała powietrze w płucach, wyobrażając sobie tego człowieka, który mówił „trochu”, „gościu” i „wiele”, wyobrażała go sobie ze słuchawką mocno wciśniętą w ucho, natężającego słuch w stronę jej głosu. A kiedy ten obraz wyraźnie się uformował na przyczółku jej umysłu, wrzasnęła w to ucho z całych sił:

- TO SIĘ PIERDOL!

Trzasnęła słuchawką o widelki tak mocno, że z mikrofonu wyleciał kurz.

Telefon rozdzwonił się niemal natychmiast, ale Lisey nie była zainteresowana dalszymi rozmowami z „Zackiem McCoolem”. Podejrzała, że wszelka szansa na nawiązanie tego, co gadające głowy z telewizora nazywały „obopólnym dialogiem” przepadła. Nie żeby jej chciała. Nie żeby chciała słuchać jego nagrania na sekretarce i się przekonać, że wyzbył się tej zmęczonej dobrotliwości i teraz pragnie nazywać ją, Lisey, suką, cipą albo pizdą. Poszła za telefonicznym przewodem aż do ściany - gniazdko było blisko tej sterty pudeł z monopolowego - i wyszarpnęła wtyczkę. Telefon umilkł w połowie trzeciego sygnału. Tyle na temat „Zacka McCoola”, przynajmniej na jakiś czas. Pewnie później będzie miała z nim jeszcze do czynienia - albo w jego sprawie - ale na razie trzeba było się zająć Mandą. Nie wspominając o Darli, która na nią liczy i czeka. Teraz wróci do kuchni, zdejmie kluczyki z kołka... i poświęci dwie minuty na zamknięcie domu, czego za dnia nie zawsze chciało się jej robić.

Domu oraz stodoły i pracowni.

Tak, zwłaszcza pracowni, choć niech ją szlag, jeśli potrafi ją tak wykorzystać, jak Scott, jakby to była jakaś ekstra-super-wielka sprawa. Ale skoro o wielkich sprawach mowa...

Przyląpała się na ponownym spojrzeniu na to górne pudełko. Nie zamknęła klap, więc łatwo było tam zaglądać.

## IKE WRACA DO DOMU

*Scott London*

Zaciekawiona - przecież to tylko chwila - Lisey oparła srebrną łopatkę o ścianę, uniosła stronę tytułową i zajrzała pod spód. Na drugiej kartce widniało co następuje:

*Ike wrócił do domu z bamu i wszystko było świetnie.*

*BAF! Koniec!*

Nic więcej.

Wpatrywała się w to prawie minutę, choć Bóg jej świadkiem, że miała się czym zająć. Znowu dostała gęziej skórki, ale tym razem prawie przyjemnej... i do diabła, przecież tu nie było żadnego ale, prawda? Na ustach pojawił się jej nieznaczny, zdziwiony uśmiech. Odkąd podjęła się zadania uprzątnięcia pracowni - odkąd wyszła z siebie i rozbiła w pył miejsce, które Scott z przyjemnością nazywał „kątkiem pamiątek”, jeśli już ktoś chciał być dokładny - czuła jego obecność... ale nigdy tak blisko, jak teraz. Nigdy tak prawdziwie. Sięgnęła do pudełka i przesunęła kciukiem po dogłębnej grubości spoczywających w nim kartek, całkiem pewna, co tam znajdzie. I rzeczywiście. Wszystkie kartki były czyste. Przejrzała parę upchniętych po bokach - to samo. W dzieciennym słowniku Scotta barn oznaczał krótką podróż, a baf - no, to było trochę bardziej skomplikowane, ale w tym kontekście niemal z całkowitą pewnością oznaczało żarcik albo nieszkodliwy figiel. Ta gigantyczna niby to powieść stanowiła wyobrażenie Scotta Landona o ubawie po kokardę.

Czy w dwóch pozostałych pudełkach także były bafy? A w kubłach i zagródkach? Czy się zdobył na żart aż tak wyrafinowany? A jeśli, to w kogo celował? W nią? Takich Impotebili jak Woodbody? Wydawało się to całkiem sensowne, Scott uwielbiał stroić sobie żarty z ludzi, których nazywał tekstoświrami, ale taki baf wskazywał na dość straszną możliwość: że jej mąż mógł przeczuć własny

*(odszedł zbyt młodo)*

nadchodzący kres

*(odszedł przed czasem)*

i nic jej nie powiedział. A to prowadziło do pytania: czy, wiedząc, by uwierzyła? W pierwszym odruchu chciała zaprzeczyć - powiedzieć, nawet tylko sobie samej, to ja byłam tą realistką, tą, która sprawdzała jego bagaż, czy ma w nim dość bielizny i która dzwoniła, żeby się upewnić, czy samolot odleci o czasie. Ale przypomniała sobie, jak krew na ustach zmieniła jego uśmiech w grymas klauna, pamiętała, jak kiedyś jej wyjaśnił - co uznała za kompletnie absurdalne - że nie jest bezpieczne jedzenie jakichkolwiek świeżych owoców po zachodzie słońca i że między północą a szóstą rano należy unikać wszelkiego pożywienia. Jego zdaniem „nocne jedzenie” było często trujące, a kiedy jej to mówił, wydawało się logiczne. Bo...

(*milcz*)

- Uwierzyłamby mu i dajmy temu spokój - szepnęła i spuściła głowę, zamknąwszy oczy, żeby nie wypuścić łez, które nie nadeszły. Oczy, które płakały podczas teatralnego monologu „Zacka McCoola”, teraz były suche jak kamienie. Niemądre smerdolone oczy!

Teksty w zapchanych szufladach jego biurka i głównej szafki na górze to z całą pewnością nie były bafy, tyle wiedziała. Niektóre stanowiły kopie opublikowanych opowiadań, inne były ich zmienionymi wersjami. W biurku, które Scott nazywał Dumbo Wielki Jumbo, znalazła co najmniej trzy niedokończone powieści i coś, co wyglądało na ukończoną nowelę - i Woodbody by się nad nią całkiem zaślinił. Było też pół tuzina ukończonych opowiadań, których najwyraźniej nie chciało mu się wysłać wydawcy, bo, sądząc po wyglądzie, większość miała co najmniej rok. Nie czuła się na siłach rozstrzygać, które to śmieci, a które skarby, choć była pewna, że wszystkie by zainteresowały badaczy twórczości Landona. Ale to... ten baf, by użyć słowa Scotta...

Ścisnęła rękojeść srebrnej łopatkki, ścisnęła ją mocno. To był realny przedmiot w świecie, który nagle wydał się bardzo pajęczynowaty. Otworzyła znowu oczy i powiedziała:

- Scott, to był wypadek przy pracy, czy ciągle mi się stawiasz? Żadnej odpowiedzi. Naturalnie. A na nią czekają dwie siostry. Oczywiście Scott zrozumiałby, że na jakiś czas odstawia to na dalszy plan. W każdym razie łopatkę postanowiła zabrać ze sobą. Dobrze leżała w dłoni.

## 6

Lisey włączyła telefon i wyszła pospiesznie, bo cholerstwo od razu się rozdzwoniło. Słońce zaczęło zachodzić i zerwał się silny zachodni wiatr, co wyjaśniało, skąd ten przeciąg, który przeleciał obok niej, gdy otworzyła drzwi przed pierwszą niepokojącą rozmową telefoniczną: duchów brak, skarbiemój. Ten dzień ciągnął się jak miesiąc, ale wiatr, cudny, jakby drobnoziarnisty, jak ten z wczorajszego snu, koił ją i odświeżał. Przeszła ze stodoły do kuchni, nie bojąc się, że „Zack McCool” czai się gdzieś w pobliżu. Wiedziała, jak brzmią tu połączenia z telefonów komórkowych: trzeszczą i ledwie je słycać. Jak mawiał Scott, to przez linie

wysokiego napięcia (które lubił nazywać „stacjami benzynowymi dla UFO”). Jej kumpel „Zack” miał głos silny jak weselny dzwon. Ten konkretny Kosmiczny Kowboj mówił ze stacjonarnego, i cholernie powątpiewała w to, żeby jej najbliższy sąsiad wypożyczył mu telefon, żeby mógł ją zastraszyć.

Wzięła kluczyki samochodowe i wsunęła je do bocznej kieszeni dzinsów (nieświadoma, że nadal nosi w tylnej kieszeni Mały Notesik Czynności Przymusowych Amandy - choć już niedługo zyska tę świadomość); wzięła także większy pęk kluczy, wszystkie do domowego królestwa Landonów, każdy jeszcze opisany schludnym pismem Scotta Landon. Zamknęła dom, poczłapała na jego tyły, żeby zasunąć drzwi stodoły oraz zamknąć te do gabinetu Scotta na szczycie zewnętrznych schodów. Kiedy to wszystko załatwiła, poszła do samochodu z łopatką na ramieniu i cieniem, wlokącym się za nią powłóczyście po ziemi podwórka w ostatnich błyskach gasnącego płomiennego czerwocoblasku tego dnia.

## IV

### Lisey i krwawy baf (cała złamazia)

#### 1

Dojazd do Amandy niedawno poszerzoną autostradą 17 z nową nawierzchnią trwał kwadrans, nawet ze zwolnieniem na światłach tam, gdzie siedemnastka przecinała Deep Cut Road do Harlow. Lisey strawiła nadmierny kawał czasu na rozmyślaniach nad bafami jako takimi i jednym bafem w szczególności: tym pierwszym. Tym, który nie był żartem.

- Ale ta mała idiotka z Lisbon Falls i tak wzięła i za niego wyszła - powiedziała ze śmiechem, zdejmując nogę z gazu. Oto sklep Patela po lewej - samoobsługowa stacja benzynowa Texaco na czarnym czystym asfalcie pod oślepiającymi białymi światłami. Poczula zadziwiająco silną potrzebę, by się zatrzymać i skombinować paczkę papierosków. Dobrych starych salemów lightów. A skoro już tu jest, mogłaby kupić też paczki Nissen, które Manda tak lubiła, te paciajowate, a dla siebie może oblewane czekoladą kakaowe roladki z kremem.

- Szalouna dzidzia - powiedziała z uśmiechem i znowu wdepnęła gaz. Sklep uciekł do tyłu. Włączyła reflektory, choć jeszcze było sporo szarówki. Zerknęła we wsteczne lusterko, zobaczyła tę głupią srebrną łopatkę na tylnym siedzeniu i znowu powiedziała, tym razem ze śmiechem: - Dzidzia, jesteś szalouna, ach so!

A nawet jeśli? Ach so za różnica?

#### 2

Lisey zaparkowała za priusem Darli i była zaledwie w połowie drogi do małego zgrabnego Cape Coda Amandy, kiedy Daria wyszła jej naprzeciw, niezupełnie biegiem, i starając się nie płakać.

- Dzięki Bogu, jesteś. - Odetchnęła z ulgą, a Lisey zobaczyła krew na jej rękach, znowu

pomyślała o bafach, pomyślała o swoim jeszcze nie mężu, wyłaniającym się z ciemności i też wyciągającym rękę, choć to już nie wyglądało jak ręka.

- Daria, co się...

- Znowu to zrobiła! Ta świrnięta suka znowu wzięła i się pocięła! A ja tylko musiałam do łazienki... Zostawiłam ją z herbatą w kuchni... Pytam, Manda, poradzisz sobie... a...

- Chwileczkę! - przerwała Lisey, starając się chociaż mówić spokojnie. Zawsze to ona była ta spokojna, ta z taką miną, ta mówiąca „chwileczkę” i „może nie jest tak źle”. Czy tak nie powinno robić raczej najstarsze z rodzeństwa? No, może nie, jeśli najstarsze z rodzeństwa przypadkiem okazuje się smerdolonym czubkiem.

- Nie, nie umrze, ale jak to wygląda. - Daria jednak się rozplakała. No jasne, skoro tu jestem, możesz sobie pozwalać, pomyślała Lisey. Żadnej z was nie przychodzi do głowy, że lalunia Lisey też może mieć własne problemy, co?

Daria wydmuchwała najpierw jedną, potem drugą dziurkę nosa na mroczniejący trawnik Amandy, trąbiąc w bardzo nieelegancki sposób.

- Jak tam strasznie wygląda, może masz rację, może jednak Greenlawn to jakiś pomysł... jeśli to prywatna instytucja... i dyskretna... no nie wiem... może ty z nią coś zdasz, może możesz, ona ciebie słucha, zawsze słuchała, ja jestem na skraju szaleństwa...

- Spokojnie, Darl - powiedziała Lisa kojąco i nagle ją olśniło: w ogóle nie chciało się jej papierosa. Papierosy były nałogiem przeszłości. Papierosy były sprawą martwą jak jej nieżyjący mąż, który dwa lata temu stracił przytomność podczas czytania i wkrótce potem umarł w szpitalu w Kentucky, baf, koniec. To nie salema chciała poczuć w dłoni, lecz stylisko tej srebrnej łopatki.

Oto pocieszanka, której nie trzeba nawet zapalać.

### 3

*To baf, Lisey!*

Znowu to usłyszała, włączając światło w kuchni Amandy. I znowu go zobaczyła, jak do niej

idzie po ciemnym trawniku za mieszkaniem w Cleaves Mills. Scott, który mógł być szalony, Scott, który mógł być odważny, Scott, który w odpowiednich okolicznościach mógł być taki i taki.

*I to nie zwykły baf, to krwawy baf.*

Za mieszkaniem, gdzie ona nauczyła go się pierdolić, a on nauczył ją mówić smerdolić, i nawzajem nauczyli się czekać, czekać, czekać na zmianę wiatru, Scott brnie przez ciężki, upojny zapach różnych kwiatów, bo już prawie lato, a tam dalej jest cieplarnia Parksa, i otwarto lufciki, żeby wpuścić nocne powietrze. Scott wychodzi z tych wonnych wyziewów, późnowiosenną nocą, idzie w światło tylnych drzwi, gdzie ona stoi i czeka. Wkurzona na niego, że no, ale nie aż tak, prawdę mówiąc gotowa do zgody. W końcu już ją różni wystawiali (choć on jeszcze nie), i miewała chłopaków, którzy przychodzili pijani (on też). I no nie, kiedy go zobaczyła...

Jej pierwszy krwawy baf.

A to jest kolejny. Cała kuchnia Amandy spływa, opływa, ocieka, kapie tym, co Scott czasami z przyjemnością nazywał - przeważnie kiepsko naśladując Howarda Cosella - „klaretem”. Czerwone kropelki toczą się po wesołym żółtym blacie z tworzywa, smuga łśni na szklanych drzwiczkach mikrofali, wszędzie rozbryzgi, kleksy i nawet jeden odcisk stopy na linoleum. Ścierka w zlewie jest przesiąknięta na wylot.

Lisey patrzyła na to wszystko z coraz szybciej bijącym sercem. To naturalne, powiedziała sobie, widok krwi tak działa na ludzi. Ponadto miała za sobą długi i męczący dzień. Pamiętaj tylko, że niemal z całą pewnością wydaje się gorszy niż jest. Zakładam się, że ona to rozpaćkała umyślnie - jej poczuciu dramatyzmu nic nie można zarzucić. A ty już widywałaś gorsze rzeczy. Na przykład to, co zrobiła z pępkiem. Albo Scott w Cleaves. W porządku?

- Co? - spytała Daria.

- Nic nie mówiłam - odpowiedziała Lisey. Stały w drzwiach, patrząc na swoją nieszczęsną starszą siostrę, która siedziała przy stole kuchennym - także pokrytym radosnym żółtym tworzywem - z pochyloną głową i włosami zasłaniającymi twarz.

- Powiedziałaś. Powiedziałaś „w porządku”.

- W porządku, powiedziałam w porządku - warknęła Lisey. - Dobra Mama mawiała, że ludzie, którzy mówią do siebie, wyjdą na swoje.



Tak jak ona. Dzięki Scottowi miała trochę ponad albo trochę poniżej dwudziestu milionów, zależnie od tego, jak obecnie stały pewne akcje i obligacje.

Myśl o pieniądzech nie rozjaśniła specjalnie ociekającej krwią kuchni. Lisey zaciekawiała się, czy Manda nie wykorzystwała dotąd gówna tylko dlatego, że jej to nie przyszło do głowy. Jeśli tak, to autentyczna łaska boska, może nie?

- Zabrałaś noże? - spytała półgłosem.

- A jak - rzuciła Daria z rozdrażnieniem... ale takim samym półgłosem. - Porznęła się kawałkiem tej zasranej filiżanki. Kiedy poszłam siknąć.

Lisey już się tego domyśliła i zapisała w pamięci, żeby iść do marketu po nowe kubki, jak tylko będzie mogła. Najlepsze byłyby takie żółciutkie jak ta cała kuchnia, plastikowe, z małymi napiskami: nietłukące.

Uklękła przed Amandą i sięgnęła po jej dłoń.

- Tam się pocięła - odezwała się Daria. - W obie ręce.

Delikatnie, delikatniusięńko Lisey podniosła ręce Amandy z jej kolan.

Odwróciła dłonie i się skrzywiła. Rany były już zaskorupiałe, ale i tak aż ją żołądek rozboleł. I oczywiście od razu znowu pomyślała o Scotcie, który wyszedł z letniego mroku, i podał jej tę ociekającą rękę jak jakiś cholerny miłosny podarunek, jak akt skruchy za straszny grzech upicia się i zapomnienia o randce. Kurczę, i to Cole ma być świrem?

Amanda zrobiła cięcia po przekątnej, od nasady kciuków po nasadę małych palców, przecinając linię życia, miłości i wszystkie inne po drodze. Lisey mogła zrozumieć, jak załatwiła pierwszą, ale drugą? To już musiał być twardy chrupek do zgryzienia, jak mówi przysłowie. Ale jednak się jej udało, a potem ruszyła w obchód kuchni jakby smarowała wariatort lukrem - e, e, patrzcie się! Patrzcie się! Nie jesteś najbardziej szalona dzidzia, ja jestem najbardziej szalona dzidzia! Manda jest najbardziej szalona dzidzia, ahahaha! I przez cały czas Daria była w toalecie, tylko tyle, żeby siknąć, osuszyć krzaczek i zaraz wrócić do Amandy, będącej również najbardziej błyskawiczną i piorunującą dzidzią.

- Daria... bandaż i woda utleniona tu na nic. Trzeba ją wieźć na pogotowie.

- Oż w dupęż - powiedziała Daria ze zgrozą i znowu zaczęła płakać.

Lisey spojrzała w twarz Amandy, nadal ledwie widoczną pomiędzy skrzydłami włosów.

- Amando - powiedziała cicho.

Nic. Ani drgnienia.

- Manda.

Nic. Głowa Amandy kiwała się jak u szmacianej lalki. Szlag by trafił Charliego Corriveau, pomyślała Lisey. Szlag by trafił tego zabojada Corriveau! Ale oczywiście, gdyby nie Kat na Kaskę, to poszłoby o coś innego. Bo wszystkie Amandy tego świata tak są już zrobione. Człowiek się spodziewa, że upadną, a jak nie upadną, no to cudem, aż wreszcie cudy mają po kokardę i przestają się wydarzać, dostają ataku i umierają.

- Mandusiu-trusiu.

I w końcu to dziecinne przezwisko podziałało. Amanda powoli podniosła głowę. A Lisey nie ujrzała tej zakrwawionej, otępiałej pustki, której się spodziewała (tak, usta Amandy były czerwoniutkie, i nie od Maksa Factora), lecz roziskrzone, dziecinne, podstępne spojrzenie pełne wyższości i figlarności, to samo, które oznaczało, że Amanda Wzięła i Coś Wymyśliła, i że ktoś tego pożałuje.

- Baf - szepnęła, a temperatura ciała Lisey Landon w ułamku chwili spadła o trzydzieści stopni.

#### 4

Zaprowadziły ją do salonu - szła potulnie między nimi - i posadziły na kanapie. Potem Lisey i Daria stanęły w drzwiach kuchni, gdzie mogły mieć na nią oko i naradzić się poza zasięgiem słuchu.

- Co ona ci powiedziała? Pobladaś jak upiór.

Lisey wolałaby, żeby siostra powiedziała „prześcieradło”. Nie spodobało jej się słowo „upiór”, zwłaszcza po zachodzie słońca. Głupie, lecz prawdziwe.

- Nic - mruknęła. - No... paf. Tak jakby: pif-paf, ale się przestraszyłam. Jestem cała we krwi,

i co ty na to. Słuchaj, Darl, nie ty jedna masz nadszarpięte nerwy.

- Jeśli zabierzemy ją na pogotowie, co z nią zrobią? Wsadzą na oddział dla samobójców czy co?

- Pewnie tak - przyznała Lisey. W głowie trochę jej się przejaśniło. To słowo, ten baf podziałał na nią jak policzek, albo sole trzeźwiące. Oczywiście także wystraszył ją tak, że omal z majtek nie wyskoczyła, ale... jeśli Amanda miała jej coś do powiedzenia, Lisey chciała to usłyszeć. Coś jej mówiło, że wszystko, co ją spotyka, może nawet telefon od „Zacka McCoola”, jest ze sobą jakoś powiązane przez... przez co? Ducha Scotta? Idiotyzm. Więc może przez krwawy baf Scotta? Co?

Albo przez jego długaśnika? Przez stworzenie z nieskończonym srokatym bokiem?

Lisey, ono nie istnieje, nigdy nie istniało poza jego wyobraźnią... która czasem bywała tak potężna, że narzucała się jego bliskim. Tak potężna, że człowiek czuł się nieswojo, na przykład jedząc owoce po zmroku, choć wiedział, że to tylko jakieś dziecinne przesady, których się nie wyzbył do końca. Tak, jak ten długaśnik. Przecież to rozumiesz, prawda?

Czyżby? Więc dlaczego, kiedy usiłowała się nad tym zastanowić, jej myśli zasnuwało coś jakby fioletowa mgła, rozpraszało je? Dlaczego głos wewnętrzny kazał jej milczeć na ten temat?

Daria przyglądała się jej dziwnym wzrokiem. Lisey wzięła się w garść i oprzytomniała, wróciła do terażniejszości, terażniejszych ludzi, terażniejszych problemów. I po raz pierwszy zauważyła, jaka zmęczona jest Daria: te głębokie bruzdy wokół ust, te ciemne podkopy pod oczami. Wzięła siostrę za ramiona i zaniepokoiła się, że są takie kościste, i że ramiączka stanika tak luźno wśliznęły się między jej kciuki i zbyt głębokie wklęsłości na barkach. Jeszcze pamiętała, jak przyglądała się z zazdrością swoim starszym siostrom, gdy wyruszały do liceum Lisbon High, hartującego charty. Teraz Amanda dobijała sześćdziesiątki, a Daria następowała jej na pięty. W rzeczy samej, zeszyły na psy.

- Ale słuchaj, słonko - dodała - to się już nie nazywa oddział dla samobójców, tylko obserwacja. - Nie wie, skąd wie, ale prawie z całą pewnością wie. - Biorą ludzi na dwadzieścia cztery godziny. Może czterdzieści osiem.

- Mogą bez pozwolenia?

- Nie, chyba że ten ktoś popełnił przestępstwo i przyprowadza go policja.

- Może lepiej zadzwoń do swojego prawnika i się upewnij. Tego z Montany.

- On się nazywa Montano i pewnie jest już w domu. Numer telefonu zastrzeżony. Musiałabym zajrzeć do notesu, ale nie mam przy sobie. Słuchaj, Darl, moim zdaniem wszystko będzie dobrze, kiedy ją dowieziemy do Szpitala Świętego Stefana w Nos Oparze.

Nos Oparem miejscowi nazywali Norway-South Paris w sąsiednim hrabstwie Oxford, miastach sąsiadujących przypadkiem z tak egzotycznie nazwanymi dziurami jak Mexico, Madrid, Gilead i Corinth. W przeciwieństwie do miejskich szpitali w Portland i Lewiston, Szpital Świętego Stefana był senny i malutki.

- Pewnie zabandażują jej ręce i puszczą nas do domu bez przesadnych problemów. - Lisey zamilkła. - Jeśli.

- Jeśli?

- Jeśli chcemy ją zabrać do domu. I jeśli ona chce jechać do domu. No wiesz, nie musimy kłamać ani zmyślać nie wiadomo czego, no nie? Jeśli spytają - a na pewno spytają - powiemy im prawdę. Tak, robiła to już przedtem w chwilach depresji, ale już od dawna nie.

- Pięć lat to nie tak dawno...

- Wszystko jest względne. A ona może wyjaśnić, że jej wieloletni chłopak właśnie wrócił do domu z nowiutką żonką i że przez to poczuła się raczej niespecjalnie.

- A jeśli nie będzie mówić?

- Jeśli nie będzie mówić, chyba zechcą zatrzymać ją na co najmniej dwadzieścia cztery godziny, i to za naszym zgodnym przyzwoleniem, bo co, chcesz ją tu przywieźć, dopóki jeszcze zwiedza pozaziemskie światy?

Daria zastanowiła się, westchnęła i pokręciła głową.

- Myślę, że bardzo wiele zależy od Amandy - powiedziała Lisey. - Krok pierwszy: umyć ją. Wejść z nią pod prysznic, jak będzie trzeba.

- Aha - mruknęła Daria, przesuwając ręką po krótkich włosach. - Pewnie tak trzeba. - Nagle ziewnęła. Okropnie szeroko, że aż można by zobaczyć migdałki, gdyby nie zostały wycięte. Lisey jeszcze raz zerknęła na ciemne sińce pod oczami siostry i zrozumiała coś, co by jej zaświtało wcześniej, gdyby nie telefon „Zacka”.

Znowu chwyciła Darię za ramiona, lekko, ale zdecydowanie.

- Pani Jones nie dzwoniła do ciebie dzisiaj, co?

Daria zamrugała oczami jak zdziwiona sowa.

- Nie, kotku. Wczoraj. Wczoraj późnym popołudniem. Poszłam, obandażowałam ją jak umiałam i przesiedziałam prawie całą noc. Nie mówiłam?

- Nie. Myślałam, że to wszystko się zdarzyło dzisiaj.

- Głupiunia lalunia - skomentowała Daria i uśmiechnęła się blado.

- Czemu nie zadzwoniłaś wcześniej?

- Nie chciałam cię niepokoić. Tyle dla nas robisz.

- Nieprawda - zaprotestowała Lisey. Zawsze ją bolało, kiedy Daria albo Canty (albo nawet Jodotha, przez telefon) mówiły takie głupoty. Wiedziała, że to szaleństwo, ale nieważne, tak już było. - To tylko pieniądze Scotta.

- Nie, Lisey. To ty. Zawsze ty. - Daria zrobiła chwilę przerwy i pokręciła głową. - Nieważne. Po prostu myślałam, że damy sobie radę we dwie. Myliłam się.

Lisey pocałowała siostrę w policzek, uścisnęła ją, a potem poszła do Amandy i usiadła obok niej.

## 5

- Manda.

Cisza.

- Mandusiu-trusiu?

A smerdolić, wcześniej podziałało.

I fakt, Amanda podniosła głowę.

- Czego. Chcesz.

- Musimy cię zawieźć do szpitala.

- Nie. Chcę. Do. Szpitala.

Lisey zaczęła kiwać głową już w połowie tej krótkiej, lecz udręczonej przemowy. Zabrała się do rozpinania zakrwawionej bluzki Amandy.

- Wiem, ale te biedne stare łapki trzeba wyleczyć, a Darl i ja nie umiemy. Pytanie brzmi, czy chcesz tu wrócić, czy spędzić noc w Świętym Stefanie w Nos Oparze. Jeśli chcesz wrócić, to się do ciebie wprowadzam. - I może porozmawiamy o bafach jako takich, ze szczególnym uwzględnieniem krwawych bafów. - Co powiesz? Chcesz tu wrócić, czy uważasz, że przez jakiś czas przyda ci się szpital?

- Chcę. Tu. Wrócić.

Lisey postawiła siostrę na nogach, żeby móc jej zdjąć bojówki. Amanda wstała chętnie, ale wydawało się, że pochłania ją widok kinkietów w pokoju. Jeśli nie było to schorzenie zdiagnozowane jako „semi-katatonia”, na pewno było dość podobne i Lisey poczuła, że kamień spada jej z serca, gdy Amanda odezwała się znowu, tym razem bardziej jak człowiek, a nie robot:

- Skoro gdzieś... idziemy... czemu mnie rozbierasz?

- Bo musisz wskoczyć pod prysznic - powiedziała Lisey, popychając ją w kierunku łazienki.

- I przebrać się w nowe ubranie. To jest... brudne. - Obejrzała się; Daria zbierała z podłogi bluzkę i spodnie. Tymczasem Amanda powlokła się dość potulnie do łazienki. Lisey poczuła ściskanie serca. Nie chodziło o pokryte bliznami i strupami ciało Amandy, lecz wygląd jej białych bokserek. Amanda od lat chodziła w takich szortach; pasowały do jej kanciastej figury, nawet były w dziwny sposób seksowne. Dziś cała prawa nogawka majtek od strony pośladków była usmarowana błotnistym czerwonym brązem.

O, Manda, pomyślała Lisey. O, kochanie.

Potem weszła do łazienki, nieprzyjazny promień rentgenowski w staniku, majtkach i białych skarpetkach. W progu obejrzała się na Darię. Stała nieruchomo. Na chwilę wróciły minione lata i wrzaskliwe głosy Debusherów. Lisey weszła do kabiny za tą, którą niegdyś nazywała starszą siostrunią Mandusią-trusią, a która teraz stała biernie na macie, zwiesiwszy głowę i ręce, czekając aż zostanie rozebrana do końca.

Lisey sięgnęła do haftek jej stanika, kiedy Amanda nagle się odwróciła i chwyciła ją za

ramię. Spojrzenie miała straszliwie zimne. Przez chwilę Lisey była pewna, że starsza siostrunia Mandusia-trusia wyjaśni jej wszystko, o krwawych bafach i innych sprawach. Ale ona patrzyła na Lisey oczami idealnie przytomnymi, idealnie tu i teraz, i powiedziała:

- Mój Charles ożenił się z inną.

Potem oparła chłodne jak wosk czoło o ramię Lisey i rozplakała się.

## 6

Reszta wieczoru kojarzyła się Lisey z tym, co Scott nazywał Landonowską Zasadą Złej Pogody: kiedy śpisz do późna, spodziewając się że huragan odejdzie w stronę morza, on zapuszcza się w głąb lądu i zrywa ci dach z domu. Kiedy wstajesz wcześniej i przygotowujesz się na burzę śnieżną, kończy się na zadymce.

Jaki z tego morał?, spytała Lisey. Leżeli razem w łóżku - jakimś tam, jednym z tych pierwszych - przytuleni i zmęczeni po miłości, on z herbertem tareytonem i popielniczką na piersi, a za oknem wył wicher. Jakie łóżko, jaki wicher, jaka burza, jaki rok - tego nie pamiętała.

Morał? Morałem jest ZPINOM, odpowiedział, to pamiętała bardzo dobrze, choć wtedy wydawało się jej, że się przesłyszała albo nie zrozumiała.

Spinom? Co to jest spinom?

Zgniółł papierosa i postawił popielniczkę na nocnej szafce. Ujął jej twarz w ręce, zakrył jej uszy i na jedną chwilę odgrodził dłońmi od całego świata. Pocałował ją w usta. Potem odjął ręce, żeby go usłyszała. Scott Landon zawsze chciał, żeby jego głos trafiał do ludzkich uszu.

ZPINOM, skarbiemój - Zapnij Pasy Ilekroć Nadejdzie Odpowiedni Moment.

Obracała te słowa w myślach - nie była taka szybka, jak on, ale na ogół dochodziła do mety - i rozumiała, że ten ZPINOM to jest to takie coś, on to nazywa agro-mim. Zapnij Pasy Ilekroć Nadejdzie Odpowiedni Moment. Spodobało się jej. Brzmiało śmiesznie, a to jej się spodobało jeszcze bardziej. Zaczęła się śmiać. Scott śmiał się razem z nią, i wkrótce potem znalazł się w niej, w tym wielkim domu, w środku wielkiego wichru.

Przy Scotcie zawsze dużo się śmiała.

7

To, że zawierucha omija człowieka, który na serio przygotował się do burzy śnieżnej, powróciło do niej jeszcze kilka razy, zanim przyjechały z pogotowia i znowu się znalazły w opatulonym domku Amandy pomiędzy Castle View i Harlow Deep Cut. Amanda tym razem pomogła im, nagle odzyskując dobry humor. Lisey, choć znękana, nieustannie myślała, że przygasająca żarówka lubi się rozświecić z pełną mocą na jakieś dwie godziny przed wypaleniem się na dobre. Ta zmiana na lepsze zaczęła się od wspólnej kąpieli. Lisey się rozebrała i weszła pod natrysk razem z siostrą, która najpierw tylko stała, opuściwszy ramiona, z małpio dyndającymi rękami. Potem, choć Lisey posługiwała się ruchomym prysznicem i strasznie uważała, ciepła woda bryzgnęła prosto na poszatowaną lewą rękę Mandy.

- Au! Auuu! - zawyła Manda i wyszarpnęła rękę. - Boli! Uważaj, gdzie lejesz, dobra?

Lisey odpowiedziała dokładnie w tym samym tonie - Amanda nie spodziewałaby się po niej niczego innego, choć obie stały gołe i niewesołe - ale gniew siostry ją uratował. To było przebudzenie.

- No wiesz, do nóżek padam, madame, ale to nie ja zrobiłam z własnej ręki siekany kotlet.

- Z niego nie mogłam, no nie? - odparła Amanda i bluznęła strumieniem zdumiewających inwektyw pod adresem Charliego Corriveau i jego młodej żony - mieszanka dorosłych sprośności i dziecinnych brzydkich słów, które Lisey przyjęła ze zdumieniem, rozbawieniem i uznaniem.

W przerwie na nabranie tchu Lisey wtrąciła:

- Gównozerny matkojebca? Ja cię.

Amanda, naburmuszona:

- Też się pieprz.

- Jeśli chcesz wrócić do domu, nie radziłabym ci tak się odzywać do doktora, który się zajmie tymi rękami.



- Myślisz, że jestem głupia, tak?

- Nie. Wcale. Ale... wystarczy, jeśli powiesz, że się na niego wściekłaś.

- Ręce mi znowu krwawią.

- Bardzo?

- Nie bardzo. Posmaruj wazeliną.

- Naprawdę? Nie będzie boleć?

- Miłość to ból - odparła uroczyście Amanda... a potem parsknęła śmiechem, który zrzucił kamień z serca Lisey.

Zanim razem z Darią zapakowała ją do własnego bmw i ruszyły do Norway, Manda już wypytywała o postępy z pracownią, całkiem jakby to był schyłek normalnego dnia. Lisey nie wspomniała o telefonie „Zacka McCoola”, ale opowiedziała im o Ike’u wracającym do domu i zacytowała jedyne zdanie na stronie: „Ike wrócił do domu z bamu i wszystko było świetnie. Baf! Koniec”. Chciała użyć tego słowa, tego bafa, w obecności Mandy. Chciała zobaczyć jej reakcję. Daria odezwała się pierwsza.

- Wysłaś za bardzo dziwnego człowieka - powiedziała.

- A to ci nowa nowość. - Lisey zerknęła w lusterko wsteczne, na Amandę siedzącą samotnie na tylnym siedzeniu. W splendorze samotności, jak by powiedziała Dobra Mama. - Co sądzisz, Manda?

Amanda wzruszyła ramionami i przez chwilę wydawało się, że to będzie jej jedyna reakcja. A potem bluznęło.

- Całkiem w jego stylu, no jasne. Raz zabrałam się z nim do miasta - chciał kupić rzeczy do pisania, a ja nowe buty. No wiesz, dobre buty do chodzenia, do lasu, na wędrówki, takie tam. I przypadkiem przejeżdżaliśmy koło Śmiesznego Sklepu w Auburn. Jeszcze tego nie widział i nie było zmiłuj, zatrzymał się i wszedł. Jakby miał dziesięć lat! Potrzebowałam tych gównochodów Eddiego Bauera, żeby chodzić po lesie i nie zginąć w mękach przez trujący bluszcz, a on mało nie wykupił tego powalonego sklepu. Swędzący proszek, prukawki, guma z pieprzem, plastikowe rzygowiny, okulary rentgenowskie, nie wiesz co, przytargał do kasy całą stertę, i jeszcze te lizaki, co jak się je zliże do końca, to w środku jest goła baba. Wydaliśmy chyba ze sto dolarów na to

gumno made in Taiwan. Pamiętasz?

Pamiętała. Przede wszystkim pamiętała, jak wrócił tego dnia do domu, z naręczem toreb z roześmianymi buźkami i słowami UBAW PO PACHY. Jakie miał zaróżowione policzki. A, i powiedział na to gumno, nie gównno, użył słowa, które przejął od niej, kto by pomyślał. No, życie jest okrągłe, jak mawiała Dobra Mama, choć gumno było słowem ich taty, i to Dandy czasami mawiał, że coś było na nic, więc to wypirzglem. Ależ to się spodobało Scottowi, powiedział, że to słowo pada z większym rozpędem niż „wyrzuciłem” albo nawet „wykopsnałem”.

Scott i jego połowy w językowym stawie, w opowieściowym stawie, w mitycznym stawie.

Smerdolony Scott Landon.

Niekiedy mogła nie myśleć, nie tęsknić za nim przez cały dzień. Bo dlaczego nie? Miała się czym zająć, a z nim czasem ciężko było się użerać i żyć. „Projekt”, mogliby powiedzieć starzy Jankesi, jak jej osobisty tatuś. Bywało, iż zdarzał się dzień, ponury, szary (albo słoneczny), kiedy dopadała ją tęsknota tak żrąca, że czuła się pusta, już wcale nie kobieta, ale suche drzewo, w którym świszczcze zimny listopadowy wichur. Tak właśnie czuła się teraz, jakby się na niego wydzieriała, jakby wydzieriała go do domu, aż ją głowa rozboleła od myśli o tych wszystkich przyszłych latach i zaczęła się zastanawiać, na co komu miłość, skoro do tego prowadzi, skoro można się tak czuć choćby przez dziesięć sekund.

## 8

Pierwszym dobrym wydarzeniem był dobry humor Amandy. Drugim było to, że Munsinger, lekarz dyżurny, nie był starym medycznym wróblem. Nie tak młody, jak to lekarzanko, które Lisey poznała podczas ostatniej choroby Scotta, ale zdziwiłaby się, gdyby miał ponad trzydziestkę. Trzecim dobrym wydarzeniem - choć nie uwierzyłyby, gdyby ktoś jej powiedział wcześniej - było przybycie ludzi z wypadku drogowego na drodze do Sweden.

Nie było ich, kiedy Lisey i Daria wprowadziły Amandę na pogotowie; poczekalnia świeciła pustkami, siedział tylko jakiś mniej więcej dziesięciolatek, z matką. Chłopak miał wysypkę, a matka co i rusz na niego warczała, żeby nie dotykał. Ciągle warczała, kiedy zostali wezwani do gabinetu. Pięć minut później mały wyszedł z bandażem na ręce i ponurym grymasem na buźce.

Matka niosła próbki maści i dalej warczała.

Pielęgniarka wyczytała nazwisko Amandy.

- Doktor Munsinger panią przyjmie, kochanie.

Ostatnie słowo wymówiła tak, jak to się robi w Maine, do rymu z „Hania”.

Amanda rzuciła najpierw Lisey, potem Darli wyniosłe, oburzone do czerwoności spojrzenie królowej Elżbiety.

- Wolę spotkać się z nim sam na sam - oznajmiła.

- Oczywiście, wasza tajemniczość - powiedziała Lisey i pokazała jej język. W tej chwili nie obchodziło jej, Czy zatrzymają tę chudą, kłopotliwą jędzę na noc, tydzień, czy rok z nawiązką. Kogo obchodzi, co Amanda wyszeptwała przy kuchennym stole, gdy Lisey klęczała u jej u stóp? Pewnie to jednak było paf, tak jak powiedziała Darli. A nawet jeśli w grę wchodziło to drugie słowo, naprawdę nie chciała jechać do domu Amandy, spać z nią w jednym pokoju i wdychać jej wariackie wyziewy, skoro miała we własnym domu bardzo przyzwoite łóżko. Smerdolona sprawa zamknięta, skarbiemój, powiedziałaby Scott.

- Tylko pamiętaj, co mówiłyśmy - dodała Daria. - Wściekłaś się i pocięłaś, bo go nie było. Już ci lepiej. Już po wszystkim.

Amanda rzuciła jej spojrzenie, którego Lisey absolutnie nie potrafiła rozszyfrować.

- To się zgadza - powiedziała. - Już po wszystkim.

## 9

Ludzie z wypadku z małego miasteczka Sweden przybyli zaraz potem. Lisey nie uważałyby tego za dobre wydarzenie, gdyby któreś z nich było poważnie ranne, ale tak się nie wydawało. Wszyscy mieli już opatrunki, a dwaj mężczyźni nawet się z czegoś śmiali. Tylko jedna dziewczyna, mniej więcej siedemnastoletnia, płakała. Miała krew we włosach i smarka na górnej wardze. Było ich w sumie sześcioro, niemal z całą pewnością z dwóch różnych pojazdów, a od tych roześmianych, z których jeden miał naderwany bark, bił mocny odór piwa. Nad całym

towarzystwem czuwali dwaj sanitariusze w kurtkach z napisem „Pogotowie East Stoneham” na cywilnych ubraniach, oraz dwaj gliniarze: stanowy i z hrabstwa. Natychmiast w małej poczekalni zrobił się tłok. Pielęgniarka, która powiedziała do Amandy „kochanie”, wystawiła na zewnątrz głowę, a po chwili młody doktor Munsinger zrobił to samo. Wkrótce potem ta nastolatka dostała spazmów i obwieściła wszem i wobec, że macocha ją zamordyzuje. Po chwili zgarnęła ją pielęgniarka (nie powiedziała do niej „kochanie”, zauważyła Lisey), a Amanda wyszła z GABINETU 2, niezdarnie hołubiąc własne próbki lekarstw. Z lewej kieszeni obszernych džinsów wystawały złożone recepty.

- Możemy jechać - oznajmiła Amanda, nadal tonem wielkiej damy.

Lisey pomyślała, że jest za dobrze, żeby się nie skiepsciło, z tym względnie młodym lekarzem dyżurnym, nowym dopływem pacjentów - i miała rację. Pielęgniarka wychyliła się z GABINETU 1 jak maszynista z pociągu i spytała:

- Panie są siostrami panny Debusher?

Lisey i Daria pokiwały głowami. Przyznajemy się, wysoki sędzie.

- Doktor chciałby z paniami porozmawiać. - Po czym schowała się do gabinetu, skąd nadal dobiegały łkania dziewczyny.

Dwaj piwni mężczyźni pod gabinetem znowu wybuchnęli śmiechem, a Lisey pomyślała: może coś z nimi nie tak, ale nie mogą być winni tego wypadku. I rzeczywiście, policjanci najbardziej interesowali się białym jak kreda chłopcem, rówieśnikiem dziewczyny z krwią we włosach. Inny chłopiec zarekwirował automat telefoniczny. Miał paskudnie rozcięty policzek, który Lisey zakwalifikowała do szycia. Trzeci czekał na swoją kolej, żeby zadzwonić. Nie miał widocznych ran.

Ręce Amandy były posmarowane białawą maścią.

- Powiedział, że szwy by się rozeszły - obwieściła Amanda, niemal z dumą. - A bandażę pewnie by się nie trzymały. Mam się tym smarować - fuj, cuchnie - i moczyć je trzy razy dziennie przez następne trzy dni. Dostałam jeden świstek na maść i drugi na roztwór. Kazał mi nie zginać za często palców. Muszę brać rzeczy między palce, o tak. - Uchwyciła dwoma palcami prawej ręki prehistoryczny egzemplarz „People”, podniosła lekko i upuściła.

Pojawiła się pielęgniarka.

- Doktor Munsinger prosi. Obie panie albo jedną. - Jej ton dawał wyraźnie do zrozumienia, że nie ma czasu do stracenia. Lisey siedziała z jednej strony Amandy, Daria z drugiej. Spojrzały na siebie, wychylając się zza niej. Amanda nie zwróciła na nie uwagi. Ze szczerym zainteresowaniem przyglądała się ludziom w poczekalni.

- Ty idź - powiedziała Daria. - Ja z nią zostanę.

## 10

Pielęgniarka zaprowadziła Lisey do GABINETU 2, po czym wróciła do łkającej dziewczyny, zaciskając usta tak mocno, że prawie znikły. Lisey usiadła na jedynym krześle w pomieszczeniu i spojrzała na jedyny obraz w pomieszczeniu: kudłaty cocker spaniel na polu żonkili. Po zaledwie paru chwilach (była pewna, że czekałaby dłużej, gdyby nie należała do zjawisk, których trzeba się szybko pozbyć), doktor Munsinger wbiegł do środka. Zamknął drzwi, odcinając hałaśliwe zawodzenie nastolatki i jednym chudym pośladkiem przysiadł na leżance.

- Jestem Hal Munsinger.

- Lisa Landon. - Wyciągnęła rękę. Doktor Hal Munsinger uściśnął ją krótko.

- Chciałbym zyskać więcej informacji o sytuacji pani siostry - do historii choroby, rozumie pani, ale jak pani widzi, jestem troszkę zajęty. Już wezwaliśmy posiłki, ale na razie mam wesołą nockę.

- Doceniam, że w ogóle znalazł pan czas - powiedziała Lisey, a jeszcze bardziej doceniła ten spokojny głos, który wyszedł z jej własnych, rodzonych warg. Był to głos mówiący: panuję nad wszystkim. - Chętnie zaświadczę, że moja siostra Amanda nie stanowi dla siebie zagrożenia, jeśli to pana niepokoi.

- No tak, pani wie, że trochę mnie to niepokoi, odrobinę, ale uwierzę pani na słowo. Jej też. Nie jest nieletnia, a w każdym razie widać wyraźnie, że nie była to próba samobójcza. - Patrzył na coś w karcie choroby. Nagle podniósł wzrok na Lisey, a jego spojrzenie było nieprzyjemnie przenikliwe. - Prawda?

- Prawda.

- Prawda. Z drugiej strony, nie trzeba Sherlocka Holmesa, żeby odgadnąć, iż nie jest to pierwszy przypadek samookaleczenia pani siostry.

Lisey westchnęła.

- Powiedziała, że się leczyła, ale jej lekarka wyjechała do Idaho.

Idaho? Alaska? Mars? Jaka różnica, ta koralowa suka wyjechała. A głośno powiedziała:

- Sądzę, że to prawda.

- Musi znowu zacząć nad sobą pracować, dobrze? I to szybko. Samookaleczenie to nie samobójstwo, tak samo jak anoreksja, ale w obu wypadkach to zachowania samobójcze, jeśli mnie pani rozumie. - Wyjął notes z kieszeni białego fartucha i zaczął gryzmolić. - Chciałbym polecić pani i pani siostrze pewną książkę. Nosi tytuł „Kaleczące zachowanie” i napisał ją...

- ...Peter Mark Stein - dokończyła Lisey.

Doktor Munsinger był zaskoczony.

- Mój mąż ją wyszukał po ostatnim... jak nazywa to pan Stein...

*{baf ostatni krwawy baf}*

Młody doktor Munsinger przyglądał się jej, czekał na resztę zdania.

*(no mówże Lisey powiedz to powiedz baf powiedz krwawy baf)*

Ze wszystkich sił uczepiła się rozpierzchniętych myśli.

- Po ostatnim, jak to nazywa Stein, upuszczeniu. Takiego terminu używa, prawda? Upuszczenie? - Głos miała nadal spokojny, ale czuła małe gniazdko potu w zagłębieniach na skroniach. Bo ten wewnętrzny głos miał rację. Czy upuszczenie, czy krwawy baf, bez różnicy. Wszystko to samo.

- Tak sądzą - odparł Munsinger - ale czytałem książkę parę lat temu.

- Jak powiedziałam, znalazł ją mój mąż, przeczytał, a potem kazał przeczytać mnie. Znajdę ją i dam mojej siostrze Darli. Mamy w okolicy jeszcze jedną siostrę. W tej chwili jest w Bostonie, ale kiedy wróci, jej też każę przeczytać. I będziemy pilnować Amandy. Bywa trudna, ale ją kochamy.

- No dobrze, to wystarczy. - Zsunął chudy tyłek z leżanki. Papierowa osłonka zaszeleściła. -

Landon. Pani mąż był tym pisarzem.

- Tak.

- Kondolencje z powodu straty.

Jedna z dziwniejszych rzeczy, kiedy jest się żoną sławnego człowieka: jeszcze po dwóch latach ludzie składają kondolencje. Pewnie tak samo będzie za kolejne dwa lata. I za dziesięć. Przygnębiające.

- Dziękuję panu, doktorze.

Pokiwał głową i wrócił do tematu, co jej sprawiło ulgę.

- Historie takich przypadków u kobiet dojrzałych są raczej mało zdokumentowane. Na ogół samookaleczają się...

To wystarczyło, żeby Lisey wyobraziła sobie, jak kończy: „smarkule takie jak ta rycząca w pokoju obok”, a potem z poczekalni dobiegł potężny łomot i krzyki. Drzwi do GABINETU 2 otworzyły się gwałtownie, stanęła w nich pielęgniarka. Zrobiła się jakby większa, jakby nagły problem ją nadął.

- Doktorze, może pan przyjść?

Munsinger nie przeproszał, tylko ruszył z kopyta. Lisey poczuła szacunek: ZPINOM.

Podeszła do drzwi w samą porę, by ujrzeć, jak dobry doktor niemal nokautuje tę płaczkę, która wyszła z GABINETU 1, wypatrując, co się święci, i jak potem popycha zagapioną Amandę w ramiona siostry tak mocno, że obie omal się nie przewróciły. Gliniarze stoją wokół tego chłopca bez widocznych obrażeń, który czekał w kolejce do telefonu. Teraz leży na podłodze, nieprzytomny albo zemdłony. Chłopak z rozcięciem na policzku dalej gada, jakby nigdy nic. To przypomina Lisey wiersz, który kiedyś przeczytał jej Scott - wspaniały, straszny wiersz, o tym, jak świat się toczy dalej i

*(gumno)*

mało go obchodzi, jak bardzo cierpisz. Kto jest autorem? Eliot? Auden? Ten, który napisał wiersz o śmierci strzelca pokładowego? Scott by wiedział. W tej chwili oddałaby ostatni grosz, gdyby mogła się do niego odwrócić i spytać, który z nich napisał ten wiersz o cierpieniu.

- Ale poradzisz sobie? - spytała Daria. Stała w otwartych drzwiach domku Amandy, jakąś godzinę później, łagodny czerwcowy wietrzyk łąsił się im do kostek i kartkował gazetę zostawioną na stoliku w przedpokoju.

Lisey skrzywiła się.

- Jeśli jeszcze raz o to spytasz, wyrzucę cię stąd na łeb. Będzie świetnie. Jakieś kakao - sama ją napoję, bo filiżanka to raczej niedobry po...

- Właśnie - powiedziała Daria. - Biorąc pod uwagę, co zrobiła z poprzednią.

- A potem do łóżeczka. Dwie stare panny Debusher, i nawet bez dildo.

- Bardzo śmieszne.

- A jutro wstajemy z kurami! Kawka! Płatki! Do apteki po lekarstwa! Do domu na kurację! A potem, Daria, twoja kolejka!

- Jeśli na pewno.

- Na pewno. Wracaj do domu i nakarm kota.

Daria rzuciła jej ostatnie powątpiewające spojrzenie, po którym nastąpiło lekkie cmoknięcie w policzek i jej osobisty wynalazek, boczny uścisk. Potem ruszyła do samochodu wariacką ścieżką. Lisey zamknęła drzwi, przekręciła klucz i spojrzała na Amandę, siedzącą na kanapie w bawełnianej koszuli, spokojną i odprężoną. Przez głowę przemknął jej tytuł starego gotyckiego romansu... czytała go w nastoletnich czasach. „Pani, czy przemówisz?”.

- Manda? - odezwała się cicho.

Amanda spojrzała na nią i te niebieskie oczy Debusherów były tak szeroko otwarte i ufne, że Lisey pomyślała, iż zdoła doprowadzić ją do tego, o czym chciała pomówić: do Scotta i bafów, Scotta i krwawych bafów. Jeśli Amanda dotrze tam o własnych siłach, może w nocy, kiedy już będą leżeć, to już inna sprawa. Ale jak ją tam naprowadzić po tym wszystkim, co ją dzisiaj spotkało?



*Ciebie też spotkało niejedno, laluniu.*

Na pewno, ale nie uważała, żeby to usprawiedliwiło zmęczenie spokoju, który malował się w oczach Amandy.

- O co chodzi, Lisey?

- Chcesz kakao przed snem?

Amanda się uśmiechnęła. Od razu odmłodziła.

- Kakao przed snem, cudnie.

Więc wypity kakao, a kiedy Manda nie mogła sobie poradzić z kubkiem, w kuchennej szufladzie znalazła obłądnie pokręconą plastikową słomkę - pasowałaby jak ulał do sklepu ze Śmiesznymi Rzeczami w Auburn. Zanim zanurzyła słomkę w kakao, pokazała ją siostrze (trzymaną jak w szczypcach między dwoma palcami, tak jak zalecił lekarz) i powiedziała:

- Patrz, to mój mózg.

Lisey straciła na chwilę mowę, nie mogąc uwierzyć, że naprawdę usłyszała żart Amandy. A potem zachichotała. Obie zachichotały.

## 12

Wypity kakao, później kolejno poszły umyć zęby, tak jak dawno temu w wiejskim domku, w którym dorastały, a potem poszły spać. Jak tylko lampka zgasła i w pokoju zrobiło się ciemno, Amanda wymówiła imię siostry.

Kurczaki, się zaczyna, pomyślała z niepokojem Lisey. Kolejne bluzgi pod adresem kochanego starego Charliego. A może... baf? Jednak coś na ten temat? A jeśli tak, to czy ja naprawdę chcę o tym słyszeć?

- Co, Manda?

- Dzięki, że mi pomagasz - powiedziała Amanda. - To mazidło od doktora skutkuje.

Potem odwróciła się na bok.

Lisey znowu się zdumiała - i już? Na to wyglądało, bo po paru chwilach oddech Amandy nabrał głębi i stromizny snu. Mogła się obudzić w nocy i domagać środka przeciwbólowego, ale na razie się zwinęła.

Lisey nie obiecywała sobie tyle szczęścia. Nie spała z nikim od tej ostatniej nocy, po której jej mąż wyruszył w ostatnią podróż i wyszła z wprawy. Poza tym musiała się zastanowić nad „Zackiem McCoolem”, nie wzmiankując już o jego pracodawcy, tym impotebilnym draniu Woodbodym. Wkrótce rozmówi się z tym Woodbodym. Nawet jutro. A na razie pogodzi się z paroma bezsennymi godzinami, może nawet z całą nocą, w fotelu na biegunach... jeśli oczywiście znajdzie w bibliotece Amandy coś godnego lektury...

Pani, czy przemówisz, pomyślała. Mogła to napisać Helen MacInnes. Z pewnością nie ten mężczyzna, który napisał wiersz o strzelcu pokładowym...

I z tą myślą zapadła w głęboki, mocny sen. Żadnych rojeń o latającym dywanie NAJLEPSZA MAKA. Ani o niczym innym.

### 13

Obudziła się w najgłębszej głębi nocy, kiedy nie ma księżycy i godzina jest żadna. Nie zdawała sobie sprawy, że nie śpi, ani że przytuliła się do ciepłych pleców Amandy tak, jak kiedyś do Scotta, ani że dopasowała kolana do wgłębień pod kolanami Mandy, tak jak kiedyś ze Scottem - w ich łóżku, w setkach motelowych łóżek. Cholera, może i w pięciu tysiącach, może w siedmiu, czy usłyszałem „tysiąc”, kto powiedział „tysiąc”, tysiąc po raz pierwszy. Myślała o bafach i krwawych bafach; o ZPINOM i jak czasami można tylko zwiesić głowę i czekać, aż wiatr się zmieni. Myślała, że jeśli mrok kochał Scotta, to była miłość prawdziwa, bo on ją odwzajemniał, tańczył z nim w sali balowej czasu, aż wreszcie wytańczył się poza nią.

Znowu to robię, pomyślała.

A Scott, którego miała w głowie (przynajmniej myślała, że to on, ale kto to wie), spytał: Dokąd idziesz, Lisey? Dokąd, skarbiemój?

Wracam do terażniejszości, odmyślała.

A Scott powiedział: Ten film się nazywał „Powrót do przyszłości”. Oglądaliśmy go wspólnie.

Pomyślała: To nie film, to nasze życie.

A Scot powiedział: Skarbie, zapięłaś pasy?

Pomyślała: Dlaczego kocham takiego

## 14

Idiota straszny, myśli. On jest idiota, a ja też jestem idiotka, że się z nim użeram.

Nadal stoi, patrząc na trawnik na tyłach domu. Nie chce go wołać, ale się denerwuje, bo dziesięć minut temu wyszedł z kuchni w ciemność godziny jedenastej w nocy, i co on może robić? Tam nie ma nic, tylko żywopłot i...

Z niedaleka dobiegł pisk opon, brzęk tłuczonego szkła, szczekanie psa, pijacki okrzyk wojenny. Innymi słowy, wszystkie odgłosy studenckiego miasteczka w piątkową noc. A ją kusi, żeby wrzasnąć na niego, żeby wracał, ale gdyby to zrobiła, gdyby wrzasnęła, toby wiedział, że już nie jest na niego wkurzona. Nie aż tak.

Bo nie jest. Rzecz w tym, że wybrał sobie bardzo kiepski piątek, żeby po raz szósty czy siódmy zjawić się w humorku i tym razem solidnie spóźniony. Mieli iść na jakiś film, na który się napalił - jakiegoś szwedzkiego reżysera nazwiskiem Ingmar Bergstein (mniej więcej), a ona się modliła, żeby to była wersja zdubbingowana, bez podpisów. Więc kiedy wróciła z roboty, na szybko wrzuciła jakąś sałatkę w nadziei, że potem Scott zabierze ją do „Niedźwiedziej Groty” na hamburgera. (Gdyby nie, ona zabrałaby jego). Potem zadzwonił telefon i spodziewała się, że to on, pomyślała, iż może zmienił zdanie i zapragnął ją zabrać do kina w centrum handlowym w Bangor na film z Redfordem (zlituj się, Boże, tylko nie na tańce w „Przystani” po ośmiu godzinach na nogach). Ale to była Daria, która chciała „tylko pogadać”, a potem zabrała się do właściwego zadania, czyli pomstowania na Lisey (znowu) za ucieczkę do Krainy Nigdy-Nigdy (określenie Darli) i zostawienie jej, Amandy i Cantaty z tymi problemami (przez które rozumiała Dobrą Mamę, która w roku 1979 była już Tłustą Mamą, Ślepą Mamą i, co najgorsze,

Zdemenciałą Mamą), podczas gdy Lisey tylko „się bawiła ze studentami”. Jakby kelnerowanie przez osiem godzin dziennie było taką radochą. Dla niej Kraina Nigdy-Nigdy była pizzerią o pięć kilometrów od miasteczka uniwersyteckiego Uniwerku Maine, a chłopcy od Piotrusia Pana to głównie studenci z bractwa, którzy ciągle usiłowali wsadzać łapska pod jej spódnice. Bóg jeden wie, że blade marzenia o podjęciu paru kursów - może wieczorowych - szybko się rozpierzchny i znikły. Nie rozumu jej brakło, tylko czasu i sił. Słuchała pomstowań Darli, usiłowała się hamować i oczywiście w końcu nie wytrzymała, skończyło się tak, że obie wrzeszczały na siebie przez dwieście trzydzieści kilometrów telefonicznych przewodów całą historię, która je łączyła. Było to coś takiego, co jej chłopak bez wątpienia nazwałby totalnym smerdolnikiem, a na koniec Daria powiedziała to, co zawsze:

- Rób, co chcesz - zresztą jak zawsze.

Potem nie miała już ochoty na sernik, który przyniosła z restauracji na deser, i na pewno nie chciała iść na żaden film żadnego Ingmara Steinsmerdka... ale chciała się spotkać ze Scottem. Bardzo. Bo przez te ostatnie miesiące, a zwłaszcza ostatnie cztery czy pięć tygodni, nauczyła się śmiesznie polegać na Scotcie. Może to żalosne - pewnie tak - ale miała jakieś szczególne poczucie bezpieczeństwa, kiedy ją obejmował, z innymi chłopakami tego nie doświadczała. Przy tamtych czuła raczej zniecierpliwienie albo nieufność. (Czasami przelotne pożądanie). Ale Scott miał w sobie dobroć, i od pierwszej chwili poczuła zainteresowanie - zainteresowanie nią - w które ledwie mogła uwierzyć, bo był o tyle mądrzejszy i taki utalentowany. (Dla Lisey dobroć znaczy więcej niż tamte pozostałe sprawy). Ale w końcu uwierzyła. A on mówił językiem, który od samego początku zaczęła gorliwie podchwytywać. Nie językiem Debusherów, ale tym, bardzo dobrze jej znanym - jakby mówiła nim we snach.

Ale na co komu rozmowa i tajny język, skoro nie ma z kim rozmawiać? Albo chociaż komu się wyplakać? Tego właśnie dzisiaj jej było trzeba. Jeszcze mu nie opowiadała o swojej chorej, popierdolonej rodzinie - o, przepraszam, posmerdolonej rodzinie, w scottomowie - ale dziś postanowiła to zrobić. Czuła, że w przeciwnym razie eksploduje od tej skondensowanej rozpacz. Więc oczywiście on musiał sobie wybrać akurat dzisiejszy wieczór - ze wszystkich innych - żeby ją wystawić do wiatru. A kiedy na niego czekała, usiłowała sobie wmówić, że Scott przecież nie może wiedzieć o jej najgorszej na świecie awanturze z wiedźmowatą starszą siostrą, ale z szóstej zrobiła się siódma, z siódmej ósma, czy słyszę dziewięć, tak jest, dziewięć, kto da więcej, a ona

poskubała trochę sernik, a potem go wyrzuciła, bo była w takim smerdo... nie, w pierdolonym złym humorze, że nie mogła jeść, mamy dziewiątą, czy ktoś zaproponuje dziesiątą, mamy dziesiątą i nadal ani jednego forda '73, ani jednego migającego reflektora, który by się zatrzymał przed jej mieszkaniem na North Main Street, a ona zrobiła się jeszcze bardziej wściekła, kto da więcej, czy ktoś powiedział „furia”?

Siedziała przez telewizorem z ledwie tkniętym kieliszkiem wina, nie widząc programu przyrodniczego, a jej gniew zmienił się w furię, i wtedy zyskała całkowitą pewność, że Scott nie wystawiłby jej tak zupełnie. Zrobi scenę, jak to mówią. W nadziei na zamoczenie frędzla. Kolejny połów Scotta ze słownego stawu, w którym wszyscy zarzucamy sieci, i jakże czarujący! Jakże czarujące były wszystkie! Było także: zrzucić ładunek, zamoczyć knota, zrobić zwierza o dwóch grzbietach, pobzykać i, bardzo elegancko, zarwać kawał dupy. Jakież to piotrusiowopanowe, a kiedy ona tak siedziała i nasłuchiwała, czy nie nadjeżdża ford fairlane '73 jej prywatnego Zaginionego Chłopca - nie można było nie poznać tego gardłowego bulgotu, jakby miał dziurę w tłumiku czy coś - pomyślała o Darli mówiącej „Rób, co chcesz, zresztą jak zawsze”. Tak, oto ona, lalunia Lisey, królowa świata, robi co chce, siedzi w tym wszawym mieszkanku, czeka na swojego chłopaka, który pojawi się pijany, jak również spóźniony, lecz mimo to złakniony kawałka dupy, bo wszyscy oni tego chcieli, był nawet taki żart: Hej, dzidzia, zapiekanka raz, kawa raz i ty raz-dwa. I proszę, oto siedzi w tej pokracznej tandetnej norze, bolą ją nogi, głowa, a w telewizorze - który śnieży, bo kupiona w supermarkecie antena była od początku posmerdolona - hiena pożera zdechłego królika. Lisey, królowa świata, i jej zachwycające życie.

A jednak kiedy wskazówki minęły ukradkiem dziesiątą, czy nie poczuła także podlej, wrednej, ukradkowej radości? Teraz, spoglądając z lękiem na mroczny trawnik, Lisey myśli, że odpowiedź brzmi: tak. Wie, że odpowiedź brzmi: tak. Bo siedząc tam z migreną i kieliszkiem czerwonej siary, patrząc na hienę żrącą królika i słuchając, jak narrator gęga: „Drapieżnik wie, że tak dobry posiłek może mu się nie trafić przez wiele dni”, nabrała dużej pewności, że kocha Scotta i że wie o nim to, co może go zranić.

Czy on też ją kocha? Czy jest jednym z tamtych?

Tak, ale w tej kwestii jego miłość była sprawą mniejszej wagi. Chodziło o to, jak na niego patrzyła: jak na równego. W przeciwieństwie do tych, których onieśmiał jego talent. Czasami

widziała, z jakim trudem przychodziło mu patrzenie w oczy obcych. Zrozumiała to, dzięki tej jego inteligentnej (czasem genialnej) gadce, pomimo tych dwóch wydanych powieści, mogła mu zadać dotkliwy ból, gdyby zapragnęła. A on, jak by powiedział tata, on się tak prosił, że żal w mordę nie dać. I to przez całe czarujące smerdolone - nie, poprawka - całe czarujące pierdolone życie. Dziś ten czar pryśnie. A kto go rozbije? Ona.

Lalunia Lisey.

Wyłączyła telewizor, poszła do kuchni z tym kieliszkiem wina i wylała je do zlewu. Już go nie chciała. Było nie tylko siarowate, ale kwaśne. Skwaśniało przez ciebie, pomyślała. Taka jesteś wkurzona. Nie wątpiła. Na parapecie nad zlewem stało rzęchowate stare radyjko, stare philco z pękniętą obudową. Należało do Dandy'ego; trzymał je w stodole i włączał przy robocie. To jedyna jego rzecz, którą Lisey posiadała. Trzymała radyjko na oknie, bo to jedyne miejsce, gdzie łąpało miejscowe stacje. Jodotha dała mu je na Gwiazdkę, i już wtedy było z drugiej ręki, ale on rozpakowawszy prezent, rozpromienił się tak, że twarz mu omal nie pękła, i jak on jej dziękował! Raz po raz! To Jodi była jego ukochaną córeczką i to Jodi przy obiedzie w niedzielę oznajmiła rodzicom - nie, cholera, im wszystkim - że jest w ciąży, a ten jej dzieciorób uciekł i został marynarzem. Chciała wiedzieć, czy ciocia Cynthia z Wolfboro w New Hampshire nie przygarnęłaby jej do czasu, aż dziecko będzie można „wystawić na adopcję” - tak powiedziała, jakby chodziło o wyprzedaż. Po tym obwieszczeniu przy stole zapadła nietypowa cisza. Był to jeden z nielicznych wypadków - może w ogóle jedyny - kiedy nieustanna szczękająca rozmowa noży i widelców uderzających o talerze, gdy siedmioro głodnych Debusherów ogałacało pieczeń aż do kości - ustała. W końcu Dobra Mama spytała: „Rozmawiałaś o tym z Bogiem, Jodotho?” A Jodi - a co, od razu z grubej rury: „To Don Cloutier mi zrobił brzuch, nie Bóg”. Na to tata odszedł od stołu i ulubionej córki bez jednego słowa i spojrzenia. Parę chwil później Lisey usłyszała to jego radio w stodole, bardzo cicho. Trzy tygodni później dostał pierwszego zawału. Teraz Jodi nie ma - choć jeszcze nie dotarła do Miami, to dopiero będzie, ale Daria wydzwania z pomstowaniem do Lisey, a dlaczego? Bo Canty stoi po stronie Darli, a telefonowanie do Jodi nic nie daje. Jodi jest inna od reszty córek Debusherów. Daria mówi, że jest zimna, Canty że samolubna, a obie nazywają ją nieczułą, ale Lisey uważa inaczej - to coś lepszego i szlachetniejszego. Z pięciu córek tylko Jodi naprawdę ocalała, tylko ona jest kompletnie niewrażliwa na opary poczucia winy, unoszące się ze starego rodzinnego tipi. Kiedyś te wyziewy produkowała Babunia D, potem ich matka, ale Daria i Canty palą się, żeby przejąć to zadanie, już

teraz rozumieją, że jeśli nazwie się ten trujący, uzależniający dym „obowiązkiem”, nikt nie każe gasić ognia. Co do Lisey, chciałyby być bardziej podobna do Jodi, żeby mogła się śmiać, kiedy dzwoni Daria, i mówić: „Nie zwracaj mi dupy, kochanie, jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz”.

## 15

Stoi w kuchennych drzwiach. Spogląda na długie, pochyłe podwórko. Chce go zobaczyć, jak się wyłania z ciemności. Chce go przywrzeszczeć do domu - tak, bardziej niż kiedykolwiek - ale uparcie wiąże jego imię za zębami. Czekala na niego cały wieczór. Poczekaj trochę dłużej.

Ale tylko trochę.

Zaczyna się bardzo bać.

## 16

Radio Dandy’ego odbiera wyłącznie na falach AM. Stacja WGUY przestaje nadawać po zachodzie słońca, ale kiedy Lisey płukała kieliszek, na WDER grali stare przeboje - jakiś idol z lat pięćdziesiątych śpiewał o młodzieńczej miłości - a potem poszła do salonu i bingo, oto on, stojący w progu z puszką piwa w jednej ręce i tym krzywym uśmiechem na pysku. Pewnie nie usłyszała jego forda przez tę muzykę. Albo przez łomot migreny. Albo i to, i to.

- Hej, Lisey - powiedział. - Przepraszam, że się spóźniłem. Strasznie przepraszam. Po wykładzie Davida Honorsa zaczęliśmy się kłócić o Thomasa Hardy’ego i...

Odeszła od niego bez słowa i wróciła do kuchni, znowu w muzykę. Jakaś grupa gości śpiewała „Sh-Boom”. Scott poszedł za nią. Wiedziała, że pójdzie, tak to już było. Wszystko, co chciała mu powiedzieć, podchodziło jej do gardła, żrące słowa, trujące słowa, a jakiś cichutki, przerażony głosik błagał, by ich nie mówiła, nie temu mężczyźnie, ale wypirzgała ten głosik w cholerę. W takim gniewie nie mogła inaczej.

On wskazał kciukiem radio i stwierdził, idiotycznie dumny ze swojej bezużytecznej wiedzy:

- To „The Chords”. Oryginalna czarna wersja.

Spojrzała na niego i powiedziała:

- Myślisz, że mnie obchodzi, kto śpiewa w radiu, kiedy przepracowałam osiem godzin i czekałam pięć na ciebie? I wreszcie pojawiaasz się kwadrans po jedenastej, uśmiech na twarzy, piwsko w łapie, i mówisz, że jakiś martwy poeta jest dla ciebie ważniejszy ode mnie?

Ten uśmiech nadal był na jego twarzy, ale bladł, kurczył się, aż został z niego tylko przykurcz i jeden płytki dołeczek. A jego oczy się zaszkliły. Ten cichy przerażony głosik znowu powtórzył ostrzeżenie, które znów zlekceważyła. Sprawa szła na noże. Kochała go. W tym blednącym uśmiechu i rosnącym bólu w jego oczach zobaczyła, że on też ją kocha, i to bardziej niż myślała. Zrozumiała, że to daje jej większą moc sprawienia mu bólu. Nigdy nie znajdzie mężczyzny bardziej otwartego i bezbronnego niż on w tej chwili.

Stojąc na progu kuchni, czekając, aż wróci, nie pamiętała tego wszystkiego, co mu powiedziała, tylko że każda kolejna rzecz była gorsza, lepiej przysposobiona do sprawiania bólu. W pewnej chwili z przerażeniem zdała sobie sprawę, że mówi jak Daria w najgorszym humorze - kolejna rycząca Debusherka - i wtedy po jego uśmiechu nie został nawet cień. Patrzył na nią poważnie, i przestraszyła się, takie wielkie były jego oczy, tak powiększone tą wilgocią migoczącą na ich powierzchni, że aż jego twarz prawie znikła. Urwała w połowie tyrady o tym, że Scott ma zawsze brudne paznokcie i gryzie je jak szczur przy czytaniu. Urwała w chwili, kiedy z centrum nie dobiegał warkot żadnego samochodu, pisk żadnych opon, ani jeden daleki dźwięk ze „Skaly”, gdzie grała weekendowa kapela. Ta cisza była potworna, a ona zdała sobie sprawę, że chce wszystko odwołać, ale nie potrafi. Najprostsze - „I tak cię kocham, Scott, chodź do łóżka” - przyjdzie jej do głowy dopiero potem. Dopiero po bafie.

- Scott, ja...

Nie miała pojęcia, co dalej i wydawało się, że nie było potrzeby. Scott uniósł palec wskazujący lewej ręki, jak nauczyciel, który pragnie wygłosić szczególnie ważne zdanie, a na jego wargach znowu zamajaczył uśmiech. Coś w rodzaju uśmiechu.

- Poczekaj - powiedział.

- Mam poczekać?

Ucieszył się, jakby pojęła trudną koncepcję.



- Poczekaj.

I zanim zdołała cokolwiek powiedzieć, po prostu pomaszerował w mrok, wyprostowany, prościutko (alkohol z niego wywietrzał), w opinających dżinsach, kołysząc szczupłymi biodrami. Raz zawołała za nim: Scott...? - ale znowu podniósł ten palec: poczekaj. Potem mrok go połknął.

## 17

A teraz ona stoi i spogląda ze strachem na trawnik. Wyłączyła światło w kuchni myśląc, że tak łatwiej go dojrzy, ale choć na podwórku u sąsiadów jest latarnia, mrok się zaczyna w połowie zbocza. Na podwórku obok szczeka ochryple pies. Pies nazywa się Pluto, Lisey to wie, bo tamci ludzie wrzeszczą na niego od czasu do czasu, dużo mają z tych wrzasków. Wydawało się jej, że przed chwilą gdzieś brzęknęło szkło: tak jak szczekanie, blisko. Bliżej niż inne dźwięki zamieszkujące tę niespokojną, niedobłą noc.

Dlaczego, no dlaczego musiała się tak na niego wydrzeć? Nawet nie chciała oglądać tego głupiego szwedzkiego filmu! I dlaczego to jej sprawiło przyjemność? Taką podłą, nieczystą przyjemność?

Nie znajduje odpowiedzi. Późnowiosenna noc oddycha słodko wokół niej, a właściwie jak długo on siedzi ukryty w tych ciemnościach? Tylko dwie minuty? Może pięć? Wydaje się, że dłużej. I ten dźwięk tłuczonego szkła, czy ma coś wspólnego ze Scottem?

Tam jest szklarnia. Parks.

Nie ma powodu, żeby serce zaczęło bić szybciej, ale bije. I ledwie Lisey zaczyna czuć ten przyspieszony rytm, widzi jakiś ruch za tym punktem gdzie jej wzrok już nie sięga. Czuje ulgę, która jednak nie rozprasza strachu. Ciągle myśli o tym brzęku szkła. A on idzie jakoś dziwnie. Dumna, prosta postawa znikła.

Teraz Lisey woła go, ale z gardła wydobywa się tylko szept:

- Scott?

Jednocześnie jej ręka zaczyna pełznąć po murze, do przełącznika światła na ganku.

Głos jest cichy, ale mroczna postać człapiąca przez trawnik - tak, ona człapie, nie idzie, powłóczy nogami - unosi głowę w tej samej chwili, gdy dziwnie odrętwiałe palce Lisey odnajdują kontakt i włączają światło.

- To baf, Lisey! - krzyczy Scott w chwili, gdy światło rozbłyskuje, i czy sam mógłby to lepiej wyreżyserować? Lisey uważa, że nie. W jego głosie słychać wariacką, radosną ulgę, jakby wszystko naprawił. - Ale nie zwykły, to krwawy baf!

Jeszcze nigdy nie słyszała tego słowa, ale nie mogłaby go pomylić z niczym innym, z żadnym trafem, pafem, zupełnie niczym. To baf, kolejne scottosłowo, w dodatku nie zwykły baf, tylko krwawy baf. Kuchenne światło spływa na trawnik na jego powitanie, a on wyciąga ku niej lewą rękę jak dar, Lisey jest pewna, że to ma być dar, tak jak jest zupełnie pewna, że pod tym czymś jest jeszcze dłoń, o zlitujcie się, Jezusie, Maryjo i Józiu Cieńślo, niech tam będzie jeszcze dłoń, bo inaczej tę książkę, którą teraz pisze, i wszystkie pozostałe będzie musiał wystukiwać jedną ręką. Bo tam, gdzie była jego lewa dłoń, teraz jest ociekająca, czerwona miazga. Krew spływa spomiędzy tej rozcapierzonej rozgwiazdy, która była kiedyś jego dłonią, a kiedy Lisey biegnie na jego spotkanie, potykając się na schodkach ganku, usiłuje liczyć rozcapierzone czerwone macki, jeden dwa trzy cztery i o dzięki Ci Boże, piąty, chyba kciuk. Wszystko na miejscu, ale jego dżinsy są obryzgane krwią, a on wyciąga do niej zakrwawioną, poszatkowaną rękę, którą przebił grubą szybę cieplarni, przedarłszy się przez żywopłot na końcu trawnika, żeby się do niej dostać. Teraz podaje jej ten dar, w akcie odkupienia za spóźnienie, ten krwawy baf.

- To dla ciebie - mówi, a ona zdiera z siebie bluzkę, owija nią czerwoną, ociekającą masę, czuje, że materiał natychmiast przesiąka na wylot, czuje to wariackie gorąco i wie - oczywiście - dlaczego cichy wewnętrzny głosik był tak przerażony tym, co wykrzykiwała, by zranić Scotta, że wiedział od początku: ten mężczyzna nie tylko ją kocha, ale też jest trochę zakochany w śmierci i bardziej niż chętnie zgodzi się z każdą podłą i bolesną rzeczą, jaką inni o nim powiedzą.

Inni?

Nie, nie całkiem. Nie jest aż tak podatny. Tylko ci, których kocha. Lisey nagle uświadamia sobie, że nie tylko ona ani słowem nie wspomniała o swojej przeszłości.

- To dla ciebie. Żeby pokazać, że żałuję i więcej tego nie zrobię. To baf. To...

- Scott, cicho bądź. Już dobrze. Wcale się...

- To się nazywa krwawy baf. Bardzo wyjątkowy. Tatuś powiedział mnie i Paulowi...

- Nie jestem zła. Nigdy nie byłam na ciebie zła.

Scott zatrzymuje się u stóp połamanych tylnych schodków, wytrzeszcza na nią oczy. Z taką miną przypomina dziesięciolatka. Ma rękę owiniętą niezdarnie jej bluzką, która wygląda jak rękawica rycerska; kiedyś żółta, teraz rozkwitła czerwienią. Lisey stoi na trawniku w staniku Maidenform, trawa łaskocze ją w gołe kostki. Mętne żółte światło, które na nich spływa z kuchni, rzuca głęboki zakrzywiony cień między jej piersi.

- Przyjmiesz go?

Wpatruje się w nią z dziecinnym przejęciem. Na chwilę zniknęło z niego wszystko, co męskie. Lisey widzi cierpienie w jego nieustępliwym, niepoczonym spojrzeniu i wie, że poszatkowana ręka tak go boli, ale nie wie, co powiedzieć. To ją przerosło. Udało się jej zrobić mu coś w rodzaju kompresu na tę straszną rzeźnię, którą urządził sobie na dłoni, ale teraz jest jak sparaliżowana. Czy istnieje jakieś odpowiednie słowo, które można powiedzieć w takiej sytuacji? A co ważniejsze, czy istnieje nieodpowiednie? Takie, które znowu go doprowadzi do szaleństwa?

Scott jej pomaga.

- Jeśli przyjmiesz baf... zwłaszcza krwawy baf... to sprawa załatwiona. Tatuś tak powiedział. Tatuś pedział mi i Paulowi.

„Pedział” zamiast „powiedział”. Cofnął się do wymowy z czasów dzieciństwa. Ja cię kręcę. Ja cię kręcę w obie ręce.

- Więc pewnie go przyjmę, bo i tak nie zamierzałam oglądać żadnego szwedzkiego klopa z podpisami. Nogi mnie bolą. Chciałam iść z tobą do łóżka. A teraz patrz, zamiast tego jedziemy na smerdalone pogotowie.

On kręci głową, powoli, ale zdecydowanie.

- Scott...

- Skoro nie byłaś zła, czemu krzyczałaś i powiedziałaś tę całą złamazię?

Ta cała złamazia. Pewnie kolejna pocztówka z dzieciństwa. Lisey to odnotowuje w pamięci i odkłada do późniejszego zbadania.

- Bo nie mogłam nawrzeszczeć na moją siostrę - odpowiada. Wydaje jej się, że to zabawne i parska śmiechem, śmieje się ze wszystkich sił, i ten dźwięk tak nią wstrząsa, że zaczyna płakać. I zaczyna się jej kręcić w głowie. Siada na schodkach ganku, bo wydaje jej się, że zaraz zemdleje.

Scott siada obok niej. Dwudziestoczterolatek, włosy sięgają mu prawie ramion, na twarzy ma dwudniową szczecinę i jest chudy jak linijka. Lewą rękę spowija bluzka Lisey, jeden rękaw się odkręcił i zwisa. Scott całuje jej tętniącą bólem skroń i spogląda na nią z idealnym, życzliwym zrozumieniem. Kiedy się odzywa, ma już prawie własny głos.

- Rozumiem - mówi. - Rodziny są do dupy.

- A jak - szepcze ona.

Scott obejmuje ją ramieniem - lewym, które ona już nazywa bafowym, tym swoim darem w wariacką piątkową noc.

- Nie muszą mieć znaczenia - mówi dziwnie kojącym tonem. Jakby przed chwilą nie zrobił ze swojej lewej ręki krwawiącej siekanki. - Słuchaj, Lisey: ludzie potrafią zapomnieć wszystko.

Spogląda na niego z powątpiewaniem.

- Naprawdę?

- Tak. Teraz jest nasz czas. Ty i ja. To się liczy.

Ty i ja. Ale czy ona tego chce. Teraz, kiedy się okazało, jak nietrwała jest jego równowaga? Teraz, kiedy już widzi, jak może wyglądać ich życie? Potem myśli, jak dotknął wargami jej skroni, w tym specjalnym tajnym miejscu i myśli: może chce. Czy każdy cyklon nie ma oka?

- Naprawdę? - pyta.

Przez kilka chwil on nie odpowiada. Tylko ją obejmuje. Od strony pozał się Boże śródmieścia Cleaves dobiega warkot samochodów i dziki, skowyczący śmiech. Jest piątkowy wieczór i Zagubieni Chłopcy się bawią. Ale nie tu. Tu pachnie jej podłużne, pochyłe podwórko, zmierzające we śnie w lato, tu szczeka Pluto pod latarnią w sąsiedztwie, i są objęcia tego mężczyzny. Nawet mokry ciepły nacisk jego krwawiącej dłoni daje ukojenie, naznacza gołą skórę jej korpusu jak pieczęć.

- Skarbie - mówi on w końcu.

Cisza.

I:

- Skarbiemój.

Dla Lisey Debusher, lat dwadzieścia dwa, zmęczonej rodziną i równie zmęczonej samotnym życiem, to już wystarczy. W końcu wystarczy. On przywrzeszczał ją do domu, i w mroku poddaje się temu całemu Scottowi. Od tej pory aż do samego końca nigdy się nie obejrzy za siebie.

## 18

W kuchni Lisey rozwija bluzkę i ogląda ranę. Ten widok przywołuje kolejną falę mdłości, która najpierw podrzuca ją w górę, w jasne światło, a potem zjeżdża z nią w stronę mroku; Lisey musi walczyć, żeby zachować przytomność i udaje się jej dzięki słowom: on mnie potrzebuje. Potrzebuje, żebym zawiozła go na pogotowie.

Jakoś udało mu się nie przeciąć żył, które są tak blisko pod skórą na przegubie - cud błękitnooki - ale dłoń jest rozcięta w co najmniej czterech różnych miejscach, gdzieś skóra zwisa jak tapeta, a trzy palce, które tata nazywał grubymi, także są poranione. Clou programu to potworna rana na przedramieniu, z której wystaje trójkątny kawał grubego zielonego szkła, jak płetwa rekina. Lisey słyszy własne nieświadome „auć!”, kiedy on wyciąga szkło - niemal od niechcenia - i wrzuca do śmieci. Trzyma jej zakrwawioną bluzkę pod dłonią, pocziwie uważając na podłogę. Na linoleum pada jednak parę kropel, ale potem ma zdumiewająco mało sprzątanego. W kuchni jest wysoki stółek, na którym Lisey czasem siada, obierając jarzyny albo nawet zmywając talerze (kiedy człowiek jest osiem godzin dziennie na nogach, siada gdzie może), a Scott przyciąga go jedną stopą, żeby móc na nim usiąść, trzymając ociekającą rękę nad zlewem. Zaraz powie jej, co robić.

- Musisz jechać na pogotowie - przekonuje ona. - Scott, bądź rozsądny! W rękach jest pełno ścięgien i różnych! Chcesz, żeby była niesprawna? Bo może być! Naprawdę! Jeśli się martwisz, co powiedzą, to możesz coś wymyślić, zawsze wymyślasz jakieś historie, a ja to potwier...

- Jeśli jutro będziesz jeszcze chciała, żebym pojechał, to pojedziemy - zapewnia on. Teraz

jest już w pełni dawnym sobą, racjonalnym, uroczym i niemal hipnotyzująco przekonującym. - Nie umrę tej nocy, krwotok prawie ustał, a poza tym... wiesz, jak jest na pogotowiu w piątkową noc? Parada pijaków! Sobotni poranek będzie od cholery lepszy. - Już się do niej uśmiecha, tym uśmiechem „skarbie, jestem debeściak”, który po prostu wymusza uśmiech zwrotny, a ona się stara opierać, ale przegrywa. - Poza tym wszyscy Landonowie szybko zdrowieją. Musimy. Zaraz ci pokażę, co zrobić.

- Zachowujesz się, jakbyś przebił ręką już z dziesięć szyb.

- Nie - mówi on i jego uśmiech trochę się warzy. - Aż do dziś nigdy nie wybiłem oka żadnej szklarni. Ale wiem co nieco o ranach. Tak, jak Paul.

- To twój brat?

- Tak. Nie żyje. Przynies miednicę ciepłej wody, dobrze? Ciepłej, ale nie gorącej.

Chce mu zadać masę pytań o jego brata

*(Tatuś pedział mi i Paulowi)*

o którym nie wiedziała, ale nie pora na to. Nie będzie go męczyć, żeby pojechali na pogotowie, na razie. W tej chwili nawet gdyby się zgodził pojechać, to Lisey nie wie, czyby zdołała go dowieźć, tak się roztrzęsła w środku. A on miał rację, krwotok wyraźnie ustaje. Dzięki Bogu choć za to.

Lisey wyjmuje spod umywalki białą plastikową miedniczkę (z supermarketu, po siedemdziesiąt dziewięć centów) i nalewa do niej ciepłej wody. Scott płaska w nią dłoń. Najpierw nie jest źle - macki krwi leniwie sunące ku powierzchni wody nie robią wielkiego wrażenia na Lisey - ale kiedy Scott zaczyna delikatnie ugniatać rękę, woda robi się różowa, a Lisey się odwraca i pyta, dlaczego na miłość Boską znowu rozrywa rany.

- Żeby na pewno się oczyściły - mówi. - Muszą być czyste, kiedy pójde... - urywa, a potem kończy: - ...do łóżka. Mogę zostać na noc, tak? Mogę?

- Tak - mówi ona. - Oczywiście.

A myśli: Nie to chciałeś powiedzieć.

Scott kończy moczenie ręki i sam wylewa krwawą wodę, żeby ona nie musiała tego robić. Potem pokazuje jej rękę. Mokre i lśniące rozcięcia wyglądają mniej niebezpiecznie, a jednak

jakoś bardziej okropnie, jak krzyżujące się skrzela, w których róż pogłębia się do czerwieni.

- Mogę wykorzystać twoją herbatę, Lisey? Odkupię ci, obiecuję. Niedługo dostanę honorarium. Ponad pięć patoli. Mój agent przysięga na honor swojej matki. Powiedziałem mu, że dziwi mnie, że ją ma. Nawiasem mówiąc, to żart.

- Wiem, aż tak głupia nie jestem...

- W ogóle nie jesteś.

- Scott, po co ci całe pudełko herbaty?

- Przynieś, to się dowiesz.

Lisey przynosi herbatę. Scott, nadal siedząc na wysokim stołku i posługując się jedną ręką, znowu napełnia miednicę nie za gorącą wodą. Potem otwiera pudełko liptona w torebkach.

- Paul to wymyślił - dodaje z ożywieniem. Rozradowanie typowe dla dziecka, myśli ona. Patrz, jaki superancki samolot skleiliśmy zupełnie sam, patrz, jaki zrobiłem niewidzialny atrament z „Małego chemika”. Wrzuca do miednicy torebki, osiemnaście jak leci. Natychmiast zaczynają zabarwiać wodę mętnym bursztynem, opadając na dno miednicy. - Trochę piecze, ale działa bardzo bardzo. Patrz!

Działa bardzo bardzo, odnotowuje Lisey. Znowu to dziecinne słownictwo.

Scott wkłada rękę w tę słabą herbatę i przez chwilę jego wargi się cofają, ukazują zęby, krzywe i trochę odbarwione.

- Ciut boli - przyznaje - ale działa. Działa bardzo bardzo.

- Tak - mówi Lisey. To dziwne, ale jej się wydaje, że to może mieć naprawdę jakieś korzystne działanie - zapobiegać infekcji, wspomagać leczenie, albo i to, i to. Chuckie Delorme, kucharz z restauracji, jest wielkim fanem „Insidera”, a Lisey czasami mu go podczytuje. Parę tygodni temu przeczytała na ostatniej stronie artykuł na temat rewelacyjnych właściwości herbaty, jest dobra na wszystko. Oczywiście na tej samej stronie było o tym, że w Minnesocie znaleźli szkielet Wielkiej Stopy. - Pewnie masz rację.

- Nie ja, Paul. - Jest ożywiony, odzyskał rumieńce. Prawie jakby się w ogóle nie zranił, myśli Lisey.

Scott robi ruch brodą w stronę kieszeni na piersiach.

- Papierośnij mnie, skarbiemój.

- Nie powinieneś palić z takimi...

- Dobrze, dobrze.

Więc wyjmując paczkę z kieszeni na piersiach, wkłada mu w usta papierosa i zapala. Wonny dym (zawsze będzie kochać ten zapach) unosi się błękitną wstążką ku wybrzuszonemu, zalanemu wodą sufitowi. Lisey ma ochotę zapytać o bafy, a konkretnie krwawe bafy. Coś jej zaczyna świtać.

- Scott, czy twoi rodzice wychowywali ciebie i brata?

- Nie, nie. - Papierosa trzyma w kąciку ust, mruży jedno oko przed dymem. - Mamcia zmarła przy porodzie. Tatuś zawsze mówił, że ją zabiłem, bo byłem taki ślamazara i opaśluch. - Śmieje się, jakby opowiedział najśmieszniejszy dowcip świata, ale to także nerwowy śmiech, śmiech dzieciaka ze sprośnego kawału, który nie całkiem rozumie.

Lisey nic nie mówi. Boi się.

On spogląda na krwistą herbatę w miednicy, gdzie ginie jego ręka. Gwałtownie zaciąga się herbaterem tareytonem, na końcu papierosa rośnie dżdżownica popiołu. Z tym zmrużonym okiem Scott wygląda jakoś inaczej. Nie jak ktoś obcy, ale inaczej. Jak...

No, na przykład jak starszy brat. Ten, który nie żyje.

- Ale tatuś pedział, to nie moja wina, że kimnąłem, jak był czas wychodzić. Powiedział, że powinna mnie zdzielić, żebym się obudził, a nie zdzieliła, i że za duży urosnął, i ona za to zapłaciła, baf, koniec. - Śmieje się. Popiół z jego papierosa spada na blat. Scott tego nie zauważa. Patrzy na dłoń w bagnistej wodzie, ale nic nie mówi.

Co stawia Lisey przed delikatnym dylematem. Ma zadać następne pytanie czy nie? Boi się, że Scott nie odpowie, że na nią warknie (warknąć to on umie, tyle już Lisey wie, czasami bywa na jego wykładach z literatury współczesnej). Boi się także, że odpowie. Pewnie odpowie.

- Scott? - Bardzo cicho to brzmi.

- Mmm? - Papieros jest wypalony prawie w trzech czwartych do tego czegoś, co wygląda jak



filtr, ale w herbertach tareytonach to tylko ustnik.

- Czy tato kazał ci robić baf?

- Krwawe bafy, jasne. Za to, że tchórzylimy, albo żeby wypuścić złamazię. Paul robił dobre bafy. Dla zabawy. To jak szukanie skarbu. Idziesz za wskazówkami „Baf! Koniec!” i dostajesz nagrodę. Cukierka albo colę. - Znowu popiół spada mu z papierosa. Scott nie odrywa spojrzenia od krwawej herbaty w miednicy. - Ale tatuś daje całusa. - Spogląda na nią, a Lisey nagle pojmuję, że on wszystko wie, wie o jej lęku przed pytaniem i odpowiada najlepiej jak umie. Najlepiej jak się ośmiela. - To nagroda tatusia. Pocałunek, kiedy przestaje boleć.

## 19

W apteczce nie znajduje takiego bandaża, jak trzeba, więc w końcu oddziera długie pasma z prześcieradła. To stare prześcieradło, ale i tak go szkoda - przy pensji kelnerki (wspieranej nędznymi napiwkami od Zagubionych Chłopców i tylko trochę większymi od stołującego się u Pata ciała pedagogicznego) nie może sobie pozwalać na łupienie bieliźniarki. Ale kiedy pomyśli o tych przecinających się ranach na jego ręce - i tym głębszym, dłuższym skrzelu na ramieniu - nie waha się.

Scott zasypia niemal w chwili, kiedy dotyka głową poduszki w jej idiotycznie wąskim łóżku. Lisey myśli, że przez jakiś czas będzie leżeć bezsennie, przetrawiając to, co jej powiedział. Tymczasem zasypia niemal natychmiast.

Budzi się tej nocy dwa razy, najpierw na siusiu. Łóżko jest puste, Lisey idzie na oślep do łazienki, podkasując po drodze zbyt wielki podkoszulek Uniwersytetu Maine i mówi:

- Scott, pospiesz się, dobrze, bardzo mi się chce...

Ale kiedy wchodzi do łazienki, lampka, która zawsze się tam pali, ukazuje puste pomieszczenie. Scotta tam nie ma. I nie ma podniesionej klapy od ubikacji, którą zawsze zostawia, kiedy przychodzi siknąć.

Nagle Lisey przestaje myśleć o siusianiu. Nagle przejmują ją przerażenie, że on obudził się z bólu, przypomniał sobie, co jej powiedział i nie wytrzymał tych - jak je nazywają w „Insiderze”

Chuckiego? - odzyskanych wspomnień.

Czy dopiero je odzyskał, czy po prostu się nimi nie dzielił? Lisey nie wie tego na pewno, ale wie, że dziecinny język, którym przez chwilę mówił, był jakiś upiorny... a przypuścimy, że wrócił do szklarni, żeby dokończyć dzieła? I tym razem zabrać się za gardło, nie rękę?

Lisey rusza ku mrocznej paszczy kuchni - w mieszkanku jest tylko kuchnia i sypialnia - i kątem oka dostrzega Scotta, skulonego w łóżku. Śpi jak zwykle, w tej półłodowej pozycji, z kolanami prawie przy piersi, czołem dotykając ściany (kiedy na jesieni się wyprowadzą, w tym miejscu zostanie blady, ale widoczny znak - piętno Scotta). Powiedziała mu parę razy, że miałby więcej miejsca, gdyby spał z brzegu, ale nie chce. Teraz się lekko porusza, sprężyny skrzypią, a we wpadającym przez okno świetle ulicznej latarni Lisey widzi ciemne skrzydło włosów na jego policzku.

Przecież nie było go w łóżku.

Ale jest, leży od ściany. Jeśli Lisey ma jakieś wątpliwości, może włożyć rękę pod tę taflę włosów, podnieść ją, zważyć na dłoni.

Więc może tylko mi się przyśniło, że odszedł?

To już ma jakiś sens - mniej więcej - ale kiedy Lisey wraca do łazienki i siada na sedesie, znowu przychodzi jej do głowy: jego tam nie było. Kiedy wstałam, to smerdalone łóżko było puste.

Potem podnosi deskę, bo gdy on wejdzie do toalety, będzie zbyt zaspany, żeby o tym pamiętać. Potem wraca do łóżka. Dociera do niego już w półśnie. Scott jest przy niej i tylko to się liczy. Na pewno.

## 20

Po raz drugi nie budzi się z własnej woli.

- Lisey.

To Scott, potrząsa nią.

- Lisey, laluniu.

Ona się opiera, miała ciężki dzień - cholera, ciężki tydzień - ale Scott się uparł.

- Lisey, budź się!

Lisey spodziewa się, że oczy jej porazi poranne światło, ale jest ciemno.

- Scott? Sooest?

Chce spytać, czy znowu krwawi, czy bandaż, który mu nałożyła, się osunął, ale te konstrukcje myślowe są zbyt potężne i misterne dla zaspanego umysłu. „Sooest” musi wystarczyć.

Scott pochyla się nad nią, zupełnie obudzony. Jest radośnie ożywiony, nie przestraszony, nie obolały. Mówi:

- Nie możemy tak żyć.

To ją budzi jak ta lala, bo to straszne. Co on chce powiedzieć? Zrywa z nią?

- Scott? - Ręką maca po podłodze, szuka zegarka, przygląda mu się zaspana. - Jest kwadrans po czwartej rano! - Ma rozdrażniony, zdesperowany głos, i tak się w końcu czuje, ale jest także przerażona.

- Lisey, musimy mieć prawdziwy dom. Kupić. - Scott kręci głową. - Nie, nie w tę stronę. Powinniśmy się pobrać.

Zalewa ją fala ulgi; Lisey osuwa się na poduszkę. Zegarek wypada jej z rozluźnionych palców na podłogę. Nie szkodzi; timex to zegarek typu grzmotnie pała, a on działa. Po uldze następuje zdumienie: właśnie się jej oświadczone, jak jakiejś damie z romansu. A po uldze następuje mały rozpalony do czerwoności piecyk przerażenia. Facet, który się jej oświadcza (przypomnijmy: kwadrans po czwartej rano), to ten sam, który wczoraj ją wystawił do wiatru, poszatkował sobie rękę, kiedy na niego z tego powodu nawrzeszczała (i z paru innych powodów, no dobrze, fakt), a potem przywędrował do niej z tą zranioną ręką, jak z jakimś smerdolonym gwiazdkowym prezentem. To człowiek, o którego zmarłym bracie dowiedziała się dopiero tego wieczora, i który rzekomo zabił własną matkę, bo... jak to ujął wielki pisarz? Bo „urosnął za duży”.

- Lisey?

- Cicho siedź, Scott, myślę.

Ale tak trudno myśleć, księżyc zaszedł i godzina jest żadna, cokolwiek by twierdził zaufany timex.

- Kocham cię - powiedział łagodnie Scott.

- Wiem. Też cię kocham. Nie o to chodzi.

- Może o to - mówi on. - To znaczy, że mnie kochasz. Dokładnie o to. Od czasu Paula nikt mnie nie kochał. - Długa pauza. - I pewnie tatusia.

Lisey podpira się na łokciu.

- Scott, tłumy ludzi cię kochają. Kiedy czytasz tę ostatnią książkę... i tę, co teraz piszesz... - Marszczy nos. Ta nowa książka nazywa się „Puste diabły”, a to, co z niej przeczytała i co on czytał na głos, wcale się jej nie podoba. - Kiedy czytasz, przychodzi prawie pięćset osób! Musieli cię przenieść z foyer do audytorium Haucka! Gdy skończysz, zaliczysz owacje na stojąco!

- To nie miłość, to ciekawość. A tak między nami jaskiniowcami, to właściwie występ dziwoląga. Kiedy człowiek wydaje pierwszą powieść w wieku dwudziestu jeden lat, to dużo się dowiaduje o pokazie dziwolągów, nawet jeśli to dziadostwo kupują tylko biblioteki i nie wychodzi w wersji broszurowej. Ale ciebie nie obchodzi cudowne dziecko...

- Obchodzi... - Już się obudziła, przynajmniej prawie.

- Tak, ale... papierośnij mi, skarbiemój. - Papierosy leżą na podłodze, w szylkretowej popielniczce, którą ona trzyma specjalnie dla niego. Podaje mu ją, wkłada papierosa do ust i zapala. Zapach tytoniowego dymu jest słodki w tych ciemnościach. Scott mówi dalej: - Ale obchodzi cię, czy myję zęby...

- No tak...

- I czy szampon leczy mnie z łupieżu czy go mnoży...

To jej o czymś przypomina.

- Kupiłam butelkę tego tegrinu, co ci mówiłam. Jest pod prysznicem. Spróbuj.

On parska śmiechem.

- Widzisz? Widzisz? Idealny przykład. Masz holistyczne podejście.

- Nie znam tego słowa - mówi ona z grymasem.

Scott zgniata wypalonego w jednej czwartej papierosa.

- To znaczy, że patrzysz na mnie od stóp do głów i od lewej do prawej i wszystko dla ciebie znaczy to samo.

Lisey zastanawia się nad tym, kiwając głową.

- Chyba tak.

- Nie wiesz, jak to jest. Przez całe dzieciństwo byłem... czymś tam. Przez ostatnie sześć lat czymś innym. Teraz jest lepiej, ale i tak dla większości ludzi, tutaj i w Pittsburghu Scott Landon jest tylko... świętą szafą grającą. Wrzucić parę doliców, to wypłuje smerdoloną historyjkę. - Nie jest zły, ale ona czuje, że mógłby się stać zły. Z czasem. Jeśli nie będzie miał bezpiecznego schronienia, bezpiecznej przystani. I tak, mogłaby być tą osobą. Mogłaby stworzyć takie miejsce. On by jej pomógł. Do pewnego stopnia już to zrobili.

- Ty jesteś inna, Lisey. Poznałem to od pierwszego wejrzenia, tego Bluesowego Wieczora w foyer na uniwerku - pamiętasz?

Jezusie, Maryjo i Józiu Cieśło, czy ona pamięta. Tego wieczora poszła na uniwersytet, żeby popatrzeć na wystawę Hartgena przed audytorium, usłyszała dobiegającą z holu muzykę i zajrzała, ot tak, właściwie dla kaprysu. On przyszedł parę minut później, rozejrzał się po sali wypełnionej niemal do ostatniego miejsca i spytał, czy miejsce na kanapie, na której siedziała, jest zajęte. Lisey o mało co nie zrezygnowała z tego koncertu. Gdyby zrezygnowała, zdążyłaby na autobus o ósmej trzydzieści do Cleaves. Tak niewiele brakowało, żeby dziś w nocy leżała w tym łóżku sama. Od tej myśli nachodzą ją takie uczucia, jak kiedy się wygląda z wysokiego okna.

Ale o tym nie mówi, tylko kiwa głową.

- Dla mnie jesteś jak... - Scott milknie, potem się uśmiecha. Boski uśmiech, choć krzywe te zęby i w ogóle. - Jesteś jak staw, do którego wszyscy schodzimy, żeby pić. Opowiadałem ci o stawie?

Lisey znowu kiwa głową i się uśmiecha. Nie opowiadał, niedokładnie jej, ale słyszała, jak o tym mówi podczas czytania książek i tych wykładów, na których bywała, entuzjastycznie przez niego zapraszana, siedząc na samym końcu sali w Boardmanie 101 albo Małej 112. Kiedy mówi

o tym stawie, zawsze wyciąga ręce, jakby w nim zanurzał dłonie, jakby z niego coś wyciągał - może moworybki. Uroczy, chłopiący gest. Używa określenia „mityczny staw”, czasem „słowostaw”. Mówi, że za każdym razem, kiedy nazywamy kogoś zgniłym jabłkiem albo twardym orzechem, pijemy z tego stawu albo łapiemy kijanki przy brzegu; że za każdym razem, kiedy wysyłamy na wojnę i śmierć dziecko, bo kochamy flagę i nauczyliśmy dziecko ją kochać, pływamy w tym stawie... zapuszczamy się na głębie, gdzie krążą także te olbrzymie sztuki z wielkimi zębami.

- Stałem przed tobą i zobaczyłaś mnie całego - mówi on. - Kochasz mnie wzdłuż i wszerz, i nie za jakąś historyjkę, którą napisałem. Kiedy zamykasz drzwi i świat zostaje na zewnątrz, stoimy na równym poziomie, oko w oko.

- Scott, jesteś ode mnie o wiele wyższy.

- Wiesz, o czym mówię.

Pewnie wie. I jest zbyt wzruszona, żeby w samym środku nocy zgadzać się na coś, czego rano mogłaby pożałować.

- Porozmawiamy rano - mówi. Zabiera jego przybory do palenia i odkłada na podłogę. - Poproś mnie wtedy, jeśli jeszcze będziesz chciał.

- O, będę - mówi on z całkowitym przekonaniem.

- Zobaczymy. Na razie spać.

Odwraca się na bok. Teraz leży niemal zupełnie wyprostowany, ale kiedy zapada w sen, zaczyna się kulić. Kolana podejną do wąskiej piersi, a czoło, za którym pływają te egzotyczne historybki, dotknie ściany.

Znam go. Przynajmniej zaczynam go poznawać.

I ogarnia ją następna fala miłości do niego i musi zamknąć usta, żeby nie wypuścić niebezpiecznych słów. Takie słowa trudno cofnąć, jeśli już raz się je wypowie. Chyba to niemożliwe. Więc tylko przyciska piersi do jego pleców i brzuch do gołego tyłka. Za oknem cyka parę bezsennych świerszczy, a Pluto haruje na nocnej zmianie. Znowu zagarnia ją sen.

- Lisey? - Jego głos dochodzi prawie z innego świata.

- Hmm?

- Wiem, że nie podobają ci się „Diabły”...

- Nnnznoszę - mamrocze, co w jej stanie jest wybitnym osiągnięciem; odpływa, odpływa, odpływa.

- Tak, nie tylko ty. Ale mój wydawca jest zachwycony. Mówi, że ludzie z Sayler House uznali, że to horror. Proszę bardzo. Jak mówi to stare powiedzonko? Nazywaj mnie jak chcesz, tylko zaproś na kolację.

Odpływa. Jego głos dochodzi z długiego ciemnego korytarza.

- Carson Foray ani mój agent nie muszą mi tłumaczyć, że za „Puste diabły” nakupuję sobie dużo dobrych rzeczy. Koniec z bidowaniem, Lisey. Mam wiatr w żagle, ale nie chcę płynąć sam. Chcę, żebyś była ze mną.

- Sichsko. Iśpaś.

Nie wie, czy poszedł, czy nie, ale przynajmniej raz jakimś cudem (cudem błękitnookim) Scott Landon zamknął jadaczkę.

## 21

Lisey Debusher budzi się w sobotni poranek o niemożliwie luksusowej godzinie dziewiątej rano i czuje zapach smażonego bekonu. Na podłodze i łóżku słońce kładzie się olśniewającym pasem. Lisey wstaje i idzie do kuchni. Scott smaży bekon, ma na sobie tylko majtki, a Lisey z przerażeniem dostrzega, że zdjął bandaż. Kiedy zaczyna się pieklić, on mówi po prostu, że go swędziało.

- Poza tym - dodaje, wyciągając do niej rękę (tak jej to przypomina chwilę, gdy się wyłonił wczoraj z cienia, że musi powstrzymać dreszcz) - w świetle dnia nie wygląda tak źle, nie?

Lisey bierze jego rękę, pochyla się nad nią, jakby chciała z niej powróżyć i patrzy, patrzy, dopóki Scott nie odbierze jej dłoni, bo bekon mu się przypala. Nie jest zdumiona, nie jest zadziwiona, to uczucia zarezerwowane być może na mroczne noce i ciemne pokoje, nie na promienne weekendowe poranki, kiedy radyjko na parapecie gra tę cichą kowbojską piosenkę, której nigdy nie rozumiała, ale zawsze lubiła. Nie zdumiona, nie zadziwiona... ale zbita z tropu.

Przychodzi jej do głowy tylko tyle, że rany musiały się jej wydać o wiele poważniejsze, niż były naprawdę. Że spanikowała. Bo te rany, choć daleko im do draśnień, zdecydowanie nie są takie straszne. Nie tylko zeszyły się im brzegi, ale już się na nich robią strupy. Gdyby pojechali na pogotowie, pewnie kazaliby im spadać.

*Wszyscy Landonowie szybko zdrowieją. Musieliśmy.*

Tymczasem Scott wyjmuje chrupiący bekon z patelni na podwójnie złożone papierowe ręczniki. Zdaniem Lisey może i dobrze pisze, ale smaży jak anioł. Przynajmniej jeśli się naprawdę przyłoży. Choć trzeba by mu kupić nowe gacie, te są dość komicznie obwisłe na tyłku, a gumka lada chwila pożegna się z tym światem. Lisey sprawdzi, czy można go przymusić do kupna nowych, kiedy przyjdzie to obiecane honorarium, i oczywiście nie myśli o bieliźnie; jej umysł pragnie porównać to, co widziała wczoraj - te głębokie, obrzydliwe skrzela, z różem pogłębiającym się do wątrobowej czerwieni - z tym, co jest w ofercie tego ranka. Jest to przejście z etapu głębokiej rany do ranki, i czy naprawdę uważa, że ludzie tak szybko dochodzą do siebie, może z wyjątkiem przypadków biblijnych? Ale czy naprawdę? Przecież nie przebił ręką szyby w oknie, tylko w szklarni, co jej przypomina, że muszą coś z tym zrobić, Scott będzie musiał...

- Lisey.

Wyrwana z zadumy przekonuje się, że siedzi przy kuchennym stole, nerwowo ugniatając podkoszulek między udami.

- Co?

- Jedno czy dwa jajka?

Zastanawia się.

- Dwa. Chyba.

- Na twardo czy lejko?

- Na lejko - odpowiada.

- Pobierzemy się? - pyta dokładnie tym samym tonem, prawą ręką rozbijając dwa jajka na raz i wrzucając na patelnię, ćplank.

Lisey uśmiecha się lekko, nie z tego rzeczowego tonu, ale z nieco archaicznego wyrażenia, i zdaje sobie sprawę, że wcale nie jest zdziwiona, Spodziewała się tego... jak to się nazywa, tej



reaktywacji, pewnie zastanawiała się nad jego oświadczeniami w jakiejś głębokiej głębi umysłu nawet we śnie.

- Na pewno? - pyta.

- Na pewno pewnik - odpowiada on. - Co o tym sądzisz, skarbiemój?

- Skarbmój sądzi, że to jakiś plan.

- Dobrze - mówi Scott. - Bardzo dobrze. - Pauza. I: - Dziękuję.

Przez minutę lub dwie żadne się nie odzywa. Na parapecie stare pęknięte radyjko wygrywa muzykę, której tata Debusher nigdy nie słuchał. Na patelni skwierczą jajka. Lisey jest głodna. I szczęśliwa.

- Jesienią - mówi.

On kiwa głową, sięga po talerz.

- Dobrze. Październik?

- Może za szybko. Powiedzmy koło Święta Dziękczynienia. Zostały jakieś jajka dla ciebie?

- Jedno, i tylko to jedno mi w głowie.

- Nie wyjdę za ciebie, jeśli nie kupisz nowej bielizny.

Scott się nie śmieje.

- Więc jest to sprawa numer jeden.

Stawia przed nią talerz. Bekon i jajka. Lisey jest strasznie głodna. Zabiera się do jedzenia, a on wbija ostatnie jajko na patelnię.

- Lisa Landon - mówi. - Co sądzisz?

- Sądzę, że to brzmi. To... jak to się nazywa, kiedy wszystkie słowa zaczynają się od tego samego?

- Aliteracja.

- Aha. - Teraz ona to powtarza. - Lisa Landon. - Podobnie jak jajka, ma dobry smak.

- Lalunia Lisey Landon - mówi on i rzuca jajko w powietrze. Jajko fika dwa razy i ląduje prosto w bekonowym tłuszczu, plask.

- Czy ty, Scotcie Landonie, obiecujesz zapiąć pasy i nie dać się smerdołom rozpiąć? - pyta ona.

- Zapięci w zdrowiu i chorobie - zgadza się on i zaczynają się śmiać jak chore dranie, a radio gra w blasku słońca.

## 22

Przy Scotcie dużo się śmiała. A tydzień później rany na jego dłoni, łącznie nawet z tą na ramieniu, prawie się zarosły. I nawet blizna nie została.

## 23

Kiedy Lisey budzi się znowu, nie wie już, kiedy jest - teraz czy wtedy. Ale do pokoju zakradło się już dość porannego światła, żeby dostrzegła tę chłodnoniebieską tapetę i morski widoczek na ścianie. Więc to sypialnia Amandy, i jest w porządku, ale jest także nie w porządku: wydaje się jej, że to sen o przyszłości, który śni w tamtym wąskim wynajętym łóżku, tym samym, w którym przez większość nocy śpi ze Scottem, i będzie spać aż do ślubu w listopadzie.

Co ją obudziło?

Amanda była do niej odwrócona i Lisey nadal tuliła się do niej jak łyżeczka, z piersiami na jej plecach, brzuchem przy chudym tyłku Mandy, ale co ją obudziło? Nie musi siku... to znaczy nie bardzo, więc co...?

Amando, powiedziałaś coś? Chcesz coś? Może pić? Może kawałek szkła ze szklarni, żeby sobie ciachnąć żyły?

To wszystko przemknęło jej przez głowę, ale właściwie nie chciała się odzywać, bo przyszła jej do głowy nader osobliwa myśl. Myśl, że choć widzi siwiejącą szybko czuprynę Amandy i falbankę przy jej nocnej koszuli, to leży ze Scottem. Tak! Że w którymś momencie tej nocy Scott... co? Zakradł się poprzez soczewki wspomnień Lisey do ciała Amandy? Coś koło tego.

Dobra, pomysł jest śmieszny, ale i tak nie chce jej się odzywać - boi się, że Amanda odpowie jej głosem Scotta. A co wtedy? Krzyczeć? Krzyczeć, jakby ducha zobaczyła, jak mówi przysłowie? Oczywiście pomysł jest absurdalny, ale...

*Ale patrzcie tylko na nią. Jak śpi, z podkulonymi kolanami i pochyloną głową. Gdyby tu była ściana, pewnie dotknęłaby jej czołem. Nic dziwnego, że ci się wydało...*

I wtedy, w tym przedświcie o piątej rano, z twarzą odwróconą od Lisey, Amanda przemówiła.

- Skarbie - mówi.

Długa pauza.

I:

- Skarbiemój.

Jeśli wewnętrzna temperatura Lisey spadła poprzedniego wieczora o trzydzieści stopni, to teraz runęła w dół o sześćdziesiąt, bo choć głos, który wymówił te słowa, niezaprzeczalnie należał do kobiety, należał także do Scotta. Lisey przeżyła z nim prawie dwadzieścia cztery lata. Potrafi się połapać, jak Scott do niej mówi.

To sen, tłumaczy sobie. Dlatego nawet nie wiem, czy jest wtedy, czy teraz. Gdybym się odwróciła, zobaczyłabym unoszący się w kącie latający dywan NAJLEPSZA MAKA.

Ale nie może się odwrócić. Przez długi czas nie może w ogóle drgnąć. Wreszcie to narastające światło każe jej przemówić. Noc się prawie kończy. Jeśli Scott wrócił - jeśli ona naprawdę nie śpi i nie śni - to musiał mieć powód. I na pewno nie chce jej skrzywdzić. Nigdy. Przynajmniej... nie umyślnie. Ale czuje, że nie potrafi wymówić jego imienia. Ani Amandy. Oba nie pasują. Oba brzmią źle. Widzi własną rękę, chwytającą Amandę za ramię i odwracającą do siebie. Czyją twarz zobaczy pod siwiejącą grzywką Mandy? A gdyby Scotta? O słodki Boże, niech.

Zbliża się dzień. I nagle Lisey wie na pewno, że jeśli się nie odezwie, zanim wzejdzie słońce, drzwi między przeszłością i teraźniejszością się zatrzasną i wszelka nadzieja na uzyskanie odpowiedzi zniknie.

Więc nieważne imiona. Nieważne, kto naprawdę siedzi w tej koszuli.

- Dlaczego Amanda powiedziała „baf”? - pyta. Jej głos w tym pokoju - jeszcze mrocznym, lecz już się rozjaśniającym, jaśniejącym - brzmi ochryple, matowo.

- Zostawiłem ci bafa - odpowiada ta osoba w łóżku, osoba, której tyłka dotyka brzuch Lisey.

Bożebożeboże to złamazia jeśli istnieje złamazia to ona...

A potem: weź się w garść. Zapnij te pieprzone pasy. Ale już!

- Czy to... - Głos ma jeszcze bardziej suchy i matowy. A w pokoju zbyt szybko robi się jasno. Słońce lada chwila wyłoni się zza horyzontu. - Czy to krwawy baf?

- Krwawy baf cię czeka - mówi ten głos, z bladym cieniem żalu. A podobny do głosu Scotta że no. A jednak brzmi też jak głos Amandy, i to przeraża Lisey jeszcze bardziej.

Potem głos robi się weselszy.

- Ale teraz będzie dobry baf, Lisey. Jest za fioletowym. Już znalazłaś trzy pierwsze stacje. Jeszcze parę i dostaniesz nagrodę.

- Jaką nagrodę?

- Picie. - Odpowiedź pada natychmiast.

- Fanta? Cola?

- Cicho bądź. Chcemy patrzeć na malwy.

Ten głos przemówił z dziwną, nieskończoną tęsknotą, i co w nim znajomego? Dlaczego zabrzmiało to jak jakieś imię, a nie zielsko? Czy za tą fioletową zasłoną, która czasami odgradza od niej własne wspomnienia, kryje się coś jeszcze? Teraz nie pora o tym myśleć, a zwłaszcza pytać, bo przez okno przebił się ukośny czerwony promień. Lisey czuje, że czas odzyskuje ostrość i, przerażona, doznaje mocnego kolnięcia żalu.

- Kiedy nadejdzie krwawy baf? - pyta. - Powiedz.

Nie ma odpowiedzi. Wiedziała, że nie będzie, a jednak robi się rozdrażniona, to rozdrażnienie wypełnia miejsce zgrozy i zdumienia, które były tam jeszcze przed chwilą, zanim słońce wyjrzało zza horyzontu, rozsiewając promienie.

- Kiedy nadejdzie? Cholera, kiedy? - Już krzyczy i szarpie to ramię w białej koszuli nocnej, na tyle mocno, że aż włosy podskakują... i ciągle nie ma odpowiedzi. Teraz wpada już w furję.

- Nie baw się ze mną w ten sposób, Scott, kiedy?

Tym razem szarpnęła ramię w koszuli nocnej, zamiast tylko nim potrząsnąć, i to drugie ciało w łóżku bezwładnie się odwróciło. Oczywiście to Amanda. Oczy miała zamknięte i ciągle oddychała, nawet miała lekki rumieniec na policzkach, ale Lisey rozpoznała to tysiackilometrowe spojrzenie starszej siostry Mandusi-trusi, to z innych rozwodów z rzeczywistością. I nie tylko jej. Nie była już pewna, czy to Scott do niej przyszedł, czy też tylko się łudziła w tym stanie półsnu, ale jednego była całkiem pewna: gdzieś w trakcie tej nocy Amanda znowu odeszła. Tym razem może na zawsze.

**Część druga**

**ZPINOM**

**Lisey i baaardzo długi czwartek (stacje bafa)****1**

Nie trzeba było wiele myśleć, żeby się połapać, iż to coś o wiele gorszego niż którykolwiek z trzech poprzednich rozbratów Amandy z rzeczywistością - tych okresów „pasywnej semi-katatonii”, jak się wyraziła doktorka. Tak, jakby zwykle irytująca, a czasem kłopotliwa siostra stała się wielką oddychającą lalką. Lisey zdołała (z dużym wysiłkiem) posadzić Amandę i przyciągnąć ją na skraj łóżka, ale ta kobieta w białej bawełnianej koszuli nocnej - która może przemówiła, a może nie przemówiła głosem zmarłego męża Lisey na parę chwil przed świtem - nie reagowała na swoje imię, czy to wypowiedane, czy wołane, czy krzyczane, niemal w rozpacz, prosto w jej twarz. Siedziała nieruchomo z rękami na kolanach i wzrokiem wbitym w młodszą siostrę. Kiedy Lisey się cofnęła, Amanda gapiła się twardo w puste miejsce po niej.

Lisey poszła do łazienki, zmoczyła ręcznik zimną wodą, a kiedy wróciła, Amanda już opadła na łóżko, z nogami na podłodze. Lisey zaczęła ją ciągnąć w górę, ale przestała, kiedy pośladki Amandy, już bliskie skraju łóżka, zaczęły się zsuwać. Gdyby się dalej upierała, Amanda wylądowałaby na podłodze.

- Mandusiu-trusiu!

Tym razem zero reakcji na to dziecinne przezwisko. Lisey zdecydowała się walnąć z grubej rury.

- Duża siostruniu Mandusiu-trusiu!

Nic. Zamiast się przestraszyć (co pewnie wkrótce nastąpi), Lisey dała się zagarnąć takiej wściekłości, jakiej Amanda nigdy nie zdołała z niej wykrzesać, nie żeby nie próbowała.

- Dość! Dość tego, dźwignij tę dupę na łóżko i usiądź jak człowiek!

Nic. Zero. Pochyliła się, otarła martwą twarz Amandy zimnym ręcznikiem i nie uzyskała w ten sposób nic. Te otwarte oczy nawet nie mrugnęły, kiedy przejechał po nich ręcznik. Teraz to

Lisey się naprawdę przeraziła. Spojrzała na radio z budzikiem przy łóżku i stwierdziła, że właśnie minęła szósta. Mogła zadzwonić do Darli, nie martwiąc się, że obudzi Matta, który spał snem sprawiedliwego w Montrealu, ale nie chciała. Jeszcze nie. Telefon do Darli będzie oznaczać przyznanie się do porażki, a na to nie była jeszcze gotowa.

Okrzyżła łóżko, chwyciła Amandę pod pachy i pociągnęła do tyłu. Było trudniej, niż się spodziewała, patrząc na chude ciało siostry.

*Bo to jest martwy balast, skarbiemój. Dlatego.*

- Zamknij się - powiedziała, nie mając pojęcia, do kogo. - Na kłódkę.

Usiadła na łóżku, ściskając kolanami uda Amandy, z rękami po obu stronach jej szyi. W tej pozycji dominującej kochanki mogła patrzeć wprost w odwróconą, skamieniałą twarz siostry. Podczas poprzednich epizodów Manda była posłuszna... niemal tak, jak ktoś zahipnotyzowany, myślała kiedyś Lisey. Tym razem wyglądało to zupełnie inaczej. Miała tylko nadzieję, że się myli, bo rano człowiek musi zrobić pewne rzeczy. Jeśli oczywiście ten człowiek pragnie wieść życie w zaciszu swego domku.

- Amanda! - ryknęła w twarz siostry. I, na dodatek, i jedynie z lekkim poczuciem śmieszności (w końcu nie było tu nikogo oprócz nich dwóch): - Duża siostruniu! Mandusiu-trusiu! Masz! Wstać! I iść! Do wychodka! I usiąść! Na kibelku! Na kibelku! Na KIBELKU, Mandusiu-trusiu! Na trzy! RAZ... i DWA!... i i TRZY! - Na TRZY Lisey znowu wyszarpnęła siostrę do pozycji siedzącej, ale Amanda ciągle nie chciała wstać.

Raz, mniej więcej dwadzieścia po szóstej, Lisey zdołała ją zwlec z łóżka i ustawić jakby w przykucku. Tak się czuła, kiedy kupiła pierwszy samochód, pinto rocznik 1974, i po dwóch ciągnących się w nieskończoność minutach silnik wreszcie zapalił i warknął, po czym akumulator wyzionął ducha. Ale Amanda, zamiast się wyprostować i dać się zaprowadzić do wygodki, znowu padła na łóżko - w dodatku krzywo, tak że Lisey musiała za nią skoczyć, chwycić ją pod pachy i pociągnąć, klnąc, żeby siostra nie wylądowała na podłodze.

- Zgrywasz się, dziwko! - wrzasnęła, doskonale wiedząc, że Amanda nie udaje. - No to już! No to dalej... - Usłyszała własne wrzaski - obudzi panią Jones z naprzeciwka, jeśli się nie uspokoi - i z wysiłkiem ściszyła głos. - No to sobie tu leż. Proszę bardzo. Ale jeśli myślisz, że przez cały dzień będę skakać wokół ciebie, toś się pomyliła jak nigdy w życiu. Schodzę na dół, żeby zrobić



kawę i owsiankę. Jeśli to pięknie zapachnie waszej wysokości, to wrzaśnij. Albo nie wiem, wyślij smerdolonego posłańca.

Nie wiadomo, czy coś zapachniało pięknie dużej siostruni Mandusi-trusi, ale Lisey pachniało, zwłaszcza kawa. Wypiła jeden kubek czarnej gorzkiej jeszcze przed owsianką, a potem z podwójną śmietanką i cukrem. Popijając tę drugą, myślała: teraz potrzeba mi tylko papieroska i pociągnę ten dzień jak kucyk. Jednego smerdolonego salema lighta.

Jej umysł usiłował zbroczyć ku snom i wspomnieniom z dopiero co minionej nocy (**SCOTT I LISEY! PIERWSZE LATA**, a jak, pomyślała), ale nie pozwoliła. Nie pozwoliła mu też zbadać, co się jej przydarzyło po przebudzeniu. Na to będzie czas później, nie teraz. Teraz miała na głowie dużą siostrunię.

A przypuśćmy, że duża siostrunia znalazła ładną różową jednorazową maszyneczkę do golenia na szafce w łazience i zdecydowała, że podetnie nią sobie żyłki? Albo gardziółko?

Zerwała się od stołu, myśląc, czy Daria zdążyła usunąć ostre przedmioty z łazienki na górze... i w ogóle z pokojów na górze. Na schody wbiegła truchtem, prawie galopem, przerażona, co może znaleźć w sypialni, dobijając się wyobrażeniem pustego łóżka z dwoma wgniecionymi poduszkami. Amanda leżała na miejscu, wciąż wpatrzona w sufit. Najwyraźniej nie drgnęła nawet o centymetr. Lisey poczuła ulgę, po której nadeszły złe przecucia. Usiadła na łóżku, wzięła rękę siostry. Była ciepła, ale martwa. Zgięła jej palce, ale dalej były bezwładne. Jak z wosku.

- Amanda, co my z tobą zrobimy?

Żadnej odpowiedzi.

A potem, ponieważ były same, nie licząc ich odbić w lustrze, Lisey powiedziała:

- Scott chyba ci tego nie zrobił, co, Manda? Proszę cię, powiedz, że to nie dlatego, że... nie wiem... wszedł?

Amanda nie odpowiedziała i po chwili Lisey zajęła się poszukiwaniem łazienki, czy nie ma w niej ostrych przedmiotów. Daria chyba jednak tu była, bo znalazła tylko jedno nożyczki do paznokci w głębi dolnej szuflady małej skromnej toaletki, nieznającej pięknych toalet. Oczywiście w rękę fachowca i to by wystarczyło. Przecież nawet ojciec Scotta

*(cicho Lisey nie Lisey)*

- Dobrze - powiedziała, zaniepokojona tą paniką, która zalała jej usta smakiem miedzi, tym fioletowym światłem, które rozkwitło w jej głowie, gdy zacisnęła dłoń na małych nożyczkach. - Dobrze, nieważne. Było, minęło.

Ukryła nożyczki za plikiem zakurzonych próbek szamponu wysoko w szafce na ręczniki, a potem - ponieważ nic innego nie przychodziło jej do głowy - wzięła prysznic. Kiedy wyszła z łazienki, zobaczyła wielką mokrą plamę, rozpościerającą się wokół bioder Amandy i zrozumiała, że oto ma przed sobą coś, czego siostry Debusher nie rozpracują o własnych siłach. Podłożyła ręcznik pod przemoczone siedzenie Amandy. Potem zerknęła na zegarek na nocnej szafce, westchnęła, wzięła słuchawkę i wykręciła numer Darli.

## 2

Lisey usłyszała Scotta w głowie poprzedniego dnia, głośno i wyraźnie: zostawiłem ci wiadomość, skarbiemój. Uznała go za własny głos wewnętrzny, naśladowujący Scotta. Może tak było - pewnie tak - ale o trzeciej po południu tego baaardzo długiego, upalnego czwartku, kiedy siedziała z Darią w kawiarni „U Papcia” w Lewiston, jedno wiedziała na pewno: Scott zostawił jej diabelny pośmiertny podarek. Diabelny baf, słowami Scotta. Dzień był drański, ale byłby o wiele gorszy bez Scotta Landona, nieważne, że umarł dwa lata temu.

Daria wyglądała na dokładnie tak wykończoną, jak Lisey. Gdzieś po drodze znalazła czas, żeby się podmalować, ale nie starczyło jej amunicji, żeby zamaskować podkowy pod oczami. Na pewno nie zostało w niej śladu po wścieklej lasce po trzydziestce, która w latach siedemdziesiątych uparła się, żeby dzwonić do Lisey raz na tydzień i wydzierać się na temat rodzinnych obowiązków.

- O czym myślisz, laluniu? - odezwała się dziś.

Lisey sięgała po puszkę z paczuszkami słodzika. Na dźwięk głosu Darli zmieniła kurs, wzięła staromodną dozownicę z cukrem i sypnęła sobie sążnisty strumień.

- Myślałam, że to był Czwartek Kawy - powiedziała. - Głównie Czwartek Kawy z

Prawdziwym Cukrem. To moja dziesiąta.

- Moja też - odparła Daria. - Latałam do wychodka z pół tuzina razy i zaraz się znowu wybieram, zanim opuścimy tę uroczą instytucję. Dzięki niech będą Bogu za pepcid AC.

Lisey zamieszała kawę, skrzywiła się i pociągnęła łyk.

- Na pewno chcesz ją spakować?

- No, ktoś musi to zrobić, a ty wyglądasz jak śmierć na krakersie.

- Dzięki po pachy.

- Jeśli siostra nie powie ci prawdy, to kto ci powie?

Lisey słyszała to od niej tysiące razy, włącznie z „Obowiązek nie prosi o pozwolenie” i numero uno na darlowej Liście Przebojów Wszech Czasów: „W życiu nie ma sprawiedliwości”. Dziś to jej nie zabolalo. Nawet obudziło cień uśmiechu.

- Skoro chcesz, to nie będę się handryczyć o ten przywilej.

- Przecież powiedziałam, że chcę, właśnie powiedziałam, że chcę. Byłaś z nią przez całą noc i znalazłaś ją rano. Moim zdaniem swoje już odrobiłaś. Przepraszam, muszę wydać pensika.

Lisey odprowadziła ją wzrokiem, myśląc: Kolejne. W rodzinie Debusherów, gdzie na wszystko było powiedzonko, „wydać pensika” oznaczało sikanie, a na oddanie kału - dziwne, lecz prawdziwe - mówiło się „pogrzebać kwakra”. Scott był zachwycony, powiedział, że to pewnie starszokockie naleciałości, co zdaniem Lisey było całkiem możliwe. Debusherowie wywodzili się głównie z Irlandii, a wszyscy Andersonowie z Anglii, przynajmniej tak twierdziła Dobra Mama, ale w każdej rodzinie są jakieś przybłedy, nie? Zresztą to ją mało interesowało. Interesowało ją, czy „wydawanie pensika” i „grzebanie kwakra” to zdobycze ze stawu, stawu Scotta, a skoro wczoraj nawiązał z nią ten smerdolony kontakt...

Wczoraj to był sen, Lisey... przecież wiesz?

Nie całkiem wiedziała, i nie wiedziała, co się wydarzyło dziś rano w sypialni Amandy - wszystko wydawało się snem, nawet ta walka z Amandą, żeby ją dowlec do łazienki - ale jednego mogła być pewna: Amanda przycumowała w szpitalu Greenlawn na co najmniej tydzień, wszystko poszło łatwiej, niż ona i Daria ośmielały się marzyć, i musiały za to podziękować Scottowi. Tu i

*(hip hip sto lat)*

teraz wydawało się, że to wystarczy.

### 3

Darla dotarła do przytulnego Cape Cod Mandy przed siódmą wieczorem, ze zwykle starannie ułożoną fryzurą ledwie przejechaną grzebieniem, z rozpiętym jednym guzikiem, tak że róz jej stanika wyglądał zuchwale na świat. Do tego czasu Lisey ustaliła, że Amanda nie chce także jeść. Usadzona i oparta o wezłowie pozwoliła sobie włożyć w usta łyżkę jajecznicy, i dała Lisey trochę nadziei - w końcu przełykała ślinę, więc czemu nie jajka - ale złudna to była nadzieja. Przesiedziała tak ze trzydzieści sekund z jajkami wyglądającymi jej spomiędzy warg (ten widok wydał się Lisey dość makabryczny, jakby siostra usiłowała zjeść kanarka), po czym jajecznicę wyjechała na zewnątrz na języku. Parę gruzelków przykleiło się do brody Amandy. Reszta poleciała na koszulę nocną. Amanda nadal wpatrywała się spokojnie w dal. Albo w mistycyzm, jeśli się jest fanem Vana Morrisona. Scott był, choć jego uwielbienie dla Pana Vana trochę zwiędło, jak w początkach lat dziewięćdziesiątych rzucił picie.

Daria nie uwierzyła, że Amanda nie chce jeść, dopóki sama nie przeprowadziła jajecznego eksperymentu. Musiała w tym celu usmażyć nową jajecznicę; Lisey wyrzuciła poprzednią do kosza. Tysiąckilometrowe spojrzenie Amandy odebrało jej apetyt, który mogłaby mieć na resztki jajeczniczki starszej siostrzyczki.

Zanim Daria wtargnęła do pokoju, Amanda zdążyła się znowu ześliznąć do pozycji leżącej - spłynąć - i Daria pomogła Lisey ją dźwignąć. Lisey przyjęła pomoc z wdzięcznością. Plecy już ją bolały. Nie mogła sobie wyobrazić, co to znaczy, zajmować się taką osobą dzień po dniu, przez czas nieokreślony.

- Amando, masz to zjeść - przemówiła Daria kategorycznym tonem typu „nie ma to tamto”, który Lisey pamiętała z licznych rozmów telefonicznych za młodych lat. Ten ton, w połączeniu z zaciśnięciem zębów i spięciem całego ciała, jasno świadczył o tym, że według Darli Amanda się zgrywa. Zagrywka-nieprawdziwka, powiedziałby Dandy, kolejne ze stu radosnych, bezsensownych powiedzonek. Ale (pomyślała Lisey) przecież Daria zawsze tak myślała, kiedy

nie chciały postępować zgodnie z jej wolą. Że to zagrywki-nieprawdziwki.

- Masz zjeść tę jajecznicę, Amando... ale już!

Lisey otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale się rozmyśliła. Szybciej dotrą do celu, gdy Daria przekona się na własnej skórze. A dokąd zmierzały? Pewnie do Greenlawn. Na oddział rehabilitacji w Auburn. Razem ze Scottem sprawdziła ten przybytek tuż po ostatnim upuszczeniu Amandy, wiosną 2001 roku. Ale okazało się, że kontakt Scotta z Greenlawn zacieśnił się trochę bardziej i dzięki Bogu.

Daria wepchnęła jajka w usta Amandy i odwróciła się do Lisey z załączkiem tryumfującego uśmiechu.

- Proszę! Po prostu z nią trzeba twar...

W tym momencie między obwisłymi wargami Amandy pojawił się język, znowu wypierając na zewnątrz kanarkową pecynę i płask. Prosto na koszulę, jeszcze mokrą po wycieraniu.

- Coś mówiłaś? - spytała łagodnie Lisey.

Daria zmierzyła starszą siostrę bardzo, bardzo przeciągłym spojrzeniem. Kiedy znowu odwróciła się do Lisey, ta zaciskająca zęby determinacja jej przeszła. Daria wyglądała dokładnie na swoje lata; kobieta w średnim wieku, którą rodzinna sytuacja awaryjna zbyt wcześnie poderwała z łóżka. Nie płakała, ale była bliska; jej oczy, intensywnie niebieskie, jak u wszystkich Debusherek, lśniły od łez.

- Tak jeszcze nie było, co?

- Nie.

- Czy w nocy coś się stało?

- Nie - powiedziała Lisey bez wahania.

- Żadnych hysterii ani scen?

- Nie.

- Och, skarbie, to co zrobimy?

Na to Lisey miała gotową praktyczną odpowiedź, żadnych zaskoczeń; Daria mogła mieć na ten temat inne zdanie, ale Lisey i Jodi zawsze były tymi praktycznie myślącymi siostrami.

- Położymy ją, zaczekamy do otwarcia i zadzwonimy - powiedziała. - Do Greenlawn. I miejmy nadzieję, że przez ten czas nie obsika znowu łóżka.

#### 4

Czekały, pijąc kawę i grając w cribbage - grę, której każda Debusherka nauczyła się od Dandy'ego na długo przed pierwszą wyprawą żółtym autobusem szkolnym do Lisbon Falls. Co trzy, cztery rozdania jedna wstawiała, szła na górę i zaglądała do Amandy. Leżała bez ruchu, na plecach, wgapiona w sufit. Podczas pierwszego rozdania Daria ograła młodszą siostrę; podczas drugiego udało się jej wykręcić sekwensem w kribie. Fakt, że od tego wpadła w dobry humor, choć na górze Manda leżała w postaci warzywa, dał Lisey do myślenia... ale bez potrzeby dzielenia się tymi refleksjami. To miał być długi dzień, a jeśli Daria rozpocznie go z uśmiechem na twarzy, no to bomba. Lisey nie zgodziła się na trzecią partyjkę i obie zaczęły oglądać jakiegoś piosenkarza country w ostatniej części porannego programu. Lisey niemal słyszała głos Scotta „Nie odbierze chleba staremu Hankowi”. Miał na myśli, oczywiście, Hanka Williamsa. W kwestii muzyki country dla Scotta liczył się tylko stary Hank... a dopiero potem cała reszta.

Pięć po dziewiątej Lisey zasiadła przed telefonem i znalazła w książce telefonicznej numer Greenlawn. Rzuciła Darli błady, nerwowy uśmiech.

- Życz mi szczęścia, Darl.

- O, życzę. Wierz mi, życzę.

Lisey wybrała numer. Rozległ się dokładnie jeden sygnał.

- Halo - odezwał się przyjemny żeński głos. - Tu zakład rehabilitacyjny Greenlawn, instytucja Amerykańskiego Towarzystwa Medycznego Feddersa.

- Halo, nazywam się... - Tylko tyle zdążyła powiedzieć, zanim przyjemny żeński głos zaczął wymieniać wszystkie możliwe oddziały, na które można się było dodzwonić... o ile, oczywiście, posiadało się telefon z wybieraniem tonowym. To była automatyczna sekretarka. Lisey została bafnięta.

Ale im się udało, pomyślała, wciskając piątkę, informacje dla pacjentów.

- Proszę czekać na połączenie - poinstruował ją przyjemny żeński głos, po czym zastąpiła go Prozacowa Orkiestra, grająca coś mgliście podobnego do „Homeward Bound” Paula Simona.

Lisey obejrzała się na Darię, żeby powiedzieć, iż czeka, ale Daria poszła zajrzeć do Amandy.

Akurat, pomyślała Lisey. Zwyczajnie nie mogła znieść tych nerw...

- Halo, tu Cassandra, w czym mogę pomóc?

Imię wieszczki nieszczęść, skarbiemój, zaopiniował Scott, który rozgościł się w jej głowie.

- Nazywam się Lisa Landon... żona Scotta Landona.

Przez wszystkie lata swego małżeństwa przyznała się do bycia żoną Scotta Landona pewnie z pół tuzina razy, i ani razu przez pięćdziesiąt miesięcy wdowieństwa. Trudno pojąć, dlaczego akurat teraz się zdecydowała. Scott nazywał to „kartą przetargową sławy” i sam używał jej oszczędnie. Częściowo dlatego, jak mówił, że czuł się przy tym jak zarozumiały buc, a częściowo w obawie, że to nie podziała, że jeśli wymamrocze do kelnera coś w rodzaju „Pan nie wie, kto ja jestem”, ten odmamrocze mu: „Nie, monsieur, kto pan, kuhrwa, jesteś?”.

Mówiła o poprzednich epizodach samookaleczeń i semi-katatonii swojej siostry, i o dzisiejszym wielkim postępie w tych sprawach, a w słuchawce słyszała ciche klekotanie komputerowej klawiatury. Kiedy zamilkła, Cassandra powiedziała:

- Rozumiem pani troskę, ale w Greenlawn mamy obecnie komplet.

Lisey ścisnęło się serce. Natychmiast ujrzała Amandę w separacie wielkości szafy w Szpitalu Świętego Stefana w Nos Oparze, w poplamionym jedzeniem pajacyku, która gapi się na migające światła na ulicy za zakratowanym oknem, gdzie autostrada 117 krzyżuje się z 19.

- O. Rozumiem. Hm... ale na pewno? Nie jestem ubezpieczona, będę płacić gotówką... - Chwytnie się brzytwy. Głupio to brzmi. Kiedy wszystko zawiedzie, pomachaj kasą. - Jeśli to coś zmienia - dokończyła kulawo.

- Raczej nie. - W głosie Cassandry pojawił się powiew mrozu i serce Lisey ścisnęło się jeszcze boleśniej. - To kwestia miejsc i zobowiązań. Rozumie pani, mamy tylko...

Wtedy Lisey usłyszała ciche „bing!”. Bardzo podobny sygnał dawała jej mikrofala, kiedy zapiekanki albo burrito były gotowe.

- Czy może pani poczekać?

- Jeśli trzeba, oczywiście.

Cicho kliknęło i powróciła Prozacowa Orkiestra, tym razem z przypuszczalnym tematem z „Shafta”. Lisey słuchała z dziwnym poczuciem nierealności i myślała, że gdyby Isaac Hayes to usłyszał, pewnie by wszedł do wanny z plastikową torbą na głowie. Czekala i czekała, aż zaczęła podejrzewać, że o niej zapomniano - Bóg jej świadkiem, już jej się to zdarzało, zwłaszcza kiedy usiłowała kupić bilety na samolot albo zmienić warunki wynajmu samochodu. Daria zeszła na dół i wyciągnęła ręce w geście: co jest grane? Gadaj! Lisey pokręciła głową, co znaczyło jednocześnie „nic” i „nie wiem”.

W tej chwili upiorna poczekalniowa muzyczka się urwała i wróciła Cassandra. Chłód zniknął z jej głosu i po raz pierwszy wydała się Lisey istotą ludzką. Prawdę mówiąc, ten głos brzmiał jakoś znajomo.

- Pani Landon?

- Tak?

- Przepraszam, że kazałam pani tak długo czekać, ale miałam w komputerze wiadomość, żeby się skontaktować z doktorem Albernessem, jeśli zadzwoni pani albo pani mąż. Doktor Alberness jest w swoim gabinecie. Czy mogę panią przełączyć?

- Tak. - Teraz już wiedziała na czym stoi, dokładnie wiedziała. Wiedziała, że zanim przejdą do rzeczy, doktor Alberness powie, jak bardzo jej współczuje, jakby Scott zmarł w zeszłym miesiącu albo tygodniu. A ona mu podziękuje. Prawdę mówiąc, jeśli doktor Alberness obieca, że uwolni je od brzemienia Amandy pomimo braku miejsc w Greenlawn, Lisey pewnie z radością padłaby na kolana i soczyście go tam cmoknęła. Na tę myśl zachciało się jej dziko śmiać i przez parę chwil musiała ze wszystkich sił zaciskać usta. I już wiedziała, dlaczego głos Cassandry wydał się taki znajomy: taki głos miewali ludzie, kiedy nagle rozpoznawali Scotta, uświadamiali sobie, że mają do czynienia z kimś z okładki smerdalonego „Time’a”. A jeśli ta sławna osoba objęła kogoś swym sławnym ramieniem, to ten ktoś także musiał się stać sławny, przez sam kontakt. Albo, jak powiedział kiedyś Scott, przez kontakt skórny.

- Halo? - odezwał się przyjemnie szorstki męski głos. - Tu Hugh Alberness. Czy rozmawiam z panią Landon?



- Tak, doktorze. - Lisey machnęła na Darię, żeby usiadła i przestała jej latać w kółko przed nosem. - Tu Lisa Landon.

- Pani Landon, przede wszystkim proszę przyjąć moje kondolencje. Pański mąż dał mi pięć autografów i te książki należą do moich najbardziej cenionych skarbów.

- Dziękuję, doktorze - powiedziała, a Darli dała znak „załatwione”, kciukiem i palcem wskazującym. - To bardzo miłe, że pan tak mówi.

## 5

Po powrocie Darli z toalety w kawiarni „U Papcia” Lisey powiedziała, że ona też tam skoczy - do Castle View ze trzydzieści pięć kilometrów, a droga często się korkuje. Dla Darli to miał być dopiero pierwszy etap podróży. Powinna spakować walizkę Amandy - o czym obie zapomniały dziś rano - i wrócić z nią do Greenlawn. Następnie czekała ją droga powrotna do Castle Rock. Przed własnymi drzwiami miała stanąć koło wpół do dziewiątej, a i to jeśli będzie miała szczęście - i puste drogi.

- Radzę zrobić głęboki wdech i zatkać nos - powiedziała Daria.

- Kiepsko?

Daria wzruszyła ramionami i ziewnęła.

- Widywałam gorsze.

Lisey też, zwłaszcza podczas podróży ze Scottem. Przykucnęła nad deską, nie dotykając jej - dobrze zapamiętany Przykucek z Objazdów Promocyjnych - spuściła wodę, umyła ręce, ochlapała twarz wodą, przyczesła się i spojrzała w lustro.

- Nowa kobieta - powiedziała swojemu odbiciu. - Amerykańska ślicznotka. - Pokazała sobie spory kawał kosztownej sztuki dentystycznej. Ale oczy nad tym krokodylim uśmiechem były pełne niepewności.

*Pan Landon powiedział, że jeśli kiedykolwiek panią spotkam, mam spytać...*

*Cicho na ten temat, zostaw to.*

*Powinienem spytać o to, jak zabawił pielęgniarkę...*

- Ale Scott nie powiedział „zabawił” - powiedziała do swojego odbicia.

*Cicho siedź, laluniu!*

*...jak zabawił pielęgniarkę w Nashville.*

- Scott powiedział „zabafił”. Prawda?

Ten miedziany posmak w ustach znowu wrócił, smak pensików i paniki. Tak, Scott powiedział „zabafił”. Oczywiście. Scott powiedział, że doktor Alberness ma powiedzieć Lisey (jeśli ją kiedyś spotka), jak zabafił tę pielęgniarkę z Nashville, i doskonale wiedział, że Lisey zrozumie.

Czy zostawiał jej tropy? Już wtedy?

- Zostaw to w spokoju - szepnęła do swojego odbicia i wyszła z toalety. Miło byłoby uwięzić w sobie ten głos, ale wyglądało na to, że zawsze przy niej będzie. Od dawna siedział cicho: albo spał, albo zgadzał się z Lisey, że o pewnych rzeczach lepiej nie mówić głośno, nawet z różnymi wersjami samego siebie. Na przykład o tym, co powiedziała pielęgniarka w dniu, kiedy Scott został postrzelony. Albo

*(cicho no cicho)*

co się wydarzyło

*(Milcz!)*

zimną 1996 roku.

*(MILCZEĆ NATYCHMIAST!)*

I ten głos cudem błękitnookim zamilkł... ale poczuła, że się jej przygląda, nasłuchuje... i przestraszyła się.

Lisey wyszła z damskiej toalety w chwili, kiedy Daria odkładała słuchawkę automatu.

- Dzwoniłam do tego motelu naprzeciwko Greenlawn - powiedziała. - Wyglądał czysto, więc zarezerwowałam pokój na noc. Nie mam ochoty jechać aż do Castle View, a tak będę mogła odwiedzić Mandę jutro z samego rana. Teraz muszę tylko być jak kura i przejść przez drogę. - Spojrzała na swoją młodszą siostrę z lękliwą miną, która wydała się Lisey dość surrealistyczna, biorąc pod uwagę wszystkie te lata spędzone na słuchaniu darlowego klarowania porządku świata, na ogół cierpkim, niebiorącym jeńców głosem. - Myślisz, że to głupie?

- Myślę, że to świetny pomysł - odparła Lisey i uściśniła jej dłoń, a na widok pełnego ulgi uśmiechu Darli serce ją zabolowało. Pomyślała: to także robota pieniędzy. Dzięki nim jesteś tą mądrzejszą. Dzięki nim jesteś szefową. - Chodź, Darl, w tę stronę ja prowadzę, co ty na to?

- Ekstra pomysł - powiedziała Daria i wyszła za młodszą siostrą w osuwający się ku upadkowi dzień.

## 7

Droga powrotna do Castle ślimaczyła się, dokładnie zgodnie z obawami Lisey; znalazły się za przeładowaną, rozkołysaną ciężarówką i na wszystkich wzniesieniach i zakrętach nie było miejsca, żeby ją wyminąć. Lisey mogła tylko zachowywać jakiś odstęp, żeby nie nałykały się nadmiernej ilości prawie wrzących spalin. Miała czas, żeby się zastanowić nad tym dniem. W końcu.

Rozmowa z doktorem Albernessem była jak wejście na mecz baseballowy pod koniec czwartego inningu, ale to nic nowego; życie ze Scottem zawsze polegało na improwizacji. Pamiętała ten dzień, kiedy zjawiała się ciężarówka meblowa z Portland, z sofą za dwa tysiące dolarów. Scott był w pracowni, jak zwykle pisał przy ogłuszającej muzyce - pomimo izolacji słyszała w domu Steve'a Earle'a, śpiewającego „Guitar Town” - i przerywanie mu pracy równałoby się z uszkodzeniem własnego słuchu na równowartość kolejnych dwóch tysięcy dolarów. Faceci z ciężarówki powiedzieli, że „klient” im powiedział, że ona im powie, gdzie postawić nowy mebel. Lisey raz dwa kazała im wynieść starą sofę - całkiem dobrą starą sofę - do stodoły, a na jej miejsce postawić nową. Kolor przynajmniej pasował do reszty pokoju, co stanowiło ulgę. Była pewna, że nigdy nie rozmawiała ze Scottem o nowej sofie, za dwa tysiące

czy innej, choć była równie pewna, że Scott oznajmi - o tak, z największym przekonaniem - że rozmawiali. I nawet przeprowadził z nią tę rozmowę - w swojej głowie; czasami tylko zapominał wyrazić owe dyskusje słowami. Zapominanie szło mu dobrze, nieźle się przyuczył.

Jego spotkanie z Hugh Albernessem mogło być kolejną ilustracją tego zjawiska. Może zamierzał opowiedzieć o nim Lisey, a gdyby go spytać pół roku czy rok później, zapewne odpowiedziałby: spotkanie z Albernessem? No pewnie, dowiedziała się jeszcze tego wieczora. A tak naprawdę tego wieczora poszedł do pracowni, puścił nową płytę Dylana i zabrał się do nowego opowiadania.

Mogło być też całkiem inaczej - nie, że Scott zapomniał (jak kiedyś zapomniał o randce i zapomniał jej opowiedzieć o swoim ekstremalnie posmerdolonym dzieciństwie), ale że zostawiał jej ukryte wskazówki, które mogłyby odnaleźć po jego śmierci, a tę przewidywał; zostawiał jej, jak to nazywał, stacje bafa.

W każdym razie Lisey już się nauczyła za nim nadążać; ta umiejętność była jak jazda na rowerze: kto się raz nauczy, zawsze będzie umiał. Podczas rozmowy telefonicznej większość niewiadomych wypełniła okrzykami „Aha!” i „O, naprawdę?”, i „No proszę, o tym zapomniałam!” we wszystkich właściwych miejscach.

Kiedy wiosną roku 2001 siostrunia usiłowała amputować sobie pępek, a następnie ugrzęzła na tydzień w bagnie, które jej doktorka nazwała semi-katatonią, rodzina przedyskutowała projekt wysłania Amandy do Greenlawn (lub jakiejś instytucji zdrowia psychicznego) podczas długiego, burzliwego, a czasem wrzaskliwego rodzinnego obiadu, który dobrze zapadł Lisey w pamięć. Pamiętała także, że przez większą część dyskusji Scott zachowywał nietypowe milczenie i tylko skubał jedzenie. Kiedy dyskusja zaczęła tracić rozpęd, powiedział, że jeśli nikomu to nie przeszkadza, może dać ulotki i broszurki do przejrzenia.

- Jakby to był jakiś wycieczkowy rejs - skomentowała Cantata, dość wrednie, zdaniem Lisey. Scott wzruszył ramionami, Lisey przypomniała to sobie, w ślad za ciężarówką mijając podziurawiony kulami znak HRABSTWO CASTLE WITA CIĘ.

- Bo ona odpłynęła - powiedział. - Ktoś powinien pokazać jej drogę do domu, dopóki jeszcze chce wrócić.

Mąż Cauty parsknął. Fakt, że Scott zarobił na swoich książkach miliony, nie przeszkadzał

Richardowi uważać go za lelujowatego marzyciela, a kiedy Rich wydał opinię, Cauty Lawlor popierała ją na sto procent. Lisey nigdy nie pomyślała, że mogłaby im powiedzieć, iż Scott wie o czym mówi, ale teraz sobie przypomniała, że sama tego dnia także nie jadła za dużo.

W każdym razie Scott przywiózł do domu sporo broszurek i folderów z Greenlawn; Lisey pamiętała, że znalazła je rozłożone na kuchennym stole. Jeden, ze zdjęciem dużego budynku, trochę jak Tara w „Przeminęło z wiatrem”, nosił tytuł „Choroby umysłowe, twoja rodzina i ty”. Ale nie pamiętała dalszych dyskusji na temat Greenlawn i doprawdy, dlaczego właściwie miałyby pamiętać? Kiedy Amanda zaczęła dochodzić do siebie, rekonwalescencja ruszyła z kopyta. A Scott z całą pewnością nie wspominał o obiedzie z Albernessem, na który zaprosił doktora w październiku 2001 roku - wiele miesięcy po tym, jak Amanda wróciła do stanu, w jej przypadku uchodzącego za normalność.

Jak stwierdził doktor Alberness (Lisey dowiedziała się tego przez telefon, w odpowiedzi na jej akceptujące „achy”, „onaprawdy” i „noproszki”), Scott w rozmowie z nim powiedział, że jak sądzi, Amandę Debusher czeka poważniejsza rozłąka z rzeczywistością, być może na stałe, a po lekturze broszurek i obchodzie placówki z dobrym doktorem doszedł do wniosku, że Greenlawn będzie dla niej idealnym miejscem. To, że Scott wydarł doktorowi Albernessowi obietnicę znalezienia miejsca dla szwagierki, kiedy - i jeśli - nadejdzie odpowiednia pora, wcale nie zdziwiło Lisey. Nie po tylu latach obserwacji alkoholowego wpływu, jaki jego sława wywierała na niektórych.

Sięgnęła do radia - miała ochotę posłuchać fajnej głośnej muzyczki country (kolejny brzydki nałóg, jakim zaraził ją Scott w ostatnich latach życia, nałóg, którego się jeszcze nie wyrzekła) - a potem zerknęła na Darię i przekonała się, że zasnęła z głową opartą o szybę. Niezbyt dobry czas na Shootera Jenningsa albo „Big&Rich”. Westchnęła i opuściła rękę.

## 8

Doktor Alberness pragnął obszernie powspominać obiad z wielkim Scottem Landonem, a Lisey była gotowa mu na to pozwolić pomimo intensywnej gestykulacji Darli, na ogół wyrażającej „niech on szybciej skończy!”.

Lisey pewnie by go do tego skłoniła, ale pomyślała, że dla dobra ich sprawy, nie będzie używać żadnych wybiegów. Poza tym była ciekawa. Więcej, była głodna. Czego? Nowych wiadomości o Scotcie. W pewien sposób słuchanie doktora Albernessa było jak oglądanie tych starych wspomnień, ukrytych w pracownianym księgadzie. Nie wiedziała, czy wszystkie wspomnienia Albernessa nie stanowią w całości „stacji bafa” - nie sądziła - ale wiedziała, że obudziły w niej tępy, ale dotkliwy ból. Czy to wszystko, co po dwóch latach zostaje z rozpaczy? Ten twardy, popielisty smutek?

Po pierwsze - Scott zadzwonił do Albernessa. Od początku wiedział, że doktor jest jego bombastrasznie ogeeeromnym fanem, czy to tylko przypadek? Lisey nie wierzyła w takie zbiegi okoliczności, myślała, że za dużo w nich, hm, przypadkowości, ale jeśli Scott wiedział, nasuwa się pytanie, skąd? Nie miała pojęcia, jak by o to spytać, nie przerywając potoku wspomnień, i dobrze; może później coś wymyśli. W każdym razie telefon od jej męża potężnie pochlebił Albernessowi (który omal się nie rozpękl, jak powiadają, i więcej niż chętnie zgodził się zarówno na prośbę Scotta w sprawie szwagierki, jak i zaproszenie na obiad). Czy pan Landon się nie pogniewa, jeśli doktor przyniesie parę swoich ulubionych książek do podpisu? Wcale się nie pogniewa, da autograf z przyjemnością.

Alberness przyniósł swoje ulubione książki, Scott przyniósł historię choroby Amandy. Co postawiło przed Lisey, będącą teraz jakieś dwa kilometry przed małym domkiem Amandy, następne pytanie: skąd Scott wytrzasnął papiery? Czy jakoś omotał Amandę, żeby mu je dała? Czy omotał Jane Whitlow, koralową doktorkę? Czy omotał je obie? Lisey wiedziała, że to możliwe. Jego zdolność do rzucania czarui nie była uniwersalna - dowodem Dashmiel, ta południowa trzęsidupa - ale liczne osoby dawały się uwieść. Z pewnością Amanda, choć Lisey była pewna, że siostra nigdy w pełni nie zaufała Scottowi (przeczytała wszystkie jego książki, nawet „Puste diabły”... po których, jak powiedziała, przez cały tydzień spała przy włączonym świetle). Co do Jane Whitlow, trudno powiedzieć.

W jaki sposób Scott uzyskał dokumentację - oto tajemnica, której Lisey pewnie nigdy nie rozwikła. Będzie się musiała zadowolić świadomością, że mu się to udało, a doktor Alberness chętnie przestudiował dokumenty i zgodził się z jego opinią: Amanda Debusher prawdopodobnie zmierza ku poważnym kłopotom. I z pewnym momencie (raczej na długo przed skończeniem deseru) Alberness przysięgł swemu ulubionemu pisarzowi, że w wypadku kryzysu choroby

znajdzie miejsce dla panny Debusher w Greenlawn.

- To cudowne, że zechciał nam pan pomóc - powiedziała ciepło Lisey, a teraz - po raz drugi tego dnia skręcając na podjazd Amandy - zastanawiała się, w którym momencie rozmowy doktor zapytał Scotta, skąd bierze te pomysły. Wcześniej czy później? Przy przystawkach czy kawie?

- Obudź się, kotku - przywołała do przyzwoitości siostrę, wyłączając silnik. - Jesteśmy.

Daria usiadła, spojrzała na dom Amandy i powiedziała:

- W mordę.

Lisey parsknęła śmiechem. Nie mogła się powstrzymać.

## 9

Pakowanie Mandy niespodziewanie okazało się smutnym zajęciem. Weszły do klitki na drugim piętrze, która służyła jej za strych. Stały tam tylko dwie walizki samsonite, odrapane i jeszcze z nalepkami MIA po podróży na Florydę, kiedy odwiedziła Jodothę... kiedy? Siedem lat temu?

Nie, pomyślała Lisey, dziesięć. Przyjrzała się im ze smutkiem i wywlokła tę większą.

- Może by wziąć obie - odezwała się Daria z powątpiewaniem i otarła twarz. - Kurczę! Gorąco tam!

- Weźmy tylko tę dużą - zdecydowała Lisey. Już miała powiedzieć, iż nie sądzi, żeby Amanda szykowała się w tym roku na Bal Katatoników, ale ugryzła się w język. Jedno spojrzenie na zmęczoną, spoconą Darię ostrzegło ją, że to absolutnie niedobry moment na dowcipy. - Za tydzień możemy wrócić po więcej. Przecież nie będzie się daleko wybierać. Pamiętasz, co powiedział doktor?

Siostra skinęła głową i znowu wytarła twarz.

- Na ogół w obrębie pokoju, przynajmniej na początku.

W zwyczajnych okolicznościach przysłano by z Greenlawn lekarza, który zbadałby Amandę na miejscu, ale dzięki Scottowi, Alberness zadziałał ekspresowo. Upewniwszy się, że doktor

Whitlow wyjechała, a Amanda nie może albo nie chce chodzić (i nie panuje nad funkcjami fizjologicznymi), powiedział Lisey, że wysłał z Greenlawn karetkę - bez oznakowania, jak zaznaczył. Na oko nie będzie się różnić od furgonetki dostawczej. Lisey i Daria pojechały za nią do Greenlawn w bmw Lisey, i obie były niesamowicie wdzięczne - Daria doktorowi Albernessowi, Lisey Scottowi. Jednak oczekiwanie, aż Alberness zbada Amandę, zajęło więcej niż czterdzieści minut, a to co usłyszały potem, nie budziło optymizmu. Lisey chciała się skupić na razie tylko na jednym, o czym przed chwilą wspomniała Daria: Amanda spędzi większą część tego pierwszego tygodnia pod baczna obserwacją, we własnym pokoju albo na tarasiku przed pokojem, jeśli da się namówić na tak daleką wycieczkę. Nie będzie nawet zaglądać do Świetlicy Haya na końcu korytarza, o ile jej stan się nie poprawi nagle i zauważalnie.

- Czego się nie spodziewam - zaznaczył doktor Alberness. - To się zdarza, ale rzadko. Jestem zwolennikiem prawdy, moje panie, a prawda wygląda tak, że panna Debusher prawdopodobnie przyjechała tu na dłużej.

- Poza tym - powiedziała Lisey, przyglądając się większej walizce - chcę jej kupić nową torbę podróżną. Przecież to gówno jest do wyrzucenia.

- Pozwól, że ja się tym zajmę. - Głos Darli brzmiał ochryple i dygotliwie. - Ty już tyle zrobiłaś, Lisey. Kochana laluniu Lisey. - Wzięła rękę Lisey, podniosła do ust i pocałowała.

Zdziwiła ją - prawie zszokowała. Już od dawna nie wojowały ze sobą, ale taki wyraz uczuć bardzo nie pasował do jej starszej siostry.

- Naprawdę chcesz?

Daria przytaknęła, najwyraźniej chciała jeszcze coś powiedzieć, ale zdecydowała się w zamian na potarcie twarzy.

- W porządku?

Daria kiwała głową, ale nagle nią pokręciła.

- Nowa torba! - krzyknęła. - Jakieś kpiny! Myślisz, że będzie potrzebować nowej torby? Słyszałaś, co mówił - żadnej reakcji na strzelanie palcami, na klaskanie, na ukłucie! Wiem, jak pielęgniarki nazywają takich ludzi, dla nich to warzywka i gówno mnie obchodzi, co powiedział o terapii i cudownych lekach, jeśli ona wyjdzie z choroby, to będzie cud błękitnooki!



Jak mówi przysłowie, pomyślała Lisey, uśmiechając się... ale tylko w duchu, gdzie uśmiechem nie groził. Sprowadziła zmęczoną, trochę płakliwą siostrę na dół krótkich, stromych schodów na strych, poniżej granicy najgorszego skwaru. Potem, zamiast powiedzieć jej, że póki życia, póty nadziei, uśmiech jest parasolką, albo że najciemniej zawsze przed świtem czy jeszcze jakieś inne wypierdki z psiej dupy, po prostu ją przytuliła. Bo czasami tylko przytulenie pomaga. To jedna z rzeczy, jakiej się nauczyła od mężczyzny, którego nazwisko przyjęła za swoje - że czasami najlepiej milczeć. Czasami najlepiej zamknąć jadaczkę i czekać, czekać, czekać.

## 10

Lisey znowu spytała siostry, czy nie chce mieć towarzystwa w drodze do Greenlawn, a Daria pokręciła głową. Powiedziała, że ma na kasetach starą powieść Michaela Noonana i wreszcie będzie miała czas ją zmęczyć. Zdążyła już umyć twarz w łazience Amandy, nałożyć nowy makijaż i związać włosy. Wyglądała dobrze, a z doświadczenia Lisey wynikało, że kobieta, która dobrze wygląda, dobrze się też czuje. Więc uściśnęła lekko dłoń Darli, kazała jechać ostrożnie i odprowadziła ją wzrokiem. Potem z wolna obeszła dom Amandy, najpierw wewnątrz, potem na zewnątrz, upewniając się, że wszystko pozamykane: okna, drzwi, piwnica, garaż. W garażu zostawiła dwa okna, uchylone na pół centymetra, żeby była wentylacja. Tego także nauczyła się od Scotta, który nauczył się tego od ojca, nieomylnego Iskierki Landona... wraz z umiejętnością czytania (w nieprawdopodobnym wieku dwóch lat), dodawania cyfr na małej tablicy, chowanej za piecem w kuchni, skakania z ławki w korytarzu z okrzykiem „Geronimo!”... i krwawych bafów, ma się rozumieć. *Stacje bafa - pewnie jak stacje drogi krzyżowej. Śmieje się rozbawiony. To nerwowy śmiech, taki śmiech „a jak kto usłyszy”. Podobnie śmieją się dzieci z obleśnych dowcipów.*

- Tak, dokładnie tak - mruknęła Lisey i zadrżała w późnopołudniowym żarze. Wszystkie te stare wspomnienia, wypływające jak bąble na powierzchnię w czasie teraźniejszym, wytrącały ją z równowagi. Tak, jakby przeszłość w ogóle nie umierała, jakby na jakimś piętrze wielkiego wieżowca czasu wszystko to nadal się działo.

*Źle tak myśleć, od takiego myślenia wpakujesz się w złamazję.*

- Nie wątpię - powiedziała Lisey i sama roześmiała się nerwowo. Ruszyła do swojego samochodu z kluczami Amandy - zadziwiająco ciężkimi, cięższymi niż jej, choć miała dom dużo większy - zawieszonymi na palcu wskazującym prawej ręki. Czuła, że już się wpakowała w złamazię. Amanda w domu wariatów to dopiero początek. A jeszcze „Zack McCool” i ten odrażający Impotebil, profesor Woodbody. Wypadki tego dnia wyparły ich z jej głowy, ale przecież nie unicestwiły. Była zbyt zmęczona i przygnębiona, żeby dziś nagadać Woodbody’emu, zbyt zmęczona i przygnębiona nawet, żeby go wytropić... ale pomyślała, że lepiej będzie to załatwić, choćby tylko dlatego, że jej telefoniczny wielbiciel Zack robił wrażenie, jakby potrafił być autentycznie niebezpieczny.

Wsiadła do samochodu, schowała kluczyki starszej siostruni Mandusi-trusi i wycofała samochód z podjazdu. W tej samej chwili zachodzące słońce rzuciło siatkę jaskrawych blasków na coś za jej plecami, wysoko. Zaskoczona, wdepnęła hamulec, obejrzała się przez ramię - i zobaczyła srebrną łopatkę. **INAUGURACJA BIBLIOTEKI SHIPMANA.** Dotknęła drewnianego styliska i poczuła, że jej myśli się trochę uspokajają. Rozejrzała się w obie strony, nie dostrzegła żadnego samochodu i skręciła w stronę domu. Pani Jones siedziała na ganku; pomachała jej. Lisey podniosła rękę. Znowu sięgnęła między kubełkowe siedzenia bmw, żeby chwycić stylisko łopatki.

## 11

Gdybym była ze sobą szczerą, pomyślała, ruszając w krótką drogę do domu, przyznałabym, że te powracające wspomnienia bardziej mnie przerażają - tym poczuciem, że znowu się dzieją, że dzieją się tu i teraz - niż to coś, co może się zdarzyło, a może nie zdarzyło w łóżku tuż przed wschodem słońca. To, co mogła zlekceważyć (no... prawie) jako półprzytomny sen niespokojnego umysłu. Ale nie myślała o Gerdzie Allenie Cole’u od tak dawna, a gdyby ktoś ją spytał o imię ojca Scotta albo o jego pracę, z pełnym przekonaniem mogłaby powiedzieć, że nie pamięta.

- Gipsownia - powiedziała. - Ale Iskierka mówił „gippownia”. - A potem, cicho i wściekle, niemal warcząc: - Przestań natychmiast. Dość tego. Przestań.

Tylko czy mogła przestać? Oto jest pytanie. I to ważne pytanie, bo nie tylko jej zmarły mąż chomikował pewne bolesne i przerażające wspomnienia. Sama też zaciągnęła coś w rodzaju zasłony mentalnej między **LISEY DZIŚ** i **LISEY! WCZESNE LATA!**, i zawsze uważała, że to gruba zasłona, ale dziś już nie wiedziała. Z pewnością były w niej dziury, a spojrzenie przez nie graniczyło z ryzykiem ujrzenia takich rzeczy w tej fioletowej mgle, których nie chciało się widzieć. Lepiej było nie patrzeć, tak jak lepiej nie patrzeć na siebie w lustrze po zmroku, chyba że wszystkie światła w pokoju się palą, lepiej nie jeść

*(nocnego jedzenia)*

pomarańczy lub salaterki truskawek po zachodzie słońca. Niektóre wspomnienia są w porządku, ale inne bywają niebezpieczne. Najlepiej żyć w terażniejszości. Bo jak złe wspomnienie cię ucapi, można...

- Co można? - spytała samą siebie złym, rozdygotanym głosem, a potem natychmiast: - Nie chcę wiedzieć.

Z zachodzącego słońca wyłonił się PT cruiser, a facet za kierownicą pomachał jej. Lisey odmachnęła, choć nie sądziła, żeby znała kogoś jeżdżącego PT cruiserem. Nieważne, w tym Zadupiu Małym wszyscy sobie odmachują, z czystej wiejskiej uprzejmości. I tak myślała o czym innym. Prawdę mówiąc, nie była w tej luksusowej sytuacji, żeby odpychać wszystkie wspomnienia tylko dlatego, że są takie

*(Scott w bujanym fotelu, te wielkie oczy i wicher wyje za oknem, ta zabójcza wichura aż z Yellowknife)*

na które nie miała sił patrzeć. Nie wszystkie zatonęły w fioletowym; niektóre były schowane w jej prywatnym umysłowym księgarzu, aż zbyt dostępnym. Na przykład ten interes z bafami. Scott kiedyś w pełni wprowadził ją w zagadnienie bafów, no nie?

- No tak - powiedziała, opuszczając osłonę, by odciąć schyłkowe promienie. - W New Hampshire. Na miesiąc przed ślubem. Ale nie pamiętam dokładnie gdzie.

*To się nazywało „Poroże”.*

No dobra, dobra, wielkie rzeczy. „Poroże”. A Scott mówił, że to załazek miesiąca miodowego czy coś w tym rodzaju...

Zaliczka na miesiąc miodowy. Nazywa to zaliczką na ich miesiąc miodowy. Mówi: „Chodź, skarbiemój, walizy pakować, pasy zapinać”.

- A kiedy skarbmój spytał, dokąd jedziemy... - szepnęła.

...A kiedy Lisey pyta, dokąd jadą, on odpowiada: „Dowiemy się, jak dojedziemy”. I rzeczywiście. Niebo robi się białe, a w radiu mówią, że nadchodzą śniegi, choć to się wydaje niewiarygodne, skoro liście jeszcze na drzewach i dopiero zaczynają się czerwienić...

Wyruszyli na uroczystość w związku z wydaniem broszurowej wersji „Pustych diabłów”, tej straszliwej, przerażającej książki, która po raz pierwszy wywindowała Scotta Landona na listę bestsellerów i która zrobiła z nich bogaczy. Okazało się, że są jedynymi gośćmi. I rozpętała się wariacka wczesnojesienna burza śnieżna. W sobotę włożyli śniegowce, ruszyli w las i usiedli pod

*(drzewem mniam-mniam)*

pewnym drzewem, pewnym specjalnym drzewem, a on zapalił papierosa i wyznał, że musi jej coś powiedzieć, coś trudnego, a jeśli z tego powodu rozmyśli się co do ślubu, to on będzie żałować... cholera, będzie miał zdruzgotane smerdolone serce, ale...

Lisey zjechała gwałtownie na pobocze autostrady i zatrzymała się ze zgrzytem piachu pod oponami i w obłokach kurzu. Nadal było jasno, ale charakter światła się zmienił, chylił się ku jedwabście ekstrawaganckiemu sennemu blaskowi, który jest wyłączną własnością czerwcowych wieczorów w Nowej Anglii, temu letniemu blaskowi, który dorośli urodzeni na północ od Massachusetts pamiętają najlepiej z dzieciństwa.

*Nie chcę wracać do „Poroża” i tego weekendu. Nie chcę wracać do śniegu, który uważaliśmy za taki magiczny, pod drzewo mniam-mniam, gdzie zjedliśmy kanapki i wypiliśmy wino, do łóżka, w którym spaliśmy tamtej nocy i historii, które mi opowiadał o ławkach, bafach i świrniętych ojcach. Boję się, że wszystko to mnie doprowadzi do tego, czego nie ośmielę się ujrzeć. Proszę, już dosyć.*

Uświadomiła sobie, że powtarza na głos, cichym głosem, raz po raz:

- Już dosyć. Już dosyć. Już dosyć.

Ale wyruszyła na szukania bafa i może było za późno na już dosyć. Jak powiedziało to stworzenie, które rano leżało z nią w łóżku, już znalazła trzy pierwsze stacje. Jeszcze parę i

dostanie nagrodę. Czasami batonik! Czasami picie, fanta albo cola! Zawsze kartka z napisem: BAF! KONIEC!

Zostawiłem ci bafa, powiedziała istota w koszuli nocnej Amandy... a teraz, kiedy słońce zaczęło zachodzić, jeszcze trudniej było uwierzyć, że to naprawdę mówiła Amanda. Albo tylko Amanda.

*Krwawy baf cię czeka.*

- Ale najpierw dobry baf - mruknęła Lisey. - Jeszcze parę stacji i dostanę nagrodę. Picie. Wolałabym podwójną whisky. - Roześmiała się, raczej wariacko. - Ale jeśli stacje sięgają za fioletowe, to jak do cholery baf może być dobry? Nie chcę iść za fioletowe.

Czy jej wspomnienia są stacjami bafa? Jeśli tak, mogła wyliczyć te trzy najjaskrawsze przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny: zdzielenie szaleńca, klęczenie ze Scottem na skwierczącym asfalcie i Scott wychodzący z ciemności z zakrwawioną ręką jak darem... którym właśnie miała być.

*To baf, Lisey! I nie zwykły baf, to krwawy baf.*

Leżąc na chodniku powiedział, że długiastnik - stworzenie z nieskończonym srokatym bokiem - jest bardzo blisko. Nie widzę go, ale słyszę, jak się pożywia, powiedział.

- Masz przestać o tym myśleć! - Niemal wrzasnęła na siebie, ale jej głos dochodził ze strasznej odległości, z drugiego krańca okropnej zatoki; nagle prawdziwy świat wydał się cienki jak lód. Albo lustro, w które nikt nie ośmiela się spoglądać dłużej niż parę sekund.

*Mógłbym go tak przywołać. Wtedy by przyszedł.*

Siedząc za kierownicą bmw Lisey myślała, jak jej mąż błagał o lód i jak go dostał - jakiś cud - i zasłoniła twarz rękami. Improwizacja była mocną stroną Scotta, nie jej, ale kiedy doktor Alberness spytał o tę pielęgniarkę z Nashville, Lisey stanęła na wysokości zadania, zaczęła zmyślać, jak to Scott wstrzymał oddech i otworzył oczy - innymi słowy, udawał trupa - a Alberness śmiał się jak z najlepszego kawału. Lisey bez zazdrości pomyślała, co z nim mają podwładni, ale przynajmniej wydostała się z Greenlawn i dotarła tutaj, na skraj wiejskiej autostrady, ze starymi wspomnieniami kąsającymi ją w pięty jak głodne psy, szarpiącymi skraj jej fioletowej zasłony... tej znieawidzonej, bezcennej fioletowej zasłony.

- Kurczę, ale się pogubiłam - powiedziała i opuściła ręce. - Pogubiłam się w najgłębszych, najmroczniejszych smerdolonych lasach.

Nie, najgłębsze, najmroczniejsze lasy dopiero przede mną - w przeszłości, gdzie drzewa są grube, ich zapach słodki, a teraz niejszość dzieje się teraz. Zawsze się dzieje. Pamiętasz, jak za nim szłaś? Jak szłaś za nim przez ten dziwny październikowy śnieg, w las?

Oczywiście, że pamiętała. Scott zszedł ze ścieżki, a ona poszła za nim, usiłując stąpać po śladach tego jej zdumiewającego młodego mężczyzny. I teraz też tak jest, no nie? Ale jeśli ma to zrobić, przedtem musi zrobić coś innego. Kolejny kawałek przeszłości.

Zmieniła bieg, spojrzała we wsteczne lusterko, skrzyła i zawróciła, że aż ją prawie zarzuciło.

## 12

Naresh Patel, właściciel Sklepu Patela, był osobiście na posterunku, kiedy Lisey weszła do sklepu trochę po piątej tego dłuugiego czwartku. Siedział za kasą na ogrodowym krzeselku, jadł curry i patrzył na Shanię Twain, gnącą się w telewizorze. Na widok Lisey odłożył curry i - autentycznie - wstał. Na podkoszulku miał napis JA [SERCE] DARK SCORE LAKE.

- Poproszę paczkę salemów lightów - powiedziała Lisey. - Właściwie dwie.

Pan Patel pracował w sklepie (najpierw jako pracownik swojego ojca w New Jersey, potem we własnym) od prawie czterdziestu lat, więc miał dość rozumu, żeby nie pchać się z komentarzami do ewidentnych abstynentów, którzy raptem zaczęli kupować wodę, albo ewidentnych wrogów palenia, którzy ni stąd, ni zowąd kupują papierosy. Po prostu znalazł żądane truciele na półce, położył na ladzie i zauważył, że dzień jest piękny. Udał, że nie dostrzega, iż cena trucielei doprowadziła panią Landon w pobliże szoku. To wskazywało na odstęp między rzuceniem a podjęciem. Przynajmniej ta konkretna pani mogła sobie pozwolić na truciele; pan Patel miewał klientów, którzy odejmowali dzieciom od ust, żeby zdobyć towar.

- Dziękuję.

- Dziękujemy, zapraszamy ponownie - odparł uprzejmie pan Patel i rozsiadł się, żeby popatrzeć, jak Darrel Worley śpiewa „Awful Beautiful Life”. To była jedna z jego ulubionych.

Lisey zaparkowała obok sklepu, żeby nie blokować dostępu do dystrybutorów benzyny - było ich czternaście, na siedmiu czyściutkich wyspach - a kiedy znowu znalazła się za własnym kółkiem, włączyła silnik, żeby opuścić szybę. Jednocześnie włączyła się radiostacja XM (jakże Scott byłby zachwycony tymi muzycznymi kanałami), cichuteńko. Akurat leciała audycja „Lata pięćdziesiąte o piątej” i Lisey bez wielkiego zaskoczenia usłyszała „Sh-Boom”. Ale to nie byli „The Chords”, tylko jakaś nowa wersja, w wykonaniu kwartetu, który Scott uparcie nazywał Czterema Białymi Chłopcami. Chyba, że się upił. Wtedy nazywał ich Picusie Gęgusie.

Oddarła górną część nowej paczki i wsunęła salema lighta między zęby po raz pierwszy od... kiedy ostatni raz paliła? Pięć lat temu? Siedem? Zapalniczka bmw pyknęła, a ona przyłożyła do niej czubek papierosa, potem ostrożnie zaciągnęła się mentolizowanym dymem. Od razu wykrztusiła go z powrotem, ze łzami w oczach. Zaciągnęła się znowu. Tym razem poszło lepiej, ale w głowie się jej zakręciło. Trzeci raz, już bez kaszlu, po prostu zaraz zemdleje. Jeśli pochyli się na kierownicę, od razu ryknie klakson, a pan Patel wyleci sprawdzić, co się dzieje. Może akurat zdąży ją uratować przez śmiercią w płomieniach - taki rodzaj śmierci nazywa się dekapitacja czy defenestracja? Scott by to wiedział, tak jak wiedział, kto śpiewa czarną wersję „Sh-Boom” - „The Chords” - i kto był właścicielem salonu bilardowego w „Ostatnim seansie filmowym” - Sam „Lew”.

Ale Scott, „The Chords” i Sam „Lew” przeminęli.

Zgniotła papierosa w dziewiczej popielniczce. Nie pamiętała nazwy tego motelu w Nashville, tego, do którego wróciła, kiedy w końcu wyszła ze szpitala („Zaprawdę, powiadam ci, powróciłaś jako pijak do wina i jako pies do rzygowin”, zaintonował Scott w jej głowie), pamiętała tylko, że dostała obrzydliwą klitkę z widokiem na wysoki płot. Wydawało się jej, że za tym płotem znalazły się wszystkie psy w Nashville, które szczekały, szczekały, szczekały. Przy tych psach niegdysiejszy Pluto wydawał się małym pikusiem. Lisey leżała na podwójnym łóżku wiedząc, że nie zaśnie, bo za każdym razem, jak było blisko, widziała Blondasa obracającego lufę tego cipowatego pistolecika w kierunku serca Scotta, słyszała Blondasa mówiącego „Muszę skończyć z tym ding-dong dla frezji”, i znowu się budziła. Ale w końcu jednak zasnęła, przespała

tyle, że zdołała jakoś pociągnąć następny dzień - może trzy, może cztery godziny - i jak jej się udało dokonać tego nadzwyczajnego czynu? Z pomocą srebrnej łopatki, otóż to. Leżała przy łóżku i stanowiła dla Lisey namacalny dowód za każdym razem, gdy zaczynało się jej wydawać, że się spóźniła, że nie zdążyła. Albo że Scottowi w nocy się pogorszy. I to jest coś, o czym nie myślała od tamtego czasu przez wszystkie te lata. Sięgnęła do tyłu i dotknęła łopatki. Zastanowiła się, czy nie ruszyć do domu, ale zapaliła kolejnego salema lighta i kazała sobie przypomnieć, jak następnego ranka poszła się z nim spotkać, jak wdrapała się po schodach na drugie piętro w skrzydle OIOM-u, bo na dwóch jedynych w tej części budynku windach dla pacjentów widniał napis NIECZYNNE. Pomyślała o tym, co się wydarzyło, kiedy dotarła do jego pokoju. To było śmieszne, jeden z tych

## 14

To jeden z tych śmiesznych razów, kiedy doprowadzasz kogoś prawie do zawału całkiem niechcący. Lisey idzie korytarzem od strony schodów na końcu tego skrzydła, a z pokoju 319 wychodzi pielęgniarka z tacą, ogląda się przez ramię ze zmarszczonymi brwiami. Lisey mówi jej „dzień dobry”, żeby siostra (która nie może mieć ani dnia więcej niż dwadzieścia trzy lata, a wygląda jeszcze młodziej) wiedziała o jej obecności. To miłe powitanie, powitanie w stylu laluni Lisey, ale pielęgniarka wydaje przeraźliwy pisk i upuszcza tacę. Talerz i kubek z kawą wychodzą z tego cało - to twardzi stołówkowi wyjadacze - ale szklanka się rozpryskuje, bryzga sokiem na linoleum i niegdyś nieskazitelne i białe buty siostry. Pielęgniarka rzuca Lisey osłupiałe spojrzenie typu jeleń w reflektorach, przez chwilę wygląda tak, jakby chciała się rzucić do ucieczki, ale potem bierze się w garść i mówi konwencjonalne:

- O, przepraszam, przestraszyła mnie pani.

Kuca, rąbek mundurka podjeżdża jej powyżej kolan w białych rajstopkach, stawia kubek i talerz na tacy. Potem, z gracją jednocześnie szybką i ostrożną, zaczyna zbierać kawałki szklanki. Lisey też kuca i pomaga zbierać.

- Och, nie trzeba - mówi pielęgniarka z mocnym południowym akcentem. - To wyłącznie moja wina. Nie patrzyłam, gdzie idę.



- Nic się nie stało - mówi Lisey. Udaje się jej wyprzedzić pielęgniarkę w wyścigu do paru odłamków, które kładzie na tacy. Potem serwetką zaczyna wycierać sok. - To taca mojego męża. Mam wyrzuty sumienia, że nie pomogłam.

Pielęgniarka rzuca jej dziwne spojrzenie - z rodziny spojrzeń „Jesteś JEGO żoną?”, do których Lisey mniej lub więcej się przyzwyczaiła, choć niedokładnie takie. Potem spuszcza wzrok na podłogę i zaczyna wypatrywać przeoczonych kawałków szkła.

- Coś zjadł? - pyta Lisey z uśmiechem.

- Tak. Bardzo dobrze sobie radzi, biorąc pod uwagę, co go spotkało. Pół kubka kawy - na razie tyle mu wolno - jajko sadzone, sok jabłkowy i galaretka. Soku nie skończył. Jak pani widzi. - Prostuje się razem z tacą. - Przyniosę z pokoju pielęgniarek ręcznik i wytrę resztę.

Młoda pielęgniarka waha się, potem śmieje nerwowo.

- Z pani męża to trochę magik, co?

Lisey myśli zupełnie bez powodu: ZPINOM, Zapnij Pasy Ilekroć Nadejdzie Odpowiedni Moment. Ale tylko się uśmiecha i mówi:

- Ma w rękawie sporo sztuczek, co to, to tak. W zdrowiu i chorobie. Którą wyciął pani? - I gdzieś w głębi głowy przypomina się jej noc tego pierwszego bafu, jak w północy poszła do łazienki w mieszkaniu w Cleaves Mills, mówiąc „Scott, pospiesz się”. Powiedziała to, bo była pewna, że go nie ma, że nie ma go w łóżku.

- Zajrzałam, żeby sprawdzić, jak sobie radzi - opowiada pielęgniarka - i przysięgłabym, że łóżko jest puste. No nie, kroplówka była i worki też wisiały, ale... myślałam, że wyjął igłę i poszedł do łazienki. Po prochach pacjenci wyczyniają niestworzone rzeczy, naprawdę.

Lisey kiwa głową w nadziei, że utrzymała na twarzy przyjemny wyczekujący uśmiech. Ten, który mówi: „Już słyszałam tę historię, ale nigdy mi się nie znudzi.”

- Więc poszłam do łazienki, a tam też pusto. A kiedy się odwróciłam...

- On tam był - kończy za nią Lisey. Mówi cicho, ciągle z tym przyjemnym uśmiechem. - Czary mary, abrakadabra. - I baf, koniec, dodaje w myślach.

- Tak, skąd pani wie?

- Ha - mówi Lisey, z niezłomnym uśmiechem. - Scott ma zwyczaj zlewania się z otoczeniem.

To powinno zabrzmieć skandalicznie głupio - kiepskie kłamstwo osoby pozbawionej większej wyobraźni - ale nie brzmi. Bo nie jest kłamstwem. Zawsze gubił się jej w supermarketach i sklepach z ubraniami (tam, gdzie z jakiegoś powodu nikt go nie rozpoznawał), a raz szukała go prawie pół godziny w bibliotece Uniwersytetu Maine, zanim odnalazła w Sali Czasopism, a tam zaglądała dwa razy. Kiedy zaczęła się wściekać, że traci przez niego czas i musi go szukać po całym budynku, w którym nie wolno nawet podnieść głosu, żeby go zawołać, Scott wzruszył ramionami i oznajmił, że od początku był w Czasopismach, gdzie przeglądał nowe periodyki poetyckie. I rzecz w tym, iż nawet nie podejrzewała, żeby naciągał prawdę, cóż dopiero kłamał. Po prostu go... przeoczyła.

Pielęgniarka odzyskuje pogodę ducha i kontynuuje:

- Dokładnie tak powiedział Scott - że się zlewa. - Rumieni się. - Kazał nam zwracać się do niego po imieniu. Praktycznie zażądał. Mam nadzieję, że pani to nie przeszkadza. - Akcent tej młodej pielęgniarki z Południa jest silny, ale nie drażni Lisey tak, jak akcent Dashmiela.

- Ale skąd. Przekonuje do tego wszystkie dziewczęta, zwłaszcza ładne.

Pielęgniarka się uśmiecha i rumieni jeszcze mocniej.

- Powiedział, że widział, jak przechodziłam obok i patrzyłam wprost na niego. I dodał coś w stylu „Zawsze byłem z tych bielszych białych, ale skoro straciłem tyle krwi, to chyba już jestem w pierwszej dziesiątce”.

Lisey śmieje się uprzejmie, a żołądek się jej ściska.

- I oczywiście w białej pościeli i białej piżamie... - Młoda pielęgniarka mówi coraz wolniej. Chce w to wierzyć, Lisey jest pewna, że w to wierzyła, kiedy rozmawiali i Scott spoglądał na nią jasnymi orzechowymi oczami, ale teraz zaczyna wyczuwać ten absurd, który kryje się pod powierzchnią słów.

Lisey przerywa jej i spieszy z pomocą.

- Poza tym ma zwyczaj zastygania w bezruchu - oznajmia, choć Scott jest jednym z bardziej ruchliwych mężczyzn, jakich zna. Nawet kiedy czyta książkę, nieustannie się porusza na krześle, gryzie paznokcie (nawyk, który na chwilę porzucił po jej tyradzie, a potem do niego wrócił),

drapie się po rękach jak ćpun głodny działki, czasami nawet ćwiczy małymi dwukilowymi ciężarkami, które zawsze leżą pod jego ulubionym fotelem. Nieruchomieje tylko w głębokim śnie i kiedy pisze, a i to tylko, gdy pisanie idzie mu wyjątkowo dobrze. Ale pielęgniarka i tak spogląda z powątpiewaniem, więc Lisey brnie dalej, mówi wesołym tonem, który w jej uszach brzmi obrzydliwie fałszywie. - Czasami, przysięgam, jest niczym mebel. Sama dziesiątki razy mijałam go jak powietrze. - Dotyka ręki pielęgniarki. - Na pewno tak właśnie było, kochanie.

Na pewno to ona nie wie niczego, ale pielęgniarka uśmiecha się do niej z wdzięcznością i temat zniknięcia Scotta znika. A raczej wypychamy go, myśli Lisey. Jak mały kamień nerkowy.

- Dzisiaj mu się bardzo polepszyło - przekazuje dobrą wiadomość pielęgniarka. - Doktor Wendlestadt robił wczesny obchód i był absolutnie zdumiony.

Lisey nie wątpi. I mówi pielęgniarce to, co Scott powiedział jej lata temu, w mieszkaniu w Cleave Mills. Wtedy myślała, że to tylko tak, ale teraz w to wierzy. O, wierzy ze wszystkich sił.

- Wszyscy Landonowie szybko zdrowieją - oznajmia i idzie spotkać się ze swoim mężem.

## 15

On leży z zamkniętymi oczami i głową odwróconą na bok, bardzo biały mężczyzna na bardzo białym łóżku - to z pewnością prawda - ale nie można by nie zauważyć tych bujnych, sięgających ramion ciemnych włosów. Krzesło, na którym siedziała zeszłej nocy, stoi tam, gdzie je zostawiła. Lisey zajmuje na nim stanowisko przy łóżku. Wyciąga książkę - „Dzikich” Shirley Conran. Wyjmuje kawałek pudełka po zapalkach, który służy jako zakładka, po czym czuje spojrzenie Scotta i podnosi głowę.

- I jak się dziś miewasz, drogi mój? - pyta.

On długo nie odpowiada. Jego oddech świszcze, ale już nie krzyczy, tak jak wtedy na parkingu, kiedy błagał o lód. Naprawdę mu lepiej, myśli Lisey. Potem Scott z pewnym wysiłkiem przesuwa dłoń, aż dociera do jej ręki. Ścisną ją. Wargi (strasznie wyschły, trzeba przynieść chapstick albo carmex) ma rozchylone w uśmiechu.

- Lisey - mówi. - Lalunia Lisey.

Zasypia, nadal trzymając żonę za rękę i to jej absolutnie nie przeszkadza. Może czytać, odwracając strony jedną ręką.

## 16

Lisey poruszyła się jak wyrwana z drzemki, wyjrzała przez okno bmw i przekonała się, że cień jej samochodu znacznie się wydłużył na czystym czarnym asfalcie pana Patela. W jej popielniczce jest nie jeden niedopalek, nie dwa, lecz trzy. Spojrzała w szybę i ujrzała twarz spoglądającą na nią z jednego z tych małych okienek na tyłach sklepu, od strony dla dostawców. Znikła, zanim Lisey zdążyła rozpoznać żonę pana Patela lub jedną z jego dwóch nastoletnich córek, ale miała czas określić jej wyraz: ciekawość lub troska. W każdym razie czas opuścić ten las. Wycofała się z zatoczki, zadowolona, że przynajmniej zgmiotła papierosa we własnej popielniczce zamiast wyrzucić go na ten dziwnie czysty asfalt, i znowu ruszyła do domu.

*Wspominanie tego dnia w szpitalu - i tego, co powiedziała pielęgniarka - było kolejną stacją bafa.*

Tak? Tak.

Dziś rano coś było z nią w łóżku i na razie mogła założyć, że to właśnie Scott. Z jakiegoś powodu wysłał ją na poszukiwanie bafa, tak jak jego wysłał starszy brat Paul za czasów nieszczęśliwego dzieciństwa w prowincjonalnej Pensylwanii. Ale zamiast zagadek, prowadzących od jednej stacji do drugiej, prowadzono ją...

- Prowadzisz mnie w przeszłość - powiedziała cicho. - Ale dlaczego? Dlaczego, skoro tam jest złamazia?

*To będzie dobry baf. Prowadzi za fioletowe.*

- Scott, nie chcę iść za fioletowe. - Była już blisko domu. - Smerdołę, jeśli mam iść za fioletowe.

*Ale chyba nie masz wyboru.*

To była prawda, a jeśli następna stacja bafa oznaczała ożywienie tej weekendowej wizyty w „Porozu” - zaliczki miesiąca miodowego - to będzie jej potrzebna cedrowa skrzynka Dobrej

Mamy. Tylko tyle jej zostało po matce, odkąd

*(afrykany)*

afgany przypadły, to pewnie skromna wersja kątka pamiątek z gabinetu Scotta. To było miejsce, w którym przechowywała wszelakie pamiątki z

**(SCOTT I LISEY! PIERWSZE LATA!)**

pierwszej dekady ich małżeństwa: fotografie, pocztówki, serwetki, zapalki, menu, podstawki pod szklanki, takie tam głupoty. Jak długo to zbierała? Dziesięć lat? Nie, tak długo raczej nie. Najwyżej sześć. Może mniej. Po „Pustych diablach” zmiany następowały gęsto i często - nie tylko niemiecki eksperyment, ale wszystko. Ich małżeńskie życie zaczęło przypominać coś w rodzaju szalonej karuzeli (karuzela łańcuchowa, karuzela landonowa, pomyślała) w zakończeniu „Nieznajomych z pociągu” Alfreda Hitchcocka. Przestała przechowywać takie gadzety jak serwetki i reklamowe pudełka z zapalkami, bo namnożyło się zbyt wiele restauracji i kawiarni w zbyt wielu hotelach. Wkrótce przestała w ogóle cokolwiek przechowywać. A cedrowa skrzynka Dobrej Mamy, która tak cudnie pachniała po otwarciu - gdzie ona? Gdzieś w domu, tego była pewna, i postanowiła ją znaleźć.

Może się okazać, że to następna stacja bafa, pomyślała, a potem zobaczyła w oddali swoją skrzynkę na listy. Drzwiczki były zsunięte, pęk listów przyklejony do nich taśmą. Zaciekawiona, zatrzymała się obok. Za życia Scotta skrzynka często pękała w szwach, ale potem strużka listów wyschła i coraz częściej adresatem przesyłek był LOKATOR lub WŁAŚCICIELKA DOMU. Prawdę mówiąc, ten plik wyglądał dość chudo: cztery koperty i kartka pocztowa. Pan Simmons, listonosz na ten rejon, musiał włożyć do skrzynki jakąś paczkę, choć w dobrych dniach zwykł przyczepiać je jedną lub dwoma gumkami do mocnej metalowej flagi. Lisey zerknęła na listy - rachunki, reklamy, pocztówka od Cantaty - a potem sięgnęła do skrzynki. Dotknęła czegoś miękkiego, futrzanego, mokrego. Krzyknęła z zaskoczenia, wyszarpnęła rękę, zobaczyła krew na palcach i krzyknęła znowu, tym razem ze strachu. W pierwszej chwili była zupełnie pewna, że coś ją ugryzło: coś się schowało do tej cedrowej skrzynki listowej. Może szczur, może coś jeszcze gorszego, coś wściekłego, na przykład świstak albo mały szop.

Wytarła rękę o bluzkę, głośno zachłystując się powietrzem, ale w zasadzie nie jęcząc, po czym niechętnie podniosła dłoń, żeby stwierdzić, ile jest w niej ran. I jak głębokich. Przez chwilę absolutna pewność, że ją coś ugryzło, sprawiła, iż naprawdę widziała te znaki. Potem zamrugła i

rzeczywistość się przeorientowała. Skórę miała usmarowaną krwią, ale bez ran i ukąszeń. Coś było w skrzynce, to się zgadza, jakaś obrzydliwa futrzana niespodzianka, ale jej dni kłaniania przeminęły.

Lisey otworzyła schowek i wypadła zeń nieotwarta paczka papierosów. Grzebała dalej, dopóki nie znalazła małej jednorazowej latarki przeniesionej ze schowka w poprzednim samochodzie, lexusie. Dobry wóz to był, ten lexus, jeździła nim cztery lata. Sprzedała go tylko dlatego, że się jej kojarzył ze Scottem, który nazywał auto Seksownym Lexusem Lisey. Zdumiewające, jak mogą boleć takie drobiazgi po śmierci kogoś bliskiego: co tu gadać o księżniczce na smerdolonym grochu. Teraz Lisey ma nadzieję, że w latarce zostało jeszcze trochę życia.

Zostało. Promień był jasny, nieruchomy i pewny. Lisey skierowała go w bok, wzięła głęboki wdech i zaświeciła do skrzynki. Nie do końca zdawała sobie sprawę, że odsłoniła zęby i zacisnęła je tak mocno, że aż bolało. Najpierw zobaczyła tylko mroczny kształt i zielonkawy połysk, jakby światło odbijało się od marmuru. I wilgoć na zardzewiałej metalowej podłodze skrzynki. Pewnie to krew, która została jej na palcach. Przesunęła promień bardziej w lewo, oparłszy się całym ciężarem na drzwiach samochodu, ostrożnie wsunęła latarkę głębiej w skrzynkę. Ciemny kształt wykształcił futro i uszy, i nos, który za dnia miał pewnie barwę różową. Nie można było nie rozpoznać tych oczu; nawet zmętniałe po śmierci zachowały wyraźny kształt. W jej skrzynce na listy leżał zdechły kot.

Lisey zaczęła się śmiać. Nie był to może całkiem normalny śmiech, ale i nie histeryczny, docierała do niej humorystyczna strona sytuacji. Nie potrzebowała Scotta, żeby wiedzieć, iż zabity kot w skrzynce to taka straszna, skandaliczna kalka z „Fatalnego zauroczenia”. Nie był to żaden szwedzki klops z napisami i obejrzała go dwa razy. Najśmieszniejsze, że Lisey nie miała kota.

Poczekwała, aż śmiech się wyśmieje do końca, potem zapaliła salema lighta i wjechała na podjazd.

## VI

### Lisey i profesor (to jest zapłata)

#### 1

Lisey nie czuła już strachu, a po chwilowym napadzie rozbawienia pojawiła się czysta żywa furia. Zostawiła bmw przed zamkniętymi drzwiami stodoły i poszła na sztywnych nogach do domu, zastanawiając się, czy list od nowego przyjaciela znajdzie na drzwiach kuchennych czy frontowych. Nie wątpiła, że list będzie i się nie pomyliła. Był na tylnych, w białej urzędowej kopercie między drzwiami a futryną. Z papierosem w zębach rozdarła kopertę i rozłożyła pojedynczą karteczkę. Wiadomość była wypisana na maszynie.

*Pani: nie ciesze się ze to robie bo kocham xwierzeta, ale lepiej Kot nisz Pani. Nie chcę robić pani krzywdy. Nie chcę, ale pani zadzwoni pod numer 412-298-8188 i powie Mu że zrobi donnację tych wiadomych papierów do szkolnej biblioteki na jego korzyść. Nie chcemy porastać pajęczynom w tej sprawie więc niech pani do niego zadzwoni 20 00 dziś a on się ze mną skotaktuje. Skończmy ten interes i żeby nikt nie ucierpiał z wyjątkiem pani biednego Zwierzaka za którego bardzo PRZEPRASZAM*

*pani przyjaciel*

*Zack*

*PS. Nie jestem ani trochu zły że mi pani kazała się „P”. Wiem że się pani wnerwiła.*

Z

Lisey patrzyła na to Z na końcu wiadomości od Zacka McCoola i pomyślała o Zorro, galopującym przez noc z rozwianą peleryną. Oczy jej łzawiły. Przez chwilę myślała, że płacze, potem zdała sobie sprawę, że to przez dym. Papieros między zębami wypalił się do filtra. Splunęła nim na chodnik i rozgniotła obcasem. Spojrzała na wysoki płot, który otaczał

podwórko... wyłącznie dla symetrii, ponieważ ich jedyni sąsiedzi mieszkali po południowej stronie, na lewo od Lisey, stojącej w kuchennych drzwiach z rozwścieczającą, pełną literówek wiadomością - jego smerdolonym ultimatum. Po drugiej stronie płotu mieszkali Gallowayowie, a oni mieli z dziesięć kotów, które w tych wsiowych ostępach są nazywane kotami stodołowymi. Czasami zakradały się na podwórko Landonów, zwłaszcza kiedy nikogo nie było w domu. Lisey nie miała wątpliwości, że w jej skrzynce pocztowej znajduje się stodołowy kot Gallowayów, tak jak nie miała wątpliwości, że w PT cruiserze, który minął ją tuż po tym, jak zamknęła i opuściła dom Amandy, jechał Zack. Pan krążownik jechał na wschód, wyłonił się niemal dokładnie z osuwającego się w dół słońca, więc nie mogła mu się dobrze przyjrzeć. Drań miał czelność do niej machać. Witajcie, gospodyni, zostawiłem wam coś w skrzynce! A ona odmachnęła, bo tak się robi w Zadupiu Małym.

- Ty draniu - mruknęła, tak wściekła, że nawet nie wiedziała, kogo przeklina: Zacka czy tego obłąkanego Impotebila, który go na nią poszczuł. Ale skoro Zack tak życzliwie dostarczył jej numer Woodbody'ego (natychmiast rozpoznała kierunkowy do Pittsburgha), wiedziała z którym zechce się rozprawić najpierw i już się niecierpliwiła. Przedtem jednak czekało ją odrażające zajęcie gospodarskie.

Wepchnęła list od „Zacka McCoola” do kieszeni z tyłu, przelotnie dotykając Małego Notesu Czynności Przymusowych Amandy i nawet nie zdając sobie z tego sprawy, wyszarpnęła klucze do domu. Nadal była zbyt wściekła, żeby myśleć o różnych rzeczach, na przykład odciskach palców nadawcy na liście. Nie myślała także o zadzwonieniu do biura szeryfa, choć to z pewnością znajdzie się później na liście spraw do załatwienia. Wściekłość zawężyła jej zdolność myślenia do promienia takiego, jak z tej małej latareczki, którą zaświeciła do skrzynki, a teraz w głowie miała tylko dwie sprawy: zająć się kotem, a potem zadzwonić do Woodbody'ego i powiedzieć, żeby się zajął „McCoolem”. Żeby go odwołał. Bo jak nie!

Z szafki pod zlewem wyjęła dwa wiadra, czyste szmaty i gumowe rękawice, oraz torbę na śmieci, którą wsadziła do tylnej kieszeni dżinsów. Wtrysnęła do jednego wiadra płyn do mycia, dołączyła gorącej wody, posługując się perlatozem, żeby szybciej zrobić pianę. Potem wyszła na



dwór, zatrzymując się tylko na chwilę, musiała bowiem wyjąć szczypce z tego, co Scott nazywał kuchenną Szufladą na Rzeczy - te wielkie, używane przy rzadkich okazjach grillowania. Wykonując te drobne, przygnębiające czynności, usłyszała własny głos, jak powtarza w kółko urywek z „Jambalaya”: „O sukinkocie, będzie sto pociech, więc bawmy się”.

Bawmy się. Proszę bardzo.

Na dworze napelniła zimną wodą z hydrantu drugi kubeł i poszła na podjazd, z wiadrem w każdej ręce, szmatami zarzuconymi na ramię, długimi szczypcami w jednej i workiem na śmieci w drugiej kieszeni. Przy skrzynce postawiła wiadra i zmarszczyła nos. Czuje krew czy tylko sobie wyobraża? Zajrzała do skrzynki. Trudno stwierdzić, światło padało nie tam, gdzie trzeba. Powinnam przynieść latarkę, pomyślała, ale niech ją diabli, nie będzie wracać i szukać. Nie teraz, kiedy już zapięła pasy i wystartowała.

Sięgnęła do skrzynki szczypcami, znieruchomiała, kiedy trąciły coś, co nie było miękkie, ale i nie całkiem twarde. Rozwarła je jak najszerszej, zacisnęła i pociągnęła. Początkowo nic się nie działo. Potem kot zaczął z oporem sunąć do przodu.

Szczypce się ześliznęły i klasnęły o siebie. Lisey wyjęła je. Na płaskich końcach - które Scott zawsze nazywał ucapkami - zobaczyła krew i parę szarych włosków. Przypomniała sobie, co powiedziała kiedyś, że „ucapki” to chyba wyłowił, jak dryfowały brzuchem do góry po jego bezcennym stawie. Rozśmieszyła go.

Pochyliła się i zajrzała do skrzynki. Kot był w połowie drogi, teraz już całkiem dostrzegalny. Miał nieokreślony kolor dymu, na pewno stodołowy kot Gallowayów. Klasnęła szczypcami dwa razy - na szczęście - i już miała znowu sięgnąć, kiedy usłyszała nadjeżdżający ze wschodu samochód. Odwróciła się z poczuciem ściskania w żołądku. Nie myślała, że to Zack wraca w swoim małym sportowym PT cruiserze; wiedziała to. Zatrzyma się, wychyli i spyta, czy by jej nie pomóc troszku. Powie: troszku. Pani, powie, może troszku pomóc? Ale to był jakiś SUV, a za kierownicą siedziała kobieta.

*Tknęła cię lekka paranoja, laluniu.*

Może i tak. W tych okolicznościach była usprawiedliwiona.

*Załatw to. Wyszłaś po to, więc to załatw.*

Znowu sięgnęła szczypcami, tym razem patrząc, a kiedy rozwierała ucapki i obejmowała

nimi sztywniejącą łapkę nieszczęsnego stodołowego kota, pomyślała o Dicku Powellu z jakiegoś starego czarno-białego filmu, jak kroi indyka i pyta: Komu nóżkę? I rzeczywiście, poczuła zapach krwi. Trochę się zakrztusiła, pochyliła, splunęła między trampki.

*Załatw to.*

Zacisnęła ucapki (właściwie słowo nie jest takie złe, jak się człowiek z nim zaprzyjaźni) i pociągnęła. Drugą ręką niezdarnie rozchyliła zielony worek na śmieci i kot wpadł do niego głową naprzód. Skręciła brzeg torby, zawiązała supeł, bo głupia lalunia zapomniała przynieść gumkę. Potem z zapamiętaniem szorowała skrzynkę do czysta, usuwając resztki krwi i sierści.

### 3

Kiedy skończyła ze skrzynką, powlokła się do domu z wiadrami. Na śniadanie zjadła owsiankę i kawę, na obiad dużą łyżkę tuńczyka z majonezem i strzęp sałaty, i kot czy nie kot, umierała z głodu. Postanowiła odłożyć telefon do Woodbody'ego do czasu, aż trochę napelni brzuch. Myśl o zadzwonieniu na posterunek - po kogokolwiek w niebieskim mundurze - na razie jej nie zaświtała.

Ręce myła przez trzy minuty, bardzo gorącą wodą, upewniając się, że pod paznokciami nie została ani odrobinka krwi. Potem znalazła plastikowy pojemnik, w którym zostało trochę gotowego dania, wygarnęła je na talerz i podgrzała w mikrofalach. Czekać na dzwoneczek, wyłowiła z lodówki pepsi. Przypomniała sobie, jak myślała, że nigdy nie skończy tego gotowca, kiedy już zasyciła apetyt na niego. Można to dodać na koniec długiej, bardzo długiej listy Spraw co do Których Lisey Nie Miała Racji, ale co z tego? Wielkie mi co, jak z upodobaniem mawiała Cantata w swoich nastoletnich latach.

- Nigdy się nie upierałam, żeby być rodzinnym Einsteinem - powiedziała Lisey w pustej kuchni, a mikrofała zapiszczała na potwierdzenie.

Podgrzana paćka była zbyt gorąca, ale Lisey i tak ją pożarła, chłodząc usta musującymi łykami zimnej pepsi. Po ostatnim kęsie przypomniała sobie ten cichy szelest kociego futra o blachę skrzynki i ten dziwny opór, który poczuła, kiedy ciało zaczęło sunąć do przodu. Musiał go tam zdrowo upchnąć, pomyślała i jeszcze raz przyszedł jej na myśl Dick Powell, czarno-biały

Dick Powell, tym razem mówiący: „Częstujcie się farszem!”.

Poderwała się i popędziła do zlewu tak szybko, że wywróciła krzesło. Była pewna, że wymiotuje wszystko, co przed chwilą zjadła, że puści pawia, rzuci hafcik, odda obiad, zrobi przegląd tygodnia. Pochyliła się nad zlewem z zamkniętymi oczami, otwartymi ustami, skręcającymi się, napiętymi mięśniami brzucha. Po brzemiennej pięciosekundowej pauzie wydała potworne beknięcie po coli, która nadal ćwierkała jak cykada. Jeszcze przez chwilę pochylała się nad zlewem, chcąc się absolutnie upewnić, że to już koniec. Potem wypłukała usta, splunęła i wyjęła z kieszeni dzinsów list od „Zacka McCoola”. Pora zadzwonić do Josepha Woodbody’ego.

#### 4

Sądziła, że dodzwoni się do jego gabinetu w Pittsburghu - kto daje takiemu świrkowi jak jej nowy przyjaciel Zack numer domowy - i przygotowała się do zostawienia, jak by to powiedział Scott, bombastraszenie ogeeeromnie prowokacyjnej wiadomości na automatycznej sekretarce Woodbody’ego. Tymczasem telefon zadzwonił tylko dwa razy i jakaś kobieta, mająca dość miły głos, być może nawilżony tym najważniejszym na świecie pierwszym przedobiednim drinkiem, poinformowała Lisey, że dodzwoniła się do mieszkania Woodbody’ego, a potem spytała, z kim rozmawia. Po raz drugi tego dnia Lisey przedstawiła się jako żona pana Scotta Landona.

- Chciałabym porozmawiać z profesorem Woodbodym - powiedziała. Głos miała łagodny i przyjemny.

- Czy mogę spytać, w jakiej sprawie?

- Dokumentów po moim zmarłym mężu - oznajmiła Lisey, obracając otwartą paczkę salemów na stole przed sobą. Zdała sobie sprawę, że znowu ma papierosy, ale bez zapalniczki. Może to jakieś ostrzeżenie, że powinna to rzucić, zanim nałóg wbije swe żółte haczycki w jej pień mózgowy. Zastanowiła się, czy nie dodać „Na pewno będzie chciał ze mną porozmawiać”, ale odpuściła. Ta żona i tak to wie.

- Chwileczkę.

Lisey poczekała. Nie zaplanowała sobie, co powie. To się zgadzało z kolejną Zasadą

Landona: planujesz przemowę tylko w razie różnicy zdań. Jeśli jesteś wściekły - jak chcesz komuś zrobić drugą dziurę w dupie, jak mówi przysłowie - najlepiej po prostu puścić cugle furii.

Więc siedziała, starannie o niczym nie myśląc, i obracała paczkę papierosów. W kółko, w kółeczko.

W końcu gładki męski głos, który chyba zapamiętała, powiedział:

- Witam panią, co za przyjemna niespodzianka.

ZPINOM, pomyślała. *ZPINOM, skarbiemój.*

- Nie - powiedziała - przyjemnie na pewno nie będzie.

Nastąpiła pauza. A potem ostrożne:

- Słucham? Czy to Lisa Landon? Żona pana Scotta...

- Posłuchaj, sukinsynu. Prześladowuje mnie pewien mężczyzna. Myślę, że jest niebezpieczny. Wczoraj zagroził, że zrobi mi krzywdę.

- Proszę pani...

- Tam, gdzie nie pozwalałam się dotykać chłopcom na szkolnych tańcach, jak to ujął. A dziś...

- Proszę pani, nie sądzę...

- A dziś zostawił w mojej skrzynce pocztowej martwego kota, a do drzwi przybił list, w liście był numer telefoniczny, ten numer, więc nie opowiadaj mi tu, że nie wiesz, o czym mówię, kiedy wiesz! - Przy ostatnim słowie Lisey trzepnęła ręką paczkę papierosów. Trzepnęła jak badmintonową lotkę. Paczka śmignęła przez pokój, syjąc na wszystkie strony salemami lightami. Lisey oddychała szybko i gwałtownie, ale z szeroko otwartymi ustami. Nie chciała, żeby Woodbody to usłyszał i wziął jej wściekłość za strach.

Woodbody milczał. Lisey dała mu czas. Kiedy ciągle się nie odzywał, spytała:

- Jesteś tam? Lepiej żebyś był.

Wiedziała, że odpowiedział jej ten sam mężczyzna, ale gładziutki obły ton wykładowcy zniknął. Ten mężczyzna miał głos jednocześnie młodszy i starszy.

- Proszę chwilę poczekać, odbiorę telefon w gabinecie.

- Żeby żona nie usłyszała, co?

- Proszę poczekać.

- Ty, Woodsmerdek, lepiej żebym za długo nie czekała, bo...

Rozległ się trzask, potem cisza. Lisey żałowała, że nie zadzwoniła z bezprzewodowego telefonu w kuchni; miała ochotę krążyć, chyba też znaleźć papierosa i odpalić go od palnika. Ale może tak jest lepiej. W ten sposób nie rozładuje gniewu. W ten sposób będzie miała pasy zapięte aż do bólu.

Minęło dziesięć sekund. Dwadzieścia. Trzydzieści. Już chciała odłożyć, kiedy rozległ się kolejny trzask i Król Impotibili znowu do niej przemówił tym swoim nowym młodo-starym głosem. Nabrał jakiegoś śmiesznego, czkającego drżenia. To serce mu tak bije, pomyślała. To była jej myśl, ale równie dobrze mogłaby być Scotta. Serce mu bije tak mocno, że to słyszę. Czy chciałam go przestraszyć? Przestraszyłam. Dlaczego to mnie przeraża?

I tak, nagle się przeraziła. To uczucie było jak jasnożółta nić, przesywająca na wylot osnowę jaskrawoczerwonego koca wściekłości.

- Czy ten mężczyzna nazywa się Dooley? James albo Jim Dooley? Wysoki, chudy, z trochę wsiowym akcentem? Jakby z Zachodniej Wir...

- Nie znam jego nazwiska. Przez telefon przedstawił się jako Zack McCool, i takim nazwiskiem podpisał...

- Kurwa - powiedział Woodbody. Ale przeciągnął to słowo - „Kuuurwa” - i zmienił w niemal zaśpiew. Potem nastąpiło coś, co mogło być jękiem. W głowie Lisey do pierwszej jaskrawożółtej nitki dołączyła druga.

- Co? - rzuciła ostro.

- To on - powiedział Woodbody. - Musi być on. Dał mi adres emaliowy Zack991.

- Kazałeś mi nastraszyć tak, żebym oddała nieopublikowane teksty Scotta, co? Taka była umowa?

- Pani nie rozu...

- Chyba rozumiem. Od śmierci Scotta miałam do czynienia z różnymi świrami, a przy

ludziach wykształconych zwykli kolekcjonerzy to cieniasy, ale przy tobie, ty Woodsmerdku, reszta wykształconych wygląda normalnie. Pewnie dlatego początkowo umiesz to ukryć. Naprawdę świrnięci muszą to umieć. To kwestia przetrwania.

- Proszę pani, jeśli tylko pozwoli mi pani wy...

- Grożono mi i to przez ciebie, nie musisz mi tego wyjaśniać. Więc słuchaj, ale uważnie: masz go odwołać natychmiast. Jeszcze nie podałam twojego nazwiska władzom, ale myślę, że policja jest w tej chwili ostatnim z twoich zmartwień. Jeśli dostanę jeszcze jeden telefon, jeszcze jeden list, jeszcze jedno martwe zwierzę od tego Kosmicznego Kowboja, idę do gazet. - Tu ją olśniło. - Zacznę od tych z Pittsburgha. Dziennikarze będą zachwyceni. „Szalony naukowiec grozi wdowie po sławnym pisarzu”. Kiedy to się ukaże na pierwszej stronie, parę pytań od gliniarzy z Maine będzie najmniejszym z twoich problemów. Do widzenia, panie profesorze. Uważała, że dobrze to zabrzmiało i na chwilę żółte wątki strachu znikły - przynajmniej na chwilę. Niestety, następne słowa Woodbody’ego wyłoniły je znowu, jaśniejsze niż dotąd.

- Pani nie rozumie. Nie mogę go odwołać.

## 5

Przez chwilę Lisey była zbyt porażona, żeby wydobyć z siebie głos. W końcu spytała:

- Jak to nie?

- Bo już próbowałem.

- Masz jego emailowy adres! Zack999 czy jak tam...

- Zack991@sail.com, jeśli to coś znaczy. Równie dobrze mogłoby być 007. Nie działa. Przeszło parę pierwszych listów, ale potem wracały same zwroty.

Chciał o tym głądzić dalej, ale Lisey przestała zwracać uwagę. Odtwarzała w pamięci rozmowę z „Zackiem McCoolem”, czy Jimem Dooleyem, jeśli to jego prawdziwe nazwisko. Powiedział, że Woodbody zadzwoni do niego albo...

- Masz jakieś specjalne konto emailowe? - spytała, przerywając Woodbody’emu w połowie słowa. - Powiedział, że wyślesz do niego jakiegoś specjalnego mejla i powiesz mu, czy dostałeś,

czego chciałeś. Więc gdzie je masz? Na uniwersytecie? W kafejce internetowej?

- Nie! - Woodbody niemal załkał. - Niech mnie pani słucha - oczywiście mam konto emailowe na uniwersytecie, ale nie podałem go Dooleyowi! To by było szaleństwo! Mam dwóch absolwentów, którzy regularnie sprawdzają tam pocztę, nie wspominając o sekretarce!

- A w domu?

- Dałem mu mój domowy adres, ale nigdy z niego nie skorzystał.

- A co z tym numerem telefonu?

Nastąpiła chwila ciszy, a kiedy Woodbody znowu przemówił, był szczerze zdumiony. To jeszcze bardziej ją przestraszyło. Spojrzała na przestronne okno w salonie i ujrzała niebo na północnym wschodzie, nabierające fioletu siniaka. Wkrótce będzie noc. Zanosiło się, że będzie długa.

- Numer telefonu? - spytał Woodbody. - Nie dał mi numeru telefonicznego. Tylko adres emailowy, który zadziałał dwa razy i przestał. Albo kłamał, albo fantazjował.

- Czyli co?

- Nie wiem - prawie szepnął Woodbody.

Lisey pomyślała, że w taki sposób ta trzęsidupa usiłuje się nie przyznać, co naprawdę myśli: że Dooley jest wariatem.

- Chwileczkę. - Już odkładała słuchawkę na sofę, ale coś przyszło jej do głowy. - Lepiej tam bądź, kiedy wrócę, profesorze.

Jednak nie musiała się uciekać do palników. Na kominku w mosiężnym stojaku obok kominkowych przyborów znajdowały się długie dekoracyjne zapalki. Podniosła z podłogi salema lighta, pociągnęła długą zapalką po kamieniu. Wzięła ceramiczny wazon jako prowizoryczną popielniczkę, wyjmując z niego kwiaty i myśląc (zresztą nie po raz pierwszy), że palenie to jeden z paskudniejszych nałogów świata. Potem wróciła na sofę i wzięła telefon.

- Więc jak to było?

- Moja żona i ja planujemy wyjście...

- Wasze plany się zmieniły. Wal od początku.

Oczywiście na początku były Impotobile, ci bałwochwalczy wielbicieli oryginalnych tekstów i nieopublikowanych maszynopisów, oraz profesor Joseph Woodbody, zdaniem Lisey - ich król. Bóg jeden wie, ile naścibolił naukowych artykułów na temat twórczości Scotta Landona, i ile z nich w tej chwili porasta cicho kurzem w brzuchu księgoda nad stodołą. Nie obchodziło jej to tak samo, jak rozmiary cierpienia profesora Woodbody'ego na myśl o nieopublikowanych tekstach, które także mogą porastać kurzem w pracowni Scotta. Ważne było tylko to, że Woodbody miał zwyczaj obalać dwa lub trzy browarki dwa lub trzy razy w tygodniu w drodze z uniwerku do domu, zawsze w tym samym barze, knajpie zwanej „Knajpą”. W pobliżu uniwersytetu znajdowało się mnóstwo studenckich knajp do wyboru; niektóre były spelunkami, gdzie piwo sprzedaje się na dzbany, niektóre wypindrzonymi knajpeczkami, gdzie chadzają chcący się pokazać absolwenci i ciało pedagogiczne - takie lokale, w których na parapetach stoją orchidee, a w szafie grającej można sobie puścić „Bright Eyes” zamiast „My Chemical Romance”. „Knajpa” była robociarską karczmą ze dwa kilometry od uniwersytetu, a jedyny numer najbliższy rocka w szafie grającej wykonywał duet Travis Tritt - John Mellencamp. Woodbody powiedział, że lubił tam chodzić, bo w tygodniu popołudniami i wczesnymi wieczorami było tam pusto, a poza tym wystrój kojarzył mu się z ojcem, który pracował w walcowni. (Lisey wybitnie smerdoliła jego ojca). To w tym barze poznał człowieka, który przedstawił się jako Jim Dooley. On też pijał późnym popołudniem lub wczesnym wieczorem, mówił cicho i chodził w niebieskich robociarskich koszulach i podkutych buciorach, takich jakie nosił rodzic Woodbody'ego. Profesor powiedział, że Dooley jest wysoki, mniej więcej metr osiemdziesiąt trzy, chudy, trochę zgarbiony, i ma rzednące ciemne włosy, które często spadają mu na czoło. Oczy chyba niebieskie, ale tego profesor nie był pewien, choć chlali razem prawie codziennie po południu przez sześć tygodni i trochę się, jak to określił Woodbody, zakumplowali. Opowiadali sobie nie historię swojego życia, ale mozaikę wydarzeń z życia, jak to mężczyźni w barach. Woodbody twierdził, że jeśli chodzi o niego, mówił prawdę. Teraz miał powody wątpić w szczerłość Dooleya. Owszem, jest całkiem możliwe, że przyjechał z miasta w Zachodniej Wirginii jakieś dwanaście czy czternaście lat temu, i pewnie rzeczywiście od tego czasu podejmował się



licznych niskopłatnych prac fizycznych. Tak, możliwe, że siedział; miał jakiś taki więzienny wygląd, zawsze zerkał w lustro nad barem, kiedy sięgał po piwo, zawsze oglądał się przez ramię przynajmniej raz, idąc do wychodka. I tak, możliwe, że tę bliznę tuż nad prawym nadgarstkiem zarobił podczas krótkiej lecz brutalnej walki w więziennej pralni. A możliwe, że nie. Mógł też spaść z trójkołowego rowerka w dzieciństwie i niefortunnie wylądować. Woodbody wiedział na pewno jedno: że Dooley przeczytał wszystkie książki Scotta Landon i potrafił inteligentnie o nich dyskutować. I że ze współczuciem słuchał żalonych opowieści o nieprzejednanej wdowie Landon, która rozsiała się na intelektualnym sezamie nieopublikowanych tekstów małżonka, a wśród tych, jak wieść niesie, znajduje się ukończona powieść. Choć właściwie „współczucie” jest zbyt łagodnym słowem. Słuchał z rosnącym oburzeniem.

Jak twierdził Woodbody, to Dooley zaczął nazywać ją Yoko.

Woodbody opisał ich spotkania w „Knajpie” jako „okazjonalne na granicy regularności”. Lisey dokonała rozbioru tej intelektualnej bredni i doszła do wniosku, że ma to oznaczać, iż sesje psioczenia na Yoko Landon miały miejsce cztery, czasami pięć razy w tygodniu, a kiedy Woodbody mówi „parę piwek”, prawdopodobnie ma na myśli parę dzbanów. No proszę, oto ci intelektualni Flip i Flap nakręcali się wzajemnie niemal codziennie w dni robocze, najpierw rozmawiając o tym, jakie świetne są książki Scotta, a potem w naturalny sposób przechodząc do tego, jaką żalonną nieużytą suką okazała się wdowa po nim.

Woodbody twierdził, że to Dooley skierował ich rozmowy na te tory. Lisey, która wiedziała, jak reaguje Woodbody, kiedy nie dostaje tego, co chce, wątpiła, żeby trzeba było go długo namawiać.

W pewnym momencie Dooley oznajmił, że mógłby nakłonić wdowę do zmiany zdania w kwestii nieopublikowanych tekstów. Chyba w końcu da się przekonać, skoro dokumenty jej starego niemal z całą pewnością wylądują w bibliotece Uniwersytetu w Pittsburghu wraz z resztą Kolekcji Landon? Dobrze mi idzie namawianie ludzi, powiedział Dooley. Mam do tego dryg. Król Impotibili (spoglądając na swego nowego przyjaciela z przekrwioną pijacką chytrą, co do tego Lisey nie miała wątpliwości) spytał, ile by sobie policzył za taką usługę. Dooley oznajmił, że nie pragnie zarobku. Mówią tu o przysłudze dla ludzkości, prawda? Wyrwaniu wielkiego skarbu kobiecie zbyt głupiej, żeby zrozumieć, na czym siedzi, jak jakaś kwoka na jajkach. Dooley to rozważył i kazał mu prowadzić rejestr wydatków. A potem, kiedy się znowu

spotkają, a Woodbody dostanie papiery, przedyskutują kwestię zapłaty. Po tych słowach Dooley wyciągnął nad barem rękę do swego przyjaciela, całkiem jakby ubijali normalny ludzki interes. Woodbody uściskał ją, jednocześnie zachwycony i wzgardliwy. Przez te pięć czy siedem tygodni znajomości z Dooleyem analizował go na wszystkie strony, oświadczył Lisey. Bywały dni, kiedy uważał go za prawdziwego twardziela, za więziennego naukowca, którego mrozące krew w żyłach historie o prowokacjach, bójkach i nożach z trzonek łyżek były prawdziwe. Bywały dni (ten, w którym uścisnęli sobie dłonie do nich należał), kiedy nabierał pewności, że Jim Dooley to mitoman, a najbardziej niebezpieczna zbrodnia na jego koncie to kradzież butli rozcieńczalnika z supermarketu w Monroeville, gdzie pracował jakieś pół roku w 2004. Więc dla Woodbody'ego był to właściwie tylko pijacki żarcik, zwłaszcza kiedy Dooley mniej więcej dał mu do zrozumienia, że zamierza odebrać Lisey papiery jej zmarłego męża dla dobra Sztuki. Tak przynajmniej powiedział Lisey Król Impotebili tego czerwcowego popołudnia, ale oczywiście był to ten sam Król Impotebili, który siedział podchmielony w barze z prawie nieznanym mężczyzną, samozwańczym wyrokowcem, też nazywał ją Yoko i twierdził, że Scottowi musi służyć tylko do jednego, no bo po co jeszcze mogła mu być potrzebna? Woodbody powiedział, że on to traktował właściwie jako takie wygłupy, po prostu marzenia dwóch facetów przy kufelku. Fakt, wzmiankowani faceci wymienili się adresami emailowymi, ale przecie w tych czasach wszyscy je mają, no nie? Po dniu uścisku dłoni Król Impotebili spotkał się ze swoim wiernym poddanym tylko raz. Było to dwa dni później. Dooley ograniczył się z tej okazji do jednego piwa, twierdząc że pracuje nad sobą. Po tym jednym browarze wstał i powiedział, że jest umówiony „z jednym”. Powiedział także, że pewnie spotka się z Woodbodym jutro, a w przyszłym tygodniu to już bankowo. Ale Woodbody nigdy więcej nie zobaczył Jima Dooleya, a po paru tygodniach przestał szukać. Parę razy napisał na adres Zack991, no i gucio. W pewnym sensie uznał, że stracenie Jima Dooleya z oczu to dobra rzecz. Za dużo pił, a z Dooleyem coś było chyba nie tak. (Dopieroś się wtedy kapnął?, pomyślała kwaśno Lisey.) Ilość przyjmowanego alkoholu ograniczył do poprzedniego poziomu jednego, dwóch piwek na tydzień, i nawet nie myśląc o tym, przeniósł się do baru o parę przecznic dalej. Dopiero po jakimś czasie do niego dotarło (kiedy przejaśniło mi się w głowie, jak to ujął), że nieświadomie ucieka od miejsca, w którym mógł spotkać Dooleya, że w gruncie rzeczy żałuje tego incydentu. Oczywiście, jeśli w grę nie wchodziła tylko fantazja, kolejny zamek na piasku Jima Dooleya, który Joe Woodbody pomógł urządzić, przepijając omdlewające tygodnie żalosalnej pittsburskiej zimy. I w to uwierzył,

podkreślił w podsumowaniu, mówiąc z takim zaangażowaniem, jak prawnik, którego klient w razie przegranej dostanie zastrzyk trucizny. Doszedł do wniosku, że większość opowieści Jima Dooleya o napadach i walce o przetrwanie w Brushy Mountain to czysta konfabulacja, a pomysł, żeby zmusić panią Landon do oddania rękopisów zmarłego - kolejna. Ich transakcja była po prostu dziecinną zabawą w „co by było, gdyby”.

- Jeśli twoim zdaniem taka jest prawda, to coś mi powiedz - odezwała się Lisey. - Gdyby Dooley się pojawił z całą tęczką opowiadań Scotta, byś ich nie przyjął?

- Nie wiem.

To akurat była prawda, jak jej się wydało, więc spytała go o coś innego:

- Wiesz, co narobiłeś? Co wprawiłeś w ruch?

Profesor Woodbody nie odpowiedział, i Lisey pomyślała, że tu także jest szczerzy. Przynajmniej tak, jak potrafił.

## 7

Po chwili zastanowienia spytała:

- Dałeś mi numer, pod który ma zadzwonić? Za to też muszę ci podziękować?

- Nie! Absolutnie nie! Nie dałem mi żadnego numeru, przysięgam!

Lisey uwierzyła.

- Coś dla mnie zrobisz, profesorze - oznajmiła. - Jeśli Dooley znowu się z tobą skontaktuje, na przykład chcąc powiadomić, że jest na tropie i wszystko idzie dobrze, masz mi powiedzieć, że transakcja jest odwołana. Kompletnie.

- Dobrze. - Jego gorliwość była niemal służalcza. - Proszę mi wierzyć, że... - Przerwał mu kobiecy głos, jego żona, Lisey nie miała wątpliwości, że o coś pytała. Rozległ się szelest - profesor zasłonił mikrofon ręką.

Nie sprawiło jej to różnicy. Robiła podsumowanie sytuacji i nie podobał się jej wynik. Dooley powiedział, że może odwrócić od siebie ostrzał, oddając Woodbody'emu papiery i

nieopublikowane teksty Scotta. Wówczas profesor odwoła szaleńca, powie mu, że wszystko gra i na tym się skończy. Ale były Król Impotebili twierdził, że nie może się skontaktować z Dooleym, a Lisey uwierzyła mu. Czy Dooley tego nie zauważył? Z powodu zwarecia w wadliwym twardym dysku między jego uszami? Nie sądziła. Wydawało się jej, że Dooley naprawdę mógł mieć mgliste zamiary pokazania się w gabinecie Woodbody'ego (lub jego podmiejskim zamku) z papierami Scotta... ale przedtem zamierzał ją zaszczuć, a potem zrobić krzywdę w miejscach, gdzie nie pozwalała się dotykać chłopcom na szkolnych potańcówkach. Ale dlaczego miałyby to zrobić, zadawszy sobie tyle trudu, żeby zarówno profesor, jak i Lisey wiedzieli, że jeśli ona wykaże dobrą wolę, nie wydarzy się nic złego?

*Może dlatego, że potrzebuje pozwolenia.*

W tym coś było. A potem - kiedy już ją zabije, albo tak groteskowo okaleczy, że sama będzie wołała umrzeć - jego wadliwy twardy dysk dostarczy mu pewności, że Lisey jest sobie winna. Dałem jej szansę, pomyśli jej przyjaciel „Zack”. To wyłącznie na własne życzenie. Uparła się grać Yoko aż do samego smutnego końca.

No dobrze. No więc dobrze. Jeśli się pokaże, dostanie klucze do stodoły, pracowni i niech sobie bierze, co chce. *Dam mu zabawkę, niech ma.*

Ale na tę myśli wargi się zacisnęły w grymasie rozpoznawalnym pewnie tylko przez jej siostry, no i nieżyjącego męża, który nazywał go Tornadową Miną Lisey.

- A smerdolę - wymamrotała i rozejrzała się za srebrną łopatką. Nie ma. Została w samochodzie. Jeśli ją chciała mieć, powinna iść po nią, zanim się kompletnie ścię...

- Halo? - odezwał się profesor, jeszcze bardziej wystraszony. Całkiem o nim zapomniała. - Jest tam pani?

- Aha - mruknęła. - Już płacisz.

- Słucham?

- Dobrze wiesz, o czym mówię. To, czego tak cholernie pragnęłaś, co twoim zdaniem musiało być twoje, będzie cię kosztować. Właśnie za to ta zapłata. To, jak się teraz czujesz. Plus pytania, na które będziesz musiał odpowiedzieć, kiedy odłożę słuchawkę.

- Pani Landon, ja nie...

- Jeśli zadzwoni do ciebie policja, lepiej im powiedz wszystko to, co mnie. A to znaczy, że lepiej, żebyś najpierw odpowiedział żonie na parę pytań, nie uważasz?

- Błagam panią! - Z głosu Woodbody'ego przebijał już paniczny strach.

- Zapracowałeś na to. Razem z twoim przyjacielem Dooleyem.

- To nie jest mój przyjaciel!

Tornadowe spojrzenie Lisey przybrało na sile: wargi zaciśnięte, aż odsłoniły się zęby, oczy zwężone w niebieskie kreski. To było śmiercionośne spojrzenie, z gruntu debusherowskie.

- Jest! - wrzasnęła. - To ty z nim piłeś, jemu się wywnętrzałeś, z nim się śmiałeś, kiedy nazywał mnie Yoko Ono. To ty go na mnie poszczułeś, choć tego tak nie nazywasz, a teraz się okazuje, że jest szalony jak szczur ze sracza, a ty nie potrafisz tego odkręcić. Więc tak, profesorze, teraz zadzwonię na policję i a jakże, podam twoje nazwisko, powiem wszystko, co im pomoże odnaleźć twojego przyjaciela, bo on jeszcze nie skończył, ty to wiesz i ja to wiem, bo on nie chce skończyć, ma smerdolony ubaw i to jest zapłata. Zapracowałeś, masz zapłatę. W porządku? W porządku?!

Żadnej odpowiedzi. Ale słyszała chrapliwy oddech i wiedziała, że były Król Impotebili powstrzymuje łzy. Odłożyła słuchawkę, złapała kolejnego papieroska z podłogi, zapaliła. Wróciła do telefonu, ale pokręciła głową. Zadzwoni na policję za minutę. Najpierw chciała wyjąć z beemki srebrną łopatkę, i to natychmiast, zanim zrobi się całkiem ciemno i jej część świata na dziś zakończy z dniem.

## 8

Na podwórku na zapleczu domu - które pewnie do grobowej deski będzie nazywać podwórkiem za drzwiami - było już za ciemno, żeby się poczuła spokojna, choć Wenus, gwiazda spełniająca życzenia, jeszcze się nie pojawiła na niebie. Mrok w miejscu, gdzie stodoła stykała się z szopą na narzędzia, wydawał się szczególnie gęsty, a bmw stało niespełna sześć metrów dalej. Oczywiście Dooley nie ukrywał się w tej czarnej czeluści, a jeśli przebywał na terenie domu, to mógł być gdziekolwiek: za przebieralnią przy basenie, za rogiem budynku, gdzie kiedyś

była kuchnia, przykucnięty za wejściem do piwnicy...

Na tę myśl Lisey się odwróciła jak rażona gromem, ale zostało jeszcze dość światła, żeby stwierdzić, że przy piwnicy nikt się nie czai. A drzwi do piwnicy były zamknięte na klucz, więc nie musiała się obawiać, że Dooley jest w środku. Chyba, że - oczywiście - włamał się jakoś do domu i ukrył, zanim wróciła.

*Przestań, Lisey, sama siebie doprowadzasz do...*

Znieruchomiała z palcami zakrzywionymi na klamce tylnych drzwi bmw. Stała tak pewnie z pięć sekund, po czym wypuściła z drugiej ręki papierosa i zgmiotła go obcasem. W kącie utworzonym przez stodołę i szopę ktoś stał. Stał ktoś bardzo wysoki, nieruchomy.

Lisey otworzyła tylne drzwi beemki i chwyciła srebrną łopatkę. Światło wewnątrz samochodu paliło się nadal, kiedy zamknęła drzwi. Zapomniała, że wewnętrzne światła obecnie palą się jeszcze przez chwilę, światło pomocnicze, jak to nazywają, ale nie wydawało się jej specjalnie pomocne, że Dooley ją zobaczy, a ona nie może go zobaczyć, bo to smerdalone oświetlenie poraziło jej wzrok. Odeszła od samochodu, trzymając stylisko łopaty ukośnie przez pierś. Lampka w bmw w końcu zgasła. Przez chwilę było jeszcze gorzej. Widziała tylko masę niewyraźnych fioletowych kształtów pod blednym lawendowym niebem i całkiem serio spodziewała się, że on teraz na nią skoczy i spyta, dlaczego go nie posłuchała, a potem zaciśnie ręce na jej gardle i wydusi z niej ostatnie tchnienie.

Tak się nie stało, a po trzech sekundach oczy znowu się przystosowały do mroku. I znowu go zobaczyła: wysoki i wyprostowany, ponury i nieruchomy, w kącie między wysokim i niskim budynkiem. I coś ma u stóp. Jakiś kanciasty pakunek. Może walizkę.

Dobry Boże, chyba mu się nie wydaje, że zmieści tam wszystkie papiery Scotta?, pomyślała i zrobiła kolejny ostrożny krok w lewo, tak mocno ściskając srebrną łopatkę, że ręce zaczęły jej pulsować.

- Zack, to ty? - Jeszcze jeden krok. Dwa. Trzy.

Usłyszała nadjeżdżający samochód i zrozumiała, że jego reflektory omiotą podwórko, ukazą tamtego w całej okazałości. A wtedy on na nią skoczy. Uniosła srebrną łopatkę, tak jak w sierpniu 1988 roku, kończąc ruch w chwili, kiedy nadjeżdżający samochód wspiął się na czubek Sugar Top Hill, zalał jej podwórko przelotnym światłem i ukazał elektryczną kosiarkę, którą osobiście

zostawiła w kącie między stodołą i szopą. Cień rączki wystrzelił wysoko na ścianę stodoły i zgasł wraz z gasnącymi reflektorami samochodu. I znowu kosiarka stała się mężczyzną z walizką u stóp, choć kiedy już się poznało prawdę...

W horrorze, pomyślała, w tym momencie z ciemności wyskoczyłby potwór i mnie chwycił. W chwili, kiedy odetchnęłam.

Nic nie wyskoczyło ani jej nie chwyciło, ale Lisey uznała, że nie zawadzi zabrać ze sobą łopatkę, choćby na szczęście. Niosąc ją w jednej ręce, trzymaną w miejscu, gdzie stylisko przechodziło w srebrne ostrze, Lisey poszła zadzwonić do Norrisa Ridgewicka, szeryfa hrabstwa Castle.

## VII

### Lisey i prawo (obsesja i wyczerpany umysł)

#### 1

Kobieta, która przyjęła zgłoszenie Lisey, przedstawiła się jako funkcjonariuszka komunikacyjna Soames i powiedziała, że nie może połączyć Lisey z szeryfem Ridgewickiem, bo szeryf Ridgewick tydzień temu się ożenił. Wraz z żoną pojechał na wyspę Maui i nie wróci przez następne dziesięć dni.

- Z kim mogę rozmawiać? - spytała Lisey. Nie spodobało się jej graniczące z cierpkością brzmienie głosu, ale je rozumiała. O, bardzo dobrze rozumiała. To był cholernie długi dzień.

- Proszę poczekać - powiedziała funkcjonariuszka Soames. Potem Lisey znalazła się w przedpieklu, w którym McGruff, Pies na Zbrodnie, opowiadał o grupach obywatelskiego patrolu. Lisey uznała, że to i tak duży krok naprzód w porównaniu z Dwoma Tysiącami Śniętych Smyczków. Po chwili pogadanki McGruffa zgłosił się policjant, którego nazwisko zachwyciłoby Scotta.

- Tu zastępca Andy Clutterbuck, w czym mogę pomóc?

Po raz trzeci tego dnia - do trzech razy sztuka, powiedziała Dobra Mama, trzeci raz najlepszy raz - Lisey przedstawiła się jako żona Scotta Landona. Zastępca Clutterbuck poznał historię o Zacku McCoolu w nieco okrojonej wersji, poczynając od wczorajszego telefonu, a kończąc na rozmowie, którą właśnie odbyła i w której wypłynęło nazwisko Jima Dooleya. Clutterbuck poprzestał na „aha” i różnych odmianach powyższego, a kiedy skończyła, spytał, kto podał jej drugie, przypuszczalnie prawdziwe nazwisko „Zacka McCoola”.

Z ukłuciem wyrzutów sumienia

*(skarżypyta bez kopyta język lata jak łopata)*

które wykrzesaly z niej słabą iskierkę gorzkiego rozbawienia, Lisey wkopała Króla Impotebili. Nie nazwała go jednak Woodsmerdkiem.



- Czy pan z nim porozmawia?

- Chyba to będzie wskazane, nie sądzi pani?

- Sądzę - powiedziała Lisey, zastanawiając się, czy p.o. szeryfa hrabstwa Castle zdoła wydrzeć z Woodbody'ego tyle, ile ona. To by było coś, pomyślała wściekła. Zdała też sobie sprawę, że nie to ją niepokoi. - Czy go pan aresztuje?

- Na podstawie pani informacji? Nie ma szans. Może mieć pani podstawy do postępowania cywilnego - będzie pani musiała spytać swojego prawnika - ale w sądzie Woodbody na pewno powie, że zgodnie z jego wiedzą ten cały Dooley chciał się tylko pojawić u pani i trochę panią pomęczyć w stylu akwizytora. Będzie twierdził, że nie wiedział o żadnym kocie w skrzynce pocztowej i groźbach karalnych... i będzie mówił prawdę, biorąc pod uwagę to, co pani powiedziała. No nie?

Lisey przyznała, z pewnym przygnębieniem, że tak.

- Poproszę panią o ten list od prześladowcy - powiedział Clutterbuck - i o kota. Co pani zrobiła ze szczątkami?

- Mamy przy domu takie drewniane skrzyniopodobne coś - zaczęła Lisey. Podniosła papierosa, obejrzała go i odłożyła. - Mój mąż miał na to specjalną nazwę... mój mąż miał nazwę na wszystko... ale nie potrafię sobie za żadne skarby przypomnieć, jaką. W każdym razie broni dostępu szopom do rynien. Kota włożyłam do worka na śmieci, a worek wrzuciłam do ładowni. - Teraz, kiedy już się nie wysilała, żeby znaleźć słowo Scotta, samo wskoczyło jej do głowy.

- Aha, aha, a ma pani zamrażarkę?

- Tak...

Już się bała tego, co usłyszy.

- Proszę włożyć kota do zamrażarki. Może go pani zostawić w tym worku. Ktoś go odbierze jutro i zawiezie do Kendalla i Jeppersona. To weterynarze, którzy z nami współpracują. Postarają się określić przyczynę zgonu...

- Nie będzie trudno - wtrąciła Lisey. - Skrzynka była pełna krwi.

- Aha. Szkoda, że nie zrobiła pani paru polaroidów, zanim ją pani umyła.

- No strasznie przepraszam i do nówek padam! - krzyknęła, ugodzona.

- Proszę się nie stresować. Spokojnie. Rozumiem, że jest pani zdenerwowana. Każdy by był.

Tylko nie ty, pomyślała Lisey wrednie. Ty byś był spokojny jak... jak zdechły kot w zamrażarce. A powiedziała:

- To załatwia sprawę profesora Woodbody'ego i martwego kota; a co ze mną?

Clutterbuck powiedział, że natychmiast wyśle zastępcę - zastępcę Boeckmana albo zastępcę Alstona, który będzie miał bliżej - żeby zajął się listem. Dodał, iż teraz przyszło mu do głowy, że zastępca może zrobić parę zdjęć temu zdechłemu kotu. Wszyscy zastępcy mają w samochodach polaroidy. Następnie zastępca (a po godzinie jedenastej jego zmiennik) stanie na posterunku na autostradzie 19, z widokiem na jej dom. Chyba że będzie miał zgłoszenie do wypadku - drogowego lub podobnego. Jeśli Dooley się „zamelduje” (dziwnie delikatny termin), zobaczy wóz policyjny i pojedzie dalej.

Lisey miała nadzieję, że Clutterbuck się nie myli.

- Tacy, jak Dooley - mówił Clutterbuck - działają głównie na pokaz. Jeśli nie zdołają zastraszyć ofiary, mają tendencję do zapominania o całej sprawie. - Przypuszczam, że go pani więcej nie zobaczy.

Lisey miała nadzieję, że tu także się nie myli. Ona sama nie była taka pewna. Nieustannie myślała o tym, jak „Zack” to wszystko urządził. Tak, żeby nikt nie mógł go odwołać - przynajmniej nie człowiek, który go wynajął.

## 2

Nie minęło nawet dwadzieścia minut od jej rozmowy z zastępcą Clutterbuckiem (którego jej zmęczony umysł teraz nieustannie nazywał zastępcą Skutterzbukiem, albo - pewnie przez skojarzenie z polaroidem - Duppercukiem), gdy do jej drzwi zapukał szczupły mężczyzna w khaki, z wielkim pistoletem na biodrze. Przedstawił się jako zastępca Dan Boeckman i powiedział, że kazano mu zarekwizować „rzeczony list” oraz zrobić zdjęcie „rzeczonemu zwierzęcemu denatowi”. Lisey zdołała zachować poważną minę, choć musiała mocno zagryźć

delikatną słuzówkę wyścielającą policzki, żeby wytrzymać ten ubaw. Boeckman umieścił list (wraz ze zwykłą białą kopertą) w torebce na kanapki, którą podarowała mu Lisey, po czym spytał, czy umieściła „rzeczonego zwierzęcego denata” w zamrażarce. Lisey zrobiła to natychmiast po rozmowie z Clutterbuckiem. Zielony worek na śmieci wylądował w lewym kącie wielkiego trawlsena, gdzie nie było nic prócz podstarzałej stertki steków z dziczyzny w plastikowych opakowaniach, prezentu dla niej i Scotta od ich elektryka, Smileya Flandersa. Smiley wygrał pozwolenie na odstrzał łosia na loterii łosiowej w 2001 albo 2002 - Lisey nie była tego pewna - i ustrzelił „wielko stuke” w St. John Valley. Tam, gdzie Charlie Corriveau ustrzelił swoją żonkę, co dopiero teraz skojarzyła. Obok mięsa, którego niemal z całą pewnością nie zje (chyba żeby wybuchła wojna nuklearna), znalazło się miejsce na martwego stodołowego kota Gallowayów, powiedziała zastępcy Boeckmanowi, żeby na pewno odłożył go dokładnie tam i nigdzie indziej. Obiecał jej z absolutną powagą, że „zastosuje się do wymogów” i jeszcze raz była zmuszona zagryźć policzki. Mimo to mało brakowało. Gdy tylko zastępca ruszył ciężko po schodach do piwnicy, Lisey przytuliła się do ściany jak niegrzeczne dziecko, z czołem przylegającym do tynku i rękami na ustach, i zatrzęsa się od tłumionych, rozsadzających gardło chichotów.

A kiedy spazmy minęły, znowu pomyślała o cedrowej skrzynce Dobrej Mamy (należała do niej od ponad trzydziestu pięciu lat, ale nigdy nie uznała jej za swoją własność). Wspomnienie tej szkatułki ze wszystkimi upakowanymi w niej pamiąteczkami trochę złagodziło gotującą się w niej historię. A jeszcze bardziej pomogła jej rosnąca pewność, że postawiła skrzynkę na strychu. Co, oczywiście, miało jak największy sens: szczątki życia, które wiodła, kiedy on pracował, powinny się znaleźć tutaj, w domu który wybrała i który oboje pokochali.

Na strychu znajdowały się co najmniej cztery kosztowne tureckie dywany, którymi była niegdyś zachwycona i które w pewnej chwili, z przyczyn kompletnie dla niej niezrozumiałych, zaczęły ją przerażać...

Co najmniej trzy komplety zniszczonych walizek - przewoziła w nich wszystko w dwóch tuzinach linii lotniczych - niektóre tak zniszczone, że płakać się chce; doświadczeni w bojach weterani zasługujący na medale i parady, ale musieli się zadowolić honorową emeryturą na strychu (a co tam, wiara, lepsze to niż miejski śmietnik)...

Nowoczesne duńskie mebelki do salonu, które według Scotta wyglądały pretensjonalnie,

ależ była na niego wściekła, głównie dlatego, że przyznała mu rację...

Sekretarzyk z żaluzjami, „okazja”, jak się okazało, z jedną nogą krótszą, trzeba było wyrównać pozostałe, ale to wyrównanie zawsze wychodziło nierówno, a pewnego razu żaluzja przycięła jej palce i to była ta ostatnia kropla, bracie, na smerdolony strych marsz...

Stojące popielniczki z czasów nałogu...

Stara maszyna elektryczna Scotta, na której Lisey pisała listy, dopóki taśmy i taśmy korekcyjne nie zaczęły być nie do zdobycia...

Trochę tego, trochę tamtego, trochę owamtego. Inny świat, naprawdę, a jednak hip hip sto lat, a przynajmniej ojacie. A gdzieś - pewnie za stosem pism albo na bujaku z niegodnym zaufania pękniętym oparciem - będzie cedrowa skrzynka. Myśl o niej była jak myśl o zimnej wodzie w upalny dzień, kiedy dręczy cię pragnienie. Nie wiedziała dlaczego miałoby tak być, ale było.

Zanim zastępca Boeckman powrócił z piwnicy z polaroidami, zaczęło jej zależeć, żeby się go pozbyć. A on jak na złość się zasiedział (zasiedział się jak ból zęba, powiedziałby tata Debusher): najpierw opowiedział jej, że kot został chyba dźgnięty jakimś narzędziem (przypuszczalnie śrubokrętem), po czym zapewnił ją, że będzie pełnić straż tuż obok. Mimo że na ich jednostkach (tak to nazwał) nie ma napisu SŁUŻYĆ I CHRONIĆ, ten cel przyświeca im w każdej chwili dnia i nocy i Lisey może się czuć absolutnie bezpieczna. Powiedziała, że czuje się tak bezpieczna, że aż się jej zachciało spać - to był długi dzień, oprócz tego prześladowcy musiała się zająć także chorobą w rodzinie i jest kompletnie wypompowana. Zastępca Boeckman zrozumiał aluzję i wyszedł, po raz ostatni zapewniwszy ją, że jest jak najbezpieczniejsza, bezpieczna jak bezpiecznik, i nie ma potrzeby się wygłupiać ze snem jak zając pod miedzą. Potem potupał po schodkach tak głośno, jak po schodach do piwnicy, po raz ostatni przeglądając portrety martwego kota, dopóki jeszcze miał dość światła. Parę minut później usłyszała dwukrotne warknięcie bombastrasznie ogeeromnego silnika. Reflektory omiotły trawniki, dom i nagle zgasły. Wyobraziła sobie, jak zastępca Daniel Boeckman siedzi po drugiej stronie szosy, w radiowozie zaparkowanym dostojnie na poboczu. Uśmiechnęła się. Potem poszła na strych, nie mając pojęcia, że dwie godziny później będzie leżeć w ubraniu na łóżku, wykończona, szlochająca.

Wyczerpany umysł najłatwiej pada ofiarą obsesji i po półgodzinie bezowocnych poszukiwań na strychu, gdzie było gorąco i duszno, światło ledwie mżyło, a cienie jakby się sprzysięgły, żeby ukryć wszelkie zakątki, które pragnęła zbadać, Lisey poddała się obsesji, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Przede wszystkim nie miała żadnego racjonalnego powodu, żeby szukać tej skrzyni, tylko silne przeczucie, że coś, co w niej jest - jakaś pamiątka z wczesnych lat małżeństwa - stanowi następną stację bafa. Jednak przez jakiś czas jej celem stała się sama skrzynka, cedrowa skrzynka Dobrej Mamy. Niech szlag trafi wszystkie bafy, jeśli nie zdoła położyć rąk na tej cedrowej skrzynce - jakieś trzydzieści centymetrów długości, dwadzieścia pięć szerokości, dwadzieścia wysokości - nigdy nie zdoła zasnąć. Będzie tylko leżeć, katując się myśleniem o martwych kotach, martwych mężach, pustych łóżkach, impotebilnych wojownikach, siostrach, co się tną i ojcach, co tną...

*(cicho laluniu cicho)*

Będzie tylko leżeć i kropka.

Po godzinie poszukiwań wiedziała już, że cedrowej skrzynki jednak nie ma na strychu. Ale wtedy zyskała pewność, że pewnie jest w drugiej sypialni. Całkiem rozsądnie uznała, iż skrzynka mogła tam sama wywędrować... ale po kolejnych czterdziestu minutach (włącznie z balansowaniem na schodkowej drabince, by zbadać górną półkę szafy) okazało się, że druga sypialnia to kolejny ślepy zaułek. Więc skrzynka jest w piwnicy. Musi. Całkiem możliwe, że spoczęła za schodami, gdzie znajduje się także parę kartonowych pudeł z zasłonami, resztkami wykładzin, starymi częściami radiowymi i paroma sportowymi akcesoriami: łyżwami, zestawem do krykieta, dziurawą siatką do badmintonu. Zbiegając po schodach do piwnicy (i wcale nie myśląc o martwym kocie, leżącym koło sterty skostniałej łosiny w zamrażarce), zaczęła wierzyć, że wręcz widziała tam skrzynię. Była już bardzo zmęczona, ale rejestrowała to tylko brzeżkiem świadomości.

Wywleczenie wszystkich pudeł z miejsca ich spoczynku zajęło jej dwadzieścia minut. Niektóre były wilgotne i się rozdarły. Zanim skończyła grzebać w ich zawartości, kończyny dygotały jej ze zmęczenia, ubranie kleiło się do niej, a w potylicy zaczęła pulsować mała wredna migrenka. Upchnęła te pudła, które jeszcze trzymały się kupy, a te, które się rozdarły, zostawiła,

gdzie były. Czyli skrzynka Dobrej Mamy była jednak na strychu. Cały czas cierpliwie na nią czekała, podczas gdy ona marnowała czas między tymi zardzewiałymi łyżwami i zapomnianymi układankami. Teraz Lisey mogła wymienić z pół tuzina miejsc, w które zapomniała zajrzeć, w tym puste miejsce pod ukośnym dachem. To najbardziej prawdopodobna kryjówka. Pewnie wstawiła tam skrzynkę i całkiem zapomniała...

Myśl urwała się gładko w tym miejscu, bo Lisey zdała sobie sprawę, że ktoś stoi za jej plecami. Zauważyła kątem oka. Czy to Jim Dooley, czy Zack McCool, jak go zwał, tak zwał, zaraz chwyci ją za spocone ramię i powie do niej „kobito”. I wtedy będzie miała prawdziwe zmartwienie.

Wrażenie było tak realne, że Lisey wręcz usłyszała człapanie Dooleya. Obróciła się, rękami osłaniając twarz i została jej dokładnie chwila na ujrzenie odkurzacza, który sama wyciągnęła spod schodów. Potem potknęła się o pleśniejący karton ze starą siatką do badmintonu. Zamachała rękami, żeby nie stracić równowagi, prawie jej nie straciła, potem straciła, zdążyła jeszcze pomyśleć „ożeż w pyszczek” i upadła. Czubkiem głowy o włos ominęła spodnią stronę schodów, i dobrze, bo by nieźle grzmotnęła, może do utraty przytomności. Połączonej z utratą życia, gdyby zdrowo rymnęła na cementową podłogę. Udało się jej zamortyzować upadek przez wysunięcie rąk, jednym kolaniem wylądowała bezpiecznie na sprężystym podłożu przegniłej siatki do badmintonu, drugie zaliczyło twardsze lądowanie na podłodze. Na szczęście ciągle miała na sobie dżinsy.

Upadek był szczęśliwy także pod innym względem, pomyślała kwadrans później, kiedy leżała już na łóżku, nadal w ubraniu, ale już po ataku płaczu; osiągnęła już etap pojedynczych szlochów i ponurych, bulgoczących westchnień, które są kacem po silnych emocjach. Ten upadek - i strach, który go poprzedził - przejaśnił jej w głowie. Mogłaby tak szukać skrzynki jeszcze przez dwie godziny - albo dłużej, dopóki by jej starczyło sił. Powrót na strych, powrót do drugiej sypialni, powrót do piwnicy. Powrót do przyszłości, dodałby na pewno Scott; miał ten dryg do dowcipkowania w idealnie niesłusznych momentach. Albo, jak się okazywało później, w idealnie słusznych.

W każdym razie mogłaby spokojnie szukać tak aż do świtu i doszukać się wielkiej góry gorącego powietrza i ogólnego gówna. Była teraz całkiem pewna, że skrzynka jest albo w tak oczywistym miejscu, że mijała je dziesiątki razy, albo po prostu przepadła, może ukradła ją

któraś ze sprzątaczek pracujących przez te lata u Landonów, albo zwędził jakiś robotnik, bo mu się spodobała i pomyślał, że żonie by się nadało takie fajne pudełko, którego braku ta kobita (śmieszne, jak to słowo wkręciło się jej w głowę) nigdy nie zauważy.

Kuku na muniu, Lisey laluniu, odezwał się Scott, który gościł w jej głowie. Pomyśl o tym jutro, bo jutro będzie nowy dzień.

- Aha - zgodziła się Lisey i usiadła, nagle uświadomiwszy sobie, że jest spoconą, cuchnącą kobietą w przepoconych, brudnych ciuchach. Zdarła je z siebie migiem, zostawiła na stercie u stóp łóżka i powędrowała pod prysznic. Podczas upadku w piwnicy otarła sobie obie ręce, ale nie zwróciła uwagi na szczypanie i dwa razy umyła włosy, aż mydliny spływały po skroniach. Potem, niemal przysnąwszy pod gorącą wodą, zdecydowanie przekreśliła dźwignię w drugą stronę, do oporu, opłukała się lodowatym igielkowym prysznicem i wyszła, dzwoniąc zębami. Wytarła się wielkim ręcznikiem i wrzuciła go do kosza, teraz poczuła, że znowu jest sobą, zdrową na umyśle, gotową rozstać się z tym dniem.

Poszła spać, a jej ostatnią myślą, zanim sen zmiotł ją w czerń, było to, że zastępca Boeckman czuwa. Myśl balsamiczna, zwłaszcza po tym dygocie w piwnicy, sprawiła, że Lisey zasnęła głęboko, bez majaków, dopóki nie obudził jej jazgot telefonu.

#### 4

To była Cantata, telefonowała z Bostonu. Jakże by inaczej. Daria do niej zadzwoniła. W kłopotach zawsze dzwoniła do Cauty, zwykle raczej wcześniej niż później. Cauty chciała się dowiedzieć, czy ma wracać. Lisey zapewniła ją, że absolutnie nie ma powodu, żeby wracała wcześniej z Bostonu, choć po rozmowie z Darią mogła odnieść inne wrażenie. Amanda wypoczywa sobie w spokoju, a Cauty naprawdę nic nie może poradzić.

- Możesz ją odwiedzić, ale jeśli nie nastąpi znaczna poprawa - a doktor Alberness mówi, że nie ma się jej co spodziewać - to nawet nie poznasz, czy ona wie, że tam jesteś.

- Jezu - powiedziała Cauty. - To straszne.

- Tak. Ale jest pod opieką ludzi, którzy rozumieją jej sytuację - albo wiedzą, jak się

zajmować ludźmi w jej sytuacji. A Daria i ja na pewno będziemy do ciebie w kół...

Lisey krążyła po pokoju ze słuchawką bezprzewodowego telefonu. Nagle zatrzymała się, wpatrzona w notatnik, który prawie wypadł z tylnej kieszeni rzuconych na podłogę dzinsów. Był to Notesik Czynności Przymusowych Amandy, ale to Lisey teraz poczuła pewien przymus.

- Lisa? - Tylko Cauty ją tak nazywała i zawsze czuła się wtedy jak ta laseczka, która pokazuje nagrody w teleturnieju - Liso, pokaż Hankowi i Marcie, co wygrali! - Lisa, jesteś tam?

- Tak, słonko. - Spojrzenie wbite w notatnik. Małe krążki lśniące w słońcu. Małe ołowiane kółeczka. - Powiedziałam, że będziemy do ciebie w kółko dzwonić. Kółko. - Notes był nadal wygięty od pośladka, do którego tulił się przez tyle godzin, i kiedy na niego patrzyła, głos Cauty zaczął cichnąć. Usłyszała własny głos mówiący, że Cauty na pewno by zrobiła to samo, gdyby to ona była na miejscu. A mówiąc, pochyliła się i do końca wysunęła notatnik z kieszeni. Powiedziała Cantacie, że zadzwoni do niej tego wieczora, powiedziała, że ją kocha, powiedziała do widzenia i rzuciła bezprzewodową słuchawkę na łóżko i na oślep. Patrzyła tylko na ten wyświechtany notesik, za siedemdziesiąt dziewięć centów w każdym markecie. A dlaczego ją tak zafascynował? Dlaczego, skoro jest już rano, a ona jest wypoczęta? Czysta i wypoczęta? Te wczorajsze obsesyjne poszukiwania cedrowej skrzynki wydawały się niemądre, zwyczajna behawioralna eksternalizacja wszystkich lęków tego dnia, ale notesik nie był niemądry, o nie, wcale nie.

I żeby było weselej, przemówił do niej głos Scotta, wyraźniej niż dotąd. Boże, ależ był wyraźny! I głośny.

*Zostawiłem ci wiadomość, skarbiemój. Zostawiłem ci bafa.*

Pomyślała o Scotcie pod drzewem mniam-mniam, Scotcie w tym dziwnym październikowym śniegu, jak jej opowiadał, że Paul czasami drażnił się z nim trudnymi bafami... ale nigdy zbyt trudnymi. Od lat o tym nie myślała. Oczywiście to wyparła, wraz z innymi sprawami, o których nie chciała myśleć; schowała je za fioletową zasłoną. Ale co w tym złego?

- Nigdy nie był niedobry - powiedział Scott. W oczach miał łzy, ale nie w głosie; jego głos był wyraźny i stabilny. Jak zawsze: kiedy miał do opowiedzenia historię, chciał być dobrze usłyszany. - Kiedy byłem mały, Paul nigdy nie był dla mnie niedobry, a ja nigdy nie byłem niedobry dla niego. Trzymaliśmy się razem. Musieliśmy. Kochałem go, Lisey. Strasznie go



kochałem.

Przewróciła już parę stroniczek pełnych cyferek - biednych amandowych cyferek, obłąkańczo ściśniętych jedna przy drugiej. Za nimi były tylko puste kartki. Przeglądała je coraz szybciej, pewność, że coś na nich znajdzie, powoli bladła, aż dotarła do strony prawie na końcu, z jednym niezrozumiałym słowem:

*malwy*

Dlaczego wydawało się jej znajome? Początkowo nie rozumiała - a potem tak. Co będzie moją nagrodą?, spytała tego czegoś w nocnej koszuli Amandy, tego czegoś odwróconego do niej plecami. Picie, odpowiedziało. Fanta? Cola?, dopytywała się, a to coś powiedziało...

- Powiedziało... powiedziała albo powiedział: Cicho bądź. Chcemy patrzeć na malwy - wymamrotała.

Tak, to było to albo prawie to. Prawie można było coś zrozumieć. Ona na razie nie rozumiała, a jednak prawie rozumiała. Gapiała się na to słowo jeszcze parę chwil, po czym przekartkowała cały notes do końca. Wszystkie strony były puste. Miała go już odrzucić, kiedy przez ostatnią stronę ujrzała widmowe słowa. Odwróciła stronę i zobaczyła napis na wygiętej wewnętrznej stronie okładki:

*4-ta stacja: zajrzyj pod łóżko*

Ale zanim się pochyliła, by zajrzeć pod łóżko, najpierw wróciła do numerków na początku notesu, a potem do MALW, które znalazła jakieś sześć stron od końca, co potwierdzało to, co i tak wiedziała: Amanda pisała czwórki prosto, tak jak ich nauczono w podstawówce: (4). To Scott pisał czwórki jak stojące na głowie pętelki: 4. To Scott zapętlął razem o i miał zwyczaj podkreślać notatki i wiadomości. I to Amanda miała zwyczaj pisać małymi literkami drukowanymi... z trochę rozlazłymi literami okrągłymi: C, G, Y i S.

Lisey spoglądała to na MALWY, to na 4-TA STACJA: ZAJRZYJ POD ŁÓŻKO. Pomyślała, że gdyby położyła te dwie próbki charakteru pisma przed Darią i Canty, bez wahania rozpoznałyby tę pierwszą jako dzieło Amandy, a drugą Scotta.

A to coś w jej łóżku wczoraj rano...

- Miało głos, jakby mówili oboje - szepnęła. Skóra jej się marszczyła ze strachu. Nie sądziła,

że to możliwe. - Ludzie pomyślą, że zwariowałam, ale naprawdę, jakby mówili oboje.

*Zajrzyj pod łóżko.*

W końcu zrobiła to, co nakazywała jej notatka. I jedynym bafem była para starych bamboszy.

## 5

Lisey Landon siedziała w snopie porannego słońca, z nogami skrzyżowanymi w kostkach i rękami spoczywającymi na kolanach. Sypiała nago i tak teraz siedziała; cień firanek na oknie od wschodu leżał na jej szczupłym ciele jak cień pończochy. Znowu spojrzała na notatkę, pokazującą jej drogę do czwartej stacji bafa - krótkiego bafa, dobrego bafa, jeszcze parę i dostanie nagrodę.

*Czasami Paul drażnił się ze mną trudnym bafem... ale nigdy zbyt trudnym.*

Nigdy zbyt trudnym. Z tą myślą zamknęła notes z kłapnięciem i spojrzała na okładkę. A tam, pod nazwą firmy, widniały małe ciemne literki:

**mein gott**

Lisey wstała i zaczęła się szybko ubierać.

## 6

Drzewo zamyka ich we własnym świetle. Dalej jest śnieg. A pod drzewem mniem-mniem jest głos Scotta, hipnotyzujący głos Scotta, a jej się wydawało, że „Puste diabły” to horror? To tutaj to horror, a jeśli nie liczyć łez, kiedy mówi o Paulu i o tym, jak trzymali się razem przez całe to kaleczenie, strach i krew na podłodze, Scott opowiada bez zajknięcia.

- Nigdy nie urządziliśmy szukania bafa, kiedy tatuś był w domu - mówi - tylko jak był w pracy.

Scott prawie się wyzbył akcentu z zachodniej Pensylwanii, ale ten akcent wraca, o wiele

silniejszy niż jej jankeski akcent, i brzmi jakoś dziecinnie: nie dom tylko dum, nie praca, tylko dziwny fonetyczny kulfon, brzmiący jak „projca”.

- Paul zawsze pierwszego umieszczał blisko. Powiedzmy „5 stacji bafa” - żeby było wiadomo, ile będzie podpowiedzi - a potem coś w rodzaju „Zajrzyj do szafy”. Pierwszy był tylko czasem zagadką, ale pozostałe prawie zawsze. Pamiętam jedną, „Idź tam, gdzie tatuś kopnął kota” i oczywiście to była stara studnia. Druga „Idź tam, gdzie trakt ora”. Po jakimś czasie doszedłem, że chodzi o stary traktor przy murze, i rzeczywiście, pod siedzeniem była kolejna stacja bafa, przygnieciona kamieniem. Bo stacje bafa to były zwykłe papierki, rozumiesz, zapisane i złożone. Prawie zawsze rozwiązywałem zagadki, ale jeśli utknąłem, Paul podpowiadał mi, aż załapałem. I w końcu dostawałem nagrodę: fantę, colę albo batonik.

Spogląda na nią. Za nim nie ma nic prócz bieli - ściany bieli. Drzewo mniam-mniam - właściwie wierzba - otacza ich magicznym kręgiem, osłania przed światem.

- Czasami, kiedy tatuś dostawał złamazi, nie wystarczyło się pociąć, żeby ją wypuścić. Pewnego dnia, kiedy był taki, postawił mnie

## 7

na ławce w korytarzu, powiedział dalej, teraz to pamiętała (czy chciała, czy nie), ale zanim zdążyła podążyć dalej za fioletowe, gdzie wspomnienie było ukryte przez tyle czasu, zobaczyła mężczyznę na swoim tylnym ganku. I to był prawdziwy mężczyzna, nie kosiarka, nie odkurzacz, mężczyzna. Na szczęście zdążyła zarejestrować fakt, że choć nie był to zastępca Boeckman, on także nosił khaki. To jej oszczędziło żenującego wrzasku a la Jamie Lee Curtis w którymś „Koszmarze”.

Gość przedstawił się jako zastępca Alston. Przyszedł po martwego kota z zamrażarki, a także by zapewnić, że będzie pilnować Lisey przez cały dzień. Spytał, czy ma komórkę, a ona potwierdziła. Była w samochodzie i prawdopodobnie działała. Zastępca Alston zasugerował, żeby miała ją przy sobie bez przerwy i zapisała sobie biuro szeryfa pod klawiszem szybkiego wybierania. Zobaczył jej minę i powiedział, że on może to zrobić, jeśli nie jest „na bieżąco z tą funkcją”.

Lisey, która w ogóle rzadko korzystała z tej minimalnej komórki, zaprowadziła zastępcę do bmw. Gadżet okazał się naładowany tylko w połowie, ale ładowarka znajdowała się w schowku między siedzeniami. Zastępca Alston wyjął zapalniczkę, zobaczył rozsypany popiół i się zawahał.

- Śmiało - powiedziała Lisey. - Myślałam, że znowu się wciągnę, ale chyba zmieniłam zdanie.

- Pewnie słusznie - odparł zastępca Alston bez uśmiechu. Wyjął zapalniczkę i włączył telefon. Lisey nie miała pojęcia, że tak można; jeśli nie zapomniała, zawsze ładowała małą motorolę w kuchni. Dwa lata, a ona jeszcze nie przywykła do myśli, że nie ma faceta, który przeczyta instrukcje i rozgryzie znaczenie F. 1 i F.2.

Spytała zastępcę, jak długo potrwa ładowanie.

- Do pełną? Nie więcej niż godzinę, może mniej. Czy w tym czasie będzie pani w zasięgu telefonu?

- Tak, mam sprawę do załatwienia w stodole. Jest tam aparat.

- Świetnie. Kiedy komórka się naładuje, proszę ją przypiąć do paska albo zatknąć za spodnie. W razie jakichkolwiek powodów do niepokoju proszę wcisnąć klawisz 1 i już rozmawia pani z policjantem.

- Dziękuję.

- Nie ma za co. Jak powiedziałem, będę nad panią czuwał. Dan Boeckman przejmie wieczorną zmianę, chyba że dostanie wezwanie. Tak pewnie będzie - w małych miasteczkach w piątkowe noce zwykle się dzieje - ale ma pani telefon z szybkim wybieraniem, i on zawsze tu wróci.

- Świetnie. Dowiedzieliście się czegoś o tym człowieku, który mnie prześladowuje?

- Ani dudu - powiedział zastępca Alston, dość wyluzowany... ale przecież mógł sobie pozwolić na luz, jemu nikt nie groził i pewnie nie będzie grozić. Miał ze dwa metry, ważył pewnie ze sto dwadzieścia kilo. Jedna taka noga i beczka kapusty, i przez całą zimę z głodu nie umrzesz, mógłby dodać jej ojciec; w Lisbon Falls Dandy Debusher słynął z takich powiedzonek.

- Jeśli Andy coś usłyszy... to znaczy zastępca Clutterbuck, przejął sprawy, dopóki szeryf

Ridgewick nie wróci z miesiąca miodowego... to na pewno panią od razu powiadomi. A pani na razie musi tylko przestrzegać kilku rozsądnych środków ostrożności. Jak pani jest w domu, zamykać drzwi, dobrze? Zwłaszcza po zmroku.

- Dobrze.

- I ten telefon pod ręką.

- Dobrze.

Podniósł kciuk i uśmiechnął się, kiedy ona także podniosła.

- No, to uciekam i zabieram tę kicię ze sobą. Na pewno chętnie się jej pani pozbywa.

- Tak - powiedziała Lisey, choć bardziej chciała się pozbyć, przynajmniej na jakiś czas, zastępcy Alstona. Żeby mogła iść do stodoły i zajrzeć pod łóżko. To, które od dwudziestu czy iluś lat stało w wybielonym kurniku. To, które kupili

*(mein gott)*

w Niemczech. W Niemczech, gdzie

## 8

*co się może popsuć, to się musi popsuć.*

Lisey nie pamięta, gdzie usłyszała to powiedzonko i oczywiście to nie ma znaczenia, ale jak większość ogólników zawiera ziarno niezaprzeczalnej prawdy i to jej przychodzi do głowy z coraz większą częstotliwością podczas tych dziewięciu miesięcy w Bremen: co się może popsuć, to się musi popsuć.

Co się, to się.

Dom na Bergenstrasse Ring jest pełen przeciągów jesienią, zimny zimą i przecieka, kiedy w końcu przychodzi wilgotna i ponura podróbka wiosny. Oba prysznicie ciekną. Toaleta na dole to chichoczący horror. Gospodarz składa wiele obietnic, po czym nie odbiera telefonów Scotta. W końcu Scott wynajmuje niemiecką kancelarię prawną - za paraliżującą cenę - głównie dlatego, jak mówi Lisey, że nie może znieść, iż temu draniowi gospodarzowi to się upiecze, nie może mu

pozwoić wygrać. Drań gospodarz, który czasami puszcza do Lisey oko, kiedy Scott nie patrzy (nie ośmieliła się o tym powiedzieć Scottowi, który traci poczucie humoru, kiedy idzie o drania gospodarza) - nie wygrywa. Pod groźbą postępowania karnego naprawia co nieco: dach przestaje przeciekać, a toaleta na dole kończy z tym makabrycznym rechem o północy. Pojawia się nowy piec, naprawdę. Cud błękitnooki. Potem gospodarz zjawia się pewnego wieczora, pijany, i wrzeszczy na Scotta po niemiecku i angielsku, nazywa go amerykańskim komunistycznym mąciwrzątkiem - wyrażenie, które jej mąż będzie cenil po kres swych dni. Scott, także daleki od trzeźwości (w Niemczech Scott i trzeźwość rzadko widują się z bliska), w pewnym momencie częstuje drania gospodarza papierosem i mówi „jeszczeine, jeszczeine! Jeszczeine, *mein Führer, bitte, bitte!*”. W tym roku Scott pije, Scott żartuje, Scott szczuje prawników na drani gospodarzy, ale Scott nie pisze. Nie pisze, bo zawsze jest pijany, czy jest zawsze pijany, bo nie pisze? Lisey tego nie wie. Trocheine tego, trocheine tamtego. W maju, kiedy jego umowa wykładowcy w końcu miłosiernie dobiega końca, już jej to nie obchodzi. W maju chce się znaleźć tam, gdzie rozmowy w supermarkecie i w sklepikach na ulicy nie brzmią jak bełkoty z tego filmu „Wyspa doktora Moreau”. Wie, że to niesprawiedliwe, ale wie także, że nie zdołała znaleźć w Bremen ani jednej przyjaciółki, nawet wśród mówiących po angielsku żon wykładowców, a jej mąż za długo przesiaduje na uniwersytecie. Ona za długo siedzi w tym pełnym przeciągów domu, okutana w szal, ale na ogół zmarznięta, niemal zawsze samotna i zrozpaczona. Ogląda w telewizji programy, których nie rozumie i słucha, jak ciężarówka z łomotem objeżdżają rondo za wzgórzem. Od tych dużych, peugeotów, trzęsie się podłoga. Fakt, że Scott także jest w żalonym stanie, że zajęcia idą mu kiepsko, a wykłady to prawie katastrofa, wcale nie poprawia sytuacji. No bo dlaczego, na miłość boską? Ten, kto powiedział „Żalność lubi towarzystwo”, gumno tam wiedział. Natomiast ten od „Co się może zepsuć, to się musi zepsuć”... o, ten już miał równo pod sufitem.

Kiedy Scott jest w domu, Lisey widuje go częściej, niż się przyzwyczaiła, bo nie ucieka do tego ponurego pokoiku, w którym urządzili jego gabinet. Początkowo stara się pisać, ale koło grudnia te wysiłki stają się coraz rzadsze, a w lutym zupełnie ustają. Mężczyzna, który pisał w motelu 6, w łomocie ośmiopasmówki i ryku imprezy na górze, kompletnie i zupełnie rozpiął paseine. Ale nie zastanawia się nad tym, przynajmniej ona tego nie widzi. Zamiast pisać, spędza długie, wesołe i wybitnie wyczerpujące weekendy z żoną. Ona często pije z nim i się z nim upija, bo to jedyne, co może zrobić oprócz pieprzenia się z nim. W poniedziałki mają kaca i Lisey się cieszy, że Scott wychodzi, choć kiedy zbliża się dziesiąta wieczór, a jego nadal nie ma, ona już

sterczy w oknie salonu wychodzącym na Ring i niespokojnie wypatruje wynajętego audi, zastanawiając się, gdzie się on podziewa i z kim pije. I ile pije. Bywają takie soboty, kiedy Scott namawia ją na wyczerpujące zabawy w chowanego w tym wielkim wietrznym domu; mówi, że przynajmniej będzie im ciepło i tu ma rację. Albo gonią się, pędzą po schodach, albo galopują po korytarzach w tych idiotycznych *liederhosen*, śmiejąc się jak para głupich (i napalonych) dzieciaków, i wykrzykują co tam potrafią po niemiecku: „*Achtung!*” i „*Jawohl!*”, i „*Ich habe Kopfschmerzen!*”, i (najczęściej) „*Mein Gott!*”. Na ogół te głupie zabawy kończą się seksem. Z alkoholem lub bez (ale na ogół z), tej zimy i wiosny Scott zawsze chce seksu, a ona myśli, że do wyjazdu z tego wietrznego domu zrobili to we wszystkich pokojach, większości łazienek i nawet w niektórych szafach. Cały ten seks to jeden z powodów, dla których nigdy (no, prawie nigdy) nie martwi się, że Scott ma romans, choć nie ma go w domu całymi godzinami, choć tak dużo pije, choć nie robi tego, do czego jest stworzony, czyli nie pisze.

Ale oczywiście ona też nie robi tego, do czego jest stworzona i bywają chwile, kiedy ta świadomość ją dogania. Nie mogłaby powiedzieć, że ją okłamał czy choćby wprowadził w błąd; nie, tego nigdy nie powie. Powiedział jej to tylko raz, ale bez żadnych wątpliwości: nie będzie dzieci. Jeśli czuje, że musi je mieć - a on wie, że Lisey pochodzi z dużej rodziny - to nie mogą wziąć ślubu. To mu złamie serce, ale jeśli Lisey tak uważa, to tak będzie. Powiedział jej to pod drzewem *mniam-mniam*, kiedy siedzieli zasypani tym dziwnym październikowym śniegiem. Lisey pozwala sobie na przypomnienie tej rozmowy tylko podczas długich samotnych popołudni w Bremen, gdzie niebo jest białe, a godzina żadna, a ciężarówka bez przerwy łomoczą, a łóżko się trzęsie. To łóżko, które Scott kupi i uprze się przewieźć je do Ameryki. Często Lisey leży z ręką na oczach i myśli, że to był naprawdę okropny pomysł, pomimo tych roześmianych weekendów i namiętnej (czasami gorączkowej) miłości. Kochają się tak, że jeszcze pół roku temu by nie uwierzyła, i wie, że te wariacje niewiele mają wspólnego z miłością: chodzi o nudę, nostalgię, alkohol i chandrę. Jego picie, zawsze nadmierne, zaczęło ją przerażać. Widzi już nadchodzącą nieuniknioną katastrofę, jeśli Scott nie ściągnie cugli. I pustka jej łona zaczyna ją przygniatać. Zgodzili się, no tak, ale pod tym drzewem *mniam-mniam* nie całkiem rozumiała, że mijające lata i czas mają ciężar. On może znowu zacząć pisać, kiedy wrócą do Ameryki, ale co zrobi ona? Nigdy mnie nie okłamał, myśli, leżąc na tym bremeńskim łóżku z ręką na oczach, ale i tak widzi czasy - nie tak dalekie - kiedy ten fakt nie będzie już wystarczający i ta perspektywa ją przeraża. Czasami żałuje, że w ogóle usiadła ze Scottem Landonem pod tą smerdoloną wierzwą.

Czasami żałuje, że w ogóle go poznała.

## 9

- To nieprawda - szepnęła do mrocznej stodoły, ale ciężar jego pracowni nad głową odczuła jak zaprzeczenie - wszystkie te książki, te opowiadania, to minione życie. Nie żałowała swojego małżeństwa, ale tak, czasami żałowała, że poznała tego niepokojącego i niespokojnego mężczyznę. Że nie poznała kogoś innego. Jakiegoś miłego, statecznego programisty komputerowego, na przykład, faceta zarabiającego siedemdziesiąt tysięcy dolarów rocznie, który dałby jej trójkę dzieci. Dwóch chłopców i dziewczynkę, jedno byłoby już dorosłe i miało własną rodzinę, dwoje byłoby jeszcze w szkole. Ale nie takie życie znalazła. A raczej to ono ją znalazło.

Zamiast natychmiast ruszyć do tego bremeńskiego łóżka (wydawało się, że to za dużo, za szybko), Lisey skrzyła do tej żalosalnej małej imitacji gabinetu, otworzyła drzwi i powiodła po nim wzrokiem. Co miała tu robić, kiedy Scott pisał na górze swoje historie? Nie pamiętała, ale wiedziała, co ją tu teraz przyciągnęło: sekretarka. Spojrzała na czerwoną jedynekę, migająca w okienku podpisanym „Nieodebrane wiadomości” i zastanowiła się, czy powinna zadzwonić do zastępcy Alstona, żeby tego wysłuchał. Postanowiła, że nie. Jeśli to Dooley, zajmie się nim później.

No jasne, że Dooley, a kto?

Przygotowała się na kolejne groźby wypowiedziane tym spokojnym, fałszywie rozsądnym głosem i wcisnęła klawisz „play”. Po chwili młoda kobieta imieniem Emma zaczęła wyjaśniać, jak nadzwyczajnie wiele pieniędzy oszczędzi Lisey, przyłączając się do nowej telefonii. Lisey ucięła tę wniebowziętą litanię w połowie słowa, wcisnęła klawisz „erase” i pomyślała: Tyle na temat domu wariatów dla pań.

Wyszła z gabinetu roześmiana.



Lisey patrzyła na opatulone bremeńskie łóżko bez smutku i nostalgii, choć pewnie kochała się na nim ze Scottem - albo rzuła, nie przypominała sobie, ile było tam miłości podczas pobytu **SCOTTA I LISEY W NIEMCZECH** - pewnie setki razy. Setki? Czy to możliwe podczas zaledwie dziesięciu miesięcy, zwłaszcza że bywały dni, czasami całe robocze tygodnie, kiedy nie widywała go od siódmej rano, gdy wychodził w półśnie z aktówką objającą kolana, do dziesiątej albo za kwadrans jedenasta wieczorem, gdy powracał człapiąc do domu, na ogół wstawiony? Tak, pewnie to możliwe, jeśli się spędzało całe weekendy na tym, co Scott czasami nazywał „smerdodromem”. Dlaczego miałyby mieć jakieś ciepłe uczucia dla tej milczącej, spowitej całunem potworności, choćby się na niej bzyknęli niewiadomą ilość razy? Miała więcej powodów, żeby jej nienawidzić, bo w jakiś sposób - nie intuicyjnie, ale raczej dzięki podświadomej logice („Lisey jest diablo inteligentna, o ile o tym nie myśli”, podsłuchiwała kiedyś słowa Scotta na jakiejś imprezie i nie wiedziała, czy ma się ucieszyć czy zawstydić) - zrozumiała, że ich małżeństwo niemal się rozpadło na tym łóżku. Choć seks był nie wiadomo jak niegrzecznie cudowny, choć Scott doprowadzał ją bez wysiłku do wielokrotnych orgazmów i grzmocił ją tak, że omal nie oszalała od rozkoszy elektrycznych wyładowań nerwów, choć znalazła takie miejsce, którego dotykała przed jego orgazmem i czasami tylko dygotał, ale czasami krzyczał, aż ją ciarki przechodziły, nawet gdy był w niej głęboko, rozpalony jak... no, jak przypiekarnik. Uznała, że to cholerstwo słusznie jest owinięte całunem jak ogromny trup, bo - przynajmniej w jej wspomnieniach - wszystko, co się na nim wydarzyło między nimi, było złe i agresywne, jeden charkot po drugim w gardle ich małżeństwa. Miłość? Czy się kochali? Może. Może parę razy. Na ogół zapamiętała jedno brzydkie rżnięcie po drugim. Charkot... i pauza. Charkot... i pauza. I za każdym razem stworzenie będące Scottem i Lisey potrzebowało więcej czasu, żeby znowu odetchnąć. W końcu opuścili Niemcy. Popłynęli „Queen Elizabeth II” do Nowego Jorku z Southampton, a drugiego dnia, kiedy wróciła ze spaceru po pokładzie, zatrzymała się przed ich kajutą, z kluczem w dłoni, pochyloną głową, nasłuchując. Z wewnątrz dochodził powolny, lecz równomierny klekot maszyny do pisania i Lisey się uśmiechnęła.

Nie pozwoliła sobie wierzyć, że wszystko już będzie dobrze, ale stojąc pod tymi drzwiami i słuchając odgłosów jego rekonwalescencji, wiedziała, że tak może być. I było. Kiedy powiedział, że sprowadzi do Ameryki to łóżko, które nazywał łóżkiem Mein Gott, nic nie powiedziała, wiedząc, że nigdy więcej nie będą w nim spać ani się kochać. Gdyby Scott to zaproponował „Aber raz, meine Lisey, za stareine czaseine!” - odmówiłaby. Wręcz kazałaby mu smerdalać. Jeśli

istnieją nawiedzone meble, to właśnie był jeden z nich.

Podeszła do niego, uklękła, podkasała okrywające je prześcieradło i zajrzała. I tam, w tej zapleśniałej, klaustrofobicznej przestrzeni, gdzie wkradł się smród kurzych gówieńek (jak żebrak w poszukiwaniu jałmużny, pomyślała), tam właśnie było to, czego szukała.

Tam, w mroku, stała cedrowa skrzynka Dobrej Mamy Debusher.

## VIII

### Lisey i Scott (pod drzewem mniam-mniam)

#### 1

Ledwie weszła do swojej rozświetlonej kuchni, ściskając w objęciach cedrowe pudełko, rozdzwonił się telefon. Postawiła skrzynkę na stole i odebrała telefon, rzucając z roztargnieniem „halo”. Nie bała się już głosu Jima Dooleya. Jeśli to on, powie mu, że zadzwoni na policję i odłoży słuchawkę. Była obecnie zbyt zajęta, żeby się bać.

Dzwoniła Daria, nie Dooley, ze szpitala Greenlawn i Lisey bez specjalnego zaskoczenia stwierdziła, że siostrę żrą wyrzuty sumienia, dlatego że zadzwoniła do Canty w Bostonie. A gdyby było odwrotnie, Canty w Maine, a Daria w Bostonie? Lisey uznała, że tak samo. Nie wiedziała, jak bardzo nadal się kochają Canty i Daria, ale nadal były od siebie zależne jak pijak od alkoholu. Kiedy były małe, Dobra Mama mawiała, że jeśli Cantata łapie grypę, to Daria gorączkuje zamiast niej.

Lisey usiłowała odpowiadać jak trzeba, czyli tak jak podczas rozmowy z Canty i dokładnie z tego samego powodu: żeby mogła skończyć z tym gumnem i zabrać się do własnych spraw. Doszła do wniosku, że później sprawy siostr znowu staną się dla niej ważne - żywiła taką nadzieję - ale w tej chwili wyrzuty sumienia Darli miały dla niej równie niewielkie znaczenie, jak warzywny stan Amandy. Podobnie zresztą jak aktualne miejsce pobytu Jima Dooleya, o ile nie przebywał z nią w jednym pokoju, wymachując nożem.

Nie, zapewniła Darię, to nic złego, że zadzwoniła do Canty. Tak, miała rację, mówiąc Canty, żeby nie ruszała się z Bostonu. I jakże by inaczej, naturalnie, że odwiedzi dziś Amandę.

- To straszliwe - mówiła nerwowo Daria i pomimo całego roztargnienia Lisey usłyszała w jej głosie rozpacz. - Ona jest straszliwa. - A potem natychmiast, jednym tchem: - Nie chodzi mi o to, bo nie jest, skąd, ale to straszliwy widok. Ona tam tylko siedzi. Słońce świeciło jej z boku w twarz, poranne słońce, i jej skóra jest taka szara i stara...

- Trzymaj się, kotku - powiedziała Lisey, wodząc czubkami palców po gładkiej, lakierowanej

tafli skrzynki Dobrej Mamy. Nawet przy zamkniętym wieku czuła tę słodycz. Kiedy je otworzy, pochyli się, żeby poczuć ten zapach, jakby się wdychało przeszłość.

- Karmią ją przez rurkę - mówiła płaczliwie Daria. - Wkładają, a potem wyjmują. Jeśli nie zacznie jeść z własnej woli, pewnie zostawią ją na stałe. - Siorbnęła nosem. - Karmią ją przez rurkę, a ona i tak jest już taka chuda, i nie chce mówić, i rozmawiałam z pielęgniarką, i powiedziała, że oni tak potrafią latami, czasami nigdy nie wracają, o Lisey, ja tego nie wytrzymam!

Lisey uśmiechnęła się lekko, przesuwając palcami po zawiasach z tyłu skrzynki. Był to uśmiech ulgi. Oto Daria Królowa Dramatu, Daria Diva, a to oznaczało, że stoją na twardym gruncie, dwie siostry z zaczytanymi scenariuszami w rękach. Po jednej stronie przewodu Daria Wrażliwa. Pomóżcie jej, panie i panowie. Po drugiej Lalunia Lisey, mała, ale twarda. Bijmy jej brawo.

- Przyjadę po południu, Daria, kotku, i znowu się rozmówię z doktorem Albernessem. Teraz mają już pewnie jaśniejszy obraz jej stanu...

Daria, z powątpiewaniem:

- Naprawdę tak uważasz?

Lisey, bez smerdalonego pojęcia:

- Bez wątplenia. A ty musisz jechać do domu i położyć się we własnym salonie. Może nawet zdrzemnąć się we własnym łóżku.

Daria, tonem dramatycznego obwieszczenia:

- O, Lisey! Nie mogłabym zasnąć!

Lisey miała gdzieś, czy Daria zamierza jeść, palić ziele czy srać w begoniach, byle tylko przestała gadać.

- Kochanie, wracaj do domu i przez chwilę odpocznij. Muszę kończyć - wstawiłam coś do piekarnika.

Daria natychmiast się ucieszyła.

- Och, Lisey! Ty?

Lisey pomyślała, że to wyjątkowo wkurzające, jakby nigdy w życiu nie przyrządziła nic bardziej skomplikowanego od... no, gotowego dania.

- Czy to chleb bananowy?

- Blisko. Żurawinowy. Muszę do niego zajrzeć.

- Ale przyjedziesz dziś do Mandy, tak?

Lisey miała ochotę zawyć. Jednak powiedziała tylko:

- Tak. Po południu.

- No, dobrze... - Ton powątpiewania wrócił. Przekonaj mnie, mówił. Pogadaj ze mną przez telefon jeszcze piętnaście minut i przekonaj mnie. - To pewnie pojedę do domu.

- Słuszna decyzja. Cześć, Darl.

- I naprawdę nie zrobiłam nic złego, że zadzwoniłam do Cauty?

Nie! Dzwon se do Bruce'a Springsteena! Do Hala Holbrooka! Do Condi Smerdolonej Rice!  
Tylko ODWAL SIĘ ODE MNIE!

- Absolutnie nie. Myślę, że postąpiłaś słusznie.

- No... dobrze. To cześć, Lisey. Pewnie się zobaczymy.

- Cześć, Darl.

Klik.

W końcu.

Lisey zamknęła oczy, otworzyła skrzynkę i wciągnęła w nozdrza mocną woń cedru. Przez chwilę pozwoliła sobie znowu być pięciolatką w znoszonych szortach po Darli i własnych, schodzonych, lecz ukochanych kowbojskich botkach, tych z bladuróżowymi haftami po bokach.

Potem spojrzała do skrzynki, żeby sprawdzić, co w niej jest i dokąd ją to zaprowadzi.

Na wierzchu leżała paczuszka owinięta w folię, długości piętnastu czy dwudziestu centymetrów, szerokości tak z dziesięciu i grubości pięciu. Folia opinała dwa wybrzuszenia. Lisey nie miała pojęcia, co to takiego. Podniosła folię, poczuła ulotny powiew

*(lukier)*

mięty - czy już przedtem ją czuła, razem z tym cedrowym zapachem skrzynki - i przypomniała sobie wszystko, jeszcze zanim rozpakowała paczuszkę i zobaczyła stwardniały na kamień kawałek weselnego tortu. Tkwiły w nim dwie plastikowe figurki: chłopczyk w smokingu i cylindrze i dziewczynka w białej ślubnej sukni. Lisey chciała to przechować przez rok, a potem zjeść ze Scottem podczas pierwszej rocznicy ślubu. Czy nie tak nakazywał zwyczaj? Jeśli tak, to powinna to trzymać w zamrażarce. Tymczasem wylądowało tutaj.

Odlupała paznokciem kawałek lukru i włożyła do ust. Prawie nie miał smaku, tylko cień słodczy i ostatni cichnący powiew mięty. Wzięli ślub w kaplicy Newmana na Uniwersytecie Maine, w cywilnej ceremonii. Zjechały się wszystkie jej siostry, nawet Jodi. Lincoln, brat taty Debushera, przyjechał aż z Sabbatus, żeby poprowadzić pannę młodą do ołtarza. Zjawili się przyjaciele Scotta z uniwerku i wydawnictwa, a jego agent literacki był drużbą. Oczywiście nie było rodziny Landonów; bliscy Scotta nie żyli.

Pod spetryfikowanym kawałkiem ciasta znajdowało się parę zaproszeń na ślub. Wypisywali je ręcznie, ona połowę, on połowę, i zachowała jedno Scotta i jedno własne. Pod nimi leżało pamiątkowe pudełko zapalek. Rozmawiali, czy wydrukować i zaproszenia, i zapalki, prawdopodobnie mogli sobie pozwolić na taki wydatek, choć pieniądze ze sprzedaży broszurowego wydania „Pustych diabłów” jeszcze nie zaczęły spływać, ale w końcu uznali, że ręczne zaproszenia są bardziej osobiste (nie mówiąc o tym, że fajniejsze). Pamiętała, jak kupowała pięćdziesięciopudełkowe opakowanie zapalek w pudełkach bez nadruków i jak osobiście je zapisywała, czerwonym długopisem z cienkim czubkiem. Zapalki, które trzymała, były pewnie ostatnie z rodu, i przyjrzała się im z ciekawością archeologa i bólem kochanki.

**Scott i Lisa Landon**

**19 listopada 1979 roku**

**„We dwóch trzymamy się my dwaj”**

Łzy zapiekły ją w oczy. „We dwóch trzymamy się my dwaj” to pomysł Scotta, który twierdził, że to z „Kubusia Puchatka”. Natychmiast przypomniała sobie, o co mu chodzi - ileż to razy nękała Jodothę albo Amandę, żeby zaczytały się z nią w „Stumilowym Lesie”? - i pomyślała, że „We dwóch trzymamy się my dwaj” pasuje genialnie, idealnie. Pocałowała go za to. Teraz prawie nie mogła patrzeć na to głupio odważne motto. To był jeden koniec tęczy, a teraz ona była jedna i strasznie głupio to wyszło. Schowała zapalki do kieszeni na piersiach i wytarła łzy z policzków - parę się jednak potoczyło. Badanie przeszłości zanosilo się na mokrą robotę.

Co się ze mną dzieje?

Zapłaciłaby równowartość wartościowej beemki i jeszcze więcej, żeby znaleźć odpowiedź na to pytanie. A wydawało się, że wszystko z nią dobrze! Oplakała go i zaczęła żyć dalej; oczyściła życie z chwastów i żyła dalej. Od niemal dwóch lat ta stara piosenka brzmiała bardzo prawdziwie: ja sobie radę daję, o mnie się nie martw. Potem zabrała się do sprzątania jego pracowni i to przebudziło jego ducha, nie w jakimś widmowym świecie, lecz w niej. Wiedziała nawet, kiedy i gdzie się zaczęło: pod koniec pierwszego dnia, w nie całkiem trójkątnym kącie, który Scott nazywał kątkiem pamiątek. Tam na ścianach wisały nagrody literackie pod szkłem: National Book Award, Pulitzer za fikcję literacką, World Fantasy Award za „Puste diabły”. I co się stało?

- Pękłam - powiedziała Lisey przestraszonym głosem i owinęła folią zmineralizowany kawałek weselnego tortu.

Nie znalazła innego słowa. Pękła. Nie za dobrze to pamiętała, tylko tyle, że się zaczęło, bo jej się chciało pić. Poszła po szklankę wody w tym głupim smerdolonym barku we wnęce - głupim, bo Scott już nie pił, choć jego przygoda z alkoholem trwała parę lat dłużej niż romans z papierosami - i woda nie pociekła z kranu, nic nie pociekło, tylko rury paskudnie zaburczały, a ona mogła poczekać na wodę, w końcu by zaczęła lecieć, ale zakręciła kurki i poszła do drzwi między wnęką a tak zwanym kątkiem pamiątek, i światło się paliło, ale był tam taki regulator, nastawiony na słabe oświetlenie. Przy takim świetle wszystko się wydaje normalne - wszystko to samo, ha, ha. Prawie się człowiek spodziewa, że go zobaczy, jak wchodzi od strony zewnętrznych schodów, włącza muzykę i zaczyna pisać. Tak, jakby nie zapiął pasów na wieczność. I co się spodziewała poczuć? Smutek? Nostalgie? Naprawdę? Coś tak

dystyngowanego, tak arystokratycznego, jak nostalgia? Jeśli tak, no to ubaw po pachy, bo to, co ją wtedy napadło, jednocześnie gorączkowe i lodowate, to

### 3

Co ją napadło - tę praktyczną Lisey, Lisey, która nigdy nie traci głowy (może ewentualnie tego dnia, kiedy musiała się zamachnąć srebrną łopatką, a nawet tego dnia, pochlebia sobie, spisała się całkiem całkiem), lalunię Lisey, która nie traci głowy, kiedy wszyscy inni tracą - to, co ją napadło, to rodzaj bezszwowego, wzdętego gniewu, boskiej furii, która jakby odepchnęła jej umysł na boczny tor i przejęła kontrolę nad ciałem. A jednak (Lisey nie wie, czy to paradoks, czy nie) ta furia jakby wzmaga klarowność jej myślenia, musi, bo Lisey wreszcie rozumie. Dwa lata to długo, ale wreszcie pieniążek spada. Lampka się zapala. Pojawia się jasny obrazek.

On kopnął w kalendarz, jak mówi przysłowie. *(Podoba się?)*

Wykorkował. *(Bardzo się podoba?)*

Wącha kwiatki z czarnej rabatki. *(Duży połów ze stawu, do którego wszyscy schodzimy, żeby się napić i łowić.)*

A kiedy człowiek się zastanowi, co mu wychodzi? No jak to co, że ją rzucił. Prysnał. Spakował manatki i dał nogę, jazda w drogę, bo już dłużej nie mogą. Wyruszył na morze. Zostawił kobietę, która go kochała każdą komórką ciała i umysłu w nie za mądrej głowie, a jej została tylko ta gówniana... smerdolona... skorupa.

I pęka. Lisey pęka. Kiedy się rzuca na ten jego głupi smerdolony kątek pamiątek, słyszy jakby jego głos - ZPINOM, skarbiemój, Zapnij Pasy Ilekroć Nadejdzie Odpowiedni Moment - a potem już nic nie ma, a ona zdziera ze ścian te ordery, odznaczenia i dyplomy w ramkach. Bierze popiersie Lovecrafta, które komisja World Fantasy Award dała mu za „Puste diabły”, tę znieawidzoną książkę, i ciska nim przez całą pracownię, wrzeszcząc:

- Pierdol się, Scott, pierdol się!

Jest to jeden z nielicznych przypadków od tego dnia, gdy Scott przebił ręką szybę w szklarni, kiedy użyła tego słowa w surowej postaci. Wtedy była na niego zła, ale jeszcze nigdy w życiu nie



wściekła się na niego tak, jak teraz; gdyby tu był, zabiłaby go. Jest w autentycznej furii, zdziera ze ścian to bezsensowne gówna, aż nic na nich nie zostaje (niewiele rzeczy, które zrzuciła na podłogę, tłucze się, z powodu tego grubego dywanu - co za szczęście, myśli później, kiedy wraca jej przytomność). Kiedy tak się obraca, jak tornado, nie ma co, znowu krzyczy jego imię, krzyczy: „Scott, Scott, Scott”, krzyczy z rozpacz, krzyczy z samotności, krzyczy z wściekłości, krzyczy na niego, żeby jej wyjaśnił, jak mógł ją tak zostawić, krzyczy na niego, żeby wrócił, och, wrócił. Nieważne, że wszystko to samo, nic nie jest to samo bez niego, nienawidzi go, tęskni za nim, została w niej dziura, wieje przez nią wichur jeszcze zimniejszy niż ten, co dał od Yellowknife, świat jest tak pusty i pozbawiony miłości, kiedy nie ma na nim nikogo, kto by wrzasnął twoje imię i przywrzeszczał cię do domu. Pod koniec chwyta monitor komputera z kątkami pamiętek i coś jej ostrzegawczo strzela w plecach, ale smerdolić plecy, te nagie ściany z niej kpią, a ona się wścieka. Obraca się niezdarnie z monitorem w objęciach i ciska go o ścianę. Rozlega się głuchy trzask - brzmi jak „pump!” - i cisza.

Nie, na dworze świerszcze cykają.

Lisey pada na zagracony dywan, łka słabo, całkiem wykończona. I czy to jakoś go przywołało? Czy w ten sposób przywołała go w swoje życie samą siłą swojej gniewnej i tłumionej rozpacz? Czy wrócił jak woda do od dawna pustej rury? Myśli, że odpowiedź brzmi

#### 4

- Nie - mruknęła Lisey. Bo - choć to brzmi po wariacku - Scott chyba zaczął zostawiać jej stacje tego polowania na bafę na długo przed śmiercią. Na przykład skontaktował się z doktorem Albernessem, który przypadkiem był jego bombastrasnie ogeeromnym fanem. Jakoś zdołał wyrwać akta choroby Amandy i przynieść je na ten obiad. A potem najlepsze: „Pan Landon powiedział, że jeśli panią spotkam, mam spytać o to, jak zabawił tę pielęgniarkę w Nashville”.

A... kiedy schował cedrową skrzynkę Dobrej Mamy pod bremeńskim łóżkiem w stodole? Bo to musiał być Scott, ona by nigdy jej tam nie wsadziła.

W 1996?

*(cicho)*

W zimie 1996, kiedy jego umysł pękł, a ona

*(CICHO BĄDŹ LISEY!)*

Dobrze, dobrze, już nic nie powie o zimie '96 - na razie - ale coś jej mówi, że to to. I...

Szukanie bafa. Ale dlaczego? W jakim celu? Żeby mogła stopniowo stawić czoło czemuś, z czym nie umie się zmierzyć od razu? Może. Pewnie tak. Scott się znał na takich rzeczach, na pewno by współczuł umysłowi, który chce ukryć najstraszniejsze wspomnienia za zasłonami, zachomikować je w słodko pachnących pudełkach.

*Dobry baf.*

O, Scott, co w tym dobrego? Co dobrego jest w takim bólu i smutku?

*Krótki baf.*

Jeśli tak, to to cedrowe pudełko było albo końcem, albo bliskie końca, a ona miała wrażenie, że jeśli zajrzy głębiej, nie będzie powrotu.

Skarbie, westchnął on... ale tylko w jej głowie. Duchów nie ma. Tylko wspomnienia. Tylko głos zmarłego męża. Wierzyła w to; wiedziała to. Może zamknąć pudełko. Może zasunąć zasłonę. Niech przeszłość zostanie przeszłością.

*Skarbiemój.*

Zawsze stawiał na swoim. Nawet po śmierci.

Westchnęła - dźwięk wydał się jej rozpaczliwy i samotny - i postanowiła, że gra dalej. Jednak zabawi się w Pandorę.

Ostatnią rzeczą, którą zachomikowała tutaj z ich oszczędnego, niereligijnego (ale trwałego, bardzo trwałego) ślubu, była fotografia zrobiona na przyjęciu, które zorganizowano w „Skale” - najbardziej tandetnym, najwrzaskliwszym, najpodlejszym i najbrudniejszym lokalu rockandrollowym w Cleaves Mills. Ukazywała ją i Scotta na parkiecie, kiedy zaczęli pierwszy taniec. Ona w białej koronkowej sukience, Scott w zwyczajnym czarnym garniturze - mój

trumienny garnitur, tak go nazywał - który kupił specjalnie na tę okazję (i tej zimy wkładał raz po raz podczas objazdu reklamowego z „Pustymi diabłami”). W tle dostrzegła Jodothę i Amandę, obie nieprawdopodobnie młode i ładne, z upiętymi włosami i rękami zastygłymi w pół kłaśnięcia. Ona spogląda na Scotta, a on uśmiecha się do niej, z rękami na jej talii, i o Boże, jakie miał wtedy długie włosy, prawie do ramion, zapomniała o tym.

Musnęła czubkami palców fotografię, przesunęła nimi po ludziach, którzy byli wtedy przy **SCOTT I LISEY, POCZĄTEK!** I okazało się, że pamięta nawet nazwę tej kapeli z Bostonu („Swingujący Johnsonowie”, bardzo śmieszne), i także do jakiej piosenki tańczyli przed przyjaciółmi: „Too Late To Turn Back Now” Cornelius Brothers and Sister Rose.

- O, Scott - powiedziała. Kolejna łza spłynęła jej po policzku. Wytarła ją z roztargnieniem. Postawiła fotografię na stole w słonecznej kuchni i zajrzała głębiej. Oto cienki plik menu, serwetek barowych i zapalek z moteli na Środkowym Zachodzie, jak również program z Uniwersytetu Indiany w Bloomington, zapowiadający, że Scott Linden będzie czytał „Puste diabły”. Pamiętała, że zostawiła go z powodu literówki i powiedziała, że kiedyś to będzie warte fortunę, a Scott odparł: „Nie nakręcaj się, skarbiemój”. Na programie widniała data 19 marca 1980... więc gdzie są pamiątki z „Poroża”? Czy nic nie zabrała? W tamtych czasach niemal zawsze coś zabierała, to było jak hobby, i mogłaby przysiąc...

Podniosła program zapowiadający „Scotta Lindena” i oto ciemnofioletowe menu ze złotymi literami układającymi się w napis „Poroże” i „Rome, New Hampshire”. I usłyszała Scotta tak wyraźnie, jakby szepnął jej do ucha: „Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu”. Powiedział to tej nocy w jadalni (zupełnie pustej, tylko oni i jedna kelnerka), kiedy zamówił danie dnia. I jeszcze raz później, w łóżku, kiedy przykrył jej nagie ciało swoim.

- Chciałam za to zapłacić - mruknęła, podnosząc do oczu menu w swojej słonecznej, pustej kuchni - a tamten facet powiedział, że mogę sobie wziąć. Bo jesteśmy ich jedynymi gośćmi. I z powodu burzy śnieżnej.

Tej dziwnej październikowej burzy śnieżnej. Zostali dwie noce zamiast zaplanowanej jednej, i drugiej siedziała jeszcze długo po tym, jak Scott zasnął. Zimny front, który przyniósł ze sobą ten nietypowy śnieg już się przesunął i słyszała wodę skapującą z dachu. Leżała w tym dziwnym łóżku (pierwszym z tak wielu, które dzieliła ze Scottem), myślała o Andrew „Iskierce” Landonie i Paulu Landonie, i Scotcie Landonie - Scotcie, Który Przeżył. Myślała o bafach. Dobrych i

krwawych.

Myślała o fioletowym. O tym też.

W pewnym momencie chmury się rozdarły i wietrzne księżycowe światło zalało pokój. W tym świetle w końcu zasnęła. Następnego dnia, w niedzielę, ruszyli przez krajobraz cofający się od zimy do jesieni, i niespełna miesiąc później tańczyli przy śpiewie „Swingujących Johnsonów”.

Otworzyła to złocone menu, żeby sprawdzić, co tamtej dalekiej nocy było daniem dnia, i wypadła z niej fotografia. Od razu ją sobie przypomniała. Właściciel hotelu zrobił ją małym nikonem Scotta. Facet wygrzebał dwie pary rakiet (powiedział, że narty są jeszcze w magazynie w North Conway, wraz z czterema skuterami śnieżnymi) i uparł się, że Scott i Lisey muszą się wybrać na spacer ścieżką za zajazdem. Pod śniegiem te lasy są magiczne, przypomniała sobie, tak powiedział, i będziecie je mieli całe dla siebie - ani jednego narciarza, ani jednego skutera. Taka szansa trafia się raz w życiu.

Nawet spakował im jedzenie i butelkę czerwonego wina na koszt lokalu. I oto oni, opatuleni w ciepłe spodnie, parki i nauszniki, które wyszukała dla niej sympatyczna żona właściciela (parka Lisey była komicznie wielka, sięgała aż za kolana), pozujący do zdjęcia przed wiejskim zajazdem w zadymce, która wyglądała jak hollywoodzki efekt specjalny, w butach z rakietami i z uśmiechami dwojga radosnych kretynów. Plecak, w którym Scott niósł ich obiad i butelkę wina, też był pożyczony. Scott i Lisey, w drodze pod drzewo mniam-mniam, choć o tym jeszcze nie wiedzą. W drodze na przechadzkę Aleją Wspomnień. Ale dla Scotta Landona Aleja Wspomnień była Aleją Świra, i nic dziwnego, że nieczęsto się nią przechadzał.

A jednak, pomyślała, wodząc czubkami palców po fotografii, tak jak po tej ślubnej, musiałeś wiedzieć, że trzeba się tam będzie wyprawić przynajmniej raz, zanim za ciebie wyjdę, chcesz czy nie. Miałeś mi coś do powiedzenia, prawda? Tę historię, która uzasadni twój niepodlegający dyskusjom warunek. Musiałeś czekać na właściwe miejsce całymi tygodniami. A kiedy zobaczyłeś to drzewo, tę wierzbę tak przysypaną śniegiem, że utworzyła grotę, od razu wiedziałeś, że to to i nie możesz dłużej zwlekać. Ciekawe, czy bardzo się denerwowałeś? Czy się bałeś, że cię wysłucham i powiem, że w takim razie jednak nie mogę za ciebie wyjść?

Przypuszczała, że denerwował się jak ta lala. Pamiętała jego milczenie w samochodzie. Nawet pomyślała, że coś knuje. Tak, bo Scott był zwykle taki gadatliwy.

- Ale musiałeś mnie już znać na tyle... - Urwała. Miłą stroną gadania do siebie jest to, że możesz nie kończyć. W październiku 1979 roku musiał znać ją już na tyle, by wierzyć, że przy nim zostanie. Cholera, skoro nie powiedziała mu, by spadał na drzewo, jak poszatkował sobie rękę na siekany kotlet, musiał uwierzyć, że to będzie dłuższa sprawa. Ale czy się denerwował tym ujawnieniem starych wspomnień, dotykaniem tych starych, żywych nerwów? Może nawet bardziej niż się denerwował. Może był przerażony na smerdoloną śmierć.

Ale wziął ją za rękę w rękawiczce, wskazał i powiedział:

- Zjedźmy tam, Lisey... zjedźmy pod tą

## 6

- Zjedźmy pod tą wierzbą - mówi, a Lisey zgadza się bardziej niż chętnie. Przede wszystkim jest potężnie głodna. Poza tym nogi - zwłaszcza łydki - bołą ją od nieznanego wysiłku chodzenia w butach z raketami - podnieść, przekręcić, potrząsnąć... podnieść, przekręcić, potrząsnąć. Ale głównie chce odpocząć od widoku tego padającego w nieskończoność śniegu. Spacer jest dokładnie tak fantastyczny jak obiecywał właściciel, a tę ciszę zapamięta pewnie do końca życia, gdy maści ją tylko chrupanie śniegu pod ich butami, ich oddechy i nieustanny stukot dziecięcia gdzieś w oddali. Ale ta monotonna lawina (nie ma innego słowa) ogromnych płatków śniegu zaczyna ją trochę przerażać. Są takie gęste i grube, i tak bardzo ją rozpraszają, aż traci orientację i dostaje zawrotów głowy. Wierzba rośnie na skraju dzikiej polanki, jej wciąż zielone warkocze uginają się pod ciężarem grubego białego lukru.

Można powiedzieć „warkocze”?, zastanawia się Lisey i myśli, że spyta o to Scotta przy obiedzie. Scott będzie wiedział. Ale nie pyta. Przeszkadzają jej inne sprawy.

Scott podchodzi do wierzby, a Lisey za nim, unosząc i przekręcając stopy, żeby otrząsnąć rakiety. Idzie po śladach swojego narzeczonego. Kiedy docierają do drzewa, on rozchyła te zaśnieżone warkocze, gałęzie - jak zwał, tak zwał - niczym zasłonę i zagląda do środka. Jego tyłek w niebieskich dżinsach wypina się zachęcająco w jej stronę.

- Lisey! Ale tu klawo! Poczekaj, aż zoba...

Lisey unosi Rakiętę A i oddziałuje z pewną siłą na Dżinsowy Tyłek B. Narzeczony C niezwłocznie znika w Zaśnieżonej Wierzbie D (z zaskoczonym przekleństwem). To śmieszne, właściwie bardzo, i Lisey zaczyna chichotać na tym walącym śniegu. Jest nim oblepiona, osiadł nawet na rzęsach.

- Lisey? - dochodzi spod białego parasola.

- Tak, Scott?

- Widzisz mnie?

- Nie.

- To podejdź bliżej.

Podchodzi po jego śladach, wiedząc co będzie, ale kiedy spomiędzy śnieżnej kurtyny wyskakuje ręka i chwyta ją za nadgarstek, to i tak jest zaskoczenie i Lisey piszczy ze śmiechu, bo jest nie tylko zaskoczona, właściwie trochę się boi. Scott pociąga ją do siebie i biały chłód muska jej twarz, na chwilę ją oślepia. Kaptur spada jej z głowy, śnieg sypie się jej za kołnierz, mrozi ciepłą skórę. Nauszniki się przekrzywiają. Słyszy głucho „flump”, kiedy z drzewa za jej plecami ześlizguje się ciężka poducha śniegu.

- Scott! - zipse Lisey. - Scott, ale mnie prze... - I tu urywa.

Scott klęczy przed nią, kaptur jego parki osunął się i ukazuje rozsypane ciemne włosy, niemal tak długie, jak jej. Nauszniki zawiesił na szyi jak słuchawki. Plecak stoi obok niego, oparty o pień drzewa. Scott patrzy na nią z uśmiechem, czeka, aż to do niej dotrze. I dociera. Dociera jak cholera. Każdy by się połapał, myśli.

To trochę jakby się zostało dopuszczonym do tajnej kryjówki, w której Manda i jej przyjaciółki bawiły się w piratki...

Ale nie. To jeszcze lepsze, bo nie pachnie starym drewnem i mokrymi gazetami, i starymi spleśniałymi mysimi gówienkami. Jest tak, jakby zabrał ją do zupełnie innego świata, wciągnął ją w tajny krąg, pod białą kopułę, która należy tylko do nich. Ma jakieś sześć metrów średnicy. Trawa, która tu rośnie, ma jeszcze idealną letnią zielen.

- O, Scott - mówi ona, a z ust wcale nie unosi się para. Tu jest ciepło, uświadamia sobie. Śnieg, który osiadł na gałęziach, posłużył jako izolacja. Rozpina kurtkę.

- Klawo, nie? A teraz posłuchaj tej ciszy.

Scott milknie. Ona też. Początkowo wydaje się jej, że nie ma tu ani jednego dźwięku, ale nie. Jest. Słyszy ciche bicie aksamitnego bębna. To jej serce. Scott wyciąga rękę, zdejmując jej rękawice, bierze dłonie. Całuje każdą, po wewnętrznej stronie. Przez chwilę żadne się nie odzywa. To Lisey przerywa milczenie: burczy jej w żołądku. Scott parska śmiechem, opiera się o pień drzewa i celuje w nią palcem.

- Ja też - mówi. - Miałem ochotę obedrzeć cię z tych portek i tu się bzyknąć, jest ciepło, ale po tych wyczynach za bardzo zgłodniałem.

- Może później - mówi Lisey. Wie, że później będzie niemal z całą pewnością zbyt objedzona, żeby się bzykać, ale nie szkodzi - jeśli nie przestanie padać, czeka ich kolejna noc w „Porozu” i wcale jej to nie martwi.

Otwiera plecak i wyklada obiad. Są dwie grube kanapki z kurczakiem (mnóstwo majonezu), sałatka i dwa ciężkie trójkąci, które okazują się ciastem z rodzynkami.

- Mniam - mówi Scott, kiedy Lisey podaje mu papierowy talerz.

- Oczywiście, że mniam - mówi ona. - Jesteśmy pod drzewem mniam-mniam.

On się śmieje.

- Pod drzewem mniam-mniam. Podoba mi się. - Potem jego uśmiech blednie, a on spogląda na nią poważnie. - Ładnie tu, prawda?

- Tak, Scott. Bardzo ładnie.

Pochyla się nad jedzeniem, ona wychyla się w jego stronę; całują się nad sałatką.

- Kocham cię, laluniu Lisey.

- Też cię kocham. - W tamtej chwili, ukryta przed światem w zielonym i tajnym kręgu milczenia, nigdy nie kochała go bardziej. To terazniejszość.

Pomimo rzekomego głodu Scott zjada tylko pół kanapki i parę kęsów sałatki. Ciasta z

rodzynkami w ogóle nie rusza, ale pije dużo wina. Lisey ma lepszy apetyt, choć nie aż taki, jak się spodziewała. Gryzie ją robak niepokoju. Cokolwiek chodzi Scottowi po głowie, wypowiedzenie tego sprawia mu trud, a dla niej jest jeszcze trudniejsze. Nie potrafi się domyślić, co by to mogło być. Jakiś problem z prawem w tym wsiowym miasteczku w zachodniej Pensylwanii, gdzie dorastał? Czy Scott ma dziecko? Może nawet ma na koncie wczesne małżeństwo, pospieszną awanturkę zakończoną rozwodem lub anulowaniem po dwóch miesiącach? Czy rzecz dotyczy Paula, nieżyjącego brata? Cokolwiek to będzie, właśnie nadchodzi. Jak deszcz nadchodzi po grzmocie, powiedziałyby Dobra Mama. Scott spogląda na swój kawałek ciasta, zastanawia się chwilę, ale sięga po papierosa.

Lisey pamięta, że powiedział „Rodziny są do dupy” i myśli: W grę wchodzi bafy. Przeprowadził mnie tu, bo chce mi powiedzieć o bafach. Wcale się nie dziwi, że to ją tak przeraża.

- Lisey - mówi on. - Muszę ci coś wyjaśnić. I jeśli zmienisz zdanie co do słu...

- Scott, chyba nie chcę tego słyszeć.

Scott się uśmiecha ze znużeniem i strachem jednocześnie.

- No pewnie, że nie. A ja nie chcę mówić. To trochę jak zastrzyk u doktora... nie, gorzej, jak usunięcie cysty albo przecięcie wrzodu. Ale niektóre rzeczy trzeba zrobić. - To olśniewające orzechowe światło jego oczu pada wprost na nią. - Lisey, jeśli się pobierzemy, nie możemy mieć dzieci. Koniec dyskusji. Nie wiem, czy bardzo chcesz je mieć, ale pochodzisz z dużej rodziny i przypuszczam, że spodziewałaś się mieć pewnego dnia pełen dom. Musisz wiedzieć, że jeśli będziesz ze mną, to się nie wydarzy. I nie chcę, żebyś za pięć czy dziesięć lat stanęła naprzeciwko mnie i wykrzyczała: „Nie mówiłeś, że to jest w umowie!”.

Zaciąga się papierosem i wypuszcza dym nozdrzami. Szaroniebieski obłok sunie w górę. Scott spogląda na nią. Twarz ma bardzo bladą, oczy ogromne. Jak klejnoty, myśli Lisey z zachwytem. Po raz pierwszy i jedyny nie myśli, że Scott jest przystojny (zresztą nie jest, choć przy odpowiednim oświetleniu potrafi być frapujący), ale że jest piękny, tak jak niektóre kobiety. To ją fascynuje i z jakiegoś powodu przeraża.

- Za bardzo cię kocham, żeby cię okłamywać, Lisey. Kocham cię całym tym organem, który mi służy za serce. Podejrzewam, że taka potężna miłość z czasem zaczyna kobiecie ciążyć, ale



tylko taką mogę ci dać. Myślę, że będziemy dość bogatą parą pod względem finansowym, ale niemal z całą pewnością przez całe życie pozostanę emocjonalnym nędzarzem. Dostanę pieniądze, ale co do reszty, będzie tak, jak jest i nigdy tego nie zbrukam i nie rozcieńczę kłamstwami. Ani słowami wypowiedzianymi, ani tymi powstrzymanymi. - Wzdycha - długi, dygotliwy dźwięk - i opiera głowę na ręce z papierosem, jakby miał migrenę. Potem się prostuje i znowu na nią spogląda. - Nie będzie dzieci, Lisey. Nie możemy. Nie mogę.

- Scott... ale... czy lekarz...

Kręci głową.

- Nie chodzi o ciało. Słuchaj, skarbiemój. Chodzi o to. - Stuka się w czoło między oczami. - Szaleństwo i Landonowie pasują do siebie jak brzoskwinie i bita śmietanka, i nie mówię to o historyjkach z Edgara Allana Poe ani żadnych staroświeckich wiktoriańskich sytuacjach typu „trzymamy ciocię na strychu”. Mówię o prawdziwym, niebezpiecznym szaleństwie, które płynie w naszej krwi.

- Ty nie jesteś wariatem... - Ale przychodzi jej na myśl moment, kiedy Scott się wynurzył z ciemności, niosąc jej ten krwawiący strzęp ręki, jaki był rozradowany i pełen ulgi. Obląkańczej ulgi. Przypomniała sobie własną myśl, która do niej przyszła, gdy otulała ten strzęp własną bluzką: że może Scott ją kocha, ale jest też trochę zakochany w śmierci.

- Jestem - mówi on cicho. - Jestem wariatem. Mam wizje i halucynacje. Opisuję je, i tyle. Opisuję je, a ludzie mi płacą, żeby o nich czytać.

Przez chwilę jest zbyt oniemiała (a może chodzi o to wspomnienie jego zmasakrowanej ręki, które z premedytacją od siebie odsuwała), żeby odpowiedzieć. On mówi o swoim rzemiośle - zawsze tak je nazywa podczas wykładów, nigdy sztuka, zawsze rzemiosło - że to halucynacja. I to naprawdę szaleństwo.

- Scott - przerywa w końcu milczenie. - Pisanie to twój zawód.

- Myślisz, że to rozumiesz, ale nie wiesz o znikaniu. Mam nadzieję, że dalej będziesz miała tyle szczęścia, laluniu. I nie zamierzam wprowadzać cię pod tym drzewem w historię Landonów, bo sam wiem niewiele. Prześledziłem trzy pokolenia wstecz, przeraziłem się tą krwią na ścianach i przestałem. Już dość krwi - w tym własnej - widziałem w dzieciństwie. Co do reszty, wierzę tatusiowi na słowo. Kiedy byłem mały, tatuś powiedział, że Landonowie - a Landreau przed nimi

- dzielą się na dwa rodzaje: zniki i złamazie. Złamazia jest lepsza, bo można ją wypuścić przez cięcie. Trzeba się ciąć, jeśli się nie chce do końca życia siedzieć w pudle albo szpitalu dla czubków. Powiedział, że to jedyny sposób.

- Mówisz o samookaleczaniu?

Scott wzrusza ramionami, jakby nie miał pewności. Ona też nie ma. W końcu widziała go nago. Ma parę blizn, ale tylko parę.

- Krwawe bafy? - pyta.

Tym razem jest pewniejszy.

- Krwawe bafy, tak.

- Tej nocy, kiedy przebiłeś ręką szybę w szklarni wypuściłeś złamazię?

- Chyba tak. No tak. Jakoś. - Zgniała papierosa w trawie. Robi długą pauzę i nie patrzy na nią. - To skomplikowane. Musisz pamiętać, jak strasznie czułem się tej nocy, zważyło się na mnie mnóstwo rzeczy...

- Nie powinnam...

- Nie - mówi. - Daj mi skończyć. Mogę to powiedzieć tylko raz.

Lisey milknie.

- Byłem pijany, czułem się strasznie i nie wypuszczałem tego... od dawna. Nie musiałem. Głównie dzięki tobie, Lisey.

Lisey ma siostrę, która jako dwudziestoparolatka zaliczyła niepokojący atak samookaleczeń. Amanda już z tego wyszła - Bogu niech będą dzięki - ale pozostały blizny, głównie na wewnętrznej stronie ramion i ud.

- Scott, jeśli się ciąłeś, to powinieneś mieć blizny...

Jakby jej nie słyszał.

- A potem na wiosnę, kiedy już myślałem, że się zamknął na dobre, niech mnie szlag, znowu zaczął do mnie gadać. „To w tobie płynie, staruszkę”, słyszę jego głos. „Płynie w twojej krwi jak cię mogę. No nie?”.

- Kto? Kto zaczął do ciebie mówić? - Wie, że albo Paul, albo ojciec, a pewnie nie Paul.

- Tatuś. Mówi: „Scooter, jeśli chcesz być prawy, lepiej wypuść tę złamają. Zabieraj się do tego natychmiast, nie czekaj.” - Więc to zrobiłem. Po troszku... po troszku... - Robi małe cięcia, jedno na policzku, jedno na ramieniu. - Potem tamtej nocy, kiedy się wściekłaś... - Wzrusza ramionami. - Zająłem się resztą. Raz a dobrze. I się polepszyło. Polepszyło się. Powiem ci jedno, wykrwawiłbym się do sucha jak wieprzek na łańcuchu, zanim bym ci zrobił krzywdę. Zanim bym ci zrobił jakąkolwiek krzywdę. - Jego twarz ściąga się w wyrazie pogardy, którego nigdy u niego nie widziała. - Coś ci powiem, jeszcze nigdy nie byłem taki, jak on. Mój tatuś. - I prawie spluwa: - Pieprzony pan Iskierka.

Lisey się nie odzywa. Nie ośmieliłaby się. Zresztą nawet by chyba nie mogła. Po raz pierwszy od miesiąca zastanawia się, jak to możliwe, że tak się skaleczył, a zostało naprawdę niewiele blizn. Przecież to niemożliwe. On się nie zranił w rękę, on ją zmasakrował.

Tymczasem Scott przypala kolejnego herberta tareytona, ręce odrobineczkę mu się trzęsą.

- Coś ci opowiem - mówi. - To będzie jedna opowieść i niech wystarczy za wszystkie historie z dzieciństwa pewnego mężczyzny. Bo opowieści to moja specjalność. - Spogląda na unoszący się dym z papierosa. - Wyławiam je ze stawu. Mówiłem ci o stawie, nie?

- Tak, Scott. Do którego wszyscy schodzimy, by pić.

- Aha. I zarzucamy sieci. Czasami bardzo odważni rybacy - Austenowie, Dostojewscy, Faulknerowie - nawet wyprawiają się łodziami i docierają tam, gdzie pływają te wielkie, ale staw jest podstępny. Większy niż się wydaje, głębszy niż ktokolwiek to sprawdził i zmienia swą postać, zwłaszcza po zmroku.

Ona milczy. Scott obejmuje ją za szyję. W pewnym momencie ręka ześlizguje się w głąb rozpiętej parki Lisey i tuli jej pierś. Nie z pożądania, tego jest pewna; dla otuchy.

- No dobrze - mówi Scott. - Pora na bajeczkę. Zamknij oczy, laluniu.

Zamyka je. Przez chwilę pod drzewem mniem-mniem jest nie tylko cicho, ale i ciemno, lecz ona się nie boi; czuje jego zapach i dotyk, czuje jego rękę, teraz opartą na pręcie jej obojczyka. Mógłby ją bez trudu udusić tą ręką, ale nie musiał mówić, że nigdy by jej nie skrzywdził, przynajmniej nie fizycznie, tyle wie już sama. Może jej sprawić ból, tak, ale głównie gadaniem. Tą jadaczką, której nie umie zamknąć.

- No dobrze - powtarza mężczyzna, którego poślubi za niespełna miesiąc. - Ta opowieść

mogłaby mieć cztery części. Część pierwsza nosi tytuł „Scooter na ławce”. Dawno, dawno temu był sobie chłopczyk, mała przerażona chudzina imieniem Scott, ale kiedy jego tatuś dostawał złamazi i cięcie nie wystarczyło, żeby ją wypuścić, nazywał go Scooterem. I pewnego dnia - pewnego złego, szalonego dnia - chłopczyk stanął bardzo wysoko, spojrzął w dół na drewnianą lśniąca płaszczyznę i zobaczył krew brata

## 8

z wolna cieknącą w szczelinę między dwoma deskami.

- Skacz - rozkazuje jego ojciec. Zresztą nie po raz pierwszy. - Skacz, ty mały draniu, ty małe cykokiko, skacz natychmiast!

- Tatusiu, boję się! Za wysoko!

- Nieprawda i gównu mnie obchodzi, czy się boisz, ty smerdoło, skacz albo pożałujesz, a twój braciszek jeszcze bardziej, więc katapultuj się natychmiast!

Tatuś odczekuje chwilę, rozgląda się, oczy mu się wywracają tak, jak wtedy, kiedy dostaje złamazi, prawie tykają z boku na bok, kiedy ogląda się na trzylatka, dygoczącego na długiej ławie w korytarzu starej zrujnowanej chałupy z milionem wyjątych przeciągów. Mały stoi z plecami przyciśniętymi do liściastego szlaczku na różowej ścianie domku zagubionego wśród pól, gdzie ludzie nie wtrącają się w nie swoje sprawy.

- Możesz krzyknąć Geronimo, jeśli chcesz. Powiadają, że to czasami pomaga. Jak wrzańiesz głośno, kiedy wyskakujesz z samolotu.

Więc Scott wrzeszczy, skorzystałby z każdej dostępnej pomocy, wrzeszczy GEROMINO! - czyli nie całkiem tak, jak trzeba i dlatego nie działa, bo nadal nie może zeskoczyć z ławy na błyszczącą drewnianą płaszczyznę tak daleko w dole.

- Aaaaa, ty cykokiko maryju, Chryste!

Tata ciągnie Paula do siebie. Paul ma sześć lat, niedługo skończy siedem, jest wysoki, ciemnoblond, włosy ma długie z przodu i po bokach, trzeba by go ostrzyć, trzeba by go zaprowadzić do pana Baumera z golarni w Martensburgu, pana Baumera, który ma na ścianie

głowę łosia i spłowiałą kalkomanię na oknie, gdzie jest amerykańska flaga i napis ODSŁUŻYŁEM, ale minie sporo czasu, zanim dotrą do Martensburga i Scott o tym wie. Nie chodzą do miasta, kiedy tatuś dostaje złamazi i tatuś nie chodzi nawet do pracy, bierze urlop w gippowni.

Paul ma niebieskie oczy i Scott kocha go bardziej niż kogokolwiek, bardziej niż siebie. Dziś rano ręce Paula spływają krwią, poszatkowane, a tatuś znowu sięga po scyzoryk, ten wstrętny scyzoryk, który wypił tyle ich krwi, i podnosi go tak, że odbija się w nim poranne słońca. Dziś tata zszedł z piętra, rycząc na nich, rycząc: baf! baf! Do mnie obaj! Jeśli baf dotyczy Paula, tnie Scotta, a jeśli Scotta - tnie Paula. Nawet w złamazi tatuś rozumie, co to miłość.

- Skoczysz, tchórze, czy mam go znowu pociąć?

- Nie, tatusiu, nie! - krzyczy Scott. - Nie tnij, skoczę!

- No to już! - Górna warga tatusia unosi się i obnaża zęby. Oczy przewracają mu się, toczą się, toczą, toczą, wypatrują ludzi po kątach, może naprawdę, pewnikiem, bo czasami słyszą, jak rozmawia z kimś, kogo nie ma. Czasami Scott i jego brat nazywają ich Złamaziowcami, a czasem Złobafowcami.

- No to już, Scooter! Natychmiast, Scooter, staruszk! Wrzeszcz Geronimo i katapultuj się! W tej rodzinie nie ma tchórzliwych kików! Natychmiast!

- ...GEROMINO! - drze się Scott i choć stopy mu się trzęsą, a nogi dygoczą, nadal nie potrafi skoczyć. Tchórzliwe nogi, cykokiko nogi. Tatuś nie da mu drugiej szansy. Tatuś wbija scyzoryk głęboko w ramię Paula i krew bluzga jak płachta. Trochę pada na szorty Paula, a trochę na trampki, a większość na podłogę. Paul się krzywi, ale nie krzyczy. Jego oczy błagają Scotta, żeby położył temu kres, ale usta milczą. Usta nie będą błagać. W gipsowni (którą chłopcy nazywają gippownią, bo tak mówi tatuś) mężczyźni mówią na Andrew Landona Iskierka, a czasami Pan Zwarcie. Teraz jego twarz pochyla się nad ręką Paula, a kępki siwiejących włosów się jeżą, jakby ta lekstryczność, z którą pracuje, dostała się mu do środka, a jego krzywe zęby szczerzą się w halloweenowym uśmiechu, a oczy są puste, bo taty nie ma, tata jest znikiem, w jego butach jest tylko złamazia, to nie jest człowiek ani tatuś, tylko krwawy baf z oczami.

- Jeżeli teraz nie skoczysz, to mu ciachnę ucho - mówi stworzenie z lekstrycznymi włosami tatusia, stworzenie w butach tatusia. - Zostań tam, to gardło poderżnę wysmerdkowi, co mi tam.

Wszystko w twoich rękach, Scooter, Scooter staruszku. Mówisz, że go kochasz, ale chyba nie aż tak, żeby mi nie pozwolić go ciąć, co? Kiedy wystarczy tylko zeskoczyć z ławy, co ma półtora metra! Co o tym sądzisz, Paul? Co masz do powiedzenia swojemu cykokiko bratu?

Ale Paul nic nie mówi, tylko patrzy na brata, ciemnoniebieskie oczy wpatrzone w orzechowe, i to piekło będzie się ciągnęło przez dwa tysiące pięćset dni, przez siedem niekończących się lat. Rób, co możesz, a reszta zrobi się sama, mówią oczy Paula i od tego serce mu się łamie, a kiedy wreszcie skacze z ławki (na śmierć, jak święcie wierzy), to nie przez groźby ojca, ale ponieważ oczy brata pozwoliły mu zostać tam, gdzie jest, jeśli za bardzo się boi.

Zostać na ławce, nawet jeśli z tego powodu Paul Landon straci życie.

Skacze i pada na kolana, w krew na podłodze, w krew brata, i zaczyna płakać, wstrząśnięty, że jeszcze żyje, i nagle obejmują go ramiona ojca, silne ramiona ojca go podnoszą, teraz raczej z miłością niż gniewem. Usta ojca dotykają najpierw policzka, potem mocno wtulają się w kącik jego ust.

- Widzisz, Scooter, Scooter staruszku? Wiedziałem, że to zrobisz.

Potem tata mówi, że już po wszystkim, krwawy baf się skończył i Scott może się zająć bratem. Ojciec mówi mu, że jest odważny, dzielny mały skursyn, ojciec mówi, że go kocha i w tej chwili zwycięstwa Scott nie przejmuje się nawet tą krwią na podłodze, on też kocha ojca, co jest najgorsze, kocha tego szalonego krwawobafnego ojca za to, że już skończył, choć wie, nawet jako trzylatek wie, że będzie następny raz.

## 9

Scott milknie, rozgląda się, sięga po wino. Nie zawraca sobie głowy szklanką, pije prosto z butelki.

- Nie był to straszny skok. - Wzrusza ramionami. - Ale trzylatkowi wydawał się okropny.

- Scott, o mój Boże. Często miał takie napady?

- Dość często. Wiele wspomnień wyparłem. Ale to z ławką mi się wryło. I jak powiedziałem, wystarczy za wszystkie inne.

- Czy... był pijany?

- Nie. Prawie nigdy nie pił. Gotowa na drugą część?

- Jeśli ma być taka jak pierwsza, nie wiem.

- Bez obaw. Część druga jest o Paulu i dobrym bafie. Nie, cofam to, o Paulu i najlepszym bafie, a wydarzyło się to zaledwie parę dni po tym, jak stary kazał mi skakać z ławki. Wezwali go do roboty, i kiedy tylko jego ciężarówka znikła, Paul powiedział, że mam być grzeczny, a on pójdzie do Muliego. - Urywa, śmieje się i kręci głową jak ludzie, którzy uświadamiają sobie swoją głupotę. - Do Muellera. Tak się to naprawdę nazywało. Powiedziałem ci, że kiedy bank wystawił na sprzedaż nasz dom, wróciłem do Martensburga, prawda? Niedługo zanim cię poznałem?

- Nie.

Jest zdziwiony - przez chwilę nawet niepokojąco zagubiony.

- Nie?

- Nie. - Nie pora mu przypominać, że prawie jej nie wspominał o swoim dzieciństwie...

Prawie? Wcale. Aż do dziś, pod drzewem mniam-mniam.

- No - mówi on (z lekkim powątpiewaniem) - więc dostałem list z banku tatusia, Pierwszego Banku Rolnego Pensylwanii - jakby był drugi... i powiedzieli, że po tych wszystkich latach wystawiają dom na licytację, a mnie się należy część zysków. Więc powiedziałem, a smerdołę i pojechałem. Po raz pierwszy od siedmiu lat. Skończyłem liceum w Martensburgu w wieku szesnastu lat. Zrobili mi masę egzaminów, dostałem dyspensę. O tym to już na pewno opowiadałem.

- Nie.

Śmieje się z zażenowaniem.

- No, tak było. Kruki górą, dziobem i pazurą. - Kracze, parska jeszcze bardziej nerwowym śmiechem i pociąga wielki łyk wina. Prawie się skończyło. - Dom poszedł za siedemdziesiąt tysięcy, mniej więcej, z czego mnie dostało się trzy dwieście, niezły interes, co? Ale nieważne, przed licytacją przejechałem się po naszej dzielnicy i sklep nadal tam stał, dwa kilometry od nas, a gdybyś mi powiedziała w dzieciństwie, że to tylko tyle, to byś usłyszała, że ci odbiło. Był

pusty, zabity deskami, z napisem NA SPRZEDAŻ, ale tak spłóviałym, że prawie nie do odczytania. Napis na dachu zachował się w lepszym stanie, SKLEP MUELLERA. Ale myśmy na niego mówili Mulie, rozumiesz, bo tak mówił tatuś. Tak jak nazywał walcownię szmelcownią... a miasto nazywał Dziadostwo Mniejsze... i... o cholera, Lisey, czy ja płacę?

- Tak. - Jej głos brzmiał, jakby dochodził z oddali. Prawie się spodziewała tych krwawych łez.

Scott bierze papierową serwetkę i wyciera oczy. Odkłada ją z uśmiechem.

- Paul powiedział, że mam być grzeczny, kiedy pójdzie do Muliego, a ja zawsze słuchałem Paula. Zawsze. Wiesz?

Lisey kiwa głową. Człowiek chce być grzeczny dla tych, których kocha. Chce być grzeczny, bo wie, że jego czas z nimi będzie zbyt krótki, choćby był nawet długi.

- Gdy wrócił i zobaczyłem dwie butelki coli, wiedziałem, że Paul szykuje dobrego bafa i strasznie się ucieszyłem. Kazał mi iść do mojego pokoju i poczytać, żeby mógł wszystko przygotować. Długo to potrwało i już wiedziałem, że to będzie długi dobry baf, i z tego też się ucieszyłem. W końcu wrzasnął na mnie, żebym przyszedł do kuchni i spojrzał na stół.

- Mówił do ciebie „Scooter”?

- Nie, on nigdy. Zanim dotarłem do kuchni, jego już nie było. Bo się schował. Ale wiedziałem, że mnie widzi. Na stole leżała karteczka z napisem BAF!, a pod nim...

- Czekaj - przerywa Lisey.

Scott spogląda na nią z uniesionymi brwiami.

- Miałeś trzy lata... on miał sześć... albo siedem...

- Tak...

- Ale potrafił układać zagadki, a ty potrafiłeś je odczytywać. Nie tylko odczytywać, jeszcze rozwiązywać.

- Tak? - Uniesione brwi pytają, w czym rzecz.

- Scott... czy twój walnięty tatuś wiedział, że prześladowuje dwóch smerdolonych małych geniuszy?



Scott zaskakuje ją, bo odrzuca głowę do tyłu i parska śmiechem.

- To go obchodziło najmniej! - mówi. - Ale słuchaj, Lisey. Bo to był najlepszy dzień mojego dzieciństwa, może dlatego, że taki długi. Może ktoś w gipsowni coś spieprzył i staruszek musiał zostać po godzinach, nie wiem, ale mieliśmy dom dla siebie od ósmej rano aż do zachodu słońca...

- Bez opieki?

Nie odpowiada, tylko spogląda na nią jak na wariatkę.

- Nie pilnowała was jakaś sąsiadka?

- Nasi najbliżsi sąsiedzi mieszkali dziesięć kilometrów dalej. Mulie najbliżej. Tatusiowi tak było na rękę, a wierz mi, że ludziom z miasteczka też.

- No dobrze. Opowiedz mi część drugą. Scott i dobry baf.

- Paul i dobry baf. Wspaniały baf. Doskonały baf. - Jego twarz rozpogadza się od tego wspomnienia. Wspomnienia równoważącego koszmarnie chwile na ławce. - Paul miał zeszyt w niebieskie linie, i kiedy robił stacje bafa, wydierał z niego kartki i składał, żeby podrzeć na mniejsze kartki. Dzięki temu zeszyt starczał na dłużej, rozumiesz?

- Tak.

- Ale tego dnia musiał wydrzeć pewnie ze dwie albo i trzy kartki - Lisey, jaki to był długi baf! - W tym odtworzonym zachwycie Lisey widzi chłopczyka, którym kiedyś był. - Na stole leżała kartka z napisem BAF!... na pierwszej i ostatniej zawsze tak pisało... a dalej, pod spodem...

## 10

Pod spodem BAFA! widnieją wielkie, starannie wykaligrafowane ręką Paula drukowane litery:

1 ZNAJDŹ MNIE BLISKO W CZYMŚ SŁODKIM 16

Ale zanim Scott zacznie się zastanawiać nad zagadką, w upojeniu patrzy na tę szesnastkę. Szesnaście stacji! Wypełnia go przyjemne, drżące podniecenie. Najlepsze jest to, że Paul nigdy nie oszukuje. Jak obieca szesnaście stacji, to będzie piętnaście zagadek. A jak Scott którejs nie

zrozumie, to Paul mu pomoże. Zawoła ze swojej kryjówki straszno-upiornym głosem (głosem tatusia, choć Scott zda sobie z tego sprawę dopiero wiele lat później, pisząc straszno-upiorną powieść „Puste diabły”) i będzie podpowiadał braciszкови aż do skutku. Ale coraz częściej Scott nie potrzebuje podpowiedzi. Szybko robi postępy w sztuce rozwiązywania zagadek, tak jak Paul szybko robi postępy w sztuce ich układania.

Znajdź mnie blisko w czymś słodkim.

Scott rozgląda się i niemal natychmiast widzi wielką białą cukiernicę, stojącą na stole w promieniu słońca, w którym wirują pyłki. Musi stanąć na krześle, żeby do niej dosięgnąć i chichocze, kiedy Paul huczy upiornym tatogłosem:

- Nie rozsyp, ty żeszkanie!

Scott podnosi przykrywkę i w środku jest kolejna karteczka z wiadomością wypisaną bratowymi starannie drukowanymi literami:

2 JESTEM GDZIE SIĘ BAWILIŚMY

KŁEMBKAMI W SŁOŃCU

Do czasu zniknięcia na wiosnę ich kotem był Clyde i obaj uwielbiali się z nim bawić, ale tatuś go nie uwielbiał, bo Clyde bez przerwy robił uau, żeby go wpuścić albo wypuścić, i choć żaden z nich tego głośno nie powiedział (i żaden nie ośmieliłby się PRZENIGDY spytać tatusia) to podejrzewali, że Clyde padł ofiarą czegoś o wiele większego i straszniejszego niż lis czy jastrząb. W każdym razie Scott doskonale wie, gdzie Clyde lubił się bawić w słońcu i biegnie, drepcze po korytarzu na ganek na tyłach domu, nie patrząc na plamy krwi pod stopami ani na tę straszną ławkę (no, najwyżej raz). Na ganku stoi ogromna rozczłapana kanapa, z której przy siadaniu człowiek uwalnia dziwny zapach. „Pachnie jak smażone bąki”, powiedział raz Paul, a Scott śmiał się tak, że zmoczył spodnie. (Gdyby tatuś to widział, to by znaczyło POWAŻNY KŁOPOT, ale tatuś był w pracy). Scott podchodzi do tej kanapy, na której Clyde lubił kłaść się na grzbiecie i bawić kłębkami nici, którymi Paul i Scott dyndali mu nad głową. Sięgał po nie przednimi łapkami, a na ścianie ogromny cień kota wyglądał, jakby boksował. Teraz Scott pada na kolana i spogląda pod rozkładane kanapidło, aż znajduje trzecią karteczkę, trzecią stację bafa, i kieruje go ona do...

Nieważne, gdzie go kieruje. Ważny jest ten długi niespieszny dzień. Jest dwóch chłopców,

którzy przez cały ranek biegają po zrujnowanej chałupie na pustkowiu, a słońce powoli wspina się na niebie ku rozprazonemu południu. To jest prosta opowieść o krzykach i śmiechach, o kurzu na podwórku i skarpetkach, zjeżdżających na brudne kostki; to historia o chłopcach, którzy są zbyt zajęci, żeby siusiać w domu, więc idą za dom. To historia o małym chłopczyku, który niedawno wyrósł z pieluch, a teraz zbiera kawałki papieru spod drabiny na stryszek, spod koślawych schodków na ganek, spod zepsutej pralki na podwórku i spod kamienia przy starej suchej studni. (Nie spadnij, ty mała brzydo!, grzmi upiorny tatogłos, teraz dochodzący z wysokich chwastów na skraju pola fasoli, która jest ostatnim plonem tego roku.) I w końcu Scott trafia na:

### 15 JESTEM POD KAŻDYM TWOIM SNEŃ

Pod moim każdym snem, myśli Scott. Pod moim każdym snem... gdzie to może być?

- Pomóc ci, ty mała brzydo? - zawodzi upiorny głos. - Bo już mam ochotę na obiad.

Scott też. Jest popołudnie, poszukiwania trwają godzinami, ale prosi o jeszcze minutkę. Upiorny tatogłos informuje go, że ma trzydzieści sekund.

Scott myśli gorączkowo. Pod moim każdym snem... pod moim każdym snem...

Na szczęście nie obrósł jeszcze w pojęcia podświadomości i id, ale już zaczął myśleć metaforycznie i odpowiedź objawia mu się w boskim, błogim olśnieniu. Pędzi po schodach, na ile niosą go małe nóżki, aż pęd zdmuchuje mu włosy z opalonego, brudnego czoła. Dobiega do łóżka w pokoju, który dzieli z Paulem, zagląda pod poduszkę i oczywiście, jest tam butelka coli - ta większa! - i ostatnia karteczka. Napis jest taki, jak zawsze:

### 16 BAF! KONIEC!

Unosi butelkę jak czempion sportowy puchar (a naprawdę czuje się czempionem) i odwraca się. Paul wchodzi rozkołysanym krokiem, z własną butelką i otwieraczem z kuchennej Szufłady z Rzeczami.

- Nieźle. Trochę to potrwało, ale dałeś radę.

Paul otwiera swoją butelkę, potem butelkę Scotta. Stukają się szyjkami. Paul mówi, że picie jest wygrane, a w takich wypadkach trzeba pomyśleć życzenie.

- Czego sobie życzysz, Scott?

- Żeby w lecie przyjechała biblioteka. A ty?

Brat spogląda na niego spokojnie. Za chwilę zejdzie na dół i zrobi kanapki z masłem orzechowym i marmoladą, w tym celu będzie musiał zabrać z ganku schodki, na których sypiał i bawił się ich, na swoje nieszczęście hałaśliwy, zwierzak, żeby na tych schodkach dosięgnąć nowego słoika marmolady na najwyższej półce w spiżarni. I mówi

## 11

Ale tu Scott milknie. Spogląda na butelkę wina, ale w butelce wina nie ma wina. Oboje zdjęli parki i odłożyli je. Pod drzewem mniem-mniem zrobiło się nie ciepło, a gorąco, nawet duszno, a Lisey myśli: Będziemy musieli szybko stąd wyjść. Jeśli nie, śnieg na drzewie rozmięknie i zacznie na nas spadać.

## 12

Lisey, siedząca w swojej kuchni z menu z „Poroża” pomyślała: Ja też będę musiała wkrótce zostawić te wspomnienia. Jeśli nie, przywali mnie coś cięższego od śniegu.

Ale czy nie tego chciał Scott? Nie to zaplanował? Czy to poszukiwanie bafa nie było dla niej okazją, żeby zapiąć pasy?

*Ale ja się boję. Bo teraz jestem już tak blisko.*

*Blisko czego? Blisko czego?*

- Cicho - szepnęła i zadrżała jak na zimnym wietrze. Tym aż z Yellowknife. Ale, przez to niezdecydowanie, dodała: - Jeszcze tylko trochę.

*To niebezpieczne. Niebezpieczne, laluniu.*

Przecież wiedziała, widziała już prawdę przeświecającą przez dziury fioletowej zasłony. Lśniła jak oczy. Słyszała głosy szepczące, że istnieją powody, dla których naprawdę nie wolno spoglądać w lustra, chyba że się musi (a zwłaszcza nie wolno po zmroku i nigdy o zmierzchu), że istnieją powody, żeby unikać świeżych owoców po zachodzie słońca i by zupełnie pościć od północy do szóstej rano.

Powody, żeby nie rozkopywać grobów.

Ale nie chciała jeszcze wychodzić spod drzewa mniam-mniam. Jeszcze nie.

Nie chciała go zostawić.

Chciał, żeby przyjechała biblioteka, nawet jako trzylatek miał bardzo scottowe życzenia. A Paul? Czego sobie

### 13

- Scott? - spytała. - Czego sobie życzył Paul?

- Powiedział: życzę sobie, żeby tatuś umarł w pracy. Żeby go lekstryczność zraziła.

Lisey patrzy na niego, oniemiała ze zgrozy i litości.

Nagle Scott zaczyna pakować plecak.

- Spadajmy stąd, zanim się udusimy - mówi. - Myślałem, że mogę ci powiedzieć dużo więcej, ale nie. I nie zaczynaj, że nie jestem jak mój stary, bo nie o to chodzi, w porządku? Sprawa wygląda tak: każdy z mojej rodziny ma to w sobie.

- Paul też?

- Nie wiem, czy potrafię dzisiaj powiedzieć coś jeszcze o Paulu.

- Dobrze - zgadza się Lisey - wracajmy. Prześpimy się, a potem ulepimy bałwana czy coś.

Rzuca jej spojrzenie tak pełne wdzięczności, że czuje się zawstydzona, bo naprawdę sama chciała tej pauzy - więcej już nie zdoła przyswoić, przynajmniej przez jakiś czas. Innymi słowy,

wystraszył ją. Ale nie może o tym zupełnie zapomnieć, bo ma już podejrzenia, w którą stronę najpierw rozwinie się ta opowieść. Wydaje się jej, że potrafiłaby ją skończyć za niego. Ale najpierw chce o coś spytać.

- Słuchaj, kiedy twój brat poszedł kupić colę... tę nagrodę za dobry baf...

Scott kiwa głową z uśmiechem.

- Najlepszy.

- Aha. Kiedy poszedł do tego sklepiku... Muliego... czy nikogo nie zdziwiło, że sześciolatek ma tyle blizn? Nawet jeśli były obandażowane?

Scott nieruchomieje w trakcie zapinania sprzączek plecaka i spogląda na nią bardzo poważnie. Nadal się uśmiecha, ale rumieniec prawie zupełnie zniknął mu z policzków; skórę ma jasną, prawie białą.

- Landonowie szybko zdrowieją. Nie wspominałem ci?

- Tak. Wspominałeś. - I, choć wystraszona, naciska: - Potem było jeszcze siedem lat.

- Siedem, tak. - Scott spogląda na nią, z plecakiem między kolanami w niebieskich džinsach. Jego oczy pytają, ile Lisey chce się dowiedzieć. Na ile się odważy.

- I Paul umarł w wieku trzynastu lat?

- Trzynastu. Tak. - Głos ma spokojny, jest blady, Lisey widzi strużkę potu na czole, włosy przylgnęły do głowy. - Prawie czternaście.

- A twój ojciec... to on zabił go nożem?

- Nie - mówi Scott tym samym spokojnym głosem. - Strzelbą. W piwnicy. Ale, Lisey, nie tak, jak myślisz.

Czyli nie w szale, to pewnie chce jej powiedzieć. Nie w szale, tylko z zimną krwią. To właśnie myśli sobie Lisey pod drzewem mniam-mniam, kiedy jeszcze uważa, że trzecia część opowieści jej narzeczonego będzie nosić tytuł „Morderstwo świętego starszego brata”.

- Cicho, Lisey, ciiii, laluniu - mówi do siebie w kuchni ciężko przestraszona, nie tylko dlatego, że tak się pomyliła w kwestii śmierci Paula Landona. Boi się, bo zdała sobie sprawę - zbyt późno, zbyt późno - że co się stało, to się nie odstanie, a co sobie przypomnisz, z tym musisz żyć.

Nawet, jeśli wspomnienia są obłąkane.

- Nie muszę sobie przypominać - oznajmiła, wyginając żywo menu. - Nie muszę, nie muszę, nie muszę rozkopywać grobu, takie wariackie gumno nie istnieje, nie

## 15

- Nie jest tak, jak myślisz.

Myśli, co myśli; kocha Scotta Landona, ale nie musi trwać przykuta do koła tortur jego strasznej przeszłości, i co myśli, to myśli. A co wie, to wie.

- A ty miałeś wtedy dziesięć lat? Kiedy twój ojciec...?

- Tak.

Miał tylko dziesięć lat, kiedy ojciec zabił jego ukochanego starszego brata. Kiedy ojciec zamordował jego ukochanego starszego brata. A część czwarta tej opowieści ma własny mroczny, nieunikniony bieg wydarzeń, prawda? Niewątpliwie. Co Lisey wie, to już wie. Fakt, że Scott miał dopiero dziesięć lat, nic nie zmienia. W końcu był geniuszem.

- A ty zabiłeś jego? Zabiłeś swojego ojca? Prawda?

Scott spuszcza głowę. Włosy mu zwisają, zasłaniają twarz. Potem, spod tej ciemnej zasłony dobiega pojedyncze, suche szcęknięcie szlochu. A po nim cisza, ale Lisey widzi, jak pierś Scotta faluje, usiłuje się uwolnić. I:

- Dziabłem go siekierką w głowę, jak spał i wrzuciłem do starej suchej studni. To był marzec, wielka zadyмка. Wyciągiem go na dwór za nogi. Chciałem go zabrać, tam gdzie Paula, ale nie szło. Ciąłem, ciąłem i ciąłem, ale nie szedł. Był jak ta pierwsza łopata. To go cisłem w studnię. Pewnie furt tam leży, choć jak sprzedawali farmę, to się... Lisey... to... to się bałem...

Na oślep wyciąga rękę, i gdyby jej tam nie było, pewnie by padł na twarz, a potem się Potem się Potem jakoś się

## 16

- Nie! - warknęła Lisey. Menu, zgniecione prawie w rurkę, wrzuciła z powrotem do cedrowej skrzynki i zatrzasnęła wieczko. Ale za późno. Za daleko zabrnęła. Za późno, bo

## 17

Jakoś się wydostali na ten sypiący śnieg.

Wzięła go w ramiona pod drzewem mniam-mniam, a potem

*(bam! baf!)*

już byli na śniegu.

## 18

Lisey siedziała w kuchni, cedrowa skrzynka stała na stole przed nią, a ona siedziała z zamkniętymi oczami. Słońce wlewające się przez okno od wschodu filtrowało się przez jej powieki i wyświetlało ciemnoczerwony buraczany barszcz, tętniący rytmem jej serca - rytmem obecnie zbyt szybkim.

Pomyślała: No dobrze, to jedno się przedarło. Ale z tym jednym jeszcze mogę żyć. Jedno mnie nie zabije.

*Ciągiem i ciągiem.*

Otworzyła oczy i spojrzała na cedrowe pudełko na stole. Pudełko, którego tak pilnie szukała. I pomyślała o czymś, co powiedział ojciec Scotta. Landonowie - a Landreau przed nimi - dzielą



się na dwa typy: zniki i złamazie.

Złamazie byli - między innymi - gatunkiem skłonny do morderczej manii.

A zniki? Tego wieczora Scott podał jej ogólne fakty. Zniki to katatonicy do wyboru, do koloru, na przykład tacy, jak jej osobista siostra w Greenlawn.

- Jeśli chodzi o ratowanie Amandy - szepnęła - to możesz sobie darować. To moja siostrzyczka, kocham ją, ale nie aż tak. Wróciłabym do tego... tego piekła... dla ciebie, ale nie dla niej ani nikogo innego.

Telefon w salonie zaczął dzwonić. Lisey podskoczyła jak ugodzona nożem i krzyknęła.

## IX

### Lisey i Czarny Książę Impotebili (obowiązek miłości)

#### 1

Jeśli Lisey miała nieswój głos, Daria tego nie zauważyła. Za bardzo żarły ją wyrzuty sumienia. I zanadto rozpierała ją radość i ulga. Cauty przyjeżdża z Bostonu, żeby „pomóc przy Mandy”! Tak, jakby mogła. Jakby ktokolwiek mógł, włącznie z doktorem Albernessem i całą ekipą Greenlawn, pomyślała Lisey, słuchając paplaniny siostry.

Ty możesz pomóc, wymamrotał Scott - Scott, który zawsze stawiał na swoim. Nawet śmierć mu nie mogła przeszkodzić. Możesz, skarbiemój.

- ...całkowicie z własnej woli - przysięgała Daria.

- Aha, na pewno - mruknęła Lisey. Mogłaby jej wytknąć, że Cauty nadal by się doskonale bawiła z mężem, nieświadoma stanu Amandy, gdyby Daria nie odczuła potrzeby zadzwonienia do niej (wsadzenia kija w mrowisko, jak mówi przysłowie), ale kłótnia była w tej chwili ostatnią z potrzebnych jej rzeczy. Lisey chciała teraz tylko schować tę cholerną cedrową skrzynkę pod łóżko Mein Gott i postarać się o wszystkim zapomnieć. Rozmawiając z Darią, przypomniła sobie kolejne stare porzekadło Scotta: im bardziej starasz się otworzyć paczkę, tym mniej cię obchodzi, co jest w środku. Była pewna, że do braku przedmiotów może się przystosować - na przykład do braku cedrowych skrzynek.

- Przylatuje na lotnisko w Portland parę minut po dwunastej - mówiła Daria jednym tchem. - Chciała wynająć samochód, ale powiedziałam nie, no co ty, powiedziałam, że przyjadę i ją podwiozę. - Tu urwała, przygotowała się do ostatniego etapu. - Możesz się z nami spotkać. Jeśli chcesz. Mogłybyśmy zjeść obiad w „Śnieżnym Szkwale” - tylko my, dziewczyny, jak za dawnych dobrych czasów. Potem byśmy pojechały do Amandy.

A kiedy mianowicie były te dobre czasy?, pomyślała Lisey. Wtedy, kiedy ciągnęłaś mnie za włosy, czy wtedy, kiedy Cauty mnie goniła i przezywała „Lisa, Lisa, cyc ci zwisa”. Ale powiedziała:

- Nie czekajcie na mnie, dołączę, kiedy będę mogła. Mam tu sprawy do załatwienia...

- Znowu ciasto? - Teraz, kiedy Daria odwaliła już przyznanie się do winy, nabrała zdecydowanie zawadiackiego tonu.

- Nie, to ma związek z darowizną starych dokumentów po Scotcie. - W pewnym sensie tak było. Bo niezależnie od zakończenia sprawy z Dooleyem-McCoolem, chciała opróżnić pracownię Scotta. Koniec zwlekania. Niech dokumenty jadą do uniwersytetu w Pittsburghu, gdzie bez wątplenia jest ich miejsce, jednak z zastrzeżeniem, że wara od nich kochanemu profesorkowi. Woodsmerdek niech się goni.

- O - powiedziała Daria ze stosownym szacunkiem. - W takim razie...

- Dołączę, jeśli będę mogła - powtórzyła Lisey. - Jeśli nie, to spotkam się z wami po południu w Greenlawn.

Daria łyknęła to bez trudu. Podała informacje o przylocie Canty, które Lisey posłusznie zapisała. Cholera, może nawet pojedzie do Portland. W tej chwili to by znaczyło oddalenie się od domu - od telefonu, od cedrowej skrzynki, i od tych strasznych wspomnień, które teraz zwisały jej nad głową jak zawartość jakiejś strasznej, brzemiennej piñaty.

A potem, zanim zdołała się zorientować, wypadło kolejne. Pomyślała: Wyście nie wyszli tak po prostu spod wierzby na śnieg, Lisey. W tym było coś więcej. On cię wziął...

- NIE! - ryknęła i uderzyła w stół. Ten jej krzyk był przeraźliwy, ale zadziałał, przerwał niebezpieczny ciąg myśli czysto i bezdyskusyjnie. Ale mogły wrócić - w tym kłopot.

Spojrzała na cedrową skrzynkę na stole. Takie spojrzenie można by rzucić ukochanemu psu, którego się uderzyło bez przyczyny. Wracasz pod łóżko, pomyślała. Pod łóżko Mein Gott, a co potem?

- Potem baf, koniec - powiedziała. I wyszła z domu, przeszła przez podwórko do stodoły, trzymając przed sobą cedrową skrzynkę, jakby zawierała coś kruchego albo grożącego nagłym wybuchem.

Drzwi do jej gabinetu stały otworem. Jasny prostokąt elektrycznego światła kładł się na podłodze stodoły. Ostatnim razem Lisey wyszła stąd ze śmiechem. Ale nie pamiętała, czy zostawiła drzwi otwarte czy zamknięte. Myślała, że zgasiła światło, myślała, że w ogóle go nie zapaliła. Z drugiej strony, była przecież absolutnie pewna, że skrzynka Dobrej Mamy znajduje się na strychu, no nie? Czy to możliwe, że któryś zastępca wszedł tu na krótką kontrolę i zostawił światło? Pewnie tak. Teraz wszystko wydawało się możliwe.

Tuląc niemal opiekuńczo skrzynkę do brzucha, weszła do gabinetu i zajrzała do środka. Był pusty... wydawał się pusty... ale...

Zupełnie się nie wstydząc, zajrzała w szparę między futryną i drzwiami. Nie było tam „Zacka McCoola”. Nie było nikogo. Ale kiedy znowu zajrzała do gabinetu, na automatycznej sekretarce dostrzegła kolejną migającą jedynkę. Weszła, przełożyła skrzynkę pod pachę i wcisnęła klawisz. Nastąpiła chwila ciszy, a potem usłyszała spokojny głos Jima Dooleya.

- Pani, zdawało mi się, żeśmy się zgodzili na tę ósmą. - Teraz widzę gliny przy domu. Pani chyba nie rozumie, jaka to poważna sprawa, choć powinna, bo przecież zdechły kot w skrzynce to jasna rzecz. - Pauza. Lisey wpatrywała się zafascynowana w automat. Słyszę jego oddech, pomyślała. - Spotkamy się - przyobiecał Dooley.

- Smerdol się - rzuciła półgłosem.

- No, pani, to nie jest miłe - powiedział Jim Dooley i przez moment zdawało się jej, że to odpowiedziała automatyczna sekretarka. Znowu poczuła się jak we własnym śnie. Potem zdała sobie sprawę, że ta druga wersja głosu Dooleya jest na żywo, by się tak wyrazić, i dochodzi zza jej pleców. Odwróciła się i stanęła z nim twarzą w twarz.

### 3

Przeraziła się, że jest taki zwyczajny. Nawet widząc go w progu niedoszłego stodołowego gabinetu z bronią w ręce (w drugiej miał coś w rodzaju worka na drugie śniadanie), nie potrafiłaby go rozpoznać na okazaniu, zakładając że inni mężczyźni także byłiby szczupli, ubrani w lekkie robocze kombinezony khaki i w czapkach baseballowych Portland Sea Dogs. Twarz miał wąską i wolną od zmarszczek, oczy intensywnie niebieskie - inaczej mówiąc, twarz miliona

Jankesów, nie wspominając już o sześciu czy siedmiu milionach wsioków ze środkowego i dalekiego Południa. Mógł mieć metr osiemdziesiąt wzrostu, albo i trochę mniej. Kosmyk włosów, który wysliznął się mu spod czapki, miał nijaki odcień szarego brązu.

Lisey spojrzała w czarne oko pistoletu i poczuła, że nogi jej kamienieją. To nie była tandetna dwudziestkadwójka, to był prawdziwy gnat, wielki pistolet automatyczny (tak się jej wydawało, że automatyczny), który mógł zostawić w człowieku wielką dziurę. Przysiadła na brzeжку biurka. Gdyby biurka nie było, pewnie by rymnęła na podłogę. Przez chwilę była niemal całkiem pewna, że się zsika w spodnie, ale jakoś zdołała się powstrzymać. Przynajmniej na jakiś czas.

- Zabierz, co chcesz - szepnęła wargami zdrętwiałymi jak po nowokainie. - Zabierz wszystko.

- Chodźmy na górę - powiedział. - Pogadamy na górze.

Myśl o znalezieniu się w pracowni Scotta z tym człowiekiem przejęła ją niezrozumiałą odrazą i zgrozą.

- Nie. Zabierz jego dokumenty i odejdz. Zostaw mnie w spokoju.

Patrzył na nią cierpliwie. Na pierwszy rzut oka miał jakieś trzydzieści pięć lat. Potem zaczynało się dostrzegać małe wachlarzyki zmarszczek w kącikach jego oczu i ust, i co sygnalizowało, że trzeba mu doliczyć z pięć lat, co najmniej pięć.

- Na górę, kobito, chyba że chcesz gadać z kulą w stopie. Strasznie bolesny sposób zaczynania interesów. Człowiek ma w stopie cholernie dużo kości i ścięgien.

- Nie... nie ośmielisz się... hałas... - Jej głos z każdym słowem staje się bardziej odległy. Tak, jakby był w pociągu, a pociąg ruszał ze stacji; głos wychylał się z okna, żeby pomachać jej na do widzenia. Pa, pa, laluniu, twój głos musi cię zostawić, wkrótce będziesz niema.

- A, hałas nic mi nie przeszkadza - odparł Dooley z rozbawieniem. - Sąsiedzi wyszli - pewnie do roboty - a glina urwał się ze smyczy. - Jego uśmiech zniknął, a w głosie nadal brzmiało rozbawienie. - Ale się pani szara zrobiła. Pewnie to szok dla organizmu. Kobito, pani chyba zemdleje. To by było dla mnie łatwiej.

- Przestań... przestań do mnie mówić... - Chciała dokończyć „kobito”, ale ogarnęły ją jakby liczne skrzydła, skrzydła szare i jeszcze bardziej szare. Zanim zrobiło się za ciemno i gęsto,

zdążyła zobaczyć, że Dooley wpycha broń za pasek spodni (odstrzel sobie jaja, pomyślała sennie, wyświadczyć światu przysługę) i rzuca się, żeby ją złapać. Nie dowiedziała się, czy mu się udało. Zanim rzecz się rozstrzygnęła, Lisey zemdliała.

#### 4

Poczuła, że coś mokrego przesuwają się po jej twarzy i najpierw myślała, że to pies ją liże - może Louise. Ale Lou to była ich suczka collie w Lisbon Falls, a od Lisbon Falls minęło parę lat. Ona i Scott nie mieli psa, może dlatego, że nie mieli dzieci, a te dwie sprawy naturalnie się ze sobą łączą, jak masło orzechowe z dżemem, albo brzoskwinie i bi...

*Chodźmy na górę, kobito... chyba, że chcesz gadać z kulą w stopie.*

To ją otrzeźwiło. Otworzyła oczy i zobaczyła Dooleya, przykucniętego nad nią z mokrą szmatą w ręce. Przyglądał się jej, te jasnoniebieskie oczy. Usiłowała przed nimi uciec. Rozległ się metaliczny szczęk, potem tępe szarpnięcie bólu w ramieniu, coś mocno zaciśniętego nie pozwalało się jej ruszyć.

- Au!

- Pani się nie szarpie, to nie będzie boleć - powiedział Dooley, jakby była to najbardziej racjonalna rzecz pod słońcem. Lisey podejrzewała, że dla takiego świra naprawdę jest.

Sprzęt grający pulsował muzyką po raz pierwszy od Bóg wie kiedy, może od kwietnia albo maja 2004 roku, kiedy Scott był tu po raz ostatni, pisząc „Blues Waymore’a”. Nie stary Hank, ale jakiś cover - może „The Crickets”. Nie ogłuszająco, nie tak, jak Scott lubił podkręcać muzykę, ale głośno. Miała podejrzenia

*(zrobię pani krzywdę)*

dlaczego pan Jim „Zack McCool” Dooley włączył muzykę. Nie chciała

*(tam, gdzie nie pozwalała się pani dotykać)*

myśleć o tym - chciała znowu stracić przytomność - ale się nie udało. „Mózg to małpa”, mawiał Scott, a Lisey przypomniała sobie źródło tego powiedzonka nawet w takiej sytuacji,

siedząc na podłodze w barowej wnęce, z jednym nadgarstkiem najwidoczniej przykutym do rury pod zlewem: „Psi żołąd” Roberta Stone’a.

*Idź do pierwszej ławki, laluniu! Oczywiście jeśli będziesz jeszcze mogła gdziekolwiek pójść.*

- Super ta piosenka, nie? - zagadnął Dooley. Siedział po turecku w wejściu do wnęki. Brązową torbę trzymał w kanciastej luce między nogami. Pistolet leżał obok jego prawej ręki. Dooley patrzył na nią niewinnie. - I jaka prawdziwa. Pani se zrobiła przysługę, że tak zemdląła, powiadam pani.

Teraz wychwyciła południowy akcent w jego głosie, wcale nie taki na pokaz, jak u tej trzęsidupy z Nashville, po prostu z życia.

Z torby wyjął ćwierćlitrowy słoik po majonezie Hellmann’sa. W środku, w przejrzystym płynie, pływała zmięta biała szmata.

- Chloroform - powiedział, dumny jak Smiley Flanders ze swojego losia. - Nauczyłem się używać od jednego gościa, co niby to umiał, ale powiedział też, że łatwo można porąbać. W najlepszym razie by pani się zbudziła z wielkim bólem głowy. Ale wiedziałem, że byś tu nie przyszła, kobito. Miałem tę indukcję.

Wycelował w nią z palca jak z broni, z uśmiechem, a Dwigh Yoakam zaczął śpiewać w głośniku „A Thousand Miles From Nowhere”. Dooley pewnie znalazł go w składankach roboty Scotta.

- Może mi pan dać wody?

- Co? A, pewnie! W gardziółku wyszło, co? Człowiek ma stresa i tak się zdarza. - Wstał, zostawił broń - pewnie poza jej zasięgiem, nawet gdyby naprężyła łańcuch tych kajdanek... a gdyby spróbowała i się jej nie udało, byłoby kiepsko.

Odkręcił kurek. Rury zabulgotały i zacharczały. Po chwili usłyszała, że kran wykasłuje wodę. Tak, ta broń jednak była poza jej zasięgiem, ale krocze Dooleya znajdowało się niemal dokładnie nad jej głową, nie dalej niż na łokcie. A ona miała jedną rękę wolną.

Dooley odezwał się, jakby czytał w jej myślach:

- Może pani się bawić moimi dzwoneczkami, jak pani chce. Ale ja mam na nogach martensy, a pani nic nie ma na rękach. - W jego ustach nic zabrzmiało jak „nyic”. - Pani będzie mądra,

kobito, i się obgraniczy do picia. Z tego kranu długo nic nie leciało, ale zaraz będzie czysta.

- Proszę opłukać szklankę - powiedziała. Głos miała zachrypnięty, na krawędzi załamania. - Ich też od dawna nikt nie używał.

- Jasna sprawa. - Najprzyjemniej na świecie. Jak każdy jej znajomy. Jak na ten przykład jej własny ojciec. Oczywiście Dooley przypominał jej też Gerda Allena Cole'a. Przez chwilę niewiele brakowało, a by sięgnęła i jednak spróbowała ukręcić mu jaja, za samą czelność postawienia ją w takiej sytuacji. Przez chwilę z trudem nad sobą panowała.

Potem Dooley pochylił się, podał jej jedną z masywnych szklanek Waterforda. Była pełna w trzech czwartych, i choć woda nie oczyściła się zupełnie, wydawała się zdatna do picia. Wydawała się cudowna.

- Powoli, nie wszystko od razu - doradził Dooley troskliwym tonem. - Może pani trzymać szklankę, ale jak pani ją we mnie rzuci, będę musiał złamać pani kostkę. Pani mnie nią uderzy, to złamię obie, nawet jak mi krew nie pójdzie, jasne?

Skinęła głową i pociągnęła łyk wody. Dwight Yoakam ustąpił miejsca samemu staremu Hankowi, zadającemu odwieczne pytania: Czemu tak jak dawniej już nie kochasz mnie? Czemu mnie traktujesz jak znoszony trep?

Dooley przykucnął, tyłkiem niemal dotykając uniesionych obcasów, jedną ręką otoczywszy kolana. Wyglądał jak rolnik, który się przygląda krowie pijącej ze strumienia. Oceniała, że jest czujny, ale nie wyjątkowo czujny. Nie spodziewał się, żeby rzuciła w niego tą masywną szklanką i oczywiście słusznie. Lisey nie chciała mieć złamanej kostki.

Przecież nie wzięłam tej pierwszej najważniejszej lekcji łyżew, pomyślała, a na lodowisku w Oxford Central we wtorki są wieczorki dla singli.

Kiedy zaspokoili pierwsze pragnienie, oddała mu szklankę. Dooley wziął ją, zajął do środka.

- Pani na pewno nie chce te... tych ostatnich łyków?

Nagle indukcja Lisey też się ocknęła: Dooley przesadnie demonstruje tę swoją układność. Może celowo, może nawet sobie nie zdaje z tego sprawy. W sprawach językowych równał w górę, bo byłoby pretensjonalnie równać w dół. Czy to ważne? Pewnie nie.



- Już mam dość.

Dooley sam dopił te dwa łyki; jabłko Adama skakało mu na chudej szyi. Spytał, czy lepiej się poczuła.

- Poczuję się lepiej, kiedy pan odejdzie.

- Słusznie. Nie zajmę dużo czasu. - Zatknął broń za pasek i wstał. W kolanach mu trzasnęło i Lisey znowu pomyślała (właściwie się zdumiała): To nie sen. To się dzieje naprawdę. Dooley rzucił z roztargnieniem szklankę; potoczyła się na perłowy dywan we właściwej pracowni. Podciągnął spodnie. - I tak nie mam co marnować czasu. Ten gliniarz wróci, ten czy inny, a coś mnie się zdaje, że zaraz tu się zwali jakaś siora-potwora, no nie?

Lisey nie odpowiedziała.

Dooley wzruszył ramionami, jakby mówiąc „niech będzie” i wyjrzał z barowej wnęki. Ten moment wydał się Lisey surrealistyczny, bo mnóstwo razy Scott robił dokładnie to samo, wyglądał, jedną ręką przytrzymując się framugi bez drzwi, ze stopami na nagich deskach alkowy, z głową i torsem na terenie pracowni. Ale Scott nigdy nie dałby się ubrać w khaki, do samego końca był miłośnikiem dżinsów. Poza tym nie miał łysego placka na czubku głowy. Mój mąż umarł z pełną fryzurą, pomyślała.

- Okropnie tu ładnie - powiedział. - Co to jest? Przerobiony stryszek? Pewnie tak.

Nie odpowiedziała.

Dooley wychylał się, lekko kołyszając, najpierw w lewo, potem w prawo. Król obserwacji, pomyślała.

- Bardzo ładnie - powiedział. - Tak się spodziewałem. Trzy pokoje, tak bym to nazwał, i trzy świetliki, więc jest masa naturalnego światła. U nas takie domy w jednym rzędzie nazywamy domki jak strzełił, albo chałupy jak strzełił, choć żadne to chałupy, no nie?

Lisey nie odpowiedziała.

Odwrócił się do niej z poważną miną.

- Nie, że mu zazdroścę, czy pani, skoro on nie żyje. Odsiedziałem trochę w więzieniu Brushy Mountain. Może profesor pani mówił. I pani mąż mi pomógł w najgorszym. Przeczytałem wszystkie jego książki i wie pani, którą lubię najbardziej?

Oczywiście, pomyślała Lisey. „Puste diabły”. Pewnie czytałeś z dziewięć razy.

Ale Dooley ją zaskoczył.

- „Córkę wodniaka”. Nie że ją lubię, ja ją kocham. Pilnuję się, żeby ją czytać co dwa, trzy lata, odkąd ją znalazłem w więziennej bibliotece, i mogę recytować z pamięci całe kawałki. Pani wie, co mnie najbardziej kręci? Jak Gene w końcu odpysknął ojcu, że odchodzi, czy się to staremu podoba, czy nie. Wie pani, co powiedział temu żalonnemu świątobliwemu staremu pierdole, pani wybaczy język?

Że nigdy nie rozumiał powinności miłości, pomyślała Lisey, ale się nie odezwała. Dooleyowi to nie przeszkadzało, był nakręcony, zachwycony.

- Gene mówi, że stary nigdy nie rozumiał powinności miłości! Piękne, no nie? Ilu z nas czuło coś takiego, ale nie znalazło na to nazwy? A pani mąż znalazł. Dla nas wszystkich, którzy w przeciwnym razie byliby niemi, jak powiedział profesor. Bóg musiał kochać pani męża, kobito, że dał mu taki język.

Dooley spojrzał w sufit. Żyły na szyi mu nabrzmiały.

- POWINNOŚĆ! MIŁOŚCI! A tych, co Bóg ukocha, zabiera do siebie najszybciej, żeby mieszkali u Niego. Amen. - Na chwilę pochylił głowę. Z tylnej kieszeni wystawał mu portfel. Był na łańcuszku. Naturalnie. Mężczyźni w rodzaju Jima Dooleya zawsze noszą portfele na łańcuszkach przymocowanych do szlufek. Teraz Dooley podniósł głowę i powiedział: - Zasłużył na taki ładny dom. Mam nadzieję, że się w nim dobrze czuł, kiedy nie cierpiał w mękach tworzenia.

Lisey pomyślała o Scotcie przy biurku, które nazywał Dumbo Wielki Jumbo: siedział przed mcintoshem z wielkim ekranem i śmiał się z czegoś, co przed chwilą napisał. Żuł albo plastikową słomkę, albo własne paznokcie. Czasami śpiewał wraz z nagraniem. Wydawał pierdnięcia pachną, jeśli było gorąco i zdejmował koszulę. Tak wyglądały jego smerdolone męki twórcze. Ale nadal nie odpowiadała. W głośniku stary Hank ustąpił miejsca synowi. Junior śpiewał „Whiskey Bent and Hell Bound”.

- Co, stary numer z milczeniem? No, proszę bardzo, ale to ci nic nie pomoże, kobito. Czas kary nadchodzi. Nie będę wciskać takiej starej wydze, że mnie to bardziej zabolę niż panią, ale powiem, że podczas tej krótkiej znajomości polubiłem paniny charakterek i oba - oboje -

będziemy cierpieć. Chcę także powiedzieć, że jestem miły jak umiem, bo nie chcę łamać paninego ducha. A jednak - mieliśmy umowę, a pani jej nie dotrzymała.

Umowę? Lisey poczuła chłodny dreszcz. Po raz pierwszy ujrzała w pełni rozmiary i złożoność szaleństwa Dooleya. Szare skrzydła znowu próbowały ją otaczać i tym razem zaczęła z nimi zaciekle walczyć.

Dooley odwrócił się na szcęk łańcucha kajdanek o rurę.

Spokojnie, skarbiemój, spokojnie, wyszeptał Scott. Pogadaj z gościem - rozpuść jadaczkę.

Lisey nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Dopóki mówiła, kwestia kary się odwlekała.

- Proszę mnie posłuchać. Nie zawarliśmy umowy, myli się pan... - Jego czoło zaczęło się marszczyć, spojrzenie spochmurniało, więc pospiesznie dodała: - Czasami trudno jest się dogadać przez telefon, ale teraz jestem gotowa z panem współpracować. - Przełknęła ślinę i usłyszała wyraźny odgłos z gardła. Była gotowa głównie na drugą szklankę wody, na długie chłodne picie, ale pora nie była odpowiednia. Pochyliła się, wpatrzona w jego oczy, błękit patrzący w błękit, i przemówiła z całą szczerością i przejęciem, jakie zdołała z siebie wykrzesać. - Twierdzę, że moim zdaniem jasno postawił pan sprawę. I wie pan co? Właśnie pan patrzył na prace, które... hm, pański kolega pragnie dostać przede wszystkim. Zauważył pan tę czarną szafę w większym pomieszczeniu?

Teraz Dooley przyglądał się jej z uniesionymi brwiami i błakającym się po ustach sceptycznym uśmieszkiem... Ale może to był uśmiech handlarza. Lisey pozwoliła sobie na nadzieję.

- Na dole też coś było. Pudła, a w nich na ogół książki, na ile szło poznać.

- To są... - Jak ma mu to wytłumaczyć? To są bafy, nie książki? Tak podejrzewała, ale on by nie zrozumiał. To żarty, scottowa wersja śwędzącego proszku i plastikowych rzygowin? To by rozumiał, ale by nie uwierzył.

Nadal przyglądał się jej ze sceptycznym uśmieszkiem. Nie, to nie był uśmiech handlowca. Spojrzenie Dooleya mówiło: kobito, jak już tak kłamiesz, to se nie żałuj.

- W tych pudłach na dole są tylko odbitki przez kalkę i na ksero, i czyste kartki - powiedziała, i brzmiało to jak kłamstwo, bo to było kłamstwo, a co miała powiedzieć? Jest pan

zbyt walnięty, żeby pojąć prawdę? Więc pospiesznie ruszyła dalej. - To, czego chce Woodsmerdek - prawdziwy towar - jest tutaj. Nieopublikowane opowiadania... kopie listów do innych pisarzy... ich listy do niego...

Dooley odrzucił głowę i się roześmiał.

- Woodsmerdek! Kobito, pani przejęła po mężu te cuda ze słowami. - A potem śmiech ucichł i choć na ustach pozostał uśmiech, to w oczach nie było po nim śladu. Jego oczy wyglądały jak z niebieskiego lodu. - To co mam robić, kobieto? Lecieć do Oxford czy Mechanic Falls i wynająć ciężarówkę, a potem tu wrócić po tę szafę? Może mi psy jeszcze pomogą?

- Ja...

- Milczeć. - Wycelował w nią palec. Już się nie śmiał. - Jakbym miał pojechać i wrócić, to byś tu już ściągnęła dziesięciu psów, i by tylko czekali. By mnie zgarnęli i wie pani co, kobito, zasłużyłbym na kolejnego dziesiątka za to, że uwierzyłem.

- Ale...

- Poza tym nie tak się żeśmy - nie tak się umawialiśmy. Miało być tak, że pani dzwoniś do profesora, do starego Woodsmerdka - dziewczyno, ale mi się to podoba - a on wysłał mi emaila tym naszym specjalnym sposobem, a potem już on sam się zajmie papierami. Tak?

Pewnie w pewnym sensie sam w to wierzył. Musiał, bo po co by się tego tak czepiał, skoro jest ich tu tylko dwoje.

- Halo? - odezwał się Dooley. Mówił prawie usłużnie. - Słyszysz mnie pani?

Jeżeli było w nim coś, co kazało mu opowiadać kłamstwa, skoro byli tu tylko we dwoje, to może dlatego, że to coś musiało być okłamywane. Jeśli tak, zatem do tego Jima Dooleya musiała przemówić. On był jeszcze normalny.

- Proszę mnie posłuchać. - Mówiła cicho i powoli. Tak przemawiała do Scotta, kiedy coś go wkurzyło, zła recenzja, czy pęknięte rury. - Profesor Woodbody nie mógł się z panem skontaktować, i chyba pan o tym wie. Ale ja mam z nim kontakt. Już go nawiązałam. Zadzwońłam do niego wczoraj.

- Pani kłamie - rzucił. Ale tym razem nie kłamała, o czym musiał wiedzieć, i z jakiegoś powodu to go zdenerwowało. Chciała osiągnąć coś całkiem innego - chciała go ukoić - ale

postanowiła brnąć dalej w nadziei, że gdzieś tam słucha jej normalny Jim Dooley.

- Nie kłamie. Zostawił mi pan jego numer i zadzwoniłam. - Przytrzymuje spojrzenie Dooleya swoimi oczami. Wydusza z siebie każdą kroplę szczerości, na jaką ją stać w drodze do Krainy Fantazji. - Obiecałam mu, że dam mu rękopisy i poprosiłam, żeby pana odwołał, a on powiedział, że nie może. Bo nie może się już z panem skontaktować, że dwa pierwsze e-maile przeszły, ale potem poczta tylko zwraca...

- ' Kłamstwo kłamstwem pogania - powiedział Jim Dooley i od tej chwili wypadki zaczęły się toczyć tak szybko i drapieżnie, że Lisey z trudem nadążała, choć każda chwila bicia i okaleczeń, które nastąpiły potem, pozostała w jej pamięci wyraźna i do końca życia, wraz z odgłosem jego świszczącego, gwałtownego oddechu, wraz z widokiem koszuli khaki, napinającej się przy guzikach, tych błysków białego podkoszulka, kiedy uderzył ją w twarz, wierzchem, a potem wnętrzem dłoni, wierzchem i wnętrzem, wierzchem i wnętrzem, wierzchem i wnętrzem, wierzchem. W sumie osiem razy, osiem osiem nie bądź proszę, jak śpiewały w dzieciństwie, skacząc na skakance na pylistym podwórku, a odgłos jego skóry ocierającej się o jej skórę był jak trzask suchego drewna, które się łamie na kolanie, i choć nie miał na tej ręce pierścionków - za to mogła dziękować Bogu - czwarty i piąty cios wytoczył krew z jej warg, szósty i siódmy spowodował potężny rozbryzg, a ostatni wylądował tak wysoko, że rozbił jej nos i również puścił z niego krew. Do tego czasu płakała już z bólu i strachu. Jej głowa uderzała raz po raz o spód umywalki, aż w uszach jej dzwoniło. Słyszała własny głos błagający, żeby przestał, że może sobie wziąć, co chce, jeśli tylko przestanie. Wtedy przestał, a ona usłyszała własny głos:

- Oddam jego nową powieść, ostatnią powieść, całą gotową, skończył ją na miesiąc przed śmiercią i nie zdążył jej sprawdzić, to prawdziwy skarb, Woodsmerdek będzie zachwycony.

Miała czas pomyśleć: bardzo to pomysłowe, tylko co zrobisz, jeśli się na to nabierze, ale Jim Dooley nie zamierzał się na nic nabierać. Ukłękł przed nią, zdyszany - zrobiło się gorąco, gdyby wiedziała, że dziś będzie bita w pracowni Scotta, włączyłaby klimatyzację z samego rana - i znowu zaczął gmerać w swojej torbie. Pod jego pachami ciemniały powiększające się półkola potu.

- Kobito, robię to z żalem jak cholera, ale przynajmniej to nie twoja cipka - powiedział i zanim sięgnął w dół lewą ręką, rozdzierając jej bluzkę i rozszarpując stanik, z którego wytoczyły się jej małe piersi, zdążyła zauważyć dwie rzeczy: po pierwsze, że w najmniejszym stopniu nie

jest mu żal. Po drugie, że przedmiot w jego prawej ręce niemal z całą pewnością pochodzi z jej własnej Szuflady na Rzeczy. Scott nazywał go superanckim otwieraczem Lisey. Był to jej własny otwieracz do puszek Oxo, ten z solidnymi gumowymi rączkami.

## X

### Lisey i argumenty przeciwko szaleństwu (dobry brat)

#### 1

*Argumenty przeciwko szaleństwu przebijają się z cichym świstem.*

To zdanie nieustannie się zapętało w głowie Lisey, kiedy wypełzła z kątku pamiętek, a potem powoli przeczołgała się przez długą i zawilą pracownię zmarłego męża, zostawiając za sobą brzydki szlaczek - rozbryzgi krwi z nosa, ust i okaleczonej piersi.

W życiu nie da się tego sprać z dywanu, pomyślała i znowu do niej wróciło, jakby w odpowiedzi: Argumenty przeciwko szaleństwu przebijają się z cichym świstem.

W tej historii było szaleństwo, zgadza się, choć jedynym dźwiękiem, który zapamiętała, nie był gwizd, szelest ani świst, tylko jej wrzaski, kiedy Jim Dooley wbił w jej lewą pierś otwieracz do puszek. Wrzeszczała, a potem zemdląca, a potem on ją ocucił, żeby powiedzieć coś jeszcze. Potem znowu pozwolił jej zemdleć, ale przypiął jej do bluzki liścik, ale uprzednio troskliwie zdjął jej podarty stanik i zapiął ją na wszystkie guziki - żeby na pewno nie zapomniała. Nie musiał. Dokładnie zapamiętała każde jego słowo.

- Lepiej, żebym dziś do ósmej dostał wiadomość od profesora, bo następnym razem będzie dużo bardziej boleć. I sama się sobą zajmij, kobito, słyszysz mnie, e? Powiesz komuś, że tu byłem, a cię zabiję. - Tak właśnie powiedział. Na kartce przypiętej do koszuli napisał: „Skończmy sprawę, to oboje będziemy zadowoleni. Dobry pszyjaciel Zack”!

Lisey nie wiedziała, jak długo była nieprzytomna tym drugim razem. Wiedziała tylko, że kiedy się ocknęła, jej zniszczony stanik był w koszu na śmieci, a kartka znajdowała się na prawej stronie jej bluzki. Lewa była przemoczona krwią. Rozpięła ją na tyle, żeby zajrzeć, jęknęła i odwróciła oczy. Wyglądało dużo gorzej niż to, co robiła sobie Amanda, włącznie z tym numerem z pępkiem. Co do bólu... pamiętała tylko coś gigantycznego i zalewającego.

Kajdanki znikły, a Dooley nawet zostawił jej szklanekę wody. Lisey wypila ją łapczywie. Ale kiedy usiłowała wstać, nogi dygotały za bardzo, żeby ją utrzymać. Więc wypełzła z wnęki na

czworakach, lejąc krew i krwawy pot na dywan Scotta (a, teraz nic ją nie obchodziła ta perłowa biel, zresztą i tak widać było na niej każdy pyłek), z włosami przyklejonymi do czoła, łzami schnącymi na policzkach, zastygającymi skrzepami krwi na nosie, wargach i brodzie.

Początkowo myślała, że czołga się do telefonu, może żeby zadzwonić do zastępcy Klutterbucka pomimo ostrzeżenia Dooleya i niepowodzenia zastępcy jako ochroniarza. Potem ta linijka wiersza

*(argumenty przeciwko szaleństwu)*

zaczęła się powtarzać w jej głowie i zobaczyła cedrową skrzynkę Dobrej Mamy, porzuconą na dywanie pomiędzy schodami a biurkiem, które Scott nazywał Dumbo Wielki Jumbo. Zawartość cedrowej skrzynki rozsypała się po dywanie. Lisey zrozumiała, że to pudełko i jego zawartość od samego początku stanowiły jej cel. Szczególnie ciągnęło ją do tego czegoś żółtego, owijającego zrolowane fioletowe menu z „Poroża”.

*Argumenty przeciwko szaleństwu przebijają się z cichym świstem.*

Z jednego z wierszy Scotta. Nie napisał dużo, a spośród tych niewiele zostało opublikowanych - twierdził, że nie są dobre, a pisze je tylko dla siebie. Ale według niej ten jeden był bardzo dobry, choć nie całkiem wiedziała, co znaczy ani o czym jest. Szczególnie podobał się jej pierwszy wers, bo czasami po prostu coś wpada w ucho, nie? Wpada, zapada się poziom po poziomie, i zostawia dziurę, w którą można spojrzeć. Albo nawet wpaść, jeśli człowiek nie uważa.

*ZPINOM, skarbiemój. Idziesz w stronę króliczej nory, więc zapnij ładnie pasy.*

Dooley pewnie przyniósł skrzynkę Dobrej Mamy do pracowni, bo wydawało mu się, że to jest to, czego chce. Faceci w rodzaju Dooleya i Gerda Allena Cole'a, znanego też jako Blondas, albo monsieur Ding-Dong dla Frezji, myślą że wszystko ma związek z ich pragnieniami, może nie? Ich koszmary, fobie, ich wariackie misje. Co Dooley chciał znaleźć w tym cedrowym pudełku? Tajną listę tekstów Scotta (może zaszyfowaną)? Bóg jeden wie. W każdym razie wyrzucił je, nie znalazłszy w nim nic prócz nieciekawych śmieci (w każdym razie nieciekawych dla niego), a potem zawlókł wdowę Landonową do pracowni, rozglądając się za miejscem, gdzie by ją można przykuć, zanim odzyska przytomność. Rury pod zlewem sprawiły się na medal.

Lisey pełzła wytrwale ku rozrzuconej zawartości pudełka, z oczami wbitymi w żółty



włózkowy kwadracik. Zastanawiała się, czy by go sama odkryła. Podejrzewała, że nie; miała już dość wspomnień. Ale teraz...

*Argumenty przeciwko szaleństwu przebijają się z cichym świstem.*

Na to wygląda. A jeśli jej bezcenna fioletowa zasłona spadnie, czy też wyda taki cichy, smutny dźwięk? Wcale by jej to nie zdziwiło. Zresztą od samego początku była jak pajęczyna. Patrzcie, ile już sobie przypomniła.

*Już dość, Lisey, nie wąż się, cicho.*

- Ty sam cicho - zachrypiała. Jej rozogniona pierś pulsowała i płonęła. Scott dostał ranę w pierś, teraz kolej na nią. Pomyślała, jak wyszedł tamtej nocy z mroku na jej trawnik, wyszedł z ciemności, w której Pluto od sąsiadów szczekał, szczekał i szczekał. Scott podnosił coś, co poprzednio było ręką, a teraz zmieniło się w gruzel krwi z czymś odlegle przypominającym wystające z niego palce. Scott mówił, że to krwawy baf, i że jest dla niej. Scott później namoczył to posiekane mięso w miednicy pełnej słabej herbaty, powiedział jej, że to

*(Paul to wymyślił)*

jego brat pokazał mu, co robić. Powiedział, że wszyscy Landonowie szybko zdrowieją, muszą. To wspomnienie szybko spadło na inne leżące na dole, na to, w którym ona i Scott siedzieli cztery miesiące później pod drzewem mniam-mniam. Krew bluznęła jak płachta, powiedział jej, a Lisey spytała, czy Paul moczył swoje rany w herbacie, a Scott powiedział, że nie...

*Cicho, Lisey - nic nie powiedział. Ty nie pytałaś, on nie powiedział.*

Ależ pytała. Pytała go o najróżniejsze rzeczy, a Scott zawsze odpowiadał. Nie wtedy, nie pod drzewem mniam-mniam, ale później. Tej nocy w łóżku. Tej drugiej nocy w „Porożu”, po miłości. Jak mogła zapomnieć?

Na chwilę znieruchomiała na perłowym dywanie. Odpoczywała.

- Nie zapomniałam - powiedziała. - To było za fioletowym. Za zasłoną. To wielka różnica.

Wbiła oczy w żółty kwadracik i znowu zaczęła pełznąć.

*Jestem całkiem pewien, że herbatek był później. Tak, na pewno.*

Scott leży koło niej, pali, przygląda się dymowi z papierosa, pnącemu się w górę, w górę, do tego punktu, w którym zniknął. Tak, jak znikają ukośne paski na słupie. Tak, jak czasami zniknął sam Scott.

- Wiem, bo wtedy robiłem ułamki.

- W szkole?

- Nie, Lisey. - Powiedział to tonem, który sygnalizował więcej, który sygnalizował, że powinna się już zorientować. Iskierka Landon nie należał do takich tatusiów. *Ja i Paul żeśmy się uczyli w domu. Tatuś mówił, że publiczna szkoła to Ośła Łąka.*

- Ale te rany Paula - tego dnia, kiedy skoczyłeś z ławy - były poważne? To nie były draśnięcia?

Długa pauza, Scott obserwuje dym, który unosi się, piętrzy i znika, zostawiając za sobą tylko ślad słodkawo-gorzkiego zapachu. W końcu suche:

- Tatuś ciął głęboko.

Na tę suchą oczywistość nie ma odpowiedzi, więc Lisey milczy.

A on mówi:

- Nieważne, nie o to chciałaś spytać. Pytaj, o co chcesz, Lisey. Śmiało, odpowiem. Ale musisz spytać.

Albo nie pamięta, co było potem, albo nie jest gotowa, ale teraz przypomniła sobie, jak opuścili schronienie pod drzewem mniam-mniam. Wziął ją w ramiona pod tym białym parasolem, a w chwilę później byli na śniegu. A teraz, podczas tego pełznięcia na czworakach ku przewróconemu cedrowemu pudełku, wspomnienie

*(szaleństwo)*

przebiło się

*(z cichym świstem)*

i Lisey wreszcie pozwoliła swojemu umysłowi uwierzyć w to, co jej drugie serce, to ukryte, tajemne, wiedziało od początku. Od chwili, kiedy nie byli ani pod drzewem mniam-mniam, ani na śniegu, ale gdzie indziej. Tam, gdzie jest ciepło i mnóstwo mgliście czerwonego światła. Tam,

gdzie z oddali dochodzą głosy ptaków i tropikalne zapachy. Niektóre znała - frangipani, jaśmin, bugenwilla, mimoza, mokra oddychająca ziemia, uklękli na niej jak kochankowie, którymi przecież jak najbardziej byli - ale tych najśłodszych nie znała i tak bardzo pragnęła poznać ich nazwy. Przypomniała sobie, że otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć, a Scott zakrył je

*(cicho)*

ręką. Pamiętała swoją myśl wówczas - to dziwne, stać w zimowych ciuchach w takim tropikalnym miejscu - i zobaczyła, że Scott się boi. Potem znaleźli się znowu na śniegu. Na tym nienormalnym, sypiącym gęsto październikowym śniegu.

Jak długo byli pomiędzy? Trzy sekundy? Może nawet mniej. Ale teraz, kiedy pełzła, bo była zbyt słaba i wstrząśnięta, żeby wstać, w końcu zapragnęła to przyznać. Kiedy wrócili do „Poroża”, sporo zdziałała, wmawiając sobie, że nic nie zaszło, ale przecież zaszło.

- I znowu się zdarzyło - powiedziała. - Tamtej nocy.

Smerdolone pragnienie. Straszliwie pragnęła napić się wody, ale oczywiście wnąka z barkiem była za jej plecami, podążała w niewłaściwym kierunku, a pamiętała, jak Scott śpiewa piosenkę starego Hanka, kiedy wracali tamtej niedzieli: „Pośród kraju jałowego przez dzień cały bez jednego łyku wody, chłodnej wody”.

*Napij się, skarbiemój.*

- Na pewno? - Ciągłe to chrypienie. - Woda by pomogła. Tak mnie boli.

Na to nie było odpowiedzi, i może jej nie potrzebowała. W końcu dotarła do rozszanych przedmiotów wokół przewróconego cedrowego pudełka. Wyciągnęła rękę do tego złotego kwadratu, zdjęła go z fioletowego menu i mocno ścisnęła w dłoni. Położyła się na boku - tym niebolącym - i przyjrzała się z bliska maleńkim rzędkom węzełków i oczek, malutkich supelków. Palce miała zakrwawione i zabrudziła wełnę, ale prawie tego nie widziała. Dobra Mama z takich kwadracików zrobiła dziesiątki afganów, afganów różowych i szarych, niebieskich i złotych, zielonych i ciemnopomarańczowych. Były specjalnością Dobrej Mamy i spływały spod jej igły jeden po drugim, gdy siedziała wieczorami przed gadającym telewizorem. Lisey przypomniała sobie, jak w dzieciństwie myślała, że takie włóczkowe koce nazywają się „afrykany”. Ich kuzynki (Angletonówny, Darby’ówny, Wiggense’ówny i Washburnówny, jak również niezliczone Debusherki) zostały po ślubie obdarowane afrykanami; każda Debusherka miała przynajmniej

trzy. A do każdego afrykana był dołączony jeden kwadracik w tym samym odcieniu albo wzorze. Dobra Mama nazywała te dodatki „delikatesami”. Miały służyć jako ozdoba stołu, albo zawisnąć w ramach na ścianie. Ponieważ żółty afrykan był ślubnym prezentem Dobrej Mamy dla Lisey i Scotta, i ponieważ Scott był nim zachwycony, Lisey zachowała ten dodatkowy delikates w cedrowym pudełku. Teraz leżała, wykrwawiając się na dywan, ścisnęła kwadracik i przestała walczyć ze wspomnieniami. Pomyślała: ba! koniec! I zaczęła płakać. Rozumiała, że nie jest zdolna do logicznego myślenia, ale może i dobrze; porządek przyjdzie później, jeśli będzie potrzebny.

I, oczywiście, jeśli będzie jakieś później.

Zniki i złamazie. Bo Landonowie, a Landreau przed nimi, zawsze byli tacy albo tacy. I to się zawsze wydaje.

Faktycznie, nic dziwnego, że Scott poznał, kim naprawdę jest Amanda - znał się na cięciu jak nikt. Ile razy sam się ciął? Nie wiedziała. Nie można było tego odczytać po jego bliznach tak, jak w przypadku Amandy, bo... no, bo tak. Ten jeden przypadek samookaleczenia, o którym wiedziała na pewno - ze szklarni - był efektowny. A on nauczył się cięcia od ojca, który kierował nóż przeciwko własnym synom, gdy jego ciało nie wystarczało, by wypuścić złamazię.

Zniki i złamazie. Zawsze jedno albo drugie. Zawsze się wydaje.

A gdyby Scott ominął najgorszą złamazię, co by było?

W grudniu 1995 roku zrobiło się paskudnie zimno. I ze Scottem zaczęło się dziać coś paskudnego. Miał mnóstwo zaplanowanych odczytów w szkołach w Teksasie, Oklahomie, Nowym Meksyku i Arizonie (nazywał to Westernowym Objazdem Scotta Landona Iha!), ale zadzwonił do swojego agenta i kazał wszystkie odwołać. Agencja go przeklęła w żywy kamień (nic dziwnego, spuścił z bieżącą wodą jakieś trzysta tysięcy dolarów za parę pogadanek), ale nie ustąpił. Powiedział, że objazd jest niemożliwy, powiedział, że jest chory. Fakt, był chory; w miarę jak zima głębiej wbijała pazury, Scott Landon stał się człowiekiem z gruntu chorym. Lisey już w listopadzie zorientowała się, że coś

Lisey wie, że coś z nim nie tak, i to nie jest zapalenie płuc, jak jej wmawia. Nie kaszle, a skórę ma chłodną w dotyku, więc choć nie pozwala sobie zmierzyć temperatury, nawet nie da sobie przyłożyć do czoła pasków pokazujących gorączkę, Lisey ma pewność, że to nie gorączka. Problem wydaje się tkwić raczej w głowie i to ją przeraża jak cholera. Pewnego razu, kiedy ośmiela się zasugerować, żeby spotkał się z doktorem Bjornem, Scott omal nie urywa jej głowy, nazywa walniętą na punkcie lekarzy, „jak reszta twoich świrniętych sióstr”.

I jak ona ma na to zareagować? Właściwie co to za objawy? Czy jakikolwiek lekarz - nawet tak współczujący, jak Rick Bjorn - potraktowałby je poważnie? Scott przestał słuchać muzyki przy pisaniu, to pierwsza sprawa. I nie pisze dużo - to druga, znacznie ważniejsza sprawa. Praca nad nową powieścią - którą Lisey Landon, oczywiście żaden wielki krytyk literacki, przypadkiem uwielbia - zwolniła ze zwykłego sprintu do wyczerzonego pełznięcia. I co jeszcze ważniejsze... dobry Boże, gdzie się podziało jego poczucie humoru? To burzliwe poczucie humoru może być męczące, ale jego nagłe zniknięcie, kiedy jesień ustępuje miejsca chłodom, jest przerażające do szpiku kości. Tak, jak ta chwila w starych filmach o dżungli, gdy bębny tubylców nagle milkną. I zaczyna więcej pić, późną nocą. Lisey zawsze kładła się wcześniej od niego - na ogół dużo wcześniej - ale zawsze wie, kiedy Scott wraca i czym pachnie jego oddech. Wie także, co widzi w jego kubłach na śmieci w pracowni, i martwi się jeszcze bardziej, specjalnie się stara, żeby tam zaglądać co dwa, trzy dni. Na ogół widywała puszki po piwie, czasami wiele, Scott zawsze lubił piwo, ale w grudniu 1995 i w początkach stycznia 1996 pojawiają się także butelki Jima Beama. A Scott miewa potężne kace. Z jakiegoś powodu to niepokoi ją najbardziej. Czasami Scott snuje się po domu - błądy, milczący, chory - aż w połowie popołudnia wreszcie się rozpogadza. Parę razy słyszała, jak wymiotuje za zamkniętymi drzwiami łazienki, a po szybkości, z jaką znika aspiryna, poznaje, że Scott cierpi na poważne bóle głowy. Można by powiedzieć, że to nic takiego; jak człowiek chluśnie sobie skrzynkę piwa albo butelkę Beama między dziewiątą a północą, to trzeba zapłacić cenę, pijaczyno. I może to wszystko, ale Scott zawsze dużo pił, od tego pierwszego wieczora, kiedy poznała go na uniwersytecie, gdy miał w kieszeni kurtki upchniętą butelkę (podzielił się z nią) i nigdy nie miewał kaców, najwyżej kacyki. Teraz, kiedy widzi pustki w jego koszu, i wie, że do leżącego na wielkim biurku „Miesiąca miodowego wyrzutka” doszła tylko jedna stroniczka (a czasem wcale), zaczyna się zastanawiać, ile Scott pije, kiedy ona tego nie widzi.

Na jakiś czas, w zamieszaniu świątecznych wizyt i kupowania prezentów, udaje się jej

zapomnieć o troskach. Scott nigdy nie przepadał za kupowaniem, nawet kiedy czas jest spokojny, a w sklepach nie ma tłumów, ale w tym okresie rzuca się w świąteczny wir z obłądnie dobrym humorem. Towarzyszy jej każdego dnia, walczy albo w centrum handlowym w Auburn, albo w sklepach przy głównej ulicy Castle Rock. Często bywa rozpoznawany, ale wesoło odmawia ludziom proszącym go o autografy którzy wyczuwają okazję dla jedyne go w swoim rodzaju prezentu - mówi, że jeśli nie będzie trzymać się żony, pewnie nie zobaczy jej do Dnia Świętego Patryka. Może stracił poczucie humoru, ale nigdy panowania nad sobą, nawet kiedy ci proszący o autograf stają się namolni, i przez jakiś czas wygląda mniej więcej normalnie, mniej więcej jak on, pomimo tego picia, odwołanego objazdu i wolno posuwającej się pracy nad nową książką.

Boże Narodzenie to cudowny dzień, mnóstwo prezentów i energetyczne bzykanko w połowie dnia. Wigilijna kolacja jest u Cauty i Richa, i przy deserze Rich pyta Scotta, czy będzie chciał być producentem filmu na podstawie swoich powieści.

- Tam są dopiero wielkie pieniądze - mówi Rich, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy z faktu, że z czterech dotychczasowych ekranizacji trzy zrobiły klapę. Tylko kinowa wersja „Pustych diabłów” (której Lisey nigdy nie widziała) przyniosła zyski.

W drodze do domu dobry humor Scotta wraca jak bombowiec, i jego mordercza parodia Richa rozśmiesza Lisey do bólu brzucha. A kiedy wracają na Sugar Top Hill, idą na górę na drugie bzykanko. A potem Lisey przyłapuje się na myśli, że jeśli Scott jest chory, to może ludzie powinni się tym zarazić, świat stałby się lepszy.

W Boże Narodzenie budzi się o drugiej nad ranem, musi skorzystać z ubikacji i - jak de ja vu - Scotta nie ma w łóżku. Ale tym razem nie zniknął. Zaczęła zauważać różnicę, nie pozwalając sobie nawet zrozumieć, o co jej chodzi, kiedy myśli

*(zniknął)*

o tym, co czasami robi, o tym miejscu, do którego odchodzi.

Siusia z zamkniętymi oczami, słuchając wicheru na dworze. Brzmi lodowato, ten wicher, ale ona jeszcze nie wie, co to zimno. Jeszcze nie. Minie parę tygodni i się dowie. Niech tylko minie parę tygodni, a dowie się niejednego.

Kiedy kończy, zerka w lustro w łazience. Odbija się w nim stodoła i pracownia Scotta na przerobionej górze na siano. Jeśli Scott tam jest - czasami w środku nocy, gdy nie może zasnąć,

przeważnie tam idzie - widzi światło, może nawet usłyszeć radosne karnawałowe dźwięki rock and rolla, bardzo odległe. Dziś stodoła tonie w mroku i słychać tylko głuche wycie wiatru. To ją trochę niepokoi, wyrywa myśli z głębi mózgu

*(atak serca zawał)*

zbyt nieprzyjemne, żeby się nad nimi zastanawiać, a jednak trochę zbyt silne, zważywszy, jak... jak bardzo był ostatnio rozstrojony... Więc zamiast wrócić po omacku do łóżka, idzie do drugich drzwi łazienki, tych wychodzących na korytarz. Woła Scotta i nie słyszy odpowiedzi, ale widzi cienką złotą włócznię światła pod zamkniętymi drzwiami na samym końcu. I dobiega ją bardzo cicha muzyka. Nie jest to rock and roll, ale country. To Hank Williams. Stary Hank śpiewa „Kaw-Liga”.

- Scott? - woła znowu, a kiedy nie słyszy odpowiedzi, idzie tam, odgarniając włosy z oczu. Bose stopy muskają dywan, ten który później wylądował na strychu, a Lisey jest przerażona, nie potrafi jednak nazwać przyczyny, wie tylko, że ma coś wspólnego z

*(zniknął)*

rzeczami, którą są albo skończone, albo powinny być. Skończone i dopięte, powiedziałby tata Debusher; oto zdobycz starego Dandy’ego ze stawu, tego, do którego wszyscy schodzimy, żeby pić, w którym wszyscy zarzucamy sieci.

- Scott?

Lisey przez chwilę stoi przed drzwiami gościnnego pokoju i nachodzi ją potworne przeczucie: Scott siedzi martwy w bujanym fotelu przed telewizorem, zginął z własnej ręki, dlatego tego nie przewidziała, czy wszystkie objawy nie były widoczne od miesiąca albo i dłużej? Wytrzymał do Gwiazdki, wytrzymał ze względu na nią, ale teraz...

- Scott?

Przekręca gałkę i popycha drzwi, i Scott siedzi w bujaku, tak jak go sobie wyobraziła, ale żywy, żywiuteńki, opatulony w swój ukochany afrykan od Dobrej Mamy, ten żółty. W telewizorze, z przykręconym dźwiękiem, leci jego ulubiony film: „Ostatni seans filmowy”. Scott nie odrywa wzroku od ekranu.

- Scott? W porządku?

Jego oczy się nie poruszają, nie mrugają. Lisey bardzo się już boi i jedno z tych dziwnych scottowych słów

*(znik)*

wyskakuje z upiornego szeregu, a ona strąca je do podświadomości z ledwie wyartykułowanym

*(smerdol się!)*

przekleństwem. Wchodzi do pokoju i znowu wypowiada imię Scotta. Tym razem jednak mruga - dzięki Ci, Boże - i spogląda na nią z uśmiechem. To jest ten uśmiech Scotta Landona, w którym Lisey zakochała się od pierwszego wejrzenia. Głównie z powodu, w jaki podnoszą mu się kąciaki oczu.

- Cześć, Lisey - mówi. - Co tu robisz?

- Mogłabym cię spytać o to samo - mówi ona. Rozgląda się za gorzałą - puszką piwa, do połowy opróżnioną butelką Beama - i nic nie znajduje. Dobrze. - Jest już późno, no wiesz, późno.

Następuje długa pauza, w której Scott jakby starannie to sobie przemyślał. Potem mówi:

- Wiatr mnie obudził. Uderzał rynną o ścianę domu i nie mogłem zasnąć.

Lisey zaczyna mówić, ale przestaje. Kiedy jest się od dawna w związku - pewnie w każdym małżeństwie następuje to kiedy indziej, w ich przypadku po piętnastu latach - rodzi się coś jakby telepatia. W tej chwili Scott sygnalizuje jej, że ma do powiedzenia coś więcej. Więc Lisey milknie, chce sprawdzić, czy się nie myli. Początkowo wygląda na to, że nie. Scott otwiera usta. Ale potem na zewnątrz zrywa się wiatr, i ona to słyszy - ciche pospieszne łomotanie, jak dzwonięcie metalowych zębów. Scott przechyla głowę w tamtą stronę... lekko się uśmiecha... nieładny uśmiech... uśmiech kogoś, kto ma jakiś sekret... i znowu zamyka usta. Zamiast powiedzieć, co miał do powiedzenia, znowu spogląda na ekran, na którym Jeff Bridges - bardzo młody Jeff Bridges - i jego najlepszy kumpel jadą do Meksyku. Kiedy wrócą, Sam „Lew” będzie martwy.

- Może byś już poszedł spać? - pyta go, a kiedy nie dostaje odpowiedzi, znowu czuje lęk. - Scott! - woła, trochę ostrzej niż zamierzała, i on znowu na nią spogląda (wydaje się jej, że niechętnie, choć widział ten film przynajmniej ze dwadzieścia razy), więc powtarza pytanie



ciszej: - Może byś już poszedł spać?

- Może - zgadza się Scott i Lisey widzi coś jednocześnie strasznego i smutnego. - Jeśli się do mnie przytulisz.

- W taki ziąb? Żartujesz? Chodź, zgaś telewizor i chodź do łóżka. Scott jest posłuszny, a ona leży, nasłuchując wiatru i pławiąc się w jego ciepłe.

Pokazują się jej motyle. Niemal zawsze tak jest, kiedy zasypia. Widzi wielkie czerwone i czarne motyle, otwierające w ciemności skrzydła. Przemknęła myśl, że je zobaczy, kiedy przyjdzie czas umierać. Trochę się tego boi, ale tylko trochę.

- Lisey? - To Scott, z daleka. On także odpływa. Lisey to czuje.

- Hmm?

- Nie lubi, kiedy mówię.

- Co nie lubi?

- Nie wiem. - Bardzo cicho, bardzo daleko. - Może wiatr. Zimny północny wiatr. Ten, który przychodzi z...

Może ostatnim słowem miało być „Kanada”, pewnie tak, ale trudno stwierdzić, bo ona już odeszła do krainy snu, a on też, a kiedy tam odchodzą, nigdy się nie spotykają i Lisey się boi, że to także przedsmak śmierci, miejsce, gdzie mogą być sny, ale nie miłość, nie dom, nie dłoń trzymająca cię za rękę, kiedy ławice ptaków krążą na tle ciemnopomarańczowego słońca u kresu dnia.

### 3

Następuje okres - wszystkiego dwa tygodnie - kiedy Lisey zaczyna wierzyć, że sprawy idą ku dobremu. Później zada sobie pytanie, jak mogła być tak głupia, tak dobrowolnie ślepa, jak mogła wziąć jego gorączkową walkę o pozostanie w świecie (z nią!) za objaw poprawy, ale oczywiście kiedy człowiek ma tylko brzytwę, to się jej chwyta.

A ma się czego chwytać. W początkach roku 1996 Scott zupełnie przestaje pić, najwyżej

kieliszek wina do obiadu przy kilku okazjach, i codziennie drepcze do pracowni. Ale dopiero potem przychodzi pora - pora na potwora, jak mówiły w czasach dzieciństwa, kiedy budowały pierwsze zamki ze słów na brzegu stawu - zrozumienia, że Scott przez te wszystkie dni nie dodał do książki ani jednej nowej strony, nie zrobił nic, tylko po cichu pił whisky, jadł chrupki i pisał do siebie niezrozumiałe notatki. Pod klawiaturą znalazła kartkę - z jego papeterii, z nadrukiem Z BIURKA SCOTTA LANDONA - na której nagryzmolił: „łańcuch na opony mówi spóźniłeś się Scott staruszkę nawet teraz”. Dopiero gdy zimny wichur, ten aż z Yellowknife, rozbija się już po domu, Lisey w końcu dostrzega głębokie półksiężycowate nacięcia na wewnętrznej stronie jego dłoni. Nacięcia, które mógł zrobić tylko własnymi paznokciami, walcząc o przeżycie na śliskiej powierzchni tej śniegowej burzy. Dopiero potem przychodzi pora znalezienia skrzynki pustych butelek po beamie, więcej niż dziesięciu, i przynajmniej w tym może się rozgrzeszyć, bo tak były dobrze ukryte.

#### 4

Pierwsze dni roku 1996 są niezrozumiałe ciepłe; dawniej nazywano je styczniową ciapą. Ale trzeciego stycznia ludzie od pogody zaczynają ostrzegać przed wielką zmianą, ogromną falą chłodu, sunącą znad białych pustkowi w środkowej Kanadzie. Mieszkańcy Maine mają się upewnić, że ich zapasy oleju opałowego są uzupełnione, rury hydrauliczne uszczelnione i że mają dużo „ogrzewanej przestrzeni” dla zwierząt. Temperatura ma spaść poniżej trzydziestu stopni, ale mają jej towarzyszyć porywiste wichury, co sprawi, że temperatura będzie odczuwana jako dwukrotnie niższa.

Lisey boi się tak, że nie mogąc wykrzesać ze Scotta zainteresowania, dzwoni do człowieka, który budował ich dom. Gary zapewnia, iż mają najlepszą izolację ze wszystkich domów w Castle View, przyrzeka, że będzie miał oko na bliskich Lisey (zwłaszcza na Amandę, co się rozumie samo przez się) i przypomina jej, że chłód to jeden z uroków życia w Maine. Parę paskudnych nocy i zaraz wiosna, mówi.

Ale kiedy piątego stycznia zaczynają się trzydziestostopniowe mrozy i wichury, Lisey nie potrafi sobie przypomnieć nic gorszego, nawet sięgając do dzieciństwa, kiedy każda burza z piorunami, które tak ją radowały, wydawała się potworną nawałnicą, a każda zadymka była

śnieżycą. Wszystkie kaloryfery w domu pracują pełną parą, nowy piec bez przerwy działa, ale między szóstą i dziewiątą temperatura w pomieszczeniach nigdy nie przekracza piętnastu stopni. Wiatr nie tylko huczy, ale wyje, jak kobieta, którą cał po calu patroszy szalenic - taki z tępym nożem. Te wichry dmące osiemdziesiąt kilometrów na godzinę (w porywach do stu dwudziestu, przewróciły z pięć radiowych nadajników w środkowym Maine i New Hampshire) porywają śnieg, który po styczniowej ciapie został na ziemi, i wzbijają go na polach w powietrze, jakby tańczyły duchy. Kiedy wichur uderza w okna, ziarniste cząsteczki szczękają jak grad.

Drugiej nocy tego niezwykłego kanadyjskiego mrozu Lisey znowu budzi się o drugiej nad ranem i Scotta znowu nie ma w łóżku. Znajduje go w pokoju gościnnym, znowu opatulonego w afrykana Dobrej Mamy, znowu przy „Ostatnim seansie filmowym”. Hank Williams śpiewa „Kaw-Liga”, Sam „Lew” nie żyje. Lisey budzi go z trudem, ale jednak. Pyta, czy wszystko w porządku, a Scott odpowiada, że no tak. Mówi jej, żeby wyjrzała przez okno i powiedziała, czy jest pięknie, ale żeby była ostrożna i nie patrzyła zbyt długo.

- Tatuś mawiał, że kiedy jest tak jasno, to oczy może wypalić - przestrzega.

Lisey zachłystuje się, tak jest pięknie. Po niebie wędrują teatralne zasłony i na jej oczach zmieniają kolor: zieleń przechodzi w fiolet, fiolet w cynober, cynober w dziwnie krwisty odcień czerwieni, którego nie potrafi nazwać. Może najbliższy jest rdzawy, ale to nie to, nie całkiem; pewnie nikt jeszcze nie nazwał tego koloru, który widzi Lisey. Scott szarpie ją za koszulę z tyłu i mówi, że wystarczy, musi przestać, a ona osłupiała spogląda na zegar w magnetowidzie i przekonuje się, że patrzyła na obraz w zamrożonym oknie przez ponad dziesięć minut.

- Już nie patrz - mówi Scott zrzędlwym, rozwlekłym głosem jak przez sen. - Chodź ze mną do łóżka, laluniu.

Chętnie pójdzie, chętnie wyłączy ten czemuś okropny film, chętnie wydzwignie go z bujaka i wyprowadzi z tego lodowatego pokoju. Ale kiedy idą korytarzem, trzymając się za ręce, Scott mówi coś takiego, że ciarki ją przechodzą:

- Wiatr szczęka jak łańcuch na opony, a łańcuch na opony przypomina czasem głos tatusia. A jeśli on nie umarł?

- Scott, co za bzdura - mówi Lisey, ale takie rzeczy w środku nocy nie brzmią jak bzdura, prawda? Zwłaszcza, kiedy wyje wichur, a niebo jest tak kolorowe, jakby też krzyczało.

Kiedy budzi się następnego dnia, wicher nadal wyje i tym razem w pokoju gościnnym telewizor nie jest włączony, ale Scott i tak patrzy. Siedzi w bujanym fotelu, otulony afrykanem, żółtym afrykanem Dobrej Mamy, ale nie odpowiada Lisey, nawet na nią nie spogląda. Scott jest, ale Scott znikł.

Znikł i jest znikiem

## 5

Lisey przewróciła się na wznak w pracowni Scotta i spojrzała na świetlik tuż nad nią. Pierś pulsowała. Nie myśląc, przycisnęła do niej żółty włóczkowy kwadracik. Początkowo zabolalo jeszcze gorzej... ale potem nastąpiła odrobina ulgi. Spojrzała w świetlik, spazmatycznie łapiąc powietrze. Czula kwaśną mieszaninę potu, łez i krwi, w której marynowała się jej skóra. Jęknęła.

*Wszyscy Landonowie szybko zdrowieją, musimy.* Jeśli to prawda - a miała powody w to wierzyć - pragnęła teraz należeć do rodziny Landonów jak nigdy w życiu. Koniec z Lisą Debusher z Lisbon Falls, wypadkiem przy pracy mamy i tatusia, małym dodatkiem na ostatek.

Jesteś, kim jesteś, odpowiedział cierpliwie głos Scotta. Jesteś Lisey Landon. Moją lalunią Lisey. Ale było jej gorąco i tak bolało, teraz to ona chciała lodu, a Scott Landon, choć gadatliwy, nigdy nie był bardziej martwy.

ZPINOM, skarbiemój, powiedział uparcie, ale ten głos dobiegał z daleka.

Z daleka.

Nawet telefon na Dumbo Wielkim Jumbo, z którego teoretycznie mogła wezwać pomoc, był daleko. A co było blisko? Pytanie. Nawet proste. Jak mogła znaleźć własną siostrę w takim stanie i nie przypomnieć sobie, że dokładnie tak znalazła męża podczas tego ataku mroźów w 1996 roku?

Pamiętałam, szepnął jej umysł do jej umysłu, kiedy tak leżała wpatrzona w świetlik, z żółtym włóczkowym kwadracikiem nasiąkającym czerwienią na piersi. Naprawdę. Ale gdybym sobie miała przypomnieć Scotta w bujaku, musiałabym sobie przypomnieć „Poroże”; przypomnieć sobie „Poroże” oznacza przypomnieć sobie, co się wydarzyło, kiedy wychodziliśmy spod drzewa

mniam-mniam na śnieg; przypomnieć sobie tamto oznaczało poznać prawdę o jego bracie Paulu; spojrzeć w twarz prawdziwemu wspomnieniu o Paulu oznaczało ponowny powrót do tego zimnego pokoju gościnnego, kiedy niebo mieniło się kolorami, a wicher dął aż z Kanady, z Manitoby, aż z Yellowknife. Nie rozumiesz, Lisey? To wszystko się ze sobą łączy, od zawsze, a kiedy człowiek sobie pozwoli na to pierwsze połączenie, na przewrócenie pierwszej kostki domina...

- Pewnie bym oszalała - zakwiliła - jak oni. Jak Landonowie i Landreau przed nimi, i jeszcze inni, którzy o tym wiedzą. Nic dziwnego, że ześwirowali, skoro wiedzą, że tuż za tym światem jest następny... a ściana pomiędzy jest taka cienka...

Ale nawet to nie było najgorsze. Najgorsze było to, co go tak udręczyło, to plamiste stworzenie z nieskończonym srokatym bokiem...

- Nie! - wrzasnęła w pustej pracowni. Wrzasnęła, choć ból ją rozdarł od stóp do głów. - O, nie! Przestań! Niech to się skończy! Niech to wszystko się SKOŃCZY!

Ale było za późno. I za dużo w tym prawdy, żeby dłużej zaprzeczać, choć ryzyko szaleństwa było wielkie. Naprawdę istnieje miejsce, gdzie po zmroku jedzenie staje się niedobre, czasem wręcz trujące i gdzie żyje to srokaty stworzenie, długiśnik Scotta

*(pokażę ci, jaki dźwięk wydaje, kiedy się ogląda)*

który może istnieć naprawdę.

- O, istnieje naprawdę, a jakże - szepnęła. - Sama go widziałam.

W pustce i upiornej ciszy pracowni zmarłego człowieka zaczęła płakać. Nawet w tej chwili nie miała pewności, czy to się zdarzyło i kiedy dokładnie to widziała, jeśli widziała... ale miała poczucie, że to prawda. To ta zabijająca nadzieję chwila, kiedy chorzy na raka widzą, że w szklaneczce przy łóżku nie zostały już żadne środki, kroplówka z morfiną jest pusta, a godzina jest żadna, a ból systematycznie wżera się coraz głębiej w czuwające kości. I jest żywy. Żywy, złośliwy i głodny. Była pewna, że właśnie to jej mąż usiłował - bezskutecznie - utopić w alkoholu. I w śmiechu. I w pisaniu. To stworzenie, które prawie zobaczyła w jego pustych oczach, kiedy siedział w lodowatym pokoju gościnnym, tym razem przed ślepym i milczącym telewizorem. Siedział w

Siedzi w bujanym fotelu, okutany diabelnie radosnym żółtym afrykanem Dobrej Mamy aż po te straszne wytrzeszczone oczy. Spogląda jednocześnie na nią i przez nią. Nie reaguje na jej coraz bardziej przerażone nawoływania, a ona nie wie, co robić.

Zadzwoń do kogoś, myśli, proste, i biegnie korytarzem do sypialni. Cauty i Rich są na Florydzie i nie wrócą aż do połowy lutego, ale Daria i Matt mieszkają w sąsiedztwie, i to do Darli zamierza zadzwonić, nie myśli, że obudzi ich w środku nocy, musi z kimś porozmawiać, potrzebuje pomocy.

Nie dostaje jej. Ten wściekły wichur, od którego marznie pomimo flanelowej koszuli i swetra na dodatek, ten, przez który piec w piwnicy pracuje bez przerwy, a dom skrzypi, jęczy i czasem wydaje niepokojące „trrrrrach”, ta potężna zimna wichura z Kanady zerwała gdzieś linię telefoniczną i Lisey słyszy teraz w słuchawce kretyńskie „mmmm”. Na wszelki wypadek parę razy przyciska guziki telefonu, bo tak trzeba, ale wie, że to na nic, no i faktycznie. Jest sama w wielkim zimnym przebudowanym wiktoriańskim domu na Sugar Top Hill, po niebie wędrują obłąkane zasłony barw, a temperatura spada do poziomu, którego lepiej sobie nie wyobrażać. Jeśli spróbuje dotrzeć do Gallowayów z sąsiedztwa, całkiem możliwe, że odmrozi sobie ucho albo palec - albo kilka. To taki mróz, z którym absolutnie nie ma żartów.

Odkłada bezużyteczną słuchawkę na widełki i biegnie do męża, klapiąc kapciami. Scott leży tam, gdzie go zostawiła. Zawodząca muzyka z lat pięćdziesiątych z „Ostatniego seansu filmowego” w środku nocy była kiepska, ale ta cisza jest gorsza, gorsza, najgorsza. I na chwilę przed potężnym uderzeniem wichru, od którego dom omal się nie przewraca (cud, że nadal mają światło, ale pewnie niedługo), Lisey zdaje sobie sprawę, dlaczego nawet ten wiatr sprawia ulgę: bo nie słyhać oddechu Scotta. Nie wygląda na trupa, nawet ma rumieńce, ale skąd wiadomo, że nie umarł?

- Kochanie? - szepcze, podchodząc do niego. - Kochanie, możesz się odezwać? Możesz spojrzeć?

Scott nie odpowiada, nie spogląda, ale kiedy Lisey dotyka zziębniętymi palcami jego policzka, czuje ciepłą skórę i tętno w dużej żyły czy tętnicy płytko pod powierzchnią. I coś

jeszcze. Czuje, że Scott wyciąga do niej rękę. Za dnia, nawet gdyby był to zimny, wietrzny dzień (jak ten, który jest we wszystkich plenerowych scenach „Ostatniego seansu filmowego”, teraz to sobie uświadamia) na pewno by się z tego uśmieła, ale nie teraz. Teraz co wie, to już wie. On potrzebuje pomocy, tak jak tego dnia w Nashville, najpierw gdy postrzelił go szaleniec, potem gdy leżał rozdygotany na skwierczącym asfalcie i błagał o lód.

- Jak mam ci pomóc? - wyszeptuje. - Jak ci teraz mogę pomóc?

To Daria jej odpowiada, nastoletnia Daria - „Podłość, młody cyc i więcej nic”, powiedziała kiedyś Dobra Mama, co było nietypową dla niej wulgarnością, więc musiała być zdesperowana ponad miarę.

Nie możesz mu pomóc, co tu gadać o pomocy?, pyta Daria i ten głos jest tak realny, że Lisey prawie czuje puder marki Coty, którego wolno jej używać (z powodu przebarwień na twarzy) i słyszy trzask balonowy. I, o ludzie! Daria zeszła do stawu, zarzuciła sieć i wyciągnęła niezły połów! Jemu się poprzestawiało, Lisey, odbiło mu, pogubił klepki, zdemenciał, a ty możesz mu pomóc tylko wołając mężczyzn w bieli, jak tylko znowu włączą telefon. Głęboko w głowie Lisey odzywa się śmiech Darli - ten śmiech pełen idealnej nastoletniej pogardy - a ona przygląda się zapatrzonemu w pustkę mężowi w bujaku. Pomóc mu, prycha Daria. POMÓC mu? Ja cię kręcę w obie ręce.

A jednak Lisey uważa, że może mu pomóc. Lisey uważa, że istnieje pewien sposób.

Problem w tym, że metoda pomocy jest prawdopodobnie niebezpieczna i nie daje pewności. Lisey uczciwie przyznaje, że sama przyczyniła się do niektórych problemów. Upchnęła pewne wspomnienia, na przykład zdumiewające wyjście spod drzewa mniam-mniam, i ukryła nieznośne prawdy - chociażby prawdę o Paulu, Świętym Bracie - za czymś w rodzaju zasłony w umyśle. Za tą zasłoną jest taki dźwięk

*(chrząkanie, o dobry Boże, to ciche wstrętne chrząkanie)*

i pewne widoki

*(krzyże na cmentarzu krzyże w krwawym świetle)*

też. Czasami się zastanawia, czy wszyscy mają w głowach takie zasłony, taką strefę „myślenie wzbronione”. Powinni. Praktyczna rzecz. Oszczędza wielu bezsennych nocy. Za jej zasłoną jest najróżniejsze zakurzone badziewie, trochę tego, trochę tamtego, trochę jeszcze

innego. W sumie robi się labirynt. O meine Lizzi, zdumieweine ty mnie, mein gott... a co powiadają?

- Keine wchodzeine - mruczy Lisey, ale myśli, że jednak wejdzie, musi, jeśli dzięki temu może uratować Scotta, przyprowadzić go do domu, musi się zdecydować na wchodzeine... choć nie wie, gdzie.

Ależ bliźniutko.

Dlatego to takie straszne.

- Wiesz, prawda? - mówi i zaczyna płakać, ale nie pyta Scotta, Scott odszedł tam, gdzie odchodzą znikni. Dawno, dawno temu, pod drzewem mniam-mniam, gdzie siedzieli, a ten dziwny październikowy śnieg odgradzał ich od świata, Scott powiedział, że pisanie to rodzaj szaleństwa. Zaprotestowała - ona, praktyczna Lisey, dla której wszystko jest to samo - a on powiedział: „Nie wiesz o znikaniu. Mam nadzieję, że dalej będziesz miała tyle szczęścia, laluniu Lisey”.

Ale dziś, kiedy wicher wali aż z Yellowknife, a niebo rozkwita dzikimi kolorami, jej zapas szczęścia się wyczerpał.

## 7

Leżąc na wznak w pracowni zmarłego męża, tuląc do piersi zakrwawiony delikates, powiedziała:

- Usiadłam przy nim i wyplątałam spod afrykana jego rękę, żeby ją ująć. - Przełknęła. W gardle jej skrzypnęło. Chciała się napić, ale nie mogła się utrzymać na nogach, na razie nie. - Rękę miał ciepłą, ale podłoga

## 8

Podłoga jest zimna, nawet przez flanelową nocną koszulę, flanelowe reformy i jedwabne majtki pod nimi. W tym pokoju, tak jak we wszystkich na górze, jest ogrzewanie podłogowe,



które czasami czuć, jeśli wyciągnie rękę, w której nie trzyma dłoni Scotta, lecz mała to pociecha. Nieustannie wyęzający się piec wysyła ciepło w górę, przewody w piwnicy je rozsyłają, ciepło unosi się na jakieś dziesięć centymetrów nad podłogą i... puf! Znika. Jak paski na słupie. Jak unoszący się dym z papierosa. I bywa, że jak mężowie.

*Nieważne, że podłoga zimna. Nieważne, że tyłek ci zsinieje. Jeśli możesz coś dla niego zrobić, to zrób.*

Ale jakie coś? Jak ma zacząć?

Odpowiedź przychodzi jakby z następnym powiewem wichru. *Zacznij od herbaleku.*

- Nie-powiedział-mi-bo-nie-spytałam - słowa wychodzą z niej tak gwałtownie, że mogłoby to być jedno egzotyczne słowo.

Jeśli tak, jest to kłamliwe egzotyczne słowo. Odpowiedział na jej pytanie o herbalek tej nocy w „Porożu”. W łóżku, po miłości. Zadała mu dwa lub trzy pytania, ale to najważniejsze, to kluczowe, było na początku. I było proste. Mógłby odpowiedzieć zwyczajnie tak lub nie, ale kiedyż to Scott Landon odpowiedział na cokolwiek zwykłym tak albo nie? I okazało się, że to było jak korek w butelce. Dlaczego? Bo doprowadziło ich do Paula. A historia Paula była zasadniczo historią jego śmierci. A śmierć Paula prowadziła do...

- Nie, proszę - szepcze i zdaje sobie sprawę, że zdecydowanie zbyt mocno ściska go za rękę. Scott oczywiście nie protestuje. Znikł z salonu małżonków Landonów i zostawił znika. Śmiesznie to brzmi, prawie jak żarcik z „Hee Haw”:

- Słuchaj, Buck, gdzie Roy?

- Powiem ci, Minnie - Roy znikł i został znik!

(Publiczność wyje ze śmiechu.)

Ale Lisey się nie śmieje i te wewnętrzne głosy naprawdę nie muszą jej tłumaczyć, że Scott odszedł do zniklandii. Jeśli chce go sprowadzić, musi iść za nim.

- O Boże, nie - jęczy, bo znaczenie tego już mający w głębi jej umysłu, potężny kształt osłonięty wieloma płachtami. - O Boże, Boże, czy muszę?

Bóg nie odpowiada. Nie musi. Lisey wie, co trzeba zrobić, a przynajmniej od czego zacząć: musi sobie przypomnieć tę drugą noc w „Porożu”, po miłości. Kiedy drzemka niosła ich w

kierunku snu, a ona pomyślała: No i cóż takiego, przecież jesteś ciekawa Świętego Starszego Brata, nie Starego Demona Tatusia. Śmiało, spytaj go. Więc pyta. Siedząc na podłodze z jego ręką (ziębnącą) w swoich, gdy wicher wyje, a niebo jest pełne szalonych kolorów, ostrożnie zerka za zasłonę, za którą ukryła najstraszniejsze, najbardziej zdumiewające wspomnienia i widzi samą siebie, pytającą Scotta o herbatek. Pyta go

## 9

- A po tej ławie Paul namoczył swoje rany w herbacie, tak jak ty w moim mieszkaniu?

Scott leży obok niej, z prześcieradłem podciągniętym do bioder, tak że widać górne kędziorki włosów łonowych. Pali, jak to nazywa, zawsze bajeczny postkoitalny papieros, a jedyne światło w pokoju rzuca lampka po jego stronie łóżka. W tym różanopylistym świetle lampki dym unosi się i znika w ciemnościach, a ona przez chwilę się zastanawia

*(czy był jakiś dźwięk, cmoknięcie zapadającego się powietrza pod drzewem mniam-mniam, kiedy odeszliśmy, kiedy znikliśmy)*

nad czymś, co już zaczęła wypychać z głowy.

Tymczasem milczenie się przedłuża. Już jest pewna, że Scott nie odpowie, kiedy jednak odpowiada. I to takim tonem, że staje się jasne, iż milczał nie z powodu wahania, tylko rozważnego zastanowienia.

- Jestem pewien, że herbatek był później. - Namysła się jeszcze, kiwa głową. - Tak, na pewno, bo wtedy już robiłem ułamki. Jedna trzecia plus jedna czwarta równa się siedem dwunastych, takie tam tego. - Szczerzy zęby... ale Lisey, która zaczyna już poznawać jego repertuar wyrażonek, wie że to nerwowy uśmiech.

- W szkole? - pyta.

- Nie, Lisey. - Jego ton sygnalizuje, że powinna się już zorientować, a kiedy odzywa się znowu, w jego głosie pojawia się ten trochę upiorny dziecienny ton

*(ciąglem i ciągiem)*

- Ja i Paul żeśmy się uczyli w domu. Tatuś mówił, że publiczna szkoła to Ośła Łąka. - Na nocnym stoliku koło lampki jest popielniczka, stojąca na egzemplarzu „Rzeźni numer pięć” (Scott zabiera ze sobą książkę wszędzie, nie ma absolutnie żadnych wyjątków), a on strzepuje do niej papierosa. Wicher za oknem wyje, stary zajazd skrzypi.

Nagle Lisey zaczyna myśleć, że jednak nie był to taki dobry pomysł, dobrym pomysłem byłoby przewrócić się na drugi bok i spać, ale nie może się zdecydować i zżera ją ciekawość:

- A te rany Paula... tego dnia, kiedy skoczyłeś z ławy... były poważne? To nie draśnięcia? No wiesz, dzieci inaczej widzą... pęknięta rura to dla nich potop...

Głos jej zamiera. Następuje bardzo długa chwila ciszy, kiedy Scott obserwuje dym z papierosa, wznoszący się w świetle lampki i znikający. Kiedy znowu się odzywa, jego głos jest suchy, martwy i pewny.

- Tatuś ciął głęboko.

Lisey otwiera usta, żeby powiedzieć jakiś ogólnik, który zakończy tę rozmowę (w głowie już wyją najróżniejsze syreny alarmowe, cały szereg czerwonych świateł), ale on ją uprzedza:

- O coś innego chciałaś spytać. Pytaj, o co chcesz. Śmiało. Powiem ci. Nie chcę mieć przed tobą tajemnic - nie po tym, co się dziś wydarzyło - ale musisz spytać.

Co się wydarzyło? Pytanie wydaje się logiczne, ale Lisey rozumie, że nie ma mowy o logicznej rozmowie, bo krążą wokół szaleństwa, to szaleństwo, a ona też w nim bierze udział. Bo Scott ją gdzieś zabrał, tyle wie, to nie była fantazja. Jeśli spyta, co się stało, on jej powie, przecież obiecał... ale to niedobry moment. To postkoitalne rozmarzenie już znikło i nigdy w życiu nie była bardziej przytomna.

- Kiedy zeskoczyłeś z tej ławy...

- Tatuś dał mi całusa, całus jest nagrodą tatusia. Żeby pokazać, że krwawy baf się skończył.

- Tak, wiem, mówiłeś. - Ma uczucie, jakby szła po cienkim lodzie, pod którym jest dziesięć metrów lodowatej wody. - Jak zeskoczyłeś z ławy i już nie było cięcia, czy Paul... czy gdzieś odszedł, żeby się leczyć? Czy to dlatego mógł iść do sklepu po picie i tak krótko po tym wszystkim biegać po domu, przygotowując ci szukanie bafa?

- Nie. - Scott zgniata papierosa w popielniczkę na książce.

Lisey czuje po tym prostym zaprzeczeniu najdziwniejszą mieszankę emocji: słodycz ulgi i głębokie rozczarowanie. Jakby w jej piersi strzelił piorun. Nie wie dokładnie, co sobie myśli, ale to „nie” znaczy chyba, że nie musi już dłużej myśleć o...

- Nie mógł - dodaje Scott tym samym suchym, rzeczowym tonem. I z taką samą pewnością: - Nie mógł. Nie mógł iść. - Ostatnie słowo jest podkreślone, lekko, lecz wyraźnie. - Musiałem go zabrać.

Scott odwraca się ku niej i bierze ją... ale tylko w ramiona. Wtula twarz w jej szyję, jest rozpalona od powstrzymywanych uczuć.

- Znam takie miejsce. Nazywamy je Księżyc Boo'ya, zapomniałem dlaczego. Na ogół cudne. - „Sudne”. - Zabrałem go, kiedy był ranny i zabrałem go, kiedy był martwy, ale nie mogłem go zabrać, kiedy był złamanią. Jak go tatuś zabił, to go zabrałem, na Księżyc Boo'ya, i go pogrzebłem. - Tama pękła i Scot łka. Udaje mu się trochę stłumić szloch, gdy zaciska usta, ale jego gwałtowność aż trzęsie łóżkiem i przez chwilę Lisey może go tylko tulić. W pewnym momencie prosi, żeby zgasła lampę, a kiedy pyta dlaczego, odpowiada: - Bo jest ta reszta, Lisey. Jeśli będziesz mnie trzymać, dam radę opowiedzieć. Ale nie przy włączonym świetle.

I choć Lisey w życiu się tak nie bała - nawet w tę noc, kiedy wyszedł z ciemności z krwawą miazgą zamiast ręki - na moment oswobadza się i wyłącza lampkę, muskając go później tą piersią, która padnie ofiarą szaleństwa Jima Dooleya. Początkowo pokój jest kompletnie czarny, potem, gdy wzrok się przyzwyczaja, widać mgliste zarysy mebli; nawet pojawia się blada, halucynacyjna poświata zapowiadająca wyjście księżycy zza rzednących chmur.

- Uważasz, że tatuś zamordował Paula, tak? Uważasz, że tak się kończy ta część opowieści.

- Scott, powiedziałeś, że tak, strzelbą...

- Ale to nie było morderstwo. Tak by je nazwali, gdyby stanął za nie przed sądem, ale byłem tam i znam prawdę. - Milknie na chwilę. Lisey myśli, że zapali nowego papierosa, ale nie. Wicher wyje, stary budynek jęczy. Na chwilę meble rozbłyskują, na moment, a potem powraca mrok. - Tatuś mógł go zamordować, no jasne. Wiele razy. Wiem. I były też chwile, kiedy by go zamordował, gdyby mnie tam nie było, ale skończyło się, jak się skończyło. Wiesz, co to jest eutanazja?

- Morderstwo z litości.

- Tak. Właśnie to zrobił tatuś Paulowi.

Meble znowu dygotliwie wyłaniają się z głębin mroku i toną.

- To była złamazia, nie rozumiesz? Paul dostał jej tak samo, jak tatuś. Ale Paul dostał za dużo, żeby tatuś mógł go pociąć i ją wypuścić.

Lisey mniej więcej rozumie. Ojciec kaleczył swoich synów - i pewnie siebie także - w ramach wariackiego leczenia zapobiegawczego.

- Tata powiedział, że może się nie pojawić w dwóch pokoleniach, a potem uderzyć dwa razy mocniej. „Spadnie na ciebie jak ten łańcuch na opony u twoich stóp, staruszk” - powiedział.

Lisey kręci głową. Nie rozumie, o czym mowa. I właściwie nie chce zrozumieć.

- Był grudzień - mówi Scott - i nagle się ochłodziło. Pierwszy raz tej zimy. Mieszkaliśmy, rozumiesz, w tej chałupie na wsi, w samym środku pola, i była tylko jedna droga, która prowadziła do sklepu Muliego, a potem do Martensburga. Byliśmy właściwie odcięci od świata. Właściwie we własnym bigosie, rozumiesz?

Lisey rozumie. O, i to jak. Wyobraża sobie, że tę drogę przemierzał czasem tylko listonosz, i oczywiście Iskierka w drodze do

*(gippowni)*

pracy, ale na tym koniec. Żadnych szkolnych autobusów, bo szkolne autobusy jeżdżą na Oślą Łąkę.

- Jak spadł śnieg, to się robiło gorzej - bo musieliśmy siedzieć w domu. Ale w tym roku z początku nie było tak źle. Przynajmniej mieliśmy choinkę. Bywały lata, kiedy tatuś dostawał złamazi... albo po prostu chodził ponury... i wtedy nie było choinki ani prezentów. - Parska krótkim, niewesołym śmiechem. - Raz w święta trzymał nas chyba do trzeciej nad ranem, czytając Apokalipsę, o otwieraniu pieczęci, plagach i jeźdźcach na koniach różnych kolorów, i w końcu wrzucił Biblię do pieca i ryknął: „Kto wypisuje takie pierdaczne głupoty? I co za kretyni w to wierzą?” Kiedy był w ryczącym nastroju, potrafił ryczeć jak Ahab w ostatnich dniach „Pequoda”. Ale w te święta był dość miły. Wiesz, co zrobiliśmy? Wszyscy pojechaliśmy do Pittsburgha na zakupy, i tatuś zabrał nas nawet do kina... Clint Eastwood grał policjanta i strzelał w całym mieście. Głowa mnie rozbolała od tego filmu, a brzuch od popcornu, ale i tak to była

najbardziej fantastyczna sakramencka rzecz na świecie. Wróciłem do domu i zacząłem pisać taką samą historię, i wieczorem przeczytałem ją Paulowi. Pewnie była do luftu jak stąd do księżycy, ale on powiedział, że jest fajna.

- Chyba był świetnym bratem - powiedziała ostrożnie Lisey.

Jej ostrożność poszła na marne. Nawet jej nie usłyszał.

- Chcę przez to powiedzieć, że jakoś się żyło, czasami całymi miesiącami, jak w normalnej rodzinie. Jeśli takie zjawisko istnieje, w co wątpię. Ale... ale.

Urywa, zamyślony. W końcu zaczyna mówić.

- Potem, niedługo przed świętami, byłem na górze w pokoju. Było zimno - zimniej niż na cycku więdźmy - i zbierało się na śnieg. Leżałem i uczyłem się historii, a potem spojrzałem w okno i zobaczyłem tatusia, jak idzie przez podwórko z naręczem drewek. Zbiegłem po schodach, żeby mu pomóc je poukładać w skrzyni, żeby kora nie obsypała podłogi - to go zawsze rozwścieczało. A Paul

## 10

Paul siedzi przy kuchennym stole, gdy jego młodszy braciszek, zaledwie dziesięcioletni, któremu należy się wizyta u fryzjera, schodzi po schodach, powiewając sznurówkami. Scott myśli, żeby spytać, czy Paul by nie pojeździł z nim na saneczkach z górki za stodołą, jak już poukłada drewno. Jeśli oczywiście tatuś nie da im jakiejś roboty.

Paul Landon, szczupły, wysoki i już przystojny w wieku trzynastu lat, siedzi nad książką. To „Wprowadzenie do algebry”, a Scott nie ma powodów wątpić, że Paul robi coś innego niż równania z tymi iksami - dopóki Paul nie odwróci głowy i nie spojrzy na niego. Scott jest wtedy na trzecim schodku od końca. To tylko chwila i potem Paul rzuca się na swojego braciszka, na którego odkąd żyje, nie podniósł ręki, ale ta chwila wystarczy, żeby zrozumieć: nie, Paul tam nie siedział tak zwyczajnie. Nie, Paul nie czytał. Nie, Paul się nie uczył.

Paul czytał.

W oczach brata nie ma pustki, kiedy wypryskuje z krzesła z takim rozmachem, że ciska nim

o ścianę, w oczach Paula jest czysta złamazia. Te oczy nie są już błękitne. Coś pękło w mózgu, który kryje się za nimi i napełniło je krwią. W kącikach tych oczu tkwią szkarłatne nasiona.

Inne dziecko pewnie by zamarło i dało się zabić potworowi, który jeszcze godzinę temu był zwyczajnym bratem z głową zaprzątniętą tylko pracą domową, albo tym, co mogą kupić tatusiowi na Gwiazdkę, jeśli się złożą. Ale Scott jest tak samo niezwykły jak Paul. Zwykle dzieci nie przeżyłyby w domu Iskierki Landona, i niemal z całą pewnością doświadczenie nabyte w kontakcie z szaleństwem ojca ratuje teraz Scottowi życie. Potrafi poznać złamazię na pierwszy rzut oka i nie marnuje czasu na powątpiewanie. Natychmiast się odwraca i chce uciec po schodach. Robi tylko trzy kroki i brat łapie go za nogi.

Paul, warcząc jak pies, który znalazł intruza na swoim podwórku, chwyta obiema rękami golenie Scotta i przewraca go. Scott przytrzymuje się słupka balustrady i nie puszcza. Wydaje jeden dwusłowny wrzask: „Tatusiu, pomocy!”, a potem milczy. Wrzaski to marnowanie energii. Potrzebuje sił, żeby się trzymać.

Oczywiście mu ich nie starczy. Paul jest starszy o trzy lata, cięższy o dwadzieścia pięć kilo i o wiele silniejszy. W dodatku oszalał. Jeśli Paul go oderwie od balustrady, to go ciężko porani albo zabije, choć Scott tak szybko zareagował. Ale zamiast dorwać brata, Paul dorywa tylko jego sztruksowe spodnie i oba trampki, których Scott zapomniał zasznurować, zrywając się z łóżka.

(„Gdybym zasznurował trampki, powie dużo później swojej żonie, leżąc z nią na piętze „Poroża” w New Hampshire, pewnie by nas tu nie było. Jakoś mi się wydaje, że całe moje życie sprowadza się do pary rozsznurowanych trampek, rozmiar siedem”.)

Stworzenie, które było Paulem, ryczy, przewraca się na wznak ze spodniami w rękach i potyka się o krzesło, na którym godzinę temu przystojny młodzieniec biedził się nad kartezjańskim układem współrzędnych. Jeden trampek spada na linoleum pełne dziur i wykrotów. Tymczasem Scott usiłuje się pozbierać, dotrzeć na piętro, zanim będzie za późno, ale stopy w skarpetkach ślizgają się na gładkich stopniach i upada na jedno kolano. Złachmanione majtki mu się osunęły, czuje zimno dmuchające mu w rowek tyłka i ma jeszcze czas pomyśleć: „Boże, błagam, nie chcę tak umierać, z tyłkiem na wierzchu”. Potem bratostwór podrywa się z rykiem i odrzuca spodnie, które prześlizgują się po kuchennym stole, omijają książkę do algebry, ale strącają na podłogę cukierniczkę - strącają ją na sterburtę, jak by powiedział jego ojciec. Stwór, który był Paulem, skacze, a Scott przygotowuje się na cios, na te paznokcie wbijające się mu w

skórę, kiedy nagle rozlega się potężne drewniane „gruch!” i ochryply, wściekły wrzask: „Zostaw go, ty smerdolony draniu! Ty złamażny skurwielu!”.

Całkiem zapomniał o tatusiu. Ten wichur dmuchający w tyłek to był tatuś z drewnem. Wtedy Paul go chwytą, wbija w niego paznokcie, porywa go, oddziera od balustrady bez trudu, jak niemowlę. Za chwilę poczuje zęby Paula. Wie, to prawdziwa złamazia, głęboka złamazia, nie to, co spotyka tatusia, który widuje ludzi nieobecnych i albo robi sobie krwawe bafy, albo im (w miarę jak Scott dorasta, tatuś coraz rzadziej mu to robi), to jest prawdziwa złamazia, dokładnie o tym mówił tatuś, kiedy się tylko śmiał i kręcił głową, słysząc pytania, dlaczego Landreau wyjechali z Francji, choć musieli zostawić pieniądze i ziemię, bo byli bogaci, Landreau byli bogaci, a teraz ugryzie, on mnie ugryzie, hip hip sto lat...

Zęby Paula go nie dosięgają. Nie czuje rozpalonego oddechu na bezbronny mięsie swojego lewego boku tuż nad biodrem, i rozlega się kolejne ciężkie drewniane „gruch”! - to tatuś znowu spuszcza kłodę na głowę Paula, obiema rękami, z całej siły. Po tym gruchnięciu następuje pisk, gdy ciało Paula sunie po kuchennym linoleum.

Scott się ogląda. Leży z rozrzuconymi nogami i rękami na schodach, ma na sobie tylko starą flanelową koszulę, majtki i białe sportowe skarpetki z dziurami na piętach. Jedną stopą prawie dotyka podłogi. Jest za bardzo wstrząśnięty, żeby się popłakać. W ustach ma smak świnki-skarbonki od wewnątrz. Ten ostatni cios był straszny i Scott jest tak przekonany, iż brat musi krwawić, że jego potężna wyobraźnia w pierwszej chwili ukazuje mu kuchnię zbryzganą krwią Paula. Usiłuje krzyknąć, ale zdrętwiałe, skurczone płuca wydają tylko przerażone skrzeczenie. Mruga i nie widzi krwi, tylko Paula, leżącego twarzą w cukrze z już nieprzydatnej cukiernicy, rozbitej na cztery większe części i mnóstwo malutkich. „Ta już nigdy nie zatańczy tanga”, mawia czasem tatuś, kiedy coś się stłucze, szklanka czy talerz, ale teraz nic nie mówi, tylko stoi w tym żółtym fartuchu nad swoim nieprzytomnym synem. Na ramionach i w rozczochranych siwiejących włosach ma śnieg. W jednej ręce w rękawicy trzyma polano. Za nim leży reszta naręcza, rozsypana w wejściu jak bierki. Drzwi są otwarte, zimny wichur ciągle wieje. A Scott wreszcie widzi, jednak jest krew, troszeczkę, cieknie z lewego ucha Paula, po twarzy z boku.

- Tatusiu, on nie żyje?

Tatuś rzuca polano do skrzyni i odgarnia włosy do tyłu. W szczecinie na jego policzkach



topnieje śnieg.

- Nie. To by było za łatwe.

Człapie do drzwi i zatrząskuje je, odcina wicher. Każdy jego ruch wyraża wstręt, ale Scott już go takim widział - kiedy dostaje Urzędowe Listy o podatkach ze szkoły albo takie rzeczy - i jest całkiem pewien, że tatuś się boi.

Tatuś wraca i staje nad znokautowanym synem. Przesłupuje z jednej nogi w buciorze na drugą. Potem spogląda na drugiego syna.

- Pomóż mi go znieść do piwnicy, staruszk.

Scott wie, czym grozi kwestionowanie rozkazów taty, ale jest przerażony. Nie ma na sobie ubrania. Schodzi do kuchni i wkłada spodnie.

- Dlaczego? Co z nim zrobimy?

I, to chyba cud, tatuś go nie bije. Nawet nie wrzeszczy.

- Smerdołę, nie wiem. Wrzucimy go tam na razie, a potem się pomyśli. Szybko. Zaraz cię ocknie.

- To naprawdę złamazia? Jak Landreau? I twój wujek Theo?

- A jak myślisz, staruszk? Przytrzymaj mu głowę, bo się będzie objąć po schodach. Mówię ci, zaraz się ocknie, a jak znowu zacznie, możesz nie mieć tyle szczęścia. Ja też. Złamazia jest silna.

Scott wykonuje polecenie. W Ameryce lat sześćdziesiątych człowiek wkrótce stanie na Księżycu, ale tu mają do czynienia z chłopcem, który w ułamku chwili zmienił się w drapieżcę. Ojciec z prostotą godzi się z tym faktem. Po pierwszym szoku jego syn także. Kiedy docierają do końca schodów, Paul zaczyna się ruszać i wydawać gardłowe dźwięki. Iskierka Landon bierze go za szyję i zaczyna dusić. Scott krzyczy ze zgrozą, usiłuje rozgiąć jego rękę.

- Tatusiu, nie!

Iskierka Landon odrywa jedną rękę i z roztargnieniem wymierza młodszemu synowi trzepnięcie wierzchem dłoni. Scott zatacza się do tyłu, wpada na stół na środku zagraconego pomieszczenia. Na stole znajduje się starożytna ręczna maszyna drukarska, którą Paul jakimś

cudem wskrzesił. Wydrukował na niej parę opowiadań Scotta; to pierwsze publikacje młodszego z braci. Dźwignia tego ważącego ćwierć tony olbrzymia boleśnie wbija się w plecy Scotta, który osuwa się na ziemię, skrzywiony, i widzi, że ojciec dusi Paula.

- Tatusiu, nie zamorduj go! Nie zamorduj go!

- Nie zamorduję - odpowiada Landon, nie oglądając się. - Powinienem, ale nie. Jeszcze nie. Idiota ze mnie, ale to mój synek, mój cholerny pierworodny i nie zabiję, dopóki nie będę musiał. A boję się, że będę. Słodka matko McRea! Ale jeszcze nie. Nie, do sukindziada. Robię to tylko, żeby się nie ocknął. Jeszcze nie widział nic takiego, ale ja tak. Miałem szczęście, że byłem za nim. Tutaj mógłbym go gonić dwie godziny i go nie złapać. Gładziutko biegałby po ścianach i suficie, sukindziad. A potem, jakbym się zmęczył...

Landon cofa rękę z krtani Paula i spogląda przenikliwie w jego nadal białą twarz. Ta cienka strużka krwi z ucha syna przestała cieknąć.

- No. I jak ci się to podoba, ty żeszkocie, ty skurkocie? Znowu zemdłał. Ale nie na długo. Przynieś ten sznur spode schodów. To na razie wystarczy, dopóki nie przydygujemy jakiego łańcucha z szopy. A potem nie wiem. Potem zależy.

- Od czego, tatusiu?

Strach. Czy kiedykolwiek był bardziej przerażony? Nie. A ojciec patrzy na niego tak, że czuje strach jeszcze większy. Bo w tym wzroku jest świadomość.

- No, chyba od ciebie, staruszku. Przy tobie wiele razy mu się polepszało... i co robisz takie krowie oczy? Myślisz, że nie wiedziałem? Iijezusie, jak na takiego mądrego chłopca strasznieś głupi! - Odwraca głowę i spluwa na klepisko. - Przy tobie wyzdrowiał z wielu spraw. Może wyzdrowieje i z tej. Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś wyzdrowiał ze złamazi... nie z prawdziwej... ale nigdy nie słyszałem o kimś takim, jak ty, więc może to potrafisz. Staraj się, aż ci poliki popękają, jak powiedziałby mój staruszek. Ale na razie tylko przynieś ten sznur spode schodów. I galopem, ty mała ślamanogo, bo się

- Bo się już rusza - powiedziała Lisey, leżąc na perłowym dywanie w pracowni zmarłego męża. - Bo się

## 12

- Już rusza - mówi Lisey, siedząc na zimnej podłodze pokoju gościnnego, trzymając męża za rękę - rękę ciepłą, lecz przerażająco wiotką i woskową. - A Scott powiedział

## 13

*Argumenty przeciwko szaleństwu przebijają się z cichym świstem;*

*to martwe głosy na martwych nagraniach*

*dryfujących po złamanym promieniu pamięci*

*gdy się odwracam spytać, czy pamiętasz*

*gdy się odwracam do ciebie w naszym łóżku.*

## 14

W łóżku, gdzie o tym usłyszała, w łóżku w „Porożu” po dniu, w którym wydarzyło się coś, czego absolutnie nie potrafi wytłumaczyć. On opowiada, gdy chmury rzedną, a księżyc zbliża się jak obwieszczenie, a meble wynurzają się na powierzchnię widzialności. Ona tuli go w ciemnościach i słucha, nie chcąc wierzyć (behradnie wierząc), a młodzieniec, który wkrótce będzie jej mężem, mówi:

- Tatuś kazał mi przynieść ten sznur spode schodów. I galopem, ty ślamanego sukinstuku - mówi - bo zaraz się obudzi. A jak przyjdzie do siebie

- ...Jak przyjdzie do siebie, to będzie z niego brzydki gad.

Brzydki gad. Jak „Scooter staruszek” i złamazia, brzydki gad to prywatny idiom rodzinny, który będzie nawiedzać jego sny (i mowę) do końca płodnego, lecz zbyt krótkiego życia.

Scott przynosi zwój liny spod schodów i podaje tatusiowi. Tatuś pęta Paula szybkimi, ekonomicznymi ruchami, a jego cień płoży się i odwraca na kamiennych ścianach piwnicy w świetle trzech siedemdziesięciopięciowatowych żarówek, które włącza się przyciskiem na górze schodów. Wiąże Paulowi ręce na plecach, tak ściśle, że jego łopatki napinają koszulę. Scott musi znowu przemówić, choć tak się boi ojca.

- Tatusiu, za mocno!

Tatuś rzuca mu spojrzenie. Przelotne, ale Scott widzi jego strach. I to go przeraża. A co więcej, przejmuje podziwem. Aż do dziś by powiedział, że tatuś jest niebojący niczego, tylko Rady Szkolnej i cholernych Poleconych Listów od niej.

- Nic nie wiesz, więc się zamknij! Nie chcę, żeby się zerwał! Może by nas nie pozabijał, ale ja bym z pewnością musiał zabić jego. Wiem, co robię!

Nie wiesz, myśli Scott, przyglądając się, jak tatuś najpierw wiąże nogi Paula w kolanach, potem w kostkach. Paul już się zaczął poruszać i wydawać gardłowe dźwięki. Tylko zgadujesz. Ale czuje, że tatuś kocha Paula naprawdę. Może to brzydka miłość, ale prawdziwa i mocna. Gdyby nie, tatuś wcale by nie zgadł. Tylko by tłukł Paula tym kawałem drewna aż na śmierć. Przez chwilę coś w głowie Scotta (coś chłodnego) zastanawia się, czy tatuś podjąłby takie samo ryzyko, gdyby chodziło o niego, Scootera staruszka, który nie ośmielił się nawet zeskoczyć z półtorametrowej ławy, dopóki nie zobaczył pociętego i broczącego krwią brata, a potem strzepuje tę myśl w ciemność. To nie on dostał złamazi.

Przynajmniej chwilowo.

Tatuś kończy, przywiązawszy sznur w pasie Paula do jednego z tych stalowych malowanych słupów, które podtrzymują sufit piwnicy.

- No - mówi odstępując o krok i dysząc, jakby właśnie złapał na lasso byczka na rodeo. - To

go na jakiś czas zatrzyma. Leć no do szopy, Scott. Przynieść ten lekki łańcuch, co leży za drzwiami, i wielki łańcuch na opony, ten z zagrodki po lewej, gdzie są części do furgonetki. Wiesz, gdzie?

Paul zwisał na linie, oplątującej mu pierś. Teraz prostuje się tak nagle, że z mdłym rozmachem uderza głową w słup. Scott aż się krzywi. Paul spogląda na niego oczami, które jeszcze godzinę temu były błękitne. Szczerzy zęby, a kąciki ust rozchylają się mu o wiele szerzej, niż powinny... wydaje się, że prawie do uszu.

- Scott - mówi ojciec.

Raz w życiu Scott nie zwraca na niego uwagi. Jest zafascynowany tą halloweenową maską, która była twarzą jego brata. Język Paula pląsa między rozchylonymi zębami i migocze w wilgotnym powietrzu. A jednocześnie jego krocze ciemnieje od si...

Palnięcie w głowę rzuca Scotta w tył, znowu na ten stół z maszyną drukarską.

- Nie patrz na niego, śmęgoło, patrz na mnie! Ten brzydki gad zahipnotyzuje cię jak wąż ptaka! Lepiej się obudź, Scooter - to już nie twój brat.

Scott wytrzeszcza oczy na ojca. Za nimi, jakby na potwierdzenie, stworzenie przywiązane do słupa wydaje ryk o wiele za głośny na ludzką kłatkę piersiową. I to się zgadza, bo to nieludzki głos.

- ...leć no po te łańcuchy, Scott, po oba. Ale z kopyta! Te sznury go nie utrzymają. Ja idę na górę po strzelbę. Jak się zerwie, zanim wrócisz z tymi łańcuchami...

- Tatusiu, nie zastrzelaj go! Nie zastrzelaj Paula!

- Przynieś łańcuchy. Wtedy się okaże.

- Ten na opony jest za długi! Za ciężki!

- To taczkę weź, śmęgoło. Tę wielką. No jazda, no z kopyta.

Scott raz ogląda się za siebie i widzi, jak ojciec wycofuje się w stronę schodów. Robi to powoli, jak treser lwów opuszczający klatkę po skończonym numerze. Za nim, w jaskrawym blasku zwisającej żarówki, jest Paul. Łomocze potylicą w słup, tak gwałtownie, że Scott myśli o młocie. A jednocześnie rzuca się na boki. Scott nie wierzy własnym oczom: Paul nie krwawi, nie traci przytomności, nic. I okazuje się, że ojciec miał rację. Te liny go nie utrzymają. Jeśli będzie

się tak rzucać, to nie.

Nie zdoła, mówi sobie w duchu Scott, kiedy ojciec idzie w jedną stronę (po strzelbę z szafy) a on w drugą (z kopyta). On się zabije, jak tak dalej będzie robić! Ale potem przypomina mu się ryk, który wydarł się z piersi brata - nieprawdopodobny ryk drapieżnika - i właściwie sam sobie nie wierzy.

Biegając bez płaszcza po chłodzie, myśli, że może nawet wie, co się stało Paulowi. Jest takie miejsce, gdzie mógł iść, kiedy tatuś go krzywdził, i gdzie zabierał Paula, kiedy tatuś krzywdził Paula. Tak, wiele razy. Są w tym miejscu fajne rzeczy, piękne drzewa i lecznicza woda, ale są też złe rzeczy. Scott stara się nie chodzić tam w nocy, a kiedy chodzi, zachowuje ciszę i wraca szybko, bo silna intuicja dziecięcego serca podpowiada mu, że w nocy na ogół wychodzą złe istoty. Noc jest ich porą łowów.

Jeśli on mógł tam pójść, czy tak trudno uwierzyć, że coś - jakieś złamażne coś - mogło wejść w Paula i przywędrować tutaj? Coś, co go widziało i sobie upatrzyło, albo po prostu głupi zarazek, który wlaź mu do nosa i dotarł aż do mózgu?

A jeśli tak, to czyja to wina? Kto tam zabrał Paula?

W szopie Scott wrzuca lekki łańcuch do taczki. Łatwe, trwa parę sekund. Przyniesienie łańcucha na opony jest o wiele trudniejsze. Ten łańcuch jest bombastrasznie ogeeeromny, przez cały czas gada w szczękającym języku, pełnym stalowych samogłosek. Ciężkie zwoje dwa razy wyslizgują się z dygoczących ramion, za drugim razem kalecząc i rozrywając mu skórę, aż krew zakwita czerwonymi pączkami. Za trzecim razem prawie udaje mu się go wrzucić do taczki, ale piętnastokilowe narzędzie ogniw łąduje krzywo, na krawędzi taczki i wszystko wytacza się na stopy Scotta, zasypuje je metalem i wydiera mu idealnie sopranowy pisk, jak chórzyscie.

- Scooter, przyjdiesz tu przed końcem świata? - ryczy tatuś z domu. - Jak idziesz, to się lepiej zwijaj, skurwykocie!

Scott się ogląda, oczy ma wielkie z przerażenia, po czym znowu pochyla się nad wielką tłustą masą łańcucha. Na nodze pozostaną siniaki jeszcze przez miesiąc, a ból będzie odczuwać w niej do końca życia (to jeden problem, którego podróże w tamto miejsce nie potrafią uleczyć), ale teraz nie czuje nic. Znowu zaczyna ładować łańcuch na taczkę, gorący pot spływa mu po bokach i plecach, śmierdzi okropnie. Wie, że jeśli usłyszy strzał, to będzie znaczyć, że mózg Paula

rozprysnął się na podłodze piwnicy, i to przez niego. Czas staje się namacalny, ciężki, jak ziemia. Jak łańcuch. Scott spodziewa się, że tatuś znowu wrzaśnie na niego z domu, a kiedy kuśtyka z taczka w stronę żółtego blasku kuchennych okien i nadal nie słyszy wrzasku, zaczyna się bać, ale inaczej: że Paul jednak się zerwał. Że na tym przasnianym śmierdzącym klepisku leży nie mózg Paula, tylko walają się flaki tatusia, wyrwane z żywego brzucha przez bestię, która jeszcze tego popołudnia była bratem Scotta. Paul jest na górze, kryje się w domu, i jak tylko Scott wejdzie, rozpocznie się poszukiwanie bafa. Ale tym razem to on będzie nagrodą.

Wszystko to oczywiście robota wyobraźni, tej przeklętej wyobraźni, która pędzi jak spłoszony dziki koń, ale kiedy ojciec wyskakuje na ganek, wyobraźnia działała już tyle, że Scott przez chwilę widzi nie Andrew Landona, ale Paula, wyszczerzonego jak goblin, i krzyczy. Osłania twarz rękami i taczka omal znowu się nie wywraca. Wywróciłaby się, gdyby nie tatuś, który podbiegł i przytrzymał. Już podnosi rękę, żeby trzepnąć syna, ale niemal natychmiast ją opuszcza. Trzepnąć - można, ale nie teraz. Teraz go potrzebuje. Więc zamiast bić, tatuś tylko spluwa w prawą dłoń i rozciera lewą. Potem się pochyła, niepomny na chłód, stojąc na ganku w podkoszulku, i chwyta taczki z przodu.

- Podniosę je, Scooter. Ty trzymaj za rączki i kieruj, i nie daj kotowi się przewrócić. Znowu go zdziesiąłem, musiałem, ale niedługo będzie kimać. Jeśli rozsypimy te łańcuchy, on tej nocy nie przeżyje. Nie mogę mu pozwolić. Rozumiesz?

Scott rozumie, że życie jego brata jedzie w tej chwili na solidnie przeciążonej taczce z łańcuchem, ważącej pewnie trzy razy tyle, ile on. Przez jeden dziki moment poważnie rozważa, czy po prostu nie uciec w tę wietrzną ciemność, i to jak najszybciej. Potem chwyta taczkę. Nie wie, że oczy ronią łzy. Kiwa głową tatusiowi, a tatuś kiwa jemu. Między nimi gra toczy się o śmierć i życie.

- Na trzy. Raz... dwa... teraz prosto, ty małe kurwiszczenię... trzy!

Iskierka Landon wydzwiguje taczkę z ziemi na ganek z krzykiem wysiłku, który bucha w powietrze białym kłębem pary. Podkoszulek pęka mu pod pachą i na zewnątrz się wychyla kępka niesfornych pomarańczowych włosów. Kiedy przeładowana taczka jest już w powietrzu, chybocze się w lewo, potem w prawo, chłopiec myśli: stój, ty matkosmerdne kurwiszczenie. Wyrównuje każde wahnięcie, krzyczy na samego siebie, żeby nie za mocno, nie przedobrzyć, ty głupi kocie, głupi kurwiszczenny złamażny kocie. I to się udaje, ale Iskierka Landon nie traci

czasu na gratulacje. Iskierka Landon zmierza w głąb domu, ciągnie za sobą taczkę. Scott utyka za nim na puchnącej nodze.

W kuchni tatuś zawraca taczkę i pcha ją prosto do drzwi piwnicy, które zamknął i zarygłował. Kółeczka wygniatają szlak w rozsypanym cukrze. Scott nigdy tego nie zapomni.

- Otwórz drzwi, staruszk.

- Tatusiu, a jak on... tam jest?

- To go zdieję na prawą burtę tym czymś. Jak chcesz się przyłożyć, żeby go ocalić, to przestań się wydurniać i otwieraj te sukinkocie drzwi!

Scott odsuwa rygiel i otwiera drzwi. Paula tam nie ma. Scott widzi wzdęty cień Paula, nadal przywiązanego do słupa, i coś, co się w nim napięło, teraz trochę się rozluźnia.

- Odsuń się, synu.

Scott jest posłuszny. Ojciec pcha taczkę aż do szczytu schodów. Potem ze stęknieniem podnosi ją i jedną nogą blokuje kółka. Łańcuch spada na schody z potężnym jazgotliwym brzękiem, robi pęknięcie w dwóch stopniach i spada aż na sam dół. Tatuś odstawia taczkę na bok i rusza w dół, aż do łańcucha znieruchomiałego w połowie drogi. Dalej kopie go przed sobą. Scott idzie za nim i właśnie staje na pierwszym pękniętym schodku, kiedy widzi bezwładnie zwisającego Paula, którego lewa strona twarzy jest zakrwawiona. Kącik jego ust drga. Jeden ząb leży na ramieniu koszuli.

- Coś ty mu zrobił? - Scott niemal krzyczy.

- Trzasłem go deską, musiałem - odpowiada ojciec dziwnie obronnym tonem. - Ocykał się, a tyś się ciągle opierniczał w szopie. Nic mu nie będzie. Jak są złamażne, trudno im zrobić krzywdę.

Scott prawie go nie słyszy. Na widok zakrwawionego Paula zapomniał, co się wydarzyło w kuchni. Usiłuje ominąć tatusia i podbiec do brata, ale tatuś go przytrzymuje.

- Nie, chyba że życie ci niemiłe - mówi Iskierka Landon, a Scott nieruchomieje nie dlatego, że ojciec trzyma go za ramię, ale z powodu tej strasznej czułości w głosie ojca - On cię wyczuje, kiedy podejdziesz blisko. Nawet nieprzytomny. Wyczuje cię i się ocknie.

Młodszy syn patrzy na niego i kiwa głową.



- A jak. Teraz jest jak dziki zwierz. Ludożer. I jeśli nie obmyślimy, jak by go przytrzymać, musimy go zabić. Rozumiesz?

Scott kiwa głową i wydaje jeden głośny szloch, całkiem jak rzenie osła. Tatuś, z tą samą straszną czułością, wyciera mu palcem gluta z nosa i strzepuje na podłogę.

- To przestań się mazepić i pomóż mi przy tych łańcuchach. Przyda się ten centralny słup i stół. Ta cholerna maszyna waży ze sto kila.

- A jeśli to go nie utrzyma?

Iskierka Landon powoli kręci głową.

- To już nie wiem.

## 16

Leżąc w łóżku z żoną, nasłuchując, jak „Poroże” skrzypi na wicherze, Scott mówi:

- Utrzymał. Przynajmniej przez trzy tygodnie. Tam Paul spędził swoje ostatnie Boże Narodzenie, swój ostatni Nowy Rok, ostatnie trzy tygodnie życia - w tej śmierdzącej piwnicy. - Powoli kręci głową. Lisey czuje muskanie jego włosów, czuje jakie są wilgotne. Od potu. Pot jest też na jego twarzy, tak wymieszany ze łzami, że nie wiadomo, co jest co.

- Nie potrafisz sobie wyobrazić, jakie były te trzy tygodnie, zwłaszcza kiedy tatuś szedł do roboty i zostawaliśmy tylko my dwaj, ono i ja...

- Twój ojciec szedł do pracy?

- Z czegoś trzeba było żyć, no nie? I musieliśmy zapłacić za gaz, bo nie mogliśmy ogrzewać całego domu drewnem, choć Bóg mi świadkiem, że się staraliśmy. Przede wszystkim nie mogliśmy budzić podejrzeń. Tatuś mi wszystko wyjaśnił.

A jakże, myśli Lisey ponuro, ale milczy.

- Mówiłem tatusiowi, że może by go pociąć i wypuścić truciznę jak zawsze, ale tatuś powiedział, że to na darmo, cięcie nie pomoże ni dudu, bo złamazia zalała mu mózg. I miał rację. Chociaż to stworzenie potrafiło myśleć, tak trochę. Kiedy tatuś wychodził, wołało mnie po

imieniu. Mówiło, że zrobiło bafa, dobrego bafa, a na końcu jest batonik i cola. Czasami nawet miało taki głos, jak Paul, tak że podchodziłem do drzwi piwnicy, przykładalem do nich ucho i słuchałem, choć wiedziałem, że to niebezpieczne. Tatuś tak powiedział, powiedział, żeby nie słuchać i zawsze trzymać się z dala od piwnicy, kiedy jestem sam, i żeby wsadzić palce w uszy i głośno się modlić, albo wrzeszczeć „Smerdolsyn, smerdol się ty matkosmerdku, smerdolę ciebie i twojego konia”, bo czy to, czy modlitwa, na jedno wychodzi, a przynajmniej go zagłuszy, ale żeby go nie słuchać, bo powiedział, że Paul odszedł, i tam w piwnicy jest tylko bafodiabeł z Krainy Krwawych Bafów, i powiedział „Diabeł potrafi fascynować, nikt nie wie lepiej od Landonów, jak bardzo potrafi fascynować diabeł. I od Landreau przed nimi. Najpierw fascynuje umysł, potem wypija serce”. Na ogół byłem posłuszny, ale czasami podchodziłem i słuchałem... i wyobrażałem sobie, że to Paul... bo go kochałem i chciałem, żeby wrócił, nie że naprawdę wierzyłem... i nigdy nie odciągnąłem zasuw...

Tu zapada długie milczenie. Jego ciężkie włosy nieustannie osuwają się na jej szyję i pierś, i w końcu Scott odzywa się cichym, opornym głosem dziecka:

- No, może raz... ale drzwi nie otwarłem... nie otwarłem tych drzwi, dopóki tatusia nie było w domu, a kiedy tatuś był, to tamten tylko wrzeszczał i brzęczał łańcuchami, a czasami hukął jak sowa. A wtedy tatuś czasem odhukiwał... to było jakby żart, wiesz, że tak do siebie hukają... Tatuś w kuchni, a ten... wiesz... przykuty w piwnicy... i bałem się, choć wiedziałem, że to żart, bo oni jakby obaj oszaleli... oszaleli i gadali do siebie jak zimowe sowy... i myślałem: Został tylko jeden, czyli ja. Jedyny, który nie dostał złamazi i jeszcze nawet nie ma jedenastu lat, i co by sobie pomyśleli, jakbym poszedł do Muliego i wszystko powiedział? Ale z tego myślenia o Muliem nic dobrego by nie wyszło, bo on by za mną ruszył i mnie sprowadził. A jakby nie... jakby mi uwierzyli i poszli ze mną do domu, to by zabili mojego brata... jeśli tam gdzieś jeszcze był mój brat... a mnie zabrali... i wsadzili do Domu Sierocego, gdzie ściskają siusiaka klamerką do bielizny, jeśli się zmoczy łóżko... a duzi chłopcy... trzeba im robić laskę przez całą noc...

Urywa, zdyszany, pochwycony pomiędzy kiedyś i teraz. Na dworze wicher wyje, a budynek jęczy. Lisey chce uwierzyć, że to, o czym Scott opowiada, to zmyślenie, jakieś niesamowite halucynacje dziecka - ale wie, że to prawda. Każde straszne słowo. Kiedy Scott znowu zaczyna opowiadać, słysząc, że stara się odzyskać swój dorosły głos, dorosłego siebie.

- Są ludzie w szpitalach psychiatrycznych, często tacy po katastrofalnych urazach przedniego

płata mózgu, którzy się cofają do poziomu zwierzęcia. Czytałem o tym. Taki proces zwykle trwa latami. W wypadku mojego brata stało się to nagle. A jak już się stało, jak już przekroczył tę granicę...

Scott przełyka ślinę. Z gardła wydobywa się pstryknięcie, jakby ktoś włączył światło.

- Kiedy schodziłem do piwnicy z jego żarciem - mięso i warzywa na talerzu do ciasta, jakby się karmiło wielkiego psa, na przykład doga albo owczarka niemieckiego - on biegł aż na koniec łańcucha, który przykuwał go do słupa, tego na szyi i tego wokół pasa, ślina ciekła mu kącikami ust, a potem łańcuch go przytrzymał, a on się wspinał, wyjąc i szczekając jak bafodiabeł, ale takim zduszonym głosem, wiesz?

- Wiem - mówi ona słabo.

- Trzeba było postawić talerz na podłodze... jeszcze pamiętam smród tego prząsnego klepiska, kiedy się pochylałem, nigdy go nie zapomnę... i pchnąć go w jego stronę. Mieliśmy do tego specjalny pogrzebacz. Nie wolno było się zbliżać. Mógłby skaleczyć człowieka, albo go złapać. Tatuś nie musiał mi tłumaczyć, że gdyby mnie złapał, to by mnie pożarł, ile by zdołał, żywcem. I to był ten sam brat, który mi robił bafy. Ten, który mnie kochał. Bez niego nigdy bym nie wytrzymał. Bez niego tatuś by mnie zabił, zanim bym dożył piątych urodzin, nie że był zły, ale że miał własną złamazię. Ja i Paul dokonaliśmy tego razem. Kumpelski system. Wiesz?

Lisey kiwa głową. Wie.

- Ale w styczniu mój kumpel został przykuty w piwnicy - łańcuchami na krzyż, do słupa i do stołu z maszyną drukarską - i można było zmierzyć, jak daleko sięga jego świat, tym łukiem... łukiem jego gówien... kiedy szedł na koniec łańcucha... i kucał... i srał.

Na chwilę przyciska oczy dłońmi. Na szyi nabrzmiewają mu ścięgna. Oddycha przez usta - długie, chrapliwe oddechy. Lisey nie musi go pytać, gdzie się nauczył wyciszania swojej rozpaczy, to już wie. Kiedy znowu się uspokaja, pyta go:

- Jak twój ojciec w ogóle go zakuł? Pamiętasz?

- Pamiętam wszystko, Lisey, ale to nie znaczy, że wiem wszystko. Pół tuzina razy przyprawiał jedzenie Paula czymś, tego jestem pewien. Chyba to był jakiś środek nasenny dla zwierząt, ale nie mam pojęcia, skąd go wziął. Paul pożerał wszystko, co dostał, z wyjątkiem zieleniny, i na ogół jedzenie dodawało mu sit. Skakał, szczekał i skowytał, szarpał za łańcuchy -

chyba chciał je zerwać - albo podskakiwał i walił pięściami w sufit, aż kostki mu krwawiły. Pewnie usiłował się zerwać, albo tak się cieszył. Czasami leżał na podłodze i się masturbował.

Ale raz na jakiś czas bywał aktywny przez dziesięć, piętnaście minut, a potem ustawał. Wtedy tatuś musiał mu coś podać. Przykuczał, mamrocząc, potem przewracał się na bok, kładł ręce między nogi i zasypiał. Za pierwszym razem tatuś założył mu takie dwa skórzane pasy, które sam zrobił, choć pewnie ten na szyi można było nazwać obrozą, nie? Miały z tyłu wielkie metalowe zapięcia. Tata przewlekł przez nie łańcuchy, ten od opon przez ramię w pasie, ten lżejszy przez obrozę. Potem małą spawalnicą zaspawał zapięcia. I tak Paul znalazł się w pułapce. Kiedy się ocknął, strasznie się wściekł. Omal domu nie rozwalił. - Ten nosowy akcent z prowincjonalnej Pensylwanii znowu zakradł się do jego głosu i nadał mu niemal niemieckie brzmienie. - Staliśmy na górze schodów, patrzyliśmy na niego, a ja błagałem tatusia, żeby go wypuścił, zanim skręci sobie kark albo się udusi, ale tatuś, tatuś pedział się nie udusi i tatuś miał rację. A potem po trzech tygodniach zaczął szarpać za stół i nawet słup - ten stalowy, centralny, który trzymał podłogę w kuchni - ale karku nie złamał i siebie nie udusił.

Innym razem tatuś go usypiał, żeby sprawdzić, czy mogę go zabrać na Księżyc Boo'ya - mówiłem ci, żeśmy go tak z Paulem nazwali, to inne miejsce?

- Tak, Scott. - Teraz i ona płakała. Zostawiła lzy, niech spływają, nie chciała, żeby zauważył jak wyciera oczy, żeby zobaczył, jak użala się nad tym chłopcem z wiejskiego domu.

- Tatuś chciał zobaczyć, czy go mogę zabrać i wyleczyć, jak wtedy co tatuś go ciął, albo jak tatuś go dziabł w oko szczypcami i oko trochę wyszło, a Paul płakał i płakał, bo nie widział, albo jak tatuś krzyczał na mnie i mówił „Staruszk, ty małe kurwiszczenię, ty kotobójczy kocie!” za to, że chodziłem po błocie i pchnął mnie i tak sobie złamałem kość ogonową, że nie mogłem chodzić. Ale jak poszłem i miałem bafa... no wiesz, nagrodę... moja kość w ogonie znowu się zrosła. - Kiwa głową na jej ramieniu. - A tatuś to widział i dał mi całusa i powiedział: „Scott, jesteś jeden na milion. Kocham cię, ty mały skurwykocie”. I ja go pocałowałem i powiedziałem: „Tatusiu, to ty jesteś jeden na milion. Kocham cię, ty duży skurwykocie”. A on się śmiał.

Scott odsuwa się od niej i nawet w mroku widać, że jego twarz stała się buzią dziecka. I widać na niej przeogromne zdumienie.

- Śmiał się tak, że mało z krzesła nie spadł... Rozśmieszyłem mego ojca!

Lisey ma tysiąc pytań i nie ośmiela się zadać żadnego. Nie wie, czy może.

Scott zasłania twarz ręką, rozciera ją. Znowu na nią patrzy. Wrócił. Tak po prostu.

- Chryste, Lisey - mówi. - Nigdy o tym nie mówiłem, z nikim. Przeżyłaś to?

- Tak, Scott.

- Więc cholernie dzielna z ciebie kobieta. Czy już zaczęłaś sobie mówić, że to bzdury? - Trochę się uśmiecha. To niepewny uśmiech, ale szczery, i jej serce tak topnieje, że musi go ucałować: najpierw jeden kącik, potem drugi, dla równowagi.

- O, starałam się - mówi. - Na nic.

- Bo bamnęliśmy spod drzewa mniam-mniam?

- Tak to nazywasz?

- Tak Paul nazwał szybką podróż. Szybka podróż stąd dotąd. To bam.

- Jak baf, tylko z m.

- Zgadza się. Albo jak baj. Baj to baf, tylko z j.

## 17

*Zależy chyba od ciebie, staruszk.*

To słowa ojca. Trwają przy nim i nie odchodzą.

Zależy od ciebie.

Ale on ma dopiero dziesięć lat i odpowiedzialność za życie i zdrowe zmysły brata - może nawet jego duszę - ciąży mu, odbiera sen, kiedy Boże Narodzenie, a potem i Nowy Rok mijają i zaczyna się zimny, śnieżny styczeń.

*Przy tobie wydobrzał z wielu spraw.*

To prawda, ale nigdy z czegoś takiego i Scott nagle nie może jeść, chyba że tatuś stoi nad nim i wmusza w niego każdy kęs. Najcichszy, najbardziej zduszony krzyk stworzenia z piwnicy rozdziera jego lichego sen, ale to nawet dobrze, bo przeważnie miewa jaskrawe, malowane

czerwienią koszmary. W wielu znajduje się sam na Księżycu Boo'ya po zmroku, czasami na pewnym cmentarzu przy pewnym stawie, wśród zarośniętych kamiennych nagrobków i drewnianych krzyży, słucha rechotu śmiaczy i czuje, że niegdyś słodki wietrzyk nabiera brudnej woni, kiedy przeczesuje zarośla. Można przychodzić na Księżyc Boo'ya po zmroku, ale to niedobry pomysł, i jak się tam znajdziesz, kiedy księżyc całkiem wzejdzie, to lepiej cicho siedź. Cicho, ty słodki maryju. Ale w koszmarach Scott zawsze o tym zapomina i przeraża sam siebie, śpiewając „Jambalaya” na całe gardło.

*Może wydobrzeje i z tej.*

Ale za pierwszym razem Scott próbuje i przekonuje się, że to chyba niemożliwe. Wie to w chwili, kiedy niepewnie, niechętnie obejmuje chrapiące, śmierdzące, obesrane stworzenie, skulone pod metalowym słupem. Równie dobrze mógłby sobie przypiąć do pleców fortepian i zatańczyć z nim cza-czę. Przedtem razem z Paulem przechodził bez trudu do tego innego świata (który tak naprawdę jest tym światem, tylko wywróconym jak kieszeń, powie później Lisey). Ale stworzenie chrapiące w piwnicy jest kotwicą, sejfem... fortepianem, przypasanym do pleców dziesięciolatka.

Wraca do taty, pewnie mu się oberwie, ale trudno. Czuje, że zasługuje na bicie. Może nawet coś gorszego. Ale tatuś, który siedział u stóp schodów z polanem w ręce i przyglądał się wszystkiemu, nie bije go ani kijem, ani pięścią. Natomiast odgarnia brudne, zlepione włosy Scotta z jego karku i składa na nim pocałunek z czułością, od którego chłopczyk dygocze.

- Wcalem się nie zdziwił. Złamazia lubi być tam, gdzie jest.

- Tatusiu, czy Paul tam jeszcze jest?

- Nie wiem. - Wziął go między rozchylone kolana, tak że chłopiec ma po obu stronach zielone spodnie. Ręce tatusia są złączone luźno wokół Scotta, a jego broda opiera się na ramieniu syna. Obaj spoglądają na stworzenie śpiące nad słupem. Spoglądają na łańcuchy. Na łuk gówień, oznaczający granice jego piwnicznego świata. - Co sądzisz, Scott? Jak czujesz?

Scott się zastanawia, czyby taty nie okłamać, ale tylko przez chwilę. Nie mógłby, kiedy tatuś go obejmuje, nie teraz, kiedy czuje miłość tatusia emitowaną tak wyraźnie, jak fale radiowe w nocy. Miłość tatusia jest dokładnie tak szczerą, jak jego gniew i szaleństwo, choć rzadziej się objawia i jeszcze rzadziej jest okazywana. Scott nic nie czuje i mówi to niechętnie.

- Braciszku, tak nie można.

- Dlaczego? Przynajmniej je...

- Szybciej czy później ktoś przyjdzie i go usłyszy. Jakiś smerdolony komiwojażer, jeden parszywy posłaniec, to wszystko.

- On będzie cicho. Złamazia mu każe.

- Może tak, może nie. Nie wiadomo, co zrobi złamazia. No i ten smród. Mogę tu rozlewać wybielacz, aż mi uszami wyjdzie, ale ten smród przebija się przez podłogę w kuchni. Ale przede wszystkim... Scooter, nie widzisz, co on robi z tym sukindrańskim stołem z maszyną? I ze słupem? Sukinkocim słupem?

Scott spogląda. Początkowo w ogóle nie może uwierzyć własnym oczom, no i oczywiście nie chce uwierzyć własnym oczom. Ten wielki stół, razem z ćwierćtonową maszyną drukarską Stratton, został przesunięty co najmniej półtora metra od pierwotnej pozycji. Widać kwadratowe odciski w klepisku. Jeszcze gorzej jest ze stalowym słupem, który kończy się płaską metalową kryzą. Pomalowana na biało kryza wpiera się w belkę, biegnącą dokładnie pod kuchennym stołem. Scot widzi wytatuowany na kryzie ciemny kąt prosty i wie, że tam spoczywała belka. Mierzy słup wzrokiem, stara się obliczyć... Nie, jeszcze nie. Ale jeśli ten stwór dalej będzie szarpać z tą nieludzką siłą... dzień po dniu...

- Tatusiu, mogę spróbować jeszcze raz?

Tatuś wzdycha. Scott odwraca się, żeby spojrzeć w tę znenawidzoną, przerażającą, kochaną twarz.

- Tatusiu?

- Próbuj, aż ci poliki trzasną - mówi tatuś. - Próbuj i powodzenia.

Cisza w pracowni nad stodołą, gdzie był gorąc, ona była ranna, a jej mąż był nieboszczykiem.

Cisza w pokoju godzinnym, gdzie jest zimno, a jej mąż znikł.

Cisza w sypialni w „Porożu”, gdzie leżą obok siebie, Scott i Lisey, we dwóch trzymamy się my dwaj.

Potem żyjący Scott przemawia w imieniu tego, który w roku 2006 nie żyje, a w 1996 znikł, i argumenty przeciwko szaleństwu nie tylko się przebijają, lecz kompletnie padają: wszystko to samo.

## 19

Za oknem w „Porożu” wicher wieje, a chmury się rozpraszają. Scott robi pauzę na tyle długą, by się napić wody; szklanka zawsze stoi przy jego łóżku. To przerywa hipnotyczną regresję, która ponownie chwyciła go w szpony. Kiedy znowu zaczyna mówić, tym razem opowiada, nie przeżywa, a dla Lisey to ogromna ulga.

- Ciągnąłem go tam jeszcze dwa razy - mówił. Ciągnąłem, nie ciągiem. - Myślałem, że tym ostatnim razem go zabiłem. Aż do dziś tak myślałem, ale mówienie o tym - słuchanie, jak o tym mówię - pomogło mi bardziej, niż sądziłem. Psychoanaliza ma chyba coś wspólnego z tym wypróbowanym leczeniem mówieniem, co?

- Nie wiem. - I jej to nie obchodzi. - Czy ojciec miał ci za złe? - A myślała: oczywiście, że tak.

Ale znowu nie doceniła stopnia komplikacji tego trójkąta, który przez jakiś czas istniał na samotnej farmie pod Martensburgiem w stanie Pensylwania. Bo, po chwili wahania, Scott kręci głową.

- Nie. Może byłoby lepiej, gdyby mnie objął - tak, jak za pierwszym razem - i powiedział, że to nie moja wina, niczyja, że to złamazia, tak jak rak, porażenie mózgowe czy coś w tym stylu, no ale nie. Zgarnął mnie jedną ręką... zwiśałem jak marionetka z poprzecinanymi linkami... a potem... - W rozjaśniającym się mroku Scott jednym straszonym gestem wyjaśnia całe swoje milczenie o przeszłości. Przez chwilę przykładą palec do ust - biały wykrzyknik pod ogromnymi oczami - i tam go trzyma: ćśśśś.



Lisey myśli o tym, jak Jodi zaszła w ciążę i wyjechała, i kiwa głową ze zrozumieniem. Scott patrzy na nią z wdzięcznością.

- W sumie trzy próby - podejmuje. - Druga tylko trzy czy cztery dni po pierwszej. Strasznie się starałem, ale wyszła jak poprzednio. Wtedy widać już było, że ten słup się przekrzywił, i pojawił się drugi łuk górien, szerszy, bo trochę przesunął stół i ten łańcuch mu się poluzował. Tatuś nawet się bał, że mógłby przegryźć nogę stołu, choć też były metalowe.

- Po drugiej próbie powiedziałem tatusiowi, że prawie na pewno wiem, co jest nie tak. Nie mogłem tego - nie mogłem go zanieść - bo zawsze był nieprzytomny. A tatuś powiedział: „To co zamierzasz, Scooter, chcesz go chwycić, jak jest przytomny i szaleje? Łeb ci odkąsi”. Powiedziałem, że wiem. Wiedziałem nawet więcej - wiedziałem, że jeśli nie odkąsi mi łba w piwnicy, to po drugiej stronie, na Księżycu Boo’ya - na pewno. Więc spytałem tatusia, czy można go tylko trochę ogłupić - żeby był ospały. Na tyle, żebym mógł podejść i tak go objąć, jak ciebie dzisiaj, pod drzewem mniam-mniam.

- O, Scott... - mówi Lisey. Boi się o tego dziesięciolatka, choć wie, że musiał z tego wyjść cały i zdrowy, przeżył, żeby stworzyć młodzieńca u jej boku.

- Tatuś powiedział, że to niebezpieczne. „Igrasz z ogniem, staruszkę”, powiedział. Wiedziałem, że igram, ale nie było sposobu. Nie mogliśmy go dłużej trzymać w piwnicy, nawet ja to rozumiałem. I wtedy tatuś tak jakby wzburzył mi włosy i powiedział: „Co się stało z tym małym smarkiem, co się bojał zeskoczyć z ławy?”. Zdziwiłem się, że pamiętał, bo był tak głęboko w złamazi, i poczułem się dumny.

Lisey myśli, jak potworne musiało być to życie, skoro zadowolenie takiego człowieka budziło dumę w dziecku, i przypomina sobie, że Scott miał tylko dziesięć lat. Dziesięć i przez większość czasu był sam z potworem w piwnicy. Ojciec także był potworem, ale przynajmniej czasami myślącym racjonalnie. Potworem zdolnym do wydzielenia okazjonalnego całusa.

- Potem... - Scot patrzy w mrok. Na chwilę wyłania się księżyc. Przejeżdża jasną i żartobliwą łapką po jego twarzy i znowu chowa się w chmury. Scott podejmuje opowiadanie i znowu ma głos jak dziecko. - Tatuś... widzisz, tatuś nigdy nie pytał, co tam widziałem albo dokąd szłem, albo co robiłem, jak tam byłem, i pewnie nigdy nie pytał Paula... nie wiem, czy Paul nawet coś pamiętał... ale wtedy był blisko. Powiedział: „A jeśli go tak weźmiesz. Co się stanie, jak się obudzi? Nagle mu się polepszy? Bo jak nie, to nie będę ci mógł pomóc”. Ale ja już o tym

pomyślałem, wiesz? Myślałem i myślałem, że ledwie mi głowa nie pękła. - Scott podnosi się na łokciu i spogląda na nią. - Wiedziałem, że to trzeba skończyć, może nawet lepiej od tatusia. Z powodu słupa. I stołu. Ale także dlatego, że chudł i dostawał krost na twarzy, bo nie jadł jak należy... dawaliśmy mu zieleninę, ale wyrzucał wszystko z wyjątkiem kartofli i cybuli, a jedno oko - to, co tatuś mu skaleczył - zrobiło się całe mlecznobiałe. No i zęby mu wypadały, i jeden łokieć się zrobił cały koślawy. On się rozpadał, Lisey, od tego że tam siedział, i że nie miał słońca, i że nie jadł jak trzeba. Rozumiesz? Lisey kiwa głową.

- Więc wpadłem na taki pomysł i z nim go opowiedział tatusiowi. A on pedział: „Myślisz, że jesteś taki cholernie mądry słodki maryj jak na dziesięć lat, co?”. A ja powiedziałem, że nie, nie jestem mądry prawie wcale, a jeśli on zna inny sposób, bezpieczniejszy i lepszy, to w porządku. Ale on nie znał. Powiedział: „Bo ja myślę, że jesteś cholernie mądry słodki maryj jak na dziesięć lat, wiedz o tym. I okazało się, że jednak masz charakter. Chyba, że się wycofasz”.

- Nie wycofam się - powiedziałem. A on na to:

- Nie musisz, Scooter, bo będę stał tuż przy schodach z tą strzelbą

## 20

Tatuś stoi przy schodach, trzyma strzelbę na jelenie. Scott jest obok niego, spogląda na stworzenie przykute do metalowego słupa i stołu z maszyną drukarską, drży, ale stara się opanować. W prawej kieszeni ma przyrząd, który dał mu tatuś, strzykawkę z plastikowym kapturkiem na igle. Komora strzykawki także jest plastikowa, ale Scott i bez tatusia wie, że to kruchy przyrządzik. Jeśli rozpęta się walka, może się złamać. Tatuś zaproponował, że włoży ją do małego kartonowego pudełka, w którym kiedyś było wieczne pióro, ale wyjmowanie strzykawki z pudełka potrwałoby parę sekund - co najmniej - a to może stanowić kwestię życia lub śmierci, jeśli uda mu się zawlec przykute stworzenie na Księżyc Boo'ya. Na Księżycu Boo'ya nie będzie tatusia ze strzelbą na jelenie. Na Księżycu Boo'ya będzie tylko on i stwór, który wśliznął się w Paula jak ręka w ukradzioną rękawiczkę. Tylko oni dwaj na szczycie Kochanego Wzgórza.

Stworzenie, które było jego bratem, leży rozwalone, grzbietem oparte o słup, z rozrzuconymi nogami. Jest nagi, tylko w podkoszulku Paula. Nogi i stopy ma brudne. Boki pokrywa mu

zaskorupiałe gównu. Talerz na ciasto, wylizany do czysta, leży przy jednej upačkanej ręce. Ekstra wielki hamburger, który na nim był, zniknął w gardle paulostwora w parę sekund, ale Andrew Landon pracował nad tym daniem niemal pół godziny. Pierwszą wersję wyrzucił w mrok nocy, uznawszy, że nafaszerował porcję zbyt dużą ilością „koku”. „Koks” to białe pigułki, bardzo podobne do proszków od bólu głowy, które czasami bierze tatuś. Kiedy Scott spytał, skąd tatuś je wziął, tatuś odpowiedział: „Zamknij tę ciekawską jadaczkę, pytku, bo sam ci ją zamknę”, a kiedy tatuś tak mówi, to jeśli się ma trochę rozumu, trzeba zrozumieć aluzję. Tatuś rozgniół pigułki dnem szklanki. Pracując mówił, może do siebie, może do Scotta, a przykute stworzenie wyło monotonnie o kolację. „Łatwo byłoby go uspić”, mówiąc to, tatuś wodzi wzrokiem od kopczyka białego proszku do mielonego mięsa. „Jeszcze łatwiej zabić utrapionego skurczykota, co? Ale nie, ja tak nie chcę, chcę tylko, żeby zabił tego, który jeszcze jest zdrowy, co za debil ze mnie. No to skurczyć i smerdolić, Bóg nienawidzi tchórzy”. Z zadziwiającą delikatnością małym palcem kreśli kreskę w pyłe. Bierze odrobinę, sypie na mięso jak sól, ugniata, potem bierze znowu i znowu ugniata. Nie bawi się w, jak to mówi, „hał te kuzyne”, kiedy idzie o stwora z dołu, twierdzi, że chętnie by pożarł obiad na surowo - jeszcze ciepły, dygoczący na kości.

A teraz Scott stoi u boku swego tatusia, ze strzykawką w kieszeni, przygląda się niebezpiecznemu stworowi, który obwisł przy słupie i chrapie z uniesioną górną wargą. Z kącików ust spływa mu ślina. Oczy ma przymknięte, nie widać tęczywek, tylko lśniąca, śliska białka... ale białka nie są już białe, myśli.

- No to idź, cholera by cię - mówi tatuś i grzmoci go w ramię. - Jak masz iść, to idź, zanim wyjdę z nerw albo szlag mnie tu trafi... czy myślisz, że się zgrywa... Tylko udaje?

Scott kręci głową. Stworzenie nie próbuje ich oszukać, poczułby to - a potem spogląda na ojca pytająco.

- Co? - pyta tatuś z rozdrażnieniem. - Co ci tam kica pod tymi smerdolonymi włosami?

- Tatusiu, ty naprawdę?

- Naprawdę się boję? To chcesz wiedzieć?

Scott kiwa głową, nagle onieśmielony.

- Jasne, jak skurwysyn. Myślisz, że jesteś jedyny? A teraz zamknij się i zrób to, jak musisz. Skończmy z tym.

Scott nigdy nie zrozumiał, dlaczego przyznanie się ojca do strachu dodało mu odwagi, ale dodało. Idzie do słupa. Po drodze dotyka przez spodnie strzykawki. Dociera do zewnętrznego łuku gówień i przekracza go. Następny krok i już jest w wewnętrznym kręgu, można powiedzieć: w legowisku stwora. Smród staje się intensywny; to nie odór łajna czy nawet włosów i skóry, ale futra i szczeciny. Stworzenie ma penis o wiele większy od tego, który miał Paul. Lędźwie Paula, porośnięte brzoskwiniowym puszkami, porosły twardą szczecią włosów łonowych, a stopy (tylko nogi Paula wyglądają tak samo) są dziwnie wykrzywione do środka, jakby kostki mu się spaczyły. Jak deski zostawione na deszczu, myśli Scott; nie jest to zupełny nonsens.

Potem jego spojrzenie wraca do twarzy stwora - do jego oczu. Powieki nadal opadają i ciągle nie widać tęczy, tylko krwawe białka. Oddech także się nie zmienił; brudne ręce leżą bezwładnie, wnętrzem dłoni do góry, jakby w geście poddania. A jednak Scott wie, że wszedł na pole minowe. Teraz musi zapomnieć o wahaniu. To stworzenie go wyczuje i lada chwila się ocknie. Tak będzie, pomimo „koku”, którym tatuś naszpikował hamburger, więc skoro ma to zrobić, skoro ma zabrać stworzenie, które ukradło mu brata...

Rusza naprzód, idzie na nogach, których prawie nie czuje. Jakaś część jego umysłu jest przeświadczona, że idzie na śmierć. Nie zdoła nawet bamnąć, jak tylko ten paulostwór go chwyci. Mimo to wchodzi w jego zasięg, w najintymniejsze stężenie tego dzikiego smrodu i kładzie ręce na tych nagich, lepkich bokach. Myśli

*(Paul chodź ze mną)*

i

*(Baf Boo'ya Księżyc Boo'ya słodka woda staw)*

i przez jeden rozdzierający moment niemal się staje. Pojawia się to znajome poczucie uciekania, pojawia się brzęczenie owadów i rozkoszna dzienna woń drzew na Kochanym Wzgórzu. Potem stworzenie zaciska szponiaste ręce na szyi Scotta. Otwiera pysk, rykiem i podmuchem gnijącego oddechu wypłasza zapachy i dźwięki Księżycy Boo'ya. Scott czuje się, jakby ktoś rzucił płonącym głazem w delikatną, wykształcającą się siatkę... czego? To nie umysł przenosi go w tamto drugie miejsce, nie całkiem umysł... ale nie ma czasu się zastanawiać, bo stwór go chwytą, chwycił go. Stało się to, czego bał się tatuś. Paszcza stworzenia rozdziawia się w jakiś koszmarny sposób, zaprzeczający normalności, powstaje ogromny

*(potwór)*

otwór, żuchwa opada po mostek, brudna twarz traci wszelkie podobieństwo do Paula - i człowieka. To złamazia bez maski. Scott ma jeszcze czas pomyśleć: jednym kęsem oderwie mi głowę, jak lizaka. Gigantyczna paszcza rozwiera się, czerwone oczy iskrzą w nagim blasku żarówek, a Scott odchodzi na tamten świat, ale nie ten, na który chciał. Stwór cofa łeb tak, że wali nim o słup, i rzuca się naprzód.

Ale Scott znowu zapomniał o tatusiu. Z mroku wyłania się ręka tatusia, chwytą za włosy paulostwora i jakoś odciąga ten łeb. Potem pojawia się druga ręka, kciuk obejmuje kolbę w najwęższym miejscu, palec wskazujący ściska spust. Tatuś wbija łufę broni pod uniesioną brodę stwora.

- Tatusiu, nie! - piszczy Scott.

Andrew Landon nie zwraca na niego uwagi, nie może sobie na to pozwolić. Chwytał stwora garścią za włosy, ale ten i tak się wrywa. Teraz ryczy, i ten ryk upiornie przypomina jedno słowo.

Na przykład „tatusiu”.

- Przywitaj się z piekłem, ty złamażny skurwysynu - mówi Iskierka Landon i pociąga za spust. W zamkniętej przestrzeni piwnicy huk jest ogłuszający; Scottowi dzwoni w uszach jeszcze przez dwie godziny albo i dłużej. Kudłate włosy stwora furkoczą, jakby nagle powiał wiatr, a na pochyły słup bryzga wielki kleks szkarłatu. Nogi stwora wierzgają, jak na kreskówce i nieruchomieją. Ręce na szyi Scotta zaciskają się przez chwilę, a potem spadają, wierzchem do góry, flap, na klepisko. Tatuś obejmuje Scotta ramieniem i podnosi go.

- Scott, w porządku? Możesz oddychać?

- W porządku, tatusiu. Musiałeś go zabić?

- Zglupiałeś?

Scott zwisa bezwładnie w kręgu ojcowskich ramion, nie mogąc uwierzyć, że się stało, choć wiedział, że tak może być. Wolałby zemdleć. Wolałby - przynajmniej trochę - sam umrzeć.

Tatuś nim potrząsa.

- On chciał cię zabić, tak?

- Ta-ta-tak.

- Masz to jak w banku. Chryste, Scotty, on wydarł własne włosy z korzeniami, żeby się do ciebie dobrać. Żeby ci się dobrać do tego gardła, skurczykocie!

Scott wie, że to prawda, ale wie także coś innego.

- Patrz się, tatusiu, patrz się na niego!

Przez chwilę zwisa jeszcze w kręgu objęć ojca, jak szmaciana lalka albo marionetka z przeciętymi sznurkami, a potem Landon powoli stawia go na klepisko i Scott wie, że ojciec widzi to, co Scott mu chciał pokazać: zwyczajnego chłopca. Niewinnego chłopca, którego obłąkany ojciec i tchórzliwy lizus, młodszy brat, przykuli w piwnicy, a potem głodzili, aż wychudł na patyk i obsypały go wrzody.

Chłopiec, który tak żałośnie walczył o wolność, że zdołał przesunąć stalowy słupek i okrutnie ciężki stół, do których go przykuto. Chłopiec, który przez trzy koszmarnie tygodnie był więźniem, po czym skończył z kulą w głowie.

- Widzę - mówi tatuś i jest tylko jedno bardziej ponure niż jego głos: jego twarz.

- Dlaczego nie wygląda tak, jak przedtem?

- Bo złamazia odeszła, ty przygłabie. - I oto ironia sytuacji, którą potrafi docenić nawet wstrząśnięty dziesięciolatek, przynajmniej tak inteligentny, jak Scott: odkąd Paul leży martwy, przykuty do słupa w piwnicy, z roztrzaskaną czaszką, tatuś wygląda i mówi przytomnie jak nigdy. - I jak ktokolwiek go takim zobaczy, to ja wyląduję albo w więzieniu w Waynesburgu, albo w tym smardolonym szpitalu dla czubków w Reedville. O ile najpierw by mnie nie zlinczowali. Musimy go pochować, choć nie będzie to łatwe, bo ziemia jest twarda.

- Ja go zabiorę, tatusiu - oświadcza Scott.

- Jak go zabierzesz? Nie mogłeś go zabrać, jak żył?

Scott nie zna takich słów, które by wyjaśniły, że to nie będzie nic trudniejszego niż pójście tam w ubraniu, jak zawsze. Ten potworny ciężar, ten ciężar kotwicy, sejfu, zniknął; stworzenie przykute do słupa jest teraz lekkie jak zielone liście, które się zdziera z kolby kukurydzy. Scott mówi po prostu:

- Teraz mogę.

- Jesteś mała chwalinoga i niewiemco - ofukuje go tatuś, ale opiera strzelbę o stół. Przejeżdża ręką po włosach i wzdycha. Scott po raz pierwszy widzi w nim człowieka, który mógłby być stary.

- Dalej, Scott, spróbuj, a co. Nie zaszkodzi.

Ale teraz, gdy nie ma już bezpośredniego zagrożenia, Scott się wstydzi.

- Odwróć się, tatusiu.

- COŚ KURWA POWIEDZIAŁ?

W głosie tatusia brzmi zapowiedź bicia, ale tym razem Scott się nie cofa. Rzecz nie w odchodzeniu, nieważne, czy tatuś to zobaczy. Wstydzi się, że tatuś zobaczy go z martwym bratem w ramionach. Bo się popłacze. Już teraz to czuje, jak nadciąganie deszczu późnym wiosennym popołudniem, po całym dniu rozpalonym i z posmakiem lata.

- Proszę - mówi najbardziej przymilnym tonem. - Tatusiu, proszę. Przez chwilę Scott jest pewien, że ojciec podbiegnie do swego ocalałego syna, za którym na kamiennej ścianie skacze potrójny cień, i zdzieli go - może nawet tak, że aż go rzuci na kolana martwego brata. Tak się zdarzało mnóstwo razy i zazwyczaj Scott kuli się na samą myśl, ale teraz stoi wyprostowany między rozrzuconymi nogami Paula, spogląda w oczy ojca - to trudne, ale daje radę. Bo przetrwali razem to straszne przejście i będą musieli je zachować w tajemnicy na zawsze: ćśśśś. Więc Scott ma prawo prosić i ma prawo patrzeć tatusiowi w oczy, czekając na odpowiedź.

Tatuś nie podchodzi do niego. Nabiera powietrza, wypuszcza i odwraca się.

- Tylko patrzeć, a każesz mi szorować podłogi i sracz - warczy. - Liczę do trzydziestu, staruszku

- Liczę do trzydziestu, potem się znowu odwrócę - opowiada Scott. - Jestem pewien, że tak skończył, ale tego nie usłyszałem, bo wtedy już znikłem z powierzchni ziemi. Paul też, prosto z łańcuchów. Martwego zabrałem bez trudu, może nawet łatwiej. Zakładam się, że tatuś nie skończył liczyć do trzydziestu. Cholera, pewnie nawet nie zaczął, bo usłyszał szczęk metalu i

może nawet cmoknięcie powietrza, wypełniającego miejsce, w którym byliśmy; odwrócił się i zobaczył, że ma całą piwnicę dla siebie. - Scott leży obok niej rozluźniony; pot na jego twarzy, pod pachami, na ciele już wysycha. Opowiedział, wyrzucił z siebie najgorsze, pozbył się tego.

- Ten dźwięk - mówi ona. - To mnie zastanowiło. Czy pod wierzbą było coś słyhać, kiedy... wiesz... wróciliśmy.

- Kiedy bamnęliśmy.

- No tak, kiedy... to.

- Kiedy bamnęliśmy, Lisey. Powiedz.

- Kiedy bamnęliśmy. - Ciekawe, czy już oszalała. Ciekawe, czy on oszalał i czy to zaraźliwe.

Teraz Scott w końcu zapala papierosa, a w płomyku zapalki widać jego autentyczne zaciekawienie.

- Co widziałaś, Lisey? Pamiętasz?

Lisey z powątpiewaniem:

- Masę czegoś fioletowego, na zboczu... i miałam wrażenie cienia, jakby za nami były drzewa, ale wszystko wydarzyło się tak szybko... w sekundę, może dwie...

On się śmieje i obejmuje ją jedną ręką.

- Mówisz o Kochanym Wzgórzu.

- O kochanym...?

- Paul je tak nazwał. Wokół tych drzew jest ziemia - miękka, do głębi, tam chyba nigdy nie ma zimy - i tam go pogrzebałem. Tam pochowałem mojego brata. - Spogląda na nią poważnie i pyta: - Chcesz się tam wybrać?

Lisey zasnęła na podłodze pracowni, pomimo tego bólu...

Nie. Nie zasnęła, bo z takim bólem nie można zasnąć. Bez pomocy medycznej - nigdy. Więc



co się jej przydarzyło?

Trans.

Zważyła to słowo i uznała, że pasuje idealnie. Osunęła się w jakieś podwójne (może potrójne) wspomnienie. Kompletne odzyskanie wspomnień. Ale poza granicami wspomnień o zimnym pokoju gościnnym, gdzie znalazła Scotta w katatonii, i tym gdzie oboje leżą na piętrze w skrzypiącym „Porozu” (te wspomnienia są starsze o siedemnaście lat, ale wyraźniejsze) wszystko jest białą plamą. Chcesz się tam wybrać, Lisey?, spytał Scott - tak, tak - ale to, co było potem, zatoneło w olśniewającym fioletowym świetle, ukryte za tą zasłoną, a kiedy usiłowała wyciągnąć do niej rękę, władcze głosy z dzieciństwa (Dobrej Mamy, Dandy’ego, starszych sióstr) wszczęły alarm. Nie, Lisey! To za daleko! Lisey! Zatrzymaj się!

Oddech uwiązał jej w gardle (czy tak, jak wtedy, gdy leżała z ukochanym?).

Otworzyła oczy (tak szeroko, jak wtedy, kiedy wziął ją w ramiona).

Jasny poranny czerwocoblask - z dwudziestego pierwszego wieku - zastąpił wrzask i blask miliardów łubinowych łodyg. Wraz ze światłem napłynął ból zmasakrowanej piersi. Ale zanim Lisey zdołała zareagować na światło i przerażone głosy, zakazujące jej wstępu dalej, ktoś zawołał do niej z parteru stodoły i wystraszył ją tak, że małowiele, a by krzyknęła. Gdyby głos powiedział „kobito”, to by wrzasnęła.

- Proszę pani? - Krótka pauza. - Jest tam pani?

Ani śladu wsioowego południowego akcentu, tylko rozlazły twarde jankeski, który zmienił słowa w „jееam pani?”, i Lisey zrozumiała, kto tam jееe: zastępca Alston. Powiedział, że będzie zaglądał i zajrzał, zgodnie z umową. Teraz miała okazję mu powiedzieć, że tak, do cholery, jest tam, leży na podłodze i się wykrwawia, bo Czarny Książę Impotebili i ją zaatakował, Alston ma ją zawieźć na sygnale do Świętego Stefana, trzeba jej założyć szwy na pierś, masę szwów, trzeba jej zapewnić ochronę dwadzieścia cztery godziny na dobę...

*Nie, Lisey.*

To jej własny umysł wystrzelił tę myśl (tego była pewna) jak flarę w ciemne niebo (no... prawie pewna), ale wyraził ją głosem Scotta. Jakby w ten sposób mógł zyskać większy posłuch.

I chyba mu się udało, bo krzyknęła tylko:

- Tak, jestem tutaj!

- Wszystko w porzo? To znaczy, w porządku?

- W porzo, tak jest - powiedziała i ze zdumieniem przekonała się, że głos ma jak najbardziej w porzo. Zwłaszcza jak na kobietę w bluzce zwiotczalej od krwi i piersią łomoczącą bólem jak... nie znajdowała porównania. Po prostu bólem.

Z oddali - pewnie z samego dołu schodów, oceniła Lisey - zastępca Alston roześmiał się z ulgą.

- Wstąpiłem w drodze do Cash Corners. Mają mały pożar. - „Maaay”. - Podejrzenie podpalenia. - „Podpaenia”. - Poradzi pani sobie dwie do trzech godzin?

- Jasne.

- Ma pani komórkę?

Miała i wolałaby rozmawiać przez nią. Jeśli dalej tak będzie się wydzierać, pewnie zemdleje.

- Hip hip sto lat! - krzyknęła.

- Taaa? - Lekkie powątpiewanie. Boże, a jeśli tu wejdzie i ją taką zobaczy? Wtedy to dopiero zwątpi na całego, zwątpi do entej potęgi. Ale kiedy znowu się odezwał, głos dobiegał z dalszej dali. - Niech pani dzwoni, jakby co. Zajrzę później. Jeżeli pani wyjdzie, proszę zostawić wiadomość, żebym wiedział, że wszystko gra i kiedy się pani spodziewać, dobrze?

A Lisey, która zaczęła już dostrzegać - mgliście - rysujące się przed nią wypadki dnia, odkrzyknęła:

- Tak jest!

Będzie musiała ruszyć do domu. Ale najpierw, przed wszystkim, picie. Jeśli się nie napije, i to szybko, gardło jej stanie w ogniu jak od podpaenia.

- W drodze powrotnej wstąpię do Patela. Mam coś pani przywieźć?

Tak! Sześciopak lodowatej coli i karton salemów lightów!

- Nie, dziękuję. - Jeśli będzie się rozwodzić dłużej, głos ją wyda. A nawet jeśli nie, zastępca wyczuje, że coś z nią niehalo.

- Pączków też nie? Mają świetne pączki? - Uśmiech w głosie.

- Dieta! - Tylko na tyle się ośmieliła.

- Oho, skąd ja to znam. Miłego dnia!

Błagam, już dosyć, pomyślała i odkrzyknęła:

- I wzajemnie!

Człap-człap-człapu-człap, i odszedł.

Lisey zaczęła na warkot silnika i po chwili wydawało się jej, że go usłyszała, ale bardzo cicho. Pewnie zaparkował przy jej skrzynce pocztowej i całą drogę przebył pieszo.

Przez chwilę leżała bez ruchu, zbierając siły, po czym siadła. Dooley zrobił jej na piersi ukośną ranę, biegnącą ku pasze. Ta poszarpana, chaotyczna wyrwa trochę zesztyniała i scaliła się, ale od ruchu znowu się rozdarła. Ból był straszny. Lisey krzyknęła i od tego zrobiło się jeszcze gorzej. Poczula na klatce piersiowej ciekącą krew. Te ciemne skrzydła znowu zaczęły jej ograniczać pole widzenia; siłą woli je przepłoszyła, powtarzając tę samą mantrę raz za razem, aż świat znowu okrzepł: muszę to skończyć, muszę się dostać za fioletowe, muszę to skończyć, muszę się dostać za fioletowe, muszę to skończyć, muszę się dostać za fioletowe.

Tak, za fioletowe. Na wzgórzu rósł łubin; w jej głowie stał się tą ciężką zasłoną, którą sama zrobiła - może przy pomocy Scotta, na pewno przy jego milczącej zgodzie.

*Już tam byłam.*

Naprawdę? Tak.

*I mogę to powtórzyć. Iść tam albo całkiem zedrzeć draństwo, jeśli będzie trzeba.*

Pytanie: czy rozmawiała ze Scottem o Księżycu Boo'ya po tej nocy w „Porozu”? Nie wydawało jej się. Mieli oczywiście swoje słowa-szyfry, i Bóg jeden wie, że te słowa padały jak pioruny z fioletowego nieba, kiedy nie mogła go znaleźć w centrach handlowych i sklepach spożywczych... nie wspominając już o tym momencie, kiedy pielęgniarka nie znalazła go w smerdolonym szpitalnym łóżku... i była ta wymamrotana aluzja do długaśnika, kiedy leżał na parkingu, bo Gerd Allen Cole go postrzelił... i Kentucky... Bowling Green, gdy leżał i umierał...

Stój, Lisey!, krzyknął chór głosów. Nie wolno, laluniu! Mein gott, ty się nie ważeine!

Usiłowała odsunąć Księżyc Boo'ya, nawet po tej zimie '96, kiedy...

- Kiedy znowu tam poszłam. - Głos miała suchy, ale wyraźny. - W zimie roku 1996 znowu tam poszłam. Poszłam, żeby go sprowadzić.

No i proszę, i świat się nie skończył. Ze ścian nie wyszli mężczyźni w bieli, żeby ją zawieźć do wariatkowa. W gruncie rzeczy nawet poczuła się troszkę lepiej, i zresztą chyba nie trzeba się dziwić. Może kiedy człowiek schodzi do poziomu skóry właściwej, prawda jest bafem i pragnie tylko wyjść na jaw.

- Dobrze, więc wyszła... trochę, to o Paulu... czy teraz mogę się napić tej smerdolonej wody?

Nikt nie protestował, więc podciągnęła się, przytrzymując skraj Dumbo Wielkiego Jumbo. Mroczne skrzydła wróciły, ale pochyliła głowę, żeby do tej żalostnej imitacji mózgu napłynęło jak najwięcej i tym razem osłabienie przeszło szybciej. Wzięła kurs na wnekę z barkiem, wracając po własnych krwawych śladach, powoli stąpając z szeroko rozstawionymi nogami i myśląc, że pewnie wygląda jak staruszka, której ktoś zabrał balkonik.

Dotarła do mety, rzuciła przelotne spojrzenie na szklankę na dywanie. Nie chciała mieć z nią nic wspólnego. Wyjęła z szafki inną, znowu prawą ręką - lewa nadal przyciskała ten zakrwawiony włóczkowy kwadracik - i nabrała zimnej wody. Rury już prawie wcale nie kaszlały. Otworzyła lustrzaną szafkę nad umywalką i znalazła w niej to, na co liczyła: buteleczkę excedryny Scotta. W dodatku bez bezpiecznej zakrętki, która by jej stawiała opór. Skrzywiła się, bo z butelki buchnął octowy zapach, zerknęła na datę ważności: LIP 05. A co tam, pomyślała, jak mus to mus.

- Jak powiedział Szekspir - wychrypiała i przełknęła trzy excedryny. Nie wiedziała, na ile się to przyda, ale woda była boska i napiła się jej aż do skrętu kiszek. Stała, trzymając się umywalki swego zmarłego męża i czekała na koniec bólu. Wreszcie odszedł. Teraz bolała ją już tylko pobita twarz, a rozplątana pierś pulsowała o wiele gwałtowniej. W domu trzymała coś dużo silniejszego od czachotłuków Scotta (choć pewnie nie bardziej przydatnego do spożycia), vicodin z poprzedniej przygody Amandy z samookaleczeniem. Daria też coś miała, a Canty przechowała butelkę percocetu Mandusi-trusi. Wszystkie zgodziły się nawet bez dyskusji, że sama Amanda nie może mieć w domu takiego towaru, mogłaby się poczuć niehalo i wziąć wszystko na raz. Koktajl Tequila Sunset.

Lisey postanowiła, że niedługo spróbuje obrać kurs na dom - i vicodin - ale jeszcze nie. Tym samym ostrożnym krokiem na rozstawionych nogach, z napełnioną do połowy szklanką wody w

jednej, a przesiąkniętym krwią afrykanem w drugiej ręce, podeszła do zakurzonego księgiada i tam usiadła czekając, aż trzy zgrzybiałe exceedryny zrobią coś z jej bólem. A czekając, znowu wróciła myślami do nocy, kiedy znalazła go w pokoju gościnnym - gdzie był, ale znikł.

Ciągle myślałam, że jesteśmy zdani na siebie. Ten wicher, ten smerdolony wicher

## 23

Nasłuchuje tego morderczego wichru, wyjącego wokół domu, nasłuchuje syczących smagnień w szyby i wie, że są zdani na własne siły - że ona jest zdana na własne siły. A nasłuchując, znowu wraca myślami do tej nocy w New Hampshire, gdzie godzina była żadna, a księżyc bawił się w chowanego ze swoim niewiernym światłem. Teraz sobie przypomina, że otworzyła usta by spytać, czy naprawdę Scott to potrafi, naprawdę może ją zabrać, a potem je zamknęła wiedząc, że to będzie takie pytanie, które się zadaje, grając na zwłokę... a czy na zwłokę nie gra się, kiedy jest się w przeciwnej drużynie?

Jesteśmy w tej samej drużynie, przypomina sobie swoją myśl. Jeśli mamy się pobrać, to lepiej w niej bądźmy.

Ale jedno pytanie należało zadać, może dlatego, że ta noc w „Porożu” to był jej skok z ławy.

- A jeśli tam jest noc? Mówiłeś, że w nocy tam się źle dzieje.

Scott się uśmiechnął.

- Nie jest, kochanie.

- Skąd wiesz?

Pokręcił głową, ciągle z uśmiechem.

- Po prostu wiem. Tak jak pies dziecka wie, że pora usiąść przy skrzynce na listy, bo szkolny autobus zaraz przyjedzie. Tam zaraz będzie zachód słońca. Często się to zdarza.

Lisey tego nie zrozumiała, ale nie spytała - jedno pytanie zawsze prowadzi do następnego, tak wynika z jej doświadczenia, a pora pytań się skończyła. Jeśli mam mu zaufać, czas pytań się wypełnił. Więc wzięła głęboki wdech i powiedziała:

- No dobrze. To nasza zaliczka miesiąca miodowego. Zabierz mnie tam, gdzie nie ma New Hampshire. Tym razem chcę się dobrze przyjrzeć.

Zgniół do połowy wypalonego papierosa i ujął ją lekko za ramiona - jak dobrze zapamiętała dotyk jego palców z tamtej nocy.

- Masz od cholery charakteru, laluniu, obwieszczę to wszem i wobec - powiedział rozbawiony. - Trzymaj się i zobaczymy, co będzie.

I zabrał mnie, myśli Lisey, która siedzi w gościnnym pokoju i trzyma chłodną jak wosk rękę oddychającego mężczyzny - kukły w bujaku. Ale czuje na twarzy uśmiech - uśmiechnięta lalunia - i zastanawia się, od kiedy on tam jest. Zabrał mnie, wiedziałam, że to zrobi. Ale minęło siedemnaście lat, wówczas oboje byliśmy młodzi, dzielni, a on był cały tu i teraz, i godny zaufania. Teraz znikł.

Ale jego ciało zostało. Czy to znaczy, że nie potrafi już tam iść fizycznie, tak jak w dzieciństwie? Jak czasami odchodził, odkąd go poznała? Jak znikł ze szpitala w Nashville, na przykład, wtedy gdy pielęgniarka nie mogła go znaleźć?

Wtedy Lisey czuje słaby skurcz jego dłoni w swojej ręce. Jest niemal niewyczuwalny, ale to przecież ukochany mężczyzna, więc to czuje. Jego oczy nadal wpatrują się ponad fałdami żółtego afrykana w ślepe oko telewizora, ale tak, uścisnął jej rękę. To uścisk dalekiego zasięgu, bo dlaczego nie? Scott jest daleko, choć jego ciało tu zostało, a tam, gdzie się znalazł, być może ściska ją z całych sił. Lisey ma nagłe genialne olśnienie: Scott otworzył jej przejście. Bóg jeden wie, ile go to kosztuje ani jak długo je utrzyma, ale tak się stało. Lisey puszcza jego rękę i podnosi się na kolana, nie zwraca uwagi na mrowienie igiełek w nogach, które prawie zdrętwiały, nie zwraca uwagi na kolejny potężny lodowaty podmuch wichru, który telepie domem. Rozplątuje afrykana na tyle, żeby wsunąć ręce pod pachy Scotta, spleść dłonie na jego plecach i przytulić go. Ustawia przejętą twarz w polu jego ślepego wzroku.

- Wciągnij mnie - szepcze do niego i potrząsa jego wiotkim ciałem. - Wciągnij mnie tam, gdzie jesteś.

Nic się nie dzieje, więc zaczyna krzyczeć.

- Ciągnij, cholera! Wciągaj mnie tam, gdzie jesteś, żebyśmy mogła cię sprowadzić do domu! Ale już! JAK CHCESZ WRACAĆ DO DOMU, TO MNIE ZABIERZ TAM, GDZIE JESTEŚ!

- I zabrałeś - wymamrotała. - Zabrałeś, a ja poszłam. Nie mam smerdolonego pojęcia, jak to ma się udać teraz, skoro umarłeś i znikłeś, zamiast być znikiem w gościnnym pokoju, ale o to od początku chodziło, no nie? Tylko o to.

A jednak miała pojęcie, jak to ma się udać. To pojęcie tkwiło głęboko w jej głowie, sam zarys za fioletową zasłoną, ale jednak.

Tymczasem excedryna zabrała się do roboty. Niemrawo, ale może dzięki niej Lisey zdoła zejść na parter, nie mdlejąc po drodze i nie łamiąc sobie karku. Jeżeli się jej uda, dotrze do domu, gdzie ma zakopcowany prawdziwy towar... o ile jeszcze działa. Lepiej, żeby działał, bo miała na dziś zapelniony terminarz spotkań i podróży. W tym paru dalekich podróży.

- Tysiąckilometrowa podróż zaczyna się od jednego kroku, Lisey-san - powiedziała i zostawiła księgada.

Znowu ruszyła tymi powolnymi, człapiącymi krokami, kurs na schody. Zejście zajęło jej prawie trzy minuty, przy każdym schodku przywierała do balustrady i dwa razy robiła postoje, gdy omdlenie było blisko, ale udało się jej bez wpadki, chwilkę posiedziała na przykrytym płachtą łóżkiem Mein Gott, a potem rozpoczęła długą ekspedycję w stronę tylnego wejścia domu.

## XI

### Lisey i staw (ćśśś - teraz musisz być cicho)

#### 1

Największy lęk Lisey - że ten upał późnego poranka ją zmoże i że zemdleje w polowie drogi między stodołą i domem - okazał się przedwczesny. Słońce z nią współpracowało, ukrywając się za chmurą, a chłodny wietrzyk zmaterializował się nagle, żeby przelotnie ochłodzić jej rozpaloną skórę i zgrzaną, spuchniętą twarz. Zanim dotarła do ganku, głębokie rozdarcie piersi znowu tętniło, ale ciemne skrzydła się nie pojawiły. Nastąpił przykry moment, kiedy nie mogła znaleźć klucza do domu, ale w końcu jej gmerające palce natrafiły na łańcuszek - małego srebrnego elfa - pod kłębem chusteczek, które zwykle nosiła w prawej przedniej kieszeni, więc tu było dobrze. A w domu panował chłód. Chłód, cisza i, Bogu dzięki, pustka. Teraz tylko żeby tak zostało, dopóki się sobą nie zajmie. Żadnych telefonów, gości, dwumetrowych zastępców, łomoczących do tylnych drzwi. I, proszę Cię, Boże (bardzo ładnie proszę), żadnych powtórných wizyt Czarnego Księcia Impotibili.

Wyjęła spod zlewu białą plastikową miedniczkę. Pochylenie się sprawiało jej ból, wielki ból, i jeszcze raz poczuła ciepło krwi spływającej po skórze i przemaczającej resztki podartej bluzki.

*Szczytował, kiedy to robił, wiesz o tym, prawda?*

Oczywiście, że wiedziała.

*I wróci. Choćbyś obiecała nie wiadomo co, choćbyś mu dała nie wiadomo co - wróci. O tym także wiesz?*

Tak, o tym też wiedziała.

*Bo dla Jima Dooleya umowa z Woodbodem i teksty Scotta to ding-dong dla frezji. Wiadomo, dlaczego zabrał się za twój cycek, a nie ucho czy palec.*

- Jasne - zapewniła pustą kuchnię - cienistą, a potem nagle rozjaśnioną, gdy słońce wypłynęło zza chmury. - To dla Jima Dooleya odpowiednik świetnego seksu. A w następnej



kolejności będzie moja cipka, jeśli policja go nie powstrzyma.

*Ty go powstrzymasz, Lisey. Ty.*

- Nie bądź głupi, osiołku - powiedziała do pustej kuchni naśladowując Zsa Zsę Gabor najlepiej jak umiała. Znowu prawą ręką otworzyła szafkę nad tosterem, wyjęła pudełko liptona w torebkach i wrzuciła je do białej miednicy. Dodała zakrwawiony kwadracik afrykana z cedrowej skrzynki Dobrej Mamy, choć nie miała najmniejszego pojęcia, po co go przyniosła. Potem ruszyła z wysiłkiem w stronę schodów.

*Co w tym głupiego? Ty powstrzymałaś Blondasa, nie? Może nie tobie za to przypadła chwała, ale to ty zrobiłaś.*

- To co innego. - Stała przed schodami, z białą plastikową miedniczką opartą na biodrze, żeby herbata i afrykan nie wypadły. Schody ciągnęły się ze dwadzieścia kilometrów. Na górze właściwie powinny kłębić się chmury.

*Skoro to co innego, to po co idziesz na górę?*

- Bo tam jest vicodin! - krzyknęła do pustego domu. - Te cholerne piguły na humorek!

Głos powiedział tylko jedno i umilkł.

- ZPINOM, skarbmój ma rację - zgodziła się Lisey. - I tego się trzymajmy.

I ruszyła w długą, powolną wspinaczkę po schodach.

## 2

W połowie drogi wróciły skrzydła, ciemniejsze niż dotąd i przez chwilę Lisey była pewna, że teraz to już zemdleje. Kiedy znowu zaczęła widzieć, powtarzała sobie, że ma upaść do przodu, na schody, nie na wznak w pustkę. Usiadła z miednicą między kolanami i tak znieruchomiła, z nisko opuszczoną głową, aż doliczyła do stu z „Missisipi” między każdą liczbą. Potem wstała i dokończyła wspinaczkę. Na piętrze były przeciągi i zrobiło się nawet chłodniej niż w kuchni, ale Lisey dotarła tam, spływając potem. Pot lał się w bruzdę na piersi i wkrótce nie tylko bolało, ale jeszcze piekło, że oszaleć można. I znowu zachciało się jej pić. Jakby wysechł cały przetyk aż do

żołądka. Temu przynajmniej można było zaradzić, i im szybciej, tym lepiej.

Podczas tego powolnego przejścia zerknęła do gościnnego pokoju. Od roku 1996 został przemeblowany - nawet dwa razy - ale zbyt łatwo było w nim zobaczyć ten czarny bujak z logo Uniwersytetu Maine... i ślepe oko telewizora... i skute mrozem okna, za którymi zmieniały się kolory nieba...

*Zostaw to, laluniu, to przeszłość.*

- To przeszłość, ale nie zamknięta! - krzyknęła z rozdrażnieniem. - W tym problem!

Na to nie było odpowiedzi, ale wreszcie, po długim oczekiwaniu, oto sypialnia i łazienka przy niej - którą Scott, nigdy niewyróżniający się szczególną delikatnością, z upodobaniem nazywał Il Grande Kupatorium. Postawiła miednicę, opróżniła szklanę ze szczoteczkami do zębów (nadal dwie, niestety obie jej) i napełniła ją po brzegi zimną wodą. Wypiła chciwie i dopiero teraz spojrzała na siebie. Przynajmniej na twarz.

Widok nie był zachęcający. Oczy - migotliwe niebieskie szpareczki w ciemnych jamach. Skóra pod nimi nabrała ciemnobrazowego odcienia. Nos przekrzywiony w lewo. Chyba nie był złamany, ale bo to wiadomo? Przynajmniej mogła oddychać. Pod nosem zakrzepł wielki strup, obejmujący usta z obu stron jak groteskowe wąsy doktora Fu Manchu. Patrz, mamó, jestem motocyklistą, usiłowała powiedzieć, ale słowa nie chciały wyjść z gardła. Zresztą i tak do dupy był ten dowcip.

Wargi miała tak opuchnięte, że wywinęły się na zewnątrz, tworząc groteskowo przesadny dziubek typu „całuj, całuj, nie żałuj”.

A ja chciałam w takim stanie pokazać się w Greenlawn, siedzibie sławnego Hugh Albernessa? Naprawdę? Oj nie mogę - tylko by na mnie spojrzał i wezwał karetkę z prawdziwego szpitala, takiego z OIOM-em.

*Wcale tego nie chciałaś. Chciałaś...*

Ale urwała, przypomniawszy sobie powiedzonko Scotta: „Dziewięćdziesiąt osiem procent tego, co się dzieje w głowach ludzi, to nie ich smerdolony interes”. Może i tak, może nie, ale na razie dobrze będzie zabrać się do tego tak, jak do wejścia na schody: ze spuszczoną głową, po jednym schodku.

Miała jeszcze jeden kiepski moment: kiedy nie mogła znaleźć vicodinu. Prawie się poddała - doszła do wniosku, że któraś z trzech dziewczyn do sprzątanía mogła sobie zabrać buteleczkę - kiedy nagle znalazła ją ukrytą za multiwitaminami Scotta. I, cud nad cudami, data przydatności tych skarbeńków upływała właśnie w tym miesiącu.

- Nie marnować, nie pożądać - oznajmiła i łyknęła trzy. Napełniła plastikową miedniczkę ciepłą wodą i wrzuciła do środka garść herbacianych torebek. Przyglądała się przez chwilę, jak przejrzysta woda zabarwia się bursztynem, potem wzruszyła ramionami i wrzuciła resztę torebek. Osiadły na dnie w ciemniejącej wodzie, a ona pomyślała o młodzieńcu, który powiedział: „Trochę piecze, ale działa bardzo bardzo”. To było w innym życiu. Teraz sama o siebie zadba.

Zdjęła czysty ręcznik z pręta przy umywalce, wrzuciła do miednicy i delikatnie wykręciła. Co robisz, Lisey?, spytała samą siebie... ale odpowiedź była oczywista, może nie? Nadal szła po śladach swojego zmarłego męża. Po śladach prowadzących w przeszłość.

Zrzuciła na podłogę w łazience strzępy bluzki i, z grymasem zapowiedzianego cierpienia, przyłożyła ręcznik do piersi. Fakt, bolało, ale w porównaniu z parzącym jak pokrzywa potem, było niemal przyjemnie, w taki piekący, dezynfekujący sposób.

*Działa. Bardzo bardzo działa, Lisey.*

Kiedys w to uwierzyła - załóżmy - ale kiedys miała lat dwadzieścia dwa i była chętna wierzyć w wiele spraw. Teraz wierzyła w Scotta. I Księżyc Boo'ya? Tak, w to pewnie też. Świat, który czekał tuż za drzwiami, za fioletową zasłoną w jej głowie. Pytanie, czy ten świat jest w zasięgu żonki słynnego pisarza, który umarł i ją zostawił.

Wyplukała ręcznik z krwi i herbaty, znowu go zanurzyła, przyłożyła do zranionej piersi. Tym razem piekło mniej. Ale to nie lek, pomyślała. Kolejny kamień milowy na drodze w przeszłość. A głośno powiedziała:

- Kolejny baf.

Delikatnie przyciskając ręcznik do ciała, trzymając zakrwawiony kwadracik afrykana - delikates Dobrej Mamy - w ręce zgiętej pod biustem, powoli ruszyła do sypialni i usiadła na łóżku, spoglądając na srebrną łożatkę z napisem **INAUGURACJA BIBLIOTEKI SHIPMANA**. Tak, naprawdę widziała małe wgłębienie tam, gdzie uderzyła najpierw w broń, a potem twarz Blondasa. Miała łożatkę i choć żółty afrykan, w który Scott owijał się w te zimne noce 1996

roku, od dawna przepadł, nadal miała jego resztkę, ten delikates.

Baf, koniec.

- Chciałabym, żeby to był koniec - powiedziała i położyła się na plecach, z ręcznikiem na piersi. Ból odchodził, ale to vicodin Amandy wkroczył do akcji, wyręczając herbalek Paula i przedatowaną aspirynę Scotta. Kiedy vicodin przestanie działać, ból wróci. Podobnie, jak Jim Dooley, sprawca bólu. Pytanie, co Lisey zrobi w tym czasie? Czy może coś zrobić?

Jednej rzeczy absolutnie ci nie wolno: zasnąć.

Nie, to by było niedobrze.

Lepiej, żebym dziś do ósmej dostał wiadomość od profesora, bo następnym razem będzie dużo bardziej boleć, powiedział Dooley, i tak wszystko urządził, że nie mogła wygrać. Powiedział jej także, żeby sama się sobą zajęła i nikomu nie mówiła, że tu był. Na razie tak postąpiła, ale nie ze strachu, że ją zabije. W pewnym sensie świadomość, że Dooley zamierza ją zabić i tak, dawała jej przewagę. Nie musiała się już zastanawiać, jak go przejednać. Ale gdyby zadzwoniła do szeryfa... no...

- Nie możesz szukać bafa, kiedy w domu będzie się roić od wielkich duppercyków - powiedziała. - Ponadto...

Ponadto uważam, że Scott dalej stawia na swoim. Albo próbuje.

- Kochanie - powiedziała w pustkę. - Gdybym tylko wiedziała, o co chodzi.

### 3

Spojrzała na elektroniczny budzik na nocnym stoliku i z zaskoczeniem przekonała się, że jest dopiero za dwadzieścia jedenasta. Ten dzień miał z tysiąc lat, ale pewnie dlatego, że tak wiele czasu strawiła na przeżywaniu przeszłości od nowa. Wspomnienia zniekształcają perspektywę, a te najbardziej żywe potrafią całkowicie unicestwić czas.

Ale dość tej przeszłości, co się dzieje tu i teraz?

No dobrze, pomyślała, zastanówmy się. W Królestwie Pittsburgha były Król Impotebili

niewątpliwie skręca się ze strachu, który mój zmarły mąż nazywał Syndromem Śmierzącego Jądra. Zastępca Alston w Cash Corners zajmuje się sprawą podpaalenia. Jim Dooley? Może przywarował w lesie nieopodal, struga patyczek moim otwieraczem i czeka, aż dzień przeminie. Jego PT cruiser jest ukryty w którejś z dziesiątków opuszczonych stodół i szop na View, albo w Deep Cut, nieopodal kolejki do Harlow. Daria prawdopodobnie jedzie na lotnisko w Portland, żeby spotkać się z Cauty. Dobra Mama powiedziała, że pojechała z trąbami. A Amanda? O, Amanda znikła, skarbiemój. Tak, jak to przewidział Scott. Że wcześniej lub później. Czy właściwie nie zarezerwował jej smerdolonego pokoju? Bo swój swojego pozna. Jak mówi przysłowie.

A głośno powiedziała:

- Czy mam iść na Księżyc Boo'ya? Czy to jest następna stacja bafa? Tak, prawda? Scott, ty draniu, jak mam to zrobić, skoro nie żyjesz?

*Znowu się trochę zapędziłaś, co?*

Jasne - rozgadała się na temat swojej niemożności dotarcia do miejsca, którego jeszcze nie pozwoliła sobie w pełni przypomnieć.

*Musisz zrobić dużo więcej niż podnieść tę zasłonę i zerknąć pod spód.*

- Muszę ją zerwać - powiedziała ze zgrozą. - Tak?

Brak odpowiedzi. Lisey uznała, że to potwierdzenie. Przewróciła się na bok i ujęła srebrną łopatkę. Napis zamigotał w porannym słońcu. Owinęła stylisko zakrwawionym kwadracikiem afrykana i za nie trzymała.

- No dobrze. Zerwę. Spytał, czy chcę iść i powiedziałam „dobrze”. Powiedziałam „Geronimo”.

Zastanowiła się.

- Nie, nie. Powiedziałam tak, jak on: „Geromino”. I co się stało? Co się wtedy stało?

Zamknęła oczy, zobaczyła także olśniewający fiolet i prawie się popłakała z rozczarowania. Ale pomyślała: ZPINOM, skarbiemój, Zapnij Pasy Ilekroć Nadejdzie Odpowiedni Moment, i mocniej chwyciła rączkę łopatki. Zobaczyła samą siebie, jak robi nią zamach. Zobaczyła jej lśnienie w mglistym sierpniowym słońcu. I fiolet rozstąpił się przed nią, pękł jak skóra pod

nożem, a to, co z niego bluznęło, to nie była krew, lecz blask: zdumiewające pomarańczowe światło, które wypełniło jej serce i głowę straszną mieszanką radości, zgrozy i smutku. Nic dziwnego, że tłumiała to wspomnienie przez tyle lat. Zbyt wiele. O wiele za wiele. To światło miało spłowiwały odcień wieczornej jedwabistej tekstury, a krzyk ptaka utkwiał jej w uchu jak szklana grudka. Powiew wietrzyka wypełnił nozdrza setkami egzotycznych woni: frangipani, bugenwilli, zakurzonych róż i, o dobry Boże, Królowej Jednej Nocy. A najbardziej przeszywające było wspomnienie dotyku jego skóry, tętna jego krwi w kontrapunkcie do jej własnej, bo leżeli nadzy w łóżku w „Porożu”, a teraz klęczeli nadzy w fioletowym łubinie prawie na szczycie wzgórza, nadzy w gęstniejących cieniach kochanych drzew. A nad horyzont wyłaniał się pomarańczowy masyw księżycy, wzdętego i ziejącego chłodem, zaś z drugiej strony zachodziło słońce, wrzące w szkarłatnym ogniu. Lisey pomyślała, że ta mieszanka wściekłego blasku mogłaby ją zabić swoim pięknem.

Leżąc na wdowim łożu, z łopatką ściskaną w rękach, o wiele starsza Lisey zapłakała z radości odzyskanego wspomnienia i rozpaczy, że znikło. Serce jej się zagoiło, choć się znowu złamało. Na szyi nabrzmiały żyły. Opuchnięte wargi zamknęły się i rozchyliły, ukazały zęby, zalały krwią dziąsła. Z kącików oczu potoczyły się łzy, aż na uszy, na których zawisły jak egzotyczna biżuteria. I jedyną wyraźną myślą w jej głowie była ta: O, Scott, nie zostaliśmy stworzeni dla takiego piękna, powinniśmy wtedy umrzeć, o mój drogi, powinniśmy, nadzy, w swoich objęciach, jak kochankowie z powieści.

- Ale nie - mruknęła. - On mnie obejmował i powiedział, że nie możemy tu długo zostać, bo robi się ciemno, a po ciemku nie jest bezpiecznie, nawet kochane drzewa robią się złe. Ale powiedział, że chce mi coś

#### 4

- Chcę ci coś pokazać, zanim wrócimy - mówi Scott i pomaga jej wstać.

- O, Scott. - Lisey słyszy własny głos, bardzo słaby i cichy. - O, Scott.

Tylko tyle może z siebie wydusić. Trochę jej to przypomina chwilę, kiedy poczuła pierwszy zbliżający się orgazm, ale to się ciągnie, ciągnie i ciągnie, i ciągnie, jakby dochodziła, a nie

mogła dojść.

On ją gdzieś prowadzi. Wysoka trawa szeleści o jej uda. Potem znika i Lisey sobie uświadamia, że znaleźli się na wydeptanej ścieżce, biegnącej wśród łąnów łąbinu. Prowadzi w stronę tych drzew, które Scott nazywa kochanymi, Lisey się zastanawia, czy tu są ludzie. Jeśli tak, to jak to wytrzymują? Chce znowu spojrzeć na wschodzący goblinowy księżyc, ale brakuje jej odwagi.

- Pod tymi drzewami bądź cicho - przypomina Scott. - Jeszcze trochę możemy pobyc, ale lepiej uważać niż żałować, tą zasadą zawsze się lepiej kierować, nawet na samym skraju Bajecznego Boru.

Lisey pewnie nie byłaby zdolna do głosu głośniejszego od szeptu, nawet gdyby Scott go od niej wymagał. I tak dobrze, że udało się jej to „O, Scott.”

Scott stoi już pod kochanym drzewem, które wydaje się palmą, ale pień ma włochaty, porośnięty czymś, co wygląda nie jak mech, a zielona sierść.

- Boże, mam nadzieję, że nic się nie przewróciło - mówi Scott. - Ostatnim razem było w porządku, tej nocy, kiedy się tak wściekłaś, a ja wsadziłem rękę w tę głupią szklarnię - a, dobrze, jest! - Ciągnie ją na ścieżkę po prawej. I w pobliżu jednego z dwóch drzew na skraju, które jakby strzegą tej okolicy, gdzie ścieżka wślizguje się w las, Lisey widzi zwyczajny krzyż z dwóch desek. Według niej to zwykłe deski ze skrzynki. Nie ma grobowego kopca - ziemia jest nawet lekko zapadnięta - ale po krzyżu wiadomo, że to grób. Na poziomym ramieniu widnieje starannie wykaligrafowane słowo: PAUL.

- Za pierwszym razem napisałem ołówkiem - mówi Scott. Wyraźnie, ale jakby z daleka. - Potem próbowałem długopisem, oczywiście nie wyszło, nie na takim szorstkim drewnie. Flamaster był lepszy, ale spłowiał. W końcu zrobiłem to czarną farbą, ze szkolnego kompletu Paula.

Lisey przygląda się krzyżowi w tym dziwnym zmieszonym świetle konającego dnia i wschodzącej nocy i myśli (na ile jest zdolna do myślenia): To wszystko prawda. To, co się jakby wydarzyło, kiedy wyszliśmy spod drzewa mniam-mniam, naprawdę się wydarzyło. Teraz też się dzieje, ale dłużej i wyraźniej.

- Lisey! - Scott pęka z radości, a czemu nie, do cholery? Od śmierci Paula nie mógł się

dzielić tym miejscem z nikim. W tych nielicznych przypadkach, kiedy tu przychodził, musiał być sam. Samotnie cierpieć. - To nie wszystko... pokażę ci!

Gdzieś rozlega się dzwonek, bardzo cicho - jakieś znajome to brzmienie.

- Scott?

- Co? - Scott klęczy w trawie. - Co, skarbiemój?

- Słyszałeś...? - Ale już cicho. Pewnie się jej przywidziało. - Nic. Co mi chciałeś pokazać? - A myśli: Jakbyś mi nie dość pokazał.

Scott zamiata rękami w wysokiej trawie u stóp krzyża, ale tam chyba nic nie ma i ten jego głupiutki, słodki uśmiech blednie. - Może coś zabra... - zaczyna i urywa. Jego twarz krzywi się przelotnie, potem się odpręża i wrywa mu się trochę histeryczny śmiech. - Jest, cholera, a już myślałem, że się ukłuję, to byłby numer, no nie - po tylu latach - ale zatyczka dobrze siedzi! Patrz, Lisey!

Nie uwierzyłaby, że coś zdoła odwrócić jej uwagę od tego cudu - od czerwonopomarańczowego nieba na wschodzie i zachodzie, zmieniającego kolor na dziwny zielonkawy błękit nad ich głowami, egzotycznej mieszanki zapachów i, tak, znowu cichego głosu jakiegoś zagubionego dzwonka - ale to, co Scott unosi w górę w ostatnich gasnących promieniach dziennego światła, jednak osiąga ten cel. To strzykawka od ojca, ta sama, która Scott miał dziabnąć Paula, kiedy się tu znajdują. Na metalowej obrączce u podstawy jest parę płatków rdzy, ale poza tym wygląda jak nowa.

- Tylko tyle mi zostało - mówi Scott. - Nawet nie miałem zdjęcia. Dzieci, które chodzą na Oślę Łąkę przynajmniej dostają zdjęcia.

- Wykopałeś ten grób... Scott, własnymi rękami?

- Chciałem. I trochę nawet wygarnąłem - ziemia jest tu miękka - ale ta trawa... szarpanie trawy mnie zmęczyło... odporne zielsko, kurczę... a kiedy zaczęło się robić ciemno i odezwały się śmiacze...

- Śmiacze?

- Jakby hieny, tylko złe. Mieszkają w Bajecznym Borze.

- W Bajecznym Borze? Paul go tak nazwał?



- Nie, ja. - Wskazuje drzewa. - Paul i ja nigdy nie widzieliśmy śmiaczy z bliska, tylko je słyszeliśmy. Ale widzieliśmy inne... ja widziałem... jest takie coś... - Scott ogląda się na gwałtownie ciemniejącą masę kochanych drzew, potem na ścieżkę, która szybko znika w miejscu, gdzie zanurza się w las. Nie ma wątpliwości, że kiedy się znowu odzywa, w jego głosie jest niepokój. - Musimy zaraz wracać.

- Ale nas przeniesiesz, prawda?

- Z twoją pomocą? Jasne.

- Więc powiedz, jak go pochowałeś.

- Mogę ci opowiedzieć, kiedy wrócimy, jeśli...

Ale milknie, widząc, że Lisey powoli kręci głową.

- Nie. Rozumiem, dlaczego nie chcesz mieć dzieci. Już wiem. Jeśli kiedyś do mnie przyjdiesz i powiesz: Lisey, zmieniłem zdanie, chcę spróbować, możemy podyskutować, bo był Paul... i jesteś ty.

- Lisey...

- Wtedy możemy podyskutować. Poza tym nigdy więcej nie będziemy mówić o znikach, złamaniach i tym miejscu, dobrze? - Widzi, jakim wzrokiem na nią patrzy i łagodnieje. - Nie chodzi o ciebie... nie wszystko, rozumiesz. Tu akurat chodzi o mnie. Tak tu pięknie... - Rozgląda się. I dygocze. - Zbyt pięknie. Gdybym za długo tu była... albo nawet zbyt często o tym myślała... to piękno by mnie chyba doprowadziło do szaleństwa. Więc skoro mamy mało czasu, raz w życiu się streszczaj. Opowiedz mi, jak go pochowałeś.

Scott odwraca się lekko od niej. Pomarańczowy blask zachodzącego słońca obrysowuje jego sylwetkę; płaszczyznę łopatki, wcięcie w pasie, obłoczek poślodka, długi płytki łuk uda. Scott dotyka ramienia krzyża. W wysokiej trawie, ledwie widoczna, szklana wypukłość strzykawki migocze jak porzucona błyskotka z tandetnego skarbcza.

- Przykryłem go trawą i wróciłem do domu. Nie mogłem tam wrócić prawie tydzień. Byłem chory. Miałem gorączkę. Tatuś dawał mi rano płatki, a jak wracał z roboty - zupę. Bałem się ducha Paula, ale nigdy nie przyszedł. Potem mi się polepszyło i zem chciał tu przyjść, z łopata tatusia ze szopy, ale nie chciała przeleźć. Tylko ja. Myślałem, że go zjadły zwierzęta - zwierzęta -

śmiacze i inne - ale jeszcze nie, to poszłem do domu i znowu żem chciał tu wrócić, ale z zabawkową łopatką z naszych zabawek na strychu. Łopatka przeszła i nią wykopałem mu grób, Lisey, zabawkową łopatką z czerwonego plastiku, którą się bawiłem w piasku, jak byłem malutki.

Zachodzące słońce gaśnie, różowieje. Lisey chwyta Scotta w objęcia i tuli. On otacza ją ramionami i przez chwilę kryje twarz w jej włosach.

- Jak ty go kochałeś - mówi ona.

- Był moim bratem - odpowiada i to wystarczy.

I gdy stoją tam w gęstniejącym mroku, Lisey dostrzega coś jeszcze, przynajmniej tak sądzi. Kolejny kawał drewna? Tak to wygląda, następna deska ze skrzynki, leżąca tuż obok ścieżki w miejscu, gdzie oddala się ona od lubinowego wzgórza (gdzie kolor lawendowy zmienia się w gęstszy, ciemny fiolet). Nie, nie jedna - dwie.

Czy to drugi krzyż, zastanawia się, tylko się rozpadł?

- Scott? Tam jest pochowany ktoś jeszcze?

- He? - Jest zaskoczony. - Nie! Tam jest cmentarz, jasne, ale nie tutaj, tylko przy... - Dostrzega, na co patrzy Lisey i śmieje się cicho. - O kurczę! To nie krzyż, to znak! Paul zrobił go mniej więcej w okresie pierwszych poszukiwań bafów, kiedy jeszcze sam potrafił tu czasem przychodzić. Zapomniałem o tym starym znaku! - Uwalnia się z jej objęć i zbiega ścieżką pod drzewa. Lisey nie wie, czy to się jej podoba.

- Scott, robi się ciemno. Może już lepiej idźmy?

- Minutka, skarbiemój, tylko minutka. - Bierze deskę i przynosi ją. Lisey widzi litery, ale są blade. Musi podnieść deskę do oczu, żeby odczytać:

NAD STAW

- Staw?

- Staw - potwierdza Scott. - Wiesz, do rymu z „baf”. - I naprawdę się śmieje. Ale wtedy, gdzieś głęboko w lesie, który nazywa Bajecznym Borem (do którego z całą pewnością przyszła już noc) odzywają się pierwsze śmiacze.

Tylko dwa lub trzy, ale te głosy nadal przerażają Lisey bardziej niż cokolwiek. Według niej to wcale nie są hieny, tylko ludzie, szaleńcy wrzuceni w najgłębszą głębię jakiegoś dziewiętnastowiecznego domu wariatów. Chwyta Paula za ramię, wbija mu paznokcie w skórę i mówi głosem, który sama ledwie poznaje, że chce wracać, że ma ją stąd zabrać w tej chwili.

Dzwonek bije cicho i daleko.

- Tak - mówi Scott, rzucając znak w chwasty. Nad nimi mroczny podmuch porusza kochanymi drzewami, potem wzdycha i przywiewa zapach silniejszy niż woń łąbinu - duszący, prawie do mdłości. - Po zmroku tu naprawdę nie jest bezpiecznie. Nad stawem jest, i na plaży... na ławkach... może nawet na cmentarzu, ale...

Kolejne śmiacze dołączają do chóru. Po chwili są ich dziesiątki. Niektóre przebiegają jazgotliwą gamę w górę i wydają kaleczące jak szkło wrzaski, od których Lisey też chce się krzyknąć. Potem znowu gama w dół, czasami aż do bulgotliwych chichotów, które brzmią, jakby wybełtywały się z błota.

- Scott, co to za stworzenia? - szepcze. Księżyc nad jego ramieniem jest nadętym balonem. - Wcale nie jak zwierzęta.

- Nie wiem. Biegają na czworakach, ale czasem... nieważne. Nigdy nie widziałem żadnego z bliska. Ani ja, ani Paul.

- Czasami co?

- Prostują się. Jak ludzie. Rozglądają. Nieważne. Ważne, że trzeba wracać. Chcesz już wracać, tak?

- Tak!

- Więc zamknij oczy i wyobraź sobie nasz pokój w „Porozu”. Zobacz go jak najdokładniej. To mi pomoże. To nam da rozpęd.

Lisey zamyka oczy i przez jedną straszłą sekundę nic się nie dzieje. A potem widzi biurko i nocne szafki po obu stronach łóżka, wyłaniające się z mroku, kiedy księżyc przedziera się przez chmury, a to pociąga za sobą tapetę (pnące róże) i kształt wezłowia łóżka, i ten skrzyp sprężyn przy każdym ruchu, jak z komicznej opery. Nagle przerażające głosy tych śmiejących się stworów w

*(Borze Bajecznym Borze)*

mrocznym lesie jakby się oddalają. Zapachy także się oddalają, i trochę ją smuci, że odchodzą, ale głównie czuje ulgę. W ciele (oczywiście) i głowie (z całą pewnością), ale przede wszystkim w duszy, nieśmiertelnej smerdolonej duszy, bo może ludzie tacy, jak Scott Landon, mogą sobie wędrować ile chcą po takich Księżycach Boo'ya, ale coś tak dziwnego i pięknego nie zostało stworzone dla zwykłych śmiertelników jak ona, chyba że znajdzie się między okładkami książki, albo w bezpiecznej ciemności kina.

A widziałam tylko trochę, myśli.

- Dobrze! - mówi Scott i w jego głosie brzmi ulga i zaskoczony zachwyt. - Lisey, jesteś świetna... - I tak to kończy, ale jeszcze zanim to powiedział, zanim ją puścił, zanim otworzyła oczy, już wiedziała

## 5

- Wiedziała, że jesteśmy w domu - zakończyła i otworzyła oczy. To odzyskane wspomnienie było tak dojmujące, iż przez chwilę spodziewała się, że zobaczy księżycową ciszę pokoju, w którym mieszkali dwa dni w New Hampshire przed dwudziestu siedmiu laty. Ścisnęła rękę srebrowej łąpatki kurczowo, teraz musiała rozginać palce z wysiłkiem, jeden po drugim. Położyła żółty kwadracik delikatesa - z zaskorupiałą krwią, ale kojący - na piersi.

A potem co? Chcesz mi powiedzieć, że później, po tym wszystkim, po prostu obróciliście się na bok i zasnęliście?

W gruncie rzeczy tak to było, no tak. Jej spieszyło się o tym zapomnieć, a Scott pozwolił na to bardziej niż chętnie. Przede wszystkim musiał zebrać całą odwagę, żeby przywołać przeszłość, i nic dziwnego. Ale ona zadała mu tej nocy jeszcze jedno pytanie, pamiętała tak, i omal nie zadała następnego w dniu, gdy wracali do Maine, ale zdała sobie sprawę, że nie musi. Pytanie dotyczyło tego, co zaczął mówić, zanim odezwały się śmiacze, które wypłoszyły z jej głowy ciekawość. Chciała się dowiedzieć, o co mu chodziło, gdy powiedział „kiedy jeszcze sam potrafił tu czasem przychodzić”. Miał na myśli Paula. Zaskoczyła go.

- Od lat o tym nie myślałem - odparł - ale tak, potrafił. Tylko było mu trudno, tak jak mnie było trudno grać w baseball. Więc przeważnie pozwalał, żebym ja to robił, a po jakimś czasie chyba zupełnie stracił ten dryg.

Pytanie, jakie przyszło jej do głowy w samochodzie, miało związek ze stawem, do którego kierunek wskazywał niegdyś połamany znak. Czy właśnie o tym stawie Scott wspomina na wykładach? Nie spytała, bo odpowiedź była jednak oczywista. Słuchacze mogli sądzić, że mityczny staw, językowy staw (do którego wszyscy schodzimy, by pić, pływać, czasem złapać rybkę) to przenośnia; ona była mądrzejsza. To prawdziwy staw. Wiedziała to, bo go widziała. Wiedziała, bo tam była. Dochodziło się do niego ścieżką z Kochanego Wzgórza, tą biegnącą do Bajecznego Boru; trzeba było minąć Dzwonkowe Drzewo i cmentarz.

- Poszłam, żeby go sprowadzić - szepnęła, ściskając łopatkę. - I byliśmy w tym stawie razem, jak na wiejskim baptystycznym chrzcie. - Potem dodała gwałtownie: - O Boże, pamiętam księżyc - i jej skóra zeszywniała w tak bolesnej gęsiej skórce, że chwyciły ją konwulsje.

Księżyc. Tak, to. Cholerny pomarańczowy pijany łeb księżycyca, tak nagle odmienny od tej północnej zorzy i morderczego mrozu, które zostawiła za sobą. Seksowny był, upojony latem był ten księżyc, mrocznie rozkoszny był, oświetlał kamienną rozpadlinę doliny przy stawie lepiej, niż mogła sobie życzyć. Widziała to niemal tak wyraźnie, jak wtedy, bo rozdarła fioletową zasłonę, rozszarpała ją z największym przekonaniem, ale pamięć to tylko pamięć, a Lisey czuła, że wspomnienia zawiodły ją tak daleko, jak tylko się dało. Może jeszcze trochę - kolejna fotka z jej prywatnego księgade - ale niewiele, a potem będzie musiała tam normalnie iść, na Księżyc Boo'ya.

Pytanie tylko, czy potrafi?

Kolejne pytanie brzmiało: A jeśli on się stał jednym z tych w całunach?

Przez chwilę jeden obraz z trudem zbliżył się do powierzchni wspomnień. Zobaczyła dziesiątki milczących postaci, jak zwłoki owinięte w staroświeckie całuny. Tyle, że siedziały. I chyba oddychały.

Przeszedł ją dreszcz. Rozdarta pierś zabolala pomimo całego zatankowanego vicodinu, ale nie mogła powstrzymać dygotu, dopóki nie dotarł do mety. A jak dotarł, znowu była zdolna do praktycznych rozważań. Najważniejsze dotyczyło pytania, czy zdoła o własnych siłach dotrzeć

do tego innego świata... bo musiała, ktokolwiek byłby tam w całunie czy bez.

Scott potrafił to robić sam i potrafił zabierać brata. Jako dorosły zdołał zabrać Lisey z „Poroża”. Zasadnicze pytanie brzmiało: co się wydarzyło siedemnaście lat później, tej zimnej styczniowej nocy w 1996 roku.

- Nie znikł zupełnie - wymamrotała. - Uścisnął moją rękę.

Tak, i przeszło jej przez myśl, że gdzieś tam, gdzie się znalazł, ściska tę rękę z całych sił i serca, ale czy to znaczyło, że to on ją przeprowadził?

- W dodatku na niego nawrzeszczałam. - I tu Lisey naprawdę się uśmiechnęła. - Powiedziałam, że jak chce wracać, to będzie musiał mnie zabrać tam, gdzie jest... i zawsze uważałam, że to on...

Bzdura, laluniu, nigdy o tym nie myślałaś. Może nie? Aż do dziś, kiedy ktoś cię dosłownie zmusił, żebyś się otworzyła. Więc skoro się tak otworzyłaś i myślisz, to naprawdę pomyśl. Czy to on cię tam wciągnął? On?

Omam nie uznała, że to jedno z takich pytań - jak ten numer z kurą i jajkiem - na które nie ma satysfakcjonującej odpowiedzi, ale przypomniała sobie, jak powiedział: Lisey, jesteś świetna!

Więc powiedzmy, że w 1996 jednak zrobiła to sama. No, ale Scott żył, i ten uścisk jego ręki, choć słaby, zasygnalizował jej, że on tam jest, przygotowuje dla niej przejście...

- Ono nadal istnieje - powiedziała. Znowu ściskała rękę łopaty. - Ta droga wciąż tam jest, musi, bo on to wszystko przygotował. Zostawił mi smardolonego bafa, żebym była gotowa. A potem, wczorajszego ranka, w łóżku z Amandą... to byłeś ty, Scott, ja to wiem. Powiedziałeś, że czeka mnie krwawy baf... i nagroda... picie, powiedziałeś... i nazwałeś mnie „skarbiemój”. To gdzie teraz jesteś? Gdzie jesteś, kiedy cię potrzebuję, żebyś mnie przeprowadził?

Żadnej odpowiedzi. Tylko tykanie zegara na ścianie. Zamknij oczy. To on to powiedział. Wyobraź sobie. Najlepiej jak umiesz. To pomoże. Lisey, świetna jesteś.

- Oby - powiedziała w pustym, słonecznym, bezscottnym pokoju. - O, kochanie, oby.

Jeśli Scott Landon miał jakąś fatalną wadę, to mógł nią być nadmiar myśli, ale ona tego problemu nigdy nie miała. Gdyby tego upalnego dnia w Nashville zaczęła się zastanawiać, Scott niemal z całą pewnością by zginął. Po prostu zadziałała i uratowała mu życie tą łopatką, którą

teraz ścisnęła.

*Żem chciał tu przyjść, z łopatką tatusia ze szopy, ale nie chciała przeleźć.*

Czy srebrna łopaska z Nashville przelezie?

Lisey przypuszczała, że tak. I dobrze. Chciała ją mieć przy sobie.

- Przyjaciele po kres - szepnęła i zamknęła oczy.

Wzywała wspomnienia z Księżycy Boo'ya, teraz w rzeczy samej żywe, ale pogłębiającą się koncentrację zakłóciło niepokojące pytanie: kolejna kłopotliwa myśl, która zmusiła ją do zmiany kursu.

Jaka tam jest pora, laluniu? No, nie godzina, nie o to mi chodzi, ale czy jest dzień, czy noc? Scott zawsze to wiedział - tak twierdził - ale ty nie jesteś Scott.

Nie, ale przypomniała sobie jedną z jego ulubionych rockandrollowych piosenek: „Nocna pora to dobra pora”. Na Księżycu Boo'ya nocna pora była złą porą, zapachy stawały się stęchłe, a jedzenie zmieniało się w truciznę. Nocną porą wychodziły śmiacze - stworzenia, które biegają na czworakach, ale czasami prostują się jak ludzie i się rozglądają. I były też inne stwory, gorsze stwory.

Na przykład długiśnik.

Jest bardzo blisko, skarbie. Tak jej powiedział, leżąc pod prażącym słońcem w Nashville, kiedy była przekonana, że on umiera. Słyszę, jak się pożywia. Usiłowała mu wmówić, że nie ma pojęcia, o czym jest mowa; na co ją uszczypnął i powiedział, żeby nie obrażała jego inteligencji. Oraz własnej.

*Bo tam byłam. Bo słyszałam śmiacze i uwierzyłam, kiedy powiedział, że są tam i gorsze stwory. I były. Zobaczyłam tego, o którym mówił. Zobaczyłam go w 1996 roku, kiedy powędrowałam na Księżyc Boo'ya, żeby go sprowadzić do domu. Widziałam tylko bok, ale i tak starczy.*

- Był nieskończony - wymamrotała i z przerażeniem zrozumiała, że naprawdę w to wierzy. Noc 1996 roku. Noc, kiedy przeszła z gościnnego pokoju do drugiego świata Scotta. Poszła tamtą ścieżką, w las, w Bajeczny Bór, i...

W pobliżu silnik ożył z rykiem. Lisey otworzyła oczy i omal nie krzyknęła. Potem znowu się

rozluźniła, etapami. To tylko Herb Galloway, albo może ten chłopak Lutrellów, którego Herb czasami zatrudniał do koszenia trawy. Zupełnie inaczej niż tej przeraźliwie zimnej nocy w styczniu '96, kiedy znalazła Scotta w pokoju gościnnym: był tu i teraz, oddychał, ale pod wszystkimi ważnymi względami znikł.

Pomyślała: Nawet, gdybym potrafiła, tak nie dam rady - ten hałas jest ponad moje siły.

Pomyślała: Ten świat jest ponad nasze siły.

Pomyślała: Kto to napisał? I, co przydarzało jej się tak często, że myśl wróciła jak bolesny, rozpalony do czerwoności piecyk: Scott by wiedział.

Tak, Scott by wiedział. Myślała o nim we wszystkich motelowych pokojach, pochylonym nad przenośną maszyną do pisania (**SCOTT I LISEY, PIERWSZE LATA!**), i później, z łuną laptopa na twarzy. Czasami z papierosem, tłącym się w popielniczce obok, czasami z drinkiem, zawsze z falą włosów opadającą niedbale na czoło. Myślała, jak leżał na niej w łóżku, jak się za nią uganiał po tym okropnym domu w Bremen (**SCOTT I LISEY W NIEMCZECH!**), oboje nadzy, roześmiani, rozpaleni, ale nie szczęśliwi, a ciężarówka i samochody warczały, warczały, warczały na rondzie. Myślała o jego objęciach, o tych wszystkich momentach, kiedy ją obejmował, o jego zapachu, o ściernym zaroście na jego policzku, drapiącym jej twarz, i pomyślała, że sprzedałaby własną duszę, tak jest, własną nieśmiertelną smerdoloną duszę, za to tylko, żeby znowu usłyszeć, jak Scott trzaska drzwiami na dole i wrzeszczy: Hej, Lisey, wróciłem - wszystko to samo?

Cicho i zamknij oczy.

To był jej głos, ale prawie jego, bardzo dobra imitacja, więc zamknęła oczy i poczuła pierwsze ciepłe łzy, niemal kojące. Bardzo wiele nie mówią człowiekowi o śmierci, przekonała się, a jedna z najważniejszych spraw to to, jak długo ukochani umierają w naszych sercach. To tajemnica, pomyślała, i tak powinno być, bo kto by chciał się w ogóle zbliżyć do drugiego człowieka, gdyby wiedział, jaki trudny jest ten etap pożegnalny? W sercu ukochani umierają po trochu, może nie? Jak roślina, kiedy się wyjedzie i zapomni poprosić sąsiadkę, żeby raz na jakiś czas przeleciała się po domu z konewką, i to takie smutne...

Nie chciała myśleć o tym smutku, tak jak nie chciała myśleć o okaleczonej piersi, w którą znowu wwiercał się ból. Jeszcze raz zwróciła myśli do Księżycy Boo'ya. Przypomniała sobie, jak



wybitnie zdumiewająco i cudownie było się przenieść - w jedno króciutkie mgnienie oka - z potwornego mrozu nocy w Maine do tego tropikalnego miejsca. Ta jakoś smutna tekstura powietrza, te jedwabiste aromaty frangipani i bugenwilli. Przypomniała sobie fantastyczne światło zachodzącego słońca i wschodzącego księżyca, i że z oddali dobiegało dzwonienie. To samo dzwonienie.

Zdała sobie sprawę, że warkot kosiarki na trawniku Gallowayów jest obecnie dziwnie odległy. Podobnie jak trąbienie przejeżdżającego motocykla. Coś się działo, była niemal pewna. Sprężyna się naciąga, studnia się napełnia, koło się obraca. Może świat jednak nie jest ponad jej siły.

*Ale jeśli tam przybędziesz i będzie noc? Zakładając, że to, co czujesz, to nie połączenia narkotyku i pragnień, jeśli naprawdę tam dotrzesz i będzie noc, kiedy wychodzą złe stwory. Takie, jak długaśnik?*

*To tu wrócę.*

*Jak zdążysz, chciałaś powiedzieć.*

*Tak, właśnie tak, jak...*

Nagle wstrząs, światło przesiewające się przez powieki jej zamkniętych oczu zmieniło się z czerwieni w przyćmiony fiolet, prawie czern. Jakby spadła roleta. Ale roleta nie dałaby tak wspaniałej mieszanki zapachów, które nagle wypełniły jej nos: tej wonnej mieszanki wszystkich kwiatów. Nie sprowadziłaby trawy, która zakłuła łydki i nagie plecy Lisey.

Udało się jej. Przeszła.

- Nie - powiedziała z nadal zamkniętymi oczami - ale słabo, jakby się krygując.

Już ty dobrze wiesz, Lisey, szepnął głos Scotta. I czasu jest mało. ZPINOM, skarbiemój.

A ponieważ wiedziała, że ten głos ma sto procent racji - czasu w rzeczy samej było mało - otworzyła oczy i usiadła w dziecinnej krainie ucieczki swego utalentowanego męża.

Była na Księżycu Boo'ya.

Nie była to noc ani dzień, co jej nie zdziwiło - kiedy już się tu znalazła. Podczas dwóch poprzednich wypraw przybywała tu tuż przed zmrokiem; czy to takie dziwne, że znowu zapadał?

Słońce, olśniewająca pomarańcza, wisiało nad horyzontem na skraju najwyraźniej nieskończonego pola łubinu. Lisey spojrzała w drugą stronę i ujrzała wschodzący sierp księżyca - o wiele większy niż największy księżyc, jaki w życiu widziała.

To chyba nie nasz księżyc, co? No bo jak?

Wietrzyk wzburzył spocone końce jej włosów, i gdzieś niedaleko zabrzączał dzwonek. Pamiętała ten dźwięk, pamiętała ten dzwonek.

*Lepiej się pospiesz, co?*

O, tak. Nad stawem jest bezpiecznie, przynajmniej tak powiedział Scott, ale ścieżka wiodła przez Bajeczny Bór, gdzie jest niebezpiecznie. Droga była krótka, lecz należało się spieszyć.

Prawie pobiegła wzgórzem do drzew, wypatrując krzyża Paula. Z początku go nie widziała, potem dostrzegła, przechylony w bok. Nie miała czasu go wyprostować... ale i tak wyprostowała, bo Scott by to zrobił. Na chwilę odłożyła srebrną łopatkę (naprawdę przeszła razem z nią, podobnie jak żółty włóczkowy kwadrat), więc mogła pracować obiema rękami. Musiało padać, bo jedno, starannie wypisane słowo - PAUL - rozmyło się niemal w niebyt.

Wydaje mi się, że ostatnim razem też go wyprostowałam w 1996. I myślałam, że będę chciała znaleźć strzykawkę, ale nie było czasu.

Tak, jak teraz. To jej trzecia prawdziwa wizyta na Księżycu Boo'ya. Pierwsza nie była taka zła, bo towarzyszył jej Scott i nie dotarli dalej niż do złamanego drogowaskazu z napisem NAD STAW. Jednak za drugim razem musiała sama ruszyć w Bajeczny Bór. Nie potrafiła sobie przypomnieć, ile odwagi ją to musiało kosztować, kiedy nie wiedziała, czy dotrze do stawu i co tam znajdzie. Ta wyprawa też miała wyjątkowe utrudnienia. Lisey była naga do pasa, paskudnie rozplątana lewa pierś znowu zaczęła pulsować i Bóg jeden wie jakie stworzenie mogło przybyć zwabione zapachem krwi. Ale teraz za późno się tym martwić.

Jeśli coś się na mnie rzuci, pomyślała ujmując łopatkę za krótką drewnianą rączkę, na przykład taki śmiacz, zwyczajnie go podzielę Wypróbowaną Packą na Wariatów Laluni Lisey,

opatentowaną w 1988, wszystkie prawa zastrzeżone.

Gdzieś daleko przed nią znowu zadźwięczał dzwonek. Lisey - bosa, z gołymi piersiami, usmarowana krwią, ubrana tylko w stare dżinsowe szorty i dzierżąca łopatkę ze srebrnym ostrzem - ruszyła ku temu dźwiękowi po gwałtownie ciemniejszej ścieżce. Staw znajdował się przed nią, pewnie nie dalej niż kilometr. Tam jest bezpiecznie nawet po zmroku i będzie mogła zdjąć tę resztkę odzienia i umyć się.

## 7

Pod liściastym sklepieniem szybko zrobiło się ciemno. Lisey nabrała jeszcze większej ochoty, żeby się pospieszyć, ale gdy wiatr znowu poruszył dzwonkiem - bardzo blisko, wiedziała, że dzwonek jest zawieszony na gałęzi na mocnym sznurku - zatrzymała się, uderzona wielopoziomowością tego wspomnienia. Wiedziała, że dzwonek wisi na sznurku, bo go widziała podczas ostatniej wizyty, dziesięć lat temu. Ale Scott zwędził go na długo przedtem, jeszcze przed ich ślubem. Wiedziała, bo usłyszała go w 1979. Już wtedy zabrzmiał znajomo, nieprzyjemnie. Nieprzyjemnie, bo znenawidziła dźwięk tego dzwonka na długo, zanim trafił na Księżyc Boo'ya.

- I powiedziałam mu - wymamrotała, przekładając łopatkę do drugiej ręki, żeby odgarnąć włosy. Żółty kwadracik delikatesa leżał na jej lewym ramieniu. Wokół kochane drzewa szeleściły jakby szeptały. - Niewiele się odezwał, ale chyba wziął to sobie do serca.

Znowu ruszyła. Ścieżka zbiegała w dół, potem wspięła się na szczyt wzgórza, gdzie drzewa rosły trochę rzadziej i przeświecało przez nie silne czerwone światło. Więc to jeszcze nie zachód słońca. Dobrze. A tu zwisa dzwonek, kiwa się z boku na bok tylko na tyle, żeby cichuteńko brzęczeć. Kiedyś, dawno, dawno temu, znajdował się przy kasie „U Pata” w Cleaves Mills. Nie jest to rodzaj dzwonka do uderzania dłonią, taki z dyskretnego hotelowego gatunku, co robi raz ding! i cichnie, ale rodzaj miniaturowego srebrnego szkolnego dzwonka z rączką, wydający dyń-dy-liń tak długo, dopóki komuś się chce nim potrząsać. A Chuckie G., kucharz, który pracował na nocnej zmianie przez cały rok mniej więcej, kiedy Lisey była kelnerką u Pata, miał fioła na punkcie tego dzwonka. Czasami - pamiętała, że o tym opowiedziała Scottowi - słyszała

to wkurzające dyń-dy-liń w snach, jak również ryk z byczej piersi Chuckiego G.: Zamówienie czeka, Lisey! Jazda, gazu! Ludzie są głodni! Tak, w łóżku opowiedziała Scottowi, jak nienawidziła tego wkurzającego dzwoneczka Chuckiego G, to musiało być na wiosnę 1979 roku, bo niedługo potem wkurzający dzwoneczek się zapodział. Nigdy nie skojarzyła tego zniknięcia ze Scottem, nawet kiedy po raz pierwszy usłyszała ten dzwonek tutaj - działo się za dużo, za dużo dziwacznych informacji - a on słowem nie wspomniał. A potem, w 1996, kiedy go szukała, usłyszała zaginiony w akcji dzwoneczek Chuckiego G i tym razem

*(jazda gazu ludzie są głodni zamówienie czeka)*

go rozpoznała. I wszystko się ułożyło w jedną idealną wariacką całość. Scott Landon był przecież gościem, dla którego Śmieszny Sklep w Auburn był najcudniejszym pępkiem wszechświata. Dlaczego nie miałoby go ubawić po pachy świśnięcie dzwonka, który tak wkurzał jego dziewczynę i przyniesienie go na Księżyc Boo'ya? Żeby go powiesić, hip hip sto lat, nad ścieżką, żeby wiatr nim potrząsał?

Poprzednim razem była na nim krew, szepnął niski głos wspomnień. Krew w 1996.

Tak, i przestraszyła się, ale i tak szła dalej... a dziś krwi nie było. Deszcze, które splukały imię Paula z krzyża, umyły do czysta i dzwonek. A mocny sznurek, na którym Scott powiesił go przed dwudziestu siedmiu laty (zawsze zakładała, że czas tutaj biegnie tak samo), niemal całkiem się przetaił. Wkrótce dzwonek spadnie na ziemię. I będzie po kawale.

A przecucie tknęło ją mocno jak jeszcze nigdy w życiu, nie słowami, lecz obrazem. Ujrzała samą siebie, kładącą srebrną łopatkę u stóp Dzwonkowego Drzewa, i zrobiła to bez zatrzymania się, bez pytania. Nie zastanawiała się, dlaczego; łopatką pasowała jak ulał u stóp tego starego, kostropatego drzewa. Srebrny dzwonek u góry, srebrna łopatka na dole. A co do tego, dlaczego jak ulał... mogłaby równie dobrze pytać, dlaczego Księżyc Boo'ya istnieje. Myślała, że łopatka ma służyć do jej ochrony. Najwyraźniej nie. Rzuciła jej ostatnie spojrzenie (na więcej nie miała czasu) i poszła dalej.

Ścieżka zawiodła ją w kolejną część lasu. Tu mocne czerwone światło wieczora przygasło do

pylistego pomarańcza, a gdzieś przed nią w mroczniejszych ostępach obudził się pierwszy śmiacz, ten jego makabrycznie ludzki głos wspinał się po szklanej wariackiej drabinie, aż ręce jej cierpły od gęsiej skórki.

*Spiesz się, skarbiemój.*

- Dobrze, dobrze.

Do pierwszego śmiacza dołączył drugi i choć po jej gołych plecach wędrowały dreszcze, uznała, że wszystko gra. Tuż przed nią ścieżka omijała łukiem potężną szarą skałę, którą bardzo dobrze zapamiętała. Za nią znajdował się głęboki wykrot - o tak, głęboki i bombastraszenie ogeeeromny - oraz staw. I przy stawie będzie bezpiecznie. Nad stawem jest strasznie, ale bezpiecznie. I...

Nagle nabrała upiornej pewności, że coś się za nią skrada, czeka tylko, aż zgasną ostatnie promienie dnia, żeby ruszyć.

Skoczyć.

Z sercem łomoczącym tak mocno, że okaleczona pierś bolała, ominęła wielki szary złom tego wystającego głazu. A za nim był staw, leżał w dole jak ziszczone marzenie. I kiedy spojrzała w to upiornie lśniące zwierciadło, ostatnie wspomnienia wskoczyły na swoje miejsce, a przypomnienie było jak powrót do domu.

## 9

Omija szary głaz i zapomina o dzwonku usmarowanym zaschniętą krwią, którą tak się zaniepokoiła. Zapomina o wyjąym, wietrznym zimnie i olśniewającej zorzy, którą za sobą zostawiła. Przez chwilę zapomina nawet o Scotcie, po którego tu przyszła... z góry zakładając, że będzie chciał wrócić. Spogląda na upiornie lśniące zwierciadło stawu i zapomina o wszystkim. Bo jest piękne. I choć nigdy tu nie była, ma to przedziwne poczucie powrotu do domu. Nie boi się nawet, kiedy to stworzenie zaczyna się śmiać, bo wie, że tu jest bezpiecznie. Nikt nie musi jej tego tłumaczyć; czuje to w kościach, tak jak wie, że Scott od lat opowiada o tym miejscu w swoich wykładach i książkach.

Wie także, że to smutne miejsce.

To staw, do którego wszyscy schodzimy, żeby pić, pływać, łapać rybki przy brzegu; to także staw, gdzie niektóre awanturnicze dusze wyruszają na lichych drewnianych łódeczkach za wielkimi sztukami. To staw życia, źródło wyobraźni, i Lisey przypuszcza, że różni ludzie mają jego różne wersje, ale dwie rzeczy są wspólne: zawsze jest tak z kilometr w głąb Bajecznego Boru i zawsze jest smutny. Bo nie tylko o wyobraźnię tu chodzi. Chodzi także o

*(rezygnację)*

czekanie. Siedzenie... spoglądanie w te senne wody... i czekanie. To się zbliża, myślisz. Wkrótce tu będzie, wiem. Ale nie wiesz dokładnie co, i tak mijają lata.

*Skąd ty to wiesz, Lisey?*

Pewnie księżyc jej powiedział; i ta zorza, która potrafi człowiekowi oczy wypalić swoją zimną urodą; i słodko-duszny zapach róż i frangipani na Kochanym Wzgórzu; ale przede wszystkim powiedziały jej to oczy Scotta, kiedy walczył, żeby się trzymać, trzymać, trzymać. Żeby nie iść ścieżką, prowadzącą w to miejsce.

W głębszych ostępach lasu odzywają się kolejne chichoty i nagle coś ryczy, na chwilę uciszając pozostałe. Za jej plecami dzwoni dzwonek, po czym milknie.

Muszę się spieszyć.

Tak, choć wyczuwa, że pośpiech jest antytezą tego miejsca. Muszą wrócić do domu na Sugar Top jak najszybciej, i nie dlatego, że grożą im dzikie bestie, ogry i trolle, i

*(wurty i widy)*

inne dziwne stworzenia z Bajecznego Boru, gdzie jest zawsze ciemno jak w lochu i nigdy nie ma słońca, ale ponieważ im dłużej Scott tu zostanie, tym mniejsze jest prawdopodobieństwo, że wróci. Ponadto...

Lisey myśli jak to było - patrzeć na księżyc jarzący się jak zimny głaz w nieruchomej powierzchni stawu - i myśli: Mogłabym się zahipnotyzować.

Tak.

Po tej stronie zbiega się stare drewniane schodki. Przy każdym jest kamienny słup z wrytym

słowem. Na Księżycu Boo'ya potrafi je odczytać, ale w domu nic dla niej nie znaczą; nie potrafi też zapamiętać żadnego, z wyjątkiem najprostszego: że ♣♦ oznacza „chleb”.

Schody docierają do pochylej rampy biegnącej w lewo, która ostatecznie kończy się na poziomie ziemi. Tu w blasku szybko gasnącego światła iskrzy się brzeg pełen białego drobnego piasku. Nad plażą, wyłobione w kamiennej ścianie, ciągnie się pewnie ze dwieście długich, półkolistych kamiennych ław zwróconych w stronę stawu. Zmieściłoby się na nich z tysiąc albo nawet dwa tysiące osób, gdyby usiadły ramię w ramię, ale tak nie jest. Lisey myśli, że jest ich w sumie nie więcej niż pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt, a na ogół kryją się w przejrzystych woalach, które wyglądają jak całuny. Ale jeśli są martwi, to jak mogą siedzieć? Czy w ogóle chciałaby się dowiedzieć?

Na plaży stoi może dziesięć innych, z dala od siebie. A parę osób - sześć, osiem - stoi w wodzie. Brodzą w milczeniu. Lisey dociera na dół i idzie ku plaży, bez trudu stąpa zapadniętą, wydeptaną ścieżką, po której przeszło tyle innych stóp. Widzi kobietę, która się pochyla i obmywa twarz. Robi to powolnymi gestami śniącej, a Lisey przypomina sobie ten dzień w Nashville, że wszystko działo się w zwolnionym tempie, kiedy uświadomiła sobie, że Blondas chce zastrzelić jej męża. To także było jak sen, a nie było. To też.

Wtedy dostrzega Scotta. Siedzi na kamiennej ławie w dziewiątym czy dziesiątym rzędzie od stawu. Nadal ma afrykana Dobrej Mamy, ale już się nim nie otula, bo jest zbyt ciepło. Odłożył go na kolana - osunął się mu aż do stóp. Lisey nie rozumie, jak afrykan może być jednocześnie tutaj i w domu na View i myśli: Może dlatego, że niektóre przedmioty są wyjątkowe. Tak jak Scott jest wyjątkowy. A ona? Czy jakaś wersja Lisey Landon nadal siedzi w domu na Sugar Top Hill? Chyba nie. Taka wyjątkowa to ona nie jest, nie lalunia Lisey. Myśli, że znalazła się tutaj cała, na dobre i złe. Albo zupełnie znikła, zależy jak to nazwać.

Nabiera tchu, chce go zawołać, ale tego nie robi. Powstrzymuje ją silne przeczucie.

Ćśśś, myśli. Ćśśś, laluniu, teraz

Wszystko było dokładnie takie, jak wtedy, ale teraz widziała to trochę lepiej, bo zjawiała się trochę wcześniej; cienie w tej kamiennej dolinie wokół stawu dopiero zaczynają się zbierać. Woda miała kształt - prawie - kobiecych bioder. Na końcu plaży, gdzie biodra przeszłyby w talię, biegła strzała miążkiego białego piasku. Na nim, z dala od siebie, stały cztery osoby, dwóch mężczyzn i dwie kobiety, wpatrzeni z zachwytem w staw. W wodzie stało ich jeszcze pół tuzina. Nikt nie pływał. Większość zanurzyła się po łydki; jeden mężczyzna wszedł po pas. Lisey chciały zobaczyć wyraz jego twarzy, ale była zbyt daleko. Za tymi brodzącymi i tymi na plaży - ci jeszcze nie odważyli się wejść do wody, pomyślała Lisey z przekonaniem - znajdowało się pochyłe zbocze, w którym wyżłobiono dziesiątki, może setki kamiennych ław. Na nich, z dala od siebie, siedziało pewnie ze dwieście osób. Z poprzedniego razu zapamiętała ich pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt, ale tego wieczora było ich zdecydowanie więcej. A jednak na każdą osobę przypadały co najmniej cztery w tych straszliwych

*(całunach)*

draperiach.

*Jest tu także cmentarz. Pamiętasz?*

- Tak - szepnęła Lisey. Pierś znowu jej dokuczała, ale spojrzała na staw i przypomniała sobie pokiereszowaną rękę Scotta. Przypomniała sobie także, jak szybko wyzdrowiał po ataku szaleńca - o, lekarze byli zdumieni. Jest tu lepsze lekarstwo niż vicodin, i to niedaleko.

- Tak - powtórzyła i ruszyła biegnącą w dół ścieżką. Tym razem tylko jedno się, niestety, nie zgadzało: na ławce nie było Scotta Landona.

Zanim ścieżka dotarła do plaży, Lisey zauważyła kolejną dróżkę, odbijającą w lewo, od stawu. Jeszcze raz zagarnęły ją wspomnienia, bo ujrzała księżyc

Widzi księżyc wschodzący przez jakby szczelinę w masywnym granitowym amfiteatrze wokół stawu. Ten księżyc jest wzdęty i gigantyczny, dokładnie jak wtedy, kiedy jej przyszły mąż sprowadził ją na Księżyc Boo'ya z sypialni w „Porożu”, ale w szerszej luce, do której prowadzi



szczelina, jego rozogniona czerwonopomarańczowa twarz pęka na zębate fragmenty, posiekana czarnymi sylwetami drzew i krzyży. Ile krzyży. Lisey widzi coś, co mogłoby być niemal wiejskim cmentarzykiem. Jak krzyż, który Scott zrobił dla Paula, te także są chyba drewniane, i choć niektóre są dość duże i trafia się też parę ozdobnych, wszystkie wykonano ręcznie i wiele dobre czasy ma już za sobą. Są też znaki okrągłe i parę kamiennych, ale w gęstniejącym mroku Lisey nie może tego stwierdzić z całą pewnością. Światło wschodzącego księżyca raczej przeszkadza niż pomaga, bo oświetla wszystko od tyłu.

Jeśli cmentarz jest tu, dlaczego Scott pochował Paula tam? Z powodu złamazi?

Lisey tego nie wie i nic jej to nie obchodzi. Liczy się tylko Scott, który siedzi tam na ławce jak kibic na niepopularnym meczu, a jeśli Lisey zamierza działać, to lepiej niech się zabierze do roboty. „Niech nic nie zwisa”, powiedziałaaby Dobra Mama - to jej połów ze stawu.

Lisey zostawia za sobą cmentarz ze skleconymi krzyżami. Idzie plażą do kamiennej ławki, na której siedzi jej mąż, po ubitym i jakby mrowiącym piasku. Jego dotyk na podeszwach uświadamia jej, że jest na bosaka. Nadal ma na sobie nocną koszulę i wiele warstw spodniej odzieży, ale kapcie nie przeszły. Dotyk piasku jest jednocześnie odrażający i przyjemny. Jest także dziwnie znajomy, i przy pierwszej kamiennej ławce udaje się jej skojarzyć. Jako dziecko miewała powracający sen, w którym śmigła po domu na latającym dywanie, niewidoczna dla wszystkich. Budziła się zachwycona, przerażona i spocona po koniuszki włosów. Ten piasek jest w dotyku taki sam, jak latający dywan... jakby wystarczyło ugiąć kolana i skoczyć w górę, a pofrunęłaby.

Śmignęłabym nad tym stawem jak ważka, może muskając palcami stóp wodę... doleciałabym do miejsca, w którym staw zmienia się w strumień... gdzie strumień staje się rzeką... zeszyłabym niziutko... poczułabym wilgoć ciągnącą od wody, przebiłabym się przez te małe wnoszące się mgiełki jak szarfy, i w końcu dotarłabym do morza, a potem dalej... tak, dalej, dalej, dalej...

Chyba nigdy nie odwalila pracy tak ciężkiej, jak wyrwanie się z tej obezwładniającej wizji. Jakby próbowała się obudzić po całych dniach ciężkiej roboty i tylko paru godzinach mocnego, cudownie krzepiącego snu. Przytomnieje nie na piasku, ale na ławce w trzecim rzędzie od plażki, wpatrzona w wodę, z brodą opartą na ręce. I widzi, że księżyc traci pomarańczowy blask. Staje się maślany, a wkrótce będzie srebrny.

Jak długo tak siedziałam?, zadaje sobie pytanie ze zgrozą. Wydaje mi się, że nie tak długo, gdzieś pomiędzy kwadransem i półgodziną, ale to i tak o wiele za długo... choć teraz już dobrze wie, jak się tu sprawy mają, oj wie.

Czuje, że staw przyciąga jej spojrzenie - ten spokojny staw, w którym w gęstniejącym wieczornym mroku brodzą już tylko dwie, trzy osoby (jedną jest kobieta z dużym tobołkiem albo małym dzieckiem w ramionach) - i z wysiłkiem odwraca głowę, spogląda na skały wokół plaży i gwiazdy wyglądające z ciemnego granatu nad granitem i kilkoma porastającymi go drzewami. Kiedy zaczyna się czuć trochę bardziej sobą, wstaje, odwraca się plecami do wody i znowu odnajduje Scotta. To łatwe. Ten żółty afgan prawie krzyczy, nawet w gęstniejących ciemnościach.

Idzie do niego po ławkach, tak jak by to zrobiła na futbolowym stadionie. Omija jedną z postaci w całunie... ale na tyle blisko, że widzi bardzo ludzki kształt pod draperiami woali: puste oczodoły i jedną wychyloną rękę.

To kobieca ręka, z łuszczącym się czerwonym lakierem na paznokciach.

Kiedy Lisey dociera do Scotta, serce jej łomocze i brakuje tchu, choć wspinaczka nie była aż tak trudna. Dalekie śmiacze przebiegają chichoczące gamy w górę i w dół, rozradowane niekończącym się żartem. Z kierunku, z którego przysła dochodzi - słaby, lecz słyszalny - zaciekły brzęk dzwonka Chuckiego G. i myśli: Zamówienie gotowe, Lisey! Jazda, gazu!

- Scott? - odzywa się szeptem, ale Scott na nią nie patrzy. Scott wpatruje się w zachwycie w staw, gdzie najdelikatniejsze na świecie muślinowe mgiełki wysnuwają się z powierzchni jak tchnienie w świetle wschodzącego księżyca. Lisey pozwala sobie na jedno szybkie zerknięcie i zdecydowanie kieruje wzrok na męża. Już miała nauczkę, czym się kończy długie wpatrywanie w staw. Nie popelni tego błędu. Oby.

- Scott, pora do domu - mówi.

Nic. Żadnej odpowiedzi. Pamięta, jak zaprotestowała, że nie jest wariatem, że pisanie opowieści nie oznacza, że jest wariatem, a Scott powiedział: Mam nadzieję, że dalej będziesz miała tyle szczęścia, laluniu. Ale szczęście się skończyło. Może nie? Teraz nie jest już taka głupia. Paul Landon dostał złamazi i skończył, miotając się przy słupie w piwnicy na samotnej farmie. Jego młodszy brat się ożenił i zrobił niezaprzeczalną olśniewającą karierę, ale i jemu przyszło zapłacić rachunek. W salonach rodziny Landonów młodszy brat znikł i został z niego

znik.

Katatonicy do wyboru, do koloru, myśli Lisey i przechodzi ją dreszcz.

- Scott? - szepcze znowu, niemal wprost do ucha. Trzyma jego dłonie. Są chłodne, gładkie, woskowe i wiotkie. - Scott, jeśli tam jesteś i chcesz wrócić do domu, uściśnij moje ręce.

Przez bardzo długi czas nie dzieje się nic, tylko te stwory śmieją się w głębi lasu, a gdzieś bliżej rozlega się wstrząsający, niemal kobiecy krzyk ptaka. Potem Lisey czuje, że albo jej się wydaje, albo Scott prawie niewyczuwalnie rusza palcami.

Usiłuje wymyślić, co teraz robić, ale jest pewna tylko tego, czego nie wolno jej zrobić: czekać, aż noc ich otoczy, księżyc ją olśni i zatopią ich wznoszące się cienie. To miejsce jest pułapką. Wie, że każdy, kto na długo utknął nad tym stawem, nie będzie mógł odejść. Rozumie, że jeśli się w niego wpatrzeć, można zobaczyć wszystko, co dusza zapragnie. Utraconych ukochanych, zmarłe dzieci, przegapione szanse... wszystko.

Największe zaskoczenie? Że na tych kamiennych ławach nie siedzi więcej osób. Że nie tłoczą się ramię w ramię jak kibice na smerdolonym meczu na World Cup.

Kątem oka rejestruje jakiś ruch i spogląda na ścieżkę, prowadzącą z plaży na schody. Widzi tęgiego dżentelmena w białych spodniach i wydętej białej koszuli, całkiem rozpiętej z przodu. Przez jego lewy policzek biegnie wielka czerwona rana. Szpakowate włosy sterczą na dziwnie spłaszczonej głowie. Dżentelmen rozgląda się przez chwilę, po czym schodzi ze ścieżki na piasek.

- Wypadek samochodowy - odzywa się Scott, z wielkim wysiłkiem.

Serce Lisey gwałtownie łomocze, ale udaje się jej nie obejrzeć ani nie ścisnąć mocno jego rąk, choć lekkiego uścisku jednak nie może powstrzymać. Starając się panować nad głosem pyta:

- Skąd wiesz?

Scott nie odpowiada. Krępy pan w rozwianej koszuli rzuca jedno pogardliwe spojrzenie milczącym ludziom na kamiennych ławkach, odwraca się do nich plecami i wchodzi do stawu. Otaczają go srebrne wici księżycowych oparów i Lisey znowu musi z wysiłkiem oderwać od nich wzrok.

- Scott, skąd wiesz?

Scott wzrusza ramionami. Jego ramiona także wydają się ważyć po sto kilo - przynajmniej tak to wygląda - ale udaje mu się wydusić:

- Pewnie telepatia.

- Teraz mu się polepszy?

Długa pauza. I kiedy Lisey już traci nadzieję, Scott odpowiada:

- Może. Tam... jest... głęboko. - Dotyka głowy. Lisey myśli, że sygnalizuje jakieś obrażenie mózgu. - Czasami sprawy... zachodzą za daleko.

- Potem przychodzą i tu siedzą?

Scott milczy. Lisey się boi, że utraci tę jego odrobinę, którą odzyskała. Nie trzeba jej tłumaczyć, że to bardzo łatwe, sama to czuje. Każde włókienko jej ciała czuje tę rewelację.

- Scott. Ty chyba chcesz wrócić. Chyba dlatego tak bardzo walczyłeś przez cały grudzień. I dlatego przyniosłeś afrykana. Trudno go nie zauważyć, nawet po ciemku.

Scott spogląda w dół, jakby go zobaczył po raz pierwszy, a potem autentycznie się uśmiecha.

- Zawsze... mnie... ratujesz - mówi.

- Nie wiem, o czym...

- Nashville. Schodziłem. - Przy każdym słowie odzyskuje trochę życia. Po raz pierwszy Lisey pozwala sobie na cień nadziei. - Zgubiłem się w mroku, a ty mnie znalazłaś. Płonąłem - tak bardzo - a ty dałaś mi lód. Pamiętasz?

Pamięta tę drugą Lisę

*(kurwa, rozlałam po drodze połowę coli)*

i jak Scott nagle przestał dygotać, kiedy położyła mu na zakrwawionym języku okruch lodu. Pamięta wodę koloru coli, spływającą mu po brwiach. Pamięta wszystko.

- No jasne. To teraz się zbierajmy.

Scott kręci głową, powoli, lecz zdecydowanie.

- Za trudno. Idź sama.

- Mam iść bez ciebie? - Mruga gwałtownie oczami i dopiero czując to pieczenie, uświadamia

sobie, że zaczęła płakać.

- Nie będzie trudno... zrób to tak jak w New Hampshire. - Mówi cierpliwie, ale nadal bardzo powoli, jakby każde słowo ważyło tonę, i umyślnie jej nie rozumie. Jest tego prawie pewna. - Zamknij oczy... skup się na miejscu, z którego przyszedłeś... zobacz je... i tam wrócisz.

- Bez ciebie? - powtarza wściekle, a w rzędzie poniżej - powoli, jak człowiek poruszający się pod wodą - ogląda się na nich facet w czerwonej flanelowej koszuli.

- Ćśśś, Lisey - mówi Scott. - Tu musisz być cicho.

- A jak mi się nie chce? Tu nie biblioteka!

W głębokich ostępach Bajecznego Boru śmiacze wyją, jakby w życiu nie słyszały nic śmiesznieszego, ubaw po pachy, lepszy niż w Śmiesznym Sklepie w Auburn. Od strony stawu dobiega pojedynczy gwałtowny chłupot. Lisey ogląda się i widzi, że krępy dżentelmen znikł... no, gdzieś. Dochodzi do wniosku, że nieważne, czy jest pod wodą, czy w wymiarze X; teraz jej miejsce jest przy mężu. Ma rację, zawsze go ratuje, pogotowie ratunkowe na pełny etat. I dobrze, wiedziała od samego początku, że Scott nie jest dobry w praktyczne klocki, ale ma prawo spodziewać się odrobiny pomocy, czy nie?

Jego spojrzenie powędrowało ku wodzie. Lisey czuje, że gdy nadejdzie noc, a księżyc zacznie świecić jak lampa pod wodą, straci Scotta na dobre. To ją przeraża i wkurza. Wstaje, chwyta afrykan Dobrej Mamy. W końcu dostali go od jej rodziny i skoro to ma być rozwód, zabiera go ze sobą, choćby to zabolalo Scotta. Zwłaszcza, jeśli go zabolali.

Scott gapi się na nią z zaspanym zdziwieniem i to ją wścieka jeszcze bardziej.

- Świetnie - mówi Lisey z fałszywą wesołością. Jest to ton obcy jej i najwyraźniej także temu miejscu. Kilka osób się ogląda, z ewidentnym niezadowoleniem i, być może, irytacją. A niech się smerdola, oni i te rydwany, czy karawany, czy karetki, które ich tu przywiozły. - Zostań tu sobie, módl się do swojego pępka, czy jak tam mówią. Proszę bardzo. A ja wrócę tą ścieżką...

Po raz pierwszy na twarzy Scotta pojawia się silne uczucie. To strach.

- Nie! - woła. - Bamnij stąd! Nie idź ścieżką! Już za późno, prawie noc!

- Ćśśś! - syczy ktoś.

Świetnie. Niech będzie ćśśś. Lisey poprawia chwyt na spiętrzonej afganie w jej objęciach i

rusza w dół. Dwie ławki od końca odważa się zerknąć. Jakoś liczy, że on za nią pójdzie, przecież to Scott. Choćby to miejsce było dziwne, że no, to jej mąż, jej kochanek. Myśl o rozwodzie przemknęła jej przez głowę, ale jest czystym absurdem, czymś dobrym dla innych ludzi, ale nie Scotta i Lisey. On jej nie pozwoli odejść samej. Ale nie, siedzi w tym swoim białym podkoszulku i zielonych długich kalesonach, ze ściśniętymi kolanami i rękami tak zaciśniętymi, jakby marzył nawet tu, w tych tropikach. Nie idzie, i po raz pierwszy Lisey przyjmuje do wiadomości, że to dlatego, iż nie może. Jeśli tak, to ona ma dwie możliwości: zostać z nim tutaj albo wracać do domu bez niego.

*Nie, jest trzecia. Mogę zaryzykować. Mogę postawić wszystko na jedną kartę, jak mówi przysłowie. Zastawić dom. No to jazda, Scott. Jeśli ścieżka jest naprawdę niebezpieczna, dźwignij tę martwą dupę i nie pozwól mi tam iść.*

Idąc plażą, ma ochotę się obejrzeć, ale zdradziłaby tym słabość. Śmiacze są już blisko, co znaczy, że to, co czai się przy ścieżce do Kochanego Wzgórza, także się zbliża. Wśród drzew jest już całkiem ciemno i Lisey wydaje się, że zanim się do nich zbliży, znowu poczuje obecność czegoś zacajonego, czegoś skradającego się do niej. Jest bardzo blisko, powiedział Scott tego dnia w Nashville, leżąc na skwierczącym asfalcie, krwawiąc z płuca, bliski śmierci. Nie widzę go, ale słyszę, jak się pożywia. A kiedy usiłowała mu wmówić, że go nie rozumie, kazał jej nie obrażać jego inteligencji.

Ani własnej.

Nieważne. Rozprawię się z tym czymś w lesie kiedy - jeśli - będę musiała. Na razie wiem tylko, że córeczka Dandy'ego Debushera w końcu zapięła pasy do końca. Tajemnicze pasy od czegoś, czego Scott nigdy nie potrafił określić, bo zmienia się z jednej rozgrywki na drugą. W tym cała rzecz, ZPINOM, skarbiemój, i wiesz co? To fajne uczucie.

Rusza stromą ścieżką ku schodom, a za jej plecami

Jedna z kobiet, stojąca przy brzegu stawu po kolana w tej nieruchomej wodzie, spoglądała sennie w horyzont. Jej towarzyszka odwróciła się do Lisey, zmarszczyła brwi z dezaprobatą. Lisey najpierw nie zrozumiała, potem zrozumiała. Ludzie nadal nie lubią tutaj rozmów, to się nie zmieniło. Miała wrażenie, że na Księżycu Boo'ya niewiele się zmienia.

Skinęła głową, jakby ta karcąca kobieta spytała ją o wyjaśnienie.

- Mąż zawołał mnie, chciał mnie zatrzymać. Bóg jeden wie, ile go to kosztowało, ale to zrobił.

Kobieta na plaży - włosy miała jasne, ale ciemniejsze przy skórze, jakby z odrostami, powiedziała:

- Proszę... o ciszę... muszę... pomyśleć.

Lisey skinęła głową - proszę bardzo, choć wątpiła, żeby blondynka faktycznie odwała taką pracę umysłową, jak się jej wydawało - i weszła do wody. Myślała, że będzie chłodna, ale okazała się prawie gorąca. To ciepło popłynęło w górę jej nogami i zapulsowało między nimi, jak od dawna się jej nie zdarzyło. Lisey ruszyła dalej, ale nie głębiej niż po pas. Zrobiła jeszcze pięć kroków, obejrzała się i stwierdziła, że oddaliła się o co najmniej dziesięć metrów od brodźców stojących najdalej od brzegu, i przypomniała sobie, że na Księżycu Boo'ya dobre jedzenie zmienia się po zmroku w złe. Czy woda też? Nawet jeśli, może tu także pojawiają się niebezpieczne stwory, tak jak w lesie? Stawowrogi, by się tak wyrazić? A jeśli tak, to może oddaliła się za bardzo, żeby zdążyć do brzegu, kiedy któryś uzna, że obiad podano?

*To bezpieczny teren.*

Ale to nie teren, lecz woda, i ogarnęło ją paniczne pragnienie, żeby wrócić na plażę, zanim jakaś krwiożercza jednostka podwodna z zębami odgryzie jej nogę. Zwalczyła strach. Przebyła długą drogę, nie raz, lecz dwa razy, pierś bolała ją jak wszyscy szatani i na Boga, dostanie to, po co tu przysła.

Wzięła głęboki wdech i, nie wiedząc, co ją czeka, powoli osunęła się na kolana, na piaszczyste dno, aż woda przykryła jej piersi - tę zdrową i tę okrutnie okaleczoną. Przez chwilę ból jeszcze spotęźniał, omal nie rozsadził jej głowy. Ale potem

Znowu ją woła, głośno i z przerażeniem:

- Lisey!

Krzyk przedziera senną ciszę tego miejsca jak płonąca strzała. Niewiele brakuje, a Lisey by się obejrzała, bo w krzyku jest panika i cierpienie, ale coś w głębi duszy podpowiada jej, że nie wolno. Jeśli ma go uratować, nie wolno się jej oglądać. Rzuciła wszystko na jedną szalę. Mija cmentarz, gdzie krzyże lśnią w blasku wschodzącego księżyca, ledwie nań spojrzawszy, rusza po schodach, wyprostowana, z podniesioną głową, nadal trzymając przed sobą spiętrzony afrykan Dobrej Mamy, żeby się o niego nie potknąć, i czuje szalone uniesienie, takie, jakiego się doświadcza chyba tylko wtedy, kiedy stawia się cały majątek - dom-samochód-konto-psa - na jeden rzut kości. Nad jej głową (niedaleko) jest ogromny szary kamień, oznaczający początek ścieżki na Kochane Wzgórze. Niebo zdobią dziwne gwiazdy i obce konstelacje. Gdzieś płonie zorza, długie kolorowe firanki. Lisey może nigdy więcej nie zobaczyć nawet czegoś podobnego, ale to jej nie przeszkadza. Dociera do szczytu schodów i bez wahania obchodzi kamień, i wtedy właśnie Scott szarpie ją i przytula do siebie. Jego znajomy zapach nigdy nie wydawał się taki cudowny. Jednocześnie Lisey zdaje sobie sprawę, że coś porusza się po jej lewej stronie, szybko się porusza, nie na ścieżce wiodącej na łubinowe wzgórze, ale obok.

- Ćśśś, Lisey - szepcze Scott. Jego usta muskają muszlę jej ucha. - Jeśli miłe ci życie własne i moje, teraz musisz być cicho.

To długaśnik Scotta. Nikt jej tego nie musi tłumaczyć. Od lat wyczuwała jego obecność w tle swojego życia, jak coś, co się widzi w lustrze, kątem oka. Albo, powiedzmy, jest jak wstrętne tajemnica ukrywana w piwnicy. Teraz tajemnica się wydała. W przestrzeniach między drzewami po lewej, z prędkością ekspresu, sunie wielka, wysoka rzeka mięsa. Jest na ogół gładka, ale miejscami trafiają się ciemne plamy albo kratery, może znamiona, a może, jak przypuszcza (nie chce przypuszczać, samo się jej przypuszcza), rak skóry. Zaczyna tworzyć w głowie wizję jakiegoś gigantycznego robala, ale przestaje. To stworzenie za drzewami nie jest robalem, jest stworzeniem myślącym, bo Lisey czuje jego myśli. Nie są ludzkie, nie są w najmniejszym stopniu zrozumiałe, ale ta jego obcość jest straszliwie fascynująca...



To złamazia, myśli, zlodowaciała do szpiku kości. Jej myśli są złamazią, niczym innym.

Myśl jest okropna, ale i słuszna. Wrywa jej się dźwięk, coś pomiędzy piskiem i jękiem. Cichutki, ale widzi albo wyczuwa, że nieskończony żywy ekspres nagle zwolnił, że może ją usłyszał.

Scott też to wie. Ogarniająca ją ręka, tuż nad jej piersiami, trochę sztywnieje. Jego wargi poruszają się przy muszli ucha.

- Jeśli mamy wracać, to natychmiast - mamrocze. Wrócił do niej zupełnie, jest tu i teraz. Nie wiadomo, czy dlatego, że już nie patrzy na staw, czy że się przeraził. Może z obu powodów. - Rozumiesz?

Lisey kiwa głową. Sama bpi się tak, że prawie zdrętwiała, radość z jego powrotu znikła. Czy to z tym żył przez całe życie? Jeśli tak, to jak to wytrzymał? Ale nawet teraz, w tym krańcowym przerażeniu, chyba wie. Dwie sprawy zakotwiczyły go w ziemi i ocaliły przed długąśnikiem. Pierwszą jest pisanie. Druga ma talię, którą może objąć i ucho, do którego może szepnąć.

- Skup się, Lisey. Natychmiast. Wysłil rozum.

Zamyka oczy i widzi pokój gościnny w domu na Sugar Top Hill. Widzi Scotta otulonego w żółtego afrykana Dobrej Mamy, Scotta siedzącego w bujanym fotelu. Widzi samą siebie na zimnej podłodze u jego boku, trzymającą go za rękę. On ściska jej dłoń tak mocno, jak ona jego. Za ich plecami, za skutymi mrozem szybami w oknie pulsują fantastyczne zmienne kolory. Telewizor jest włączony i znowu leci „Ostatni seans filmowy”. Chłopcy są w czarno-białym salonie bilardowym Sama „Lwa”, a Hank Williams w szafie grającej śpiewa „Jambalaya”.

Przez chwilę Księżyc Boo'ya migocze, ale potem muzyka w jej głowie - muzyka przez chwilę tak wyraźna i radosna - gaśnie. Lisey otwiera oczy. Strasznie chce zobaczyć dom, ale ten wielki szary gład i ścieżka prowadząca pomiędzy kochanymi drzewami ciągle tu są. Te obce gwiazdy nadal płoną, tylko śmiacze umilkły, a ostre szepty krzaków ucichły, i nawet dzwonek Chuckiego G. skończył wreszcie z tym dziarskim dzwonieniem, bo długąśnik się zatrzymał, bo nasłuchuje, i cały świat wstrzymuje oddech i nasłuchuje razem z nim. Jest tutaj, nawet nie piętnaście metrów na lewo; Lisey czuje jego zapach. Jakby stare baki w kiblach przy drodze, albo jadowne tchnienie burbona i dymu papierosowego, które czasem w człowieka uderza, kiedy się wchodzi do pokoju w tanim motelu, albo zasikane pieluchy Dobrej Mamy, kiedy stała się

zgrzybiałą i wiedźmowatą staruszką. Zatrzymał się za najbliższym rzędem kochanych drzew, zatrzymał się w trakcie swego przepływu przez las i dobry Boże, nie przechodzą, nie przechodzą, z jakiegoś powodu tu utknęli.

Scott szepcze tak cicho, jakby wcale nie szeptał. Gdyby jego wargi nie muskały wrażliwej skóry jej ucha, mogłaby uwierzyć, że to telepatia.

- To afrykan, Lisey - czasami przedmioty przechodzą w jedną, ale nie w drugą stronę. Nie wiem dlaczego, ale tak jest. Jest jak kotwica. Rzuć go.

Lisey otwiera objęcia i upuszcza afrykan. Upada z najcichszym szmerem (jak te argumenty przeciwko szaleństwu, przebijające się do jakiejś najgłębszej piwnicy), ale długaśnik go słyszy. Lisey czuje zmianę jego niepojętych myśli, czuje ohydny nacisk jego obłąkanej uwagi. Drzewo pęka z ogłuszającym traskiem i stwór zaczyna zawracać, a ona znowu zamyka oczy i widzi pokój gościnny wyraźnie jak jeszcze nic w życiu, widzi go z desperacką intensywnością, przez najlepsze powiększające szkło przerażenia.

- Teraz - mruczy Scott i następuje to najbardziej zadziwiające. Lisey czuje, jak powietrze wywraca się na lewą stronę. Nagle Hank Williams śpiewa „Jambalaya”. Śpiewa

## 14

Śpiewał, bo telewizor był włączony. Pamięta to tak dokładnie, że rany boskie i zastanawia się, jak w ogóle mogła o tym zapomnieć. No, ale tyle zapomniała. W tym też jest świetna.

Pora opuścić Aleję Wspomnień, Lisey - pora do domu.

Odstawienie, można powiedzieć. Dostała to, po co przyszła, dostała to, wdepnąwszy w ostatnie straszne wspomnienie długaśnika. Pierś nadal ją bolała, ale przeraźliwe pulsowanie zmieniło się w tępe pobołowanie. Bywało już gorzej, kiedy jako nastolatka przez cały upalny dzień chodziła w za małym staniku. Klęcząc w sięgającej brody wodzie widziała księżyc, teraz mniejszy, niemal całkiem srebrny, teraz już ponad wszystkimi drzewami z wyjątkiem tych najwyższych na cmentarzu. I obudził się w niej nowy lęk: a jeśli długaśnik wróci? Jeśli usłyszy jej myśli o sobie i wróci? To miejsce miało być bezpieczne i pewnie było - przed śmiaczami i

innymi wstrętnymi stworami, mogącymi zamieszkiwać Bajeczny Bór - ale coś jej mówiło, że długiśnik może nie być związany zasadami, które zakazują tu wstępu innym stworom. Coś jej mówiło, że długiśnik jest... inny. Przypomniała sobie tytuł starego horroru, który zadźwięczał w jej głowie jak żelazny dzwon: „Gwizdnij, chłopcze, a przybędę”. A po nim tytuł jedynej książki Scotta Landona, którą znieawdziła: „Puste diabły”.

Ale zanim ruszyła na piasek, zanim w ogóle zdążyła wstać, uderzyło ją kolejne wspomnienie, tym razem o wiele świeższe. Jak obudziła się tuż przed świtem, leżąc obok Amandy i przekonała się, że przeszłość i terażniejszość jakoś splotły się ze sobą. Co gorsza, zaczęła wierzyć, że ten ktoś w łóżku wcale nie był jej siostrą, tylko zmarłym mężem. I w pewien sposób można to przyjąć za prawdę. Bo choć ciało w łóżku było w nocnej koszuli Mandy i mówiło głosem Mandy, posłużyło się

*(skarbie skarbiemój)*

ich tajnym małżeńskim językiem i zwrotami, które mógł znać tylko Scott.

Krwawy baf cię czeka, powiedziało to coś obok niej i zaraz pojawił się Czarny Książę Impotebili z jej własnuteńkim otwieraczem do puszek.

*Jest za fioletowym. Już znalazłaś trzy pierwsze stacje. Jeszcze parę i dostaniesz nagrodę.*

A jaką to nagrodę obiecało jej to z łóżka? Picie. Myślała, że colę albo fantę, bo takie nagrody dawał Paul, ale teraz miała już inne podejrzenie.

Pochyliła głowę, zanurzyła zmasakrowaną twarz w stawie, a potem, nie pozwalając sobie nawet pomyśleć, co wyprawia, pociągnęła szybko dwa łyki. Woda, w której stała, była prawie gorąca, ale ta w ustach chłodna, słodka, odświeżająca. Wypiłaby więcej, ale jakieś przeczucie kazało jej poprzestać na dwóch łykach. Dwa zupełnie wystarczają. Dotknęła warg i poczuła, że opuchlizna prawie zesza. Wcale jej to nie zdziwiło.

Nie starając się zachowywać cicho (ani nie siłąc na wdzięczność, jeszcze nie), pobrnęła do brzegu. Szła w nieskończoność. Nikt już nie brodził, plaża opustoszała. Lisey wydawało się, że kobieta, z którą rozmawiała, siedzi na ławce ze swoją towarzyszką, ale nie miała pewności, bo księżyc nie wzeszedł jeszcze zupełnie. Spojrzała trochę wyżej i natrafiła wzrokiem na jedną z postaci w całunie, jakieś dziesięć rzędów od wody. Księżycowe światło pokryło srebrem jedną stronę osnutej gazą głowy postaci i Lisey nabrała dziwnej pewności: to Scott, on ją obserwuje.

Czy to nie miało pewnego wariackiego sensu? Bo skoro zachował tyle świadomości, żeby przyjść do niej przed świtem, kiedy leżała obok pogrążonej w katatonii siostry...? Skoro postanowił jeszcze raz postawić na swoim...?

Zapagnęła zawołać jego imię, choć to z pewnością byłoby groźnym szaleństwem. Otworzyła usta i woda z mokrych włosów spłynęła jej do oczu, podrażniła je. Rozległo się ciche brzęczenie dzwonka Chuckiego G.

To Scott do niej przemówił, po raz ostatni.

...Lisey

Nieskończona czułość w tym głosie. Wzywa jej imię, wzywa ją do domu.

...Laluniu

## 15

- Lisey - mówi on. - Skarbiemój.

Siedzi w bujaku, a ona na zimnej podłodze, ale to on odważa dygot. Lisey przypomina sobie w nagłym rozbłysku, jak Babunia D mawiała „bojący i drygający w ciemnościach”, i dociera do niej, że Scottowi jest zimno, bo afrykan został na Księżycu Boo’ya. Ale to nie wszystko - w tym sakramenckim pokoju jest mróz! Było zimno, ale teraz panuje tu mróz, i nie ma światła.

Stały świszczący poszept pieca także ucichł, a w skutym lodem oknie widać tylko nieprawdopodobne kolory zorzy. Latarnia u Gallowayów też zgasła. Nie ma prądu, myśli Lisey, ale nie - telewizor ciągle działa i leci ten cholerny film. Chłopaki z Anarene w Teksasie lenią się w salonie bilardowym, wkrótce wybiorą się do Meksyku, a jak wrócą, Sam „Lew” będzie martwy, owinięty woalami będzie siedział na jednej z tych kamiennych ławek nad sta...

- Coś jest nie tak - odzywa się Scott. Dzwoni zębami, ale w jego głosie i tak brzmi zdumienie. - Nie włączyłem tego cholernego filmu, bo nie chciałem cię obudzić. I...

Lisey wie, to prawda, przyszła tu i telewizor był wyłączony, ale teraz ma coś ważniejszego na głowie.

- Scott, czy on za nami pójdzie?

- Nie, skarbie - odpowiada Scott. - Nie może, chyba że dobrze pozna twój zapach albo trop...

- Urywa. Teraz najbardziej interesuje go film. - A w tej scenie nie ma „Jambalaya”. Widziałem „Ostatni seans filmowy” z pięćdziesiąt razy, oprócz „Obywatela Kane’a” to najlepszy film na świecie, i w scenie z bilardem nie ma „Jambalaya”. Jest Hank Williams, tak, ale śpiewa „Kaw-Liga”, o wodzu indiańskim. A jeśli telewizor i magnetowid działają, to gdzie jest światło, do cholery?

Wstaje i wciska przełącznik. Nic. Ten mroźny wicher z Yellowknife w końcu pozbawił elektryczności ich i Castle Rock, Castle View, Motton, Tashmore Pond i większą część zachodniego Maine. A w chwili, gdy Scott bezskutecznie pstryknął włącznikiem, telewizor się wyłączył. Obraz się skurczył do białej jasnej kropki, która przez chwilę się jeszcze jarzy i znika. Kiedy następnym razem puści kasetę z „Ostatnim seansem filmowym” okaże się, że cała środkowa część filmu jest pusta, jakby wykasowało ją potężne pole magnetyczne. Nie będą już o tym mówić, ale wiedzą, że choć oboje wyobrazili sobie pokój gościnny, to prawdopodobnie Lisey przywrzeszczała ich do domu... i z całą pewnością Lisey wyobraziła sobie starego Hanka śpiewającego „Jambalaya” zamiast „Kaw-Liga”, i to Lisey z taką zaciekleścią wyobrażała sobie działający telewizor z magnetowidem, że kiedy wrócili, te sprzęty naprawdę działały przez niemal półtorej minuty, choć elektryczność wysiadła w całym hrabstwie Castle, od krańca do krańca.

Scott ładuje do piecyka w kuchni kawałki dębiny ze skrzyni, a Lisey robi prowizoryczne posłanie - koce i dmuchany materac - na linoleum. Kiedy się kładą, on bierze ją w ramiona.

- Boję się zasnąć - wyznaje Lisey. - Boję się, że jak się rano obudzę, piec będzie zimny, a ty znowu znikniesz.

Scott kręci głową.

- Wszystko w porządku, na razie będzie spokój.

Lisey patrzy na niego z nadzieją i sceptycyzmem.

- Wiesz czy tylko tak mówisz, żeby uspokoić żonkę?

- A jak sądzisz?

Sądzi, że to nie ten sam upiorny Scott, który mieszkał tu z nią od listopada, ale nadal trudno jej uwierzyć w taki cud.

- Wyglądasz lepiej, ale nie ufam moim pobożnym życzeniom.

W piecyku strzela sęk, Lisey podskakuje. Scott przygarnia ją do siebie. Lisey tuli się do niego niemal drapieźnie. Pod kocami jest ciepło, jego ramiona są ciepłe. Tylko jego pragnie mieć w ciemnościach.

- To... to coś, co nęka moją rodzinę... pojawia się i znika. Jak znika, jest tak, jakby puścił skurcz.

- Ale wróci?

- Lisey, może nie wrócić. - Siła i pewność jego głosu tak ją zaskakują, że podnosi głowę, żeby zajrzeć mu w twarz. Nie widzi tam obłudy, nawet tej płynącej z serca, żeby ukoić znękaną żonę. - A jeśli wróci, to może nigdy nie być takie mocne, jak tym razem.

- Ojciec ci powiedział?

- Ojciec niewiele wiedział o odchodzeniu. Już dwa razy czułem, że mnie ciągnie do... do miejsca, gdzie mnie znalazłaś... Raz na rok zanim cię poznałem. Wtedy przetrwałem dzięki wódzie i rockowi. Za drugim razem...

- Niemcy - mówi ona sucho.

- Tak. Niemcy. Wtedy ty mnie wyratowałaś.

- Jak blisko? Jak blisko było w Bremen?

- Blisko - mówi Scott z prostotą, aż Lisey ziąb przechodzi. Jeśli straciłaby go w Niemczech, to by go straciła na zawsze, mein gott. - Ale w porównaniu z tym to był wietrzyk. Tu zdarzył się huragan.

Chce go jeszcze spytać o inne rzeczy, ale głównie pragnie go tylko tulić i wierzyć mu, że może już będzie dobrze. Tak, jak chce się wierzyć lekarzowi, kiedy mówi, że rak jest w fazie remisji i może nigdy nie wróci.

- I czujesz się dobrze. - Musi to jeszcze raz usłyszeć. Musi.

- Tak. Dobrze, że aż miło, jak mówi przysłowie.

- A... tamten? - Nie musi mówić dokładnie. Scott rozumie.

- Od dawna był na moim tropie, zna kształt moich myśli. Po tylu latach właściwie jesteście starymi kumplami. Pewnie by mnie zabrał, gdyby chciał, ale to byłby wysiłek, a ten typek to leniuszek. Poza tym... mam obrońcę. Z tej jasnej strony równania. Bo jest i jasna strona, rozumiesz. Musisz rozumieć, bo bierzesz w nim udział.

- Powiedziałeś kiedyś, że mógłbyś go wezwać, gdybyś chciał. - Mówi to bardzo cicho.

- Tak.

- I czasami chcesz. Prawda?

Nie zaprzecza, a wicher na dworze wyje przeciągłą zimną pieśń pod okapami domu. Ale tu, pod kocami, przed piecykiem, jest ciepło. Przy nim jest ciepło.

- Zostań ze mną, Scott - mówi Lisey.

- Dobrze - odpowiada Scott. - Zostanę najdłużej jak

## 16

- Najdłużej jak będę mógł - powiedziała Lisey.

Uświadomiła sobie parę spraw jednocześnie. Po pierwsze, że to sypialnia i łóżko. Po drugie, że chyba trzeba będzie zmienić pościel, bo wróciła, ociekając wodą, a mokre stopy są pokryte piaskiem z tamtego świata. Po trzecie, że dygocze, choć w pokoju nie jest szczególnie zimno. Po czwarte, że nie ma już srebrnej łopaty, że ją zostawiła. I po ostatnie, że jeśli tą siedzącą postacią naprawdę był jej mąż, to niemal z całą pewnością widziała go po raz ostatni; jej mąż był teraz jednym z tych w całunach, niepochoowanym trupem.

Leżąc w przemoczonych szortach na mokrym łóżku, rozszlochała się rozpaczliwie. Miała dużo do załatwienia i wróciła z maksymalnym porządkiem w głowie - pomyślała, że to także może być jej nagrodą na koniec ostatniego scottowego poszukiwania bafa - ale najpierw musiała opłakać męża do końca. Zasłoniła oczy ramieniem i tak leżała przez pięć minut, łkając, aż oczy zmieniły się w zapuchnięte szparki, a gardło rozbolało. Nie sądziła, że tak go będzie pragnąć i tak

za nim tęsknić. To nią wstrząsnęło. A jednocześnie, choć okaleczona pierś nadal ją trochę bolała, przyszło jej do głowy, że czuje się dobrze jak nigdy dotąd, że cieszy się, że żyje i jest gotowa do skopania czyjś tyłka i zasadzenia na nim bratków.

Jak mówi przysłowie.



## XII

### Lisey w Greenlawn (*Malwy*)

#### 1

Ściągając przemoczone szorty zerknęła na zegar na stoliku i uśmiechnęła się, nie dlatego, że godzina za dziesięć dwunasta czerwcowego przedpołudnia miała w sobie coś śmiesznego, ale dlatego, że przypomniał jej się tekst Scrooge'a z „Opowieści wigilijnej”: „Duchy zrobiły to wszystko w jedną noc”. Lisey wydawało się, że coś zdrowo namieszało w jej życiu w bardzo krótkim czasie, głównie w ostatnich kilku godzinach.

Ale trzeba pamiętać, że żyłam przeszłością, a to zabiera człowiekowi zaskakująco dużo czasu, pomyślała... i po chwili zastanowienia ryknęła kaskadą gromkiego śmiechu. Gdyby ktoś podsłuchiwał ją z korytarza, ani chybi uznałby za wariatkę.

Nic to, śmieję się, skarbiemój, tu my sikorki jeno, powiedziała sobie w duchu i weszła do łazienki. Ten głośny, swobodny śmiech znów wrywał się z jej piersi i nagle zamarł, kiedy pojawiła się myśl, że może tu być Dooley. Mógł się zaszyć w piwnicy albo jednej z licznych w tym dużym domu garderób; może czekał cierpliwie na strychu, dokładnie nad jej głową. Nie znała go dobrze, pierwsza była gotowa to przyznać, ale myśl, że ukrył się tutaj, w domu, pasowała do tego, co o nim wiedziała. Dowiódł już, że śmiały z niego sukinsyn.

*Nie przejmuj się nim na razie. Myśl o Darli i Canty.*

Słusznie. Lisey mogła dotrzeć do Greenlawn przed starszymi siostrami, wynik tej gonitwy był przesądzony, ale guzdrać się też nie mogła. Walizy pakować, pomyślała.

Nie mogła jednak odmówić sobie chwili przed wysokim lustrem na drzwiach sypialni, stanęła z rękami opuszczonymi do boków i spokojnie, obiektywnie obejrzała swoje chude, nijakie ciało kobiety w średnim wieku - i twarz, którą Scott kiedyś porównał do lisiego pyszczka w lecie. Była trochę napuchnięta, nic więcej. Wyglądała, jakby spała wyjątkowo twardo (może po jednym czy trzech drinkach za dużo), jej wargi wciąż lekko wywijają się na zewnątrz, co przydawało im dziwnej zmysłowości, która krępowała ją, ale i odrobinę cieszyła. Zawahała się,

niepewna, co z tym fantem zrobić, i w głębi szuflady znalazła szminkę Revlon Hothouse Pink. Musnęła nią usta i pokiwała głową z lekkim powątpiewaniem. Jeśli ludzie mieli patrzeć na jej wargi - a przypuszczała, że tego nie uniknie - lepiej dać im po temu powód, zamiast próbować zatuszować coś, czego ukryć się nie dało.

Pierś, którą Dooley operował w szaleńczym zapamiętaniu, naznaczona była brzydką szkarłatną rysą, wychodzącą po łuku spod pachy i urywającą się nad piersią. Wyglądało to jak dobrze gojąca się paskudna rana sprzed dwóch-trzech tygodni. Z dwóch płytszych rozcięć zostały już tylko czerwone ślady, jak od zbyt ciasnego elastycznego ubrania. Albo - gdyby ktoś miał żywą wyobraźnię - od więzów. Różnica między tym a koszmarem, który zobaczyła odzyskując przytomność, była niewiarygodna.

- Wszyscy Landonowie szybko zdrowieją, sukinsynu - powiedziała Lisey i weszła pod prysznic.

## 2

Miała tylko tyle czasu, by z grubsza się opłukać, a pierś wciąż tak ją bolała, że odpuściła sobie stanik. Ubrała się w spodnie robocze i luźny T-shirt, na niego zaś naciągnęła kamizelkę, by nikt nie gapił się na jej sutki, o ile facetów w ogóle interesowały sutki pięćdziesięcioletnich kobiet. Według Scotta, jak najbardziej. Pamiętała, jak kiedyś, w szczęśliwszych czasach, powiedział jej, że mężczyźni hetero gapią się na wszystko rodzaju żeńskiego w wieku od mniej więcej czternastu do osiemdziesięciu czterech lat; twierdził, że to przez taki prosty obwód łączący oko z fiutem, że mózg nie ma z tym nic wspólnego.

Było południe. Zeszła na dół, zajrzała do salonu i zobaczyła ostatnią paczkę papierosów na stoliku. Nie chciało jej się palić. Zamiast tego, wyjęła nieotwarty słoik Skippy ze spizarni (szykując się na widok Jima Dooleya przyczajonego w kącie albo za drzwiami) i dżem truskawkowy z lodówki. Zrobiła sobie kanapkę z masłem orzechowym i dżemem na białym chlebie i wzięła dwa cudowne, kleiste kęsy, zanim zadzwoniła do profesora Woodbody'ego. Urząd szeryfa okręgu Castle zabrał list z groźbami „Zacka McCoola”, ale Lisey zawsze miała dobrą pamięć do liczb, a akurat ta była prosta jak drut: kierunkowy do Pittsburgha na jednym

końcu, osiemdziesiąt jeden i osiemdziesiąt osiem na drugim. Wszystko jedno, czy będzie gadać z Królową, czy z Królem Impotibili. Gorzej, gdyby zgłosiła się automatyczna sekretarka. Mogła zostawić wiadomość, ale wówczas nie miałyby pewności, czy dotrze ona do właściwych uszu we właściwym czasie, by był z niej pożytek.

Niepotrzebnie się martwiła. Odebrał Woodbody osobiście i nie mówił jak król. Wydawał się spokorniały i ostrożny.

- Tak? Halo?

- Witam, profesorze Woodbody. Mówi Lisa Landon.

- Nie życzę sobie z panią rozmawiać. Widziałem się z adwokatem, wcale, że nie muszę...

- Luz - powiedziała i spojrzała tęsknie na kanapkę. Nie wypadało jej mówić z pełnymi ustami. Pocieszyła się myślą, że rozmowa będzie krótka. - Nie zamierzam narobić ci kłopotów ani z glinami, ani z adwokatami, nic z tych rzeczy. Jeśli tylko oddasz mi jedną maleńką przysługę.

- To znaczy? - Profesor był podejrzliwy. Nie mogła mieć mu tego za złe.

- Jest cień szansy, że twój przyjaciel Jim Dooley zadzwoni dziś do ciebie...

- Ten typ nie jest moim przyjacielem! - zaskomlał Woodbody.

Jasne, pomyślała Lisey. Jeszcze trochę, a sam siebie o tym przekonasz.

- No dobra, kumpel od kielicha. Przygodny znajomek. Wszystko jedno. Jeśli zadzwoni, powiedz mu, że zmieniłam zdanie, dobrze? Że poszłam po rozum do głowy. I że będę na niego czekać dziś wieczorem, w pracowni męża.

- Jak widzę, chce się pani wpakować w poważne kłopoty, pani Landon.

- Któż znalazłby się na tym lepiej od ciebie. - Kanapka wyglądała coraz bardziej smakowicie. Lisey zaburczało w brzuchu. - Profesorze, on pewnie do ciebie nie zadzwoni. Wtedy jesteś czysty. Jeśli zadzwoni i przekażesz mu wiadomość ode mnie, też jesteś czysty. Natomiast jeśli zadzwoni i nie przekażesz mu mojej wiadomości, krótkiego „Zmieniła zdanie, chce się z tobą zobaczyć w pracowni Scotta o ósmej”, a ja się o tym dowiem, wtedy, oj, profesorze, ale dam ci popalić.

- Nie może pani. Mój adwokat mówi, że...

- Bądź rozsądny, człowieku, i zamiast niego posłuchaj mnie. Mąż zostawił mi trzydzieści milionów dolarów. Z takimi pieniędzmi, jeśli postanowię posunąć cię w dupała, przez trzy lata będziesz non stop srał krwią w przykucu. Jasne?

Odłożyła słuchawkę, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, odgryzła kęs kanapki, wyjęła z lodówki limonowy kool-aid, pomyślała, czy nie wziąć szklanki, i zamiast tego napiła się prosto z dzbanka.

Mniam!

### 3

Jeśli Dooley zadzwoni w ciągu następnych kilku godzin, nie zastanie jej w domu. Na szczęście, Lisey wiedziała, który numer wybierze. Weszła do niewykończonego gabinetu w stodole, naprzeciwko okrytego całunem trupa bremeńskiego łóża. Usiadła na prostym kuchennym krześle (bo nowego, wygodnego jakoś nie zdążyła zamówić, podobnie jak wielu innych rzeczy), wcisnęła guzik NAGRYWANIE WIADOMOŚCI i bez większego namysłu zaczęła mówić. Z Księżycy Boo'ya wróciła nie tyle z gotowym planem, ile z listą jasno sprecyzowanych kroków, które musiała poczynić, i wiarą, że jeśli zrobi swoje, Jim Dooley też będzie musiał zrobić swoje. Zagwizdnę, a ty do mnie przylecisz, chłoptasiu, pomyślała.

- Zack... panie Dooley... tu Lisey. Jeśli pan to słyszy, jestem u siostry w szpitalu w Auburn. Rozmawiałam z profesorem i tak bardzo się cieszę, że wszystko się ułoży. Dziś o ósmej będę w pracowni męża, może pan też zadzwonić tu o siódmej, a umówimy się jakoś inaczej, jeśli obawia się pan policji. Przed domem czy nawet w krzakach naprzeciwko może być zastępca szeryfa, więc proszę uważać. Czekam na odpowiedź.

Bała się, że nie starczy taśmy na to wszystko, ale niepotrzebnie. A co pomyśli Jim Dooley, kiedy zadzwoni na ten numer i to usłyszy? Biorąc pod uwagę, jak daleko zabrnął w swoim szaleństwie, Lisey nie potrafiła tego przewidzieć. Czy przerwie ciszę radiową i zadzwoni do profesora, do Pittsburga? Niewykluczone. Czy profesor przekaze Dooleyowi jej wiadomość, czy nie, też nie dało się przewidzieć, może zresztą było to bez znaczenia. Miała gdzieś, czy Dooley

pomyśli, że jest gotowa pójść z nim na układ, czy że po prostu robi go w konia. Chciała, by był niespokojny i zaciekawiony, tak, jak wyobrażała sobie, że czuje się ryba patrząca na przynętę, która skacze po tafli jeziora.

Nie odważyła się zostawić kartki w drzwiach - istniało zbyt duże prawdopodobieństwo, że na długo przed Dooleyem przeczytałby ją któryś z zastępców szeryfa, Boeckman lub Alston - a poza tym i tak chyba posunęła się już za daleko. Na razie zrobiła wszystko, co mogła.

*Naprawdę się spodziewasz, że zobaczysz go dziś o ósmej, Lisey? Ze wejdzie w płasach do pracowni Scotta, pełen ufności i wiary?*

Nie spodziewała się, że będzie płasał czy że będzie pełen czegośkolwiek prócz szaleństwa, którego skutki poznała na własnej skórze, ale oczekiwała, że przyjdzie. Zachowała tyle ostrożności, ile każde dzikie zwierzę, zacznie wietrzyć pułapkę czy podstęp, pewnie już po południu podkradnie się od strony lasu, była jednak przekonana, iż w głębi ducha będzie wiedział, że to nie zasadzka przygotowana z szeryfem czy policją stanową. Powie mu to służalcza nuta, którą usłyszy w głosie Lisey, a zresztą po tym, co jej zrobił, miał pełne prawo uważać, że to już jest prawdziwie pokorna jałówka. Odsluchiwała nagranie dwa razy i pokiwała głową. O to chodzi. Z pozoru sprawiała wrażenie, jakby tylko pragnęła zakończyć jakąś uciążliwą sprawę, ale Dooley usłyszy przebijający z jej słów strach i ból. Dlatego, że spodziewał się to usłyszeć i że był szalony.

Lisey pomyślała, że było w tym coś jeszcze. Napiała się. Zdobyła swojego bafa, a to dodało jej jakiejś pierwotnej siły. Może nie na długo, ale to nie miało znaczenia, bo odrobina tej siły - tego pierwotnego dziwactwa - była teraz na taśmie w automatycznej sekretarce. Pomyślała, że jeśli Dooley zadzwoni, to usłyszy ją i zareaguje.

#### 4

Jej telefon komórkowy był w bmw, teraz już w pełni naładowany. Pomyślała, by wrócić do małego gabinetu w stodole i jeszcze raz nagrać wiadomość, tym razem z numerem komórki, ale uprzytomniła sobie, że go nie zna. Tak rzadko do siebie dzwonię, skarbie, pomyślała i znów zaniósł się kaskadą śmiechu.

Pojechała powoli na koniec podjazdu z nadzieją, że będzie tam zastępca szeryfa Alston. Był. Wydawał się potężny jak nigdy, jakby i jemu pierwotnej siły nie brakowało. Lisey wysiadła i zasalutowała mu lekko. Na widok jej twarzy nie wezwał wsparcia ani nie uciekł z krzykiem; uśmiechnął się tylko szeroko i odsalutował.

Rzecz jasna, Lisey przeszło przez myśl, by przygotować sobie historyjkę na wypadek, gdyby spotkała zastępcę szeryfa na służbie, coś o tym, że „Zack McCool” zadzwonił do niej i powiedział, że postanowił wrócić do chałupy w Wargin-ji Zachodniej i zapomnieć o wdowi-je po pisarzu; za dużo wszędy onej jankeskiej policji. Oczywiście, nie używałaby akcentu rodem z „Deliverance”, i sądziła, że byłaby dość przekonująca, zwłaszcza w jej obecnym stanie baptystycznej łaski, w końcu jednak postanowiła tego nie robić. Taka historia mogłaby obudzić jeszcze większą czujność p.o. szeryfa Clutterbucka i jego zastępców - mogliby pomyśleć, że Jim Dooley próbuje ich ululać do snu. Nie, dużo lepiej zostawić sprawy własnemu biegowi. Dooley już raz znalazł do niej drogę; pewnie udałoby mu się to też przy następnej okazji. Gdyby go złapali, miałyby problem z głowy... choć tak Bogiem a prawdą, aresztowanie go nie wydawało jej się już najlepszym rozwiązaniem.

Tak czy owak, nie chciała okłamywać Alstona i Boeckmana bardziej niż to konieczne. Byli policjantami, robili, co mogli, by ją chronić, a do tego sympatyczne były z nich ówki.

- Co słyhać, pani Landon?

- Wszystko w porządku. Chciałam tylko powiedzieć, że jadę do Auburn. Moja siostra jest tam w szpitalu.

- Bardzo mi przykro z tego powodu. W CMG czy w Królestwie?

- W Greenlawn.

Nie była pewna, czy znał to miejsce, ale z lekkiego grymasu, który natężył mu twarz, domyśliła się, że tak.

- To przykre... ale przynajmniej pogoda jest w sam raz na przejażdżkę. Lepiej jednak wrócić przed wieczorem. W radiu zapowiadali silne burze, zwłaszcza tu, na zachodzie.

Lisey rozejrzała się i uśmiechnęła, najpierw do świata, który rzeczywiście był po letniemu piękny (przynajmniej dotąd), a potem do zastępcy szeryfa Alstona.

- Postaram się. Dziękuję za ostrzeżenie.

- Proszę bardzo. Wie pani, nos jakby trochę spuchł pani z boku. Coś panią dziabnęło?

- Komary czasem mi tak robią - odparła Lisey. - Przy wardze też mam bąbla. Widzi pan?

Alston wbił wzrok w jej usta, nie tak dawno obite otwartą dłonią Dooleya.

- Nie - powiedział. - Wcale.

- To dobrze, widać benadryl działa. Bylebym nie zrobiła się od niego senna.

- W razie czego proszę zjechać na pobocze, dobrze? Dla własnego dobra.

- Oczywiście, tatusiu - powiedziała Lisey i Alston parsknął śmiechem. Zaczerwienił się też lekko.

- A propos, pani Landon...

- Lisey.

- Tak, proszę pani. Lisey. Andy dzwonił. Prosił, żebyś zajrzała do biura szeryfa, kiedy ci będzie pasowało, i złożyła oficjalne zeznanie w sprawie. Wiesz, takie do akt, z twoim podpisem. Da radę?

- Tak. Postaram się wpaść w drodze powrotnej z Auburn.

- Hm. Zdradzę pani pewną tajemnicę, pani Lan... znaczy, Lisey. Kiedy zanosi się na ulewę, obie nasze sekretarki zwijają się wcześniej. Mieszkają pod Motton, a drogi tam są zalewane, jak tylko człowiek krzywo na nie spojrzy. Trzeba zrobić nowe przepusty.

Lisey wzruszyła ramionami.

- Zobaczymy - powiedziała. Ostentacyjnie spojrzała na zegarek. - Ojej, ale się późno zrobiło! Muszę już lecieć. Gdyby była taka potrzeba, może pan skorzystać z ubikacji, zastępco Alston...

- Joe. Jeśli ty jesteś Lisey, ja jestem Joe.

Podniosła kciuki.

- Dobrze, Joe. Klucz do tylnych drzwi jest pod stopniem ganku. Jak trochę pogmerasz, to go znajdziesz.

- Ano, w końcu jestem wykwalifikowanym śledczym - powiedział z kamienną twarzą.

Lisey wybuchnęła śmiechem i uniosła dłoń. Zastępca szeryfa Joe Alston, sam szeroko uśmiechnięty, przybił jej piątkę w słońcu, przy skrzynce na listy, w której znalazła zdechłego stodołowego kota Gallowayów.

## 5

W drodze do Auburn na jakiś czas zadumała się nad tym, jak zastępca szeryfa Joe Alston patrzył na nią, kiedy rozmawiali na końcu podjazdu. Dawno już oczy żadnego faceta nie powiedziały jej „skarbie, jakaś ty ładniutka”, ale stało się to dziś, choć miała podpuchnięty nos i w ogóle. Niesamowite. Po prostu niesamowite.

- Chcesz Być Piękną, Daj Się Słuc Jimowi Dooleyowi - powiedziała ze śmiechem. - Można by to wcisnąć którejs z podrzędnych stacji telewizyjnych.

A w ustach miała cudownie słodki smak. Zdziwi się, jeśli jeszcze kiedykolwiek zachce jej się papierosa. Może to też kupiłaby jakaś telewizja.

## 6

Kiedy Lisey dotarła do Greenlawn, było dwadzieścia po pierwszej. Nie spodziewała się zobaczyć tam samochodu Darli, ale mimo to odetchnęła z ulgą, kiedy się upewniła, że nie było go wśród kilkunastu rozrzuconych po parkingu dla gości. Wolą, by Daria i Canty były daleko na południu, gdzie nie dosięgnie ich niebezpieczne szaleństwo Jima Dooleya. Pamiętała, jak pomagała panu Silverowi sortować ziemniaki, kiedy była mała (no, miała dwanaście czy trzynaście lat, więc taka znowu mała nie była) i jak on zawsze przestrzegał ją, by w szopie, przy sortowniku nosiła spodnie i miała zawinięte rękawy. „Zaczepisz o coś, to ta ślicznotka cię rozbierze”, mawiał, a ona brała to sobie do serca, bo wiedziała, że staremu Maksowi Silverowi nie szło o to, co ogromniasty sortownik zrobiłby z jej ubraniem, tylko z nią samą. Amanda w tym uczestniczyła, odkąd się zjawiała, gdy Lisey bez przekonania brała się do sprzątania pracowni Scotta. Z tym Lisey się pogodziła. Daria i Canty jednak byłyby tylko kulą u nogi. Jeśli Bóg był



dobry, zatrzyma je w „Śnieżnym Szkwale”, gdzie jeść będą homary i popijać szprycery z białego wina, i to jeszcze długo, bardzo długo. Choćby do północy.

Zanim wysiadła, lekko dotknęła prawą dłońią lewej piersi i skrzywiła się w oczekiwaniu na przeszywający ból. Poczowała tylko lekkie rwanie. Niesamowite, pomyślała. Jakbym dotykała tygodniowej blizny. Jeśli kiedyś zwątpisz, czy Księżyc Boo’ya istnieje, Lisey, przypomnij sobie, co ten człowiek ci zrobił z piersią, niecałe pięć godzin temu, i jak się czujesz teraz.

Wysiadła, zamknęła wóz zdalnym kluczykiem SmartKey i przystanęła na chwilę, by się rozejrzeć, zapisać to miejsce w pamięci. Nie miała po temu wyraźnego powodu; nie potrafiłaby wyjaśnić, czemu to zrobiła, nawet gdyby chciała. Po prostu dalej krok po kroku posuwała się naprzód, trochę tak, jakby pierwszy raz piekła chleb na podstawie przepisu z książki kucharskiej, i to jej odpowiadało.

Świeżo wyasfaltowany, z nowo wymalowanymi liniami, parking dla gości Greenlawn ogromnie przypominał jej parking, na którym przed osiemnastoma laty padł jej mąż, i usłyszała z zaświatów głos profesora Rogera Dashmiela, vel południowego trzęsidupy, mówiący: „Przędziemy przez tamten parking do Nelson Hall, gdzie, chwała Bągu, mamy klęmatyzację”. Tu nie było Nelson Hall; Nelson Hall zostało w Krainie Wczoraj, wraz z człowiekiem, który pojechał tam, by wykopać łopatę ziemi i zainaugurować budowę Biblioteki Shipmana.

Tym, co górowało nad starannie przystrzyżonymi żywopłotami, był nie budynek wydziału anglistyki, lecz gładkie mury i jasne okna domu wariatów na miarę dwudziestego pierwszego wieku; w takim właśnie czystym, dobrze oświetlonym gmachu mógłby wylądować jej mąż, gdyby wcześniej nie wykończyło go coś innego, jakiś bakcyl, który lekarze z Bowling Green postanowili nazwać zapaleniem płuc (nikt nie chciał napisać „przyczyny nieznaną” w akcie zgonu człowieka, o którego śmierci gazety poinformują na pierwszej kolumnie).

Po tej stronie żywopłotu rósł dąb; Lisey zaparkowała bmw w jego cieniu, choć - tak - widziała chmury zbierające się na zachodzie, więc może zastępca szeryfa Joe Alston miał rację co do popołudniowej burzy. Drzewo nadawałoby się w sam raz na punkt orientacyjny, gdyby było tu jedyne, no ale wzdłuż żywopłotu ciągnął się cały ich szereg, w oczach Lisey niczym się od siebie nie różniły... zresztą, jakie to miało smerdolone znaczenie?

Ruszyła w stronę ścieżki do głównego budynku, ale coś - głos, który w niczym nie przypominał żadnego z odcieni jej głosu wewnętrznego - molestowało ją, żeby zawróciła, raz

jeszcze obejrzała samochód i miejsce, na którym stał. Była ciekawa, czy to coś chce, by przestawiła bmw gdzie indziej. Jeśli tak, niezbyt jasno wyrażało swoje pragnienia. Obeszła samochód wkoło, tak, jak ojciec jej mówił, żeby zawsze robić przed długą podróżą. Tyle że wówczas szukało się wytartych bieżników, zepsutego światła tylnego, zwisającego tłumika i innych takich. Teraz sama nie wiedziała, czego szuka.

*Może tylko odwlekam spotkanie z nią. Może o to chodzi i tyle.*

Ale tak nie było. Tu chodziło o coś więcej. Coś ważnego.

Obejrzała tablicę rejestracyjną - 5761RD, z tym durnym nurem - i straaaasznie wyblakłą nalepkę na zderzaku, żartobliwy prezent od Jodi. Napis na niej głosił WIEM, ŻE JEZUS KOCHA MNIE, WIĘC DAJĘ GAZU, ILE CHCĘ. Nic poza tym.

To za mało, upierał się głos, i wtedy właśnie wypatrzyła coś ciekawego w przeciwległym rogu parkingu, niemal pod samym żywoplotem. Pustą zieloną butelkę. Ani chybi po piwie. Ekipa sprzątająca pewnie jej nie zauważyła albo jeszcze do niej nie dotarła. Lisey pospiesznie podeszła i podniosła ją. Poczowała ulatujący z szyjki kwaskowaty, rolny zapach. Na etykiecie widniał lekko wyblakły pies z wyszczerzonymi kłami. Sądząc z napisu, butelka niegdyś zawierała piwo Nordic Wolf Premium. Lisey wróciła z nią do samochodu i postawiła ją na asfalcie, dokładnie pod nurem na tablicy rejestracyjnej.

Kremowe bmw, to za mało.

Kremowe bmw w cieniu dębu, też nie wystarczy.

Kremowe bmw w cieniu dębu, z pustą butelką po piwie Nordic Wolf pod ozdobioną nurem tablicą rejestracyjną 5761RD, trochę na lewo od żartobliwej nalepki na zderzaku... może być.

Ledwo, ledwo.

A po co to?

Lisey to równo smerdoliła.

Ruszyła szybko w stronę głównego budynku.

Nie miała kłopotu, by zobaczyć się z Amandą, choć popołudniowe godziny odwiedzin oficjalnie zaczynały się dopiero o drugiej, czyli za pół godziny. Dzięki doktorowi Hugh Albernessowi - i Scottowi, rzecz jasna - Lisey była w Greenlawn swego rodzaju gwiazdą. Dziesięć minut po podaniu nazwiska w recepcji (nad którą górował gigantyczny mural w stylu New Age, przedstawiający dzieci trzymające się za ręce i wpatrzone z zachwytem w ciemne niebo), Lisey siedziała już z siostrą na tarasiku przed pokojem Amandy, sączyła mdły poncz z papierowego kubka i obserwowała mecz krokieta na falującym trawniku, któremu zakład bez wątplenia zawdzięczał swoją nazwę. Gdzieś poza zasięgiem wzroku monotonnie terkotała kosiarka. Dyżurna pielęgniarka spytała Amandę, czy też nie napiłaby się „soczku” i uznała jej milczenie za zgodę. Nietknięty kubek stał teraz na stoliku, a Amanda, w jasnozielonej piżamie z dopasowaną do niej wstążką w świeżo umytych włosach, patrzyła tępo w dal - nie na graczy w krokieta, pomyślała Lisey, tylko przez nich. Dłonie miała splecione na podołku, ale Lisey widziała okalające lewą brzydkie skaleczenie i błysk świeżej maści. Próbowwała zagadnąć siostrę na trzy różne sposoby, ale Amanda nie odpowiedziała nawet słowem. Pielęgniarka uznała, że to całkiem normalne. Amanda była w tej chwili odcięta od świata, nie przyjmowała wiadomości, zrobiła sobie przerwę, wzięła urlop, krążyła w pasie asteroid. Całe życie sprawiała kłopoty, ale teraz przeszła samą siebie.

A Lisey, która za raptem sześć godzin spodziewała się towarzystwa w pracowni męża, nie miała na to czasu. Wzięła łyk praktycznie pozbawionego smaku napoju, żalując, że to nie cola - tu *verboten*, bo kofeina i w ogóle - i odstawiła kubek. Rozejrzała się, by sprawdzić, czy są same, nachyliła się i zabrała dłonie Amandy z jej podołka, starając się nie krzywić, kiedy dotknęła oślizłej maści i wyczuwalnych pod nią wypukłych śladów po rozcięciach. Jeśli Amandę bolało, kiedy tak ją trzymała, nie okazywała tego. Jej twarz pozostała gładka, bez wyrazu, jakby spała z otwartymi oczami.

- Amanda - powiedziała Lisey. Próbowwała nawiązać kontakt wzrokowy z siostrą, ale to nie wchodziło w grę. - Amanda, posłuchaj mnie, i to już. Chciałaś pomóc mi uprzątnąć rzeczy po Scotcie, i twoja pomoc bardzo by mi się teraz przydała. Potrzebuję twojej pomocy.

Milczenie.

- Jest taki zły człowiek. Szaleniec. Trochę taki, jak tamten sukinsyn z Nashville, Cole,

właściwie to nawet bardzo do niego podobny, tyle że tym razem sama sobie nie poradzę. Musisz wrócić stamtąd, gdziekolwiek jesteś, i pomóc mi.

Brak odpowiedzi. Amanda patrzyła na graczy w krokieta. Przez graczy w krokieta. Kosiarka terkotała. Papierowe kubki soczku stały na stoliku, który nie miał kantów, kanty były tu tak *verboten* jak kofeina.

- Wiesz, co myślę, Mandusiu-trusiu? Myślę, że siedzisz na jednej z tych kamiennych ławek z resztą zamulonych zombi i gapisz się na staw. Pewnie Scott zobaczył cię tam w czasie jednej ze swoich wizyt i powiedział sobie: „O, ta to lubi się ciąć. Poznaję takich na odległość, mój tata był w tej bandzie. Kurde, sam do niej należę”. Powiedział sobie: „Damulkę czeka tu wczesna emerytura, chyba że ktoś wsadzi jej kij w szprychy, że tak powiem”. Zgadza się mniej więcej, Manda?

Nic.

- Nie wiem, czy przewidział, że zjawi się Jim Dooley, ale wiedział, że wylądujesz w Greenlawn, to pewne jak sraczka po grochówce. Pamiętasz, jak tata czasem tak mówił? Pewne jak sraczka po grochówce? A kiedy Dobra Mama na niego krzyczała, mówił, że sraczka to tak, jak kurka wodna, sraczka to nie brzydkie słowo. Pamiętasz?

I dalej nic ze strony Amandy. Tylko patrzy tymi wybaluszonymi gałami przed siebie. Zwariować można.

Lisey pomyślała o tamtej zimnej nocy ze Scottem w pokoju gościnnym, kiedy huczał wiatr i niebo płonęło, i przysunęła usta do ucha Amandy.

- Jeśli mnie słyszysz, uściśnij moje ręce - szepnęła. - Ile siły.

Czekała, mijały sekundy. Już miała dać za wygraną, gdy nagle poczuła leciutkie drgnięcie. Mógł to być bezwiedny skurcz mięśnia albo złudzenie, ale Lisey tak nie sądziła. Wierzyła, że gdzieś daleko stąd Amanda usłyszała, jak siostra wzywa jej imienia. Przywrzaskuje ją do domu.

- No dobrze - powiedziała Lisey. Serce tłukło się w piersi tak mocno, aż bała się, że ją zadusi. - Brawo. To już początek. Idę po ciebie, Amanda. Przyprawdę cię do domu, a ty mi pomożesz. Słyszysz? Musisz, po prostu musisz mi pomóc.

Lisey zamknęła oczy i jeszcze raz mocno ścisnęła dłonie Amandy. Wiedziała, że być może

zadaje jej ból, ale nie zważała na to. Manda mogła ponarzekać później, jak już będzie miała głos, którym będzie mogła narzekać. Jeśli będzie miała głos, którym będzie mogła narzekać. Ach, ale świat zbudowany był z „jeśli”, powiedział jej kiedyś Scott.

Lisey zebrała siłę woli, skupiła się i przywołała najwyraźniejszą wersję stawu, jaką potrafiła, zobaczyła skalną misę, w której leżał, czystą białą strzałkę plaży z kamiennymi ławami na łagodnie zaokrąglonych stopniach, wyłom w głazie i drugą ścieżkę, jak gardło, prowadzącą na cementarz. Nadała wodzie jasnoniebieską barwę, rozmigotaną tysiącami słonecznych punkcików, wyczarowała staw w południe, bo miała po dziurki w nosie Księżycy Boo'ya o zmierzchu, za to już dziękujemy.

Teraz, pomyślała i zaczekała, aż napłynie fala innego powietrza i odgłosy Greenlawn przycichną. Przez moment wydawało jej się, że już przycichły, ale nie, to wyobraźnia płatała figle. Otworzyła oczy i nadal była tu i teraz, na tarasiku, z kubkiem soczku Amandy na okrągłym stoliku; sama Amanda pozostawała w stanie głębokiego katatonicznego spokoju, jak oddychająca woskowa figura w jasnozielonej piżamie, zapinanej na rzepy, bo guziki można by połknąć. Amanda z dopasowaną zieloną wstążką we włosach i oceanami w oczach.

Przez chwilę Lisey opadły straszne wątpliwości. Może to wszystko było tylko wytworem jej szaleństwa - wszystko prócz Jima Dooleya, rzecz jasna. Tak porąbane rodziny jak Landonowie istniały tylko w powieściach V.C. Andrews, a miejsca takie, jak Księżyc Boo'ya wyłącznie w bajkach dla dzieci. Była żoną pisarza, któremu się umarło, ot i wszystko. Raz go ocaliła, ale czternaście lat później, kiedy zachorował w Kentucky, nie mogła nic zrobić, bo mikrobowi nie da się przywalić w łeb łopatą, nie?

Puszczala już dłonie Amandy, ale zaraz ścisnęła je znowu. Jej mocne serce i silna wola zaprotestowały jednym głosem. Nie! To było prawdziwe! Księżyc Boo'ya naprawdę istnieje! Byłam tam w 1979, zanim wyszłam za Scotta, potem w 1996, by znaleźć go, kiedy to było konieczne, sprowadzić go do domu, kiedy trzeba go było sprowadzić, i znalazłam się tam znów dziś rano. Gdybym miała wątpliwości, wystarczy porównać to, jak bolała mnie pierś, kiedy skończył z nią Jim Dooley, z tym, jak czuję się teraz. Nie mogę się tam dostać dlatego, że...

- Afrykan - mruknęła. - Mówił, że afrykan trzyma nas tu jak kotwica, nie wiedział, dlaczego. Trzymasz nas tu, Manda? Czy jest w tobie jakiś strach, upór, który trzyma nas tutaj? Trzyma tu mnie?

Siostra nie odpowiedziała, ale Lisey miała wrażenie, że trafiła w sedno. Jakaś cząstka Amandy chciała, by Lisey przyszła po nią i przyprowadziła ją z powrotem, ale była też inna cząstka, taka, która nie chciała ratunku, tylko pragnęła zostawić w cholerę ten brudny świat i jego problemy. Cząstka ta nie miałaby nic, ale to nic przeciwko temu, by dalej jeść lunch przez rurkę, walić kupy w pieluchę, spędzać ciepłe popołudnia tu, na tarasiku, w pizamie zapinanej na rzepy, i patrzeć na zielone trawniki i graczy w krokietu. A na co tak naprawdę patrzyła Amanda?

Na staw.

Staw o poranku, staw po południu, staw o zachodzie słońca i lśniący w blasku gwiazd i księżycy, ze smużkami mgły wysnuwającymi się z tafli jak sny o zapomnieniu.

Lisey uprzytomniła sobie, że wciąż ma słodki smak w ustach, taki, jaki zwykle czuła tylko zaraz po przebudzeniu, i pomyślała: To ze stawu. Moja nagroda. Moje picie. Dwa łyki. Jeden dla mnie i jeden dla...

- Jeden dla ciebie - powiedziała. Nagle następny krok stał się tak cudownie oczywisty, że aż się zdumiała, po co straciła tyle czasu. Nie puszczając dłoni Amandy, wychyliła się do przodu tak, że ich twarze znalazły się naprzeciw siebie. Zamglone oczy Mandy wciąż patrzyły w dal spod równo przyciętej, siwiejącej grzywki, jakby przenikały siostrę na wylot. Dopiero kiedy Lisey przesunęła ręce w górę, na jej łokcie, unieruchamiając ją, i przycisnęła usta do jej ust, Amanda wybałuszyła oczy, ponieważ dotarło do niej, co się dzieje; próbowała stawić opór, ale było już za późno. Usta Lisey wypełniła słodycz cofającego się ostatniego łyku ze stawu. Językiem rozchyliła wargi Amandy i kiedy poczuła, jak woda przepływa z jej ust do ust siostry, zobaczyła staw w pełnym blasku dnia, z jasnością, jakiej nie osiągnęła przy poprzednich próbach skupienia się i wizualizacji, choć włożyła w nie tyle wysiłku i energii. Czuła woń frangipani i bugenwilli mieszającą się z mocnym i dziwnie smutnym, oliwkowym zapachem, który, jak wiedziała, za dnia wydzielają kochane drzewa. Pod stopami miała ubity gorący piach, była boso, bo tenisówki nie przeniosły się razem z nią. Tenisówki nie, ale ona się przeniosła, udało jej się, przeszła na drugą stronę, była

Była z powrotem na Księżycu Boo'ya, stała na ciepłym, ubitym piasku plaży, tym razem z nieba padały deszczem promienie słońca, tafla iskrzyła się nie tysiącami, lecz chyba milionami świetlnych punkcików. Tu woda była bowiem szersza. Lisey patrzyła przez chwilę na nią, zauroczona, i na kołyszący się w przystani wielki żaglowiec. Kiedy tak mu się przyglądała, nagle pojęła to, co powiedziała jej istota z łóżka Amandy.

„Co dostanę w nagrodę?”, spytała Lisey, a to coś - jakimś cudem będące jednocześnie Scottem i Amandą - powiedziało, że picie. Kiedy spytała, czy fantę, czy colę, usłyszała: „Cicho bądź. Chcemy patrzeć na malwy”. Lisey założyła, że chodzi o kwiaty. Zapomniała, że dawno, dawno temu słowo to miało zupełnie inne znaczenie. Magiczne.

Właśnie ten statek, kołyszący się na kotwicy wśród rozmigotanego błękitu wody, Amanda widziała... bo to musiała być Amanda; Scott prawie na pewno nie mógł wiedzieć o tej cudownej łodzi z dziecięcych marzeń.

Ale nie staw miała przed oczami; to była przystań, w której na kotwicy stał jeden jedyny statek, zbudowany dla dzielnych piratek, mających odwagę się wyprawić na poszukiwanie skarbu (i chłopaków). A kto był ich kapitanem? Oczywiście, mężna Amanda Debusher, jakżeby inaczej, bo czy tenże żaglowiec nie był onegdaj najradośniejszym wytworem wyobraźni Mandy? Dawno, dawno temu, zanim stała się na zewnątrz tak gniewna, a w duchu tak przerażona?

*Cicho bądź. Chcemy patrzeć na „Malwy” ..*

Och, Amanda, pomyślała Lisey niemal z żalem. To był staw, do którego schodzili wszyscy, autentyczny źródło wyobraźni, dlatego też rzecz jasna każdy widział go nieco inaczej. Ten azyl z lat dzieciństwa był wersją Amandy. Ławki pozostały jednak te same, co kazało Lisey sądzić, że przynajmniej one były twardą rzeczywistością. Dziś siedziało na nich dwadzieścia-trzydzieści osób, wpatrzonych w zadumie w morze, i mniej więcej tyle samo spowitych całunem postaci, które w świetle dnia przypominały obrzydliwe insekty zawinięte w jedwab przez ogromne pająki.

Szybko wypatrzyła Amandę, kilkanaście ławek dalej. Aby do niej dotrzeć, ominęła dwoje milczących obserwatorów i jedną straszną postać w całunie. Usiadła obok i raz jeszcze wzięła siostrę za rękę, które tu nie były pocięte ani nawet zabliznione. Kiedy je trzymała, palce Amandy powoli, ale wyraźnie zacisnęły się na jej palcach. Wtedy na Lisey spłynęła dziwna pewność. Amanda nie potrzebowała drugiego łyku ze stawu, ani zachęty, by wejść do uzdrawiającej wody. Ona naprawdę chciała wrócić do domu. Czekwała na ocalenie jak śpiąca królewna z bajki... albo

dzielna piratka wtrącona do straszliwego lochu. Jak wielu spośród tych bez całunów było w takiej sytuacji? Lisey widziała ich na pozór spokojne twarze i nieobecne spojrzenia, ale to nie znaczyło, że niektórzy nie krzyczeli w duchu, by ktoś pomógł im odnaleźć drogę do domu.

Lisey, która pomoc mogła tylko własnej siostrze - a i to nie na pewno - zadrżała i odpędziła tę myśl.

- Amanda - powiedziała - wracamy, ale musisz mi pomóc. Najpierw nic. Potem, bardzo słabe, bardzo ciche, jakby przez sen wypowiedziane słowa:

- Liii-sey? Piłś... ten gówniany poncz?

Lisey mimo woli parsknęła śmiechem.

- Trochę. Przez grzeczność. Spójrz na mnie.

- Nie mogę. Patrzę na „Malwy”. Będę piratem... i przepłynę... - jej głos przycichł - ...siedem mórz... skarb... Wyspy Kanibali...

- To było na niby - odparta Lisey. Nie spodobał jej się ostry ton, który usłyszała w swoim głosie; to było trochę tak, jakby dobywała miecza, by zabić niemowlę leżące spokojnie na trawie, niekrzywdzące nikogo. Bo czymże innym były dziecięce marzenia? - Widzisz to, bo to miejsce chce cię tu zatrzymać. To tylko... tylko baf.

Odpowiedź Mandy była zaskakująca... zaskakująca i bolesna.

- Scott mówił, że spróbujesz tu przyjść. Że gdybym cię potrzebowała, spróbujesz przyjść.

- Kiedy, Manda? Kiedy ci to powiedział?

- Bardzo mu się tu podobało. - Amanda westchnęła głęboko. - Nazywał to Księżę Boolya czy jakoś tak. Mówił, że łatwo to miejsce pokochać. Za łatwo.

- Kiedy, Manda, kiedy to było? - Lisey miała ochotę nią potrząsnąć.

Amanda podjęła ogromny wysiłek... i uśmiechnęła się.

- Kiedy ostatnio się cięłam. Scott kazał mi wrócić do domu. Powiedział... że jestem wam wszystkim potrzebna.

Teraz tak wiele stało się dla Lisey zrozumiałe. Za późno, by to cokolwiek zmieniło, rzecz jasna, ale mimo wszystko lepiej było wiedzieć. A dlaczego nic nie powiedział własnej żonie? Bo



był świadom, że lalunia Lisey boi się Księżycy Boo'ya i stworzeń - jednego w szczególności - które tu żyły? Tak. Bo czuł, że sama dowie się o wszystkim w odpowiednim dla siebie czasie? To też.

Amanda znów odwróciła spojrzenie ku statkowi kołyszącemu się na falach w przystani, która była jej odpowiednikiem stawu Scotta. Lisey potrząsnęła nią za ramię.

- Musisz mi pomóc, Manda. Jeden wariat chce mi zrobić krzywdę i potrzebuję cię, żeby włożyć mu kij w szprychy. Musisz mi pomóc już, teraz!

Amanda odwróciła się do Lisey z komicznym wręcz wyrazem zdumienia na twarzy. Pod nimi, kobieta w kaftanie, trzymająca zdjęcie uśmiechniętego, szczerbatego dziecka, obejrzała się i powiedziała powoli, z monotonnym wyrzutem:

- Bądźcie... cicho... muszę... pomyśleć... czemu... to... zrobiłam.

- Pilnuj swojego nochała, Betty - ucięła Lisey i odwróciła się do Amandy. Odetchnęła z ulgą, kiedy napotkała spojrzenie siostry.

- Lisey, kto...?

- Szaleniec. Pojawił się z powodu cholernych papierów i rękopisów Scotta, tyle że teraz bardziej interesuje się mną. Dziś rano zrobił mi krzywdę i skrzywdzi mnie znowu, jeśli ja... jeśli my nie... - Amanda znów zaczęła odwracać się w stronę statku stojącego na kotwicy i Lisey mocno przytrzymała jej twarz, by patrzyły na siebie. - Słuchaj mnie uważnie, Tyko.

- Nie nazywaj mnie Tyką...

- To się skup. Pamiętasz mój samochód? Moje bmw?

- Tak, ale Lisey...

Oczy Amandy uparcie wędrowały ku wodzie. Lisey już miała odwrócić jej głowę ku sobie, ale instynkt podpowiedział jej, że byłoby to w najlepszym razie prowizoryczne rozwiązanie. Jeśli naprawdę zamierzała zabrać stąd siostrę, musiała dokonać tego swoim głosem, siłą woli, i koniec końców tylko pod warunkiem że ona sama będzie chciała wrócić.

- Manda, ten typ... co tam, że zrobi mi krzywdę, jeśli mi nie pomożesz, nie można wykluczyć, że mnie zabije.

Amanda spojrzała na nią ze zdumieniem i zakłopotaniem.

- Zabije...?

Lisey pokiwała głową.

- Daję słowo, że wszystko wyjaśnię, ale nie tutaj. Jeśli zostaniemy tu dłużej, skończy się to tak, że nic, tylko będę gapić się z tobą na „Malwy”. - I nie uważała, że to kłamstwo. Czuła, jak to coś ją przyciąga, jak chce, by patrzyła. Gdyby się poddała, dwadzieścia lat mogło zlecieć jak dwadzieścia minut, a po ich upływie nadal siedziałyby tu ze starszą siostrunią Mandusią-trusią i czekały, żeby wejść na pokład statku pirackiego, który zawsze nęcił, ale nigdy nie odpływał.

- Będę musiała pić ten gówniany poncz? Ten... - Amanda zmarszczyła brwi, wyęzając pamięć. Po chwili bruzdy się wygładziły. - Ten sooooooczek?

Wymówiła to słowo jak dziecko i zaskoczona tym Lisey znów parsknęła śmiechem. Także teraz kobieta w kaftanie, ze zdjęciem w rękę, odwróciła się. Ku uciesze Lisey, Amanda posłała jej wyniosłe spojrzenie mówiące „Czego się gapisz, cipo?”... a potem podniosła wyprostowany środkowy palec.

- To jak, Lisey, laluniu? Będę musiała to pić?

- Nie, ani ponczu, ani soczku, obiecuję. Na razie pomyśl o moim samochodzie. Wiesz, jaki ma kolor? Jesteś pewna, że pamiętasz?

- Kremowy. - Lekko zacisnęła usta i jej twarz przybrała wyraz, który wskazywał na to, że zaraz padnie Kilka Słów Prawdy, czy to się komu podoba, czy nie. Lisey nie posiadała się z radości na ten widok. - Mówiłam ci, kiedy go kupiłaś, że na takim kolorze najlepiej widać brud, ale nie chciałaś mnie słuchać.

- Pamiętasz nalepkę na zderzaku?

- To był żart z Jezusa, zdaje się. Prędzej czy później zeskrobie ci ją jakiś wkurzony pobożniś. I zarysuje lakier na szczęście.

Gdzieś z góry dobiegł męski głos, pełen dezaprobaty.

- Jeśli musicie rozmawiać. Powinnyście pójść. Gdzie indziej.

Lisey nie chciało się nawet odwracać, a co dopiero pokazywać mu środkowy palec.

- Na nalepce jest napis WIEM, ŻE JEZUS KOCHA MNIE, WIĘC DAJĘ GAZU, ILE CHCĘ. Zamknij oczy, Amanda, i zobacz mój samochód. Od tyłu, tak, żebyś widziała nalepkę na zderzaku. Zobacz go w cieniu drzewa. Cień się porusza, bo jest wietrznie. Dasz radę?

- Ta-a-ak... chyba tak... - Oczy uciekły jej w bok, by ostatni raz spojrzeć tęsknie na statek w przystani. - Jeśli dzięki temu ktoś nie będzie mógł cię skrzywdzić... ale nie rozumiem, co to może mieć wspólnego ze Scottem. On umarł tak dawno... chociaż... zdaje się, że mówił mi coś o złotym afganie Dobrej Mamy, i chyba chciał, żebym przekazała to tobie. Oczywiście, nie zrobiłam tego. Tyle zapomniałam z tamtych czasów... pewnie umyślnie.

- Z jakich czasów? Z jakich czasów, Manda?

Amanda spojrzała na Lisey tak, jakby jej młodsza siostra była najgłupsza na świecie.

- Z tych, kiedy się cięłam. Po tym, jak ostatnio pokroiłam sobie pępek... byliśmy tutaj. - Amanda podniosła palec do policzka i zrobiła sobie w nim dołek. - Mówił coś o opowieści. Dla ciebie, dla Lisey. I o afganie. Tyle że nazywał go afrykanem. Powiedział, że to... buch? Bip? Bach? Może mi się tylko śniło.

Te słowa były dla Lisey jak grom z jasnego nieba, ale nie wytrąciły jej z równowagi. Jeśli miała zabrać stąd Amandę - i siebie - musiała zrobić to już, teraz.

- Nie myśl o tym, Mandziu, zamknij oczy i zobacz mój samochód. Najdokładniej, jak potrafisz. Ja się zajmę resztą.

Mam nadzieję, pomyślała i kiedy zobaczyła, że Amanda zamyka oczy, zrobiła to samo i mocno ścisnęła dłonie siostry. Teraz już wiedziała, czemu musiała tak wyraźnie przyjrzeć się swojemu samochodowi; aby mogły wrócić na parking dla gości, a nie do pokoju Amandy na de facto zamkniętym oddziale.

Zobaczyła swoje kremowe bmw (Amanda miała rację, ten kolor to porażka), i zostawiła resztę siostrze. Sama skupiła się na tym, by dodać 5761RD do tablicy rejestracyjnej, i *na piece de resistance*: butelce po piwie Nordic Wolf, stojącej na asfalcie trochę na lewo od nalepki WIEM, ŻE JEZUS KOCHA MNIE, WIĘC DAJĘ GAZU, ILE CHCĘ. Wydawało jej się, że wszystko wygląda idealnie, a mimo to wciąż czuła charakterystyczne, wonne powietrze, i słyszała słaby łopot, który musiał być odgłosem luźno rozwieszzonego płótna falującego na lekkiej bryzie. Pod sobą miała chłodną, kamienną ławkę. Wpadła prawie w popłoch. A jeśli tym razem nie zdoła

wrócić?

Nagle, jakby z oddali, dobiegło ją poirytowane mruknięcie Amandy:

- O jeny. Zapomniałam o zasranym nurze na tablicy rejestracyjnej.

Falujący łopot płótna zlał się w jedno z warkotem kosiarki, by zaraz ucichnąć. Tyle że teraz kosiarkę słyszeć było w oddali, bo...

Lisey otworzyła oczy. Stały z Amandą na parking, za jej bmw. Amanda trzymała Lisey za rękę, jej powieki były mocno zaciśnięte, czoło marszczyło się w wyrazie głębokiego skupienia. Wciąż miała na sobie jasnozieloną pizamę zapinaną na rzepy, ale była boso. Lisey zorientowała się, że kiedy pielęgniarka dyżurna zajrzy na taras, na którym zostawiła Amandę Debusher z siostrą, Lisą Landon, zobaczy dwa puste krzesła, dwa papierowe kubki soczku, jedną parę kapci i jedną parę tenisówek ze skarpetkami W środku.

A wtedy - czyli już niezabawem - podniesie alarm.

Z oddali, od strony Castle Rock i New Hampshire, dobiegł grzmot. Nadciągała letnia burza.

Amanda! - Lisey znalazła nowy powód do niepokoju: a jeśli Amanda otworzy oczy i nie będzie w nich nic prócz tych pustych oceanów?

Jej oczy były jednak w pełni przytomne, choć może nieco rozbiegane. Spojrzała na parking, bmw, siostrę, a potem na siebie.

- Nie ściskaj mi rąk tak mocno, Lisey - powiedziała. - To boli jak cholera. Poza tym, przydałyby się jakieś ciuchy. Przez tę kretyńską pizamę wszystko widać, a nie mam majtek, a co dopiero stanika.

- Znajdziemy ci jakieś ubranie - obiecała Lisey, w nieco spóźnionym popłochu poklepała się po prawej kieszeni spodni roboczych i odetchnęła z ulgą. Miała portfel. Uczucie ulgi zaraz jednak prysło. Jej smartkey, który włożyła do lewej kieszeni spodni - była tego pewna, zawsze tam go chowała - zniknął. Nie przeniósł się razem z nią. Albo leżał na tarasie pokoju Amandy z tenisówkami i skarpetami, albo...

- Lisey! - krzyknęła Amanda i ścisnęła jej ramię.

- Co? CO! - Lisey obróciła się na pięcie, ale z tego, co zauważyła, były na parking same.

- Ja się naprawdę obudziłam! - wychrypiała Amanda. W oczach miała łzy.

- Wiem - powiedziała Lisey. Nie mogła powstrzymać się od uśmiechu, choć ciągle myślała o zgubionym kluczyku. - To cudowne, że ja smerdoję.

- Idę po ubranie - oznajmiła Amanda i ruszyła w stronę budynku. Lisey w ostatniej chwili złapała ją za rękę. Jak na kobietę, która ledwie kilka minut wcześniej była w katatonii, starsza siostrunia Mandusia-trusia tryskała energią niczym pstrąg o zachodzie słońca.

- Nie przejmuj się ubraniami - powiedziała Lisey. - Jeśli tam teraz wrócisz, gwarantuję ci, że zostaniesz na noc. O to ci chodzi? - Nie!

- To dobrze, bo chcę cię mieć przy sobie. Niestety, chyba będziemy musiały zniżyć się do skorzystania z komunikacji miejskiej.

Amanda omal nie wrzasnęła:

- Mam wsiąść do autobusu ubrana jak tancerka na rurze?

- Amanda, nie mam kluczyka. Został na tarasie albo jednej z tych ławek... pamiętasz ławki?

Amanda z ociąganiem pokiwała głową.

- A nie miałaś zapasowego w takim magnetycznym jak-to-tam-zwał pod tylnym zderzakiem lexusa? Którego kolor, nawiasem mówiąc, był w sam raz na północny klimat?

Lisey puściła drwinę mimo uszu. Scott dał jej „takie magnetyczne jak-to-tam-zwał” na urodziny pięć czy sześć lat wcześniej i kiedy zamieniła lexusa na beemwicę, bez namysłu przeniosła zapasowy kluczyk bmw do tej małej metalowej skrzynki. Powinna być pod tylnym zderzakiem. Chyba że odpadła. Lisey uklękła na jedno kolano, macała podwozie i kiedy już zaczynała popadać w rozpacz, jej palce natrafiły na skrzynkę, podczepioną wysoko i zgrabnie jak zwykle.

- Amanda, kocham cię. Jesteś geniuszem.

- Wcale nie - odparła z całą godnością, na jaką może zdobyć się bosa kobieta w cienkiej zielonej piżamie. - Tylko twoją starszą siostrą. To jak, możemy już wsiąść? Asfalt się bardzo nagrzał, nawet w cieniu.

- Jasne - powiedziała Lisey i otworzyła drzwi zapasowym kluczykiem. - Musimy się stąd

zmyć, tyle że, o rany, nie chciałabym... - Urwała, parsknęła śmiechem i potrząsnęła głową.

- Co? - W głosie Amandy pojawił się charakterystyczny ton, który oznaczał „co znowu?”.

- Nic. To znaczy... przypomniało mi się coś, co powiedział tata, kiedy dostałam prawo jazdy. Któregoś dnia odwoziłam grupę dzieciaków z plaży White's i... pamiętasz White's? - Siedziały już obie w samochodzie i Lisey wyjeżdżała tyłem z cienia. Na razie w tej części świata było cicho i chciała, by tak zostało.

Amanda prychnęła i zapięła pas, ostrożnie, uważając na poranione dłonie.

- White's! He! Stara żwirownia ze strumykiem na dzień! - Miejsce pogardy na jej twarzy zajęła tęsknota. - Bez porównania z piaskiem w Southwind.

- Tak to nazywałaś? - spytała Lisey, wbrew sobie zaciekawiona. Zatrzymała się na zjeździe z parkingu, czekając na przerwę w strumieniu samochodów, by skręcić w lewo na Minot Avenue i skierować się z powrotem do Castle Rock. Ruch był duży i musiała zwalczyć pokusę, by odbić w prawo, byle jak najdalej stąd.

- Oczywiście - potwierdziła Amanda lekko obrażonym tonem. - „Malwy” zawsze przyplýwał do Southwind po zaopatrzenie. Tam też piratki spotykały się z chłopakami. Nie pamiętasz?

- Mgliście - przyznała Lisey, ciekawa, czy usłyszy za plecami wycie alarmu, kiedy odkryją zniknięcie Amandy. Pewnie nie. Nie można straszyć pacjentów. Zobaczyła kawałek wolnego miejsca między samochodami i wjechała na jezdnię, powitana trąbieniem przez jakiegoś niecierpliwego kierowcę, który musiał zwolnić o kilka kilometrów na godzinę, by ją wpuścić.

Amanda pokazała mu - prawie na pewno był to mężczyzna nieogolony, w baseballówce - wyprostowane środkowe palce obu rąk, energicznie podnosząc zaciśnięte pięści na wysokość ramienia. Nawet się nie odwróciła.

- Doskonała metoda - powiedziała Lisey. - Rób tak dalej, a któregoś dnia zgwałcą cię i zabiją.

Amanda łypnęła chytrze na siostrę.

- Przyganiał kocioł garnkowi. - Bez przerwy na złapanie tchu dodała: - Co powiedział ci Dandy, kiedy tamtego dnia wróciłaś z White's? Założę się, że coś głupiego.

- Zobaczył mnie, kiedy wysiadałam z tego starego pontiaca i nie miałam tenisówek czy

sandałów, wtedy powiedział, że prawo w stanie Maine zabrania prowadzić samochód bosy. -  
Mówiąc to, Lisey zerknęła z miną winowajcy na swoją bosą stopę na pedale gazu.

Amanda wydała cichy, zgrzytliwy dźwięk. Lisey myślała, że płacze czy próbuje płakać.  
Dopiero po chwili zorientowała się, że to chichot. Sama zaczęła się uśmiechać, po części dlatego,  
że zobaczyła przed sobą objazd drogi numer 202, który pozwoli jej ominąć największe korki.

- Ależ z niego był bałwan! - powiedziała Amanda między kolejnymi spazmami śmiechu. -  
Słodki stary bałwan! Dandy Debusher! Łeb pełen cukru! Wiesz, co mi kiedyś powiedział?

- Nie, co takiego?

- Chcesz się dowiedzieć, to spluń.

Lisey wcisnęła guzik opuszczający szybę, splunęła i wytarła grzbietem dłoni wciąż lekko  
opuchniętą dolną wargę.

- Co powiedział, Manda?

- Że jeśli będę się całować z otwartymi ustami z chłopakiem, zajdę w ciążę.

- Oj, nie chrzań!

- Naprawdę i powiem ci coś jeszcze.

- Co?

- Jestem pewna, że w to wierzył.

Obie wybuchnęły śmiechem.

### XIII

#### Lisey i Amanda (siła sióstr)

##### 1

Teraz, kiedy miała Amandę u swojego boku, Lisey nie była pewna, co z nią właściwie zrobić. Aż do wizyty w Greenlawn wszystkie kroki wydawały się oczywiste, ale gdy jechały ku Castle Rock i chmurom burzowym spiętrzonemu nad New Hampshire, nic już oczywiste nie było. Właśnie uprowadziła swoją rzekomo pogrążoną w katatonii siostrę z jednego z lepszych domów wariatów w centralnym Maine, na litość boską.

Amanda jednak na wariatkę nie wyglądała; wszelkie żywione przez Lisey obawy, związane z nawrotem katatonii, rozwiały się w mgnieniu oka. Amanda Debusher od lat nie była tak błyskotliwa. Kiedy wysłuchiwała opowieści o tym, co zaszło między Lisey a Jimem „Zackiem” Dooleyem, stwierdziła:

- Aha. Czyli najpierw może i chodziło mu głównie o rękopisy Scotta, ale teraz chce dopaść ciebie, bo jest typowym świrem, któremu staje, kiedy leje kobiety. Jak ten popieprzony Rader z Wichita.

Lisey skinęła głową. Nie zgwałcił jej, ale stanął mu, a jakże. Najbardziej ją zadziwiło, że Amanda potrafiła tak zwięźle zanalizować jej sytuację, sięgnęła nawet po porównanie z Raderem... którego nazwiska Lisey sama by sobie nie przypomniała. Oczywiście, Manda miała pewną przewagę, mogła patrzeć na sprawę z pewnego dystansu, mimo to jasność jej umysłu zdumiewała.

Z przodu była tabliczka z napisem CASTLE ROCK 15. Kiedy ją mijaly, słońce wpłynęło za gęstniejące chmury; tego dnia miały go już więcej nie zobaczyć. Amanda przerwała milczenie, tym razem jej głos był cichszy.

- Chcesz go załatwić, zanim on załatwi ciebie, prawda? Zabijesz go i porzucisz ciało w tym innym świecie. - Przed nimi rozległ się grzmot. Lisey czekała. To ma być siła sióstr?, pomyślała. O to tu chodzi?



- Czemu, Lisey? Poza tym, że możesz to zrobić?

- Skrzywdził mnie. Pograł sobie ze mną. - Jej słowa były zimne, wyważone. Nie poznawała własnego głosu, ale jeśli siostry miały mówić sobie prawdę - a tak uważała - to proszę bardzo. - I coś ci powiem, sionko, niech no tylko spróbuje znów sobie ze mną pograć, to będzie jego ostatni raz. Więcej sobie, kutas, z nikim nie pogra.

Amanda patrzyła prosto przed siebie, na niknącą w dali drogę, z rękami założonymi pod mikrym biustem.

- Zawsze mu dodawałaś ikry - powiedziała wreszcie, jakby mówiła do siebie.

Lisey spojrzała na nią, więcej niż zaskoczona. Była w szoku.

- Że co?

- Scottowi. I dobrze o tym wiedział. - Uniosła rękę i spojrzała na przecinającą ją czerwoną bliznę. Potem odwróciła się do Lisey. - Zabij go - powiedziała z mrozącą krew w żyłach obojętnością. - Nie mam nic przeciwko.

## 2

Lisey przełknęła ślinę i usłyszała mlaśnięcie w gardle.

- Słuchaj, Manda, tak naprawdę sama jeszcze nie wiem, co chcę zrobić. Uprzedzam z góry. Na razie lecę na oślep.

- Och, wiesz co? Nie wierzę ci. - Amanda mówiła tonem niemal wesołym. - Zostawiłaś wiadomości, że zobaczysz się z nim o ósmej w pracowni Scotta, jedną na automatycznej sekretarce, drugą u tego profesora z Pittsburgha, na wypadek, gdyby Dooley do niego zadzwonił. Chcesz go zabić, w porządku. Tak trzeba. - To głupie, ale mówiła zupełnie tak, jak ten aktor sprzed lat, Wilfred Brimley. - Dałaś glinom szansę, nie? - I zanim Lisey zdążyła odpowiedzieć: - Pewnie, że tak. A gość przeszedł im pod nosem. O mało cycka ci nie odciął twoim własnym otwieraczem do konserw.

Lisey weszła w zakręt i zobaczyła przed sobą człapiącą ciężarówkę z drewnem, jak tamtego

dnia, kiedy wracały z Darią po odwiezieniu Amandy do Greenlawn. Wcisnęła hamulec i znów miała wyrzuty sumienia, że prowadzi boso. Ciężko pozbyć się starych nawyków.

- Scott miał ikry co niemiara - powiedziała.

- No. I zużył ją, by przeżyć dzieciństwo.

- Co o tym wiesz? - spytała Lisey.

- Nic. Nigdy nie mówił, jak mu się żyło, kiedy był mały. Myślisz, że nie zauważyłam? Daria i Canty może i nie zwróciły na to uwagi, ale ja owszem, i on o tym wiedział. Znalіśmy się, Lisey, tak, jak zna się dwoje abstynentów na pijackim maratonie. Myślę, że to dlatego mnie lubił. I wiem coś jeszcze.

- Co?

- Musisz wyprzedzić tę ciężarówkę, zanim uduszę się spalinami.

- Nie widzę, co jest z przodu.

- Widzisz tyle, ile trzeba. Poza tym Bóg nie lubi tchórzy. - Chwila milczenia. - Tacy, jak ja i Scott, na tym też się znają.

- Manda...

- No wyprzedź go! Ja tu się duszę!

- Naprawdę za mało widać...

- Lisey ma chłopaka! Lisey i Jim, zakochana para...

- Manda, aleś ty upierdliwa.

Amanda ze śmiechem:

- Buzi-buzi, cmoku-cmok, laluniu Lisey!

- Jeśli coś jedzie z naprzeciwka...

- Do zakochania jeden krok, jeden jedyny krok, nic więcej...

Nie dając sobie czasu do namysłu, Lisey bosą stopą wcisnęła pedał gazu beemwicy i zjechała na lewy pas. Kiedy zrównała się z kabiną ciężarówki, na szczycie wzniesienia ukazała się druga taka sama, zbliżająca się ku nim.

- O kurna, niech ktoś wyskoczy z jointa, mamy przesrane! - krzyknęła Amanda. Koniec ze zgrzytliwym chichotem; teraz śmiała się na całe gardło. Lisey zawtórowała jej. - Gaz do dechy, Lisey!

Wykonała polecenie. Wóz wystrzelił naprzód z zaskakującą werwą i zjechała na swój pas z dużym zapasem czasu. Pomyślała, że Daria teraz już darłaby się wniebogłosy.

- Proszę cię bardzo - powiedziała do siostry. - Zadowolona?

- Pewnie. - Amanda położyła lewą dłoń na prawej ręce Lisey i zaczęła ją gładzić, by nie ścisnęła tak kierownicy. - Cieszę się, że tu jestem, bardzo się cieszę, że mnie zabrałaś. Nie do końca chciałam wrócić, ale w głębi ducha bardzo... sama nie wiem... tęskniłam. I bałam się, że wkrótce przestanę. Dlatego dziękuję, Lisey.

- Podziękuj Scottowi. Wiedział, że będzie ci potrzebna pomoc.

- I tobie też. - Amanda przybrała bardzo łagodny ton. - I wiedział, założę się, że tylko jedna z twoich sióstr jest na tyle stuknięta, by jej udzielić.

Lisey na chwilę oderwała oczy od jezdni, by zerknąć na Amandę.

- Rozmawialiście o mnie ze Scottem? Rozmawialiście o mnie tam?

- Tak. Czy tu, czy tam, nie pamiętam, zresztą, to bez znaczenia. Mówiliśmy o tym, jak bardzo cię kochamy.

Lisey nie mogła odpowiedzieć. Jej serce było przepelnione. Chciało jej się płakać, ale wtedy nie widziałyby drogi. Poza tym, może przelała już dość łez. Co nie znaczyło, że nie popłynę ich więcej.

### 3

Przez jakiś czas jechały więc w milczeniu. Za kempingiem Pigwockit droga zupełnie opustoszała. Niebo wciąż było błękitne, ale słońce zagrzebało się w nadciągających chmurach, co sprawiło, że było jasno, za to - dziw nad dziwy - cienia ani śladu. Amanda odezwała się tonem zdradzającym nietypową dla niej palącą ciekawość.

- Przyjechałabyś po mnie nawet, gdybyś nie potrzebowała współniczki?

Lisey zastanowiła się.

- Chciałabym w to wierzyć - powiedziała wreszcie.

Amanda wzięła bliższą dłoń siostry i złożyła na niej pocałunek - zaprawdę, lekki był jak skrzydło motyla - po czym umieściła ją z powrotem na kierownicy.

- Ja też - powiedziała. - Dziwne jest to Southwind. Kiedy tam jesteś, wydaje się tak rzeczywiste jak wszystko na tym świecie, i lepsze. Ale kiedy jesteś tu... - Wzruszyła ramionami. Ze smutkiem, pomyślała Lisey. - Wtedy to tylko promyk księżycyca.

Lisey zastanawiała się nad tym, kiedy leżeli ze Scottem w „Porozu” i patrzyli na opornie wylaniający się księżyc. Kiedy słuchała jego opowieści, a potem z nim wyruszyła. W dal.

- Jak Scott to nazywał? - spytała Amanda.

- Księżyc Boo'ya.

Amanda skinęła głową.

- Przynajmniej byłam blisko, co?

- Byłaś.

- Myślę, że większość dzieci ma miejsce, w którym zaszywają się, kiedy się boją, są samotne albo się po prostu nudzą. Nazywają je Nibylandią czy Shire, albo Księżycem Boo'ya, jeśli mają bujną wyobraźnię i wymyślają je same. Większość zapomina. Tylko nieliczni, ci bardziej uzdolnieni, jak Scott, okiełznują marzenia i zapręgają je do swoich rydwanów.

- Sama byłaś całkiem zdolna. To ty wymyśliłaś Southwind, zgadza się? Dziewczyny w naszych rodzinnych stronach bawiły się w to od lat. Nie zdziwiłabym się, gdyby jakaś tego wersja nadal była popularna na Sabbatus Road.

Amanda zaśmiała się i potrząsnęła głową.

- Tacy jak ja w ogóle nie powinni przechodzić na drugą stronę. Moja wyobraźnia była dość bujna, by narobić mi kłopotów.

- Manda, to nieprawda...

- Właśnie że tak - powiedziała Amanda. - Domy wariatów pełne są takich jak ja. Nasze

marzenia zaprzęgają nas i chłostają miękkimi biczami, och, cudownymi biczami, a my biegniemy i biegniemy, nie ruszając się z miejsca... bo statek... Lisey, żagle nigdy nie są wciągane, statek nie podnosi kotwicy...

Lisey zaryzykowała i zerknęła na nią. Łzy lały się po policzkach Amandy. Może i nie kapały tam, na te kamienne ławki, ale tu, o tak, tu były smerdolonym owocem ludzkiej doli.

- Wiedziałam, że odchodzę - ciągnęła Amanda. - Przez cały czas, kiedy byliśmy w pracowni Scotta... kiedy zapisywałam te bezsensowne liczby w tym durnym notesiku, przez cały ten czas wiedziałam...

- Ten notesik okazał się kluczem do wszystkiego - powiedziała Lisey i przypomniała sobie, że było w nim napisane i **MALWY**, i **mein gott**... to było coś jak list w butelce. Albo kolejny baf... „Lisey, oto, gdzie jestem, przyjdź po mnie”.

- Serio? - spytała Amanda.

- Tak.

- To takie dziwne. Wiesz, to od Scotta dostałam notesy... tyle, że starczyłoby mi ich chyba do końca życia. Na urodziny.

- Poważnie?

- Uhm, rok przed śmiercią. Powiedział, że mogą się przydać. - Zdobyła się na uśmiech. - No i jeden faktycznie się przydał.

- Tak - przyznała Lisey, ciekawa, czy na odwrocie wszystkich pozostałych, pod nazwą producenta też było napisane **mein gott**. Może pewnego dnia będzie mogła sprawdzić. To znaczy, jeśli ona i Amanda wyjdą z tego z życiem.

#### 4

Kiedy w centrum Castle Rock Lisey zwolniła, by podjechać do biura szeryfa, Amanda ścisnęła jej ramię i spytała, co ona wyprawia, na litość boską. Słuchała odpowiedzi siostry z rosnącym zdumieniem.

- A ja co mam robić w czasie, kiedy ty będziesz składać zeznanie i wypełniać formularze? - spytała głosem wytrawionym kwasem. - Siedzieć na ławce przed Biurem Ewidencji Zwierząt w tej piżamce, z cycami wystającymi z góry i bobrem prześwitującym na dole? A może mam sobie radia posłuchać? Jak wyjaśnisz to, że przyjechałaś boso? A jeśli ktoś z Greenlawn zadzwonił już do biura szeryfa i uprzedził, żeby szukali wdowy po pisarzu, bo właśnie odwiedziła siostrę w wariatkowie i obie zniknęły?

Lisey była, jak określiliby to jej niezbyt lotny ojciec, mocno skołowana. Miała takiego chyzia na punkcie sprowadzenia Mandy z Krainy Nicości i uporania się z Jimem Dooleyem, że zupełnie zapomniała o ich obecnym stanie *dishabille*, nie wspominając o możliwych konsekwencjach Wielkiej Ucieczki. W tej chwili stały na ukośnym miejscu parkingowym przed murowanym budynkiem, w którym mieściło się biuro szeryfa, po lewej miały radiowóz policji stanowej, a po prawej forda sedana z wymalowanym na drzwiach napisem URZĄD SZERYFA OKRĘGU CASTLE, i Lisey ogarnął klaustrofobiczny lęk. Do głowy przyszedł jej tytuł piosenki country - „Com ja sobie pomyślała?”.

Oczywiście, to absurd - nie była zbiegiem, Greenlawn nie było więzieniem, a Amanda w zasadzie nie była więźniarką, ale jej bose stopy... jak wyjaśni to, że ma smerdolone bose stopy? No i...

*W ogóle nie myślałam, tylko krok po kroku posuwałam się naprzód. Jak według przepisu. A teraz przewróciłam kartkę książki kucharskiej i następna okazała się pusta.*

- Poza tym - ciągnęła Amanda - trzeba pomyśleć o Darli i Canty. Dziś rano spisałaś się dobrze, Lisey, nie krytykuję cię, ale...

- Pewnie, że krytykujesz - odparła Lisey ponuro. - I masz prawo. Jeśli to jeszcze nie jest zupełny bajzel, to wkrótce nim się stanie. Nie chciałam pojechać do twojego domu za wcześnie ani zostać tam za długo, bo Dooley może też mieć go na oku...

- Słyszał o mnie?

*Coś mnie się zdaje, że zaraz tu się zwali jakaś siora-potwora, no nie?*

- Myślę, że... - zaczęła Lisey i urwała. Nie, szkoda czasu na wykrety. - Tak, jestem tego pewna, Manda.

- No dobrze, lecz cudotwórcą nie jest. Nie może być w dwu miejscach jednocześnie.

- Fakt, ale policji też tam nie chcę. Wolę, żeby się do tego nie mieszała. - Co było prawdą, ale nie całą. Bała się, że Dooley jakimś cudem ją namierzył i że jeśli spędzi za dużo czasu u Amandy, będzie o tym wiedział. Nie mówiła tego głośno, bo nie miało to najmniejszego sensu.

A jednak wierzyła w to. Dooley miał ją na swoim radarze.

- Pojedźmy na Widok, Lisey. No wiesz, Ładny Widok.

Ładnym Widokiem mieszkańcy nazywali miejsce na pikniki z widokiem na Castle Lake i Little Kin Pond. Znajdowało się u wejścia do parku stanowego Castle Rock i był tam dość duży parking, a nawet parę przenośnych toalet. Po południu, przed burzą, na pewno nie będzie tam żywej duszy. Dobry punkt, by się zatrzymać, zastanowić, zrobić podsumowanie sytuacji, zabić trochę czasu. Może Amanda naprawdę była genialna.

- No dawaj, zjedź z głównej drogi - powiedziała Amanda, skubiąc kołnierz koszuli od piżamy. - Czuję się jak striptizerka w kościele.

Lisey ostrożnie wyjechała tyłem na ulicę - teraz, kiedy nie chciała mieć do czynienia z szeryfem, nabrała absurdalnego przekonania, że zaliczy stłuczkę, zanim zdąży się wymknąć - i odbiła na zachód. Po dziesięciu minutach skręciła przy tablicy z napisem

## PARK STANOWY CASTLE ROCK

### DOSTĘP DO MIEJSC NA PIKNIK I UBIKACJI MAJ-PAŹDZIERNIK

### PARK ZAMYKANY PO ZACHODZIE SŁOŃCA

### Z TROSKI O PAŃSTWA ZDROWIE

### GRZEBANIE W KOSZACH ZABRONIONE

Samochód Lisey był jedynym na parkingu, a miejsce na pikniki całkiem puste - ani jednego turysty upajającego się naturą (lub Montpelier Gold). Amanda podeszła do stolika. Podeszwy jej stóp mocno różowe, mogły się rzucić w oczy, i choć słońce schowało się za chmurami, widać

było, że pod zieloną piżamą nie ma nic.

- Amanda, jesteś pewna, że to...

- Jeżeli ktoś przyjedzie, dam nura z powrotem do wozu. - Manda rzuciła okiem przez ramię i błysnęła uśmiechem. - Spróbuj... trawa jest normalnie sama rozkosz.

Lisey przeszła na palcach na skraj chodnika i stanęła na trawie. Siostra miała rację, to była sama rozkosz, kolejna idealna zdobycz ze słownego stawu Scotta. Widok ku zachodowi przenikał przez oczy prosto do serca. Chmury burzowe nadciągały, przysłaniając wyszczerbione kły Gór Białych i Lisey doliczyła się siedmiu ciemnych plam wskazujących miejsca, gdzie nabrzmiące deszczem pęcherze splukały wysokie zbocza. Oślepiające błyskawice rozdierały wory z burzą i między dwoma z nich, niczym fantastyczny baśniowy most, rozpięta była podwójna tęcza, wyginająca się w łuk w postrzępionym, błękitnym prześwicie nad Mount Cranmore. Na oczach Lisey prześwit się zamknął, ale zaraz otworzył się następny, nad jakąś górą, której nazwy nie знаła, a w nim tęcza ukazała się znowu. W dole Castle Lake przybrało brudną, ciemnoszarą barwę, a położony za nim staw Little Kin był jak martwe, wyłupiaste czarne oko. Wiatr przybierał na sile, ale było niewiarygodnie ciepło i kiedy włosy uniosły się z jej skroni, Lisey rozłożyła ręce, jakby chciała wzbić się do lotu - nie na latającym dywanie, tylko zwyczajnie, na czarodziejskich skrzydłach letniej burzy.

- Manda! - powiedziała. - Cieszę się, że żyję!

- Ja też - odparła Amanda poważnie i wyciągnęła ręce przed siebie. Wiatr zdmuchiwał do tyłu jej siwiejące włosy, które unosiły się w powietrzu jak włosy dziecka. Lisey ostrożnie objęła palcami palce siostry, uważając na jej rany, ale czując przy tym, jak w niej samej wzbiera szaleństwo. W górze zagrzmiało, ciepły wiatr powiał mocniej i sto kilkadziesiąt kilometrów na zachód chmury burzowe przebiły się przez prastare górskie przełęcze. Amanda zaczęła tańczyć i Lisey tańczyła z nią, ich bose stopy dotykały trawy, a złączone dłonie nieba.

- Tak! - zawołała Lisey, przekrzykując grzmot.

- Co tak? - odwrzasnęła Manda. Znow się śmiała.

- Tak, chcę go zabić!

- Przecież mówiłam! Pomogę ci! - krzyknęła Amanda, a potem zaczęło padać i pobiegły z powrotem do samochodu, roześmiane, trzymając ręce nad głowami.



Były pod dachem, zanim nadciągnęła pierwsza z kilku prawdziwych ulew tego popołudnia, dzięki czemu nie przemokły do suchej nitki, co spotkałoby je na pewno, gdyby za długo zwlekały; pół minuty po tym, jak spadły pierwsze krople, nie widziały już najbliższego stolika, oddalonego o niecałe dwadzieścia metrów. Deszcz był zimny, wewnątrz samochodu rozgrzane i przednia szyba zaparowała w mgnieniu oka. Lisey zapaliła silnik i włączyła odmrażacz. Amanda złapała jej telefon komórkowy.

- Pora zadzwonić do panny Dziewanny - powiedziała, posługując się przezwiskiem Darli z czasów dzieciństwa, którego Lisey nie słyszała (ani o nim nie myślała) od lat.

Lisey zerknęła na zegarek. Było już po trzeciej. Mała szansa, by Cauty i Daria (dawniej znana jako panna Dziewanna, oj, jak nie znosiła tego przezwiska) jadły jeszcze lunch.

- Pewnie jadą już z Portland do Auburn.

- Pewnie tak - odparła Amanda takim tonem, jakby przemawiała do dziecka. - Dlatego zadzwonię na komórkę panny Dziewanny.

To przez Scotta jestem technologicznie zacofana - miała ochotę powiedzieć Lisey. - Od jego śmierci zostaję coraz dalej z tyłu. Nawet jeszcze nie kupiłam odtwarzacza DVD, a teraz już wszyscy je mają.

Powiedziała jednak co innego:

- Jeżeli nazwiesz Darię panną Dziewanną, pewnie nie zechce rozmawiać, nawet z tobą.

- W życiu bym tego nie zrobiła. - Amanda wyjrzała na ulewny deszcz. Zmienił przednią szybę bmw w szklaną rzekę. - Wiesz, czemu z Cauty tak ją nazywałyśmy, i dlaczego to było takie podłe?

- Nie.

- W wieku trzech czy czterech lat Daria miała małą czerwoną gumową lalkę. Najpierw to ona była panną Dziewanną. Darl kochała ten starość. Pewnej zimnej nocy zostawiła pannę Dziewannę

na kaloryferze, a ta się roztopiła. Słodki łysy Jezu, ale był syf.

Lisey ze wszystkich sił starała się powstrzymać od śmiechu i nie udało jej się. A że miała ściśnięte gardło i zamknięte usta, prychnęła przez nos, wydmuchując na palce sporą porcję smarków.

- A fee, jakież to urocze, podwieczorek podano, madame - powiedziała Amanda.

- W schowku są chusteczki. - Lisey zaczerwieniła się po korzonki włosów. - Podasz mi kilka? - Wtedy pomyślała o pannie Dzewannie topniejącej na kaloryferze, a to w połączeniu z najbardziej soczystym przekleństwem Dandy'ego - słodki łysy Jezu - przyprawiło ją o kolejny napad śmiechu, choć czuła, że w jej wesołości niczym słodko-kwaśna perła kryje się smutek, w jakiś sposób wiążący się ze starannie poukładaną, dorosłą Darią, która nie liczyła się z nikim, ale ta fasada skrywała widmowe dziecko, umazaną dżemem złośnicę, której zawsze czegoś brakowało.

- Oj tam, wytrzymaj w kierownicę i już - poradziła Amanda i sama też znów się roześmiała. Trzymała dłoń z telefonem przyciśniętą do brzucha. - Zaraz się zleję.

- Piżama ci się rozpuści, jak się w nią zsikasz. Daj mi te cholerne chusteczki.

Amanda, nie przestając się śmiać, otworzyła schowek i podała chusteczki.

- Myślisz, że ją złapiesz? - spytała Lisey. - W takim deszczu?

- Pewnie, jeśli tylko ma włączony telefon. A nie wyłącza go nigdy, chyba że jest w kinie czy coś. Rozmawiam z nią prawie codziennie, bywa, że nawet dwa razy na dzień, kiedy Matt wyjeżdża na te swoje orgie edukacyjne. Bo, widzisz, czasem dzwoni do niej Metzie i Daria przekazuje mi najnowsze wieści. Z nikim innym z rodziny Metzie nie chce rozmawiać.

Lisey nie wierzyła własnym uszom. Nie miała pojęcia, że Amanda rozmawiała z Darią o swojej trudnej córce - Darla na pewno nigdy nic o tym nie mówiła. Miała ochotę podrażnić temat, ale uznała, że nie jest to dobry moment.

- Co jej powiesz, jeśli ją złapiesz?

- Słuchaj, to się przekonasz. Chyba już sobie wszystko poukładałam, ale boję się, że jeśli powiem ci teraz, straci to trochę... sama nie wiem. Świeżości. Wiarygodności. Chcę tylko odesłać obie na tyle daleko, by nie zabłąkały się tu i nie...

- ...wkręcili się w sortownik kartofli Maksa Silvera? - spytała Lisey. Przez długie lata wszystkie pracowały u pana Silvera: dwadzieścia pięć centów za każdą beczkę zebranych ziemniaków, a potem do lutego trzeba było wydłubywać brud spod paznokci.

Amanda spojrzała na nią bystro i uśmiechnęła się.

- Coś w tym stylu. Daria i Cauty potrafią działać na nerwy, ale je kocham, przykro mi bardzo. Nie chcę, żeby stało im się coś złego tylko dlatego, że się zjawia w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie.

- Ja też nie - powiedziała Lisey cicho.

Grad zabębnił w dach i przednią szybę, by po chwili znów przejść w ulewę.

Amanda poklepała jej dłoń.

- Wiem, lalunia.

Lalunia. Nie lalunia Lisey, tylko lalunia. Kiedy nazwała ją tak ostatnio? Ona jedna jedyna tak do niej mówiła.

- Dzwon, Manda - powiedziała.

## 7

Amanda wybrała numer z pewnym trudem, bo ręce nie do końca jej słuchały; za pierwszym razem pomyliła się i musiała zacząć od nowa. Wreszcie udało się, wcisnęła zielony guzik „send” i przyłożyła małą motorolę do ucha.

Deszcz nieco osłabł. Lisey się zorientowała, że znowu widzi pierwszy stolik. Ile sekund minęło od chwili, kiedy Amanda spróbowała nawiązać połączenie? Odwróciła się od stolika i spojrzała na siostrę z uniesionymi brwiami. Amanda pokręciła głową, po czym wyprostowała się na kubelkowym siedzeniu i uniosła prawy palec wskazujący, jakby wzywała kelnera w ekskluzywnej restauracji.

- Daria?... Słyszysz mnie?... Wiesz, kto mówi?... Tak! Tak, naprawdę!

Wywalila język i wybałuszyła oczy, naśladowując reakcję Darli z cichą i dość okrutną precyzją:

wyglądała jak uczestnik teleturnieju, który właśnie wygrał dogrywkę.

- Tak, jest tu ze m... Daria, weź się opanuj! Najpierw nie mogłam mówić, a teraz nie pozwalasz mi dojść do głosu! Dam ci Lisey za...

Tym razem słuchała dłużej i kiwała głową, robiąc „kwa-kwa-kwa” kciukiem i złączonymi palcami prawej dłoni.

- Oczywiście, powiem jej, Darl. - Nie zasłoniła mikrofonu, pewnie dlatego, że chciała, by Daria usłyszała przekazywaną wiadomość. - Lisey, są z Canty dopiero w Jetport. Start samolotu Canty opóźnił się z powodu burzy nad Bostonem. Przykra sprawa, co?

Mówiąc ostatnie słowa, pokazała Lisey podniesiony kciuk i odwróciła się z powrotem do telefonu.

- Dobrze, że zdążyłam was złapać przed wyjazdem, bo nie ma mnie już w Greenlawn. Jesteśmy z Lisey w szpitalu psychiatrycznym Acadia w Derry... tak, dobrze zrozumiałaś, Derry.

Słuchała, kiwając głową.

- Tak, to rzeczywiście cud. Wiem tylko, że usłyszałam, jak Lisey mnie woła, i się obudziłam. Wcześniej pamiętam, że zabrałyście mnie do Świętego Stefka w Nos Oparze, a potem... usłyszałam wołanie Lisey i to było tak, jakbyś słyszała, jak ktoś budzi cię z głębokiego snu... i lekarze z Greenlawn przysłali mnie tu na badania mózgu, które pewnie kosztują majątek...

Znów słuchała.

- Tak, skarbie, chcę przywitać się z Canty, Lisey na pewno też, ale właśnie nas wzywają, a telefon nie będzie działał w sali, w której robią badania. Przyjedźcie do nas, co? Jestem pewna, że możecie być w Derry o siódmej, najpóźniej o ósmej...

W tej chwili znów lunęło. To oberwanie chmury było jeszcze gwałtowniejsze od poprzedniego i wóz nagle wypełniło głucho dudnienie. Amanda po raz pierwszy wydawała się kompletnie zagubiona. Spojrzała na Lisey szeroko otwartymi, przerażonymi oczami. Jeden palec wskazał na dach, przez który przebijał ten dźwięk. Jej wargi ułożyły się w słowa „Pyta, co to za hałas”.

Lisey bez wahania wyrwała Amandzie telefon i przyłożyła do ucha. Połączenie było doskonałe mimo burzy (a może dzięki niej, skąd Lisey mogła to wiedzieć). Usłyszała nie tylko

Darię, ale i Cauty, rozmawiające ze sobą ożywionymi, zdezorientowanymi, radosnymi głosami; w tle wychwyciła nawet komunikat o opóźnieniu lotów z powodu złej pogody.

- Daria, tu Lisey. Amanda wróciła! Znów jest z nami! Czy to nie cudowne?

- Lisey, to nie do wiary!

- Zobaczyć znaczy uwierzyć - powiedziała Lisey. - Przytargajcie tyłki do Acadii w Derry, a zobaczycie na własne oczy.

- Lisey, co to za hałas? Zupełnie jakbyś była pod prysznicem!

- Hydroterapia po drugiej stronie korytarza! - odparła Lisey, kłamiąc radośnie, i pomyślała, że choćby nie wiadomo co, w życiu się z tego nie wytłumaczą. - Zostawili otwarte drzwi i jest straszny hałas.

Przez chwilę słychać było tylko jednostajny szum ulewy.

- Jeśli z nią naprawdę wszystko w porządku - odparła Daria wreszcie - może tak czy siak powinniśmy z Cauty pojechać do „Śnieżnego Szkwału”. Do Derry jest kawał drogi i obie umieramy z głodu.

Lisey przez moment była na nią wściekła, potem miała ochotę dać sobie za to po łbie. Im dłużej będą jechać, tym lepiej - czyż nie tak? Mimo to nuta rozdrażnienia i pretensji, którą wyczuła w głosie Darli, przyprawiła ją o lekkie mdłości. Cóż, tak też bywa między siostrami, pomyślała.

- Właściwie, czemu nie? - powiedziała i zrobiła kółko z kciuka i palca wskazującego, a Amanda odwzajemniła uśmiech i skinęła głową. - Nigdzie się nie wybieramy, Darl.

*No, może tylko na Księżyc Boo'ya, pozbyć się martwego wariata. To znaczy, jeśli dopisze nam szczęście. Jeśli karta się odwróci.*

- Mogłabyś jeszcze dać mi Mandę? - Daria nadal wydawała się urażona, jakby nie widziała na własne oczy, czym jest ta okropna katatoniczna ociężałość, i nabrała podejrzeń, że Amanda cały czas tylko udawała. - Cauty chce z nią rozmawiać.

- Jasne - odparła Lisey i powiedziała bezgłośnie „Cantata” do Amandy, oddając jej telefon.

Amanda raz po razie zapewniała Cauty, że tak, wszystko w porządku i tak, to był cud; nie,

nie miała nic przeciwko temu, by Cauty i Daria zgodnie z pierwotnym planem zjadły lunch w „Śnieżnym Szkwale” i nie, bynajmniej nie musiały zbaczać do Castle View, żeby zabrać cokolwiek z jej domu. Miała wszystko, co potrzebne, Lisey się o to zatroszczyła.

Pod koniec rozmowy deszcz nagle zupełnie ustał, w jednej chwili, jakby Bóg zakręcił kran w niebie, i Lisey przyszła do głowy dziwna myśl: tak właśnie padało na Księżycu Boo’ya, szybko, gwałtownie, przelotnie.

Zostawiłam to za sobą, ale niezbyt daleko, pomyślała i zauważyła, że nadal ma ten słodki, czysty smak w ustach. Wzięła dwa łyki ze stawu, Amandzie dała tylko jeden. Może dlatego wciąż miała wrażenie, że Księżyc Boo’ya jest tak blisko.

Kiedy Amanda powiedziała Cantacie, że ją kocha, i się rozłączyła, grot wilgotnego czerwcowego słońca niespodziewanie przebił chmury i na niebie powstała kolejna tęcza, tym razem bliższa, lśniąca nad Castle Lake. Jak obietnica, pomyślała Lisey. Taka, której chce się wierzyć, ale do końca się jej nie ufa.

## 8

Mruczący głos Amandy wyrwał ją z kontemplacji tęczy. Manda pytała w informacji o numer do Greenlawn, który zapisała czubkiem palca na zaparowanej dolnej części przedniej szyby beemwicy.

- Wiesz, że to zostanie nawet, jak już para zejdzie - powiedziała Lisey, kiedy Amanda się rozłączyła. - Trzeba będzie to zmyć windexem. W konsoli centralnej mam długopis, czemu nie spytałaś?

- Bo jestem w katatonii - odpowiedziała Amanda i podała jej telefon.

Lisey tylko na niego spojrzała.

- Do kogo mam zadzwonić?

- Jakbyś nie wiedziała.

- Amanda...

- Ty musisz to zrobić, Lisey. Nie wiem, z kim rozmawiać, ani nawet jak mnie tam wsadziłaś.  
- Zamilkła na chwilę, kręcąc młynka palcami na nogawkach pizamy. Chmury znów zasnuły niebo, zrobiło się ciemno jak wcześniej, a tęcza wydawała się snem. - Prawdę mówiąc, wiem - powiedziała wreszcie. - Tyle że zrobił to Scott, nie ty. Jakoś to załatwił. Zaklepał mi miejsce.

Lisey tylko skinęła głową. Bała się cokolwiek powiedzieć.

- Kiedy? Po tym, jak ostatnio zrobiłam sobie operację plastyczną? Jak widziałam go w Southwind? Które nazywał Księżycem Boonya?

Lisey nie chciało się jej poprawiać.

- Tak. Zgadał się z człowiekiem o nazwisku Hugh Alberness. Po obejrzeniu twojej dokumentacji Alberness przyznał, że czekają cię kłopoty, i kiedy tym razem ci odwaliło, zbadał cię i przyjął do zakładu. Nie pamiętasz tego? W ogóle?

- Nic a nic.

Lisey wzięła komórkę i spojrzała na numer na zaparowanej dolnej części przedniej szyby.

- Nie mam pojęcia, co mu powiedzieć, Manda.

- Co powiedziałby mu Scott, laluniu?

„Laluniu”. Znowu. Kolejna ulewa, gwałtowna, ale trwająca nie dłużej niż dwadzieścia sekund, zadudniła w dach samochodu i przy wtórze bębnienia kropel Lisey zaczęła myśleć o wszystkich wystąpieniach, na które jeździła ze Scottem - a które nazywał „chałturami”. Z godnym odnotowania wyjątkiem Nashville w 1988, miała wrażenie, że zawsze się dobrze bawiła, i czemużby nie? On mówił ludziom, co chcieli słyszeć; jej zadaniem było uśmiechanie się i klaskanie we właściwych momentach. Aha, i nieraz musiała bezgłośnie mówić „Dziękuję”, kiedy zauważano jej istnienie. Bywało, że dostawał rzeczy - prezenty, pamiątki - i oddawał jej, a ona to trzymała. Zdarzało się, że ludzie robili zdjęcia, zjawiali się też tacy, jak Tony Eddington - Tąne - którzy spisywali dokładne relacje i czasem wspominali w nich o niej, a czasem nie, czasem nie robili błędów w jej nazwisku, czasem tak, a raz nazwali ją „przyjaciółeczką” Scotta Landona i to nic, zupełnie nic, bo nie zrobiła szumu, w milczeniu była dobra, ale nie przypominała tej dziewczynki z opowiadania Sakiego, wymyślanie historyjek na poczekaniu zdecydowanie nie było jej specjalnością i...

- Słuchaj, Amanda, jeśli chcesz, żebym robiła za medium dla Scotta, to nic z tego, mam pustkę w głowie. Weź, zadzwoń do doktora Albernessa i powiedz mu, że czujesz się dobrze... - Mówiąc to, próbowała oddać jej telefon.

Amanda podniosła pocięte dłonie do piersi w obronnym geście.

- Nic by to nie dało, cokolwiek bym powiedziała. Jestem stuknięta. Ty za to nie tylko masz równo pod sufitem, ale i jesteś wdową po słynnym pisarzu. Dlatego zadzwoń, Lisey. Usuń doktora Albernessa z naszej drogi. I to już.

## 9

Lisey wybrała numer i to, co działo się dalej, z początku było aż nazbyt podobne do rozmowy, którą odbyła w tamten dłuuuugi czwartek - kiedy rozpoczęła wędrówkę po stacjach bafa. Znow odebrała Cassandra i także tym razem Lisey rozpoznała usypiającą muzykę, która miała umilić jej oczekiwanie, ale Cassandra dla odmiany sprawiała wrażenie, jakby się ucieszyła i odczuła ulgę na dźwięk jej głosu. Powiedziała, że przełączy Lisey na domowy numer doktora Albernessa.

- Tylko niech pani nigdzie nie ucieka - przykazała, nim zastąpiła ją melodia, która, zdaje się, była starym hitem dyskotekowym Donny Summer, „Love To Love You, Baby”, nim poddano ją muzycznej lobotomii. „Niech pani nie ucieka” zabrzmiało trochę złowrogo, ale fakt, że Hugh Alberness był w domu... to dawało nadzieję, czyż nie tak?

*Wiesz, nie tylko w biurze ma telefon. Z domu też mógł zadzwonić na policję. Albo mógł go wyręczyć lekarz dyżurny z Greenlawn. A co mu powiesz, kiedy się odezwie? Co mu powiesz, do jasnej ciasnej?*

*Co powiedziałby mu Scott, laluniu?*

*Scott powiedziałby mu, że rzeczywistość to Ralph.*

I tak, to było niewątpliwie prawdą.

Lisey uśmiechnęła się z lekka na tę myśl i na wspomnienie Scotta chodzącego po pokoju hotelowym w... Lincoln? Lincoln, w stanie Nebraska? Nie, raczej w Omaha, bo to był pokój



hotelowy, i to taki ładny, może nawet część apartamentu. Właśnie czytał gazetę, kiedy spod drzwi wysunął się faks od jego redaktora. Redaktor ów, Carson Foray, domagał się dalszych zmian w trzecim brudnopisie nowej powieści Scotta. Lisey nie pamiętała, która to była, na pewno jedna z późniejszych, które on sam czasem nazywał „Rozpalonymi Historiami Miłosnymi Landona”. Tak czy inaczej, Carson - który był ze Scottem, jak powiedziałby stary Dandy, „tyle co szop z praczem” - uważał, że przypadkowe spotkanie dwu postaci po dwudziestu latach było kiepsko rozegrane. „Fabuła trochę tu zgrzyta, stary” - napisał.

- To se zgrzytnij, stary - burknął wtedy Scott, łapiąc się za krocze (i czy ten słodko niesforny kosmyk opadł mu na czoło, kiedy to zrobił?, oczywiście). A potem, zanim Lisey zdążyła go jakoś ułagodzić, złapał gazetę, zamknął ją z trzaskiem i pokazał jej artykuł na ostatniej stronie, w rubryce zatytułowanej Dziwny Jest Ten Świat. Nagłówek głosił: PIES WRACA DO DOMU - PO 3 LATACH. Była to historia owczarka szkockiego imieniem Ralph, który zaginął na wakacjach w Port Charlotte na Florydzie. Trzy lata później zjawił się w rodzinnym majątku w Eugene, w stanie Oregon. Był wychudły, bez obroży, i trochę łapy go bolały, ale poza tym trzymał się nieźle. Przydreptał po podjeździe, usiadł na werandzie i zaszczeakał, by go wpuścić.

- Jak myślisz, co powiedziałyby monsieur Carson Foray, gdyby coś takiego pojawiło się w mojej książce? - spytał Scott, odgarniając włosy z czoła (oczywiście, od razu opadły z powrotem). - Myślisz, że strzeliłyby mi faks, że to trochę zgrzyta, stary?

Lisey, rozbawiona jego oburzeniem, a zarazem absurdalnie wzruszona wizją powrotu Ralpha po tylu latach (i Bóg raczy wiedzieć, jakich przygodach), potwierdziła, że Carson pewnie tak właśnie by zrobił.

Scott wyrwał jej gazetę, przez chwilę patrzył spode łba na zdjęcie Ralpha, prezentującego się sztywnie w nowej obroży i kraciastej chuście, i odrzucił ją na bok.

- Coś ci powiem, Lisey - stwierdził - pisząc powieści, stoisz na przegranej pozycji. Rzeczywistość to Ralph, powracający po trzech latach, nikt nie wie dlaczego. Ale powieściopisarz nie może opowiedzieć tej historii! Bo to trochę zgrzyta, stary!

A kiedy już wygłosił tę tyradę, o ile pamiętała, wrócił do zakwestionowanych fragmentów i je przerobił. Muzyka ucichła.

- Pani Landon, jest tam pani? - spytała Cassandra.

- Tak - odparła Lisey, już zdecydowanie spokojniejsza. Scott miał rację. Rzeczywistość to pijak, który kupuje los na loterii, wygrywa siedemdziesiąt milionów dolarów i dzieli się wygraną ze swoją ulubioną barmanką. Dziewczynka wyciągnięta żywa ze studni w Teksasie, w której była uwięziona przez sześć dni. Student, który spada z czwartego piętra w Cancun i wychodzi z tego ze złamanym nadgarstkiem. Rzeczywistość to Ralph.

- Już łączę - powiedziała Cassandra.

Rozległy się dwa trzaski, a potem Hugh Alberness - bardzo zaniepokojony Hugh Alberness, stwierdziła, ale nie spanikowany - powiedział:

- Pani Landon? Gdzie pani jest?

- W drodze do domu siostry. Będziemy tam za dwadzieścia minut.

- Amanda jest z panią?

- Tak. - Lisey postanowiła, że odpowie na jego pytania i na tym koniec. Właściwie była nawet ich ciekawa.

- Pani Landon...

- Lisey.

- Lisey, wiele osób z Greenlawn ma dziś poważne powody do niepokoju, szczególnie doktor Stein, lekarz dyżurny, siostra Burrell, nadzorująca Skrzydło Ackleya, i Josh Phelan, szef naszej małej, ale na ogół dość kompetentnej ochrony.

Lisey uznała, że było to jednocześnie pytanie - Coś ty zrobiła? - i wyrzut - Napędziłaś stracha kilku osobom! - i stwierdziła, że należałoby jakoś zareagować. Krótka. Tak, by nie wykopać pod sobą dołka, w który wpadnie, co byłoby aż za łatwe.

- Tak, no cóż, przykro mi. Bardzo. Ale Amanda chciała wyjechać, mocno nalegała i dała jasno do zrozumienia, że nie chce dzwonić do nikogo z Greenlawn, dopóki nie znajdziemy się daleko stamtąd. W tych okolicznościach uznałam, że najlepiej będzie popłynąć z prądem. Taka była moja ocena sytuacji.

Amanda energicznie podniosła oba kciuki, ale Lisey nie mogła sobie pozwolić na chwilę dekoncentracji. Doktor Alberness może i był wielkim fanem książek jej męża, ale bez wątpienia świetnie sobie też radził z wyciąganiem od ludzi tego, czego nie chcieli albo nie zamierzali

powiedzieć.

Alberness mówił z ożywieniem.

- Pani Landon... Lisey... czy twoja siostra reaguje na bodźce? Czy jest przytomna i reaguje na bodźce?

- Usłyszeć znaczy uwierzyć - powiedziała Lisey i oddała telefon Amandzie, która zrobiła zaniepokojoną minę, ale wzięła go.

Lisey powiedziała bezgłośnie: „Uważaj”.

## 10

- Halo, doktor Alberness? - Amanda mówiła powoli i ostrożnie, ale wyraźnie. - Tak, we własnej osobie. - Posłuchała. - Amanda Debusher, zgadza się. - Posłuchała. - Drugie imię Georgette. - Posłuchała. - Lipiec 1946. Czyli mam niecałe sześćdziesiąt lat. - Posłuchała. - Jedno dziecko, córka imieniem Intermezzo. Zdrobniale Metzie. - Posłuchała. - George W. Bush, ku mojemu ubolewaniu... moim zdaniem, ma kompleks Boga prawie tak groźny, jak ci, których uważa za wrogów. - Lekko potrząsnęła głową. - Nie... nie mogę teraz wchodzić w szczegóły, doktorze Alberness. Dam panu Lisey. - Oddała jej telefon, błagając oczami o pozytywną recenzję... a przynajmniej ocenę dostateczną. Lisey energicznie pokiwała głową. Amanda zwała się na oparcie fotela, jakby właśnie wpadła na metę wyścigu.

- ...pani tam? - zaskrzeczał telefon, kiedy Lisey przyłożyła go do ucha.

- Tu Lisey, doktorze Alberness.

- Lisey, co się stało?

- Będę musiała przedstawić panu skróconą wersję, doktorze...

- Hugh. Proszę. Hugh.

Lisey siedziała sztywno wyprostowana za kierownicą. Teraz pozwoliła sobie na to, by nieco się odprężyć i odchylić na wygodne skórzane obicie fotela kierowcy. Doktor poprosił, żeby mówiła mu Hugh. Znów byli kumplami. Nadal będzie musiała uważać, ale pewnie wszystko się

ułoży.

- Odwiedziłam ją... byliśmy na tarasie... i nagle się ocknęła.

Kulała, nie miała obroży, ale poza tym trzymała się nieźle, pomyślała Lisey i musiała zdusić w sobie ryk szalonego śmiechu. Na drugim brzegu jeziora mignęła jasna błyskawica. Jak w jej głowie.

- W życiu nie słyszałem o czymś takim - przyznał Hugh Alberness. Nie było to pytanie, więc Lisey milczała. - A jak... hmm... stamtąd wyszłyście?

- Że co proszę?

- Jak przeszłyście przez recepcję Skrzydła Ackleya? Kto was wypuścił? Rzeczywistość to Ralph, przypomniała sobie Lisey. Przybierając lekko tylko zakłopotany ton, powiedziała:

- Nikt nie kazał nam się wypisać ani nic takiego, wszyscy byli bardzo zajęci. Wyszliśmy i tyle.

- A co z drzwiami?

- Były otwarte.

- A niech mnie... - Alberness urwał w pół zdania.

Lisey czekała na dalszy ciąg. Nie miała wątpliwości, że nastąpi.

- Pielęgniarki znalazły pęk kluczy, futerał na klucze i kapcie. A oprócz tego tenisówki ze skarpetami w środku.

Lisey przez chwilę nie mogła oderwać myśli od swoich kluczy. Nie zdała sobie sprawy, że zgubiła wszystkie, i pewnie lepiej było nie mówić o tym Albernessowi.

- Trzymam zapasowy kluczyk w skrzyneczce przyczepionej magnesem pod zderzakiem. A co do pęku kluczy... - Lisey próbowała parsknąć szczerym śmiechem. Nie miała pojęcia, czy jej się udało, ale przynajmniej nie zauważyła, by Amanda zbladła. - Byłby kłopot, gdybym je zgubiła! Przechowacie je dla mnie, co?

- Oczywiście, ale musimy zobaczyć się z panną Debusher. Jeśli mamy oddać ją pod twoją opiekę, trzeba załatwić pewne formalności. - Sądząc z jego tonu, uważał to za fatalny pomysł, lecz pytania nie zadał. Było ciężko, ale Lisey czekała. Na drugim brzegu Castle Lake niebo znów

całkowicie poczerwiano. Nadciągała kolejna nawałnica. Lisey bardzo zależało na tym, by zakończyć rozmowę przed jej nadejściem, ale mimo to czekała. Miała wrażenie, że doszli z Albernessem do punktu krytycznego.

- Lisey - powiedział wreszcie - czemu zostawiłyście buty?

Rzeczywistość to Ralph, przypomniała sobie Lisey.

- Szczerze mówiąc, nie wiem. Amanda nalegała, żebyśmy wyszły natychmiast, boso, i żebym nie brała kluczy...

- Jeśli chodzi o klucze, mogła obawiać się wykrywacza metalu - powiedział Alberness. - Choć w jej stanie dziwię się, że w ogóle... nieważne, proszę dalej.

Lisey odwróciła się od nadciągającej nawałnicy, która okryła wzgórze na drugim brzegu Castle Lake.

- Pamiętasz, czemu chciałaś, żebyśmy wyszły boso, Amanda? - spytała i nachyliła telefon ku niej.

- Nie - powiedziała Amanda głośno i dodała: - Tylko że chciałam poczuć pod nogami trawę. Sama rozkosz.

- Słyszałaś?

- Coś o tym, że chciała poczuć trawę?

- Tak, ale jestem pewna, że chodziło o coś więcej. Bardzo naciskała.

- I ot tak zrobiłaś to, o co poprosiła?

- Jest moją starszą siostrą, Hugh... a właściwie moją najstarszą siostrą. Poza tym, muszę przyznać, że byłam zbyt uradowana jej powrotem na ziemię, by myśleć logicznie.

- Ale ja... my... naprawdę musimy ją zobaczyć, upewnić się, czy rzeczywiście wyzdrowiała.

- Przywiozę ją jutro na badanie. Może być?

Amanda kręciła głową tak gwałtownie, że włosy latały jej na wszystkie strony, oczy miała wybałuszone ze strachu. Lisey zaczęła równie energicznie potakiwać.

- Tak, zdecydowanie - powiedział Alberness. Lisey usłyszała ulgę w jego głosie, autentyczną ulgę, i zrobiło jej się przykro, że go okłamała. Cóż, pewnych rzeczy nie da się uniknąć, kiedy

człowiek mocno zapnie pasy. - Mogę przyjechać do Greenlawn jutro koło drugiej po południu i osobiście z wami porozmawiać. Pasuje?

- Jak najbardziej. - *Zakładając, że jutro o drugiej będziemy jeszcze żyć.*

- Dobrze więc. Lisey, ciekaw jestem, czy... - Właśnie w tej chwili, dokładnie nad nimi, oślepiąco jasny piorun przemknął pod chmurami i uderzył w coś po drugiej stronie autostrady. Lisey usłyszała trzask; poczuła swąd elektryczności i spalenizny. Nigdy jeszcze nie była tak blisko miejsca, w które uderzył piorun. Amanda wrzasnęła, ale straszliwy huk zagłuszył ją niemal całkowicie.

- Co to było? - krzyknął Alberness. Lisey miała wrażenie, że połączenie nie popsuło się ani trochę, a mimo to doktor, z którym jej mąż przed pięcioma laty tak wytrwale kultywował znajomość dla dobra Amandy, nagle zaczął wydawać jej się bardzo odległy i nieważny.

- Grom i błyskawica - powiedziała spokojnie. - Mamy tu niezłą burzę, Hugh.

- Lepiej zjedźcie na pobocze.

- Już to zrobiłam, ale wolę wyłączyć telefon, zanim mnie porazi czy coś. Do zobaczenia jutro...

- W Skrzydle Ackleya...

- Tak. O drugiej. Z Amandą. Do widzenia. Dzięki za... - Lisey skuliła się, widząc następną błyskawicę; ta jednak była bardziej rozproszona, a grzmot, choć głośny, nie groził rozerwaniem bębneków - ...wyrozumiałość - dokończyła i bez pożegnania wcisnęła „end”. Natychmiast się rozpadało, jakby deszcz czekał tylko, aż skończy rozmawiać. Walił w samochód ze ślełą zaciekłością. Co tam ławka; Lisey nie widziała już nawet końca maski wozu.

Amanda ścisnęła jej ramię i Lisey przypomniała się inna piosenka country, ta wyrażająca przekonanie, że komu praca pali się w rękach, ten się poparzy.

- Nie wrócę tam, Lisey, nie ma mowy!

- Au, Manda, to boli!

Amanda puściła ją, ale nie odchyliła się. Oczy jej płonęły.

- Nie wrócę tam.

- Wrócisz. Tylko po to, żeby porozmawiać z doktorem Albernessem.

- Nie...

- Zamknij się i słuchaj.

Amanda zamrugała i odchyliła się, zaskoczona tym, że Lisey mówiła z taką furiją.

- Musiałyśmy cię tam wsadzić, nie miałyśmy wyboru. Byłaś niczym więcej, jak tylko oddychającym kawałem mięcha ze śliną cieknącą z jednej strony i szczynami z drugiej. A mój mąż, który wiedział, że tak to się skończy, opiekował się tobą nie na jednym, a na dwu światach. Jesteś mi coś winna, starsza siostruniu Mandusiu-trusiu. I dlatego pomożesz mi dziś, a sobie jutro, i nie chcę na ten temat słyszeć nic oprócz „tak, Lisey”. Jasne?

- Tak, Lisey - mruknęła Amanda. Spojrzała w dół, na swoje pocięte dłonie, i zaczęła płakać. - A co jeśli znów każą mi wrócić do tamtego pokoju? Jeśli mnie zamkną, znów będą myć gąbką i dawać do picia soczek?

- Nie zrobią tego. Nie mogą. Byłaś tam z własnej woli, to znaczy my z Darią wyraziłyśmy twoją wolę za ciebie, bo ty byłaś hors-de-beton.

Amanda parsknęła smętnym śmiechem.

- Scott tak mawiał. A czasem, kiedy uważał, że ktoś zadziera nosa, mówił o nim, że jest hors-de-bufon.

- Tak - przyznała Lisey, nie bez bólu. - Pamiętam. W każdym razie, teraz już masz się dobrze, to najważniejsze. - Wzięła siostrę za rękę, przypominając sobie, że musi być delikatna. - Pojedziesz tam jutro i tak oczarujesz tego doktora, że skarpety mu zlecą.

- Spróbuję - zgodziła się Amanda. - Ale nie dlatego, że jestem ci coś winna.

- Nie?

- Dlatego, że cię kocham - odpowiedziała z prostą godnością. A potem spytała cichutko: - Będziesz tam ze mną, prawda?

- A żebyś wiedziała.

- Może... może twój narzeczony nas dorwie i w ogóle nie będę musiała przejmować się Greenlawn.

- Mówiłam ci, żebyś nie nazywała go moim narzeczonym.

Amanda uśmiechnęła się blado.

- Postaram się zapamiętać, jeśli ty darujesz sobie tę cholerną Mandusię-trusię.

Lisey wybuchnęła śmiechem.

- Może byś się tak ruszyła, co, lalunia? Już mniej pada. I proszę, włącz ogrzewanie. Zimno się robi.

Lisey spełniła jej prośbę, wyjechała bmw tyłem z miejsca parkingowego i skręciła w stronę drogi.

- Pojedziemy do ciebie - zdecydowała. - Dooley pewnie nie obserwuje twojego domu, jeśli leje tam tak, jak lało tutaj, przynajmniej taką mam nadzieję. A nawet gdyby, to co takiego może zobaczyć? Pojedziemy do ciebie, a potem do mnie. Dwie kobiety w średnim wieku. Co, przestraszy się dwóch kobiet w średnim wieku?

- Wątpliwe - odparta Amanda. - Ale cieszę się, że wysłałyśmy Cauty i pannę Dziewannę w długą podróż, a ty?

Lisey też była z tego zadowolona, choć wiedziała, że, jak Lucy Ricardo, kiedyś gęsto się będzie z tego tłumaczyć. Zjechała na pustą teraz autostradę. Miała nadzieję, że nie natknie się na drzewo leżące na drodze, i wiedziała, że szanse, by tego uniknąć, są nikłe. Górą przetoczył się grzmot, czegoś jakby zagniewany.

- Mogę wziąć ciuchy, które dla odmiany będą na mnie dobre - mówiła Amanda. - Poza tym w lodówce mam kilogram zmielonego rozbratelka. Rozmrozi się go w mikrofalówce, strasznie jestem głodna.

- Mojej mikrofalówce - powiedziała Lisey, nie odrywając oczu od jezdni. Na razie nie padało, ale z przodu znów ukazały się ciemne chmury. „Czarne jak kapelusz teatralnego łotra” - powiedziałby Scott i zawładnęła nią stara, chora tęsknota za nim, to puste miejsce, którego teraz nic już nie wypełni. Miejsce dla pragnień.

- Słyszałaś mnie, laluniu Lisey? - spytała Amanda i Lisey uprzytomniła sobie, że siostra coś mówiła. Coś o czymś. Dwadzieścia cztery godziny temu bała się, że Manda nigdy więcej słowa nie wypowie, a teraz, proszę bardzo, już ją ignorowała. Ale czy nie taka była naturalna kolej



rzeczy?

- Nie - przyznała Lisey. - Wychodzi na to, że nie. Przepraszam.

- Cała ty. Zamknięta w swoim... - Amanda zawiesiła głos i ostentacyjnie wyjrzała przez szybę.

- Małym świecie? - dopowiedziała Lisey z uśmiechem.

- Wybacz.

- Nie ma czego. - Weszły w zakręt i Lisey wyminęła dużą gałąź jodły leżącą na jezdni. Pomyślała, że może powinna się zatrzymać i wyrzucić ją na pobocze, ale postanowiła zostawić to następnemu kierowcy. Pewnie nie będzie miał psychopaty na karku. - Jeśli to o Księżyc Boo'ya ci chodzi, to tak naprawdę nie jest mój świat. Wydaje mi się, że każdy, kto się tam dostaje, widzi go inaczej. A co wcześniej mówiłaś?

- Że mam coś jeszcze, co może ci się przydać. No chyba że już masz gnata.

Lisey była zdumiona. Na chwilę oderwała oczy od drogi, by spojrzeć na siostrę.

- Co takiego? Co powiedziałaś?

- To tylko taka przenośnia - uściśliła Amanda. - Chodzi mi o to, że mam pistolet.

## 11

O próg siatkowych drzwi Amandy oparta była długa biała koperta, schowana pod okapem werandy i dzięki temu osłonięta przed deszczem. Na jej widok Lisey w pierwszej chwili pomyślała ze strachem, że Dooley już się tu pojawił. Jednak koperta, którą znalazła po tym, jak zobaczyła zdechłego kota w skrzynce na listy, z obu stron była czysta. Na tej zaś widniało wydrukowane imię Amandy. Oddała ją siostrze. Manda obejrzała nadruk, odwróciła kartkę, by przeczytać wytłoczone z tyłu **Hallmark**, i wycodziła z pogardą jedno słowo:

- Charles.

Początkowo imię to nic Lisey nie mówiło. Potem przypomniała sobie, że dawno, dawno temu, zanim zaczęło się całe to wariactwo, Amanda miała faceta.

Tyczkarza, pomyślała i z gardła wyrwało jej się zduszone chrząknięcie.

- Lisey? - Brwi Amandy się uniosły.

- Tak tylko pomyślałam o Canty i pannie Dziewannie, jak teraz gnają do Derry - tłumaczyła się Lisey. - Wiem, że to nie jest śmieszne, ale...

- Och, w pewien sposób jest to zabawne - powiedziała Amanda. - To pewnie też. - Otworzyła kopertę i wyjęła kartkę. Przebiegła po niej wzrokiem. - O. Mój. Boże. Zobacz. Co wypierdło. Psu z dupy.

- Mogę zerknąć?

Amanda podała jej kartkę. Na pierwszej stronie był szczerbaty chłopczyk, hallmarkowa wersja uroczego łobuziaka (za duży sweter, połatane džinsy), z przywiedłym kwiatkiem w ręku. *OJOJ, PRZEPRASZAM!*, głosił napis pod znoszonymi tenisówkami nicponia. Lisey otworzyła kartkę i przeczytała, co następuje:

*Wiem, zraniłem Cię, pewnie jest Ci źle,*

*Ale wierz mi, nie tylko Ty smucisz się!*

*Tą kartką przeprosić Cię chcę,*

*Bo myśl, że masz doła, strasznie dołuje mnie!*

*Idź więc, powąchaj róże! Zaznaj trochę radości!*

*Głowa do góry! Na buzi niech uśmiech zagości!*

*Dziś może przeze mnie troszkę smutno Ci,*

*Ale, mam nadzieję, nasza przyjaźń wiele przetrwa dni!*

Kartka podpisana była *Twój Przyjaciel (Na zawsze! Pamiętaj te piękne chwile!!) Charles „Charlie” Corriveau.*

Lisey usilnie starała się zachować poważną minę, ale nie dała rady. Wybuchnęła śmiechem.

Siostra jej zawtórowała. Stały na ganku i rechotały. Kiedy trochę się uspokoiły, Amanda wyprostowała się i zwrócona twarzą do zalanego deszczem podwórka, wyrecytowała, trzymając kartkę przed sobą jak chórzysta śpiewnik.

- Kochany Charlesie, przybywaj, bom wielce spragniona tego, cobyś w dupsko mnie cmoknął, lebiego.

Lisey ryknęła śmiechem i z rękami przyciśniętymi do piersi zwała się na ścianę domu tak mocno, że zabręczało najbliższe okno. Amanda posłała jej wyniosły uśmiech i zeszła po schodach z ganku. Chlupocząc, przebrnęła dwa-trzy kroki przez podwórko, przewróciła krasnala strzegącego krzaków róży i wyłowiła schowany pod nim zapasowy klucz. Korzystając z okazji, że się schyliła, obtarła kartką od Charlie'ego Corriveau swój okryty zielenią tyłek.

Lisey nie zważała już, czy Jim Dooley obserwuje ją z lasu, w ogóle nie myślała już o Jimie Dooleyu, tylko usiadła ciężko na ganku, ze śmiechu brakło jej tchu. Może miała taki ubaw raz-dwa razy ze Scottem, ale może nie. Może nawet wtedy nie.

## 12

Na automatycznej sekretarce Amandy była jedna wiadomość, od Darli, nie Dooleya.

- Lisey! - krzyczała z zapalem. - Nie wiem, co zrobiłaś, ale o rany! Już jedziemy do Derry! Lisey, kocham cię! Jesteś świetna!

Usłyszała głos Scotta mówiący „Lisey, jesteś świetna!” i śmiech zaczął gasnąć jej na ustach.

Pistolet Amandy okazał się rewolwerem pathfinder kaliber 22 i kiedy Lisey wzięła go od siostry, leżał w jej ręku idealnie, jak zaprojektowany specjalnie dla niej. Amanda trzymała go w pudełku po butach na górnej półce szafy w sypialni. Lisey nie musiała długo przy nim majstrować, by wysunąć bębenek.

- Jezus-ma-ryja, Manda, jest naładowany!

Wtedy niebiosa rozwarły się i lunął deszcz, zupełnie jakby ktoś Tam w Górze był niezadowolony, że Lisey wzywa imię Jego nadaremno. Po chwili okna i rynny brzęczały już i grzechotały od uderzeń gradu.

- A co samiuśka kobieta ma zrobić, jak przyjdzie jakiś zbok? - spytała Amanda. - Wymierzyć z nienaładowanego pistoletu i krzyknąć „bum”? Lisey, weź mi to zapnij, co? - Wcześniej włożyła dzinsy, teraz zaprezentowała jej swoje kościste plecy i haftki stanika. - Ile razy próbuję, ręce mi normalnie odpadają. Powinnaś mnie była wykąpać w tym twoim stawie.

- I tak ciężko cię było stamtąd zabrać, co, jeszcze chrzcic cię miałam? Proszę i dziękuję - powiedziała Lisey, zapinając haftki. - Włóż tę czerwoną koszulę w żółte kwiaty, co? Ładnie ci w niej.

- Brzuch mi w niej widać.

- Amanda, nie masz brzucha.

- Właśnie, że m... Jezusie, Maryjo, wszyscy święci wymięci, po kiego wyjmujesz kule?

- Żeby sobie kolana nie przestrzelić. - Lisey schowała naboje do kieszeni dzinsów. - Później go załaduję. - Choć czy zdoła wymierzyć w Jima Dooleya i nacisnąć spust... tego nie wiedziała. Może tak. Jeśli przypomni sobie otwieracz do puszek.

*Ale chcesz się go pozbyć. Prawda?*

Oczywiście. Zadał jej ból. To raz. Był niebezpieczny. To dwa. Nie mogła liczyć, że ktoś ją wyręczy, to trzy, a do trzech razy sztuka. Mimo to patrzyła na pathfmdera z fascynacją. Kiedyś Scott zbierał materiały o ranach postrzałowych do jednej z powieści - „Relikwie”, na pewno o tę chodziło - i nieopatrznie zajrzała do teczki wypchanej bardzo paskudnymi zdjęciami. Do tamtego czasu nie zdawała sobie sprawy, jakie Scott miał szczęście tamtego dnia w Nashville. Gdyby kula Cole’a trafiła w żebro i roztrzaskała...

- Może weźmiesz go z pudełkiem? - spytała Amanda, wciągając wulgarny T-shirt (POCAŁUJ MNIE TAM, GDZIE ŚMIERDZI - UMÓWMY SIĘ W MOTTON) zamiast zapinanej na guziki koszuli, która podobała się Lisey. - Schowałam tam trochę zapasowych nabołów. Możesz zakleić wieko taśmą, ja w tym czasie wyjmę mięso z zamrażalnika.

- Skąd go masz?

- Od Charlesa. - Amanda odwróciła się, wzięła szczotkę z toaletki, jeśli tak ten mebel można nazwać, spojrzała w lustro i z furią dorwała się do swoich włosów. - Dał mi go w zeszłym roku.

Lisey włożyła rewolwer, tak podobny do tego, z którego Gerd Allen Cole postrzelił jej męża,

z powrotem do pudełka po butach i przyjrzała się Amandzie w lustrze.

- Spałam z nim dwa, czasem trzy razy w tygodniu przez cztery lata - powiedziała Amanda. - Czyli łączyła nas intymna więź. Mam rację?

- Tak.

- Poza tym cztery lata prałam mu gacie, raz w tygodniu zeskrobywałam mu to złuszczone badziewie z głowy, żeby nie obsypywało ramion jego ciemnych marynarek i nie musiał świecić oczami, i wydaje mi się, że takie rzeczy są dużo bardziej intymne niż rżnięcie. Zgodzisz się?

- Coś w tym jest.

- Tak. - Amanda pokiwała głową. - I po czterech latach tego wszystkiego dostaję na pożegnanie kartkę Hallmark. A niech ta kobita, co ją poznał w Sindzian, se go weźmie.

Lisey miała ochotę krzyknąć z radości. Nie, nie sądziła, by Mandzie potrzebna było kąpieli w stawie.

- Bierzmy mięso i jedźmy do ciebie - powiedziała Amanda. - Umieram z głodu.

### 13

Kiedy zbliżały się do sklepu Patela, wyszło słońce, które wyczarowało tęczę jak baśniową bramę nad drogą.

- Wiesz, co zjadłabym na kolację? - zagadnęła Amanda.

- Nie, co?

- Dużą, rozciapaną porcję gotowego dania Hamburger Helper. Pewnie nie masz w domu nic takiego?

- Miałam - odparła Lisey z uśmiechem winowajcy - ale zjadłam.

- Zatrzymaj się pod sklepem Patela. Ja stawiam.

Lisey zaparkowała wóz. Przed wyjściem z domu Amanda uparła się, by wziąć oszczędności z niebieskiego dzbanka w kuchni, który robił za skrytkę, i teraz wyjęła zmięty banknot

pięćdziesiąt dolarów.

- Jakiego chcesz, lalunia?

- Wszystko jedno, byle nie Cheeseburgerowy Placek - powiedziała Lisey.

## XIV

### Lisey i Scott (skarbiemój)

#### 1

Kwadrans po siódmej tego wieczora Lisey miała przecucie. Nie pierwsze w jej życiu; wcześniej zdarzyło jej się to co najmniej dwa razy. Raz w Bowling Green, tuż po tym, jak weszła do szpitala, do którego zabrano jej męża, kiedy zasłabł podczas przyjęcia na wydziale anglistyki. Drugi raz tamtego ranka przed wylotem do Nashville, kiedy stłukła szklanę. A po raz trzeci spotkało ją to, gdy burze już przechodziły i cudne złote światło zaczęło przenikać przez rozrzedzające się chmury. Były z Amandą w pracowni Scotta nad stodołą. Lisey przeglądała papiery w najważniejszym biurku Scotta, znanym jako Dumbo Wielki Jumbo. Najciekawszym dotąd znaleziskiem okazał się plik umiarkowanie sprośnych francuskich pocztówek z naklejonym na wierzchu karteluszkim z wypisanymi ręką Scotta słowami *Kto mi TO WSZYSTKO przysłał???* Obok pustookiego komputera leżało pudełko z rewolwerem. Wciąż było zamknięte, ale Lisey rozcięła oklejającą je taśmę paznokciem. Amanda była po drugiej stronie, we wnęce z telewizorem i sprzętem stereo. Co jakiś czas dochodziły stamtąd jej narzekania, bo na półkach panował bałagan. Raz Lisey usłyszała, jak zastanawiała się na głos, jakim cudem Scott w ogóle mógł cokolwiek znaleźć.

Wtedy nadeszło przecucie. Lisey zatrzasnęła szufladę, którą przeglądała, i usiadła na biurowym krześle z wysokim oparciem. Zamknęła oczy i czekała, a coś nadciągało. Okazało się, że to piosenka. Jej wewnętrzna szafa grająca rozświetliła się i nosowy, ale niezaprzeczalnie wesół głos Hanka Williamsa śpiewał: „Żegnaj mi Joe, pora mi iść, laj, laj, laj; pirogą przez bayou ruszyć czas...”

- Lisey! - krzyknęła Amanda z wnęki, w której Scott dawniej przesiadywał i słuchał muzyki albo oglądał filmy na wideo. To znaczy, kiedy akurat nie oglądał ich w środku nocy w pokoju gościnnym. I Lisey usłyszała głos profesora wydziału anglistyki Pratt College - to było w Bowling Green, raptem dziewięćdziesiąt kilometrów od Nashville. Tyle, co splunąć, psze pani.

„Myślę, że dobrze by było, gdyby przyjechała pani najszybciej, jak to możliwe - powiedział

profesor Meade przez telefon. - Pani mąż zachorował. Źle z nim, obawiam się”.

„Ma Yvonne, mi-o-maj-o...”

- Lisey! - Amanda wydawała się bystra jak ruczaj o poranku. Czy ktokolwiek uwierzyłby, że ledwie osiem godzin temu zupełnie nie kontaktowała? Nie, moja pani. Nie, mój panie.

Duchy zrobiły to wszystko w jedną noc, pomyślała Lisey. Duchy, jupi.

*Doktor Jantzen uważa, że konieczny jest zabieg. Nazywa się to torakotomia.*

I Lisey pomyślała: Chłopcy wrócili z Meksyku. Wrócili do Anarene. Bo Anarene to ich dom.

Jacy znowu chłopcy? Czarno-biali chłopcy. Jeff Bridges i Timothy Bottoms. Chłopcy z „Ostatniego seansu filmowego”.

W tym filmie terażniejszość trwa wiecznie, a oni są wiecznie młodzi, pomyślała. Są wiecznie młodzi, a Sam zwany Lwem jest wiecznie martwy.

- Lisey?

Otworzyła oczy i oto starsza siostrunia stała w wejściu do wnęki, oczy miała tak bystre jak głos i oczywiście w dłoni trzymała pudełko od kasy z filmem „Ostatni seans filmowy”, a uczucie... cóż, uczucie powracało. Powracało do domu, laj, laj, laj.

A to niby dlaczego? Bo pijąc ze stawu można było liczyć na drobne dodatkowe korzyści i przywileje? Bo czasem człowiek przenosił na ten świat coś, co znalazł na tamtym? Znalazł albo połknął? Tak, tak i jeszcze raz tak.

- Lisey, skarbie, wszystko w porządku?

Taka ciepła troska, taka smerdolona matczyzna czułość, normalnie była u Amandy czymś niespotykanym, Lisey myślała, że śni.

- W porządku - powiedziała. - Dałam tylko odpocząć oczom.

- Nie masz nic przeciwko temu, żebym to sobie pooglądała? Znalazłam w kasetach Scotta. Większość to raczej chłam, ale akurat ten film zawsze chciałam zobaczyć i jakoś nigdy mi się nie udało.

- Proszę cię bardzo, ale uprzedzam, że w środku prawie na pewno urywa się na parę minut. To stara taśma.



Amanda wpatrywała się w tylną stronę pudełka.

- Jeff Bridges wygląda tak młodo.

- No nie? - powiedziała Lisey słabo.

- A Ben Johnson oczywiście nie żyje... Może lepiej sobie odpuszczę. Jeszcze nie usłyszymy twojego narzeczo... nie usłyszymy Dooleya, jak przyjdzie.

Lisey zsunęła wieko z pudełka, wyjęła pathfindera i skierowała lufę na schody prowadzące w dół, do stodoły.

- Zamknęłam te drzwi na zewnętrzne schody - powiedziała - więc to jest jedyne wejście. I mam je na oku.

- Może wzniecić pożar w stodole - napomknęła Amanda trwoźnie.

- Nie chce, żebym się upiekła, co to by była za frajda? - Poza tym, Lisey pomyślała, mam dokąd uciec. Dopóty, dopóki czuję w ustach taką słodycz, jak teraz, mam dokąd uciec i raczej nie będę miała kłopotu, żeby zabrać cię tam ze sobą, Manda. Nawet dwie porcje Hamburger Helper i dwie szklanki wiśniowego kool-aida nie zabiły tego cudownego, słodkiego smaku.

- Cóż, jeśli jesteś pewna, że to ci nie będzie przeszkadzać...

- Wyglądam, jakbym uczyła się do egzaminu? Oglądaj, co chcesz.

Amanda wróciła do wnęki.

- Mam tylko nadzieję, że ten magnetowid działa. - Mówiła tonem kobiety, która znalazła gramofon na korbkę i stertę starych acetatów.

Lisey spojrzała na liczne szuflady Dumbo Wielkiego Jumbo, ale pomyślała, że przeszukiwanie ich byłoby sztuką dla sztuki... i pewnie miała rację. Przypuszczała, że nie ma tu nic naprawdę interesującego. Ani w szufladach, ani w szafkach na dokumenty, ani na twardych dyskach komputerów. No, może jakieś skarby dla co bardziej fanatycznych Impotebili, kolekcjonerów i uczonych, którzy utrzymywali się na stanowiskach głównie dzięki dzieleniu włosów na czworo w wydawanych przez siebie niezrozumiałych periodykach; ambitnych, nadmiernie wykształconych bałwanów, którzy stracili z oczu to, czym są książki i czytanie, i mogliby bez końca prząść ze słomy opatrzone przypisami tombak. Ale te prawdziwe konie już uciekły ze stajni. Rzeczy Scotta Landona, które dawały przyjemność zwykłym czytelnikom -

ludziom tkwiącym w samolotach z Los Angeles do Sydney bądź w szpitalnych poczekalniach, urlopowiczom chcącym przeczekać długie, deszczowe letnie dni, osobom dzielącym czas między powieść tygodnia a puzzle na werandzie - wszystko to już zostało opublikowane. „Sekretna perła”, która się ukazała miesiąc po jego śmierci, była ostatnia.

Nie, Lisey, szepnął głos, w pierwszej chwili pomyślała, że Scotta, a potem - kompletne wariactwo - że starego Hanka. Ale to nie miało sensu, bo to wcale nie był głos mężczyzny. Czy to głos Dobrej Mamy robił jej szeptu-szeptu-szeptu w głowie?

*Chyba chciał, żebym coś ci powiedziała. Coś o opowieści.*

Nie, to nie był głos Dobrej Mamy - choć jej żółty afgan miał z tym jakiś związek - tylko Amandy. Siedziały wtedy na tych kamiennych ławkach i patrzyły na „Malwy”, piękny statek, który zawsze stał na kotwicy, ale nigdy nie wychodził w morze. Lisey nie zdawała sobie sprawy, jak podobnie brzmiały głosy jej matki i najstarszej siostry, aż do chwili, kiedy wróciło wspomnienie ławek. I...

*Coś o opowieści. Dla ciebie. Dla Lisey.*

Czy Amanda naprawdę to powiedziała? To wspomnienie było jak sen i Lisey nie mogła mieć całkowitej pewności, ale wydawało jej się, że tak.

*I o afganie. Tylko że...*

- Tylko że nazywał go afrykanem - powiedziała Lisey zniżonym głosem. - Nazywał go afrykanem i bafem. Nie bachem, nie buchem, tylko bafem.

- Lisey? - zawołała Amanda z sąsiedniego pokoju. - Coś mówiłaś?

- Tak tylko do siebie gadam, Manda.

- Znaczy, masz pieniądze w banku - powiedziała Amanda i potem znów słyhać było tylko ścieżkę dźwiękową filmu. Lisey miała wrażenie, że zna na pamięć każdą kwestię, każdy trzeszczący urywek muzyki.

*Jeśli zostawisz mi opowieść, Scott, gdzie ona jest? Nie tu w pracowni, założę się o każdą sumę. W stodole też nie - nie ma tam nic prócz fałszywych bafów jak „Ike wraca do domu”.*

Ale to nie do końca prawda. W stodole był co najmniej jeden prawdziwy skarb: cedrowa skrzynka Dobrej Mamy, schowana pod bremeńskim łóżkiem. Z delikatesem w środku. Czy to

Amanda miała na myśli?

Lisey tak nie sądziła. Owszem, w skrzynce była opowieść, ale opowieść o nich - **SCOTT I LISEY: WE DWÓCH TRZYMAMY SIĘ MY DWAJ**. Czym więc była opowieść dla niej? I gdzie była?

A propos „gdzie”: gdzie był Czarny Księżę Impotebili?

Nie na automatycznej sekretarce Amandy; na tej tutaj też nie. Nagrała się tylko jedna wiadomość, pod telefonem domowym. Od zastępcy szeryfa Alstona.

- Pani Landon, burza wyrządziła wiele szkód w mieście, zwłaszcza w południowej części. Ktoś, mam nadzieję, że ja albo Dan Boeckman, skontaktuje się z panią najszybciej, jak to możliwe, ale na razie chciałbym przypomnieć, by pozamykała pani drzwi i nie wpuszczała obcych. To znaczy, że jeśli ktoś przyjdzie, musi pani kazać mu zdjąć czapkę czy kaptur, nawet gdyby łało jak z cebra, dobrze? I proszę cały czas mieć ze sobą komórkę. Przypominam, gdyby coś się działo, wystarczy wcisnąć SZYBKIE WYBIERANIE i jedynekę. Wtedy od razu połączy się pani z biurem szeryfa.

- Super - skwitowała Amanda, kiedy tego wysłuchiwała. - Nasza krew nie zdąży zastygnąć przed ich przyjazdem. Szybciej uwiną się z analizą DNA.

Lisey nawet nie odpowiedziała. Nie miała zamiaru zostawić Jima Dooleya ludziom szeryfa okręgu Castle. Jak dla niej, Dooley mógłby sobie poderżnąć gardło jej otwieraczem do puszek Oxo, proszę bardzo.

Światelko automatycznej sekretarki w jej gabinecie w stodole mrugało, w okienku WIADOMOŚCI OTRZYMANE widniała cyfra 1, ale kiedy Lisey wcisnęła „play”, przez trzy sekundy nie słychać było nic, potem rozległ się cichy wdech i trzask odkładanej słuchawki. Mogła to być pomyłka, w końcu ludzie co rusz wybierali niewłaściwe numery i odkładali słuchawki, ale wiedziała, że tak nie było.

Nie. To był Dooley.

Odchyliła się na oparcie krzesła, przesunęła palcem po gumowym chwycie rękojeści dwudziestkidwójki, podniosła ją i wysunęła bębenek. Za którymś z kolei razem było to w miarę łatwe. Wsunęła naboje do komór i zamknęła bębenek z cichym, ale nieodwołalnym trzaskiem.

W drugim pokoju Amanda śmiała się z czegoś w filmie. Lisey też uśmiechnęła się lekko. Nie wierzyła, by Scott dokładnie to wszystko zaplanował; nie przygotowywał nawet planów książek, choć niektóre bardzo były zawile. Planowanie, mówił, popsułoby całą zabawę. Twierdził, że dla niego pisać książkę to tak, jakby znaleźć w trawie kolorową nitkę i iść za nią, by zobaczyć, dokąd doprowadzi. Czasem się urywała i zostawało się z niczym. Ale przy innych okazjach - jeśli człowiek miał szczęście, odwagę, wytrwałość - nitka doprowadzała go do skarbu. Skarbem zaś nie były pieniądze zarobione na książce; skarbem była sama książka. Lisey przypuszczała, że Rogerowie Dashmielowie tego świata w to nie wierzyli, a Josephowie Woodbody uważali, że musiało chodzić o coś więcej - coś bardziej wzniosłego - ale Lisey żyła z nim pod jednym dachem i w to wierzyła. Pisanie książki było łowami na bafa. Nie powiedział jej tylko tego (choć właściwie chyba się domyślała), że jeśli nitka nie urywała się, to prowadziła zawsze z powrotem na plażę. Do stawu, do którego wszyscy schodzimy, by się napić, zarzucić sieci, pływać, a czasem utonąć.

*A czy wiedział? Czy u kresu wiedział, że to koniec?*

Usiadła nieco bardziej prosto, próbowała przypomnieć sobie, czy Scott przekonywał ją, by nie jechała z nim na Pratt, małą, ale szanowaną uczelnię humanistyczną, w której po raz pierwszy i ostatni czytał fragmenty „Sekretnej perły”. Zasnął w połowie wydanego potem przyjęcia. Półtorej godziny później ona była już w samolocie, a jeden z zaproszonych gości - chirurg sercowo-naczyniowy zaciągnięty na wieczór autorski Scotta przez żonę - prowadził operację mającą ocalić mu życie, a przynajmniej podtrzymać je dość długo, by można było go przewieźć do większego szpitala.

*Czy wiedział? Czy chciał, żebym trzymała się z dala, bo wiedział, że to już?*

W to akurat nie wierzyła, ale kiedy zadzwonił profesor Meade, czy nie zrozumiała, że Scott wiedział, że coś nadciąga? Jeśli nie długaśnik, to właśnie to? Czy nie dlatego ich sprawy finansowe były w tak doskonałym porządku, wszystkie papiery, które trzeba, zostały odpowiednio uprawomocnione? Czy nie z tego właśnie powodu tak troszczył się przyszłymi problemami Amandy?

„Myślę, że byłoby rozsądnie, gdyby wyjechała pani zaraz po wydaniu zgody na zabieg” - powiedział profesor Meade. I dokładnie tak postąpiła, zadzwoniła do firmy czarterowej, z której usług zwykle korzystali, kiedy tylko skończyła rozmawiać z anonimowym głosem z kancelarii

szpitala rejonowego Bowling Green. Przedstawiła się szpitalnemu urzędnikowi jako żona Scotta Landona, Lisa, i dała niejakiemu doktorowi Jantzenowi zgodę na przeprowadzenie torakotomii (ledwo zdołała to wymówić) oraz „wszelkich zabiegów pomocniczych”. Wobec firmy czarterowej była bardziej asertywna. Chciała dostać najszybszy samolot, jaki mieli. Czy gulfstream był szybszy od leara? Dobrze więc. Niech będzie gulfstream.

We wnętrzu z telewizorem, w czarno-białym świetle „Ostatniego seansu filmowego”, gdzie Anarene była domem, a Jeff Bridges i Timothy Bottoms mieli pozostać wiecznie młodzi, stary Hank śpiewał o tym dzielnym indiańskim wodzu, Kaw-Lidze.

Na dworze niebo zaczęło czerwienić - tak, jak przed zachodem słońca w pewnej mitycznej krainie, odkrytej niegdyś przez dwójkę wystraszonych chłopców z Pensylwanii.

*To stało się tak nagle, pani London. Chciałbym mieć dla pani jakieś odpowiedzi, ale nie mam. Może doktor Jantzen je znajdzie.*

Ale nie znalazł. Wykonał torakotomię, ale i ona nie dała odpowiedzi.

Nie wiedziałam, co to było, pomyślała Lisey, kiedy czerwieniejące słońce opadało ku wzgórzom na zachodzie. Nie miałam pojęcia, czym była torakotomia, nie wiedziałam, co się działo... tyle że mimo wszystkiego, co schowałam za fioletem, w pewnym sensie wiedziałam.

Piloci zamówili jej limuzynę, kiedy samolot jeszcze był w powietrzu. Gulfstream wylądował po jedenastej, a po północy dotarła do tej sterty pustaków, szumnie nazywanej szpitalem, ale po upalnym dniu nadal było gorąco. Pamiętała, że kiedy szofer otwierał drzwi, czuła, że mogłaby wyciągnąć ręce i wyżyć wodę z powietrza.

I oczywiście czekały psy - wydawało się, że wszystkie psy z Bowling Green wyły do księżycy - i Boże mój, to się nazywa deja vu, jakiś dziadek froterował podłogę korytarza, a w poczekalni siedziały dwie staruszki, na oko identyczne bliźniaczki, miały z osiemdziesiąt lat, a na wprost

Na wprost są dwie windy pomalowane na niebieskoszaro. Tabliczka na stojaku przed nimi

informuje NIECZYNNIE. Lisey zamyka oczy i po omacku szuka ręką ściany, by się oprzeć, przez chwilę przekonana, że zemdleje. I dlaczegoż by nie? Wydaje się, że przebyła nie tylko wiele kilometrów, ale i lat. To nie Bowling Green z 2004 roku, tylko Nashville z 1988. Jej mąż ma kłopot z płucem, zgadza się, tyle że kłopot nazywa się „kaliber 22”. Szaleniec poczęstował go kulką i poczęstowałyby jeszcze kilkoma, gdyby Lisey tak wprawnie nie władała srebrną łopatką.

Czeka, aż ktoś spyta, czy dobrze się czuje, może nawet ją podtrzyma i postawi na drżących kulasach, ale słyszy tylko „szszszsz” froterki starego woźnego i gdzieś w oddali cichy brzęk dzwonka, przypominający jej inny dzwonek z innego miejsca, dzwonek rozbrzmiewający czasem za fioletową zasłoną, którą starannie zaciągnęła na pewne fragmenty swojej przeszłości.

Otwiera oczy i widzi, że recepcja jest pusta. Światło pali się w okienku z napisem INFORMACJA, więc ktoś powinien tam dyżurować, ale akurat w tej chwili wyszedł albo wyszła, może do kibla. Wiekowe bliźniaczki z poczekalni studiują na oko identyczne czasopisma. Za drzwiami wejściowymi limuzyna, która ją przywiozła, stoi z zapalonym silnikiem i włączonymi żółtymi światłami pozycyjnymi, jak egzotyczna ryba głębinowa. Po tej stronie drzwi małomiasteczkowy szpital przedrzemuje pierwszą godzinę nowego dnia i Lisey uświadamia sobie, że jeśli nie „rozedrze jadaczki”, jak powiedziałyby Dandy, będzie zdana tylko na siebie. Uczuciem, jakie budzi w niej ta myśl, jest nie strach, złość czy zaskoczenie, lecz raczej głęboki smutek. Później, lecąc do Maine z trumną ze szczątkami męża u swoich stóp, pomyśli: To wtedy dotarło do mnie, że nie wyjdzie stamtąd żywy. Że doszedł do kresu. Miałam przeczucie. I wiecie co? To chyba przez tę tabliczkę przed windami. Ten smerdolony napis NIECZYNNIE. O tak.

Może poszukać tablicy informacyjnej albo spytać o drogę woźnego polerującego posadzkę, ale nie robi ani tego, ani tego. Jest pewna, że jeśli Scott ma operację już za sobą, znajdzie go na OIOM-ie, a OIOM będzie na drugim piętrze. To przeczucie jest tak silne, że wręcz spodziewa się zobaczyć u podnóża schodów swojsko czarodziejski dywan NAJLEPSZA MAKA PILLSBURY’EGO. Oczywiście, nie ma tam nic takiego i kiedy dociera na drugie piętro, jest spocona, cała się lepi i serce jej wali. Na drzwiach jednak rzeczywiście widnieje napis ODDZIAŁ INTENSYWNEJ OPIEKI MEDYCZNEJ SRBG, i to wrażenie, że śni na jawie sen, w którym przeszłość i chwila obecna połączyły się w nieskończonej pętli, jeszcze bardziej przybiera na sile.

Leży w pokoju 319, myśli Lisey. Jest tego pewna, choć widzi, że wiele się zmieniło od jej

ostatniej wizyty w szpitalu u rannego męża. Tym, co najbardziej rzuca się w oczy, są monitory przed każdym pokojem; wszystkie pokazują najprzeróżniejsze czerwone i zielone cyferki. Jedyne, które Lisey rozpoznaje, to tętno i ciśnienie krwi. Aha, i nazwiska, je też może odczytać. COLVETTE JOHN, DUMBARTON ADRIAN, TOWSON RICHARD, VANDERVEAUX ELIZABETH (Lizzie Vanderveaux, weź to wymów, myśli), DRAYTON FRANKLIN. Zbliża się do numeru 319 i myśli: Pielęgniarka wyjdzie z tacą Scotta w rękach, odwrócona do mnie plecami; nie będę chciała jej wystraszyć, ale oczywiście to zrobię. Upuści tacę. Talerzom i kubkowi po kawie, tym twardym stołówkowym wyjadaczom, nic się nie stanie, za to szklanka z sokiem rozbije się na milion kawałków.

Ale jest środek nocy, nie poranek, wentylatory nie młócą powietrza nad jej głową, a nazwisko na monitorze nad drzwiami pokoju 319 brzmi: Yanez Thomas. Mimo to poczucie déjà vu jest na tyle silne, że Lisey zagląda do środka i widzi w łóżku tłustego niczym wieloryb mężczyznę - Thomasa Yaneza. Wtedy czuje się jak lunatyk budzący się ze snu; rozgląda się z narastającym strachem i zdumieniem, myśląc: Co ja tu robię? Dostanie mi się za to, że jestem tu sama. Potem przypomina sobie. Torakotomia. Myśli: Zaraz po wydaniu zgody na zabieg; niemal widzi pulsujące słowo ZABIEG wypisane ociekającymi, krwistoczerwonymi literami, i zamiast wyjść, szybko idzie ku jaśniejszemu światłu na środku korytarza, gdzie musi być stanowisko pielęgniarki dyżurnej. Z otchłani jej umysłu wynurza się straszliwa myśl

*(a jeśli on już)*

i Lisey odpycha ją, chowa z powrotem w głąb.

Na stanowisku dyżurnej pielęgniarka w fartuchu, na którym postaci z kreskówek wyprawiają szalone harce, notuje coś na rozłożonych kartach. Jej koleżanka mówi *sotto voce* do małego mikrofonu wpiętego w klapę bardziej tradycyjnej białej góry z rayonu, wygląda na to, że odczytuje liczby z monitora. Za nimi, rozwalony na składanym krześle, siedzi chudy rudzielec, z brodą opuszczoną na białą elegancką koszulę. Przez oparcie przewieszona jest marynarka pasująca do jego spodni. Rudzielec ma zdjęte buty, krawat zresztą też - Lisey widzi jego koniuszek wystający z kieszeni marynarki. Dłonie trzyma luźno splecione na kolanach. Może i miała przeczucie, że Scott nie wyjdzie ze szpitala rejonowego Bowling Green żywy, ale nie ma bladego pojęcia, że w tej chwili patrzy na lekarza, który go operował, przedłużył mu życie na tyle, by mogli się pożegnać po wspólnie spędzonych, na ogół dobrych - no, powiedzmy,

przyzwoitych - dwudziestu pięciu latach. Ocenia, że śpiący chłopak może mieć jakieś siedemnaście lat, i bierze go za syna jednej z pielęgniarek.

- Przepraszam - mówi Lisey. Obie pielęgniarki podskakują na krzesłach. Tym razem udało jej się nastraszyć dwie, nie tylko jedną. Na taśmę pielęgniarki z mikrofonem nagra się „och!”. Lisey ma to gdzieś. - Nazywam się Lisa Landon i słyszałam, że mój mąż, Scott...

- Pani Landon, tak. Oczywiście. - To pielęgniarka, która na jednej piersi ma królika Bugsa, a na drugiej Elmera Fudda mierzącego doń ze strzelby, podczas gdy kaczor Daffy obserwuje ich z leżącej niżej doliny. - Doktor Jantzen czeka na panią. Udzielił pierwszej pomocy na przyjęciu.

Lisey nadal nie potrafi tego ogarnąć, może po części dlatego, że nie miała czasu sprawdzić „torakotomii” w encyklopedii medycznej.

- Scott... co, zasłabł? Zemdlał?

- Jestem pewna, że doktor Jantzen opowie pani wszystko w szczegółach. Wie pani, że oprócz torakotomii przeprowadził też pleurektomię?

Pleure... co? Uznaje, że łatwiej będzie powiedzieć „tak”. Tymczasem pielęgniarka, która dyktowała do mikrofonu, wyciąga rękę i potrząsa śpiącym rudzielcem. Kiedy ten otwiera oczy, mrugając powiekami, Lisey widzi, że myliła się co do jego wieku, drinka pewnie by mu sprzedali w barze, ale chyba nikt jej nie wmówi, że to on grzebał w klatce piersiowej jej męża. Chyba...?

- Operacja - mówi Lisey, nie wiedząc, z kim z tej trójki właściwie rozmawia. W jej głosie słychać wyraźną nutę desperacji, denerwuje ją to, ale nie może nic z tym zrobić. - Udała się?

Pielęgniarka, ta od kreskówek, waha się przez chwilę i Lisey wyczytuje swoje najgorsze obawy z oczu, które nagle umykają w bok. Potem wracają i pielęgniarka mówi:

- To doktor Jantzen. Czekał na panią.

### 3

Po tym pierwszym, zdezorientowanym mrugnięciu powiekami, Jantzen szybko przytomnieje. Lisey myśli, że lekarze pewnie tak mają - prawdopodobnie policjanci i strażacy



też. *Na pewno nie pisarze. Dopóki nie wypił drugiej kawy, nie dało się z nim rozmawiać.*

Uświadamia sobie, że właśnie pomyślała o mężu w czasie przeszłym, i przesywa ją fala zimna, od której włosy jeżą się na karku, a ramiona obsypuje gęsia skórka. Potem ogarnia ją lekkość, cudowna i straszliwa zarazem. Ma wrażenie, że lada chwila odfrunie jak balon z odciętym sznurkiem. Odfrunie w

*(ćśśś Lisey laluniu ani słowa o tym)*

inne miejsce. Może na księżyc. Musi mocno wbić paznokcie w dłonie, by utrzymać się na nogach.

Tymczasem Jantzen szepcze coś pielęgniarce od kreskówek, a ona słucha i kiwa głową.

- Nie zapomnisz potem dać mi tego na piśmie, he?

- Zanim zegar pokaże drugą - zapewnia ją Jantzen.

- I jesteś absolutnie pewien, że tak to chcesz rozegrać? - dąży pielęgniarka. Nie dlatego, że chce się z nim spierać, myśli Lisey, tylko po to, by sprawdzić, czy wszystko dobrze zrozumiała, o cokolwiek chodzi.

- Tak - mówi on, odwraca się do Lisey i pyta, czy gotowa jest iść na górę, do Alton. Tam, twierdzi, jest jej mąż. Lisey odpowiada, że tak, oczywiście. - Cóż - stwierdza Jantzen z uśmiechem, który wydaje się znużony i niezbyt szczery - mam nadzieję, że włożyła pani buty do wspinaczki. To na czwartym piętrze.

Kiedy wracają do schodów - mijając Yaneza Thomasa i Vandervaux Elizabeth - pielęgniarka od kreskówek rozmawia przez telefon. Później Lisey domyśli się, że w czasie tamtej szeptanej wymiany słów Jantzen powiedział jej, by zadzwoniła na górę i kazała odłączyć Scotta od respiratora. O ile jest na tyle przytomny, by rozpoznać żonę i usłyszeć jej słowa pożegnania. A może nawet i samemu się z nią pożegnać, jeśli Bóg ześle jeszcze jeden podmuch wiatru, który przepłynie mu przez struny głosowe. Później Lisey zrozumie, że po odłączeniu respiratora zostały mu już tylko minuty, nie godziny życia, ale Jantzen uznał, że tak było uczciwie, bo jego zdaniem, ile by tych godzin nie było, Scott Landon i tak nie miałby szans przeżyć. Pojmie też, że pomieszczenie, w którym go umieścili, było w tym prowincjonalnym szpitalu odpowiednikiem izolowanego oddziału dla ofiar zarazy. Później.

#### 4

Podczas niespiesznej, spokojnej wędrówki gorącą klatką schodową na czwarte piętro, przekonuje się, jak mało Jantzen może jej powiedzieć o tym, co Scottowi jest - jak żałośnie niewiele wie. Torakotomię, tłumaczy, zrobił nie po to, by go wyleczyć, tylko żeby odciągnąć gromadzący się płyn; zabieg pomocniczy był potrzebny, by usunąć powietrze uwięzione w jamach opłucnej Scotta.

- O którym płucu mówimy, doktorze Jantzen? - pyta go, a on, ku jej przerażeniu, odpowiada:

- O obu.

#### 5

Wtedy właśnie pyta ją, jak długo Scott choruje i czy był u lekarza „zanim jego obecna dolegliwość zaczęła się pogłębiać”. Ona odpowiada, że Scott nie miał żadnej obecnej dolegliwości. Scott nie był chory. Owszem, trochę mu się łało z nosa przez ostatnie dziesięć dni, od czasu do czasu pokasływał i kichał, ale to w zasadzie wszystko. Nie bierze nawet allerestu, choć uważa, że to alergia, zresztą, tak jak ona. Podobne objawy występują u niej co roku, późną wiosną i wczesnym latem.

- Nie miał głębokiego kaszlu? - pyta doktor, kiedy są już blisko czwartego piętra. - Głębokiego, suchego, jak poranny kaszel nałogowego palacza? Tak w ogóle to przepraszam za windy.

- Nie ma za co - mówi, walcząc z zadyszką. - Owszem, jak mówiłam, pokasływał, ale bardzo słabo. Kiedyś palił, ale rzucił, lata temu. - Myśli. - Może rzeczywiście w ostatnich dniach kaszłał trochę mocniej, raz nawet obudził mnie w nocy...

- Zeszłej nocy?

- Tak, ale napił się wody i mu przeszło. - Jantzen otwiera drzwi na następny cichy szpitalny

korytarz i Lisey kładzie mu dłoń na ramieniu, by go zatrzymać. - Wie pan... takie imprezy jak ten wczorajszy wieczór autorski... Kiedyś Scott odbębniłby kilka takich z rządu nawet przy czterdziestu stopniach gorączki. Aplauz podziałałby na niego jak podgrzana i wstrzyknięta działka hery. Te czasy jednak skończyły się pięć, a może nawet siedem lat temu. Gdyby był naprawdę chory, jestem pewna, że zadzwoniłby do profesora Meade'a... to kierownik wydziału anglistyki... i odwołał całą smer... całą cholerną imprezę.

- Pani Landon, kiedy go przyjęliśmy, pani mąż miał czterdzieści jeden stopni gorączki.

Teraz może tylko patrzeć na doktora Jantzena, o niegodnej zaufania, młodzieńczej twarzy, z niemą trwogą i - nie do końca - niedowierzaniem. Z czasem jednak zacznie rysować się obraz. Dzięki relacjom świadków, w połączeniu z pewnymi wspomnieniami, które nie chcą pozostać pogrzebane, Lisey zobaczy wszystko, co potrzebuje zobaczyć.

Scott poleciał wycarterowanym samolotem z Portland do Bostonu, a z Bostonu liniami United do Kentucky. Stewardessa United, która później wzięła od niego autograf, powiedziała dziennikarzowi, że pan Landon kaszlał „prawie bez przerwy” i był rozpalony. „Kiedy spytałam, czy dobrze się czuje - wspominała - powiedział, że to tylko letnie przeziębienie, że wziął dwie aspiryny i wszystko będzie dobrze”.

Frederic Borent, student, który odebrał go z lotniska, też wspominał o kaszlu i dodał, że Scott wysłał go do Nite Owl po buteleczkę nyquilu. „Chyba bierze mnie grypa”, powiedział. Borent odparł, że cieszył się od dawna na ten wieczór autorski i spytał, czy Scott da radę. Scott powiedział: „Jeszcze się zdziwisz”.

Borent rzeczywiście się zdziwił. I był zachwycony. Podobnie jak większość publiczności. Według wydawanego w Bowling Green „Daily News”, odczytane przez Scotta fragmenty były „wprost hipnotyzujące”. Zrobił tylko kilka krótkich przerw, w czasie których dyskretnie pokasływał, ale za każdym razem pomagał mu łyk wody ze szklanki stojącej na podium. Rozmawiając z Lisey wiele godzin później, Jantzen wciąż jest zadziwiony żywotnością Scotta. I to właśnie jego zadziwienie, w połączeniu z wiadomością przekazaną telefonicznie przez szefa katedry anglistyki, rozchyła starannie zaciągniętą przez Lisey zasłonę niepamięci, przynajmniej na jakiś czas. Ostatnie słowa Scotta, skierowane do Meade'a po wieczorze autorskim, a tuż przed przyjęciem, brzmiały: „Zadzwoń do mojej żony, dobrze? Powiedz jej, że być może będzie musiała tu przylecieć. Powiedz, że chyba zjadłem nie to, co trzeba, po zachodzie słońca. To taki

nasz żart”.

## 6

Słowa wychodzą z ust Lisey, nim zdoła o tym pomyśleć. Zdradza młodemu doktorowi Jantzenowi swoją największą obawę.

- Scott umrze, prawda?

Jantzen waha się i w tej chwili Lisey widzi, że może i jest młody, ale dzieckiem nie jest.

- Chcę, żeby pani się z nim zobaczyła - mówi po chwili, która wydaje się bardzo długa. - I chcę, żeby on zobaczył panią. Jest przytomny, ale nie wiadomo na jak długo. Pójdzie pani ze mną?

Jantzen idzie bardzo szybko. Zatrzymuje się przy stanowisku dyżurnych i pielęgniarz podnosi głowę znad pisma „Geriatryka Dziś”. Jantzen rozmawia z nim. Ich głosy są zniżone, ale na piętrze jest cicho jak makiem zasiał i Lisey bardzo wyraźnie słyszy trzy słowa, które budzą jej trwogę.

- Czeka na nią - mówi pielęgniarz.

Na drugim końcu korytarza jest dwoje zamkniętych drzwi z jasnopomarańczowym napisem:

ODDZIAŁ IZOLOWANY ALTON

ZAKAZ WSTĘPU BEZ ZGODY PERSONELU

ZACHOWAĆ ŚRODKI OSTROŻNOŚCI

DLA DOBRA PAŃSTWA

DLA DOBRA PACJENTÓW

MASKA I RĘKAWICZKI MOGĄ BYĆ WYMAGANE

Na lewo od drzwi jest umywalka, w której Jantzen myje ręce, po czym każe Lisey, by zrobiła

to samo. Na wózku po prawej leżą maski z gazy, lateksowe rękawiczki w zamkniętych opakowaniach, rozciągliwe żółte pokrowce na buty w tekturowym pudełku opieczętowanym z boku napisem ROZMIAR UNIWERSALNY, i ułożone w równym stosiku zielone fartuchy chirurgiczne.

- Izolatka - mówi Lisey. - O Jezusie, myślicie, że mój mąż ma smiertelny Wirus Andromeda.

Jantzen starannie dobiera słowa.

- Podejrzewamy, że może to być jakieś egzotyczne zapalenie płuc, niewykluczone, że nawet ptasia grypa, ale cokolwiek to jest, nie udało nam się zidentyfikować i to...

Nie kończy, wydaje się, że nie wie jak, więc Lisey mu pomaga.

- To nieźle daje mu w kość. Jak to się mówi.

- Maskę powinna wystarczyć, pani Landon, chyba że ma pani jakieś skaleczenia. Żadnych nie zauważyłem, kiedy pani...

- Nie sądzę, żebym musiała się martwić skaleczeniami, i maska nie będzie mi potrzebna. - Pcha drzwi po lewej stronie, zanim Jantzen może zaprotestować. - Gdyby to było zaraźliwe, już bym to miała.

Jantzen wchodzi za nią na oddział Alton i nasuwa zieloną maskę z materiału na usta i nos.

## 7

Na końcu korytarza na czwartym piętrze są cztery salki i włączony jest zaledwie jeden monitor; tylko z jednej z salek dochodzi pikanie aparatury szpitalnej i cichy, jednostajny szum płynącego tlenu. Na monitorze, pod zatrważająco szybkim tętnem - 178 - i zatrważająco niskim ciśnieniem - 79 na 44 - widnieje napis LANDON SCOTT.

Drzwi są na wpół otwarte. Wisi na nich tabliczka z przekreślonym pomarańczowym płomykiem. Krzykliwy czerwony napis pod nim głosi: ŻADNYCH ŚWIATEŁ, ŻADNYCH ISKIER. Lisey nie jest pisarką, a już na pewno nie poetką, ale z tych słów wyczytuje wszystko, co potrzebuje wiedzieć o tym, jak wszystko się kończy; to linia odznaczająca jej małżeństwo,

taka, jak pod słupkiem liczb do zsumowania. *Żadnych świateł, żadnych iskieł.*

Scott, który pożegnał się z nią swoim zwykłym bezceremonialnym okrzykiem: „Na razie, pozdrów Kazię!” i rykiem retro-rocka Flamin’ Groovies z odtwarzacza w starym fordzie, leży i patrzy na nią z twarzą bladą jak woda z mlekiem. Tylko jego oczy są pełne życia i zbyt rozpalone. Płoną jak ślepie sowy uwięzionej w kominie. Leży na boku. Respirator jest odsunięty od łóżka, ale na rurce widać ciągnącą się nić flegmy i Lisey wie

*(ćśśś Lisey laluniu)*

że w tej zielonej mazi są zarazki, mikroby albo jedno i drugie, i że nikt ich nie zdoła zidentyfikować, nawet za pomocą najlepszego mikroskopu elektronowego na świecie i wszystkich baz danych pod słońcem.

- Hej, Lisey...

Ten szept jest prawie bezgłośny - jak wiatr pod drzwiami wychodka, powiedziała by pewnie stary Dandy - ale ona go słyszy i podchodzi bliżej. Na szyi Scotta wisi plastikowa maska tlenowa, w której syczy powietrze. Dwie plastikowe rurki wyrastają mu z piersi, ze świeżo zszytych rozcięć, przypominających dziecięcy rysunek ptaka. Przewody wychodzące z pleców wydają się wręcz groteskowo wielkie w porównaniu z tymi z przodu. W przerażonych oczach Lisey wyglądają, jakby były rozmiarów rur kaloryfera. Są przezroczyste i widać w nich mętny płyn i krwawe strzępki tkanki przepływające do walizkopodobnego ustrojstwa, które stoi na łóżku za Scottem. To nie Nashville; to nie kula kalibru 22; choć serce gwałtownie protestuje, jeden rzut oka wystarczy, by przekonać rozum, że Scott nie dożyje wschodu słońca.

- Scott - mówi, klęka przy łóżku i bierze gorącą dłoń męża w swoje zimne. - Ja smerdolę, coś ty ze sobą zrobił?

- Lisey. - Udaje mu się lekko ścisnąć jej dłoń. Oddycha chrapliwie, to piskliwe rżenie Lisey tak dobrze pamięta z tamtego parkingu. Dokładnie wie, jakie słowa zaraz padną, i Scott jej nie zawodzi. - Tak mi gorąco, Lisey. Lodu... Proszę.

Zerka na stolik, ale nic na nim nie ma. Ogląda się przez ramię na lekarza, który ją tu przyprowadził, przemienionego w Zamaskowanego Rudowłosego Mściciela.

- Doktorze... - zaczyna i orientuje się, że ma zupełną pustkę w głowie. - Przepraszam, zapomniałam nazwisko.

- Jantzen, pani Landon. I nie ma za co.

- Czy mój mąż mógłby dostać trochę lodu? Mówi, że jest mu...

- Tak, oczywiście. Zaraz przyniosę. - I już go nie ma. Lisey uświadamia sobie, że czekał tylko na pretekst, by zostawić ich samych.

Scott znów ściska jej dłoń.

- Odchodzę - mówi tym samym, ledwo słyszalnym szeptem. - Wybacz. Kocham cię.

- Scott, nie! - I zupełnie bez sensu: - Lód! Zaraz będzie lód!

Z wysiłkiem, który musi być ogromny - tak głośno jeszcze nie rzeźił - podnosi dłoń i gorącym palcem gładzi ją po policzku. Wtedy z oczu Lisey puszcza się łzy. Wie, o co musi go spytać. Przerażony głos, który nigdy nie nazywa jej Lisey, tylko zawsze „lalunią Lisey”, stróż głęboko ukrytych tajemnic, znów protestuje, by tego nie robiła, ale ona go odpędza. Każde długie małżeństwo ma dwa serca, jedno jasne i jedno mroczne. To znów jest to mroczne.

Nachyla się ku niemu, w jego gasnący żar. Czuje najbledszy, najulotniejszy cień pianki do golenia Foamy i szamponu Tea Tree, których używał wczoraj rano. Pochyla się, aż jej usta dotykają jego rozpalonego ucha.

- Idź, Scott - szepcze. - Zawlecz się nad ten smardolony staw, jeśli trzeba. Jeśli wróci lekarz i zobaczy puste łóżko, coś wymyślę, nieważne, ale idź nad ten staw i wylecz się, zrób to, zrób to dla mnie, niech cię diabli!

- Nie mogę - odpowiada i zanosi się chrapliwym kaszlem. Lisey odchyła się nieco. Myśli, że ten kaszel go zabije, rozerwie go na kawałki, ale jakimś cudem udaje mu się nad nim zapanować. A dlaczego? Bo chce powiedzieć, co ma do powiedzenia. Nawet tu, na łożu śmierci, na opustoszałym oddziale izolowanym, w zapadłej miejscinie w Kentucky o pierwszej w nocy, chce powiedzieć, co ma do powiedzenia. - To nic... nie da.

- No to ja pójdę! Pomóż mi tylko!

On jednak kręci głową.

- Leży w poprzek ścieżki... do stawu.

I wtedy Lisey wie już, o czym on mówi. Zerka bezradnie na jedną ze szklanek wody, w

których czasem widać to srokatę coś. W nich, albo w lustrze, albo kątem oka. Zawsze późną nocą. Zawsze kiedy ktoś jest zagubiony, cierpi, albo jedno i drugie. Wtedy najłatwiej zobaczyć starego znajomka Scotta. Długaśnika Scotta.

- Ś... pi. - Z rozkładających się płuc Scotta dobywa się dziwny charkot. Dusi się, myśli Lisey i sięga do przycisku alarmowego, ale dostrzega ironiczny błysk w jego oczach i uświadamia sobie, że on albo się śmieje, albo próbuje. - Śpi... na ścieżce. Bok... wysoki... nieba... - Jego oczy wędrują do sufitu i Lisey jest pewna, że chce powiedzieć, że jego bok jest tak wysoki, że sięga nieba.

Scott pociąga maskę tlenową na piersi, ale nie może jej podnieść. Lisey robi to za niego, nakłada mu ją na usta i nos. Scott bierze kilka głębokich oddechów, potem daje znak, żeby ją zdjęła. Kiedy Lisey to robi, przez jakiś czas - może nawet całą minutę - jego głos jest mocniejszy.

- Przeniosłem się na Księżyc Boo'ya z samolotu - mówi z niejakim zdumieniem. - Nigdy nie próbowałem czegoś takiego. Myślałem, że spadnę, ale wyszedłem na Kochanym Wzgórzu, jak zawsze. Potem przeniosłem się z kabiny... w lotniskowej ubikacji. Ostatnim razem... z garderoby, przed odczytem. Nadal tam jest. Fred. Nadal tam jest.

*Chryste, nawet nadal imię temu smerdolcowi.*

- Nie mogłem dojść do stawu, to zjadłem trochę jagód... zwykle są dobre, ale...

Nie może dokończyć. Lisey znów podaje mu maskę.

- Było za późno - mówi, kiedy on oddycha. - Było za późno, prawda? Zjadłeś je po zachodzie słońca.

Potakuje.

- Ale nic innego ci nie przyszło do głowy.

Znów potakuje. Daje jej znak, by znów zdjęła mu maskę.

- Przecież na wieczorze autorskim czułeś się dobrze! - mówi Lisey. - Ten profesor Meade powiedział, że byłeś smerdolenie świetny!

Uśmiecha się. To być może najsmutniejszy uśmiech, jaki w życiu widziała.

- Rosa - mówi Scott. - Zlizałem ją z liści. Ostatnim razem, kiedy przeszedłem... z garderoby.



Pomyślałem, że może być...

- Pomyślałeś, że może być lecznicza. Jak staw.

Mówi oczami „tak”. Ani na chwilę nie odrywa od niej wzroku.

- I od tego ci się poprawiło. Na krótko?

- Tak. Na krótko, a teraz... - Lekko, żałośnie wzrusza ramionami i odwraca głowę na bok. Tym razem kaszel brzmi gorzej i Lisey zauważa z przerażeniem, że ciecz w rurkach staje się gęstsza i bardziej soczysto czerwona. Scott po omacku wyciąga rękę i znów chwyta jej dłoń. - Zgubiłem się w mroku - szepcze. - Ty mnie znalazłaś.

- Scott, nie...

Kiwa głową. *Tak.*

- Zobaczyłaś mnie całego. Wszystko... - Słabym ruchem wolnej ręki zakreśla kółko: „Wszystko to samo”. Patrzy na Lisey z lekkim uśmiechem.

- Trzymaj się, Scott! Trzymaj się!

Kiwa głową, jakby wreszcie zrozumiał.

- Trzymaj się... czekaj, aż wiatr się zmieni.

- Nie, Scott, lód! - Nic innego nie przychodzi jej do głowy. - Czekaj na lód!

Mówi „skarbie”. Nazywa ją „skarbiemój”. A potem jedynym dźwiękiem jest jednostajny syk tlenu z maski na jego szyi. Lisey podnosi dłonie do twarzy

## 8

I kiedy je zabrała, były suche. Była jednocześnie zaskoczona i nie. Na pewno jej ulżyło; może wreszcie skończyła go opłakiwać. Owszem, zostało jej jeszcze dużo roboty tu, w pracowni Scotta - z Amandą ledwie ruszyły z miejsca - ale miała wrażenie, że w ciągu ostatnich dwóch-trzech dni posunęła się niespodziewanie daleko w porządkowaniu własnych spraw. Dotknęła rannej piersi i prawie nie poczuła bólu. To się nazywa samoregeneracja, pomyślała i uśmiechnęła się.

W drugim pokoju Amanda krzyczała z oburzeniem:

- Och, ty osłe! Zostaw tę sukę, nie widzisz, że jest do niczego? - Lisey zastrzygła uchem w tamtym kierunku i domyśliła się, że Jacy zaraz namówi Sonny'ego, by się z nią ożenił. Film się kończył.

Musiała część przewinąć, pomyślała Lisey, ale zmieniła zdanie, kiedy zobaczyła ciemność napierającą na świetlik nad jej głową. Siedziała za Dumbo Wielkim Jumbo i rozpamiętywała przeszłość przez ponad półtorej godziny. Pracowała nad sobą, jak mawiali wyznawcy New Age. Jakie wyciągnęła wnioski? Że jej mąż nie żyje, to wszystko. Nie czekał na ścieżce na Księżycu Boo'ya, nie siedział na jednej z tych kamiennych ławek, jak kiedyś, kiedy go znalazła; nie był też zawinięty w ten obrzydliwy całun. Scott zostawił Księżyc Boo'ya za sobą. Jak Huck, wyruszył na ziemię Indian.

Co wywołało chorobę, która go wykończyła? W akcie zgonu podano zapalenie płuc i nie miała nic przeciwko temu. Mogliby wpisać „zadziobany na śmierć przez kaczki”, a byłby tak samo martwy - ale ciągle ją to nurtowało. Czy śmierć czyhała na kwiatku, który zerwał i powąchał, czy w robaku, który wgryzł się w jego skórę, kiedy zachodzące słońce wrzało w szkarłatnym ogniu? Czy złapał chorobę podczas krótkiej wizyty na Księżycu Boo'ya tydzień lub miesiąc przed ostatnim występem w Kentucky, czy czekała przez dziesięciolecia, tykając jak zegar? Mogła tkwić w ziarenku ziemi, które dostało się pod jego paznokieć, kiedy kopał grób brata. Jeden paskudny bakcyl, który leżał uśpiony przez lata, by wreszcie obudzić się pewnego dnia przy jego komputerze, kiedy Scott wreszcie znalazł odporne słowo i z zadowoleniem strzelił palcami. Może - straszna myśl, ale kto to mógł wiedzieć? - może sama Lisey przywlokła to z jednej ze swoich wizyt, śmiertelne roztocze w drobince pyłku, którą on zdjął pocałunkiem z czubka jej nosa.

O cholera, teraz to naprawdę się rozpląkała.

Wcześniej zauważyła nieotwartą paczkę chusteczek w lewej górnej szufladzie biurka. Teraz wyjęła ją, rozerwała, wyciągnęła parę i zaczęła wycierać oczy. W drugim pokoju Timothy Bottoms krzyknął: „Zamiatał, sukinsyny!” i Lisey zorientowała się, że czas znów skoczył naprzód, pokracznie, jak wrona. Została już tylko jedna scena. Sonny wraca do żony trenera. Swojej czterdziestoletniej kochanki. Potem lecą napisy.

Telefon na biurku brzęknął krótko. Lisey wiedziała, co to znaczy, wiedziała na pewno, tak,

jak wiedziała, co Scott miał na myśli, kiedy przed śmiercią słabym ruchem ręki zakreślił koło w geście mówiącym „wszystko to samo”.

Telefon nie działał, kabel został przecięty albo wyrwany. Dooley tu był. Czarny Księżę Impotibili przyszedł po nią.

## XV

### Lisey i długaśnik (pafko pod ścianą)

#### 1

- Amanda, chodź tu!

- Chwila, Lisey, film się prawie...

- Amanda, już!

Podniosła słuchawkę, potwierdziła, że nic w niej nie słyhać, odłożyła ją z trzaskiem. Wiedziała wszystko. Miała wrażenie, że to było z nią przez cały czas, jak słodki smak w jej ustach. Następne będą światła i jeśli Amanda nie przyjdzie, zanim on je zgasi...

Ale ona już tu była, między wnęką z telewizorem a podłużnym głównym pomieszczeniem, nagle wystraszona i postarzała. Na kasecie wideo żona trenera zaraz rzuci dzbankiem w ścianę, zła, że dłonie za bardzo jej latają, by nalać kawy. Lisey nie była zaskoczona, kiedy zauważyła, że jej też drżą ręce. Wzięła dwudziestkędwójkę. Widząc to, Amanda zrobiła jeszcze bardziej przerażoną minę. Jak dama, która zasadniczo wolałaby być w Filadelfii. Albo w stanie katatonii. Za późno, Manda, pomyślała Lisey.

- Lisey, on tu jest?

- Tak.

Jakby na potwierdzenie, w oddali zagrzmiało.

- Lisey, skąd w...

- Bo przeciął kabel telefoniczny.

- Komórka...

- Została w wozie. Teraz zgasną światła. - Przeszła na koniec dużego biurka z czerwonego klonu - Dumbo Wielki Jumbo, a jakże, pomyślała, na tym smerdolonym cholerstwie można by myśliwcem odrzutowym wylądować - i już miała prostą drogę do miejsca, w którym stała siostra,

może osiem kroków po dywanie z rdzawoczerwonymi plamami jej własnej krwi.

Kiedy doszła do Amandy, światła wciąż się paliły i Lisey przez chwilę zwątpiła. Przecież mogło tak się zdarzyć, że gałąź, która obluzowała się podczas popołudniowej burzy, w końcu spadła, zrywając linię telefoniczną, prawda?

*Pewnie, że mogło, ale tak nie jest.*

Próbowała dać pistolet Amandzie, ona jednak nie chciała go wziąć. Gruchnął na dywan i Lisey spięła się w oczekiwaniu na wystrzał, po którym rozległby się okrzyk bólu jej albo Amandy, zależnie od tego, która dostałaby kulkę w kostkę. Pistolet jednak nie wypalił, patrzył tylko w dal swoim jedynym, durnym okiem. Lisey schyliła się po niego i usłyszała łoskot na dole, jakby ktoś wpadł na coś i to przewrócił. Na przykład tekturowe pudło z kartkami, w większości czystymi - jedno z wielu ustawionych na stosie.

Kiedy Lisey podniosła wzrok na siostrę, Amanda trzymała dłonie, lewą na prawej, przyciśnięte do chlerlawej piersi. Pobladła, oczy były mrocznymi oceanami lęku.

- Nie mogę wziąć pistoletu - szepnęła. - Moje ręce... widzisz? - Odwróciła je na zewnątrz, pokazując skaleczenia.

- Bierz to smerdolone cholerstwo - powiedziała Lisey. - Nie będziesz musiała do niego strzelać.

Tym razem Amanda z ociąganiem objęła palcami gumowy chwyt rękojeści pathfindera.

- Obiecujesz?

- Nie - odparła Lisey. - No, prawie.

Spojrzała ku schodom prowadzącym na dół, do stodoły. Po tamtej stronie pracowni było ciemniej, dużo bardziej złowieszczo, zwłaszcza teraz, kiedy Amanda miała broń. Niegodna zaufania Amanda, która mogła zrobić wszystko. Włącznie z tym, o co się ją prosiło - mniej więcej w połowie przypadków.

- Jaki masz plan? - szepnęła Amanda. W drugim pokoju znów śpiewał stary Hank, Lisey wiedziała, że lecą końcowe napisy „Ostatniego seansu filmowego”.

Położyła palec na ustach w geście mówiącym „ćśśś”

*(teraz musisz być cicho)*

i cofnęła się od Amandy. Jeden krok, dwa, trzy, cztery. Była na środku pokoju, w równej odległości od Dumbo Wielkiego Jumbo i wejścia do wnęki, w której stała siostra, niewprawnie trzymająca dwudziestkędwójkę, z lufą wymierzoną w poplamiony krwią dywan. Zagrzmiało. Grała muzyka country. Na dole: cisza.

- Chyba go tam nie ma - szepnęła Amanda.

Lisey zrobiła jeszcze jeden krok w tył, w stronę dużego biurka z czerwonego klonu. Nadal była cała w nerwach, niemal drżała z napięcia, ale rozsądek kazał jej przyznać, że Amanda mogła mieć rację. Telefon nie działał, ale tu, w View, łączność traciło się co najmniej dwa razy w miesiącu, zwłaszcza podczas burz albo tuż po nich. Ten łoskot, który usłyszała schylając się po broń... w ogóle cokolwiek usłyszała? A może tylko jej się zdawało?

- Chyba nikogo tam nie... - zaczęła Amanda i wtedy zgasły światła.

## 2

Przez kilka sekund - które trwały wieczność - Lisey nic nie widziała i przeklinała samą siebie, że nie wzięła z samochodu latarki. To byłoby takie proste. Zmusiła się, by zostać na miejscu, teraz trzeba było do tego przekonać siostrę.

- Manda, nie ruszaj się! Stój, gdzie jesteś, i czekaj na mój znak!

- Gdzie on jest, Lisey? - Amanda zaczynała płakać. - Gdzie on jest?

- A kuku, tum ci ja, kobito - rzucił swobodnie Jim Dooley ze smolistej ciemności spowijającej schody. - I widzę was przez te okulary, co je mam na nosie. Troszkuście pozieleniały, ale widać was jak na dłoni.

- To niemożliwe, on kłamie - powiedziała Lisey, ale ścisnęło ją w dołku. Nie przewidziała, że mógł wziąć noktowizor czy coś takiego.

- Oj, no co pani, niech mie pierun strzeli, jeśli kłamie. - Głos nadal dochodził ze szczytu schodów i Lisey wypatrzyła rysującą się w mroku sylwetkę. Nie widziała worka niespodzianek,

ale, o Jezu, słyszała, jak pobrzękuje. - Tak wyraźnie was widzę, że wiem, że to ta długa chuda ma spluwę. Pani ją rzuci na podłogę. Już. - Jego głos stał się ostrzejszy, każde słowo było jak trzask bicia naładowanego prochem. - Słuchać mnie, no! Rzuci to!

Na dworze było ciemno choć oko wykol, księżyc albo jeszcze nie wzeszedł, albo był za chmurami, ale przez świetliki wpływało dość światła, by Lisey zobaczyła, że Amanda opuszcza rewolwer. Nie rzuca go, ale opuszcza. Lisey dałaby wszystko, by mieć go w swoich rękach, ale...

*Ale muszę mieć obie ręce wolne. Żeby we właściwym czasie cię złapać, sukinsynu.*

- Nie, Amanda, trzymaj go. Nie będziesz musiała do niego strzelać. Nie taki jest plan.

- Pani go rzuci, taki jest plan.

- Wchodzi tu bez pukania, przeżywa cię, a potem każe ci rzucić broń? - powiedziała Lisey. - Twoją własną broń?

Majająca w mroku widmowa postać siostry Lisey uniosła pathfindera. Nie wymierzyła go w czarną sylwetkę, tylko skierowała lufę w sufit, ale najważniejsze, że wciąż go trzymała. I wyprostowała plecy.

- Rzuci to, mówię! - warknął niewyraźny kształt, ale coś w głosie Dooleya powiedziało Lisey, iż wiedział, że przegrał bitwę. Jego cholerny worek zabrzączał.

- Nie! - krzyknęła Amanda. - Takiego! Wynos... wynos się stąd! Wynos się i zostaw moją siostrę w spokoju!

- Nie posłucha cię - odezwała się Lisey, zanim cień u szczytu schodów zdążył odpowiedzieć.  
- Bo jest stuknięty.

- No, no, tylko bez takich - powiedział Dooley. - Coś się pani zapomniało, że widzę was, jakbyście na scenie były.

- Przecież jesteś stuknięty. Jak ten gnojek, który postrzelił mojego męża w Nashville. Gerd Allen Cole. Słyszałeś o nim? Pewnie, że tak, wiesz wszystko o Scotcie. Śmialiśmy się z takich, jak ty, Jimmy...

- Będzie tego, paniusiu...

- Nazywaliśmy was Kosmicznymi Kowbojami. Kowbojem był Cole, Kowbojem jesteś ty.

Sprytniejszym i bardziej wrednym, bo i starszym, ale poza tym w zasadzie niczym się nie różnicie. Kosmiczny Kowboj to Kosmiczny Kowboj. Śmiiiiigacie po smerdolonej Drodze Mlecznej.

- Pani lepiej skończy z tą gadką. - Znów warczał, tym razem, pomyślała Lisey, nie tylko po to, by zrobić wrażenie. - W interesach przyszedłem. - Worek brzęknął i Lisey zobaczyła, że cień się poruszył. Schody były jakieś piętnaście metrów od biurka, w najciemniejszej części pomieszczenia, Dooley jednak szedł ku niej, jakby wabiony jej słowami. Oczy Lisey oswoiły się z mrokiem. Jeszcze kilka kroków i jego wyczesany noktowizor od firmy wysyłkowej przestanie się liczyć. Szanse się wyrównają. Przynajmniej jeśli chodzi o widoczność.

- Czemu miałabym? Przecież to prawda. - I tak było. W tej chwili wiedziała już wszystko, co trzeba, o Jimie Dooleyu vel Zacku McCool vel Czarnym Księciu Impotebili. Prawda była w jej ustach jak ten słodki smak. Prawda była tym słodkim smakiem.

- Nie prowokuj go, Lisey. - Amanda była przerażona.

- Sam się prowokuje. Cała prowokacja, jakiej mu trzeba, wychodzi z tego przegrzanego napędu międzygwiazdowego, który nosi we łbie. Jak Cole.

- Nie jestem taki, jak un! - wrzasnął Dooley.

Jasność we wszystkich zakończeniach nerwowych. Eksplozja jasności. Dooley mógł dowiedzieć się o Cole'u z książek o swoim ulubionym pisarzu, ale Lisey wiedziała, że było inaczej. I oto wszystko ułożyło się w tak bosko logiczną całość.

- W ogóle nie byłeś w Brushy Mountain. Wcisnąłeś Woodbody'emu kit. Ot, takie gadanie przy kielichu. Ale siedzieć siedziałeś, to akurat prawda. W wariatkowie. Z Blondasem.

- Pani się zamknie! Mie posłucha i się zamknie, ale to już!

- Lisey, przestań! - krzyknęła Amanda.

Nie zważała na nich.

- Rozmawialiście o ulubionych książkach Scotta Landona... to znaczy, kiedy Cole dostawał dość prochów, by mówić do ładu i do składu? Założę się, że tak. Jemu najbardziej podobały się „Puste diabły”, zgadza się? Jasne. A tobie „Córka wodniaka”. Ot, dwaj Kosmiczni Kowboje dyskutujący o książkach podczas remontu ich smerdolonych układów sterowania...



- Będzie tego, mówię! - Wynurza się z mroku. Wynurza się jak nurek wypływający z czarnej głębi na zieloną płyciznę, ma nawet gogle i w ogóle. Oczywiście, nurkowie nie trzymają przed sobą papierowych worków, jakby chcieli osłonić serca przed ciosami okrutnych wdów, które wiedzą za dużo. - Drugi raz nie powtórzę...

Lisey zignorowała go. Nie wiedziała, czy Amanda dalej trzyma broń i już jej to nie obchodziło. Była jak w transie.

- Rozmawialiście z Cole'em o książkach Scotta na terapii grupowej? Pewnie, że tak. O postaci ojca. A potem, kiedy cię wypuścili, zjawił się Woodsmerdek, wykapany tatuś z książki Scotta Landona. Znaczący, jeden z tych dobrych tatusiów. Jak już cię zwolnili ze świrowni. Z przetwórci czubków. Z akademii szajby, jak to się mó...

Dooley wrzasnął, upuścił papierową torbę (zabręczała) i rzucił się na Lisey. Zdążyła jeszcze pomyśleć: Tak. Dlatego właśnie musiałam mieć wolne ręce.

Amanda też wrzasnęła, wrzaski ich obojga nałożyły się na siebie. Z całej trójki jedna Lisey zachowała spokój, bo tylko ona doskonale wiedziała, co robi... nawet jeśli w zasadzie nie wiedziała, dlaczego. Nie starała się uciekać. Przyjęła Jima Dooleya z otwartymi ramionami i złapała go jak gorączka.

### 3

Przewróciłby ją na podłogę i zwałił się na nią - Lisey nie wątpiła, że taki miał zamiar - gdyby nie biurko. Zatoczyła się do tyłu pod ciężarem Dooleya, jej nozdrza wypełnił zapach potu z jego włosów i skóry. Poczwała, jak gogle wbijają się w jej skroń, i usłyszała cichy, szybki klekot tuż pod lewym uchem.

To jego zęby, pomyślała. Jego zęby, chcące przegryźć moje gardło.

Uderzyła tyłkiem w dłuższy bok Dumbo Wielkiego Jumbo. Amanda znów krzyknęła. Rozległ się głośny huk, któremu towarzyszył krótki, oślepiający błysk.

- Zostaw ją, skurwysynu!

Mocne słowa, ale strzeliła w sufit, pomyślała Lisey i zacisnęła splecione dłonie za szyją

Dooleya, który przechylił ją do tyłu jak tancerz na zakończenie wyjątkowo namiętnego tanga. Doleciał ją swąd dymu, dzwoniło jej w uszach i czuła, jak wpija się w nią jego fiut, ciężki, w prawie pełnej erekcji.

- Jim - szepnęła, trzymając go mocno. - Dam ci to, czego chcesz. Pozwól, żebym dała ci to, czego chcesz.

Jego uścisk nieco zelżał. Czuła, że jest zbity z tropu. Wtedy, z kocim skowytem, Amanda skoczyła mu na plecy i Lisey znów przygniótł wielki ciężar, była już prawie rozciągnięta na biurku. Jej kręgosłup zatrzeszczał ostrzegawczo, ale najważniejsze, że widziała przed sobą zarys twarzy Dooleya - na tyle, by wyczytać z niej strach. Czyżby bał się mnie od samego początku?, zastanawiała się.

Teraz albo nigdy, laluniu Lisey.

Odszukała jego oczy za dziwacznymi, okrągłymi szklami, skupiła na nich wzrok. Amanda nadal była jak kot na rozgrzanej płycie kuchni i Lisey widziała jej pięści, tłukące ramiona Dooleya. Obie pięści. A zatem strzeliła w sufit i rzuciła pistolet. No cóż, może to i lepiej.

- Jim. - Boże, zaraz ją zmiażdży. - Jim.

Schylił głowę, jakby przyciągany siłą jej spojrzenia i woli. Lisey początkowo myślała, że mimo to nie da rady go dosięgnąć. Potem desperacko szarpnęła się do przodu - „Pafko pod ścianą”, powiedziałby Scott, cytując Bóg wie kogo - i udało się. Przycisnęła usta do jego ust i poczuła mięso i cebulę, które jadł na kolację. Językiem rozchyliła mu wargi, wpiła się w niego mocniej i tak oto przekazała mu drugi łyk ze stawu. Czuła, jak słodycz ją opuszcza, a razem z nią znany jej świat, który rozmywał się w oczach. Działo się to błyskawicznie. Ściany stały się przezroczyste i Lisey poczuła bukiet zapachów z tamtego świata: frangipani, bugenwilla, róże, Królowa Jednej Nocy.

- Geromino - powiedziała i biurko, jakby tylko na to zaklęcie czekało, zmieniło się pod nią w deszcz. Po chwili zniknęło zupełnie. Lisey runęła w dół; Jim Dooley spadł na nią; Amanda, która wciąż się darła, przygmiotła ich oboje.

Baf, pomyślała Lisey. Baf, koniec.

Wylądowała na grubym dywanie z trawy, który знаła tak dobrze, jakby turlała się po nim od urodzenia. Zdążyła tylko zauważyć kochane drzewa, a potem z jej ust wyrwało się gromkie „uch” i straciła dech. Mroczki zatańczyły jej przed oczami w powietrzu koloru zachodzącego słońca.

Zemdlałyby, gdyby Dooley nie sturlał się na bok. Amandę zrzucił z pleców jednym ruchem ramion, jak uciążliwego kociaka. Zerwał się na nogi i spojrzał najpierw w dół wzgórza zasłanego fioletowym łubinem, a potem w drugą stronę, ku kochanym drzewom tworzącym forpocztę lasu, który Paul i Scott Landonowie ochrzczili Bajecznym Borem. Lisey przeżyła szok na widok Dooleya. Wyglądał jak dziwaczna czaszka, okryta skórą i włosami. Po chwili zorientowała się, że sprawiły to cienie wieczoru kładące się na jego wąskiej twarzy i to, co stało się z jego goglami. Szkła nie przedostały się na Księżyc Boo’ya. Z otworów po nich wyglądały jego oczy. Miał rozdziawione usta. Między górną a dolną wargą rozciągały się srebrzyste nitki śliny.

- Zawsze... lubiłeś... książki Scotta - powiedziała Lisey jak zdyszana biegaczka, ale wracał jej dech i mroczki znikwały sprzed oczu. - Jak podoba się jego świat, panie Dooley?

- Gdzie... - Poruszył ustami, ale nie mógł dokończyć.

- Na Księżycu Boo’ya, na skraju Bajecznego Boru, nieopodal grobu brata Scotta, Paula. - Po raz pierwszy pozwoliła sobie w pełni ulec realności tego miejsca. Może i miało wiele różnych nazw, ba, o ile wiedziała, każdy, kto się tu dostał, nazywał je inaczej, ale o tak, istniało naprawdę.

Wiedziała, że jak już Dooley odzyska jasność myślenia, na tyle, na ile w ogóle ją miał, tutaj będzie dla niej (i Amandy) równie groźny, jak w gabinecie Scotta, ale mimo to poświęciła chwilę na to, by obrzucić wzrokiem długie fioletowe zbocze i ciemniejące niebo. I tym razem słońce zanurzało się w pomarańczowym ogniu, podczas gdy naprzeciwko wschodził księżyc w pełni. Pomyślała, jak poprzednio, że ta mieszanka wściekłego blasku i zimnego srebra zabije ją swoim rozgorączkowanym pięknem.

Chociaż nie piękno było jej największym zmartwieniem. Spalona słońcem ręka opadła na jej ramię.

- Co mnie pani robi? - spytał Dooley. Oczy wychodziły mu na wierzch w pustych goglach. -

Mnie hipno-lizuje? Nic z tego.

- Ależ skąd, panie Dooley. Chciał pan tego, co należało do Scotta, zgadza się? A to przecież coś lepszego niż jakieś tam nieopublikowane opowiadanie czy nawet pociachanie kobiety jej własnym otwieraczem do puszek, co? Proszę! Oto cały inny świat! Stworzony z wyobraźni! Kobierzec utkany ze snów! Oczywiście, w lesie jest niebezpiecznie... nocą wszędzie jest niebezpiecznie, a już prawie noc, ale jestem pewna, że tak dzielny kawał świra, jak ty...

Zobaczyła, co zamierza zrobić, wyraźnie widziała swoją śmierć w tych dziwacznych, głęboko schowanych oczyskach, i wezwała na pomoc siostrę... owszem, ze strachem, ale zaraz zaczęła się śmiać. Mimo wszystko. Śmiała się z niego. Po części dlatego, że wyglądał głupkowato w goglach bez szkieł, a głównie przez to, że w tej mrożącej krew w żyłach chwili ni stąd, ni zowąd przypomniała jej się puenta jakiegoś starego świńskiego dowcipu: „Hej, chłopaki, tabliczka wam spadła!” A to, że samego dowcipu nie pamiętała, rozśmieszyło ją jeszcze bardziej.

Potem straciła dech i nie mogła dłużej się śmiać. Mogła tylko charczeć.

## 5

Drapała Dooleya po twarzy swoimi krótkimi, co nie znaczy, że nieistniejącymi paznokciami, i zrobiła mu trzy krwawiące zadrapania w policzku, ale jego uścisk nie zelżał - wręcz przeciwnie, przybrał na sile. Jej charkot był coraz głośniejszy, brzmiał jak odgłos jakiegoś prymitywnego mechanicznego urządzenia z piachem w kołach zębatych. Na przykład sortownika ziemniaków pana Silvera.

Amanda, ja smerdołę, gdzie jesteś?, pomyślała i nagle Amanda się objawiła. Wcześniej waliła Dooleya pięściami w plecy i ramiona i nic to nie dało. Teraz padła na kolana, pokaleczonymi dłońmi złapała go przez dzinsy za krocze... i przekręciła.

Dooley zawył i odepchnął Lisey. Wpadła w wysoką trawę, runęła na plecy i szybko podniosła się na nogi, wciągając powietrze przez piekące gardło. Dooley stał pochylony ze spuszczoną głową i trzymał ręce między nogami, w zbolalej pozie, na której widok Lisey przypominał się wypadek na huśtawce przed szkołą, filozoficznie skomentowany przez Darię: „To tylko jeden z powodów, dla których cieszę się, że nie jestem chłopakiem”.

Amanda rzuciła się na niego.

- Manda, nie! - krzyknęła Lisey, ale było za późno. Dooley, nawet obolały, był koszmarnie szybki. Bez trudu uchylił się przed Amandą i odtrącił ją na bok kościstą pięścią. Drugą ręką zerwał bezużyteczne gogle i rzucił je w trawę: cisnął je w świat. Wszelkie pozory zdrowego rozsądku zniknęły z tych niebieskich oczu. Mógłby z powodzeniem robić za martwą istotę z „Pustych diabłów”, nieubłaganie gramolącą się ze studni, by wyrzucić zemstę.

- Nie wiem, gdzie my są, ale od razu mówię: do domu to pani już nie wróci.

- Jak mnie nie złapiesz, sam nigdy nie wrócisz - powiedziała Lisey. I znów się roześmiała. Chociaż strach jej nie opuszczał - ale fajnie było się pośmiać, może dlatego, iż zrozumiała, że jej nożem był śmiech. Ile razy wyrwał się z piekącego gardła, ostrze wchodziło głębiej w ciało Dooleya.

- Nie chichraj się ze mnie, suko, ani się waż! - ryknął Dooley i pobiegł do niej.

Lisey odwróciła się i rzuciła do ucieczki. Przebiegła nie więcej niż dwa kroki w stronę ścieżki do lasu, kiedy usłyszała krzyk bólu Dooleya. Obejrzała się. Był na kolanach. Coś sterczało mu z ramienia, pośrodku szybko powiększającej się ciemnej plamy na koszuli. Chwiejnie podźwignął się na nogi i próbował to coś wyciągnąć. Stercząca rzecz poruszała się trochę, ale nie wyszła. Lisey mignęła ciągnąca się za nią żółta kreska. Dooley krzyknął raz jeszcze i schwycił wolną ręką to coś, na co się nadział. Lisey zrozumiała w nagłym olśnieniu. To było zbyt piękne, by nie było prawdziwe. Dooley rzucił się w pościg za nią, ale Amanda podłożyła mu nogę, ledwie wystartował, i upadł na drewniany nagrobek Paula Landona. Ramię krzyża sterczało mu z bicepsu jak ogromna szpilka. Wyrwał je, odrzucił na bok. Z otwartej rany trysnęło więcej krwi, szkarłatna plama na rękawie sięgnęła łokcia. Lisey wiedziała, że musi dopilnować, by nie wyładował swojej furii na Amandzie, która leżała bezradnie w trawie niemal u jego stóp.

- Tere-fere-kuku, nie złapiesz mnie, dzbuku! - wyrecytowała, sięgając do zasobu rymowanek z placu zabaw, o których nawet nie wiedziała, że je pamięta. Dla wzmocnienia efektu pokazała mu język i zakręciła palcami w uszach.

- Ty suko! Ty pizdo! - rozdarł się Dooley i zerwał do biegu.

Lisey uciekła. Teraz już się nie śmiała, wreszcie bała się za bardzo, by się śmiać, ale nadal

miała na ustach przerażony uśmiech, kiedy jej nogi odnalazły ścieżkę i poniosły ją do Bajecznego Boru, gdzie zapadła już noc.

## 6

Tabliczka z napisem NAD STAW zniknęła, ale kiedy Lisey przebiegła pierwszy odcinek - ścieżka była niewyraźną białą kreską, która zdawała się unosić wśród ciemniejszej masy otaczających drzew - z przodu rozległy się urywane rechoty. Śmiacze, pomyślała i zaryzykowała rzut oka przez ramię, w nadziei, że jeśli jej koleżka Dooley usłyszał te rozkoszniczki, to może zmienił zdanie co do...

Nic z tego. Dooley wciąż tam był, widoczny w drgawkach gasnącego światła, doganiał ją, pędził jak strzała, mimo że lewy rękaw od ramienia po nadgarstek miał cały w czarnej krwi. Lisey potknęła się o korzeń wystający ze ścieżki, o mało nie straciła równowagi, ale jakoś udało jej się ustać na nogach, po części dzięki temu, że przypomniała sobie, że gdyby upadła, Dooley dopadłby ją w pięć sekund. Ostatnim, co poczułaby, byłby jego oddech, ostatnim zapachem byłby skisły aromat okolicznych drzew zmieniających się w swoje groźniejsze nocne wcielenia, a ostatnim dźwiękiem szaleńczy chichot hienopodobnych stworów, które żyły w głębi lasu.

*Słyszę, jak dyszy. Słyszę to, bo jest coraz bliżej. Co z tego, że biegnę najszybciej, jak potrafię - a długo takiego tempa nie wytrzymam - skoro on jest trochę szybszy ode mnie. Dlaczego nie spowalnia go ból skręconych jaj? Albo utrata krwi?*

Odpowiedź na te pytania była prosta, czysto logiczna: właśnie, że go spowalniały. Gdyby nie to, już by ją dogonił. Lisey była na trzecim biegu. Próbowwała wrzucić czwarty, ale się nie dało. Najwyraźniej czwartego nie miała. Chrapliwe, szybkie dyszenie Jima Dooleya było blisko, coraz bliżej, i wiedziała, że za minutę, może nawet wcześniej poczuje muśnięcie jego palców na plecach koszuli.

Albo we włosach.

## 7

Ścieżka poszła pod górę i na dłuższą chwilę stała się bardziej stroma; cienie gęstniały. Lisey miała wrażenie, że wreszcie nieco oddaliła się od Dooleya. Nie ośmieliła się zerknąć w tył, by to sprawdzić, i błagała w duchu Amandę, by nie próbowała iść ich śladem. Na Kochanym Wzgórzu może i było bezpiecznie, podobnie nad stawem, ale tu, w lesie, bezpiecznie nie było ani trochę. I to bynajmniej nie Jim Dooley stanowił największe zagrożenie. Lisey usłyszała słaby, senny brzęk dzwonka Chuckiego G., który Scott podwędził w zupełnie innej epoce i zawiesił na drzewie na szczycie następnego wzniesienia.

Lisey zobaczyła z przodu jaśniejsze światło, nie było już czerwonawopomarańczowe, lecz przeszło w gasnącą różową zorzę przekradającą się przez niezbyt bujne tu drzewa. Na ścieżce też zrobiło się nieco jaśniej. Lisey widziała przed sobą łagodne wzniesienie. Za nim, przypomniała sobie, ścieżka znów opadała i wiła się przez jeszcze gęstszy las aż do dużego głazu, za którym już był staw.

Nie dam rady, pomyślała. Wdychane i wydechane powietrze paliło w gardle, chwytając ją kolka w boku. Dogoni mnie, zanim będę w połowie wzgórza.

Odpowiedział głos Scotta, niby roześmiany, ale podszyty zaskakującym gniewem. *Nie po to przebyłaś taki kawał drogi. No, dawaj, skarbiemój, ZPINOM.*

ZPINOM, o tak. Kiedy zapiąć pasy, jak nie teraz. Lisey gnała pod górę, pracując rękami, z głową oblepioną spoconymi strąkami włosów. Łapała duże hausty powietrza, wydechy gwałtownie buchały z gardła. Jakżeby chciała znów poczuć tę słodycz, ale ostatni łyk ze stawu oddała szalonemu smerdole, który ją gonił, i w ustach miała tylko smak miedzi i wyczerpania. Znów usłyszała, że się do niej zbliża, nie krzyczał już, żeby oszczędzać oddech. Skurcz w boku stał się silniejszy. Wysoki, słodki śpiew rozbrzmiał najpierw w prawym, potem w obu uszach. Śmiacze chichotały coraz bliżej, jakby chciały być przy ostatecznej rozgrywce. Lisey czuła, jak drzewa się zmieniają, słodki aromat stał się ostry jak zapach starej henny, którą znalazły z Darią w łazience Babuni D po jej śmierci, zapach trujący i...

*To nie drzewa.*

Śmiacze ucichły. Teraz słyhać było tylko, jak Dooley łąwi ustami powietrze i ciężko pędzi za nią, usiłując pochłonąć dzielące ich kilka metrów. A ona wtedy pomyślała o obejmujących ją

ramionach Scotta, o tym, jak Scott przyciągał ją do siebie, jak szeptał: „Ćśśśś, Lisey. Jeśli miłe ci życie własne i moje, teraz musisz być cicho”.

Pomyślała: Nie leży w poprzek ścieżki, jak w 2004, kiedy chciał dojść do stawu. Tym razem biegnie obok. Jak wtedy, kiedy przyszedł do niego w styczniu 1996, tej zimy, kiedy dął wicher z Yellowknife.

Jednak w chwili, kiedy dostrzegła dzwonek, wciąż zawieszony na butwiejącym sznurku, z gasnącym światłem dnia lśniącem na zakrzywionej powierzchni, Jim Dooley ostatkiem sił zerwał się do szybszego biegu i Lisey rzeczywiście poczuła, jak jego palce zsuwają się po jej plecach, szukając punktu zaczepienia, czegokolwiek, choćby ramiączka stanika. Udało jej się zdusić krzyk wzbierający w gardle, ale ledwo, ledwo. Wyrwała naprzód, jakimś cudem znalazła siły, by przyspieszyć, co pewnie i tak nic by jej nie dało, gdyby Dooley znów się nie potknął i nie runął, wrzeszcząc „Ty suko!”. Pożałuje tego, pomyślała Lisey. Ale może nie na długo.

## 8

Znów rozległ się ten nieśmiały brzęk, dochodzący z

*(zamówienie przyjęte, Lisey! no, dawaj, ruchy!)*

eks-Dzwonkowego Drzewa, obecnie Drzewa Dzwonka i Łopatki. A oto i ona, srebrna łopátka Scotta. Kiedy ją tu przyniosła - kierowana silnym przecuciem, które teraz zrozumiała - śmiacze histerycznie jazgotały. W tej chwili w Bajecznym Borze panowała cisza, nie licząc jej własnego ciężkiego oddechu i strumienia wysapywanych przez Dooleya bluzgów. Śmiacze zamknęły się, bo nie byli tu z Dooleyem sami. Wiedziała to nie dzięki czemuś, co usłyszała na własne uszy, lecz przez to, co usłyszała myślą. Długaśnik spał - a przynajmniej drzemał - i wrzaski Dooleya obudziły go.

Może tak właśnie miało być, ale to wcale nie ułatwiło jej zadania. To straszne, czuć budzący się szept nie-całkiem-obcych myśli zrodzonych w podumyśle. Były jak niespokojne dłonie szukające obluzowanych desek w podłodze bądź napierające na zamkniętą pokrywę studni. Lisey wbrew sobie zaczęła wspominać zbyt wiele strasznych rzeczy, które przy takiej czy innej okazji nadwątlily jej ducha: dwa zakrwawione zęby, które kiedyś znalazła na podłodze łazienki w kinie,



dwójkę małych dzieci płaczących w swoich objęciach przed spożywczakiem, zapach męża leżącego na łożu śmierci, patrzącego na nią rozognionymi oczami, Babunię D umierającą na podwórku z nogą robiącą dryg-dryg-dryg.

Straszne myśli. Straszne obrazy, z tych, co to powracają, by nękać cię w środku nocy, kiedy księżyc się schował, skończyły się leki, a godzina jest żadna.

Cała ta złamazia. Zaraz za tymi paroma drzewami.

A teraz...

W zawsze doskonałym, niekończącym się teraz

## 9

Lisey dyszy, jęczy, i z sercem huczącym w uszach schyla się po srebrną łopatkę. Jej ręce, które osiemnaście lat temu wiedziały, co robić, teraz też wiedzą, nawet kiedy głowę wypełniają jej obrazy straty, bólu i rozdzierającej rozpacz. Dooley nadchodzi. Słyszy go. Przestał kłąć, ale Lisey słyszy jego zbliżający się oddech. Będzie gorąco, nawet bardziej niż to było z Blondasem, mimo że ten wariat nie ma pistoletu, bo jeśli Dooley złapie ją, zanim ona zdoła się obrócić...

Ale nie daje rady. Minimalnie. Lisey obraca się jak baseballista atakujący kiepsko rzuconą piłkę i bierze zamach łopatką z wygrawerowanym napisem INAUGURACJA BIBLIOTEKI SHIPMANA ile sił w rękach. Ostatni błysk różowego światła rozkwita przygasającym bukietem na srebrnym ostrzu, a rozpędzona górna krawędź po drodze trąca wiszący dzwonek. Dzwonek wypowiada ostatnie słowo - brzdęk! - i odlatuje w mrok, ciągnąc za sobą butwiejący sznurek. Lisey widzi, jak łopata idzie do przodu i w górę, i znowu myśli: Ja smerdołę! A to mi się udało! Potem ostrze płaską stroną uderza zbliżającą się twarz Jima Dooleya, nie z trzaskiem - odgłosem, który pamięta z Nashville - lecz z takim stłumionym „gong”. Dooley wrzeszczy z zaskoczenia i bólu. Odrzucony w bok, wypada ze ścieżki między drzewa, rozpaczliwie wymachując rękami, by złapać równowagę. Lisey ma chwilę, by zauważyć, że jego nos jest mocno przekrzywiony w bok, jak nos Cole’a; że z kącików ust i dolnej wargi tryska krew. Wtedy po jej prawej coś się porusza, niedaleko miejsca, w którym Dooley szamocze się i próbuje podnieść na nogi. Coś ogromnego. Przez chwilę mroczne i zatrwająco smutne myśli, które żyją

w jej głowie, stają się jeszcze smutniejsze i mroczniejsze; Lisey boi się, że albo ją zabiją, albo doprowadzą do szaleństwa. Potem zmieniają nieco kierunek, podobnie jak to coś za drzewami. Rozlega się złożony dźwięk łamanych zarośli, trzask rozrywanych drzew i krzewów. I wtedy nagle to coś jest przed nią. Długaśnik Scotta. Lisey zaczyna rozumieć, że kiedy człowiek zobaczy długąśnika, przeszłość i przyszłość stają się tylko snami. Kiedy widziałeś długąśnika, pozostaje tylko, o dobry Boże, pozostaje tylko jedna jedyna chwila obecna rozciągnięta w czasie jak przejmująca nuta, która nigdy nie milknie.

## 10

Zanim Lisey uprzytomniła sobie, co się dzieje, a na pewno zanim była do tego gotowa - choć sama myśl, że można być do czegoś takiego gotowym, była śmiechu warta - to nagle znalazło się przed nią. To srokatę stworzenie. Żywe ucieleśnienie tego, co Scott miał na myśli, mówiąc o złamazi.

Tym, co zobaczyła, był olbrzymi opancerzony bok, jak popękana skóra węża. Przelewał się wśród drzew, niektóre zginał, inne łamał, przez parę największych zdawał się przenikać. Oczywiście, to było niemożliwe, ale tego wrażenia nie dało się wyzbyć. Nie było zapachu, tylko nieprzyjemny dźwięk, sapiący, dziwnie bebechowy odgłos, a potem ponad drzewami pojawił się patchworkowy łeb, przysłaniający niebo. Lisey zobaczyła wyglądające zza krzaków oko, martwe, a mimo to czujne, czarne jak woda w studni i szerokie jak zapadlisko. Dostrzegła otwór w mięsistym, wielkim, obłym łbie i domyśliła się, że rzeczy wciągane przez tę niby-słomkę nie tyle umierały, ile żyły i krzyczały... żyły i krzyczały... żyły i krzyczały.

Ona sama nie mogła krzyczeć. Nie była zdolna wydać dźwięku. Zrobiła dwa kroki w tył, kroki, które wydały jej się dziwnie spokojne. Łopatką o srebrnym ostrzu, znów ociekającym krwią szaleńca, wysunęła się jej z palców i upadła na ścieżkę. Pomyślała: Widzi mnie... i moje życie już nigdy nie będzie naprawdę moje. Nie pozwoli na to.

To coś na chwilę stanęło dęba, ta bezkształtna, nieogarniona istota z rozrzuconymi tu i ówdzie płatami sierści na wilgotnym, falującym cielsku. Jej wielkie i tępo chciwe oko utkwione było w Lisey. W zaroślach lśniły węzowe sploty, oblane zanikającym różowym światłem dnia i

coraz silniejszym srebrzystym blaskiem księżyca.

Potem oko odwróciło się od Lisey do krzyczącego, szamoczącego się stworzenia, które usiłowało wyplątać się z małej kępy drzew, Jima Dooleya z krwią buchającą z rozbitych warg, złamanego nosa i opuchniętego oka; Jima Dooleya, który krew miał nawet we włosach. Widząc, co na niego patrzy, Dooley przestał krzyczeć. Lisey zobaczyła, jak próbował zasłonić zdrowe oko, jak ręce opadły mu do boków, wiedziała, że stracił siły, i przez chwilę mimo wszystko zrobiło jej się go żal, chwyciła ją empatia o przerażającej sile, wręcz nie do zniesienia. W tym momencie Lisey gotowa była wszystko odwołać, gdyby zginąć miała tylko ona, ale pomyślała o Amandzie i spróbowała pokrzepić swój przerażony umysł i serce.

Ogromny, zaplątany w drzewach stwór wręcz delikatnie wysunął się naprzód i wciągnął Dooleya. Skóra wokół otworu w obłym pysku na moment jakby się zmarszczyła, niemal stuliła, i przed oczami Lisey stanął Scott leżący na gorącym asfalcie tamtego dnia w Nashville. Kiedy rozległo się ciche chrząkanie i chrzęst, a Dooley zaczął wyrzucać z siebie ostatnie, wydawało się, trwające wieczność krzyki, przypomniał jej się szept Scotta: „Słyszę, jak się pożywia?”. Pamiętała, jak złożył usta w ciasne O, i znów jasno i wyraźnie zobaczyła, jak trysnęła z nich krew, kiedy wydał ten nieopisanie ohydny syczący odgłos: drobne rubinowe kropelki, które zdawały się wisieć w parnym powietrzu.

Wtedy zerwała się do biegu, choć mogłaby przysiąc, że już tego nie potrafiła. Rzuciła się ścieżką z powrotem w stronę łubinowego wzgórza, jak najdalej od miejsca nieopodal Drzewa Dzwonka i Łopatki, gdzie długaśnik pożerał Jima Dooleya żywcem. Wiedziała, że wyświadczał jej i Amandzie przysługę, ale zdawała sobie sprawę, że w najlepszym razie była to niedźwiedzia przysługa, bo jeśli ona sama przeżyje tę noc, to od tej pory będzie w mocy długaśnika, jak Scott, dzień w dzień od lat dzieciństwa. Teraz stwór naznaczył także i ją, uczynił częścią swojej niekończącej się chwili, swojego strasznego wszechobejmującego spojrzenia. Od tej pory będzie musiała być ostrożna, zwłaszcza jeśli obudzi się w środku nocy... a coś jej mówiło, że ze spokojnym snem mogła się pożegnać na dobre. Nad ranem będzie musiała odwracać wzrok od luster i szyb, a zwłaszcza od zakrzywionych powierzchni szklanek do wody, Bóg raczy wiedzieć dlaczego. Będzie musiała chronić się na tyle, na ile była w stanie.

O ile przeżyje tę noc.

„Jest bardzo blisko, skarbie” - szepnął Scott, kiedy leżał na gorącym asfalcie.

Za jej plecami Dooley wrzasnął tak, jakby miał nigdy nie zamilknąć. Lisey pomyślała, że to doprowadzi ją do szaleństwa. Albo już doprowadziło.

## 11

Tuż przed tym, zanim się wyłoniła spośród drzew, wrzaski Dooleya wreszcie ucichły. Nie widziała nigdzie Amandy. Przerazenie zbudziło się w niej na nowo. A jeśli jej siostra uciekła Bóg wie w którą stronę świata? Albo nadal była gdzieś w pobliżu, ale leżała skulona w embrionalnej pozycji, znów pogrążona w katatonii i skryta w cieniu?

- Amanda? Amanda?!

Przez dłużącą się w nieskończoność chwilę nie słyszała nic. Potem - Boże, nareszcie! - na lewo od niej zaszleściła wysoka trawa i Amanda wstała. Jej twarz, i bez tego blada, w blasku księżyca stała się jeszcze bledsza i wyglądała jak oblicze widma. Albo harpii. Zatoczyła się do przodu, z wyciągniętymi rękami, i Lisey przygarnęła ją do siebie. Amanda drżała. Dłonie na karku Lisey splecione były w zimny węzeł.

- Och, Lisey, myślałam, że on nigdy nie przestanie!

- Ja też.

- I takie piskliwe... nie miałam pojęcia... były takie piskliwe... miałam nadzieję, że to on, ale myślałam: A jeśli to lalunia? A jeśli to Lisey? - Amanda zaszlochała w szyję Lisey.

- Nic mi się nie stało, Amanda. Jestem tu, cała i zdrowa.

Amanda oderwała twarz od szyi Lisey, by móc spojrzeć w dół, w twarz młodszej siostry.

- On nie żyje?

- Tak. - Nie zamierzała dzielić się swoim przeczuciem, że Dooley mógł osiągnąć swoistą koszmarną nieśmiertelność wewnątrz stwora, który go pożarł. - Nie żyje.

- To chcę wrócić! Możemy wrócić?

- Tak.

- Nie wiem, czy dam radę przywołać obraz pracowni Scotta... jestem taka roztrzęsiona... -

Amanda rozejrzała się lękliwie. - To zupełnie nie przypomina Southwind.

- Fakt - przytaknęła Lisey i znów wzięła Amandę w ramiona. - I wiem, że się boisz. Zrób, co możesz, i tyle.

Zmartwieniem Lisey tak naprawdę nie było to, czy zdoła wrócić do pracowni Scotta, do Castle View, do świata. Miała wrażenie, że teraz trudniej będzie tam zostać. Pamiętała, co powiedział jej kiedyś lekarz, po tym, jak mocno skręciła kostkę na łyżwach, że od tej pory będzie musiała na nią szczególnie uważać. „Bo jak już raz naciągnie się te ścięgna, następnym razem przychodzi to dużo łatwiej”.

Dużo łatwiej, jasne. A to ją widziało. To oko, wielkie jak zapadlisko, martwe i żywe zarazem, spoczęło na niej.

- Lisey, jesteś taka odważna - powiedziała Amanda cichutkim głosem. Spojrzała jeszcze na opadające łubinowe wzgórze, złożone i dziwne w coraz jaśniejszym blasku księżyca, i znów wtuliła twarz w szyję Lisey.

- Mów tak jeszcze, to jutro cię odwiozę z powrotem do Greenlawn. Zamknij oczy.

- Już zamknęłam.

Lisey zrobiła to samo. Przez chwilę widziała ten obły łeb, który tak naprawdę wcale nie był łbem, tylko paszczą, słomką, przejściem w czerń wypełnioną przelewającą się bez końca złamazią. Wyobraziała sobie krzyki Jima Dooleya, teraz już słabe, zmieszane z innymi krzykami. Ogromnym wysiłkiem odpędziła te obrazy i dźwięki, zastępując je wizją biurka z czerwonego klonu i głosem starego Hanka - kogóż by innego? - śpiewającego „Jambalaya”. Miała czas, by pomyśleć o tym, jak początkowo nie mogli ze Scottem wrócić, kiedy to było konieczne, bo długaśnik był tuż, czas, by pomyśleć o

*(to afrykan Lisey nie wiem dlaczego ale tak jest jest jak kotwica)* tym, co powiedział, czas, by zastanowić się, czemu na to wspomnienie znów ujrzała obraz Amandy wpatrzonych tak tęsknie w statek „Małwy” (jakby chciała się z nim pożegnać), i nagle czas minął. Znów poczuła wonny powiew, i blask księżyca zgasł. Wiedziała to nawet z zamkniętymi oczami. Miała wrażenie, jakby gwałtownie runęła z małej wysokości, a potem były w pracowni, a w pracowni panowały ciemności, bo Dooley odciął prąd, a mimo to Hank Williams wciąż śpiewał - „Ma Yvonne, najśłodsza, laj, laj, laj” - bo co tam, że nie było prądu, stary Hank musiał powiedzieć, co miał do

powiedzenia.

## 12

- Lisey? Lisey!

- Manda, przygniatasz mnie, zejdź...

- Lisey, wróciłyśmy?

Dwie kobiety w ciemności. Leżące w plątaniu rąk i nóg na dywanie.

„Krewniaki tuzinami do Yvonne zjeżdżali...” - niosło się z wnęki.

- Tak, złaż ze mnie, ja smerdolę, udusisz mnie!

- Przepraszam... Lisey, leżysz mi na ręce...

„O sukinkocie, będzie sto pociech, więc bawmy się!” Lisey zdołała przeturlać się w prawo. Amanda wyszarpnęła rękę i ciężar jej ciała zsunął się z brzucha siostry. Lisey złapała głęboki - i dający głęboką ulgę - oddech. Kiedy wypuściła powietrze z ust, Hank Williams urwał w połowie frazy.

- Lisey, czemu jest tak ciemno?

- Bo Dooley odciął prąd, pamiętasz?

- Odciął światło - zauważyła Amanda przytomnie. - Gdyby odciął prąd, telewizor by nie grał.

Lisey mogła ją spytać, czemu telewizor nagle przestał grać, ale machnęła na to ręką. Trzeba było omówić inne sprawy. Nic po srebrach, kiedy biblioteka płonie, jak to się mówi.

- Chodźmy do domu.

- Jestem za, w stu procentach - odparła Amanda. Jej palce musnęły łokieć Lisey, zsunęły się po przedramieniu i ścisnęły dłoń. Siostry wstały razem. Amanda dodała poufałym tonem: - Nie obraż się, Lisey, muszę jednak powiedzieć, że i wołami mnie tu nie zaciągniesz.

Lisey rozumiała Amandę, ale jej własne uczucia zmieniły się. Pracownia Scotta dotąd ją onieśmiala, to nie ulega kwestii. Przez dwa długie lata czuła się przez nią odpychana. Teraz

jednak miała wrażenie, że najważniejsze, co było tu do zrobienia, zostało zrobione. Razem z Amandą uwolniły ducha Scotta, delikatnie i - czas pokaże, ale była tego prawie pewna - ostatecznie.

- Chodź - powiedziała. - Idziemy do domu. Zrobię gorącej czekolady.

- A przedtem kapkę brandy? - spytała siostra z nadzieją. - Chyba że wariatki nie dostają brandy?

- Wariatki nie. Ty tak.

Trzymając się za ręce, ruszyły po omacku w stronę schodów. Lisey zatrzymała się tylko raz, kiedy na coś nadepnęła. Schyliła się i podniosła szklany krążek parocentymetrowej grubości. Zorientowała się, że to jedno ze szkieł noktowizora Dooleya, i upuściła je z grymasem obrzydzenia.

- Co? - spytała Amanda.

- Nic. Widzę już co nieco. A ty?

- Trochę. Ale mnie nie puszczaj.

- Nie ma mowy, kochanie.

Razem zeszły po schodach do stodoły. Tak trwało to dłużej, ale czuły się o wiele bezpieczniej.

## 13

Lisey wyjęła najmniejsze szklanki do soku i nalała brandy z butelki, którą znalazła na samym końcu barku w pokoju stołowym. Podniosła szklankę i stuknęła się z Amandą. Stały przy blacie kuchennym. Wszystkie światła w pomieszczeniu były włączone, nawet regulowana lampka w kącie, w którym Lisey wypisywała czeki przy ławce szkolnej.

- No to chlup - powiedziała Lisey.

- W ten głupi dziób - dokończyła Amanda.

- Uwaga flaki, będzie gorąco - powiedziały razem i napiły się.

Amanda zgięła się wół i wypuściła powietrze z ust. Kiedy się wyprostowała, na jej białych policzkach wykwitły róże, czoło przecięła czerwona kreska, a na grzbiecie nosa zarysowało się szkarłatne siodełko. W oczach miała łzy.

- Ożeż, ja cię w mordę! Co to?

Lisey, której gardło było tak rozpalone jak twarz Mandy, chwyciła butelkę i przeczytała etykietę. *Star Brandy*, głosił napis. *Wyprodukowano w Rumunii*.

- Rumuńskie brandy? - Amanda wyglądała na zszokowaną. - Taki zwierz nie istnieje! Skąd to wytrzasnąłaś?

- Prezent dla Scotta. Dostał to za coś, co zrobił... zapomniałam, co... ale zdaje się, że dorzucili do tego zestaw długopisów.

- To pewnie trucizna. Wylej natychmiast i módl się, żebyśmy nie umarli.

- Sama to wylej. Ja zrobię gorącą czekoladę. Szwajcarską. Nie rumuńską.

Już miała się odwrócić, ale Amanda dotknęła jej ramienia.

- Może odpuśćmy sobie czekoladę i zwińmy się stąd, zanim któryś z zastępców szeryfa przyjedzie sprawdzić, co u ciebie.

- Myślisz? - Już zadając to pytanie, Lisey wiedziała, że Amanda zapewne ma rację.

- Tak. Dasz radę jeszcze raz pójść do pracowni?

- Pewnie.

- No to idź po mój pistolecik. Nie zapominaj, że tam nie ma światła. Lisey podniosła blat ławki, przy której wypisywała czeki, i wyjęła długą latarkę. Włączyła ją. Światło było rozkosznie jasne.

Amanda płukała szklanki.

- Gdyby ktoś się dowiedział, że tu byliśmy, nie byłby to koniec świata. Ale gdyby ci twoi od szeryfa usłyszeli, że miałyśmy broń... i że mniej więcej w tym samym czasie ten człowiek przepadł jak kamień w wodę...

Lisey, która w swoich planach doszła tylko do momentu zwabienia Dooleya pod Drzewo Dzwonka i Łopatki (a długasznika w ogóle w nich nie uwzględniła), uprzytomniła sobie, że ma



jeszcze to i owo do zrobienia i lepiej, by już wzięła się do rzeczy. Profesor Woodbody nie zgłosi zaginięcia starego kumpla od kielicha, ale Dooley mógł gdzieś mieć rodzinę, a jeśli ktoś miał motyw, by pozbyć się Czarnego Księcia Impotebili, z pewnością była to Lisey Landon. Oczywiście, nikt nie znajdzie ciała (czyli, jak Scott określił to kiedyś z lubością, *corpus delikates*), ale mimo wszystko ostatnie popołudnie i wieczór spędziła z siostrą w sposób, który mógł wzbudzić podejrzenia. Poza tym w urzędzie szeryfa wiedzieli, że Dooley ją nachodził; wiedzieli to od niej.

- Pójdę po jego gumno - powiedziała.

Amanda nie uśmiechnęła się.

- To dobrze.

## 14

Latarka wycinała z mroku spory obszar i w samotności pracownia nie wydawała się Lisey tak straszna, jak się obawiała. Bez wątpienia pomogło jej to, że miała co robić. Na początek schowała pathfindera z powrotem do pudełka po butach, potem zaczęła omiatać podłogę snopem światła. Znalazła oba szkła noktowizora i pół tuzina baterii paluszków. Domyśliła się, że pochodziły z zasilacza tego gadżetu. Zasilacz musiał przenieść się razem z Dooleyem, choć nie pamiętała, by go zauważyła; bateriom najwyraźniej się nie udało. Podniosła straszną papierową torbę. Amanda albo jej zapomniała, albo nawet nie wiedziała, że Dooley ją wziął, ale miałyby kłopot, gdyby ktoś ją znalazł. Zwłaszcza w połączeniu z rewolwerem. Lisey wiedziała, że można przeprowadzić testy pathfindera, które wykażą, że niedawno z niego strzelano; nie była głupia (i oglądała „Kryminalne zagadki Las Vegas”)- Wiedziała też, że na podstawie tychże testów nie da się stwierdzić, że strzelano z niego tylko raz, w sufit. Próbowwała wziąć papierową torbę tak, by nie zabrzczała; zabrzczała mimo to. Rozejrzała się za innymi śladami obecności Dooleya i żadnych nie zauważyła. Na dywanie były plamy krwi, ale gdyby kiedykolwiek zostały poddane analizie, okazałoby się, że to jej grupa krwi i jej DNA. Krew na dywanie wyglądałaby bardzo niekorzystnie w połączeniu z rzeczami w torbie, którą miała w ręku, ale jeśli torba zniknie, nic nie będzie groziło ani Lisey, ani Amandzie. Prawdopodobnie.

*Gdzie jego samochód? Jego PT cruiser? Bo wiem, że samochód, który widziałam, należał do niego.*

Nie mogła sobie tym teraz zawracać głowy. Było ciemno. Tym musiała się martwić, tym, co tu i teraz. I siostrami. Daria i Canty, obecnie na Zwariowanej Wyprawie Ropucha do szpitala psychiatrycznego Acadia w Derry. Żeby nie wciągnął ich Dooleyowski odpowiednik sortownika ziemniaków pana Silvera.

Ale czy naprawdę musiała przejmować się tymi dwiema? Nie. Będą diabelnie wkurzone, rzecz jasna... i diabelnie ciekawskie... ale koniec końców będą siedzieć cicho, jeśli ona i Amanda powiedzą im, że to absolutnie konieczne. Dlaczego? Bo tak to jest między siostrami, ot dlaczego. Obie z Amandą będą musiały obchodzić się z nimi w rękawiczkach i muszą wymyślić jakąś historyjkę (ale jaka mogłaby zatuszować to wszystko, Lisey nie miała pojęcia, choć była pewna, że Scott by coś wymyślił). Historyjka była niezbędna, bo, w odróżnieniu od Amandy i Lisey, Daria i Cantata miały mężów. A mężowie aż nazbyt często byli tylnymi furtkami, przez które tajemnice wydostawały się na zewnątrz.

Kiedy Lisey odwróciła się do wyjścia, w oko wpadł jej księga śpiący pod ścianą. Wszystkie te kwartalniki i pisma naukowe, wszystkie te roczniki, opracione raporty, i kopie prac magisterskich o twórczości Scotta. Wiele zawierało zdjęcia z minionego życia - można by to nazwać **SCOTT I LISEY! LATA MAŁŻEŃSTWA!**

Bez trudu mogła sobie wyobrazić, jak dwoje studenciaków rozbiera księga i ładuje jego segmenty do tekturowych pudeł z monopolowego, by potem ułożyć je na budzie ciężarówki i wywieźć. Do Pitt? Ugryź się w język, pomyślała Lisey. Nie uważała się za pamiętliwą, ale po Jimie Dooleyu, prędzej śnieg spadnie w piekło niż ona odda więcej rzeczy Scotta gdzieś, gdzie Woodsmerdek mógłby mieć do nich dostęp, nie kupiwszy uprzednio biletu na samolot. Nie, Biblioteka Foglera na Uniwersytecie Stanu Maine będzie jak znalazł - niedaleko Cleaves Mills. Już widziała siebie, jak stoi i obserwuje pakowanie ostatnich rzeczy, może nawet po wszystkim wynosi małolatom dzbanek schłodzonej herbaty. Kiedy ją wypiją, odstawią szklanki i podziękują. Jeden z nich może powie wtedy, jak bardzo podobały mu się książki jej męża, a drugi złoży wyrazy współczucia z powodu jego śmierci. Jakby zmarł dwa tygodnie temu. Ona im podziękuje. Potem będzie patrzeć, jak odjeżdżają z tymi wszystkimi zastygłymi obrazami jej życia z nim, zamkniętymi w ciężarówce.

Naprawdę możesz to wszystko zostawić?

Tak jej się wydawało. Mimo to drzemiący pod ścianą księgiad przyciągał wzrok. Tak wiele zamkniętych, głęboko uśpionych książek - wszystkie przyciągały wzrok. Patrzyła na nie jeszcze przez chwilę i myślała o tym, że dawno, dawno temu żyła sobie młoda kobieta nazwiskiem Lisey Debusher o wydatnych, jędrnych piersiach młodej kobiety. Samotna? Trochę tak, to fakt. Wystraszona? Jasne, odrobinę, w wieku dwudziestu dwóch lat to normalne. I w jej życiu zjawił się młodzieniec. Młodzieniec, któremu włosy ciągle opadały na czoło. Młodzieniec, który miał dużo do powiedzenia.

- Zawsze cię kochałam, Scott - powiedziała do pustej pracowni. A może do uśpionych książek. - Ciebie i tę twoją nieśmiertelną gębę. Byłam twoją przyjaciółeczką. Co, może nie?

Potem, świecąc sobie latarką, zeszła z powrotem na dół z pudełkiem po butach w jednej ręce i okropną papierową torbą Dooleya w drugiej.

## 15

Kiedy Lisey wróciła do domu, Amanda stała przy drzwiach kuchni.

- No - powiedziała. - Zaczynałam się niepokoić. Co jest w torbie?

- Nie chcesz wiedzieć.

- W po... rządku. A on... no wiesz, nie ma go tam?

- Tak mi się zdaje.

- Oby. - Amanda zadrżała. - Był straszny.

Nawet nie wiesz, jak bardzo, pomyślała Lisey.

- Cóż - powiedziała Amanda. - Lepiej ruszajmy.

- Dokąd?

- Do Lisbon Falls. Na starą farmę.

- Co ta... - I nagle urwała. Była w tym pewna pokrętna logika.

- Ocknęłam się w Greenlawn, jak powiedziałaś temu doktorowi Albernessowi, i zawiozłaś mnie do domu, żebym się przebrała. Potem coś mi strzeliło do głowy i zaczęłam gadać o farmie. No, dawaj, Lisey, idziemy, zrobmy z tego domu wychodek, zanim ktoś się zjawi. - Amanda wyprowadziła ją w mrok.

Lisey, zdezorientowana, nie protestowała. Stary dom Debusherów wciąż stał na pięciu akrach ziemi na końcu Sabbatus Road w Lisbon, jakieś dziewięćdziesiąt kilometrów od Castle View. Zapisany pięciu kobietom do spółki (i trzem żyjącym mężom), pewnie jeszcze wiele lat będzie niszczał wśród wybujałych chwastów i leżących odłogiem pól, chyba że wartość ziemi pójdzie w górę na tyle, by opłaciło się odłożyć na bok spory co do tego, co z nim zrobić. Podatki od nieruchomości były płacone z funduszu powierniczego ustanowionego przez Scotta Landona pod koniec lat osiemdziesiątych.

- A po co niby miałabyś chcieć pojechać na starą farmę? - spytała Lisey, siadając za kierownicą bmw. - Tego nie chwytam.

- Bo ci tego nie wyjaśniłam - odparła Amanda, kiedy Lisey zawróciła i ruszyła długim podjazdem. - Stwierdziłam, że muszę tam pojechać i zobaczyć stary dom, żeby, no wiesz, nie wrócić do Strefy Mroku, więc trudno się dziwić, że mnie tam zabrałaś.

- Trudno się dziwić - powtórzyła Lisey. Rozejrzała się na boki, zobaczyła, że nic nie jedzie - żaden z wozów szeryfa, chwala Bogu - i skręciła w lewo, w kierunku, który przez Mechanic Falls, Poland Springs doprowadzi ją do Gray i Lisbon. - A dlaczego wysłałyśmy Darię i Canty złym tropem?

- Bo ja się tak uparłam - powiedziała Amanda. - Bałam się, że zabiorą mnie do mojego albo twojego domu, czy nawet do Greenlawn, zanim zdążę odwiedzić mamę i tatę i spędzić trochę czasu na starych śmieciach. - Lisey przez chwilę nie miała pojęcia, o czym Manda mówi... „spędzić czas z mamą i tatą”? Zaraz jednak załapała. Grób rodziny Debusherów znajdował się na pobliskim cmentarzu Sabbatus Vale. Leżeli tam Dobra Mama i Dandy, razem z Dziaduniem i Babunią D, i Bóg wie kim jeszcze.

- A nie bałaś się, że zawiozę cię z powrotem do zakładu? - spytała.

Amanda spojrzała na nią pobłaźliwie.

- Czemu miałabyś wieźć mnie z powrotem? W końcu mnie stamtąd wywiozłaś.

- Na przykład dlatego, że zaczęłaś świrować i żądać, żebym zawiozła cię na farmę, która stoi pusta od co najmniej trzydziestu lat?

- E tam! - Amanda niedbale machnęła ręką. - Zawsze potrafiłam owinąć cię sobie wokół palca, Lisey... Cauty i Daria wiedzą o tym.

- Gówno prawda!

Amanda tylko obdarzyła ją irytującym uśmiechem, z cerą dziwnie zieloną w blasku przyrządów z deski rozdzielczej, i nic nie powiedziała. Lisey otworzyła usta, by ciągnąć spór, ale zaraz je zamknęła. Pomyślała, że ta historyjka będzie wiarygodna, bo sprowadzała się do dwóch prostych motywów: Amanda świrowała (nic nowego), a Lisey spełniała jej zachcianki (co było zrozumiałe w tych okolicznościach). To mogło się udać. A co się tyczy pudełka po butach z rewolwerem w środku... i torby Dooleya...

- Zatrzymamy się w Mechanic Falls - powiedziała Amandzie. - Na moście nad rzeką Androscoggin. Muszę się pozbyć paru rzeczy.

- Owszem - zgodziła się Amanda, złożyła dłonie na podołku, odchyliła się na zagłówek i zamknęła oczy.

Lisey włączyła radio i nie była zaskoczona, że złapała „Honky Tonkin” starego Hanka. Zaczęła śpiewać pod nosem razem z nim. Znała każde słowo. To też jej nie zaskoczyło. Pewnych rzeczy się nie zapomina. Uwierzyła, że to wszystko, co w świecie praktycznym uchodzi za rzeczy ulotne - jak piosenki, blask księżyca i pocałunki - czasem żyje najdłużej. Może to głupstwa, ale opierają się zapomnieniu. A to dobrze.

To dobrze.

**Część trzecia**

**OPOWIEŚĆ DLA LISEY**

## XVI

### Lisey i Drzewo Opowieści (Scott mówi, co ma do powiedzenia)

#### 1

Kiedy Lisey wreszcie wzięła się do opróżniania pracowni Scotta, poszło jej to szybciej, niż przypuszczała w najśmielszych snach. I w życiu nie uwierzyłyby, że będzie to robić nie tylko z Amandą, ale też z Darią i Canty. Canty przez jakiś czas - jak dla Lisey, bardzo długi - pozostała chłodna i podejrzliwa, ale Amandy to zupełnie nie ruszyło. *Robi to na pokaz. W końcu przestanie i jej przejdzie. Daj jej czas, Lisey. Siostrzane więzi są silne.*

Cantacie rzeczywiście w końcu przeszło, choć Lisey czuła, że nigdy do końca nie wyzbyła się podejrzania, że Amanda symulowała, by Zwrócić Na Siebie Uwagę, i że z Lisey Coś Kombinowały. Pewnie Nic Dobrego. Daria była zaskoczona wyzdrowieniem Amandy i dziwną wyprawą siostr na starą farmę w Lisbon, ale ona przynajmniej nigdy nie sądziła, że Amanda udaje.

W końcu widziała ją na własne oczy.

Tak czy inaczej, w ciągu tygodnia po Dniu Niepodległości cztery siostry wysprzątały i opróżniły długą, pełną zakamarków pracownię nad stodołą. Do pomocy w dźwiganiu ciężarów wynajęły dwóch krzepkich licealistów. Najwięcej roboty mieli z Dumbo Wielkim Jumbo, bo mebel trzeba było rozmontować (jego części składowe przypominały Lisey Rozczłonkowanego Człowieka z lekcji biologii w liceum, tyle że tę wersję trzeba by nazwać Rozczłonkowanym Biurkiem), a potem spuścić na dół wynajętą wciągarką. Kiedy elementy zjeżdżały na dół, chłopaki wykrzykiwały do siebie słowa zachęty. Lisey stała obok z siostrami i modliła się żarliwie, by żaden nie stracił palca czy kciuka w którymś z zawiasów czy kół pasowych. Tak się nie stało i pod koniec tygodnia wszystkie rzeczy zniknęły z pracowni Scotta, przeznaczone albo na dary, albo do magazynu, gdzie miały czekać, aż Lisey wymyśli, co z nimi, do cholery, zrobić.

To znaczy, wszystkie oprócz księgada. On wciąż drzemał w długim, pustym głównym pomieszczeniu - gorącym głównym pomieszczeniu, odkąd klimatyzatory zostały zabrane. Choć

za dnia świetliki były pootwierane, a dwa wentylatory zapewniały cyrkulację powietrza, wciąż było parno. I czemu miałyby być inaczej? Przecież nie było to nic innego, jak zwyczajny strych stodoły z literacką przeszłością.

A do tego dochodziły brzydkie, rdzawoczerwone plamy na dywanie - perłowobiałym dywanie, którego nie można było zabrać, dopóki nie zniknie księga. Kiedy Canty o nie spytała, Lisey zbyła ją wyjaśnieniem, że to od lakieru Wood Coat, który przez nieostrożność rozchlapała, ale Amanda wiedziała lepiej i Lisey przypuszczała, że Daria też coś podejrzewa. Dywan trzeba było wynieść, ale najpierw książki, a ona nie była jeszcze gotowa ich się pozbyć. Sama nie wiedziała dlaczego. Może tylko dlatego, że to były ostatnie rzeczy Scotta, ostatni ślad po nim.

Czekała więc.

## 2

Trzeciego dnia siostrzanego maratonu sprzątania zadzwonił zastępca szeryfa Boeckman i powiedział Lisey, że w żwirowni na Stackpole Church Road, jakieś pięć kilometrów od jej domu, znaleziono porzuconego PT cruisera z tablicami rejestracyjnymi z Delaware. Czy mogłaby przyjść do urzędu szeryfa i rzucić na niego okiem? Trzymali go na parkingu, powiedział zastępca szeryfa, razem z zarekwirowanymi autami i kilkoma „narko-brykami” (czymkolwiek były). Lisey pojechała tam z Amandą. Darię i Canty nieszczególnie to obeszło; wiedziały tylko, że jakiś czub węszył wokół papierów Scotta i był ogólnie upierdliwy. Czuby nie były niczym nowym w życiu ich siostry; odkąd Scott zdobył sławę, zlatywały się do niego jak ćmy do lampy przeciw owadom. Najślynniejszym, rzecz jasna, był Cole. Ani Lisey, ani Amanda nie powiedziały nic, co zasugerowałoby Darli i Canty, że ten był klasy Cole’a. Już na pewno nie wspomniały ani słowem o martwym kocie w skrzynce na listy, a Lisey dołożyła starań, by wymusić też dyskrecję na ludziach szeryfa.

Samochodem na stanowisku 7 był PT cruiser, beżowego koloru, nijaki, nie licząc nieco dziwacznej karoserii. Mógł to być ten sam wóz, który Lisey widziała tamtego baaaardzo długiego czwartku, kiedy wracała z Greenlawn; mógł to być jeden z kilku tysięcy innych. To właśnie powiedziała zastępcy szeryfa Boeckmanowi i przypomniała mu, że kiedy go widziała, wyjeżdżał



z zachodzącego słońca. Pokiwał ze smutkiem głową. W głębi ducha wiedziała, że to ten sam wóz. Wręcz czuła bijący od niego zapach Dooleya. Jego McCoolowskiego szaleństwa. Zrobię pani krzywdę tam, gdzie nie dawała się pani chłopakom dotykać na potańcówce w szkole, pomyślała i musiała powstrzymać dreszcz.

- To kradziony wóz, prawda? - spytała Amanda.

- Jak bonie dydy - powiedział Boeckman.

Podszedł zastępca szeryfa, którego Lisey nie знаła. Był wysoki, miał pewnie z metr osiemdziesiąt wzrostu; chyba do tej roboty z zasady brali tylko wysokich. I barczystych. Przedstawił się jako zastępca szeryfa Andy Clutterbuck i uściśnął dłoń Lisey.

- Ach - powiedziała - p.o. szeryfa.

Jego uśmiech był promienny.

- Nie, Norris wrócił. Jest dziś w sądzie, ale wrócił, a jakże. Znów jestem starym dobrym zastępcą szeryfa Clutterbuckiem.

- Gratuluję. To moja siostra, Amanda Debusher.

Clutterbuck uściśnął dłoń Amandy.

- Miło mi, panno Debusher. - Potem, do nich obu: - Samochód skradziono spod centrum handlowego w Laurel w stanie Maryland. - Wbił w niego wzrok, zatykając kciuki za pas. - Wiedziały panie, że we Francji na PT cruisera mówi się *le car Jimmy Cagney*?

Ta informacja najwyraźniej nie zrobiła na Amandzie większego wrażenia.

- Były odciski palców?

- Ani jednego - odparł. - Wytarty do czysta. Poza tym ten, kto prowadził, zdjął obudowę oświetlenia wnętrza i zbił żarówkę. Co panie na to?

- Myślę, że to *beaucoup* podejrzane - powiedziała Amanda.

Clutterbuck parsknął śmiechem.

- Uhm. Ale w Delaware jest emerytowany stolarz, który strasznie się ucieszy, że odzyska wóz, co tam, że z rozwaloną lampką.

- Dowiedzieliście się czegoś o Jimie Dooleyu? - spytała Lisey.

- Ściśle, nazywał się John Doolin, pani Landon. Urodzony w Shooter's Knob, w stanie Tennessee. W wieku pięciu lat przeniósł się do Nashville z rodziną, potem zamieszkał z wujostwem w Moundsville, w Wirginii Zachodniej, bo jego rodzice i starsza siostra zginęli w pożarze domu zimą 1974. Doolin miał wtedy dziewięć lat. Oficjalnie za przyczynę uznano awarię lampek choinkowych, ale rozmawiałem z emerytowanym detektywem, który prowadził śledztwo. Powiedział, iż były podejrzenia, że chłopak mógł maczać w tym palce. Żadnych dowodów.

Lisey nie widziała powodu, by słuchać dalej z uwagą, bo jakkolwiek siebie nazywał, jej prześladowca nigdy nie wróci z miejsca, w które go zabrała. Mimo to usłyszała, jak Clutterbuck mówi, że Doolin spędził wiele lat w szpitalu psychiatrycznym w Tennessee, i nadal wierzyła, że spotkał tam Gerda Allena Cole'a i zaraził się jego obsesją

*(ding-dong dla frezji)*

jak wirusem. Scott miał dziwne powiedzonko, którego Lisey w pełni nie zrozumiała do czasu sprawy McCoola/Dooleya/Doolina. „Niektóre rzeczy muszą być prawdziwe - mawiał Scott - bo nie mają innego wyboru”.

- W każdym razie, proszę mieć oczy szeroko otwarte - powiedział Clutterbuck - i jeśli będzie się paniom wydawało, że ten człowiek jeszcze tu jest...

- Albo jeśli zrobi sobie chwilę przerwy, a potem postanowi wrócić - wtrącił Boeckman.

Clutterbuck skinął głową.

- Ano, tak też może się zdarzyć. Jeśli znów się pokaże, myślę, że powinniśmy spotkać się z pani rodziną, pani Landon... wprowadzić ich w sytuację. Zgadza się pani?

- Jeśli się pokaże, na pewno tak zrobimy - zapewniła Lisey. Jej ton był poważny, niemal uroczysty, ale kiedy wyjechały z Amandą z miasta, na myśl o powrocie Jima Dooleya pozwoliły sobie na wybuch histerycznego śmiechu.

Następnego nocy, godzinę-dwie przed świtem, Lisey z otwartym jednym okiem powlokła się do łazienki. Myślała tylko o tym, żeby się wysikać i wrócić do łóżka, kiedy nagle odniosła

wrażenie, że coś poruszyło się w sypialni za jej plecami. Z miejsca oprzytomniała i obróciła się na pięcie. Nie było tam nic. Zdjęła ręcznik do rąk z drążka przy umywalce, powiesiła go na lustrze apteczki, w którym widziała ten ruch, i starannie udrapowała tak, by trzymał się sam. Dopiero wtedy załatwiła, co miała do załatwienia.

Była pewna, że Scott by zrozumiał.

#### 4

Lato mijало i pewnego dnia Lisey zauważyła, że w witrynach kilku sklepów przy głównej ulicy Castle Rock pojawiły się tabliczki ARTYKUŁY SZKOLNE. A czemuż by nie? Nagle zrobiło się w pół do września. Pracownia Scotta - nie licząc księgåda i poplamionego białego dywanu, na którym drzemał - czekała, co dalej. (Jeśli w ogóle cokolwiek; Lisey zaczęła się zastanawiać, czy nie wystawić domu na sprzedaż.) Czternastego sierpnia Canty i Rich wydali swoje doroczne przyjęcie Sen Nocy Letniej. Lisey miała zamiar upalić się jak biskopt przygotowywanymi przez Richa Lawlora Long Island Iced Tea, czego nie zrobiła od śmierci Scotta. Na początek poprosiła Richa o podwójnego drinka, by zaraz odstawić go nietkniętego na jeden ze stołów firmy cateringowej. Miała wrażenie, że zauważyła coś, co poruszało się albo na powierzchni szklanki, jakby się w niej odbijało, albo w głębi bursztynowego płynu, jakby tam pływało. Oczywiście, to była bzdura, ale jakoś przeszła jej chęć, by się ubzdryngolić na całego. Szczerze mówiąc, nie była pewna, czy ośmieliłaby się upić (a choćby upalić). Nie wiedziała, czy zdobyłaby się na to, by w taki sposób opuścić gardę. Bowiem jeśli ściągnęła na siebie uwagę długaśnika, jeśli obserwował ją od czasu do czasu... czy choćby o niej myślał... cóż...

Z jednej strony, była przekonana, że to wszystko bzdety.

Z drugiej, była pewna, że wcale nie.

Kiedy sierpień chylił się ku końcowi i w Nowej Anglii nastaly największe upaly tego lata, wystawiające na próbę ludzkie charaktery i sieć energetyczną, z Lisey zaczęło dziać się coś jeszcze bardziej niepokojącego... tyle że, jak to było z rzeczami, które czasami wydawało jej się, że widziała w niektórych lustrzanych powierzchniach, nie była pewna, czy to dzieje się naprawdę.

Czasami wynurzała się ze snu godzinę-dwie wcześniej niż zwykle, zdyszana i oblana potem mimo włączonej klimatyzacji, i miała to samo uczucie, co po przebudzeniu z koszmarów w dzieciństwie: że wcale nie wyrwała się ze szponów tego, co ją ścigało, że to wciąż czaiło się pod łóżkiem i zaraz obejmie zimną, zdeformowaną dłonią jej kostkę albo przebije ręką poduszkę i schwyci za szyję. Spanikowana, przesuwała wówczas rękami po pościeli i sięgała do wezgłowia, nim otworzyła oczy, pragnąc uzyskać pewność, stuprocentową pewność, że nie jest... cóż, gdzie indziej. „Bo jak już raz naciągnie się te ścięgna”, czasem myślała, kiedy otwierała oczy i patrzyła na znajomą sypialnię z ogromną i niewysłowioną ulgą, „następnym razem przychodzi to dużo łatwiej”. A ona przecież naciągnęła swego rodzaju ścięgna, zgadza się? Tak. Najpierw, kiedy zabrała Amandę w jedną stronę, a potem, gdy porwała Dooleya w drugą. Naciągnęła je, i to jak.

Wydawało jej się, że po którymś z kolei przebudzeniu, kiedy znowu stwierdzi, że jest tam, gdzie jej miejsce, w sypialni, która kiedyś należała do niej i Scotta, a teraz tylko do niej, wszystko zmieni się na lepsze, ale tak się nie stało. Było coraz gorzej. Czuła się jak obluzowany ząb w chorym dziąśle. A potem, pierwszego dnia potężnej fali upałów - mogącej się równać z falą mrozów sprzed dziesięciu lat, proszę, jak to się wszystko w naturze wyrównuje, stwierdziła Lisey z ironią - wreszcie jej obawy się spełniły.

## 5

Położyła się na kanapie w salonie, by dać chwilę odpocząć oczom. Niewątpliwie kretyński, ale czasami zabawny Jerry Springer plótł coś w idiomizacji - Matka Ukradła Mi Chłopaka, Chłopak Ukradł Mi Matkę, czy coś takiego. Lisey sięgnęła po pilota, chcąc wyłączyć to cholerstwo, a może tylko jej się śniło, bo kiedy otworzyła oczy, by zobaczyć, gdzie jest pilot, leżała nie na kanapie, lecz na łubinowym wzgórzu na Księżycu Boo'ya. Był środek dnia i nie miała poczucia zagrożenia - a już na pewno nie czuła bliskości długąśnika Scotta (bo tak nazywała go w myśli i pewnie przy tym określeniu zostanie, choć teraz był on jej długąśnikiem, długąśnikiem Lisey), a mimo to była przerażona tak, że aż chciało jej się krzyczeć z bezsilności. Zamiast tego zamknęła oczy, wyobraziła sobie swój salon i nagle zaczęła słyszeć, jak „goście” programu Springera wrzeszczą na siebie, a w rękę poczuła prostokątny kształt pilota. Zerwała się z kanapy, z szeroko otwartymi oczami i mrowiącą skórą. Mogła niemal wmówić sobie, że to był tylko sen (brzmiało

logicznie, zważywszy na to, w jakim lęku żyła), ale wyrazistość obrazu, który zobaczyła przez tych kilka sekund, pozbawiła ją krzepiących złudzeń. Podobnie jak fioletowa plama, w kolorze łubinu, na grzbiecie dłoni trzymającej pilota.

## 6

Następnego dnia zadzwoniła do Biblioteki Foglera i porozmawiała z panem Bertramem Partridge'em, kierownikiem działu zbiorów specjalnych. Dżentelmen ten ożywił się coraz bardziej w miarę, jak Lisey wyliczała książki, które zostały w pracowni Scotta. Nazwał je „pracami towarzyszącymi” i stwierdził, że dział zbiorów specjalnych Biblioteki Foglera bardzo chętnie je przyjmie i „omówi z nią sprawę kredytu podatkowego”. Lisey powiedziała, że byłoby bardzo miło, zupełnie jakby od lat zadawała sobie pytanie, co z tym kredytem podatkowym. Pan Partridge zaproponował, że już nazajutrz przyśle „ekipę”, która zapakuje książki do pudeł i przewiezie je na oddalony o sto osiemdziesiąt kilometrów kampus Uniwersytetu Stanu Maine w Orono. Lisey przypomniała mu, że ma być bardzo upalnie, i że pracownia Scotta, już nieklimatyzowana, znów zmieniła się w zwykły strych stodoły. Może, powiedziała, pan Partridge wolałby wstrzymać się z przysłaniem ekipy do czasu, aż się ochłodzi.

- Skądże znowu, pani Landon - powiedział Partridge, chichocząc jowialnie, i Lisey wiedziała, że nie chce dać jej zbyt wiele czasu, bo a nuż się rozmyśli. - Mam tu dwoje młodych ludzi, którzy nadadzą się idealnie. Sama pani zobaczy.

## 7

Niecałą godzinę po rozmowie z Bertramem Partridge'em zadzwonił telefon. Lisey właśnie robiła sobie kanapki z żytniego chleba z tuńczykiem na kolację: kiepska micha, ale jej wystarczała. Na dworze żar słał się na ziemi jak koc. Z nieba zniknęły wszystkie barwy; było rozprażone, nieskalanie białe od horyzontu po horyzont. Mieszając tuńczyka z majonezem i szczyptą siekanej cebuli, Lisey myślała o tym, jak znalazła Amandę na jednej z tych ławek, wpatrzoną w „Malwy” i to było dziwne, bo praktycznie wcale już do tego nie wracała; wydawało

jej się to snem. Pamiętała, jak Amanda spytała, czy będzie musiała pić

*(sooooooczek)*

ten gówniany poncz, jeśli wróci - w ten sposób chciała dowiedzieć się, przypuszczała Lisey, czy pozostanie uwięziona w Greenlawn - a Lisey obiecała jej, że nie dostanie więcej ponczu ani soczku. Amanda zgodziła się wrócić, choć było oczywiste, że wcale się do tego nie paliła, że najchętniej siedziałaby dalej na ławce i patrzyła na „Malwy” dotąd, aż, jak mawiała Dobra Mama, „minie pół wieczności”. Zostałaby wśród strasznych postaci w całunach i milczących obserwatorów, ławkę czy dwie nad kobietą w kaftanie. Tą, która zamordowała własne dziecko.

Lisey odłożyła kanapkę na blat, nagle przejęta chłodem. Amanda nie mogła tego wiedzieć. Po prostu nie mogła.

Ale wiedziała.

„Bądźcie cicho” - powiedziała tamta kobieta. „Bądźcie cicho, muszę pomyśleć, czemu to zrobiłam”.

A potem Amanda powiedziała coś zupełnie niespodziewanego, zgadza się? Coś o Scotcie. Choć nic, co Amanda mówiła wtedy, nie mogło być ważne teraz, skoro Scott zmarł, podobnie jak Jim Dooley (a nawet jeśli żył, to pragnął śmierci), ale Lisey mimo to bardzo chciała dokładnie przypomnieć sobie jej słowa.

- Powiedziała, że wróci - mruknęła. - Że wróci, jeśli dzięki temu Dooley nie będzie mógł zrobić mi krzywdy.

Tak, i dotrzymała słowa, niech Bóg ją błogosławi, ale Lisey chodziło o coś, co dodała potem. „Nie rozumiem, co to może mieć wspólnego ze Scottem” - powiedziała Amanda tym swoim lekko nieobecny głosem. - „On zmarł tak dawno temu... chociaż... zdaje się, że mówił mi coś o...”.

Wtedy właśnie zadzwonił telefon, rozbijając w pył kruche wspomnienie. Kiedy Lisey podniosła słuchawkę, ogarnęła ją szalona pewność: to będzie Dooley. Dzieńdoberek, powie Czarny Książę Impotebili. Dzwonię z brzucha potwora. Co tam u was?

- Halo? - Zdawała sobie sprawę, że ścisła słuchawkę za mocno, ale nie mogła nic na to poradzić.

- Pani Landon, mówi Danny Boeckman - powiedział głos po drugiej stronie i słowo „pani” było niepokojące, ale już „mówi” zabrzmiało jak „muł-wi”, swobodnie, tak, jak to mówią Jankesi z Nowej Anglii, a zastępca szeryfa Boeckman wydawał się wyjątkowo jak na niego podekscytowany, wręcz tryskający energią i przez to chłopięcy. - Wie pani co?

- Nie wiem - odparta, ale przyszedł jej do głowy następny szalony pomysł: zaraz powie, że ciągnęli w biurze szeryfa słomki, by ustalić, kto zadzwonił do niej, żeby umówić się na randkę, i on wylosował najkrótszą. Tyle że czemu miałby być z tego powodu podekscytowany?

- Znaleźliśmy obudowę lampki!

Lisey nie miała pojęcia, o co mu chodzi.

- Słucham?

- Doolin... znaczy, gość, którego znała pani jako Zacka McCoola, a potem Jima Dooleya, ukradł tego PT cruisera i jeździł nim, kiedy panią śledził. Byliśmy tego pewni. A kiedy robił sobie przerwy, trzymał go w tej starej żwirowni, to też wiedzieliśmy. Tylko nie mogliśmy tego udowodnić, bo...

- Startł wszystkie odciski palców.

- Tak, nawet jednego nie zostawił. Ale co jakiś czas chodziliśmy tam z Wołem...

- Wołem?

- Przepraszam, to znaczy Joem. No wie pani, zastępcą szeryfa Alstonem.

Wół, pomyślała. Po raz pierwszy jasno sobie uprzytomniła, że to byli prawdziwi ludzie prowadzący prawdziwe życie. Mieli przezwiska. Wół, pomyślała. Zastępca szeryfa Alston, znany też jako Wół.

- Pani Landon? Jest pani tam?

- Tak, Dan. Mogę ci mówić Dan?

- Pewnie, nie ma sprawy. W każdym razie co jakiś czas chodziliśmy tam powęszyc i poszukać jakich drobiazgów, bo wiele wskazywało, że facet spędził sporo czasu w tej żwirowni, zostały tam papierki po cukierkach, dwie butelki fanty i inne takie.

- Fanty - powiedziała cicho i pomyślała: Baf, Dan. Baf, Wół. Baf, koniec.

- No właśnie, to chyba jego ulubiony napój, ale żaden z odcisków na butelkach nie odpowiadał jego odciskom. Zidentyfikowaliśmy tylko jeden, okazało się, że należy do faceta, który pod koniec lat siedemdziesiątych ukradł samochód, a teraz pracuje w sklepie Quick-E-Mart w Oxford. Inne, które znaleźliśmy, też pewnie zostawili sprzedawcy. Ale wczoraj w południe, pani Landon...

- Lisey.

Nastąpiła chwila ciszy, musiał to rozważyć. Potem mówił dalej.

- Wczoraj w południe, Lisey, na dróżce wyjazdowej z żwirowni, znalazłem prawdziwy skarb... obudowę lampki. Zerwał ją i wyrzucił w cholerę. - Głos Boeckmana wezbrał poczuciem triumfu, stał się głosem nie zastępcy szeryfa, lecz człowieka. - I tylko jej nie dotykał w rękawiczkach i nie wytarł, widać zapomniał! Z jednej strony został wielgachny odcisk kciuka, z drugiej palca wskazującego! W miejscu, za które ją złapał. Dziś rano przysły faks wyniki.

- To John Doolin?

- Uhm. Odciski pokrywały się w dziewięciu punktach. Dziewięciu! - Zamilkł, a kiedy znów zaczął mówić, jego głos brzmiał już nieco mniej triumfalnie. - A teraz żeby tak jeszcze znaleźć tego sukinkota.

- Na pewno w końcu się pokaże - powiedziała i rzuciła tęskne spojrzenie ku kanapce z tuńczykiem. Zgubiła wątek w rozmyślaniach o Amandzie, ale za to odzyskała apetyt. Jak dla niej, opłacalna wymiana, zwłaszcza w tak zasmarkanie gorący dzień. - A nawet jeśli nie, to przynajmniej przestał mnie nękać.

- Wyjechał z okręgu Castle, ręczę za to moim dobrym imieniem. - Do głosu zastępcy szeryfa Dana Boeckmana wkradła się nuta nieskrywanej dumy. - Widać zrobiło się tu dla niego za gorąco, więc zostawił wóz i dał dyla. Wół też tak uważa. Jim Dooley i Elvis wyszli z budynku.

- Wół, to od pracowitości?

- Nie, proszę pani, gdzie tam. W szkole średniej graliśmy razem w drużynie Castle Hill Knights i zdobyliśmy mistrzostwo stanu. Bangor Rams byli faworytami, ale zrobiliśmy niespodziankę. Pierwsza Złota Piłka dla drużyny z tej części stanu od lat pięćdziesiątych. A Joeya nikt nie mógł zatrzymać przez cały sezon. Nawet jak uwiesiło się na nim czterech bysiorów, on parł naprzód. Dlatego nazwaliśmy go Wół i tak zostało.



- Przyłożyłby mi, gdybym tak go nazwała?

Dan Boeckman zaśmiał się radośnie.

- A gdzie tam! Byłby cały w skowronkach!

- Dobrze więc. Jestem Lisey, ty jesteś Dan, a on jest Wól.

- Jak dla mnie, w porządeczku.

- I dzięki za telefon. To był kawał dobrej policyjnej roboty.

- Dziękuję za miłe słowa, proszę pani. To znaczy, Lisey. - Usłyszała ciepłą nutę w głosie Dana i to wprawiło ją w dobry nastrój. - Dzwoni, jak tylko będzie ci trzeba czegoś jeszcze. Albo jeśli odezwie się ta kanalia.

- Dobrze.

Lisey z uśmiechem na twarzy wróciła do kanapki i przez resztę dnia nie myślała o Amandzie, statku „Malwy” ani o Księżycu Boo’ya. Tej nocy jednak obudził ją odległy grzmot i poczucie, że coś ogromnego nie tyle na nią poluje (nie chciałoby mu się), ile o niej rozmyśla. Przekonanie, że coś takiego ma ją w swoich nieprzeniknionych myślach, sprawiło, że chciało jej się krzyczeć i płakać. Jednocześnie. Miała też ochotę przez całą noc oglądać filmy na TCM, palić papierosy i pić mocną kawę. Albo piwo. Piwo mogłoby być lepsze. Mogłoby sprowadzić sen. Zamiast wstać, Lisey zgasiła lampkę i leżała nieruchomo. Już nigdy nie zasnę, pomyślała. Będę tak tu leżeć, dopóki na wschodzie nie zrobi się jasno. Wtedy będę mogła wstać i zrobić kawę, na którą teraz mam ochotę.

Jednak po trzech minutach już drzemała. Dziesięć minut potem spała głębokim snem. Jeszcze później, kiedy wstał księżyc, a jej się śniło, że frunie na latającym dywanie NAJLEPSZA MAKA PILLSBURY’EGO nad drobnym, białym piaskiem pewnej egzotycznej plaży, jej łóżko na kilka minut stało się puste, a pokój wypełnił się zapachami frangipani, jaśminu i Królowej Jednej Nocy, aromatami, które budziły nostalgię i strach jednocześnie. Zaraz jednak wróciła i rano ledwie pamiętała swój sen, sen o lataniu, sen o lataniu nad plażą na brzegu stawu na Księżycu Boo’ya.

Tak się złożyło, że demontaż księgarda przebiegł niemal dokładnie tak, jak to przewidziała, z dwiema bardzo niewielkimi różnicami. Po pierwsze, połowa dwuosobowej „ekipy” pana Partridge’a okazała się dziewczyną - energiczną dwudziestoparolatką z karmelowym końskim ogonem przewleczonym przez otwór z tyłu czapki Red Sox. Po drugie, Lisey nie przypuszczała, że uwiną się tak szybko. Choć w pracowni było piekielnie gorąco (nie pomagały nawet trzy wentylatory pracujące na pełnych obrotach), po niecałej godzinie wszystkie książki były już w ciemnoniebieskiej furgonetce Uniwersytetu Stanu Maine. Kiedy Lisey spytała dwoje bibliotekarzy z działu zbiorów specjalnych (którzy mówili o sobie - miała wrażenie, że tylko na poły żartobliwie - Sługusy Partridge’a), czy napiją się schłodzonej herbaty, przytaknęli entuzjastycznie i wyłopali po dwie duże szklanki. Dziewczyna miała na imię Cory. To ona powiedziała Lisey, jak bardzo podobały jej się książki Scotta, zwłaszcza „Relikwie”, którą, jak twierdziła, przeczytała trzy razy. Chłopak miał na imię Mike i to on złożył wyrazy współczucia. Lisey podziękowała im za życzliwość, najzupełniej szczerze.

- Teraz, kiedy zrobiło się tu tak pusto, musi być pani smutno - powiedziała Cory i ruchem szklanki wskazała stodołę. Zagrzechotały kostki lodu. Lisey starała się nie patrzeć prosto na szklankę, żeby nie zobaczyć w niej czegoś oprócz lodu.

- Owszem, to trochę smutne, ale i wyzwalające - odparła. - Za długo ociągałam się z porządkami. Siostry mi pomogły. Dobrze, że mamy to już za sobą. Jeszcze herbaty, Cory?

- Nie, dzięki, ale mogłabym przed wyjazdem skorzystać z łazienki?

- Oczywiście. Jest za salonem, pierwsze drzwi na prawo.

Cory przeprosiła i wyszła. Lisey bezwiednie - niemal bezwiednie - wsunęła jej szklankę za brązowy plastikowy dzbanek herbaty.

- Jeszcze szklankę, Mike?

- Nie, dzięki. - Dywan też pewnie pani wyniesie.

Zaśmiała się ze wstydem.

- Tak. Kiepsko z nim, co? Skutek jedynego eksperymentu Scotta z bejcowaniem drewna. To była katastrofa. - Pomyślała: Wybacz, skarbie.

- Wygląda to trochę jak zaschnięta krew - zauważył Mike i dopił schłodzoną herbatę. Słońce, zamglone i prażące, przemknęło po jego szklance, w której przez chwilę ukazało się coś jakby oko. Kiedy ją odstawił, Lisey musiała zwalczyć pokusę, by złapać ją i schować za plastikowym dzbankiem, razem z drugą.

- Wszyscy tak mówią - przytaknęła.

- To sztuka, tak się zaciąć przy goleniu - powiedział Mike i parsknął śmiechem. Zawtórowała mu. Miała wrażenie, że wypadła tak naturalnie, jak on. Nie patrzyła na jego szklankę. Nie myślała o długaśniku, który teraz był jej długaśnikiem. Nie myślała o niczym oprócz długaśnika.

- Na pewno już się nie napijesz? - spytała.

- Lepiej nie, prowadzę - powiedział Mike i znowu się zaśmiali.

Wróciła Cory i Lisey sądziła, że teraz Mike spyta, czy może skorzystać z łazienki, ale tego nie zrobił, faceci mieli większe nerki, większe pęcherze, większe coś tam, a przynajmniej tak twierdził Scott, i dobrze, bo dzięki temu tylko dziewczyna spojrzała na nią dziwnie, zanim odjechali z rozebrany księgadem w tylnej części furgonetki. Och, bez wątpienia powiedziała Mike'owi, co zobaczyła w salonie i łazience, powiedziała mu to w czasie długiej podróży na północ, na Uniwersytet Stanu Maine w Orono, ale Lisey przy tym nie było i nie musiała tego słuchać. W zasadzie spojrzenie Cory nie było aż tak dziwne, bo Lisey nie wiedziała, co oznacza, choć napotykając je poklepała się po skroni, bo pomyślała, że może włosy jej jakoś zabawnie opadły na ucho albo sterczały czy coś. Później (jak już wrzuciła szklanki do zmywarki, nawet nie zerkając na nie) poszła do łazienki i zobaczyła ręcznik zawieszony na lustrze. Pamiętała, że zasłoniła lustro apteczki na górze, pamiętała to doskonale, ale to samo zrobiła tutaj? Kiedy?

Nie wiedziała.

Wróciła do salonu i zobaczyła płachtę upiętą na lustrze nad kominkiem. Powinna była to zauważyć, przechodząc, domyśliła się, że Cory to widziała, to rzucało się w oczy, że ja smerdole, ale prawda była taka, że lalunia Lisey Landon ostatnimi czasy rzadko zaglądała w lustro.

Obeszła cały dom i stwierdziła, że wszystkie lustra na parterze, oprócz dwóch, zostały zasłonięte płachtami, ręcznikami, lub (w jednym przypadku) zdjęte i odwrócone do ściany; teraz zakryła też dwa ocalałe, bo jak się powiedziało A, trzeba powiedzieć B. W tym czasie zastanawiała się, co właściwie pomyślała młoda bibliotekarka w modnej różowej baseballówce

Red Sox. Że wdowa po słynnym pisarzu była Żydówką albo obchodziła żałobę na żydowską modłę i trwało to do dziś? Że uznała za Kurtem Vonnegutem, że lustra nie były odbijającymi powierzchniami, tylko szczelinami, iluminatorami prowadzącymi do innego wymiaru? I szczerze mówiąc, czy nie tak właśnie je postrzegała?

*Nie iluminatorami, oknami. I czy muszę przejmować się, co myśli jakaś bibliotekarka z uniwerku?*

Oj tam, pewnie nie. Ale na świecie tyle było lustrzanych powierzchni, czyż nie tak? Nie tylko luster. Były szklanki do soku, w które nie można było zerkać z samego rana, i kieliszki do wina, od których trzeba się było odwracać po zachodzie słońca. Tak często zdarzało się, że siedząc za kierownicą własnego samochodu widziało się własną twarz w przyrządach deski rozdzielczej. Było tak wiele długich nocy, kiedy myśli czegoś... innego... mogły zwrócić się ku człowiekowi, jeśli ten nie mógł przestać o tym czymś myśleć. I jak właściwie tego dokonać? Jak można o czymś nie myśleć? Umysł człowieka to zapalczywy buntownik w kilcie, jak powiedział świętej pamięci Scott Landon. Potrafi... a co tam, jak srasz ogniem, oszczędzasz na zapalkach, czemu by nie powiedzieć tego wprost? Potrafi wytwarzać taką zlamazię.

I było też coś jeszcze. Coś jeszcze bardziej przerażającego. Może nawet jeśli to coś nie przychodziło do ciebie, ty wbrew własnej woli wychodziłeś mu na spotkanie. Bo jak już człowiek naciągnie te smerdolone ścięgna... jak już w świecie rzeczywistym zaczyna czuć się jak obluzowany ząb w chorym dziąśle...

Będzie schodzić na dół albo wsiadać do samochodu, albo puszczać prysznic, albo czytać książkę, albo otwierać pismo z krzyżówkami i nagle poczuje się tak, jakby zbierało jej się na kichnięcie albo

*(mein gott skarbiemój, mein gott, laalunein Lizzi...!)*

jakby zbliżał się orgazm i nagle pomyśli: O ja smerdole, ja nie dochodzę, tylko odchodzę. Wszystko zafaluje jej przed oczami i ogarnie ją poczucie, jakby lada chwila narodzić się miał zupełnie inny świat, ten, w którym słodycz kwaśniej i po zmroku zmienia się w truciznę. Świat, od którego dzielił ją jeden ruch, tak, skinienie ręki czy zadarcie biodra. Przez chwilę poczuje, jak Castle View wokół niej ucieka w dół, i stanie się Lisey na linie, Lisey idącą po ostrzu noża. A potem znowu wróci, będzie konkretną (choć w średnim wieku i trochę za chudą) kobietą w konkretnym świecie, ruszy dalej schodami w dół, trzaśnie drzwiami samochodu, wyreguluje

ciepłą wodę, przerzuci kartkę książki, albo wpisze osiem poziomo: kompozytor niemiecki albo odgłos uderzenia, cztery litery, pierwsza B, ostatnia H.

## 9

Dwa dni po tym, jak rozebrany księgałdo pojechał na północ, w dniu, który portlandzka filia Państwowego Instytutu Meteorologii miała odnotować jako najcieplejszy tego roku w Maine i New Hampshire, Lisey poszła do pustej pracowni z radiomagnetofonem i kompaktem „Największe przeboje Hanka Williama”. Nie spodziewała się kłopotów z jego odtworzeniem, tak jak nie miała problemu z włączeniem wentylatorów w dniu wizyty Sługusów Partridge’a. Jak się okazało, Dooley tylko otworzył skrzynkę rozdzielczą na dole i pstryknął trzema przełącznikami kontrolującymi dopływ prądu do pracowni.

Lisey nie miała pojęcia, jaka tam panuje temperatura, ale wiedziała, że nie mniejsza niż trzydzieści stopni. Ledwie weszła na górę, poczuła, że bluzka lepi jej się do skóry, a twarz wilgotnieje. Gdzieś czytała, że kobiety nie pocą się, tylko jaśnieją, i cóż to była za bzdura. Gdyby została tu dłużej, pewnie dostałaby udaru i zemdląca, ale nie taki był jej zamiar. W radiu czasem puszczała piosenkę country pod tytułem: „Długo tak nie pociągnę”. Nie wiedziała, kto ją napisał i śpiewał (nie stary Hank), ale się z nią utożsamiała. Nie mogła do końca życia bać się własnego odbicia - albo tego, co mogłoby zza niego wyjrzeć - i bezustannie drżeć, że lada chwila straci poczucie rzeczywistości i znajdzie się na Księżycu Boo’ya.

To gumno musiało się skończyć.

Podłączyła magnetofon do prądu, usiadła przed nim po turecku na podłodze i włożyła płytę. Wytarła kmykciami oczy, piekące od potu. Scott często słuchał tu muzyki puszczonej na całą parę. Jak człowiek ma sprzęt wart dwanaście tysięcy dolarów i wytłumione ściany, może naprawdę dać czadu. Kiedy pierwszy raz puścił jej „Rockaway Beach”, myślała, że dach im zerwie. To, co zamierzała włączyć, w porównaniu z tym będzie bzycczeniem komara, ale uznała, że to wystarczy.

*Kompozytor niemiecki albo odgłos uderzenia, cztery litery, pierwsza B, ostatnia H.*

*Amanda, siedząca na jednej z tych ławek, wyglądająca na przystań Southwind, nad ubraną w kaftan morderczynią dziecka, Amanda mówiąca: „Mówił coś o opowieści. Dla ciebie, dla Lisey. I*

*o afganie. Tyle że nazywał go afrykanem. Powiedział, że to... buch? Bip? Bach?"*

*Nie, Manda, nie bach, choć to rzeczywiście jest czteroliterowe słowo, kompozytor albo odgłos uderzenia. Ale słowem, którego użył Scott, był...*

Tym słowem był baf, rzecz jasna. Pot ciekł po twarzy Lisey jak łyż. Pozwoliła na to.

- Jak baf, koniec. A na końcu dostaje się nagrodę. Czasem baton. Czasem fantę ze sklepu Muliego. Czasem całusa. A czasem... czasem opowieść. Zgadza się, skarbie?

To, że z nim rozmawia, nie wydawało jej się dziwne. Bo on wciąż tu był. Choć zniknęły komputery, meble, wypasiona szwedzka wieża stereo, szafki pełne rękopisów, sterty korekt (jego własnych i przysyłanych przez przyjaciół i fanów), i księgad... nawet bez tego wszystkiego wciąż czuła obecność Scotta. To oczywiste. Bo nie powiedział jeszcze, co miał do powiedzenia. Została mu jedna opowieść.

Opowieść dla Lisey.

Wydawało jej się, że wie, która to, bo tylko jednej nigdy nie ukończył.

Dotknęła zaschnięte plamy na dywanie i pomyślała o argumentach przeciw szaleństwu, tych, które padają z cichym świstem. Przypomniała sobie, jak czuła się pod drzewem mniem-mniem: jak w innym świecie, należącym do nich. Pomyślała o Złamaziowcach, Złobafowcach. Wróciła pamięcią do chwili, kiedy Jim Dooley na widok długaśnika przestał krzyczeć i ręce opadły mu do boków. Uciekły z nich bowiem wszystkie siły. To właśnie działo się z człowiekiem, kiedy patrzył na złamazię, a złamazia na niego.

- Scott - powiedziała. - Skarbie, słucham.

Nie było odpowiedzi... tylko Lisey sama sobie odpowiedziała. *Mieścina nazywała się Anarene. Sam zwany Lwem był właścicielem sali bilardowej. I kina. I baru z szafką grającą, która odtwarzała praktycznie tylko piosenki Hanka Williamsa.*

Gdzieś w pustej pracowni coś jakby westchnęło na znak zgody. Może słyszała to tylko w wyobraźni. Tak czy owak, nadszedł czas. Lisey wciąż nie wiedziała, co właściwie chce znaleźć, ale miała wrażenie, że się zorientuje, kiedy to zobaczy - na pewno, skoro Scott zostawił to dla niej - i że najwyższa pora rozpocząć poszukiwania. Bo długo już tak nie pociągnie. Nie da rady.

Wcisnęła „play” i znużony, wesoly głos Hanka Williamsa zaczął śpiewać.

„Żegnaj mi Joe, pora mi iść, laj, laj, laj; pirogą przez bayou ruszyć czas...”

ZPINOM, skarbiemój, pomyślała i zamknęła oczy. Jeszcze przez chwilę słyszała muzykę, ale głuchą i och, jakże odległą, jakby dochodziła z drugiego końca długiego korytarza albo wylotu głębokiej jaskini. Potem słońce rozkwitło czerwienią pod jej powiekami i temperatura naraz spadła o dobre dziesięć stopni. Chłodny wietrzyk, niosący ponętą woń kwiatów, pieścił jej spoconą skórę i zdmuchiwał sklezione włosy ze skroni.

Lisey otworzyła oczy na Księżycu Boo'ya.

## 10

Wciąż siedziała po turecku, ale teraz była na skraju ścieżki wiodącej w dół fioletowego wzgórza w jednym kierunku i ku kochanym drzewom w drugim. Już tu kiedyś była; dokładnie w to miejsce ściągnął ją jej mąż, zanim został jej mężem - wtedy, gdy powiedział, że chce jej coś pokazać.

Podniosła się na nogi, odgarniając wilgotne od potu włosy z twarzy i rozkoszując się wietrzykiem. Słodczą niesionych przezeń aromatów - tak, oczywiście - ale jeszcze bardziej, jego chłodem. Domyślała się, że jest popołudnie, temperatura była w sam raz, dwadzieścia kilka stopni. Słyszała śpiew ptaków, sądząc po ich świergocie, najzupełniej zwyczajnych - na pewno były to sikory i rudziki, prawdopodobnie też szczygły, a może trafił się i skowronek - ale w lesie nie chichotały żadne paskudztwa. Pewnie było dla nich za wcześnie. Nie wyczuwała też dłużeńka, a to była najlepsza wiadomość ze wszystkich.

Odwróciła się twarzą do drzew i powoli zrobiła półobrót na piętach. Nie wypatrywała krzyża, bo Dooley wbił go sobie w ramię, a potem odrzucił na bok. To drzewa szukała, tego, które rosło tuż przed dwoma innymi na lewo od ścieżki...

- Nie, to nie tak - mruknęła. - Były po obu stronach ścieżki. Jak żołnierze strzegący wejścia do lasu.

I wtedy je zobaczyła. I trzecie, rosnące tuż przed tym po lewej. Ono było największe, obrośnięte mchem tak gęstym, że wyglądał jak sierść. U jego stóp wciąż rysowało się lekkie

zagłębienie. To tu Scott pochował brata, którego tak usilnie próbował ocalić. A obok zagłębienia Lisey napotkała spojrzenie wielkich, pustych oczu wyglądających z wysokiej trawy.

W pierwszej chwili pomyślała, że to Dooley albo jego trup, który jakimś cudem wrócił z grobu, by dalej ją nękać, ale zaraz przypomniała sobie, jak odtrąciwszy Amandę zerwał z głowy bezużyteczny, pozbawiony szkielek noktowizor i odrzucił go na bok. To on właśnie leżał przy grobie dobrego braciszka.

Następne łowy na bafa, pomyślała, podchodząc do niego. Od ścieżki do drzewa; od drzewa do grobu; od grobu do noktowizora. Dokąd teraz? Dokąd, skarbiemój?

Kolejny przystanek był przy krzyżu z poprzeczną belką przekrzywioną tak, że ramiona wyglądały jak wskazówki zegara pokazujące pięć po siódmej. Górna część belki pionowej przesiąkła na kilka centymetrów w głąb krwią Dooleya, wyschniętą na rdzawoczerwony, raczej niespotykany w lakierach kolor plam na dywanie w pracowni Scotta. Na belce poprzecznej wciąż dawało się odczytać PAUL, a kiedy Lisey podniosła krzyż (z autentyczną czcią) z trawy, by lepiej mu się przyjrzeć, zobaczyła coś jeszcze: sfilcowaną żółtą włóczkę, wielokrotnie owiniętą wokół pionowej belki i mocno zawiązaną. Zawiązaną, Lisey co do tego nie miała wątpliwości, w taki sam węzeł, jakim przymocowany został do drzewa dzwonek Chuckiego G. Żółta włóczka - która niegdyś wychodziła spod drutów Dobrej Mamy, oglądającej telewizję na farmie w Lisbon - opasywała pionową belkę tuż nad miejscem, w którym drewno pociemniało od ziemi. Patrząc na nią, Lisey przypomniała sobie, że widziała tę nić unoszącą się w ciemności tuż przed tym, jak Dooley wyrwał krzyż z ramienia i odrzucił.

*To afrykan, ten, który upuściliśmy przy dużym głazie nad stawem. On wrócił później, po jakimś czasie, zabrał go i przyniósł tutaj. Część spruła, przywiązał do krzyża, resztę przeciągnął po ziemi. I liczył, że na samym końcu go znajdzie.*

Z sercem mocno i wolno bijącym w piersi, Lisey upuściła krzyż, zeszła ze ścieżki i ruszyła skrajem Bajecznego Boru za żółtą nicią, przesuwając ją w dłoniach. Wysoka trawa szemrała o jej uda, skaczące koniki polne kreśliły w powietrzu nieregularne łuki, łąbin pachniał słodko. Gdzieś w oddali szarańcza śpiewała swoją gorącą, letnią pieśń, a w lesie wrona - czy rzeczywiście była to wrona?, tak brzmiała, jak najzupełniej normalna wrona - wyskrzczała coś na powitanie, ale nigdzie nie było samochodów, samolotów ani ludzkich głosów, ani blisko, ani daleko. Lisey szła przez trawę tropem sprutego afgana, tego samego, którym jej niemogący spać, przerażony, bliski



załamania mąż opatulał się podczas tak wielu zimnych nocy przed dziesięcioma laty. Przed nią, jedno kochane drzewo wyróżniało się nieco spośród pozostałych, rozpościerało gałęzie, rzucając na ziemię nęcący cień. U jego stóp zauważyła wysoki metalowy kosz na śmieci i dużą żółtą plamę. Kolor wyblakł, wełna była sfilcowana i bezkształtna, jak wielka żółta peruka pozostawiona na deszczu albo trup starego kocura, ale Lisey od razu poznała, co to, i serce zamarło jej w piersi. W głowie usłyszała piosenkę „Too Late To Turn Back Now” „Swingujących Johnsonów” i poczuła uścisk dłoni Scotta prowadzącego ją na parkiet. Podążyła za sprutą żółtą włóczką do kochanego drzewa i uklękła przy nędznych szczątkach ślubnego prezentu od matki dla najmłodszej córki i jej męża. Podniosła go - i to, co było w niego zawinięte. Wtuliła weń twarz. Pachniał wilgocią i pleśnią, jak coś starego, zapomnianego, coś, co kojarzyło się bardziej z pogrzebami niż ślubami. To nic. Tak właśnie powinno być. Czula woń wszystkich lat, przez które tu leżał, przywiązany do nagrobka Paula i czekający na nią jak swoista kotwica.

## 11

Nieco później, kiedy łzy przestały płynąć, odłożyła paczkę (bo tak właśnie należało to nazwać) na ziemię tam, skąd ją wzięła, i spojrzała na nią, dotykając miejsca, w którym żółta włóczka wychodziła ze skurczonej głównej części afgana. Nie mogła się nadziwić, że nic się nie zerwała, kiedy Dooley upadł na krzyż, wyrwał go z ramienia bądź gdy go odrzucił - cisnął w świat. Oczywiście, pomogło to, że Scott zawiązał ją u dołu krzyża, ale i tak było to niesamowite, zwłaszcza biorąc pod uwagę, jak długo to cholerstwo tu leżało, wystawione na działanie warunków atmosferycznych. Cud błękitnooki, można by powiedzieć.

- Rzeczywistość to Ralph, staruszkę - przypomniała sobie i to było prawdą. Czasem psy wracały do domu; czasem stare nici wytrzymały i prowadziły do nagrody czekającej po zakończeniu łowów na bafę. Zaczęła rozwijać wyblakłe, sfilcowane szczątki afgana, ale przestała i zajrzała do kosza na śmieci. Kiedy zobaczyła, co jest w środku, zaśmiała się smutno. Niemal po brzegi wypełniały go butelki po alkoholu. Dwie wyglądały na względnie nowe, a ta na samym wierzchu nowa była na pewno, bo przed dziesięcioma laty nie było czegoś takiego jak Mocna Lemoniada Mike's. Większość z nich jednak była stara. To tu przychodził pić w '96, ale nawet zalany w trupa miał zbyt wiele szacunku dla Księżyca Boo'ya, by zaśmiecać go pustymi

butelkami. Czy znalazłaby inne skrytki, gdyby chciało jej się szukać? Być może. Pewnie tak. Ale tylko ta miała dla niej znaczenie. To tu przybył napisać swoje ostatnie dzieło.

Wydawało jej się, że zna już wszystkie odpowiedzi prócz tych najważniejszych, tych, po które tak naprawdę przyszła - jak żyć z dłużaśnikiem i co zrobić, by nie przedostawać się tu, do jego domu, zwłaszcza kiedy o niej myślał. Może Scott zostawił jej jakieś wskazówki. Nawet jeśli nie, zostawił jej coś... a pod tym drzewem bardzo było pięknie.

Lisey znów podniosła afrykan i pomacała go tak, jak w dzieciństwie macała prezenty gwiazdkowe. W środku była skrzynka, ale w dotyku nie przypominała cedrowej skrzynki Dobrej Mamy; była bardziej miękka, wręcz gąbczasta, jakby nawet zawinięta w afrykana i pozostawiona pod drzewem, przez lata przesiąknęła wilgocią... i Lisey dopiero teraz zastanowiła się, ile tych lat mogło być. Butelka Mocnej Lemoniady wskazywała, że niewiele. A w dotyku skrzynka wydawała się...

- To pudło na rękopisy - mruknęła. - Jedno z tych twardych, tekturowych pudeł na rękopisy. - Tak. Była tego pewna. Tyle że pod dwóch latach pod tym drzewem... albo trzech... albo czterech... stało się miękkim tekturowym pudłem.

Lisey zaczęła rozwijać afgan. Wystarczyły dwa obroty; tylko tyle z niego zostało. I rzeczywiście, w środku było pudło na rękopisy, którego jasnoszary kolor pociemniał od wilgoci. Scott zawsze naklejał z przodu swoich pudeł nalepki, a na nich wypisywał tytuły. Ta odkleiła się z obu boków i zawinęła do góry. Lisey wyprostowała ją palcami i zobaczyła jedno słowo, wypisane charakterystycznymi dla Scotta mocnymi, ciemnymi drukowanymi literami: LISEY. Otworzyła pudło. W środku znajdowały się kartki w linię wyrwane z zeszytu. Było ich ze trzydzieści, ciasno zapisanych szybkimi pociągnięciami jednego z jego ciemnych cienkopisów. Nie zaskoczyło jej to, że Scott używał czasu teraźniejszego, że czasem popadał w dziecinny ton, i że sama opowieść zdawała się zaczynać od środka. To ostatnie było prawdą, stwierdziła, tylko pod warunkiem że nie znało się historii o tym, jak dwaj bracia wytrwali z szalonym ojcem, co stało się z jednym, i o tym, jak drugi nie mógł go ocalić. Opowieść zdawała się zaczynać od środka tylko dla kogoś, kto nie słyszał o znikach i złamaniach. Kogoś, kto nie wiedział, że

W lutym zaczyna dziwnie na mnie patrzeć, kątem to jednego, to drugiego oka. Czekam, aż wydrze się na mnie czy nawet wyciągnie swój stary scyzoryk i zacznie mnie kroić. Dawno już tego nie robił, ale myślę, że wręcz przyniosłoby mi to ulgę. Nie wypuściłoby to ze mnie złamazi, bo jej nie ma - kiedy Paul był zakuty w łańcuchy w piwnicy, widziałem prawdziwą złamazię, nie taką, którą tato sobie wyobraża - i niczego takiego w sobie nie noszę. Za to w nim jest coś złego i nóż tego nie usuwa. Nie tym razem, choć bardzo próbował. Wiem. Widziałem w brudach zakrwawione koszule i majtki. W śmieciach też. Gdyby miało mu to pomóc, dałbym się pociąć, bo nadal go kocham. Tak, jak nigdy dotąd, bo zostaliśmy tylko we dwóch. Tak, jak nigdy dotąd, od czasu tego, co przeszliśmy z Paulem. Taka miłość jest swoistą klątwą, jak złamazia. „Złamazia jest silna” - powiedział.

Ale ciąć nie będzie.

Pewnego dnia wracam z szopy, w której przysiadłem na chwilę, żeby pomyśleć o Paulu - powspominać, jak dobrze się bawiliśmy na tych starych śmieciach - a tato łapie mnie i zaczyna potrząsać. „Byłeś tam!” - krzyczy mi w twarz. A ja widzę, że jakkolwiek chory mi się wydawał, teraz jest z nim gorzej. Tak źle jeszcze nie było. „Po co tam łazisz? Co tam robisz? Z kim rozmawiasz? Co ty knujesz?” Przez cały czas mną trzęsie, raz po raz, świat skacze mi przed oczami. Potem uderzam głową w krawędź drzwi, widzę gwiazdy i padam na progu, na twarzy czuję żar z kuchni, na plecach zimno z podwórza.

- Nie, tatusiu - mówię. - Nigdzie nie chodziłem, byłem tylko...

Pochyla się nade mną, z rękami na kolanach, zbliża twarz do mojej twarzy, ma bladą skórę, nie licząc dwóch plam koloru wysoko na policzkach, i widzę, jak oczy biegają mu w tę i we w tę, w tę i we w tę, i wiem, że on i rozsądek nie są nawet w kontakcie korespondencyjnym. I przypomina mi się, jak Paul mówił: „Scott, nie waż się stawiać tacie, kiedy jest z nim niedobrze”.

- Nie gadaj, żeś nigdzie nie łaził, kłamczuchu w dupę jebany, przeszukałem CAŁY SMERDOLONY DOM!

Myślę, żeby powiedzieć mu, że byłem w szopie, ale wiem, że to tylko pogorszy sytuację. Przypominam sobie przestrożę Paula, bym mu się nie stawiał, kiedy jest z nim niedobrze,

kiedy mu się pogarsza, a jako że wiem, gdzie jego zdaniem byłem, mówię tak, tatusiu, tak, byłem na Księżycu Boo'ya, ale tylko po to, żeby zanieść kwiaty na grób Paula. I to skutkuje. Przynajmniej chwilowo. On się uspokaja. Nawet bierze mnie za rękę, podnosi i otrzepuje, jakby widział na mnie śnieg, brud czy coś. Niczego takiego tam nie ma, ale może on to naprawdę widzi. Któż to wie.

- Wszystko gra, Scott? - mówi. - Grób wygląda dobrze? Nic się nie dobrało do niego ani do Paula?

- Wszystko w porządku, tatusiu - odpowiadam.

- Działają tu naziści, Scooter - stwierdza. - Mówilem ci? Na pewno. Czczą Hitlera w piwnicy. Mają ceramiczną statuetkę tego bydlaka. Myślą, że nie wiem.

Mam ledwie dziesięć lat, ale wiem, że Hitler jest zimnym trupem od końca drugiej wojny światowej. Wiem też, że nikt z gippowni nie czci w piwnicy nawet jego statuetki. Wiem jeszcze jedno: że nie można stawiać się tacie, kiedy dostaje złamazi, więc mówię:

- Co z tym zrobisz?

Nachyla się ku mnie i myślę sobie, że tym razem to już na pewno mi przywali, a przynajmniej znów zacznie mną potrząsać. Ale on tylko patrzy mi głęboko w oczy (nigdy jeszcze nie widziałem, by jego oczy były tak duże i tak ciemne) i łapie się za ucho.

- Co to jest, Scooter? Jak myślisz, staruszkule?

- Twoje ucho, tatusiu.

Potakuje, ciągle trzymając się za nie, i nie odwraca ode mnie wzroku. Po tylu latach wciąż czasem widzę jego oczy w snach.

- Będę nim nasłuchiwał, co w trawie piszczy - mówi. - A we właściwym czasie... - Zgina palec i porusza nim tak, jakby pociągał za cyngiel. - Każdego bez wyjątku, Scooter. Każdego smerdolonego nazistę, jaki tam siedzi. - Może by to zrobił. Mój ojciec, odchodzący w blasku zgnilej chwały. Może ukazałby się artykuł typu SAMOTNIK Z PENSYLVANII W SZALE ZABIJA DZIEWIĘCIU WSPÓŁPRACOWNIKÓW I SIEBIE, MOTYW NIEJASNY, ale zanim może się do tego zabrać, złamazia niszczy go w inny sposób.

Luty był pogodny i zimny, ale na początku marca pogoda zmienia się, a tato razem z

nią. Kiedy temperatura idzie w górę, niebo się chmurzy i zaczyna padać deszcz ze śniegiem, on staje się coraz bardziej ponury i milczący. Przestaje się golić, potem brać prysznic, potem gotować posiłki. Któregoś dnia, mniej więcej po upływie trzeciej części miesiąca, zauważam, że trzy dni wolnego, które czasem dostaje, kiedy ma popołudniową zmianę, przeciągnęły się do czterech... pięciu... sześciu. Wreszcie pytam, kiedy wróci do pracy. Boję się o to pytać, bo ostatnio większą część każdego dnia spędza albo na górze, w swojej sypialni, albo na dole, gdzie leży na sofie i słucha muzyki country w WWVA, stacji z Wheeling w Zachodniej Wirginii. Prawie w ogóle się do mnie nie odzywa, bez względu na to, gdzie jest, i widzę, że oczy przez cały czas skaczą mu na boki, wypatrując ich, Złamaziowców, Złobafowców. Dlatego... nie, nie chcę go o nic pytać, ale muszę, bo jeśli nie wróci do pracy, co się z nami stanie? W wieku dziesięciu lat wie się już, że jeśli nie będzie pieniędzy, to świat się zmieni.

- Ciekaw jesteś, kiedy wracam do pracy - mówi w zamyśleniu. Leży na sofie, z twarzą pokrytą zarostem, ubrany w stary welniany sweter i robocze spodnie, wystają mu bose stopy. W radiu Red Sovine śpiewa „Giddyup-Go”.

- Tak, tatusiu.

Podnosi się na łokciu, patrzy na mnie i wtedy widzę, że jest stracony. Co gorsza, że coś się w nim ukrywa, rośnie, nabiera sił, czeka na właściwy moment.

- Chcesz wiedzieć. Kiedy. Wracam. Do pracy.

- Twoja sprawa - mówię. - Właściwie to chciałem tylko spytać, czy zaparzyć kawy.

Łapie mnie za rękę i tej nocy zobaczę ciemnoniebieskie sińce w miejscu, gdzie jego palce wczepiły się we mnie. Cztery ciemnoniebieskie sińce w kształcie jego palców.

- Chcesz wiedzieć. Kiedy. Pójdę. Tam. - Puszczą mnie i siada prosto. Jego oczy są wielkie jak nigdy i nie nieruchomieją nawet na chwilę. Latają mu w oczodołach. - Nigdy więcej tam nie pójdę, Scott. Tamto miejsce jest zamknięte. Wzięło i rozpidrzyło się w trzy dupy. Nic nie wiesz, ty durny, popaprany ślamanogo? - Patrzy w dół, na brudny dywan w salonie. W radiu Red Sovine ustępuje miejsca Ferlinowi Husky'emu. Tato podnosi głowę i znów jest tata, i mówi coś, co niemal łamie mi serce. - Może jesteś durny, Scooter, ale i dzielny. Jesteś moim dzielnym chłopcem. Nie pozwolę, żeby to zrobiło ci krzywdę.

Potem kładzie się z powrotem na kanapie, odwraca głowę i mówi, żeby mu nie przeszkadzał, bo chce się zdrzemnąć.

Tej nocy budzi mnie stukot deszczu ze śniegiem w szybę. On siedzi na krawędzi łóżka i uśmiecha się do mnie. Tyle że to nie on się uśmiecha. W jego oczach nie ma prawie nic oprócz złamazi.

- Tatusiu? - mówię, a on nie odpowiada. Myślę sobie: Zabije mnie. Chwyci mnie za szyję i udusi, i wszystko, przez co przeszliśmy, cała ta historia z Paulem, nie zda się na nic.

Zamiast tego jednak mówi zduszonym głosem: „Śpij”, wstaje z łóżka i wychodzi w takich podrygach, z podniesioną brodą i wypiętym tyłkiem, jakby udawał instruktora musztry na defiladzie czy coś. Kilka sekund później słyszę straszny, mięsisty loskot i wiem, że wywalil się gdzieś na dole, może nawet rzucił się ze schodów, i leżę przez jakiś czas, niezdolny wstać z łóżka, z jednej strony mam nadzieję, że umarł, z drugiej, że nie, zastanawiam się, co zrobię, jeśli umarł, kto się mną zajmie, nie zważam na to, nie wiem, czego właściwie chciałbym najbardziej. Gdzieś we mnie tli się nawet nadzieja, że dokończy to, co zaczął, wróci tu i mnie zabije, załatwi, co było do załatwienia, i nie będę dłużej musiał znosić życia w tym strasznym domu. Wreszcie wołam:

- Tatusiu? Wszystko w porządku?

Przez długą chwilę nie ma odpowiedzi. Leżę wsłuchany w deszcz ze śniegiem, myślę: Nie żyje, on nie żyje, mój tato nie żyje, jestem tu sam i nagle on ryczy z dołu, z ciemności:

- Tak, wszystko gra! Morda w kubel, gówniarzu! Zamknij ryja, jeśli nie chcesz, żeby to cię usłyszało, wylazło ze ściany i zjadło nas obu żywcem! A może chcesz, żeby w ciebie weszło, jak w Paula?

Nic nie mówię, leżę tylko i drżę.

- Odpowiedz mi! - wrzeszczy. - Gadaj, matolku, bo jak tam do ciebie pójde, to pożałujesz!

Ale ja nie mogę, jestem zbyt przerażony, by odpowiedzieć, język zmienił mi się w kawałek suszonej wołowiny leżący na dnie jamy ustnej. Nie płaczę. Na to też jestem zbyt przerażony. Leżę tylko i czekam, aż przyjdzie na górę i zrobi mi coś złego. Albo zabije jak psa.

Potem, po upływie czasu, który wydaje mi się bardzo długi - mam wrażenie, że minęła co najmniej godzina, choć tak naprawdę nie mogło być to więcej niż minuta-dwie - slysze, jak on mamrocze coś jakby Kurwa, leć mi krwawi albo Kiedy ta pogoda się poprawi. W każdym razie dźwięk jego głosu oddala się od schodów w stronę salonu i wiem, że wgramoli się na sofę i tam zaśnie. Rano albo się obudzi, albo nie, ale tak czy inaczej, na dziś ze mną już skończył. Mimo to wciąż się boję. Boję się, bo to naprawdę istnieje. Nie sądzę, żeby chowało się w ścianie, ale istnieje. Dopadło Paula, wkrótce pewnie dopadnie mojego tatę, a na koniec mnie. Dużo o tym myślałem, Lisey

### 13

Ze swojego miejsca pod drzewem - dosłownie siedziała oparta plecami o pień - Lisey podniosła głowę, niemal tak zaskoczona, jak byłaby, gdyby duch Scotta zawołał ją po imieniu. W pewnym sensie tak właśnie się stało i czemu właściwie miałyby ją to dziwić? Oczywiście, że z nią rozmawiał, z nią i nikim innym. To była opowieść dla niej, dla Lisey, i nawet mimo że czytała wolno, przebrnęła już przez trzecią część ręcznie zapisanych stron. Jak tak dalej pójdzie, skończy na długo przed zmrokiem. To dobrze. Na Księżycu Boo'ya było uroczo, ale tylko za dnia.

Spojrzała w dół na jego ostatni rękopis - ostatnią opowieść - i znów ogarnęło ją zdumienie, że przetrwał dzieciństwo. Zauważyła, że Scott przechodził na czas przeszły tylko wtedy, kiedy zwracał się do niej, obecnej tu i teraz. Uśmiechnęła się na tę myśl i czytała dalej. Pomyślała, że gdyby mogła mieć jedno życzenie, to chciałaby polecieć do tego samotnego chłopca na swoim wysoce hipotetycznym latającym dywanie NAJLEPSZA MAKA PILLSBURY'EGO i pocieszyłaby go, choćby tak, że szepnęłaby mu na ucho, że z czasem koszmar dobiegnie końca. A przynajmniej ta jego część.

### 14

Dużo o tym myślałem, Lisey, i wyciągnąłem dwa wnioski. Po pierwsze, to, co dopadło Paula, było rzeczywiste i choć przejmowało kontrolę nad ludźmi, mogło mieć najzupelniej

przyjemny charakter, może nawet wirusowy lub bakteriologiczny. Po drugie, nie był to dłużej. Dlatego, że on nie przypomina niczego, co moglibyśmy zrozumieć. Jest sam w sobie jedyny, niepowtarzalny, i lepiej o nim nie myśleć. W ogóle.

W każdym razie, nasz bohater, mały Scott Landon, wreszcie zasypia i w domku na farmie w Pensylwanii przez kilka następnych dni wszystko jest po staremu, tatko leży na kanapie jak kawał dojrzalego, cuchnącego sera, Scott gotuje posiłki i zmywa naczynia (tylko że mówi „zmyłwam naczynia”), deszcz ze śniegiem stuka w okna, a dom wypełniają dźwięki muzyki country z WWVA - Donna Fargo, Waylon Jennings, Johnny Cash, Conway Twitty i - oczywiście - stary Hank. Potem któregoś popołudnia koło trzeciej na długim podjeździe ukazuje się brązowy sedan chevrolet z napisem GIPSOWNIA na drzwiach, rozbryzgujący mokry śnieg na wszystkie strony. Andrew Landon ostatnio spędza większość czasu na kanapie w salonie, nocą śpi na niej, za dnia leży, i Scott w życiu by się nie domyślił, że stary potrafi zerwać się tak szybko, jak to czyni w chwili, kiedy słyszy ten samochód, który na pewno nie jest starym fordem listonosza czy furgonetką faceta odczytującego stan liczników. Tato przypada do okna wychodzącego na lewą stronę ganku. Nachyla się, lekko odsuwa brudną białą zasłonę. Włosy sterczą mu z tyłu głowy i Scott, który stoi w drzwiach kuchni z talerzem w jednej dłoni i ścierką na ramieniu, widzi duży, napuchnięty siny placek z boku twarzy taty, w miejscu, na które tamtej nocy spadł ze schodów, i zauważa, że jedna nogawka jego spodni roboczych jest podciągnięta prawie po kolano. Słyszy, jak Dick Curless śpiewa w radiu „Tombstone Every Mile”, i wyczytuje mord z oczu ojca i jego ściągniętych w dół warg, spod których wylaniają się dolne zęby. Tato odwraca się od okna z gracją tancerza baletowego i nogawka spodni opada. Podchodzi do szafy bezszelestnie, na nogach poruszających się jak zwariowane nożyce, i zagląda do niej w chwili, kiedy silnik chevroleta gaśnie i Scott słyszy odgłos otwieranych drzwi samochodu, ktoś podchodzi do wrót śmierci i nawet o tym nie wie, nie ma najzwyklejszego pojęcia, a tata wyjmuje z szafy strzelbę, tę samą, którą odebrał Paulowi życie. Czy życie tego, co w nim się załęgło. Buty ciężko lupią w stopnie ganku. Stopnie są trzy i środkowy skrzypi, jak zawsze, na wieki wieków, amen.

- Tatusia, nie - mówię cichym, błagalnym głosem, kiedy Andrew „Iskierka” Landon idzie w stronę drzwi swoim nowym, dziwnie wdzięcznym nożycowym krokiem, ze strzelbą przyciśniętą do piersi. Wciąż trzymam talerz, ale drętwieją mi palce i myślę: Zaraz go



upuszczę. Smerdolec spadnie na podłogę i się rozbije, a ostatnim, co ten człowiek za drzwiami usłyszy przed śmiercią, będzie brzęk tłukącego się talerza i głos Dicka Curlessa śpiewającego o Hainseville Woods w radiu w tym syfiastym zapomnianym domu. - Tatusiu, nie - powtarzam, błagając z całego serca i staram się wyrazić tę prośbę oczami.

Iskierka Landon waha się, potem staje pod ścianą, tak, że jeśli drzwi się otworzą (kiedy drzwi się otworzą), zasłonią go. W tej samej chwili rozlega się głośnie pukanie. Nie mam kłopotu, by odczytać słowa, w które układają się okolone bakami usta mojego ojca: To go splaw. Scott.

Podchodzę do drzwi. Przekładam talerz, który miałem wytrzeć, z prawej ręki do lewej, i otwieram. Widzę mężczyznę, przerażająco wyraźnie. Facet z gipsowni nie jest zbyt wysoki, jakiś metr siedemdziesiąt parę, więc jest niewiele wyższy ode mnie, ale wygląda jak apoteoza władzy w swojej czarnej czapce z daszkiem, spodniach khaki z ostrymi jak brzytwa kantami i koszuli tego samego koloru, wystającej spod rozpiętego do połowy grubego czarnego płaszcza. Ma czarny krawat i trzyma w ręku jakąś małą walizeczkę, trudno ją nazwać teczką (dopiero parę lat później poznam słowo aktówka). Jest trochę przygruby i gładko ogolony, jego policzki są lśniące, różowe. Nosi kalosze, takie z suwakami, nie sprzączkami. Mierzę go spojrzeniem i myślę sobie, że jeśli komuś pisane jest zginąć na ganku wiejskiego domu, to właśnie jemu. Nawet kręcony włos wystający z dziurki w nosie mówi, że tak, to on we własnej osobie, a jakże, człowiek przysłany tu, by dostać kulkę z flinty nożyconogiego. Nawet jego nazwisko, mam wrażenie, jest z gatunku tych, które widzi się w gazecie pod nagłówkiem OFIARA ZBRODNI.

- Witaj, synu - mówi - musisz być jednym z chłopaków Iskierki. Jestem Frank Halsey, z fabryki. Kierownik działu personalnego. - I wyciąga rękę.

Myślę sobie, że nie dam rady jej uścisnąć, ale robię to. I boję się, że nie zdołam wykrztusić z siebie słowa, ale też jakoś mi się udaje. A mój głos brzmi normalnie. I dobrze, bo tylko ja stoję między tym człowiekiem a kulą w serce.

- Tak, proszę pana. Mam na imię Scott.

- Miło cię poznać, Scott - mówi, zaglądając mi za plecy, do salonu, a ja próbuję się domyślić, co widzi. Dzień wcześniej próbowałem trochę wszystko ogarnąć, ale Bóg raczy wiedzieć, jak mi to wyszło; w końcu jestem tylko smerdolonym dzieciakiem. - Trochę nam

brakuje twojego ojca.

Cóż, myślę sobie, jeszcze trochę, a będzie panu brakowało wszystkiego, panie Halsey. Pracy, żony: dzieci, jeśli je pan ma.

- Nie dzwonił do was z Filadelfii? - pytam. Nie mam bladego pojęcia, skąd mi to wpadło do głowy i do czego zmierzam, ale się nie boję. Nie tego. Bujdy to ja mogę cały dzień zmyślać. Boję się czego innego: że tato straci panowanie nad sobą i zacznie strzelać przez drzwi. Może trafiliby Halseya; prawdopodobnie oberwalibyśmy obaj.

- Nie, synu, słowem się nie odezwał. - Deszcz ze śniegiem bębni w dach ganku, ale facet przynajmniej jest osłonięty, więc nie ma musu, żebym go zaprosił do środka, ale co będzie, jeśli sam się wprosi? Jak mam go powstrzymać? Jestem tylko dzieckiem, stojącym tu w kapciach z talerzem w ręku i ścierką przewieszoną przez ramię.

- Bardzo się martwi o siostrę - mówię i myślę o biografii baseballisty, którą ostatnio czytam. Leży na moim łóżku na górze. Myślę też o samochodzie taty, który stoi za domem, pod okapem szopy. Gdyby pan Halsey przeszedł na drugi koniec ganku, zobaczyłby go. - Choruje na to samo, na co umarł ten sławny gracz Yankees.

- Siostra Iskierki ma chorobę Lou Gehriga? O kurw... to znaczy, kurczę. Nawet nie wiedziałem, że ma siostrę.

Ja też nie, myślę.

- Synu... Scott... to przykre. Kto opiekuje się wami pod jego nieobecność?

- Pani Cole, mieszka tu niedaleko. - Jackson Cole to nazwisko autora „Człowieka z żelaza w drużynie Yankees”. - Przychodzi codziennie. A poza tym, Paul potrafi robić kotlety na cztery sposoby.

Pan Halsey parska śmiechem.

- Cztery, co? Kiedy wróci Iskierka?

- Ona już nie może chodzić i oddycha o, tak. - Biorę głęboki, rżący haust powietrza. To łatwe, bo serce wali mi jak szalone. Biło powoli, kiedy byłem prawie pewien, że tato zabije pana Halseya, ale teraz, kiedy widzę, że jest szansa, by wyjść z tego bez szwanku, zasuwa setką na godzinę.

- O psiakrew - mówi pan Halsey. Teraz jest przekonany, że wszystko rozumie. - Czegoś tak paskudnego w życiu nie slyszalem. - Wyciąga zza poly płaszcza portfel. Otwiera go i wyjmuję banknot jednodolarowy. Potem przypomina sobie, że niby mam brata, i daje mi drugi. I wtedy, Lisey, stało się coś strasznie dziwnego. W tej chwili zapragnąłem, by ojciec go zabił.

- Masz, synu - mówi i nagle, jakbym czytał w jego myślach, zdaję sobie sprawę, że zapomniał, jak mam na imię, i nienawidzę go za to jeszcze bardziej. - Weź to. Jeden dla ciebie, jeden dla brata. Kupcie sobie coś w tym sklepiku nieopodal.

Nie chcę jego smerdolonego dolara (a Paul ze swojego nie będzie już miał pożytku), ale biorę pieniądze i mówię dziękuję panu, a on na to, proszę bardzo, synu, i mierzwi mi włosy, a kiedy to robi, zerkam w lewo i napotykam oko ojca wyglądające przez szczelinę w drzwiach. Widzę też lufę strzelby. Potem pan Halsey wreszcie schodzi z ganku. Zamykam drzwi i patrzymy z ojcem, jak wsiada do samochodu służbowego i zaczyna cofać się długim podjazdem. Przychodzi mi do głowy, że jeśli ugrzęźnie, to wróci i będzie chciał skorzystać z telefonu, a wtedy mimo wszystko zginie, ale nie grzęźnie i tego wieczoru jednak pocałuje żonę na dobranoc i powie jej, że dał dwóm biednym chłopcom po dolarze, żeby coś sobie kupili. Spoglądam w dół i widzę, że ciągle trzymam dwa banknoty. Oddaję je ojcu. Nie patrząc na nie, chowa je do kieszeni spodni.

- Przyjdzie tu - mówi tato. - Nie on, to ktoś inny. Dobrze się sprawileś, Scott, ale mokra paczka nie może bez końca trzymać się na taśmie klejącej.

Przyglądam mu się uważnie - tak, jest moim tatą. Wrócił, kiedy rozmawiałem z panem Halseyem. Wtedy tak naprawdę widzę go po raz ostatni.

Czuje na sobie mój wzrok i lekko porusza głową, jakby potakiwał. Zerka na strzelbę.

- Wyrzucę to w cholerę - mówi. - Dla mnie nie ma ratunku, nic się na to nie...

- Nie, tatusiu...

- ...nie poradzi, ale za czorta nie zabiorę ze sobą bandy takich baranów, jak ten Halsey, żeby potem pokazali mnie w wiadomościach o szóstej dla uciechy wsiurów. Ciebie i Paula też by pokazali. To pewne. Żywi czy martwi, byłibyście dziećmi wariata.

- Tatusiu, nic ci nie będzie - mówię mu i próbuję go uściskać. - Przecież teraz jesteś

zdrowy!

Odpycha mnie z takim niby-śmiechem.

- Jasne, a chorzy na malarię czasem cytują Szekspira - mówi. - Zostań tu, Scotty, mam robotę. To nie potrwa długo. - Kieruje się w głąb korytarza, mija ławkę, z której w końcu skoczyłem tak dawno temu, i wchodzi do kuchni. Z pochyloną głową i strzelbą w rękę. Kiedy wychodzi kuchennymi drzwiami, idę za nim i wyglądam przez okno nad zlewem. Widzę, jak przemierza podwórko bez płaszcza, w padającym śniegu z deszczem, wciąż ze spuszczoną głową i strzelbą w dłoni. Na chwilę kładzie strzelbę na zamrożonej ziemi i zsuwa pokrywę z wyschniętej studni. Musi to zrobić obiema rękami, bo przymarzła do cegieł. Znowu podnosi strzelbę, patrzy na nią przez chwilę - jakby się z nią żegnał - i wsuwa ją do szczeliny. Wraca do domu, wciąż ze spuszczoną głową i zmrożonymi kroplami na ramionach koszuli. Dopiero wtedy zauważam, że ma bose stopy. Chyba w ogóle nie zdaje sobie z tego sprawy.

Nie wydaje się zaskoczony, kiedy widzi mnie w kuchni. Wyjmuje dwa banknoty jednodolarowe, które dostałem od pana Halseya, patrzy na nie, a potem na mnie.

- Na pewno ich nie chcesz? - pyta.

Kręcę głową.

- Nawet gdyby były ostatnimi banknotami dolarowymi na ziemi.

Widzę, że ta odpowiedź go zadowala.

- I dobrze - mówi. - Ale teraz coś ci powiem, Scott. W salonie jest kredens z porcelaną twojej babuni, wiesz, który?

- Jasne.

- Jeśli zajrzysz do niebieskiego dzbanka na górnej półce, znajdziesz zwitek banknotów. To moje pieniądze, nie Halseya, rozumiesz, na czym polega różnica?

- Tak - mówię.

- Nie wątpię. Dużo można o tobie powiedzieć, ale nie to, że jesteś głupi. Na twoim miejscu, Scotty, wziąłbym ten zwitek, jest w nim około siedmiuset dolarów, i odszedł w siną dal. Wsadziłbym dychę do kieszeni, a resztę schowałbym w bucie. Dziesięć lat to za młody

wiek na wędrówki, nawet krótkie, i na oko jest jakieś dziewięćdziesiąt pięć procent szans, że cię okradną, zanim przejdiesz przez most do Pittsburgha, ale jeśli tu zostaniesz, stanie się coś złego. Wiesz, o co chodzi?

- Tak, ale nie mogę odejść - mówię.

- Ludziom często się wydaje, że nie mogą czegoś zrobić, ale jak im jaja wkręci w sieczkarnię, przekonują się, na co ich stać - odpowiada tato. Spogląda na swoje stopy, które są całe różowe i obtarte. - Gdyby udało ci się dotrzeć do Burga, myślę, że chłopak na tyle bystry, by splawić pana Halseya bajką o chorobie Lou Gehriga i siostrze, której nie mam, może mieć dość oleju w głowie, żeby zajrzeć do książki telefonicznej pod T i znaleźć Towarzystwo Opieki nad Dziećmi. Albo mógłbyś poszwendać się przez jakiś czas i urządzić się nawet lepiej, jeśli tylko nie rozstaniesz się z tym zwitkiem banknotów. Siedemset dolarów wydzielanych w ratach po dziesięć wystarczy dzieciakowi na długo, jeśli tylko będzie dość cwany, by nie dać się złapać glinom, i będzie miał tyle szczęścia, że złodzieje nie gwizdną mu więcej niż tyle, ile akurat będzie miał w kieszeni.

Mówię mu znowu:

- Nie mogę odejść.

- Dlaczego?

Nie potrafię wyjaśnić. Po części chodzi o to, że prawie od zawsze mieszkałem w tym domu na farmie, gdzie praktycznie za całe towarzystwo miałem tatę i Paula. Inne miejsca znam tylko z trzech źródeł: telewizji, radia i mojej wyobraźni. Owszem, chodziłem do kina, kilka razy byłem w Burgu, ale zawsze z ojcem i starszym bratem. Myśl, że miałbym błąkać się sam wśród tego obcego zgiełku, przeraża mnie jak diabli. I, co ważniejsze, kocham tatę. Nie w taki prosty, nieskomplikowany (przynajmniej nie licząc ostatnich kilku tygodni) sposób jak Paula, ale tak, kocham go. Kaleczył mnie, bił, nazywał smerdołą cykokiką i ślamanogą wypełnił strachem wiele dni mojego dzieciństwa i nieraz, kiedy wyganiał mnie do łóżka, czułem się przez niego mały, głupi i nic nie wart, ale z tych złych chwil, jak na ironię, zrodziły się swoiste skarby: dzięki nim każdy całus zmienił się w złoto, każdy komplement, choćby rzucony mimochodem, zyskał nadzwyczajną wartość. I nawet w wieku dziesięciu lat - dlatego, że jestem jego synem, że w moich żyłach płynie jego krew? może - rozumiem, że jego pocałunki i pochwały są zawsze szczerze; że są prawdziwe. Jest potworem,

ale potwór nie jest niezdolny do miłości. To właśnie było najstraszniejsze w moim ojcu, Lisey, laluniu: kochał swoich chłopców.

- Po prostu nie mogę - mówię.

Myśli o tym - pewnie zastanawia się, czy naciskać, czy nie - a potem tylko kiwa głową.

- No dobrze. Ale posłuchaj mnie, Scott. To, co zrobiłem twojemu bratu, miało ocalić ci życie. Wiesz o tym?

- Tak, tatusiu.

- Ale gdybym miał zrobić coś tobie, byłoby inaczej. To byłoby tak wielkim złem, że mógłbym pójść za to do piekła, nawet gdybym nie ja był winien, tylko coś, co siedziałoby we mnie. - Jego oczy odwracają się od moich i wiem, że znów ich widzi, ich, i że niedługo to już nie z nim będę rozmawiał. Potem znów spogląda na mnie i widzę go wyraźnie po raz ostatni. - Nie pozwolisz mi pójść do piekła, co? - pyta mnie. - Nie pozwolisz tatusiowi smażyć się przez całą wieczność w piekle, choć bywało, że byłem dla ciebie niedobry?

- Nie, tatusiu - odpowiadam, ale ledwo mogę wydobyć z siebie głos.

- Przysięgasz? Na imię brata?

- Na imię Paula.

Odwraca się w stronę kąta.

- Idę się położyć - mówi. - Jak chcesz, weź sobie coś do jedzenia, ale nie rób burdelu w tej smerdolonej kuchni.

Tej nocy budzę się - albo coś mnie budzi - i słyszę, że deszcz ze śniegiem bębni głośno jak nigdy. Za domem rozlega się łoskot i wiem, że to drzewo zważyło się pod ciężarem lodu. Może obudził mnie upadek innego drzewa, ale nie wydaje mi się. Chyba usłyszałem kroki taty na schodach, choć stara się być cicho. Mam mało czasu, jedyne, co mi pozostaje, to zsunąć się z łóżka i schować pod nim, więc to właśnie robię, choć wiem, że to beznadziejne, bo dzieci zawsze chowają się pod łóżkiem i to tam zajrzy najpierw.

Widzę w drzwiach jego nogi. Wciąż jest boso. Bez słowa podchodzi i staje przy łóżku. Myślę sobie, że postoi przy nim trochę, jak to wcześniej bywało, a potem może usiądzie, ale gdzie tam. Słyszę, jak stęka, tak samo, jak zawsze, kiedy dźwiga coś ciężkiego, skrzynię czy

coś, po czym wspina się na palce, powietrze przesywa świst i rozlega się głośnie SP-RAAAG, materac i sprężyny uginają się na środku, kurz wzbija się z podłogi, a ostrze kilofa z szopy przebija moje łóżko na wylot. Zatrzymuje się nad moją twarzą, może centymetr od ust. Widzę każdą plamę rdzy i błyszczący ślad w miejscu, którym otarło się o jedną ze sprężyn. Przez sekundę-dwie pozostaje nieruchome, po czym znów słyszę stęk i przeraźliwy zgrzyt, jak kwik świni, to ojciec próbuje wyciągnąć kilof. Próbuje ze wszystkich sił, ostrze jednak utkwilo na dobre. Kiwa się w jedną i drugą stronę nad moimi oczami, i w końcu ojciec daje sobie spokój. Widzę jego palce pod krawędzią łóżka i wiem, że oparł dłonie na kolanach. Schyla się, chce zajrzeć pod łóżko i upewnić się, że tu jestem, zanim dalej się będzie szarpał z kilofem.

Nie myślę. Zamykam oczy i odchodzę. Po raz pierwszy, odkąd pochowałem Paula, i po raz pierwszy z wysokości piętra. Mam tylko sekundę na to, by pomyśleć: Spadnę, ale nic mnie to nie obchodzi, lepsze to niż miałbym ukrywać się pod łóżkiem i widzieć, jak obca istota z twarzą mojego taty schyla się i zauważa moje przerażone oczy; wszystko, byle nie musieć oglądać złamazi, która przejęła nad nim władzę.

I rzeczywiście spadam, choć tylko trochę, może z wysokości metra, i chyba jedynie dlatego, że wierzylem, że tak się stanie. Księżyc Boo'ya w dużym stopniu opiera się na prostej wierze; tam zobaczyć naprawdę znaczy uwierzyć, przynajmniej czasami... i pod warunkiem że człowiek nie zabrnije za daleko w las i nie zabłądzi.

Była noc, Lisey, i pamiętam to dobrze, bo tylko wtedy umyślnie przeszedłem tam nocą.

15

- Och, Scott - powiedziała Lisey, ocierając policzki. Ile razy odchodził od czasu terażniejszego i zwracał się bezpośrednio do niej, było to dla niej jak cios, ale taki słodki. - Och, tak mi przykro. - Sprawdziła, ile stron jeszcze zostało... niewiele. Osiem? Nie, dziesięć. Znów nachyliła się nad nimi i czytając, przekładała je jedna po drugiej na rosnącą stertę na jej kolanach.

16

Opuszczam zimny pokój, w którym istota w skórze mojego ojca próbuje mnie zabić, i siadam przy grobie brata w letnią noc, łagodniejszą niż aksamit. Księżyc przemierza niebo jak zaśniedziały srebrny dolar, śmiacze mają imprezę w głębi Bajecznego Boru. Od czasu do czasu coś innego - ukrytego jeszcze głębiej - wydaje z siebie ryk. Wtedy śmiacze milkną, ale wygląda na to, że coś, co je bawi, jest tak śmieszne, że nie mogą dłużej wytrzymać i znów zaczynają chichotać - najpierw jeden, potem dwa, pół tuzina, aż wreszcie przyłącza się cały cholerny Instytut Śmieszności. Jakiś ptak, za duży, by był to jastrząb czy sowa, przelatuje w ciszy na tle księżyca, to pewnie nocny drapieżnik żyjący tylko tu, na Księżycu Boo'ya. Czuję wszystkie zapachy, które tak uwielbialiśmy z Paulem, teraz jednak wydają się cierpkie, skisłe, jak smród zaszczanej pościeli; mam wrażenie, że gdyby wciągnąć je zbyt głęboko, wyrosłyby im szpony, którymi uczepiłyby się wnętrza nosa. Patrząc w dół Fioletowego Wzgórza, widzę wiszące w powietrzu galaretowate świetlne kule. Nie wiem, co to jest, ale mi się nie podoba. Myślę, że gdyby mnie dotknęły, mogłyby się do mnie przykleić albo pęknąć i zostawić swędzący placek jak od sumaka jadowitego, który rozrastałby się, gdybym go drapał.

U grobu Paula jest strasznie. Nie chcę się go bać i tak naprawdę wcale się nie boję, ale ciągle myślę o tym, co nosił w sobie, i zastanawiam się, czy to nadal w nim żyje. W końcu jeśli wszystko, co za dnia wydaje się ładne, po zmierzchu przeistacza się tu w truciznę, to może i uśpiona zła istota, nawet taka, która zapadła w letarg głęboko w ziemi, uwięziona w martwym, gnijącym ciele, mogłaby wrócić do życia. A gdyby tak wyrzuciła ręce Paula spod ziemi? A gdyby kazała jego brudnym, martwym dłoniom mnie pochwycić? A gdyby jego szczerząca się twarz uniosła się ku mojej, z ziarenkami ziemi sypiącymi się z kącików oczu jak lzy?

Nie chcę płakać, dziesięcioletni chłopcy nie płaczą (zwłaszcza tacy, którzy przeszli tyle, co ja), ale zaczynam się mazać, nic na to nie poradzę. Wtedy zauważam jedno kochane drzewo stojące w niewielkim oddaleniu od pozostałych, o rozłożonych gałęziach przypominających nisko zawieszoną chmurę.

W moich oczach, Lisey, to drzewo wydawało się... życzliwe. Wówczas nie wiedziałem, dlaczego, ale myślę, że teraz, po tych wszystkich latach, już wiem. Kiedy piszę te słowa,



wspomnienia wracają. Nocne świetliki, te straszne zimne balony unoszące się tuż nad ziemią, trzymały się od niego z dala. I kiedy podszedłem bliżej, zauważyłem, że przynajmniej to jedno jedyne drzewo pachniało tak słodko - albo prawie tak słodko - w nocy, jak za dnia. Jeśli czytasz tę ostatnią opowieść, Lisey, laluniu, to teraz siedzisz pod tym właśnie drzewem. A ja jestem potwornie zmęczony. Raczej nie dam rady przedstawić całej reszty z dbałością, na jaką zasługuje, choć wiem, że muszę spróbować. W końcu to dla mnie ostatnia szansa, by z tobą porozmawiać.

Poprzestańmy na tym, że chłopiec siedzi pod osłoną tego drzewa przez... kto to właściwie może wiedzieć? Nie przez całą tamtą długą noc, ale dotąd, aż księżyc (który tu chyba zawsze jest w pełni, zauważyłaś?) zachodzi, a on sam ma za sobą kilka dziwnych, chwilami pięknych snów, z których co najmniej jeden później stanie się kanwą powieści. Dość długo, by nazwał to cudowne schronienie Drzewem Opowieści.

I dość długo, by wiedzieć, że coś straszego - coś o wiele gorszego od błahego zła, które opętało jego ojca - zwróciło ku niemu swoje obojętne spojrzenie... i zanotowało sobie w pamięci, że warto będzie się nim kiedyś zainteresować (być może)... a potem znów odwróciło od niego swoje ohydne, nieprzeniknione myśli. Wówczas po raz pierwszy poczułem obecność tego czegoś, co rzucało cień na moje życie, Lisey, tego, co było ciemnością, gdy ty - światłem, i co uważa - jak ty - że wszystko jest to samo. To wspaniała, wyzwalająca filozofia, ale ma swoją ciemną stronę. Ciekawe, czy o tym wiesz? Czy się kiedykolwiek dowiesz?

- Wiem - powiedziała Lisey. - Teraz już tak. Dobry Boże, wiem.

Znów spojrziała na kartki. Zostało sześć. Tylko sześć, to dobrze. Popołudnia na Księżycu Boo'ya były długie, ale wydawało się, że dzisiejsze zaczynało już chylić się ku końcowi. Naprawdę pora już wracać. Do domu. Do sióstr. Do życia.

Zaczynała mieć pojęcie, jak to zrobić.

W którymś momencie słyszę, że śmiacze zbliżają się do skraju Bajecznego Boru, i mam wrażenie, że w ich wesołości pobrzmiewa sardoniczna, może nawet chytra nuta. Wyglądam zza osłaniającego mnie pnia i wydaje mi się, że widzę ciemne kształty wysuwające się z mrocznej masy drzew na skraju lasu. Może to tylko wytwór mojej wybujałej wyobraźni, ale w to nie wierzę. Myślę, że moja wyobraźnia, choć niewątpliwie płodna, skapitulowała po wszystkich wstrząsających przeżyciach tego długiego dnia i jeszcze dłuższej nocy, i że widzę rzeczy takimi, jakie są. Jakby na potwierdzenie, z wysokiej trawy, niecałe dwadzieścia metrów od miejsca, w którym kucam, dochodzi mlaskający chichot. Znów nie myślę o tym, co robię; zamykam tylko oczy i czuję, jak znów spowija mnie chłód mojej sypialni. Po chwili kicham od kurzu pod łóżkiem. Podnoszę się z twarzą wykrzywioną od potwornego wysiłku, by kichnąć najciszej, jak się da, i walę się głową w zerwaną sprężynę. Gdyby nadal tkwił tam kilof, mógłbym rozciąć sobie czoło, albo nawet wydlubać oko, ale już go nie ma.

Wyczołguję się spod łóżka na łokciach i kolanach, przez okno sączy się blade światło świtu. Sądząc z odgłosów, pada mocniej niż do tej pory, ale praktycznie nie zwracam na to uwagi. Obracam głowę znad podłogi i patrzę tępo na szczątki mojej sypialni. Drzwi garderoby zostały wyrwane z górnego zawiasu i wiszą w pijackim bezwładzie na dolnym. Moje ubrania są porozrzucane i wiele z nich - a właściwie większość - jest w strzępach, jakby to, co żyło w tacie, wyladowało na nich to, czego nie mogło wylądować na chłopcu, który powinien był mieć je na sobie. Co gorsza, to coś podarło moje nieliczne, najcenniejsze książki - głównie biografie sportowców i powieści science fiction - na kawałki. Wszędzie walają się strzępy lichych okładek. Biurko jest wywrócone, szuflady leżą w kątach. Dziura w łóżku po uderzeniu kilofa wydaje się duża jak księżycowy krater i myślę sobie: Tam byłby mój brzuch, gdybym tu leżał. Czuć słaby, kwaśny zapach. Przypomina mi woń Księżycy Boo'ya nocą, ale jest bardziej znajomy. Próbuję go zidentyfikować i nie mogę. Kojarzy mi się tylko ze skwaśniałymi owocami i okazuje się, że choć nie trafiłem, to niewiele się pomyliłem.

Nie chcę wychodzić z pokoju, ale wiem, że nie mogę zostać, bo on kiedyś wróci. Znajduję nieporwane dzinsy i wkładam je. Tenisówki zniknęły, nie wiem, gdzie są, ale może

w sieni będą moje buty. Razem z kurtką. Włożę je i wybiegnę na deszcz ze śniegiem. Potem po na wpół zamarzniętych śladach opon wozu pana Halseya dotrę do drogi. I drogą do sklepu Muliego. Ucieknę, by ocalić życie, w niewyobrażalną przyszłość. Chyba że on złapie mnie wcześniej i zabije.

Muszę przegramolić się przez blokujące drzwi biurko, by wydostać się na korytarz. Tam zauważam, że istota pozrzucała wszystkie zdjęcia i zrobiła dziury w ścianach, i wiem, że widzę ślady jej gniewu wywołanego tym, że nie mogła się do mnie dostać.

Tu kwaśny, owocowy zapach jest tak silny, że go rozpoznaję. Rok wcześniej w gippowni urządzili bożonarodzeniowe przyjęcie. Tato poszedł, bo powiedział, że „wyglądałoby to dziwnie”, gdyby tego nie zrobił. Człowiek, który go wylosował, dał mu w prezencie gąsior domowej roboty wina z jeżyn. Jasne, Andrew Landon ma problemów co niemiara (i gdyby go przydybać w chwili szczerości, pewnie sam by to przyznał), ale alkohol nie jest jednym z nich. Któregoś wieczoru nalał sobie przed kolacją szklaneczkę tego wina - to było między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem, Paul siedział zakuty w łańcuchy w piwnicy - wziął łyk, skrzywił się, zaczął wylewać je do zlewu, po czym zobaczył, że na niego patrzę i poczęstował mnie.

- Chcesz spróbować. Scott? - spytał. - Zobaczyć, o co jest tyle szumu? Hej, jeśli ci posmakuje, możesz sobie wziąć cały zasiorbany gąsior.

Jasne, jak każde dziecko jestem ciekaw, jak smakuje alkohol, ale ten zapach był zbyt zgniło-owocowy. Może i od picia tego czegoś robi się tak wesoło, jak to pokazują w telewizji, ale mnie on skutecznie odstraszył. Potrząsnąłem głową.

- Madry z ciebie chłopak. Scooter. Scoot staruszk - powiedział i wylał ciec z szklanki do zlewu. Musiał jednak zachować resztę (albo zapomniał o tym gąsiorze), bo ten właśnie zapach teraz czuję, jak babcię w kapie, i to mocny. U podnóża schodów przechodzi w smród i teraz słyszę coś jeszcze oprócz miarowego grzechotu deszczu ze śniegiem o deski i jego cichego stukotu w szyby: George'a Jonesa. Radio taty, jak zawsze nastawione na WWVA, gra bardzo cicho. Słyszę też chrapanie. Ulga jest tak wielka, że lzy ciekną mi po policzkach. Najbardziej bałem się, że on się przyczaił i czeka, aż się pokażę. Teraz, kiedy słucham tego przeciągłego, nieregularnego chrapania, wiem, że tak nie jest.

Mimo to jestem ostrożny. Idę okrężną drogą przez pokój stołowy, żeby wejść do salonu

od strony oparcia sofy. Pokój stołowy też jest ruiną. Kredens babuni został przewrócony i wygląda, jakby ktoś bardzo chciał użyć go na podpałkę. Wszystkie naczynia są potłuczone. Podobnie jak niebieski dzbanek, a pieniądze, które w nim były, zostały podarte. Zielone strzępy wiszą wszędzie, gdzie się da, niektóre nawet na żyrandolu, jak confetti w sylwestra. Najwyraźniej istocie, która żyje w tacie, pieniądze potrzebne są nie bardziej niż książki.

Mimo chrapania, mimo że jestem za kanapą, zaglądam do salonu jak żołnierz wychylający się z okopu po ostrzale artyleryjskim. Niepotrzebnie. Głowa zwisa mu z jednego końca kanapy, a włosy, które nie widziały nożyczek odkąd z Pauliem zaczęło być źle, są tak długie, że prawie sięgają dywanu. Mógłbym przejść tędy waląc w cymbały i nawet by nie drgnął. Tato więcej niż śpi w tym przewróconym do góry nogami pokoju; jest nieprzytomny, że ja smerdolę.

Jeszcze krok i widzę, że ma rozcięty policzek, a jego zamknięte powieki są zsiniałe ze zmęczenia. Wargi zsunęły się z zębów, nadając mu wygląd starego psa, który zasnął powarkując. Zwykle przykrywa kanapę starym indiańskim pledem, by jej nie zatłuścić czy nie pobrudzić jedzeniem, i teraz owinął się jego częścią. Kiedy tu dotarł, musiał być już zmęczony demolowaniem domu, bo poprzestał na rozbiciu ekranu telewizora i szybki na zdjęciu nieżyjącej żony. Radio jest tam, gdzie zawsze, na stoliku, na podłodze obok stoi gąsior. Patrząc na niego i w pierwszej chwili myślę, że wzrok płata mi figle: wina zostało w nim może na centymetr. Nie mogę uwierzyć, że tyle wypił - on, który zwykle w ogóle nie pije - ale smród wokół niego, tak gęsty, że niemal go widać, jest bardzo przekonujący.

Kilof stoi oparty o wezłowie sofy, a na ostrzu, które przebiło moje łóżko, jest przyklejona kartka. Wiem, że list zostawił dla mnie, i nie chcę go czytać, ale muszę. Napisał trzy linijki, ale jest w nich tylko siedem słów. Zbyt mało, by je kiedykolwiek zapomnieć.

**ZABIJ MNIE**

**POTEM ZABIERZ DO PAULA**

**PROSZE**

Lisey, zapłakana jak nigdy, odłożyła tę kartkę na kolana razem z innymi. Zostały już tylko dwie. Pismo stało się niedbałe, trochę rozwlekłe, nie zawsze mieściło się w linijkach, było z niego zmęczenie. Wiedziała, co stanie się teraz - „Dziabłem go siekierką w głowę, jak spał”, powiedział jej pod drzewem mniam-mniam - i czy musiała czytać dalej, by poznać szczegóły? Czy w przysiędze małżeńskiej była mowa o tym, że trzeba znieść wyznanie nieżyjącego męża o popełnionym ojcobójstwie?

A mimo to te strony wzywały ją, wołały jak samotne stworzenie, które straciło wszystko oprócz głosu. Spuściła wzrok na ostatnie kartki, zdeterminowana, że jeśli ma skończyć, zrobi to najszybciej, jak to możliwe.

## 20

**Nie chcę tego, ale mimo to biorę kilof i stoję z nim w rękach. Patrzę na niego, pana mojego życia, tyrana moich dni. Często go nienawidziłem i nigdy nie dał mi powodów, by kochać go dostatecznie mocno, teraz to wiem, ale kilka by się znalazło, zwłaszcza w tamtych koszmarnych tygodniach po tym, jak Paulowi się pogorszyło. I w tym salonie, o piątej rano, kiedy pierwsze szare światło dnia wkrada się przez okna, a deszcz ze śniegiem tyka o szyby jak zegar, przy wtórce rżącego chrapania i radiowej reklamy oferującego rabaty sklepu meblowego z Wheeling w Zachodniej Wirginii, którego nigdy nie odwiedzę, wiem, że wszystko sprowadza się do brutalnego wyboru między miłością a nienawiścią. Teraz przekonam się, co włada moim dziecięcym sercem. Mogę pozwolić mu żyć i uciec do Muliego, do jakiegoś nieznanego, nowego życia, a tym samym skazać go na piekło, którego się boi i na które pod wieloma względami zasłużył. W pełni. Najpierw będzie to piekło na ziemi, piekło w celi jakiegoś domu wariatów, a potem być może piekło wiekuiste, którego tak naprawdę się boi. Albo mogę go zabić i oswobodzić. Wybór należy do mnie i nie pomoże mi go dokonać Bóg, bo w niego nie wierzę.**

**Zamiast tego modłę się do brata, który kochał mnie dotąd, aż złamazia skradła mu serce i rozum. Proszę, by powiedział mi, co robić, jeśli gdzieś tam jest. I dostaję odpowiedź - choć czy rzeczywiście od Paula, czy z mojej wyobraźni podającej się za Paula, tego nigdy się nie dowiem. Koniec końców, to bez znaczenia; potrzeba mi odpowiedzi i ją dostaję. Tak**

wyraźnie, jak za życia, Paul mówi mi na ucho: „Nagroda tatusia jest pocałunek”.

Wtedy ściskam kilof mocniej. Reklama w radiu się kończy i Hank Williams zaczyna śpiewać „Czemu tak jak dawniej już nie kochasz mnie, czemu mnie traktujesz jak znoszony trep?”. I

## 21

Tu następowały trzy puste linijki, zanim znów zaczynał się tekst, tym razem pisany w czasie przeszłym i adresowany bezpośrednio do niej. Dalsza część upchnięta była na kartce praktycznie bez zważania na linijki i Lisey nie miała najmniejszych wątpliwości, że końcówkę napisał jednym ciągiem. Przeczytała ją w ten sam sposób. Przewróciła ostatnią kartkę i kontynuowała lekturę, nieustannie ocierając łzy, chcąc widzieć dość wyraźnie, by zrozumieć sens jego słów. Stwierdziła, że zobaczyć oczami duszy było diabelnie łatwo. Mały, bosy chłopiec, w być może jedynych ocalałych dzinsach, unosi kilof nad uśpionym ojcem w szarym świetle nadciągającego świtu, radio gra, ostrze przez chwilę zawisa w powietrzu cuchnącym winem jeżynowym i wszystko jest to samo. Wtedy

## 22

Uderzyłem, Lisey, uderzyłem z miłości - przyrzekam - i zabiłem własnego ojca. Bałem się, że będę musiał zadać drugi cios, ale jeden wystarczył i przez całe życie nie daje mi to spokoju, zawsze było to myślą ukrytą wewnątrz wszystkich myśli, wstaję rano i myślę: Zabiłem ojca, z tą samą myślą kładę się spać. Czailo się to jak duch za każdą linijką w każdej mojej powieści, każdym opowiadaniu: Zabiłem ojca. Powiedziałem ci o tym tamtego dnia pod drzewem mniam-mniam i chyba przyniosło mi to dość ulgi, żeby nie rozsypać się pięć, dziesięć czy piętnaście lat później. Ale *wyznanie to nie to samo, co opowieść*.

Lisey, jeśli to czytasz, już mnie nie ma. Myślę, że zostało mi mało czasu, ale czas, który miałem (i którym się bardzo cieszyłem) zawdzięczam tobie. Tak dużo mi dałaś. Daj mi

jeszcze tylko tyle - przebiegnij okiem po tych ostatnich kilku słowach, najtrudniejszych, jakie kiedykolwiek napisałem.

Żadna opowieść nie wyrazi w pełni tego, jak okropna jest taka śmierć, nawet jeśli następuje błyskawicznie. Dzięki Bogu, nie chybiłem i nie musiałem zadawać drugiego ciosu: dzięki Bogu, nie skowyczał, nie próbował się odczołgać. Uderzyłem go w sam środek, dokładnie tam, gdzie chciałem, ale nawet litość jest okropna w ludzkiej pamięci; przekonałem się o tym, kiedy miałem dziesięć lat. Czaszka mu eksplodowała. Włosy, krew, mózg, wszystko to strzeliło fontanną w górę, zachlapując pled, który rozłożył na kanapie. Z nosa polały mu się smarki, język wypadł z ust. Głowa przewróciła się na bok i usłyszałem cichy bulgot wypływającej krwi i mózgu. Część tej masy zalała mi stopy, była ciepła. W radiu nadal śpiewał Hank Williams. Jedna ręka tatusia zacisnęła się w pięść i otworzyła. Poczulem gównno, domyśliłem się, że narobił w gacie. I wiedziałem, że to koniec.

Kilof nadal tkwił mu w głowie.

Umkłem w kątek pokoju, skuliłem się i płakałem. Pakąłem i płakałem. Pewnie też trochę spałem, nie wiem, ale nagle zrobiło się jaśniej i słońce prawie wyszło zza chmur, chyba było koło południa. Jeśli tak, musiało minąć jakie 7 godz. Wtedy pierwszy raz próbowałem zabrać tatusia na Księżyc Boo'ya i mi się nie udało. Pomyślałem, że może muszę coś zjeść, ale nie pomogło. Potem przyszło mi do głowy, żeby się wykąpać i zmyć krew, jego krew, i posprzątać wokół niego, ale nadal nic to nie dawało. Ciąglem i ciąglem. Raz po razie. Chyba ze dwa dni. Czasem patrzyłem na jego ciało zawinięte w pleć i udawałem, że muwi Dawaj Scoot sukinkocie starcy, poradzisz se jak w jakiejś historii. Próbowałem, potem sprzątałem, próbowałem, sprzątałem, jadłem i próbowałem jeszcze. Cały dom wyspszatałem! Od dołu do góry! Raz przeszedłem na Boo'ya sam, sprawdzić, czy nadal umiem i umiałem ale taty wzionć nie mogłem. Tak bardzo prubowałem Lisey.

Kilka pustych linijek. U dołu ostatniej strony napisał: **Niektóre rzeczy są jak KOTWICA Lisey pamiętasz?**

- Tak, Scott - mruknęła. - Pamiętam. A twój ojciec był jedną z nich, zgadza się? - Była ciekawa, ile w sumie było tych dni i nocy. Ile dni i nocy Scott spędził sam na sam z trupem Andrew „Iskierki” Landona, zanim dał za wygraną i wpuścił świat do środka. Ciekawa, jak na litość boską poradził sobie z tym i nie zwariował.

Na drugiej stronie kartki był jeszcze krótki fragment tekstu. Obróciła ją i zobaczyła, że jest tam odpowiedź na jedno z jej pytań.

**Pięć dni prubowałem. Wkońcu żem się poddał, zawinęłam go w ten pled i wrzuciłam do wyschłej studni. Jak pszeształo padać, poszłam do Muliego i powiedziałam „Tata zabrał mojego starszego brata i mnie zostawili”. Zawieźli mnie do szeryfa, starego tłuściocha nazwiskiem Gosling, a on oddał mnie do Towarzystwa Przyjaciół Dzieci i byłem „pod opieką władz okręgu” jak to się mówi. O ile wiem, Gosling był jedynym policjantem, który zajrzał do tamtego domu, i wielkie mi rzeczy. Tata kiedyś powiedział „Szeryf Gosling własnego tyłka by po sraniu nie znalazł”.**

Dalej znów były trzy linijki przerwy, a w dalszej części tekstu - ostatnich czterech wierszach przekazu od męża - widać było, jak bardzo starał się wziąć w garść, odnaleźć swoje dorosłe ja. Podjął ten wysiłek dla niej, pomyślała. Nie, wiedziała to.

**Skarbiemój: Gdybyś potrzebowała kotwicy, która utrzyma cię na świecie - nie na Księżycu Boo’ya, tylko na tym, na którym żyliśmy razem, skorzystaj z afrykana. Wiesz, jak go przenieść. Całusy - co najmniej tysiąc,**

**Scott**

**P.S. Wszystko to samo. Kocham Cię.**

Lisey mogłaby jeszcze długo siedzieć tam z jego listem, ale popołudnie uciekało. Słońce wciąż było żółte, ale opadało już ku horyzontowi i wkrótce zacznie przybierać ten groźny pomarańczowy odcień, który tak dobrze pamiętała. Nie chciała być na ścieżce nawet tuż przed zachodem słońca, i to oznaczało, że musiała się ruszyć. Postanowiła zostawić ostatni rękopis



Scotta tutaj, ale nie pod Drzewem Opowieści. Schowa go przy płytkim zagłębieniu, które oznaczało miejsce pochówku Paula Landona.

Wróciła do kochanego drzewa okrytego postrzępionym mchem, tego, które dziwnie przypominało palmę. Zniosła tam szczątki żółtego afgana i wilgotne, rozmiękle pudło z rękopisem. Położyła to wszystko na ziemi, podniosła nagrobek z imieniem PAUL na poprzecznej belce. Był rozłupany, zakrwawiony i pokrzywiony, ale nie połamany. Wyprostowała poprzeczną belkę i ustawiła nagrobek z powrotem na miejscu. Kiedy to zrobiła, zauważyła coś, co leżało nieopodal, niemal schowane w wysokiej trawie. Wiedziała, co to, zanim to podniosła; nigdy nieużywana strzykawka, zardzewiała, wciąż z kapturkiem.

„Igrasz z ogniem, staruszk” - powiedział jego ojciec, kiedy Scott zaproponował, żeby uszpli Paula... i jego ojciec miał rację.

„Jest, cholera, a już myślałem, że się ukłułem!” - powiedział Scott do Lisey, kiedy zabrał ją na Księżyc Boo’ya z ich pokoju w „Porożu”. - To byłby numer, no nie - po tylu latach - ale zatyczka dobrze siedzi!”

I tkwiła do tej pory. A w środku wciąż znajdował się środek na dobranoc, jakby tych wszystkich lat, które minęły, w ogóle nie było.

Lisey pocałowała matowy, szklany zbiorniczek strzykawki - dlaczego, sama nie potrafiła wyjaśnić - i schowała ją do pudła z ostatnią opowieścią Scotta. Potem zwinęła nędzne szczątki afgana Dobrej Mamy w ramionach i poszła na ścieżkę. Zerknęła przelotnie na leżącą w wysokiej trawie z boku tablicę, słowa na niej były wyblakłe i widmowe jak nigdy, ale wciąż dawało się je rozróżnić, wciąż głosiły NAD STAW. Potem znalazła się wśród drzew. Początkowo skradała się raczej niż szła, nogi jej się plątały ze strachu, że coś może czyhać w pobliżu, że dziwny, straszny umysł tego czegoś ją wyczuje. Powoli jednak się uspokoiła. Długaśnik był gdzie indziej. Przemknęło jej przez myśl, że być może w ogóle nie było go na Księżycu Boo’ya. Jeśli nawet, to zaszył się głęboko w lesie. Tak czy owak, z Lisey Landon miał niewiele do czynienia, a jeśli jej plan się powiedzie, to będzie miał jeszcze mniej, bo jej ostatnie wtargnięcia w ten egzotyczny, ale przerażający świat były mimowolne i wkrótce miały ustać zupełnie. Teraz, kiedy pozbyła się Dooleya, nie widziała powodu, dlaczego miałyby jeszcze kiedykolwiek tu umyślnie wrócić.

*Niektóre rzeczy są jak kotwica Lisey pamiętasz?*

Przyspieszyła kroku i kiedy doszła do miejsca, gdzie na ścieżce leżała srebrna łopatka, z ostrzem wciąż ciemnym od krwi Jima Dooleya, przestąpiła przez nią, tylko przelotnie rzuciwszy nań okiem.

Wtedy już prawie biegła.

## 25

Kiedy znów znalazła się w pustej pracowni, na strychu stodoły panowała jeszcze większa duchota niż wcześniej, ale Lisey czuła chłód, bo po raz drugi wróciła przemoczona do suchej nitki. Tym razem, niby jakimś dziwnym szerokim pasem, obwiązana była w talii szczątkami żółtego afgana, też ociekającymi wodą.

Skorzystaj z afrykana, napisał Scott i dodał, że wiedziała, jak go przenieść - nie na Księżyc Boo'ya, tylko do tego świata. I miał rację. Weszła owinięta nim do stawu i zaraz wróciła na brzeg. Kiedy tak stała na ubitym białym piasku plaży, prawie na pewno ostatni raz, zwrócona nie ku smutnym, milczącym ludziom na ławkach, lecz w przeciwnym kierunku, gdzie rozciągało się lustro wody, nad którym za jakiś czas miał się ukazać księżyc jak zawsze w pełni, zamknęła oczy i po prostu... co? Wyraziła życzenie, że chce wrócić? Nie, to było coś, co wymagało więcej wysiłku, coś, w czym było mniej nostalgii... ale co nie było całkowicie pozbawione smutku.

- Przywrzeszczałam się do domu - powiedziała do długiego, pustego pokoju, opróżnionego z jego biurek i procesorów tekstu, jego książek i jego muzyki, opróżnionego z jego życia. - To właśnie zrobiłam. Prawda, Scott?

Nie było jednak odpowiedzi. Wyglądało na to, że wreszcie powiedział wszystko, co miał do powiedzenia. I może to dobrze. Może tak było najlepiej.

Teraz, kiedy afrykan był jeszcze przesiąknięty wodą ze stawu, mogła przepasana nim wrócić na Księżyc Boo'ya, jeśli tylko chciała; otulona taką wilgotną magią mogła zejść jeszcze dalej, do innych światów poza Księżycem Boo'ya... bo nie miała wątpliwości, że takowe istnieją i że ludzie z ławek, znudzeni siedzeniem, w końcu wstawali i znajdowali niektóre z nich. Obwiązana mokrym afrykanem mogłaby nawet latać, jak w swoich snach. Ale tego nie robi. Scott śnił na jawie, czasem o wspaniałych rzeczach - ale to był jego talent i jego praca. Lisey Landon jeden

świat wystarczał z powodzeniem, choć podejrzewała, że zawsze będzie nosiła w sercu wyjałowioną pustkę, w której kryć się będzie tęsknota za tym innym światem, w którym widziała słońce zachodzące w szkarłatnym ogniu, gdy księżyc wschodził w srebrnej ciszy. Ale smerdolić to. Miała gdzie powiesić kapelusz, miała dobry samochód; miała szmatki na ciało i buty na nogi. Miała też cztery siostry, z których jednej będzie potrzeba dużo pomocy i wyrozumiałości, by przetrwała nadchodzące lata. Najlepiej byłoby dać afrykanowi wyschnąć, pozwolić, by wyparował z niego piękny, śmiercionośny ciężar snów i magii, sprawić, by znów stał się kotwicą. Kiedyś potnie go nożyczkami na kawałki i jeden zawsze nosić będzie ze sobą, by chronił ją przed magią, trzymał mocno na ziemi, był talizmanem, dzięki któremu nie złądzi.

Tymczasem chciała wysuszyć włosy i zdjąć mokre ubranie.

Lisey podeszła do schodów, kapiąc ciemnymi kroplami na niektóre z plam jej własnej krwi. Afrykan zsunął się na jej biodra i wyglądał teraz jak spódniczka, egzotycznie, nawet trochę seksownie. Obejrzała się przez ramię na długi pusty pokój, który zdawał się śnić w zakurzonych promieniach późnosierpniowego słońca. Sama w tym świetle była złota i znów wyglądała młodo, choć nie zdawała sobie z tego sprawy.

- To by chyba było na tyle - powiedziała i nagle ogarnęła ją niepewność. - To ja już pójdę. Na razie.

Czekała. Na co, nie wiedziała. Nie było nic. Nic, tylko poczucie, że coś tu jest.

Uniosła dłoń, jak gdyby chciała pomachać, i zaraz opuściła ją, jakby zawstydzona. Uśmiechnęła się lekko i po jej policzku spłynęła niedostrzeżona łza.

- Kocham cię, skarbie. Wszystko to samo.

Lisey zeszła na dół. Jej cień został jeszcze przez chwilę, po czym też zniknął.

Pokój westchnął. I zamilkł.

Center Lovell, Maine

4 sierpnia 2005

**Przywrzeszczę cię do domu.**